

# Każń

Diaczenko Marina i Siergiej



calibre 0.9.43

*Każń*

Marina Diaczenko

SOLARIS (2006)

Etykiety: Fantasy, General, Fiction

---

---

**Każń**

*(Kazn')*

*Przełożył Piotr Ogorzałek*

**Rozdział 1**

Za zakrętem, gdzie szosa zataczała pętlę nad samą przepaścią, Irena się zatrzymała. Wsiadła z samochodu, by popatrzeć na mgłę.

Urwisko zaczynało się zaraz za pasiastymi słupkami oznakowania drogowego. Na jego dnie zalegała najprawdziwsza chmura – nawet z wyglądu gęsta, ścieląca się, powoli przelewająca w samą siebie. Wznosząc się nad skrajem przepaści, szare nibynóżki tajały w promieniach wschodzącego słońca

– przez rozplywające się strzepy prześwitywały góry, daleki las i czerwony dach maleńkiej kafejki, do której zostało jeszcze dziesięć minut jazdy.

Zza zakrętu ostrożnie – a w tych górach wszyscy jeżdżą ostrożnie – wyłonił

się mały, niebieski samochód. Na widok zapatrzonej Ireny zahamował i zatrzymał się; zza kierownicy wygramolił się łysiejący mężczyzna – Irena gdzieś go już spotkała. Zresztą w tej okolicy wszyscy się kiedyś spotkali, nie mieszka tu zbyt wielu ludzi.

– Jakies problemy z samochodem? Pomóc pani?

Nad opadającymi strzepami mgły leciał, miarowo machając skrzydłami, biały ptak. Las prześwitywał jaśniej, ciągnąc się z góry na górę niczym niedbale narzucony szal.

– Mm... Proszę wybaczyć, że panią niepokoję...

Ocknęła się.

– Nie, nie... dziękuję. Z samochodem wszystko w porządku.

Mężczyzna z niezdecydowaniem dreptał w miejscu. Najwyraźniej beształ

się za niestosowną gorliwość. I bał się, że wyjdzie na durnia.

Mgła rzedła. Wkrótce widoczne będą głazy na dnie przepaści i płynący wśród nich potok.

– Dziękuję – powtórzyła, zagłębiona we własnych myślach.

– Powiadają – rzekł nieoczekiwanie mężczyzna, podążając za jej wzrokiem

– powiadają... Zna pani tę wróżbę?

Na czerwony dach kafejki padło słońce, przez co dachówki zabłyśły jak mak.

– Powiadają – mężczyzna odkaszlnął – że jeśli ktoś w bezludnym miejscu długo wpatruje się we mgłę, może zobaczyć Stwórcę. Chodzi On we mgle niczym w chmurach. To nie Jego pani przypadkiem wpatruje?

Irenie zachciało napić się kawy. Wyobraziła sobie maleńką, porcelanową filiżankę z wygiętym uszkiem, tak maciupkim, że można go było ująć tylko dwoma palcami.

A do kafejki zostało jeszcze dziesięć minut!

– Proszę wybaczyć – znów rzekł mężczyzna i po chwili za plecami Ireny zawarczał silnik jego niebieskiego samochodu.

– Nie, ja po prostu lubię to miejsce – rzekła Irena w pustkę. – Pięknie tu, prawda?

Niebieski samochód oddalał się, merdając ogonem spalin. Najwyraźniej się z nią zgadzając.

\* \* \*

Katedra filologii mieściła się w głównym gmachu – największym i najbardziej okazałym; z biurami administracji i kamiennymi harpiami strzegącymi wejścia. Irena nie znosiła zarówno administracji, jak i harpii.

Spóźniła się dziesięć minut. Kierowniczka katedry demonstracyjnie spojrzała na zegarek.

– Kiedy pani Chmiel zdąży na czas, uwierzę w rychły koniec świata.

Irena nie odpowiedziała. Usiadła w kącie za stołem, wyjęła zeszyt i zaczęła wodzić długopisem po pustych kratkach.

– ...wyniki dzisiejszej sesji pozwalają wyciągnąć wnioski na temat...

Kierowniczka katedry, młodo wyglądająca blondynka, przypominająca dużego, kędzierzawego anioła, miała przyjemny, głęboki głos, intelekt zaś trzeźwy i w pełni męski; pokolenia studentów przekazywały sobie jej niezmiennie przezwisko: Pacyfikatorka. Irena wiedziała, że student, będąc nawet na skraju śmierci – jeśli nie ma nadziei wyzionać ducha przed początkiem kolejnej sesji – przypełźnie do niej na wykład, bojąc się nieuniknionych i niewiarygodnych w swym okrucieństwie sankcji.

Połowa nieudaczników, którzy wylecieli z uniwersytetu już po pierwszym trymestrze, miała pełne podstawy, by winić za to Pacyfikatorkę. Natomiast jeśli chodzi o katedrę, to ci, którzy uchowali się tu przez ostatnie pięć lat, już dawno przyzwyczaili się do wiecznych nieporozumień podczas spotkań kadry.

Irena wodziła długopisem po pustej kartce. Przez błądy wzór kratki prześwitywał zarys zamku – połowa baszt zawaliła się i nad dziedzińcem buszował ogień. Wieża oblężnicza, taran u wrót, horda barbarzyńców wspinających się na mury.

Po burzliwej przemowie pani Pacyfikatorki nastąpiła jadowita tyrada chudego jak tyczka profesora orientalistyki; konflikt rozpałił się niczym naoliwiona szmata. Irena skrzywiła się z niesmakiem.

– ...zaś fakt, że dostarczeniem prac na konferencję zajęła się właśnie pani!

I jak zrozumieć to, że ja i moi podopieczni dowiedzieliśmy się o tym dopiero przed tygodniem, podczas gdy pani studenci zdążyli już przygotować trzy rozbudowane sprawozdania?!

Irena oderwała wzrok od zamku płonącego na kartce.

W przestronnym pomieszczeniu wrzało od namiętności. Na cherlawych gałązkach pokojowego drzewka cytrynowego spokojnie tkął swoje sieci wąty, chorobliwie wyglądający pajęczek – za to profesorowi orientalistyki trzęsły się wargi i z ust ciekła ślina. Irena miała wrażenie, że pomiędzy profesorem i Pacyfikatorką przepływa łuk elektryczny.

– Skończył pan? Pytam, czy pan już skończył? Może by pan teraz przez jakiś czas pomilczał?!

W porównaniu z kłótnią pracowników katedry nawet płonący zamek wydawał się błądy, pozbawiony życia, nieprawdziwy. Irena dorysowała w rogu szubienicę z pustą pętlą – tragiczny obrazek ostatecznie przybrał groteskowy wygląd. Irena ze smutkiem pokiwała głową i odwróciła kartkę.

– ...Chociażby pani pisarka!

Irena się zachmurzyła. Milczała przez chwilę, przyglądając się pustej kartce w kratkę, i uniosła wzrok. Wszyscy obecni na zebraniu nie wiedząc czemu patrzyli na nią – jedynie profesor, trzymając się za serce, wyglądał przez okno.

Najwidoczniej liczył, że sam widok świeżego powietrza może go uspokoić.

– Oto komu zazdroścę – z nutką gorczy oznajmiła Pacyfikatorka. – To wszystko nerwy, moi państwo. To wszystko dotyczy nas. A panią Chmiel interesuje zupełnie co innego. I jeśli pewnego pięknego dnia nasz instytut spłonie na popiół – pani pisarka najprawdopodobniej nawet nie zwróci na to uwagi.

Irena wyobraziła sobie języki płomieni nad częścią administracyjną. Wieża oblężnicza na klombie, taran miażdżący harpie przy wejściu, półnaczy barbarzyńcy, dziesiątkami ginący z rąk pani Pacyfikatorki...

– Szanowni państwo – pulchna pani docent postukała w szkiełko zegarka.

– Czas się chyba streszczać.

I dopiero gdy członkowie katedry z westchnieniem ulgi wysypali się do korytarza, Irenie przyszła do

głowy ostra i miazdząca riposta.

\* \* \*

– Pani Ireno, podrzuci mnie pani? – zapytał profesor orientalistyki.

Mieszkał na skraju miasteczka uniwersyteckiego i nigdy nie przepuścił okazji, by zabrać się z Ireną.

– Nienawidzę ścierw, Ireno. Och, jak ja nienawidzę tych ścierw. Moja pierwsza żona była ścierwem. Zna pani tę piosenkę: „Skąd się biorą ścierwa z tak miłych dziewczątek?”. I tym przyjemniej widzieć obok siebie kobietę, która... ostrożnie, autobus!

Profesor miał irytujący nawyk – z całych sił pomagał Irenie w prowadzeniu samochodu. Za każdym razem podskakiwał na siedzeniu i z przerażeniem wskazywał na nieuniknione jego zdaniem zagrożenie.

Zza zakrętu wyjechały trzy autobusy. Czekano na nie przy bramie akademika: plecaki zwalone jak barykada w poprzek chodnika zagradzały drogę pieszym, a rumiani studenci hałasowali i radośnie wymachiwali barwnymi, sportowymi czapkami.

– Inni mają wakacje – z zawiścią skonstatował profesor.

Irena przyhamowała.

Opuszczenie wykładu pani Chmiel studenci uważali za rzecz oczywistą, za to radość, z jaką witali Irenę, była absolutnie szczerą. Gdy wysiadła z samochodu, natychmiast otoczył ją tłumek – młodzi chłopcy, odpychając dziewczyny, błazeńsko walczyli o prawo ucałowania jej rękawiczki.

– Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!

– Proszę jechać z nami, pani Chmiel!

– Serdecznie witamy, pani Chmiel!

Nie była oczywiście w stanie odpowiedzieć wszystkim – ograniczyła się do skinień i uśmiechu. Podniecenie powoli opadło, pierścień młodzieży wokół

Ireny przerzedzał się i po kilku minutach towarzyszyło jej tylko dwóch starych wielbicieli – ku swemu żalowi nie mogła przypomnieć sobie ich imion.

– Pani Chmiel – niepewnie zapytał wysoki, chudy okularnik. – Czy można... prosić o autograf? Specjalnie znalazłem to czasopismo... Numer, w którym jest pani opowiadanie...

Zmieszała się, jak zawsze, gdy studenci wspominali o jej publikacjach.

Przytaknęła.

– Mówią, że niedługo ukaże się książka? Proszę powiedzieć, pani Chmiel...

– okularnik się zawahał. – Dlaczego u pani wszystko tak źle się kończy?

– Aż tak źle? – Uśmiechnęła się, kryjąc zmieszanie. – Główny bohater zginął i jest to rzeczywiście przykre, wiedział jednak, co ryzykuje...

Chłopak się zaczerwienił.

– Nie o to mi chodzi... Źle, że jego dziewczyna wyszła za mąż za barona.

Źle, że... no, w ogóle, to...

– Czy świadomie... mmm... zanegowała pani archetyp romantycznej legendy? – zapytał cicho drugi student, barczysty i krępy, choć z dziecięcą, pyzatą twarzą.

– W pełni świadomie. – Spojrzała młodzieńcowi o okrągłej twarzy w oczy, lecz nie speszył się pod tym spojrzeniem. Po dorosłemu wyjął wargi.

– Wychodzi na to, że negacja, wypaczenie romantyki... jest pani firmową metodą twórczą?

Zamyśliła się.

Studenci krzatali się wokół autobusów, okularnika ktoś pociągnął za rękaw, a tego z okrągłą twarzą zawołał jakiś kolega; w samochodzie niecierpliwie wiercił się profesor.

– Porozmawiamy o tym w przyszłym trymestrze – rzekła, siadając za kierownicą. – Udanych wakacji.

– Nawzajem, pani Chmiel... Proszę więcej pisać.

– Biedni chłopcy – rzekł profesor, gdy autobusy skrył się z widoku. –

Każdy ożeni się ze swą suką i stanie się jak inni... Niech pani sama powie, Ireno. Kiedy otwieram książkę, chcę odpocząć, chcę narkotyku... A suk mam dość na co dzień...

– Nie trzeba się było z nią kłócić – rzekła Irena, przypominając sobie Pacyfikatorkę.

– Nie w tym rzecz... Wie pani, dlaczego nie mogę czytać pani opowiadań?

Dlatego, że gdy dama występuje w krynolinach, a mężczyźni w kolczugach i z mieczami, oczekuję na bajkę, Ireno. Na inny, że tak powiem, świat...

konstrukcję tego świata... żeby były w nim leśne duchy, przeróżne gnomy, krwawe wojny, surowe prawa... miłość... a nie domowe, proszę wybaczyć, awantury ze smutnym zakończeniem.

– Zastanowię się nad tym – rzekła. I nie była to zdawkowa odpowiedź.

Istotnie miała zamiar to przeanalizować, jednak związek jej przemyśleń ze słowami profesora był

kwestią drugorzędną.

– Proszę się tylko nie obrażać...

Zahamowała przed domem profesora.

– Bardzo dziękuję, Ireno... Życzę sukcesów twórczych. I niech pani choć trochę odpocznie podczas wakacji.

– Dziękuję, nawzajem.

Profesor postawił jedną nogę na ziemi. Zatrzymał się jednak, jakby w niezdecydowaniu, i odwrócił:

– Niesłusznie uważa pani, że wszyscy mężczyźni na świecie to zapatrzeni w siebie egoiści, Ireno.

– Zastanowię się... – zaczęła z przyzwyczajenia, w porę się jednak zreflektowała – Wcale tak nie uważam.

Profesor ze smutkiem pokiwał głową.

– Wiem.. No cóż. Do widzenia.

\* \* \*

Pierwszą rzeczą, którą zrobiła po powrocie do domu, było wyciągnięcie żółwia spod kanapy i położenie go na dywaniku w świetle nocnej lampki.

Żółw, przypominający zakutego w zbroję rycerza, zmierzył Irenę bezmyślnym spojrzeniem paciorkowatych oczu; nie reagował on na swoje imię ani żadne inne komendy. Irena trzymała go tak po prostu, dla kaprysu.

Pies obronny, Sensej, bił ogonem o deski ganku, błagając o wpuszczenie do domu; Irena spełniła jego prośbę i dopiero wtedy podeszła do telefonu, by sprawdzić, kto dzwonił podczas jej nieobecności.

Oho! Dwa telefony od agenta i kolejne trzy z nieznanego numeru. Ciekawe, któż tak uparcie dobijał się rozmowy z panią Chmiel?

Dała żółwiowi kapusty. Poczochrała Senseja po kosmatym karku, położyła się na kanapie i naciągnęła koc aż do podbródka.

Choć, szczerze mówiąc, powinna była sama zadzwonić do agenta. Kto wie, może jakiś wygodny kontrakt...

„Negacja, wypaczenie romantyki"... „Oczekuję na bajkę, Ireno. Na inny, że tak powiem, świat..."

Trzeba było odpowiedzieć tak: Przecież nikt nie zabrania panu wierzyć, że tam, w innym świecie, jest lepiej i ciekawiej.



W czystym i uczciwym świecie, bez egzaminów, bez Pacyfikatorek, bez kontroli podatkowych... Myli się pan jednak, gdyż...

Zamruczał telefon. Irena westchnęła – wyświetlił się numer agenta.

– Tak, słucham.

– Pani Chmiel? W końcu... Proszę sobie wyobrazić, że mamy kontrahenta na cały cykl o Oblężeniu.

– Ale on nie jest jeszcze napisany...

– Właśnie! Awansem, na zamówienie... Tylko, pani Ireno, na Boga, oni proszą o jak najwięcej magii. Konieczny jest Mroczny Władca, choćby na trzecim planie. Chcą fantazji, czarodziei, artefaktów, niebezpiecznych wyzwania, pojedynków... Sama pani pamięta; nieraz o tym rozmawialiśmy.

– Zastanowię się – rzekła ugodowo.

Agent zamilkł. Zdążył już wystarczająco dobrze poznać swoją podopieczną, by rozróżnić odcienie tej jej zwyczajowej odpowiedzi.

– Nadszedł najwyższy czas na poważną rozmowę, pani Ireno. Gdzie możemy się spotkać?

Westchnęła.

– Zastanowię się...

– Dobrze – głos w słuchawce sposepniał. – Zadzwoń jutro rano.

– Oczywiście – rzekła z ulgą i odłożyła słuchawkę.

Sensej kręcił się wokół kanapy i kładł łapy na kocu, co nie było wskazane, bo miał je oczywiście całe uwalane w błocie.

...Na próżno wierzycie, chłopcy, że w tym uczciwym świecie spotkacie silnych ludzi, znajdziecie godne was miejsce... Gdyż ci, którzy faktycznie potrafią znaleźć takie miejsce, mogą to zrobić w *każdym* świecie... Wygrywają wybory, obracają milionami i w ogóle nie czytają bajek. Właśnie dlatego sami się oszukujecie, chłopcy... A ja nie będę przykładać do tego ręki.

– Co za bzdury – rzekła na głos. – Też mi problemy. Znów zadzwonił

telefon. No nie; jeszcze raz i go wyłączy.

Dzwoniła znajoma. Niezbyt bliska, ale całkiem sympatyczna. Z tych, z którymi ciekawie jest porozmawiać dwa razy w miesiącu i spotkać się dwa razy w roku.

– Jakie masz plany na wieczór, Ireno?

– Spię – odparła uczciwie.

– Jeśli chcesz, przyjedziemy po ciebie. Dziś jest rocznica ślubu Igora i Janki; chcieliśmy...

Irena z trudem przypominała sobie, kim są Igor i Janka. Ach tak, równie sympatyczni ludzie...

– ...ciekawe towarzystwo. I kilku twych czytelników i wielbicieli. Jeszcze ich nie znasz... Wszyscy bardzo chcą cię poznać. Przyjedziesz?

Irena milczała. Głos w słuchawce stracił nieco na pewności siebie.

– Chyba nie jesteś chora... Ireno?

Pomyślała, że należy odpowiedzieć „tak”. Zasympulować chorobę, by nikt się nie obraził.

Wstawać z kanapy? Ubierać się, robić makijaż? Dokądś jechać, by wrócić po północy z ciężką głową, pachnąc cierpkimi perfumami i cudzymi papierosami?

Zółw pod lampką nocną flegmatycznie poruszał szczękami.

– Wybacz – westchnęła Irena, – ale nie pojadę. Mam zbyt dużo... – chciała powiedzieć „pożywki do rozmyślań”, jednak w ostatniej chwili się rozmyśliła.

– Mam zbyt dużo... pracy.

– Ale to tylko jeden wieczór – przyjaciółka, sądząc po głosie, jednak się obraziła. – Przecież nie tak znów często cię... niepokoiimy!

– Wybacz. – Irena wiedziała, że kilka minut po odłożeniu słuchawki przyjdą jej do głowy wszelakie wyjaśnienia i przemyślnie usprawiedliwienia, nie będzie już ich jednak miał kto wysłuchać.

A Sensej i zółw dawno przyzwyczaili się do jej monologów. I być może znali wszystkie jej argumenty z wyprzedzeniem.

\* \* \*

Zamiotła podwórze. Popatrzyła, jak słońce kryje się za górami. Rozpaliła ognisko, spróbowała na podstawie dymu określić jutrzejszą pogodę – i jej się to nie udało. Sensej biegał, odrzucając tylnymi łapami grudy ziemi, i jego podniecenie częściowo udzieliło się Irenie. Koniec końców była już prawie wiosna.

Dzwonek telefonu wyrwał ją ze stanu zadumy. Telefon mruczał długo i uparcie – idąc do niego, Irena naliczyła piętnaście dzwonek.

– Pani Chmiel?

Ten sam nieznan numer. I co ciekawe, podobnie nieznanomy głos.

Przecież prosiła, by nikomu nie dawać numeru jej telefonu.

– Nazywam się Peter Nikołań, pani Chmiel; proszę mi wybaczyć, jeśli panią niepokoję...

Zrobił pauzę, jakby specjalnie po to, by mu uprzejmie zaprzeczyła – że to niby nic strasznego, że słucha.

Lecz ona milczała. Gdyż nieznajomy rzeczywiście ją zaniepokoił.

– Chodzi o pani męża, Andrzeja Kromara.

– Mojego byłego męża – poprawiła go automatycznie.

Potem ugięły się pod nią nogi i usiadła na kanapie.

– Żyje?

– Dlaczego od razu wysuwa pani tak tragiczne przypuszczenia, pani Chmiel?

– Żyje?

– Tak, oczywiście... Widzi pani... Tak w ogóle, to jestem z Rady Bezpieczeństwa Publicznego.

Irena głęboko westchnęła. Serce waliło jej jak szalone; zdaje się, że nawet żółw odwrócił swą zakutą w pancerz głowę i błysnął paciorkami bezmyślnych oczu.

– Czy coś przeszkrobał?

– Nie, wręcz przeciwnie; możliwe, że zostanie przedstawiony do odznaczenia.

Opierając się o miękki bok kanapy, Irena przysunęła się do stołu i położyła dłoń na ciepłej skorupie żółwia. Zwykle taki dotyk ją uspokajał.

– Więc czemu zwraca się pan do mnie?

– Musimy się spotkać.

Irena zmarszczyła brwi. Ni z tego, ni z owego, przysłała jej do głowy myśl, że jest to na pewno podstęp nowo poślubionych Igora i Janki, którzy postanowili za wszelką cenę wyciągnąć ją dzisiaj na imprezę.

Wyobraziła sobie, jak jedzie na spotkanie z pracownikiem Rady i trafia do grupy bawiących się, podpitych i niewątpliwie miłych ludzi.

– Dzisiaj?

– Jutro rano – niewidoczny Peter udał, że nie słyszy sarkazmu w jej głosie.

– Jeśli pani chce, przyślę po panią samochód.

– Jestem bardzo zajęta – oznajmiła ostrożnie.

\* \* \*

Miała osiemnaście lat i była bez pamięci zakochana w chłopaku z roku, Iwoniku, pierwszym mężczyźnie na całym wydziale. Ich miłość przez jakiś czas ograniczała się do przytulania w ciemności sali kinowej; długo krążyli wokół siebie jak namagnesowani, bojąc się jednocześnie oddalić i zbliżyć do siebie – gdy niespodziewanie pewnego wieczoru, odprowadzając Irenę do domu, Iwonik pocałował ją na przystanku autobusowym.

I zaczęło się.

Przystanek był pusty; całowali się długo, kryjąc pod szklanym daszkiem, po czym, wymieniając długie spojrzenia i przysięgając sobie miłość do grobowej deski, przeszli na drugą stronę ulicy i pojechali do Iwonika.

Rzadcy pasażerowie zerkali na nich ze zrozumieniem. Przegapiwszy właściwy przystanek, zakochani wracali pieszo, trzymając się za ręce. Na skrzyżowaniu grała z kapeluszem wędrowną orkiestra – olbrzymia tuba, dwie mniejsze trąby i bęben z talerzami. Także tutaj Iwonik kupił z rąk życzliwej babiny malutki, biały bukietek.

Okna domu Iwonika były puste i ciemne – rodzice wyjechali. Irena była tak podekscytowana, że przed samym progiem pośliznęła się i wywróciła, upuszczając torebkę i rozsypując na śniegu konspekty, ołówki i kosmetyki.

Zbierali skarby Ireny czworgiem trzęsących się rąk. Potem weszli do domu, nastavili czajnik i natychmiast o nim zapomnieli. Iwonik wyjął kieliszki i wino; na szybko opróżnili butelkę i poczuli się niemal jak bohaterowie.

W sypialni Iwonik najpierw zgasił nocną lampkę, potem zapalił ją i znowu zgasił. Bardzo chciał wyglądać na doświadczonego mężczyznę – a Irena przypominała sobie, że na koszulce ma naderwany guzik i była w stanie myśleć tylko o tym, by zdążyć zakryć go dłonią.

Iwonik miał gorący oddech. Peszył się, uśmiechał i dygotał – i w końcu wsunął się do niej pod koc; a ona, oszołomiona winem, oddała się w ręce losu

– gdy pod samymi oknami zagrzmiała nieziemską orkiestrą dęta.

Irena drgnęła – wspomnienie było zbyt realistyczne. Zdjęła rękę z ciepłej skorupy. Wymieniła z żółwiem spojrzenie, posłuchała szumu wiatru za oknem i ze zmęczeniem usiadła w fotelu.

Kanalia... Tego dnia spotkał parę zakochanych i dziewczyna wpadła mu w oko. Poszedł za nimi. A potem wyciągnął z kieszeni wszystkie drobne i zamówił u nieogolonych muzyków występ.

Stali pod oknem – zuchowaci włóczędzy z miedzianymi trąbami, ci sami, ze skrzyżowania... i

grzmieli marsz weselny tak, że w sąsiednich domach zapalały się światła... Przenikliwie łomotały bębny i talerze. Wtedy Irena zaczęła płakać i gorączkowo się ubierać, Iwonik zaś przez chwilę stał jak słup, a potem otworzył okno zrywając lateksowe paski uszczelnienia i cisnął w muzyków okrągłym taborettem.

Cyniczna trąba wydała nieprzyzwoity dźwięk.

Iwonik siedział na podłodze i gorączkowo przypominał sobie wulgarne przekleństwa – wszystkie, jakie znał, jakie kiedyś słyszał i zapomniał, a także takie, których nie znał i nie słyszał – wymyślał je na gorąco, przez co brzmiały jeszcze bardziej żałośnie.

Była idiotką... Czyżby było to nieuniknione i w wieku dziewiętnastu lat wszystkie dziewczęta to idiotki?!

A wtedy oczywiście momentalnie wytrzeźwiała. I uciekała, przy dźwiękach weselnego marsza, uciekała, gdzie oczy poniosą, i niemal wpadła pod samochód.

Następnego ranka, zapłakaną, kilkakrotnie wzywano ją do telefonu, lecz ona nie podchodziła, nie mając ochoty na rozmowę z Iwonikiem... a gdy wywołano ją po raz czwarty i zmusiła się, by zejść do okienka recepcjonistki, okazało się, że wcale nie był to Iwonik. W słuchawce niezajomy głos przymilnie zapytał:

– Czy rozmawiam z Ireną?

Nie była przygotowana na taki rozwój wypadków, więc zachowała milczenie.

– Halo, Ireno?

– Z kim mam przyjemność? – spytała posępnym głosem.

– Mam na imię Andrzej.

Wkrótce dowiedziała się, że on osiąga każdy wytyczony sobie cel. Każdy bez wyjątku.

– Jaki znowu Andrzej? – nie dbała o to, że wszyscy ją słyszą.

– Ten, który zamówił muzykę.

Milczała.

– Znalazłem pani notes... razem z numerem telefonu.

– I co z tego? – zapytała. I już po sekundzie dodała. – Więc niech pan wsadzi sobie ten notes... wiadomo gdzie!

I trzasnęła słuchawką.

Był od niej o siedem lat starszy. Mieszkał sam w ogromnym pokoju niemal bez mebli, jednak poruszać się po nim można było jedynie bokiem, wzdłuż ściany, gdyż całą przestrzeń zajmowało średniowieczne miasto zbudowane z pudełek po zapałkach.

– A co to takiego?! – zapytała, gdy po raz pierwszy przestąpiła próg jego pokoju.

– A, tak – lekceważąco machnął ręką. – Nic specjalnego...

Taki sobie modelik...

\* \* \*

Spotkali się na neutralnym gruncie – w kawiarni. Nikołań przyszedł w towarzystwie urodziwej, poważnej kobiety – jednej z tych, które do późnej starości regularnie korzystają z siłowni, masażysty i kosmetyczki. Niemniej dama była podenerwowana i Irena ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że źródłem jej napięcia jest niegroźna pani Chmiel.

– ...oraz pani ostatnie utwory. Czytałam je nawet swojemu synowi – jest zachwycony; połowa jego klasy czeka w kolejce na czasopismo.

Najwyraźniej kłamała. Przypuszczalnie dopiero wczoraj wieczorem wręczono jej czasopismo i w pośpiechu przekartkowała opowiadanie Ireny, pragnąc mieć temat do uprzejmej dyskusji z użyteczną rozmówczynią.

Gdyż z jakiegoś powodu pani Chmiel jest im do czegoś potrzebna.

– Zamierzacie rozmawiać ze mną jako przedstawiciele Rady, czy prywatnie?

Dama się uśmiechnęła – czarująco, choć za tym uśmiechem wciąż kryło się napięcie.

– Kameralne warunki... sprzyjają szczerzej atmosferze.

– Czekam na odpowiedź.

– Tak, jesteśmy upoważnieni do prowadzenia oficjalnych rozmów. – Peter, który okazał się korpulentnym, przygnębionym blondynem, westchnął ciężko.

– Rozumiemy pani zmieszanie.

– Wiecie oczywiście, że rozwiodłam się z mężem pięć lat temu? – spytała Irena niedbałym tonem.

Peter przytaknął.

– Oczywiście. Proszę wybaczyć, że mimowolnie obudziliśmy w pani niepotrzebne i nieprzyjemne wspomnienia. Jednak Rada... zmuszona jest prosić panią o pomoc. A także o to, by pomogła pani... swemu byłemu mężowi.

Irena milczała.

Zbudowana z drewnianych bali restauracyjka o dziesięciu odseparowanych od siebie przepierzeniami stolikach była o tej porze niemal pusta. Stoły ustawione były w krąg naprzeciwko wejścia, wokół lady, a w centrum, pod szerokim otworem w suficie, mieścił się ruszt. Panował ledwie wyczuwalny zapach dymu i przygotowywany przez gospodarza posiłek dla trojga dopiero zaczął się przekształcać z krwistych, mięsnych kawałków w przyrumienione, apetyczne befsztyki...

– Mamy mało czasu. – Peter Nikołań spoglądał przenikliwie. – A sprawa wygląda w ten sposób. Proszę sobie wyobrazić, że nasz wypełniający swą misję pracownik w trakcie pewnych badań socjologicznych... przeżył ciężki szok, w rezultacie którego stał się... niepoczytalny.

Irena milczała. Nad rusztem unosił się równy, siwy dymek. Jego cienkie smugi zasysał otwór w suficie.

Nawet w ich najlepszym okresie Andrzej nie opowiadał jej niczego o swej pracy. I bez wątpienia zawsze był odrobinę niepoczytalny. Jeśli oczywiście możliwe jest takie zestawienie słów.

– Będzie pani niewątpliwie zaskoczona. – Kobieta westchnęła. –

Mężczyźni zaskakują nas nie rzadziej niż my ich. Jednak dane specjalnego testu wykazały, że jedynie silny wstrząs może wyrwać tego człowieka ze stuporu. Na przykład obecność byłej żony.

Irena wciąż milczała. Ta dwójka zasypała ją gradem informacji. Już najwyższy czas, by położyć się na kanapie, naciągnąć koc pod brodę i zastanowić się nad ich słowami.

Ciekawe, co to za „specjalne testy”?

„Zastanowię się nad tym” – chciała powiedzieć, w ostatniej chwili udało jej się jednak powstrzymać.

– Tak. – Peter pochylił się do przodu i jego oczy znalazły się dokładnie naprzeciw twarzy Ireny. – Wygląda to tak, że... od psychicznego zdrowia tego człowieka zależy obecnie los wielu innych ludzi... Można rzec, że to kwestia życia lub śmierci. I Rada zwraca się do pani... jako do odpowiedzialnej obywatelki. Jako do kobiety, pedagoga, humanisty...

Mięso na rożnie powoli przybierało jadalny wygląd. Najwyraźniej pani Chmiel też jest teraz poddawana obróbce, by odpowiednio skruszeć.

Po co ten cały patos?

– Jest w szpitalu? – zapytała Irena i jej głos brzmiał mniej obojętnie, niżby tego sobie życzyła.

Wyglądało na to, że Nikołań i kobieta ledwie powstrzymali się przed wymianą spojrzeń.

– Niestety nie... Nieszczęśliwy wypadek miał miejsce, gdy pan Andrzej Kromar wypełniał naukową misję... był w delegacji.

– O jakiej dziedzinie nauki pan mówi? – zdziwiła się Irena.

– Zawsze uważałam, że Rada...

– O socjologii stosowanej – odparł cicho Nikołań. Jego oczy stały się nieobecne, jakby przyglądał się Irenie z bardzo daleka. – O socjologii eksperymentalnej, ściśle mówiąc. W każdym okresie swej historii ludzkość posiadała coś w rodzaju tajemniczego, zakazanego zakątka. Badań uważanych za nieprzyzwoite, nieetyczne, niehumanitarne... A mimo to niezwykle perspektywicznych. Oczywiście wyłącznie pod nadzorem Rady.

Kawałki mięsa powoli obracały się wokół własnej osi, podstawiając pod ogień to jeden, to drugi bok.

– Co się stało z Andrzejem... panem Kromarem?

Kobieta westchnęła.

– Przeprowadzał eksperyment. – Peter Nikołań wciąż patrzył Irenie w oczy i jego wzrok przypominał teraz spojrzenie czujnej łani.

– Nieudany?

– Przeciwnie. Niewiarygodnie udany. Talent pana Kromara... zostanie jeszcze doceniony przez kraj i społeczeństwo... później zresztą o tym pomówimy. Rzecz w tym, że gdy pracuje się na granicy prawa... nie chodzi o prawa ludzkie, lecz prawa natury... sukces może zmienić się w tragedię. Jak w tym przypadku.

Irena z nostalgią pomyślała o swym kocu. O kanapie, filiżance herbaty, o gorącej skorupie flegmatycznego żółwia.

– Na pewno męczą już panią – kobieta zdobyła się na wymuszony uśmiech

– nasze niedomówienia...

– Czego ode mnie chcecie? – zapytała Irena, ze złością uświadamiając sobie, że od tego pytania należało rozpocząć rozmowę.

– Chcemy poprosić panią – głos Nikołańa stał się bardzo przekonujący –

by odwiedziła pani pana Kromara tam, gdzie się obecnie znajduje... i wyprowadziła go ze stanu szoku. Dzięki temu uratuje mu pani życie. A także prawdopodobnie życie wielu innych ludzi. Etyka zawodowa zabrania mi zdradzania szczegółów.

Irena milczała.

Gdyby chodziło o przejazd do sąsiedniego miasteczka i odnalezienie tam Andrzeja, ta dziwna rozmowa nie byłaby potrzebna.



– O ile dobrze zrozumiałam... przebywa gdzieś daleko?

– Koszty podróży pokrywa Rada – przygłuszonym głosem oznajmiła kobieta.

– A dokąd konkretnie mam...

Nikołan westchnął. Wyjął spod stołu płaską aktówkę, z niej zaś przygotowaną wcześniej kartkę papieru.

– Proszę... niech pani to przeczyta i podpisze.

Irena przebiegła wzrokiem po tekście – było to zobowiązanie do zachowania tajemnicy państwowej, co, nie wiedzieć czemu, ją rozśmieszyło.

Miejsce pobytu Andrzeja jest tajemnicą państwową! Już dawno trzeba było to zrobić. Już dawno należało uznać tego pasożyta za broń o taktycznym przeznaczeniu, a w momentach mrocznego stanu ducha – nawet strategicznym. I doprowadzając go do furii, zrzucić na pozycje potencjalnego przeciwnika. „Po godzinie wrogowie ze szlochom oddadzą się do niewoli”.

Peter zmarszczył brwi. Nie rozumiał jej uśmiechu.

Wzruszyła ramionami.

– Z natury unikam waszych tajemnic.

– To jedynie formalność – odparła cicho kobieta. – Lecz bez pani podpisu nie możemy...

„Na kanapę – pomyślała ze znużeniem Irena. – I przez dwa dni nie wysuwać nosa spod koca. Regenerować wewnętrzną ekologię”.

Podpisała. Nikołan długo studiował dokument, jakby wątpił w autentyczność podpisu Ireny; potem kelner przyniósł pieczone mięso i dokument trzeba było ukryć – głównie przed tłustym sosem.

– Widzi pani... Główną specjalnością pani byłego męża było modelowanie.

Z czerwonego sosu spływały krople – jakby mięso, przeobraziwszy się nad ogniem, pragnęło znów wyglądać jak surowe, wykorzystując makijaż z krwawego pomidora. Kobiety postępują podobnie... – pomyślała Irena, niezbyt jednak chciało się jej ciągnąć porównania.

– Jest więc modelatorem – głos Nikołana zniżył się do szeptu. – Dokonuje eksperymentów. I doszło do tego, że w trakcie jednego z nich pani mąż stworzył...

– Mój były mąż – poprawiła Irena automatycznie.

– Pani były mąż... stworzył funkcjonujący model czterowymiarowy. W

czasowym reżimie dziesięć do jednego...

– I bardzo dobrze – rzekła Irena, gdyż oboje jej rozmówców wyraźnie czekało na jakąś jej reakcję.

Kobieta się zakrztusiła. Nikołał przełknął ślinę.

– Nie rozumiała pani. On znajduje się wewnątrz modelu. Dysponujemy informacjami, że jest cały i zdrowy... A jednocześnie jego zachowanie przywodzi na myśl szok. Zachwianie percepcji.

Irena wyobraziła sobie Andrzeja siedzącego pośrodku swego miasta z zapalek – najwyższa wieża ledwie sięga mu do ramienia. „A to? Nic specjalnego. Taki sobie modelik...”

– Chyba nie do końca państwa rozumiem – przyznała uczciwie. – Lecz obiecuję, że się zastanowię.

\* \* \*

Jakiś miesiąc wcześniej dostała widokówkę. Nie była podpisana, a tekst był

wydrukowany na anonimowej drukarce – ona jednak od razu zorientowała się, kto jest nadawcą.

Na widokówce nie było niczego wyjątkowego – po prostu ładny miejski pejzaż. Jakiś sklep z kolorową witryną. Szyld nad wejściem, coś w rodzaju:

„Świąteczne żarty i niespodzianki”. Ulica, przechodnie, dzieci, zwykłe rodzajowe scenki.

„To ja lecę – było napisane na odwrocie. – Cześć”.

Długo obracała widokówkę w dłoniach. Przez chwilę nawet się zaniepokoiła, że może to być aluzja do samobójstwa. I być może wysyłając podobną informację, każdy inny człowiek rzeczywiście myślałby o odebraniu sobie życia. Każdy – tylko nie Andrzej.

Należał do ludzi, którzy nigdy nie popełnią samobójstwa. Nawet w myślach.

O co mu chodziło? Zastanawiała się nad tym przez kilka dni, a potem przestała. Tak czy inaczej, wszystko to było już odległą przeszłością –

Andrzej...

Andrzej.

Usiadła na kanapie. Dom spał; spał na biurku zółw i Sensej też najprawdopodobniej drzemał w swojej budzie – wystarczyło jednak, że jakiś przypadkowy spacerowicz przeszedł wzdłuż plotu, by cała okolica natychmiast dowiedziała się, do czego zdolny jest jej pies.

A widokówkę już dawno wyrzuciła. Razem ze stertą innych papierów.

\* \* \*

Na początku była wartownia. Potem wewnętrzny punkt kontrolny, za nim następny i jeszcze jeden.

Zawszad łypały ruchome oczy kamer; przy wszystkich przejściach Peter Nikołań wsuwał w specjalną szczelinę swoje upoważnienie – zielony, plastikowy identyfikator. I jeszcze jeden identyfikator, czerwony, przygotowany specjalnie dla Ireny; lampki migały, zezwalając na przejście, i skupieni wartownicy zdejmowali blokadę z pancernych drzwi.

– Proszę nam wybaczyć pewne... niedogodności.

Irena uśmiechała się pobłaźliwie. Aby ochronić te ich straszliwe tajemnice, wystarczyłoby posadzić przed wejściem Senseja.

Za kolejnymi drzwiami znajdował się obity korkiem, naszpikowany aparaturą pokoi; Irena rozejrzała się z ciekawością.

Peter nerwowo zatarł dłonie.

– Napije się pani kawy?

Największym i najbardziej skomplikowanym urządzeniem stojącym przy drzwiach okazał się automat do kawy. Irena w życiu takiego nie widziała.

– Macie też zmywarkę do naczyń?

Peter nie odpowiedział. Usiadł za miniaturowym monitorem, postukał w klawisze i zmęczonym głosem odezwał się do kogoś niewidocznego:

– Udostępnij nam jego dane fizyczne.

Automat do kawy zasyczał, wypuszczając strużkę aromatycznego płynu. Do jego syczenia dołączył inny dźwięk - jakby ścieżki dźwiękowej z filmu o lekarzach zabójcach.

Miarowe uderzenia serca. Szum powietrza – wdech-wydech... Ekran monitora ożył, rozświetlając się jakimś złożonym diagramem. Świetlne wskaźniki podskakiwały i opadały.

Irena podeszła bliżej i przysiadła na oparciu obrotowego fotela.

– To jest właśnie Andrzej – rzekł z napięciem Peter za jej plecami. – Teraz dane otwierają się w czasie realnym, co jest bardziej obrazowe i wygodniejsze.

Choć jak pani może pamiętać, model pracuje w reżimie czasowym dziesięć do jednego.

Irena milczała.

Trudno jej było uwierzyć, że samolubne serce Andrzeja bije na pokaz, przez głośniki. Przez chwilę zrobiło jej się nieswojo – jakby jakieś intymne szczegóły zostały wystawione na widok publiczny.

– Jest świadomy – rzekł Peter, przyglądając się trzymanej w dłoniach filiżance z kawą. – Eksperyment trwa już od miesiąca... realnego czasu. Mamy kolosalne zużycie energii. Model musi

zostać zamknięty... Jeśli Kromar tego nie zrobi, oznacza to, że oszalał.

Irena przyjęła od niego filiżankę i z przyjemnością pociągnęła łyk kawy.

Dotknęła dłonią szyi, wyczuwając własny puls. Serce Andrzeja zawsze biło wolniej. „Dusiciel – mawiała swego czasu Irena. – Zimnokrwiste, syte wężysko”.

Odstawiła filiżankę na podstawkę. Nagle ją oświeciło i miarowe uderzenia przestały być fonogramem. To rzeczywiście było serce konkretnego, znajomego człowieka.

– Sprawa wygląda tak – Peter westchnął. – Mamy możliwość... Możemy przerwać eksperyment, zamknąć model z zewnątrz... Nawet nie biorąc pod uwagę Kromara, który w takim wypadku niewątpliwie zginie. Nawet jeśli nie brać tego pod uwagę – eksplozja potencjalnych anomalii o takiej sile... może...

wyrządzić niekontrolowaną szkodę... zainicjować nie do końca zbadane przez nas procesy... Nie wspominając już o międzynarodowym skandalu – mówiąc bez ogródek, czeka nas kataklizm, który...

– Co znaczy to: nie brać pod uwagę? – rzekła Irena ze zdziwieniem.

Peter zamilkł.

– To znaczy czego nie brać pod uwagę? Śmierci Andrzeja?

Peter ze zniecierpliwieniem zmarszczył brwi.

– Nie... to znaczy... Widzi pani, eksperyment od samego początku wiązał

się z... zagrożeniem życia eksperymentatora. Kromar...

– Kromar nigdy nie miał skłonności do nieprzemyślanych kroków – rzekła Irena powoli. – I nigdy by nie ryzykował życiem tak po prostu... z naukowej ciekawości. Sądzę, że do końca był przekonany, że uda mu się przeprowadzić eksperyment do końca i pozostać przy życiu.

– Tak! – Peter skrzywił się do tego stopnia, że jego twarz zaczęła przypominać materac, z którego uszło powietrze. – Jednak eksperyment okazał się do tego stopnia udany... że graniczy to z katastrofą, pani Ireno.

Obawiam się, że nawet Andrzej nie był w stanie przewidzieć...

Serce biło pewnie i miarowo – lecz Irenę nagle zmroziła myśl, że za kilka sekund może się ono zatrzymać. Niewidoczni pracownicy Petera zaczną miotać się i krzyczeć, a on sam wyleje sobie kawę na jasne spodnie i tylko ona, Irena, wciąż będzie siedzieć bez ruchu i nie drgnie nawet filiżanka w jej dłoni.

– Tak więc, pani Ireno, nie możemy zamknąć modelu z zewnątrz... nie możemy też pozwolić, by wciąż funkcjonował. Gdyż każda minuta jego istnienia rodzi problemy... także, proszę wybaczyć,

natury etycznej. Gdyż *to coś*, stworzone przez pana Andrzeja, z każdą chwilą staje się... jak by to ująć...

bardziej samodzielne. Natomiast gdy będzie w pełni autonomiczne... Widzi pani... To jak rak na prawdopodobnej strukturze rzeczywistości.

Coś jeszcze mówił – kwieciście i naukowo. Irena piła kawę i słuchała, jak Andrzej oddycha. Zdaje się, że oddech i puls nieco przyspieszyły – być może czymś się emocjonuje, a może biega...

Przy słowie „model” wyobraziła sobie powiększoną kopię zapalczanego miasteczka zapakowaną do hermetycznej kapsuły. Przecież nie mógłby tam nawet pobiegać.

Uśmiechnęła się zjadliwie. Peter zauważył jej uśmiech i umilkł.

– Rozumiem, że wszystko to brzmi dość fantastycznie, czy może nie w pełni przekonująco... lecz naszą jedyną szansą jest znalezienie modelatora wewnątrz modelu i, proszę wybaczyć, skłonienie go... zmuszenie do zakończenia eksperymentu.

Zamilkł. Co dziwne, na jego twarzy malowała się ulga – jakby w końcu przewyciężył swe wahania i otworzył duszę. Wyznał całą prawdę.

Kawa się skończyła. Irena z żalem zajrzała do pustej filiżanki. A może poprosić o dolewkę?

– Dlaczego do tej misji potrzebujecie właśnie mnie, a nie kogoś innego?

Sądzicie, że będę w stanie przekonać Andrzeja? Mylicie się – nawet w lepszych czasach nikt nie miał na niego wpływu.

Peter z rozdrażnieniem postukał w klawisze – w pokoju zrobiło się cicho, ekran monitora zgasł, zabierając ze sobą tajemnicę ciśnienia krwi Andrzeja Kromara, temperatury jego ciała i wielu innych wskaźników, z których Irena, nie będąc lekarzem, niczego nie rozumiała.

– Wyślijcie lepiej oddział komandosów – poradziła Irena z powagą.

Peter sapnął. Wstał, przeszedł się po wąskim korytarzyku między urządzeniami, w charakterystyczny sposób zacierając dłonie.

– Widzi pani... Po pierwsze, wychodzimy z założenia, że Andrzej Kromar jest, delikatnie mówiąc, niepoczytalny wskutek przeżytego wstrząsu... I kobieca delikatność będzie tu znacznie bardziej skuteczna od każdej siły. Po drugie, a właściwie po pierwsze i jedyne... Do modelu prowadzi tylko jeden kanał. Czy była to ironia losu, czy też dziwaczny pomysł Andrzeja... a może przyczyna była jeszcze inna – ale jest to *pani* kanał, Ireno. Model nie wpuści do środka nikogo oprócz pani.

– Można jeszcze kawy?

– Oczywiście...

Zawirowwały kawowe ziarna, zmieniając się w pył. Zasycał automat do kawy, dusząc się własną parą.

A sławetne zapalczane miasteczko wybudował jej stary przyjaciel.

Zawsze osiągał swój cel. Zawsze. Nie dało się przewidzieć żadnego z jego ekstrawaganckich pomysłów. Na miejscu Petera nigdy nie wiązałyby się z...

Łatwo jest dawać rady innym. A ona sama?! Być może tysiące kobiet od czasu do czasu powtarzają sobie: na miejscu tej Chmiel nigdy bym nie...

– Gdzie znajduje się ten model?

– Słucham? – Peter nie wiedzieć czemu drgnął.

– Gdzie jest ten jego model? – Widzi pani...

Cieniutki, ciemny strumyczek wlewał się w porcelanową otchłań filiżanki.

– Widzi pani, nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie. My kontrolujemy tylko wejście do modelu, właśnie ten kanał.

Irena milczała.

– Pani Chmiel. Nie wiem, jak to sobie pani wyobraża... Rzecz w tym, że w trakcie eksperymentu Andrzejowi Kromarowi udało się stworzyć samowystarczalną, samorozwijającą się... rzeczywistość. Proszę tylko pamiętać, że jest pani zobowiązana do zachowania tajemnicy!!!

Automat wypuł ostatnią kroplę świeżej kawy.

Irena milczała.

\* \* \*

Była wtedy na trzecim roku. I była jedyną mężatką wśród wszystkich dziewcząt.

O samobójstwie koleżanki z grupy, Władki, dowiedziała się w południe.

Nie do wiary, szczególnie że jeszcze wczoraj przyszedł od Władki kolejny list – całkowicie spokojny, wesoły i beztrioski.

Samolot odlatywał punkt dwunasta, co dwa dni, i był to akurat dzień rejsu.

Irena rzuciła się do kasy – biletów na dzisiaj nie było. Żadnych; nie pomógł

telegram, który wsuwała w okienko – bileterzy wzdychali współczująco i rozkładali ręce. Wszystkie miejsca są zajęte. Absolutnie wszystkie. Można zarezerwować bilet na pojutrze.

Wtedy zadzwoniła do Andrzeja do pracy. Postępowała tak tylko w sytuacjach, kiedy nie miała innego wyjścia.

„Oddzwonź za pół godziny”.

Oddzwoniła.

„Mam. Przywiozę ci bilet prosto na lotnisko. Czekaj tam o szóstej”.

Podziw dla niego przyćmił nawet na chwilę szok po tragicznej wiadomości.

Popędziła do domu, wrzuciła do torby niezbędne rzeczy i pojechała na lotnisko.

O szóstej odprawa była w szczytowym punkcie.

Irena stała z torbą w jednej ręce, telegramem w drugiej i rozglądała się z niepewnością, szukając w tłumie znajomej, beznamiętnej twarzy.

O wpół do siódmej ogłoszono, że odprawa została zakończona.

O siódmej samolot odleciał.

Stała jeszcze przez jakiś czas, jakby z nadzieją, że samolot zorientuje się i zawróci. Potem powlokła się na przystanek autobusu.

Andrzej był w domu. Siedział przed komputerem i nawet nie zauważył jej powrotu. W oknie monitora pływała złożona, trójwymiarowa konstrukcja –

Andrzej w ekstazie obracał ją raz w jedną, raz w drugą stronę; w przedpokoju, pod lustrem samotnie leżał bilet lotniczy na dzisiejszy rejs.

Po jakimś czasie Irena dowiedziała się, że Władka skończyła ze sobą z powodu ciągłych nieporozumień z mężem.

„Nic specjalnego. Po prostu kolejny modelik”.

\* \* \*

Wyciągnęła zółwia spod kanapy i położyła go na poduszce pod lampą. Żółw nie wyraził zadowolenia ani dezaprobaty – zakuty w pancerz rycerski pysk pozostawał bezmyślny i beznamiętny.

Na podwórku Sensej kruszył zębami kurze kości; słabo dymiło się ognisko z resztek chrustu.

„Podejmiemy wszelkie środki, by pani... podróż była maksymalnie bezpieczna. Niemal tak bezpieczna jak zjazd z góry na nartach... to znaczy zawsze występuje prawdopodobieństwo jakiegoś niepowodzenia... Uczynimy jednak wszystko, aby wyeliminować taką ewentualność...”

„Zastanowię się” – odpowiadała jak w transie. Chciała wrócić do domu.

Potrzebowała samotności.

„Pani zadanie jest niezwykle proste – wejdzie pani w świat...

przypuszczalnie dokładnie odpowiada on naszemu, mogą występować jedynie pewne przesunięcia czasowe... Punkt, przez który pani wejdzie, odpowiada miejscu pobytu modelatora. Nawiąże z nim pani kontakt. Jeśli to przedsięwzięcie zakończy się sukcesem... rozumie pani, że wszyscy właśnie na to liczymy... A więc w takim przypadku eksperyment zostanie natychmiast zakończony i powróci pani automatycznie – wraz z modelatorem. Natomiast w przypadku... mamy obowiązek to przewidzieć... jeśli nie znajdzie pani modelatora albo jego stan okaże się nieodwracalny... Wówczas powtórnie skorzysta pani ze swego indywidualnego kanału. Miejsce wejścia wykorzysta pani jako wyjście. Pani zdrowiu nic nie zagraża... Spędzi pani wewnątrz modelu najwyżej kilka godzin, a w czasie realnym krócej niż pół godziny..."

„Muszę się zastanowić”.

Dzieci sąsiadów ganiały za piłką pośrodku opustoszałej drogi. Żona sąsiada próbowała od czasu do czasu zakończyć tę swawolę. Oto piłka przeleciała nad furtką Ireny – za nią lękliwie zajrzał obszarpany, szczupły wyrostek, Walka, starszy syn sąsiadów.

– Sensej, siad! – rzekła Irena do zjeżonego psa.

Walek nabrał śmiałości. Przeskoczył przez płot, przymilnie uśmiechnął się do Ireny i gdy już wy dostał się na zewnątrz, pokazał Sensejowi długi, kpiący język.

– Eee...

Przejechał, rozpaczliwie trąbiąc na piłkarzy, czyjś samochód. Żona sąsiada wyskoczyła na ulicę i od gróźb przeszła do czynów. Chłopcy zaczęli się wydzierać.

Irena pogrzebała w żarze ogniska.

Gdyby zdecydowała się na dziecko z tym szaleńcem... Nie. To znaczy oczywiście, malec biegałby i przełaził przez płoty wraz z innymi urwisami –

jednak wówczas byłaby związana z Kromarem czymś znacznie poważniejszym niż tylko wspomnienia.

Z których połowę dobrze by było na zawsze zapomnieć.

„Ireno... Nie mówię o nagrodzie, którą otrzyma pani od Komitetu. Apeluję jedynie do pani wielkoduszności. Jest pani przecież szlachetną osobą.

Niepowodzenie eksperymentu doprowadzi do... ucierpią niestety niewinni ludzie. Mamy ostatnią szansę..."



„Muszę się zastanowić”.

„I jaka inspiracja dla twórczości!... Podpisała pani zobowiązanie do zachowania tajemnicy... Ale po twórczych przeróbkach... mogłaby pani napisać powieść fantastycznonaukową. Ustalając fabułę z Radą... Mamy kanały umożliwiające szybkie wydanie, marketing i kolportaż... byłby to przełom w pani karierze pisarskiej... Nie wspominając już o niezapomnianych doświadczeniach... Proszę sobie wyobrazić, że proponujemy pani lot w kosmos. Czy odmówiłaby pani?!”

Wróciła do domu. Położyła się na kanapie i naciągnęła koc do samego podbródka.

Pod stołem chaotyczną stertą leżał wydruk jej niedokończonych, napisanej w sześćdziesięciu procentach powieści, która nagle stała się nieistotna, pozbawiona perspektyw.

A czego jej tak naprawdę potrzeba? By ją rozpoznawano na ulicy? Żeby jej nazwisko stało się hasłem? Żeby choć raz w życiu otrzymać Srebrny Wulkan w kategorii „noweli”?

Poszukała wzrokiem żółwia. Nie znalazła i ze znużeniem założyła ręce za głowę.

Chciała tylko mieć powód do dumy. I pragnęła, by przyznano jej do niej prawo.

Skrzywiła się.

Już od dwóch tygodni nie zabierała się do pracy. I nazywała to

„odpoczynkiem”.

W jakim celu Andrzej wysłał jej tę widokówkę? Zwłaszcza że już od pięciu lat byli dla siebie martwi?

Otwierając łapą niezamknięte drzwi, wszedł do środka milczący Sensej.

Położył pysk na brzegu koca i wlepił w Irenę pytające spojrzenie.

– Zobaczymy – rzekła szeptem. – Muszę się jeszcze zastanowić.

\* \* \*

Ekspertów było pięciu. Wymuskani specjaliści, roztaczający woń wody kolońskiej; po kolei przedstawiono ich Irenie – oczywiście nie zapamiętała ani jednego imienia.

– Zsynchronizujmy zegarki.

Peter Nikołań był zdenerwowany i starał się ukryć emocje. Irenie było go troszkę żal.

– Więc tak. Jest dwunasta trzydzieści cztery; znajdujemy się bezpośrednio przy wejściu do kanału... O dwunastej czterdzieści pięć pani Chmiel wejdzie w przestrzeń modelu. Niestety, nie możemy bezpośrednio monitorować jej poczynań... Jednakże pani Chmiel przeszła odpowiednie szkolenie i

jest w stanie wypełnić misję całkowicie samodzielnie.

Peter mówił i mówił, a obserwatorzy w milczeniu przytakiwali.

– Czy zostało przewidziane jakieś wyjście awaryjne? – niedbale zapytał

najbardziej wypachniony z nich, reprezentujący, zdaje się, jakiś tajny wydział

prezydenckiej administracji. – Jeśli na przykład nasz „kontakt” nie wróci w ustalonym czasie?

Peter zatarł dłonie.

– Panowie... Naszym obowiązkiem jest branie pod uwagę wszelkich ewentualności. A więc przewidzieliśmy wszystko... co mogliśmy. Niestety, specyfika pracy z modelem... Najważniejszy jest czas! Pani Chmiel...

Irena spojrzała na okrągły cyferblat umieszczony nad stalowymi drzwiami o ponurym wyglądzie. Dwunasta czterdzieści pięć.

Peter był coraz bardziej zdenerwowany. Ponury, młody człowiek w uniformie technika – lecz o twarzy doświadczonego ochroniarza – zręcznie otworzył wszystkie zamki, w które zaopatrzone były drzwi.

Eksperci wymieniali spojrzenia. Za drzwiami zaczynał się wąski, brudny korytarz, a z jego wnętrza wyraźnie cuchnęło kocim moczem.

– Powodzenia, pani Chmiel... pani nowa książka osiągnie fenomenalną popularność!

Irena przestąpiła przez wysoki próg. Miała wrażenie, że piętro wyżej zaraz zaczną złorzeczyć jazgotliwa sąsiadka, a spod nóg z miauknięciem wyskoczy...

Absolutna ciemność. I cisza.

## **Rozdział 2**

Po szerokim zakręcie szosy pełzły naprzeciw siebie dwa samochody – żółty i biały. Z tej odległości oba wyglądały jak niegroźne zabawki; i oto wyminęły się i rozjechały w przeciwne strony, nie zwracając na siebie uwagi.

Irena wciągnęła głowę w ramiona. Wiatr był wilgotny i zimny.

Opodal, pod wzgórzem, obojętnie pasło się dwadzieścia krów o obwisłych brzuchach. Irena przeniosła spojrzenie; zagajnik był niemal całkowicie żółty, pośrodku ulicy ganiały za piłką rozwrzeszczane dzieciaki, a z komina domu Ireny unosił się wątyły dymek.

Drgnęła. Potrząsnęła głową.

*Modelator powinien znajdować się w bezpośredniej bliskości – taka jest konstrukcyjna specyfika tunelu... Proszę natychmiast rozpocząć poszukiwania. Niech pani wykorzysta całą swoją wiedzę o modelatorze –*

*najprawdopodobniej model w dużym stopniu jest nasycony cechami jego osobowości...*

Z prawej i lewej strony sterczały z ziemi dwa grube pręty z przywiązanymi do nich czerwonymi skrawkami materiału. W podobny sposób prowizorycznie odgradza się dziurę na poboczu lub otwarty luk kanalizacyjny.

Irena ruszyła przed siebie. Pod nogami zaskrzypiały kamyki.

Obejrzała się.

Teraz pręty przypominały jej bramkę własnej roboty na podwórkowym boisku. Było jednak wątpliwe, aby dzieci sąsiadów gramoliły się na pagórek, by rozegrać tu mecz. Tym bardziej że piłka toczyła się tu tylko w jednym kierunku – w dół.

Przestąpiła z nogi na nogę, kolejny raz wpatrując się w znajomy do bólu pejzaż.

No cóż. Część pracy została wykonana, teraz trzeba się zastanowić.

Dym nad kominem jej domu powoli tajał.

Stara topola rosła nie po prawej, lecz po lewej stronie bramy. Gdy Irena to zauważyła, przez chwilę stała bez ruchu, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

*Przebywanie w tkance modelu jest całkowicie bezpieczne dla zdrowia...*

Wiatr pachniał jesienią. Furtka skrzypiała swojsko i znajomo; Irena powoli przeciągnęła dłonią po deskach, upewniając się, że nie są hologramem ani iluzją. *Tkanka modelu?*

Nie, potem się nad tym zastanowi. Gdy siądzie przy komputerze i napisze:

„Rozdział pierwszy”.

– Sensej?

Poruszenie w budzie. Wynurzyła się jedna łapa, potem druga.

Przespał jej powrót?!

Radosny pisk. Pies skoczył na jej powitanie – zaspany, dziwnie mały, z obwisłą sierścią, niezgrabny.

– Sensej, to ty?!

Pisk. Porządne psy po osiągnięciu pełnoletności zwykle nie pozwalają sobie na wydawanie

podobnych dźwięków.

A może aż tak się stęsknił?

– Czy w domu są jacyś obcy?

Żadnej reakcji. Przymilne ślepia.

Drzwi wejściowe były otwarte. Co więcej, białe drzazgi na podłodze i wyłamany zamek świadczyły o tym, że wejście nie odbyło się w pokojowy sposób.

Oczywiście. Andrzej nie ma klucza, a jeśli chce wejść, nic go przed tym nie powstrzyma.

– Nie wierzę własnym oczom! – stanęła pośrodku przedpokoju, krzyżując ręce na piersiach. – Zaklinałeś się, że już nigdy w życiu tu nie przyjdiesz!

Milczenie. I nietypowy zapach – jakby obecności kogoś obcego albo jakby dom pachniał inaczej.

Irena rozejrzała się z niepokojem. Nie, wszystko wyglądało jak zwykle.

Wszystko, do najdrobniejszych szczegółów.

Ale tej plamy pod drzwiami nie było. Co tu rozlał? Atrament? Olej silnikowy?

– Andrzeju – powiedziała ostrym głosem. – Wychodź.

Milczenie.

Otworzyła drzwi dużego pokoju; w kominku dymił się popiół. Fotele przed okrągłym stołem były brązowe, a nie niebieskie; Irena zacisnęła zęby.

– Andrzeju!

Zdziwiła ją zawartość kominka. Jakieś zwęglone łachmany.

W kuchni znów zauważyła ślady czyjejś obecności. Długotrwałej, bałaganiarskiej i absolutnie rozpanoszonej. Sensej biegał za nią jak cień i w jego wiernych oczach nie było ani śladu poczucia winy.

– Jak to tak, Sensej?! Był tu obcy człowiek... dlaczego na to pozwoliłeś?

Odpowiedzią było radosne merdanie ogonem.

– Gdzie teraz jest? Gdzie?

Pies podbiegł do drzwi wejściowych. Irena ruszyła za nim; dzieci sąsiadów wciąż przed bramą ganiały za piłką.

– Walek!

Drgnęła mimowolnie. Chłopak z rozwichrzoną czupryną, który do niej podbiegł, był starszy, niż oczekiwała.

– Gdzie jest pan Andrzej... gdzie jest wujek, który tu był?

Chłopak spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Pół godziny temu. W domu. Był wujek. Nie widzieliście, dokąd poszedł?

Walek nie wiedzieć czemu się zawstydził. Pogrzebał w kurzu czubkiem znoszonej tenisówki.

– Ale przecież... ciociu, Ireno... Przecież to była pani...

\* \* \*

Ślub wzięli szybko i bez żadnych uroczystości. Mówiąc tradycyjne „tak”, Irena strasznie się peszyła z powodu pantofli z przekrzywionymi flekami: wszystko wydarzyło się tak nagle, że nie zdążyła odwiedzić szewca.

Następnego dnia przyprowadziła młodego męża do grupy znajomych z roku. Z tego powodu z korytarza w akademiku zostały usunięte meble, a troje zdjętych z zawiasów i ułożonych na taboretach drzwi tworzyło improwizowany stół. Dziewczyny pichciły całą dobę. Irena ubrała coś w rodzaju sukni ślubnej; a co do Andrzeja, to był tego dnia szczególnie szarmancki. Irena czuła się trochę jak sztukmistrz, który przed znajomymi wyjmuje królika z kapelusza.

Jeszcze w taksówce wymogła na nim przyrzeczenie, że nie wspomni o orkiestrze dętej pod oknami Iwonika – by nie poddawać biednego chłopca traumie... Andrzej był zgodny, wesoły i żartował tak, że nawet taksówkarz – co widziała Irena – gorączkowo starał się zapamiętać jego dowcipy, by potem rozśmieszyć nimi przyjaciół.

Przyjechali. Siedli za stołem. Irena widziała, jakim wzrokiem patrzyli na Andrzeja jej znajomi z roku – przeczuwając pojawienie się obiecanego królika z kapelusza.

Wypili za nowożeńców – i od tej chwili Andrzej zamilkł.

Siedział obok młodej żony, u szczytu stołu i mroczył w oczach.

Wpatrywał się w obrus przed sobą, wymigiwał się od toastów i coś mamrotał, zerkając ze złością na kieliszek szampana. Za stołem powoli zalegała pełna zakłopotania cisza; Irenie wydawało się, że jest smażona na wolnym ogniu.

Biała bluzka bezlitośnie podkreślała czerwoną szyję, purpurowe policzki i płonące uszy; przyjaciółki rzucały wymuszone żarty, zawistnicy demonstracyjnie spoglądali w sufit, a chłopcy marszczyli się i coraz częściej wychodzili na papierosa.

W końcu Andrzej skrzywił się, jakby przeżuł cytrynę. Wstał z kieliszkiem w ręce. Za stołem zapadło napięte milczenie. Andrzej objął obecnych posepnym spojrzeniem – i zapytał, nerwowo postukując kostkami palców w brzeg stołu:

– A tak przy okazji, co sądzicie o karze śmierci?

Od tej pory to zdanie stało się na ich roku hasłem. Gdy nie było co powiedzieć, pytali, spoglądając na siebie wieloznacznie: „A co sądzicie o karze śmierci?”.

Irena wyszła z imprezy wcześniej. Andrzej dogonił ją na ulicy, długo szedł

obok w milczeniu i nagle rozpoczął dziwny monolog. Początkowo miała wrażenie, że cytuje z pamięci jakichś zapomnianych poetów – potem jednak z przesadnym lękiem zdała sobie sprawę, że jej mąż po prostu prosi o wybaczenie i jego zrytmizowane wyznanie winy nie jest zwykłym rymowanym tekstem, lecz przerażającym w swej doskonałości wierszem.

Mówił przez cały wieczór. Gdy wrócili do domu i położyli się do łóżka. A rano – gdyż poranek, o dziwo, mimo wszystko nastąpił – żadne z nich nie mogło sobie przypomnieć ani linijki. Jakby nic się nie wydarzyło. Irena płakała ze złości, a Andrzej pocieszając ją, wzruszał ramionami z poczuciem winy.

– To było olśnienie – nie da się tego odtworzyć.

– A co ty sądzisz o karze śmierci?! – pytała przez łzy złości.

Wzruszał ramionami.

– Teraz nic.

\* \* \*

– Andrzej!

Dom milczał, lecz Irena wcale nie oczekiwała na odzew. Dom był pusty i zawołała odruchowo, dla uspokojenia samej siebie.

Przeszła po pokojach. Zatrzymała się w gabinecie, przysiadła na skraju kanapy i przeciągnęła dłonią po pomarszczonym kocu.

Wyjęła z torebki notes. Wyraźnie napisała pod rysunkiem płonącego zamku: „W domu nikogo nie ma, fotele nie są brązowe, lecz niebieskie. Drzwi zostały otwarte łomem. Pies nie jest zły... i nie jest ułożony. Żółwia nie ma. W

domu ktoś mieszkał”.

Przeczytała to, co napisała. Skrzywiła się. Nie, za coś takiego nie przyznają Srebrnego Wulkanu.

Która godzina?

Od chwili gdy zauważyła dwa samochody pełzające naprzeciw siebie po szerokim zakręcie szosy, minęło około godziny. I teraz, gdy odtworzyła przed oczami ten obraz, nagle się zachmurzyła.

Schowała notes, wstała i ruszyła do garażu.

Samochód stał na miejscu. Brudny, z zachlapanymi błotem bokami, co wstrząsnęło Ireną bardziej niż niezwykle kształt dachu.

Gdyż samochód, do którego przywykła, nagle zrobił się garbaty jak wielbłąd. Podobnie jak tamte, żółty i biały, które widziała ze wzgórza.

Stała przez chwilę, przestępując z nogi na nogę.

Potem wyjęła notes i dopisała pod płonącym zamkiem: „Samochody są inne. Mój także. Jest garbaty. I brudny”.

Wydała długie westchnienie. Spojrzała na zegarek.

– Andrzeju...

Tam, skąd przyszła, minęło siedem minut. Eksperci najpewniej spoglądają po sobie wieloznacznie, udając, że choć trochę rozumieją, co się tu dzieje. A Peter Nikołań zaciera dłonie, zdzierając z nich biały naskórek.

W zasadzie nawet w tym momencie może wejść na wzgórze i przejść przez te improwizowane wrota. Peter będzie w rozpaczy; zresztą materiału na opowiadanie jest już dostatecznie dużo. A może nie wystarczy jej Srebrny Wulkan w kategorii „noweli”?

Uśmiechnęła się. A jeśli ta kanalia, ten mistrz od modelików, w tej chwili ją obserwuje – w jakiś sprytny, modelatorski sposób?

– Andrzeju – rzekła z wyczerpaniem. – Zmęczyłeś mnie.

Kalendarz wisiał na zwykłym miejscu, w sypialni, i był otwarty na grudniowej stronie.

Przysiadła na skraju kanapy. Wyjęła notes, niczego w nim jednak nie zapisała.

Jakie są warianty?

Peter nafaszerował ją narkotykami i żyje teraz wewnątrz wielkiej halucynacji... w takim razie wszystko jest jasne. Tylko po jakiego diabła?

Z rozdrażnieniem odrzuciła poduszkę. Na drugiej stronie powłoczki zauważyła podłużną, szarą plamkę; zmarszczyła się z odrazą.

Co ją podkusiło, żeby wpakować się w to wątpliwe przedsięwzięcie? Tym bardziej że jest w nie zamieszany Andrzej.

Ciekawe.... kiedyś czytała o metodzie, która pozwalała odróżnić halucynację od prawdy.

Ziewnęła. Nie wiedzieć czemu kanapa nie wzbudzała jej zaufania – może z powodu plamy, której nigdy nie było na powłoczce poduszki. Podtrzymując się skrzypiących poręczy, Irena zeszła do gabinetu i włączyła komputer, z nadzieją, że znajdzie na dysku swe wiekopomne dzieło – plik był jednak pusty.

Ani starych utworów, ani nawet nieudanej, niedokończonej noweli.

Położyła się na kanapie, naciągając koc do podbródka.

Było słyhać, jak w przedpokoju Sensej zamiata ogonem.

Trzeba się zastanowić. Potrzebuje trochę czasu... Musi wziąć się w garść.

Skoncentrować. Dajcie mi się zastanowić.

Model... Czy to wszystko jest *modelem!!* .

Sięgnęła po telefon. Z pamięci wybrała numer tyczkowatego profesora orientalistyki. Czekaając na połączenie, uśmiechała się do siebie. Coś takiego...

Zaraz wszystko się wyjaśni.

– Irena?! W końcu pani wróciła. Świetnie! Usiadła na kanapie, odruchowo otulając się kocem.

– Bardzo się cieszę, że panią słyszę! Studenci na panią czekają... A Pacyfikatorka już nie śpi po nocach, bo nowy trymestr trwa już od pięciu tygodni. Jak udał się wyjazd, Ireno?

– Dobrze – rzekła ze zdziwieniem. – Dziękuję...

– Kiedy pani oczekiwać? Z wrażeniami i prezentami? – w głosie profesora zabrzmiały kokieterijne nutki.

Irena przełknęła ślinę.

– Właściwie... a kiedy by pasowało?

– Oczywiście jutro, proszę od razu przyjść do instytutu; po co dawać Pacyfikatorce dodatkowe pretekst. Chyba najlepiej od razu do niej zadzwonić.

– Tak, tak – wymamrotała Irena odruchowo. – Tak... ja też się cieszę, że...

pana słyszę.



– Może opowie pani coś pokrótce? – profesor uśmiechnął się do słuchawki.

– Nie... proszę wybaczyć, jestem bardzo zmęczona... Jutro.

– W porządku... A więc do jutra. Wszystkiego dobrego...

– Wszystkiego... panu... również... tego samego...

Wstrzymała oddech.

To już było ciekawsze. Czy to wciąż jest *model*? Wymodelowany profesor?

Znów z pamięci wykręciła stary numer Andrzeja. Coś podobnego, wciąż go pamiętała.

Nikt nie odbierał. Irena zastanowiła się przez chwilę i przypomniała sobie jeszcze dwa telefony, pod którymi Andrzej był niegdyś uchwytany.

Ten sam efekt. Długie sygnały.

Za kilka godzin zrobi się ciemno. Tak, zrobi się ciemno, ponieważ... jak to ujął profesor? Trymestr rozpoczął się już pięć tygodni temu? Październik...

Strach był lodowaty i niespodziewany. Koszulka momentalnie przykleiła jej się do pleców – jak dała się wciągnąć... dlaczego od razu nie odmówiła?!

Teraz... to halucynacja – a może znajduje się w „tkance modelu”? Kto jest tu przedmiotem eksperymentu?!

Spod kanapy wypełznął żółw. Łypnął na Irenę bezmyślnym, lśniącym okiem; Irena odruchowo włączyła lampkę nocną i ułożyła żółwia na poduszce.

Czas początku eksperymentu – grudzień. Zgadza się; potwierdza to również kalendarz w sypialni... *tam* eksperyment trwa miesiąc, *tutaj zaś* –

dziesięć. Wszystko się zgadza.

A kto niby przez cały ten czas karmił Senseja i żółwia?! Kiedy się ściemni, nie będzie sensu iść do bramki na wzgórzu – można łatwo skręcić kark. Co oznacza, że koniecznie trzeba odszukać Andrzeja w ciągu tych kilku godzin światła, które pozostały do zmierzchu. Dlaczego uciekł przy jej pojawieniu się?

Bawi się w chowanego?

Irena przeszła się po gabinecie. Oczy mówiły jej, że jest w domu, jednak pozostałe zmysły niezbyt w to wierzyły. Trzeba by pójść do kuchni i otworzyć puszkę jakichkolwiek konserw – przeszkadzała jej jednak myśl o zrobionym cudzymi rękami bałaganie. O porzrzucanych produktach, brudnych naczyniach i jakichś szmatach w kącie.

Łachmany. Podrapała się po czubku nosa.

Zawartość kominka w salonie stanowiła kupka popiołu wymieszana z jakimiś niedopalonymi kawałkami materiału. Co to była za tkanina i czemu Andrzej ją palił?

I czy to był Andrzej?!

Skłęła się za swoją tępotę. „Ciociu Ireno... przecież to była pani”.

W tamtej chwili była pewna, że sąsiedzki Walka stroi sobie żarty, zmyśla, albo coś pokręcił.

Co mógł widzieć?! A jeśli w tym... modelu żyje wymodelowana przez Andrzeja Irena?

Westchnęła. Przeszła do kuchni; w kącie wałała się sterta szmat o nieokreślonym przeznaczeniu. Irena nie miała zresztą ochoty zbytnio im się przyglądać.

Krzywiąc się z obrzydzenia, wymiotła szmaty na podwórze i wrzuciła do śmietnika. Choćby nawet ten dom był wymodelowany, nie prawdziwy – Irena nie życzyła sobie w kuchni nieapetycznego chlamu.

Zatrzymała się pośrodku podwórka, w zadumie przyglądając się topoli. W

porządku, przypuśćmy na chwilę, że nie istnieje żaden *model* i Nikolan zwyczajnie ogłuszył ją na dziesięć miesięcy, a ona dopiero doszła do siebie...

Zakładając oczywiście, że jest to możliwe. Tylko dlaczego topola rośnie po prawej, a nie po lewej stronie bramy?!

Na ile ten *model* jest rzeczywisty? Gdzie są jego granice? Czy na przykład profesor istnieje? Czy istnieje wyłącznie jego głos w słuchawce?

Zamyślona wróciła do domu, podeszła do telefonu i wybrała numer Pacyfikatorki.

– A więc w końcu, pani pisarko, raczyła się pani odezwać...

Wydawało się, że ze słuchawki wieje lodowatym przeciągiem. Choć Pacyfikatorce ani w głowie było z niej drwić; obojętny chłód w jej głosie wróżył

najgorsze z możliwych nieprzyjemności.

Irena obojętnie wysłuchiwała wykładu o bezczelności i braku odpowiedzialności oraz dowiedziała się, że decyzja o jej, pani Chmiel, zwolnieniu jest już niemal podjęta. Ciekawe, czy to Pacyfikatorkę we własnej osobie słyhać teraz w słuchawce, czy też jej pogardliwy głos jest modelowany na poziomie elektronowych impulsów?

– ...niech pani trzyma się z daleka od pedagogiki. I to wszystko, pani Chmiel, czy to jasne?

– A może opowiem pani kawał? – zaproponowała pogrążona we własnych myślach Irena. – Przybiega student do ambulatorium: Szybciej! Panią Pacyfikatorkę ugryzł wąż! A pielęgniarka na to flegmatycznie: niestety, los węża jest już przesądzony.

Rozległy się krótkie sygnały. Okazało się, że po drugiej stronie słuchawki od pięciu minut nie ma już nikogo – mówiła w pustą przestrzeń.

Irena delikatnie odłożyła słuchawkę na widełki.

Podczas tak zwanego instruktazu nie raz i nie dwa pytała Petera Nikołana: do jakiego stopnia *model* jest rzeczywisty? I za każdym razem otrzymywała tę samą, niejasną odpowiedź: nie bardziej niż dowolny inny model... choć geniusz Andrzeja objawia się właśnie tym, że model, jak by to ująć precyzyjniej... jest wielofunkcyjny, wewnętrznie spójny i w pewnym sensie samowystarczalny. Współczesny etap nauki, mówił, jękając się, Peter, nie pozwala w pełni współpracować na tym etapie modelowania.

Prawdopodobnie modelator sam nie zdaje sobie sprawy, że ten niewiarygodny sukces jest równoznaczny z druzgoczącą klęską.

Zamruczał telefon. Irena odruchowo podniosła słuchawkę.

– Halo!

Milczenie. Cisza.

– Halo, słucham.

Krótkie sygnały.

\* \* \*

Swego czasu – akurat robiła doktorat – do Andrzeja zaczęły masowo wydzwaniać młodziutkie dziewczyny. A wraz z nimi młodzi chłopcy. Irena kilkakrotnie dowcipkowała na ten temat, jednak Andrzej nie rozumiał

żartów. W tym okresie w ogóle nie przejawiał poczucia humoru. Irena nie wiedziała, co ma robić – być zazdrosną, potraktować to z przymrużeniem oka, czy może udawać, że nic się nie dzieje.

A potem ci wszyscy chłopcy i dziewczęta pojawili się w ich domu – dziesięć osób. Irena zrezygnowała z wszelkich prób napojenia gości herbatą i tylko ze zdziwieniem obserwowała, jak młodzież stresuje się, jak przed egzaminem, medytuje po kątach i przekazuje sobie nawzajem jakieś obskurnie wydane skrypty.

Potem na krótko wyszła do kuchni i po powrocie natknęła się na malowniczą sprzeczkę. Dwóch chłopców trzymało trzeciego, nie była to jednak typowa bójka – obok skakała dziewczyna z pejczem ze sznurka, bezlitośnie smagała nim fotel, żądając od jednego z chłopców jakichś wyznań i wykrzykiwała jakieś niezrozumiałe pytania; dwie inne dziewczyny znieruchomiały po obu stronach

drzwi, ściskając plastikowe pistolety, a reszta ekipy schowała się pod stołem i stamtąd z napięciem obserwowała rozwój wydarzeń.

Andrzej stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami i wydawał się być zadowolony z rozwoju wydarzeń.

Ta obłąkana historia ciągnęła się przez trzy godziny; w końcu młodzieńcy i młódki opadli z sił i, powtórnie odmawiając herbaty, rozeszli się.

– Czy mógłbyś choć raz wymodelować coś pożytecznego? – zapytała, gdy za ostatnim gościem zamknęły się drzwi.

Uniósł brwi.

– Co na przykład?

– Spokojne życie – odparła znużonym tonem. – Chociaż przez miesiąc.

Nad morzem. W jakimś ustronnym miejscu, w domku nad brzegiem i żeby krzyczały jedynie mewy.

– Hm...

Wstał i wyszedł, więc uznała, że się obraził. Ale już następnego dnia był

pociąg, a po kolejnym dniu snuła się wstrząśnięta po małym domku, sprawdzała stopą temperaturę morskiej wody i podejrzliwie oglądała zawartość lodówki.

– Słuchaj, Andrzej... Po co traktować wszystko tak dosłownie?!

Rzucał do morza kamyki i nie zauważał jej pełnego wdzięczności uśmiechu.

Był zagłębiony we własnych myślach.

\* \* \*

Na biurku znalazła grudniową gazetę. Przejrzała ją i wstrząśnięta, niemal usiadła na zółtciu.

Spokojna i konserwatywna gazeta „Wieczorne Miasto”, którą znała do najmniejszej szpalty, wydała jej się wnioskiem końcowym medyczno-sądowej ekspertyzy.

„Ciało wyłowione ze studni znajdowało się w czwartym stopniu rozkładu i nosiło ślady...”

„Kolejne ofiary. Znaki szczególne: chłopiec w wieku dziewięciu lat ze śladami gwałtownej śmierci, blondyn, ubrany...”

„Nie powinniśmy się odwracać. Z powodu obrzydzenia, strachu czy obojętności... każdego, kto choć raz przekroczy zakreśloną przez społeczeństwo granicę, dosięgnie ręka sprawiedliwości przy aktywnej pomocy... Ty czy twój sąsiad, nikt nie może obojętnie stać z boku i tylko wówczas...”

I w końcu:

„Wczoraj w ratuszu odbyło się posiedzenie rady miejskiej. Rozpatrywano problemy finansowania struktur prawnych... nowych źródeł uzupełnienia budżetu miejskiego... przyjęto projekt, dzięki któremu zostanie zatwierdzona docelowa sprzedaż skazanych – firmom i organizacjom do odpowiednich celów, w tym... rozszerzenie list motywacyjnych związanych z przekazaniem skazanych na karę śmierci obywateli do użytku obywatelom wymagającym różnego rodzaju przeszczepów... biorąc pod uwagę... dokładnie rozpatrując każdy przypadek”.

Irena odłożyła gazetę. Wzięła ją znowu, sprawdziła datę wydania i skład kolegium redakcyjnego, przeczytała adres redakcji i drukarni oraz mnóstwo informacji technicznych.

Jeśli model zawiera w sobie odbicie osobowości modelatora, to co musiało wydarzyć się z Andrzejem podczas poprzedzających eksperyment miesięcy?

Irena otrząsnęła się. Zerknęła na zegarek; wkrótce się ściemni. Modelator się nie pojawiał, jej misja była na granicy porażki i coraz bardziej bolała ją głowa.

Na podwórzu zaczął ujadać Sensej. Nie szczekać, lecz właśnie ujadać, jak jakiś nędzny ratlerek.

Ciekawe, czy zmieniony charakter Senseja również jest odbiciem niejasnych zamiarów jej byłego męża?!

Na środku podwórza Walek, syn sąsiadów, próbował wyrwać Sensejowi patyk. Pies szarpał głową, Walek sapął z zaciętrzewieniem; jeszcze sekunda i patyk poleciał daleko w krzaki, a za nim z ujadaniem pomknął zadowolony chart irlandzki.

Walek zmieszał się na widok Ireny. Wsadził ręce do kieszeni i zaczął szurać w ziemi butem.

– Waluś – rzekła najspokojniej, jak potrafiła – powiedz mi proszę, czy dostajecie gazety?

Chłopak przytaknął.

– A nie mógłbyś... przynieść mi na minutkę któryś z ostatnich numerów?

Tylko go przejrzę.

Sensej w krzakach manipulował patykiem niczym koparka łopatą.

– Poczekam – rzekła Irena łagodnie. – Przez chwilę... pobawię się z psem.

Może być?

Walek śmignął za furtkę. Przez pięć minut Irena sądziła, że nie wróci –

jednak wraz z dobiegającym z sąsiedniego podwórka piskiem siostry Walka i dźwiękiem rozbitej butelki pojawił się mały, ruchliwy cień.

Zapadał zmierzch. Irena z trudem wczytywała się w tekst; była to gazeta sportowa, choć całą ostatnią stronę zajmowały ogłoszenia w tłustych ramkach: wyroki, wyroki, wyroki...

– Dziękuję, Waleczku – rzekła Irena nieswoim, odpychająco-obłudnym głosem. – A powiedz mi, chodzisz do szkoły?

Walek przytaknął.

– A kto karmił Senseja, kiedy mnie nie było?

Walek uśmiechnął się ze zmieszaniem.

– Ty?

Skinięcie głową.

– A nie widziałeś, kto był w moim domu? Pan? Czy pani?

Chłopiec się zasępił. Zaczął dłużyć noskiem buta w ziemi, w kurzu przed sobą nakreślił nierówną linię.

– I ty będziesz mieszkać w tym nienormalnym świecie? – zapytała szeptem Irena, zwracając się nie tyle do chłopca, ile do samej siebie. – Modelik.

Walek szybko błysnął wzrokiem. Spuścił głowę.

– No, zachodź, jakbyś chciał – zaproponowała Irena drewnianym głosem.

– Zachodź... z psem się pobawisz... herbaty napijesz...

Walek przytaknął, nie podnosząc wzroku.

– No, leć już.

Chłopak zniknął w mgnieniu oka. Sportowa gazeta pozostała w dłoni Ireny.

Niezręcznie...

Położyła gazetę na ławeczce przed sąsiednią furtką.

Andrzej, Andrzej...

Zwalczając zmęczenie, które nagle ją ogarnęło, Irena przestąpiła próg niby-swojego domu. Poczłapała do niby-swojego gabinetu i usiadła na jakby znajomą kanapę.

Wystarczy, panie Nikołań. Mam już dość.

I po co wdepnęła w tę awanturę? *Pojawiają się problemy, także natury etycznej... model jest*

*wielofunkcyjny, spójny we w nętrznie i w pewnym stopniu samowystarczalny...*

Beze mnie.

Irena sięgnęła po telefon. Ostatni raz – z pamięci – wybrała jeden z numerów pana Kromara: cisza. A może umyślnie zwabił ją do swego obłąkanego świata i teraz złośliwie ją obserwuje?

„Niestety, panie Nikołań, wykonanie pańskiego zadania wydaje się niemożliwe. Co... spróbować jeszcze raz? Nie. Nie będzie drugiej ani trzeciej próby. Mam inną specjalizację. Nie jestem tajnym agentem; wykładam literaturę. Mam już wystarczająco dużo materiałów na kolejną nowelę – a powieść niech pan pisze sam, panie Nikołań, wraz z obłąkanym Andrzejem Kromarem, jestem nawet gotowa odstąpić wam swój Srebrny Wulkan...”

Zapadał zmrok. Jeszcze pół godziny i nie odnajdzie w ciemności dwóch prętów z zawiązanymi na nich skrawkami materiału.

Ile czasu minęło tom? Godzina? Eksperci znów spoglądają po sobie i wciąż tak samo gorączkuje się Peter.

Wstała. Zapaliła światło w przedpokoju i znalazła na wieszaku swoją starą, sportową bluzę – na wzgórzach jest teraz zimno.

„Pod żadnym pozorem nie wolno pani przenieść z powrotem żadnego przedmiotu z wymodelowanego środowiska”.

Bluzę wyrzuci potem.

Szkoda żółwia. Wzięłaby go ze sobą... Natomiast Senseja w żadnym wypadku. To zupełnie inny pies, obcy, jest mu tu nawet dobrze.

I to wszystko.

Irena poprawiła torebkę na ramieniu i otworzyła drzwi wejściowe.

Promienie kilku laterek jednocześnie uderzyły ją w twarz, oślepiły, sprawiły, że potknęła się o próg.

– Radziłbym nie stawiać oporu... Jesteśmy z policji. Proszę podnieść ręce.

\* \* \*

I w ten oto sposób, oślepioną i dezorientowaną, dostarczono ją do ciasnego pomieszczenia z niewygodną pryczą i pozostawiono tam na noc.

Gdy pozwalała się zrewidować – zaskakująca, niewiarygodna procedura –

ze zubożeniem zastanawiała się, że teraz i tak jest za ciemno. Odnalezienie prętów na szczycie wzgórza bez latarki jest niemożliwe.

Przez zakratowane okienko samochodu pobieżnie przyglądała się miastu.

Było całkowicie zwyczajne. Dokładnie takie samo jak *tam*.

Myślała, że nie zaśnie, wystarczyło jednak, że dotknęła głową płaskiej poduszki, by świat – zarówno realny, jak i wymodelowany – przestał istnieć.

Zamienił się w sen.

W tym śnie był Andrzej, znajdował się jednak poza polem jej widzenia.

Potykając się, sapiąc, coraz bardziej się gubiąc, szukała go i wołała – lecz on, szydząc, wymykał się jej i zostawiał za sobą jedynie złe wspomnienia, zapach, poruszenie powietrza.

A jednocześnie był. Bezustannie. Obok, na wyciągnięcie ręki.

\* \* \*

Gabinet śledczego przypominał tysiące podobnych gabinetów.

– Może pani zażądać obecności adwokata, pani Chmiel.... Ma pani adwokata?

– Po co? – spytała po chwili.

– Ponieważ prawnie on pani przysługuje... – śledczy, chłopięco piegowaty, nie spuszczał z niej nieprzyjemnego, świdrującego spojrzenia. – Nie wiem, kto by się podjął pani bronić, pani Chmiel, chociaż pewna ilość pieniędzy...

Zamilkł wyczekująco. Irena wzruszyła ramionami:

– A dlaczego... o co jestem, właściwie podejrzana?

Właśnie mijały dwadzieścia dwie godziny, odkąd weszła w *tkankę modelu*.

Natomiast prawdziwego czasu tylko trochę ponad dwie godziny.

Najprawdopodobniej eksperci piją kawę, a Peter nie wie, co o tym wszystkim sądzić. Śledczy zmarszczył brwi.

– Proszę mi powiedzieć, pani Chmiel... Gdzie pani spędziła ostatnie dziesięć miesięcy? Mniej więcej od dziesiątego grudnia?

Milczała. Siedzi tutaj i coraz bardziej wplątuje się w tę brednię, podczas gdy na wzgórzu czeka na nią powrót do domu.

– Przypomniała sobie pani?

– Na delegacji – odparła głucho. – A o co chodzi?



– Gdzie? Widzi pani, to bardzo ważne... Kto wysłał panią w delegację?

Przecież nie instytut.

– Była to delegacja twórcza – rzekła już pewniejszym tonem. – Jestem pisarką...

Śledczy zrobił kwaśny grymas.

– Wiem o tym. Zdaje się, że nawet coś czytałem... tak, ciekawe, robi wrażenie... Gdzie jednak pani była? Kto tam panią widział? Nie zatrzymała pani przypadkiem biletów kolejowych? Hotelowego prospektu?

– A o co chodzi? – uparcie powtórzyła Irena.

Śledczy westchnął.

– Chodzi o to, że nasz wydział prowadzi sprawę seryjnego zabójcy. Rzecz w tym, że w okolicy przez ostatnie dwa miesiące została zamordowana trójka dzieci – najwyraźniej przez tego samego człowieka... Najwyraźniej nie robił

tego dla korzyści. I najprawdopodobniej zabójcą jest kobieta.

– Ale co ja mam z tym wspólnego? – zapytała po chwili Irena.

Śledczy zmierzył ją posępnym wzrokiem. I położył przed nią na stole protokół, jak się okazało, rewizji jej domu.

Jej wymodelowanego przez Andrzeja domu.

W piwnicy – topór ze śladami krwi.

W kominku – resztki spalonej odzieży.

W śmietniku – również zakrwawione ubranie.

W samochodzie – kurtka należąca do zamordowanego trzy dni wcześniej chłopca... oraz jego prawy but.

Samochód to zupełnie inna sprawa. Oprócz przylepionej do opon gliny, oprócz plam krwi w bagażniku było jeszcze charakterystyczne wgniecenie, przy czym fragmenty emalii, które odprysnęły podczas zderzenia, pozostały na miejscu przestępstwa.

Irena milczała.

– Pani Chmiel, czy rozumie pani całą powagę... bezsporność dowodów?

– Mam alibi – rzekła Irena, wstrząśnięta faktem, że tak szybko znalazła odpowiednie słowo. – Nie

było mnie tu przez dziesięć miesięcy.

– Gdzie pani była? Kto może potwierdzić pani alibi?

Irena milczała.

– Widzieli panią sąsiedzi. Trzy dni temu widział panią chłopak z sąsiedztwa. Po co temu zaprzeczać.

Patrzył na nią, krzywiąc się boleśnie. Irena spojrzała na siebie jego oczami i opanowało ją przerażenie: przecież on wierzy w te wszystkie brednie... siedzi przed nim istota z piekła rodem, kobieta, która z zimną krwią zamordowała troje dzieci.

Wstrząsnął nią mimowolny dreszcz. Wzrok śledczego stał się jeszcze bardziej przenikliwy.

– Rozmawiała pani wczoraj z chłopakiem sąsiadów? Dziesięcioletnim Walentynem Jelnikiem?

– Tak – odparła odruchowo.

– Czy zapraszała go pani do domu? Na herbatę?

Irena milczała. Teraz w ogóle przestała cokolwiek rozumieć; pod świdrującym wzrokiem śledczego jej tradycyjnie niespieszne myśli w ogóle znieruchomiały. Osłupiały.

– Będzie lepiej, jeśli przyzna się pani od razu, pani Chmiel. Będzie to korzystne dla sprawy, dla mnie i dla pani.

– Jestem niewinna – rzekła szeptem.

– Może pani wyjaśnić, gdzie była trzy dni temu? Miesiąc temu? Pół roku?

Irena milczała.

Jeszcze wczoraj... Nie, jeszcze trzy godziny – trzy *zewnątrzne* godziny temu – wyszła z domu... Ze swego prawdziwego domu... Zamknęła bramę...

Odprawdzał ją Sensej – normalny, groźny chart irlandzki, bez kołtunów na brzuchu i nawyków głupawego pudła.

Co za czort ją podkusił? Dlaczego wplątała się w...

Myśli jeszcze przez chwilę skrzypiały i zatrzymały się jak zardzewiała karuzela.

– Milczenie nic tu nie pomoże, pani Chmiel. Wręcz przeciwnie...

Powtarzam pytanie: gdzie pani była podczas ostatnich dziesięciu miesięcy i kto może potwierdzić, że rzeczywiście pani tam była?

– Jestem niewinna – rzekła Irena i głos jej drgnął. Śledczy pochylił się do przodu – najwyraźniej

podczas swej pracy bardzo często słyszał to zdanie i teraz szukał w oczach podejrzonej oznak bezwstydnego kłamstwa.

– A jak pani wyjaśni te wszystkie znaleziska w pani domu i samochodzie?

– Jestem niewinna... To ktoś inny.

– Ktoś inny mieszkał w pani mieszkaniu i korzystał z samochodu?

– Tak...

– Zdaje pani sobie sprawę, że nie brzmi to zbyt przekonująco?

Zdawała sobie z tego sprawę.

Przyglądała się swym dłoniom, lecz przed oczami miała dwie tyczki na wzniesieniu – dwa pręty niczym piłkarska bramka własnej roboty.

Ciekawe, czy jeśli przejdzie przez nią krowa, to znajdzie się w laboratorium, z panem Nikołańcem i ekspertami? Nie... Tunel reaguje tylko na nią, na Irenę, właśnie tak urządził ten świat pan modelator – umyślnie bądź

nie.

– Jestem niewinna – rzekła, nie podnosząc wzroku. – Moje alibi... może potwierdzić pan Andrzej Kromar.

Skorzystała z prawa do telefonu. Jednego.

I wykręciła numer Andrzeja.

Długie sygnały. Pięć, dziesięć, piętnaście.

– Jeszcze raz; nie dodzwoniłam się! – rzekła z rozpaczą do śledczego.

Ten zrobił posępną minę.

– Proszę próbować... ma pani minutę.

Patrzyła na telefon i przebierała w pamięci wszystkie znane jej numery; czas uciekał.

Wykręciła numer tyczkowanego profesora orientalistyki; zajęte, krótkie sygnały.

Co za tragiczny bałagan.

Wykręciła numer Pacyfikatorki – i z jakiegoś powodu od razu się uspokoiła. To, co dzieje się wewnątrz modelu, jest jedynie grą, w prawdziwym życiu nigdy nie zdecydowałyby się na tak desperackie posunięcie.

– Mówi Irena Chmiel – oznajmiła w odpowiedzi na obojętne „halo”. –

Dzwonię z policji... podejrzewają, że jestem morderczynią. Nie mogłaby pani wyjaśnić tym ludziom, że ja...

Zacięła się. I milczała przez dziesięć sekund – dopóki Pacyfikatorka bez słowa nie odłożyła słuchawki.

W celi była na szczęście sama. I miała wystarczająco dużo czasu na rozmyślania; leżała na twardej pryczy, naciągając pod brodę szary, szorstki koc.

Andrzej wymodelował to wszystko... w celu, który jest znany tylko jemu samemu. Być może także Peterowi, jednak Irena jakoś w to nie wierzyła.

Andrzej zmodelował... a więc to oznaczał napis na widokówce: „To ja zmykam... Cześć”. Widokówce, którą znalazła w swojej skrzynce pocztowej.

Też mi widokówka. Przypomnienie.

*Do wewnątrz modelu prowadzi tylko jeden kanał... albo jest to dziwaczny wymysł Andrzeja... albo istnieje jakaś inna przyczyna – jest to jednak pani kanał, Ireno. Model nie wpuści nikogo, oprócz pani.*

No dobrze. Andrzej zostawił to przejście, wiedząc najprawdopodobniej, że w krytycznym momencie Peterowi nie pozostanie nic innego poza wepchnięciem tam niczego nie podejrzewającej Ireny... Podczas gdy wyjście z jej osobistego tunelu prowadzi prosto w pułapkę. Dom naszpikowany dowodami zbrodni, świat przesycony wymiarem sprawiedliwości. Co to jest; mała zemsta?!

Irena usiadła na pryczy.

Ich rozstanie z Andrzejem odbyło się przyzwoicie i skromnie. Bez skandali i scen; wszystko to, co mówi się w takich sytuacjach, zostało już dawno powiedziane. Ona sama, pierwsza, zażądała rozwodu. Powoli uwalniała się od zrogowaciałych okruczeń dawnej miłości – niemal bezboleśnie, jak podczas rutynowego zabiegu higienicznego.

Co do Andrzeja, to był on zaprzątnięty nowym pomysłem i chyba nie od razu zauważył, że obok niego nie ma już żony.

Zresztą po miesiącu pojawił się u niej bez zaproszenia – spięty i zły.

Wsunął jej w dłoń bukiet kolczastych róż, odwrócił się i odszedł, rzucając przez ramię, niczym klątwę: „Zapamiętam cię”.

Już lepiej, żeby zapomniał. Gdyż jeśli wszystko to, co się jej przydarzyło, nie jest splotem przypadków, a od dawna zaplanowaną zemstą?

To ci pytanie – czyżby człowiek, z którym przeżyła długich siedem lat, był

zdolny do czegoś takiego?

Odpowiedź brzmiała: tak. Jeśli tym człowiekiem jest Andrzej Kromar.

On jest zdolny do wszystkiego.

Irena ze znużeniem zamknęła oczy.

\* \* \*

Do schroniska jechała niechętnie – ale Andrzejowi nagle zachciało się

„prawdziwych gór”. Irena nie znosiła gór – i może dlatego niemal codziennie się kłócili, wyłącznie z powodu drobiazgów.

Tego ranka ścięli się szczególnie ostro. A już po godzinie okazało się, że małe autobus, który wiozł grupę turystów do ruin starych fortyfikacji, jest zupełnie nieprzygotowany do trudnej górskiej szosy.

Za przełęczą wysiadły hamulce. A turyści, z których połowa nie miała nawet dziesięciu lat, nie od razu zrozumieli, co się dzieje – droga pędziła im na spotkanie coraz szybciej, kamienie, pnie wyschniętych drzew, wyboje, kępy traw i we wstecznym lusterku białe z przerażenia oczy kierowcy.

Irena kompletnie nie zdążyła zorientować się w sytuacji – i właśnie spowolniona reakcja pozwoliła jej zachować zimną krew i uchroniła przed nieuniknioną paniką.

Minęli po kolei dwie ślepe, boczne drogi – najwyraźniej kierowca po prostu nie zdążył ich zauważyć. Krzyk. Dziki wrzask z dwudziestu gardeł. – Siedzieć na miejscach!!

Kierowca nagle znalazł się na podłodze w przejściu – Irena zapamiętała jego twarz. Gumową, jak u zabawkowej ryby.

Autobus pędził, grzechocząc wszystkimi swymi żelaznymi, niestworzonymi dla wyścigów wnętrznościami; matki wczepiły się w dzieci, pragnąc ochronić je żywym pancerzem, zamknąć w sobie. Lot donikąd, lot przechodzący w upadek.

A potem wszystko się skończyło. Autobus zwolnił, zabrzączał i zatrzymał

się.

Irena wczepiła się w poręcz. Miejsce obok niej było puste; puste już od dawna.

Andrzej odwrócił się z fotela kierowcy.

Oparcie fotela było rozerwane, ze szpary niechlujnie zwisał kłęb waty.

Andrzej w milczeniu wpychał go z powrotem, w dermowe obicie – gdy jednocześnie jego lewa ręka

wciąż nie puszczała kierownicy.

Potem był płacz, histeryczny śmiech i ogólne bratanie się. Niemal wszystkie siedzenia w autobusie okazały się mokre. Turyści całowali się i tańczyli pośród nieopisanego piękna gór, w ciszy, obok stojącego na ślepej drodze autobusu; dwudziestu ludzi wiodło korowody wokół swego wybawcy, dwoje zaś siedziało obok – kierowca o wciąż sinej twarzy i Irena, do której dopiero teraz dotarło.

Po tym wydarzeniu Andrzej i Irena byli jak w skowronkach – przez cały wspaniały tydzień.

\* \* \*

Drugiego dnia postawiono jej oficjalne oskarżenie.

– Jestem niewinna – powtarzała niczym zaklęcie.

Nikt jej nie słuchał.

Pół godziny później spotkała się ze śledczym.

Śledczy był posępny.

– Pomyślała pani o adwokacie?

– Nie.

Milczenie. Śledczy przekładał dokumenty – wyraźnie bezmyślnie. Na coś od niej czekał.

– A więc... pani Chmiel. Kiedy po raz ostatni widziała pani Andrzeja Kromara? Pani byłego męża, który według pani może potwierdzić pani alibi?

Pani, pani, pani... Śledczy przydawał temu słowu niejasne, dwuznaczne znaczenie.

– Jakiś czas temu – rzekła Irena. – Dokładnie nie pamiętam.

Śledczy wpił się spojrzeniem w jej twarz.

– Muszę panią zmartwić. Pan Andrzej Kromar nie żyje już od niemal miesiąca – zginął w wypadku samochodowym.

Milczała.

Za plecami śledczego, w wąskim oknie, widniał błękitny skrawek jesiennego nieba.

– Przypuszczam, pani Chmiel, że zwracając się do pana Kromara jako do świadka pani alibi, wiedziała pani o jego śmierci? Chce pani przeszkodzić w śledztwie takim prostym chwytem? Czy warto?

– To niemożliwe – rzekła powoli.

Śledczy się skrzywił.

– Pani Chmiel...

– To niemożliwe! Jeszcze przedwczoraj był... słyszałam...

Ugryzła się w język. Według tutejszego czasu działo się to przed miesiącem... Miesiącem?!

Równy puls Andrzeja w głośnikach.

– Wypadek samochodowy?!

Nie, trzeba się zastanowić.

Pochyliła się nad stołem. Zgarbiła, ukrywając przed śledczym twarz.

– Przykro mi, pani Chmiel, jeśli pani rzeczywiście nie wiedziała... Być może dopuściłem się nietaktu... Lecz może jest jeszcze ktoś inny, kto mógłby potwierdzić pani alibi?

Milczała.

Na kancelaryjny stół wbrew jej woli kapały ciężkie, bezsilne łzy.

\* \* \*

Wieczorem wyprowadzono ją z celi, jednak nie na przesłuchanie. W

małym pokoiku czekał na nią tyczkowaty profesor orientalistyki.

– Irena, w końcu! Źle pani wygląda... Nie, proszę się nie załamywać. To straszliwe nieporozumienie zostanie wyjaśnione w ciągu kilku dni... Tak, tak.

Proszę to potraktować jak zbieranie materiałów do nowego opowiadania.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Cała katedra... co tam, cały instytut... jest pewien pani niewinności.

Rozwiązujemy problem adwokata...

Nagle przerwał swe optymistyczne trajkotanie. Kaszlnął, obejrzał się na milczącego śledczego, pochylił do przodu.

– Widzi pani, Ireno... Jako że sprawa jest jednak poważna... Może spróbujemy zaangażować Wampira? To kosztowne... lecz jeśli weźmie się za to on... sprawę można uznać za wygraną. Doskonale rozumiem, zmiana nastawienia, być może nawet przesady... jednak obecnie nie ma lepszego adwokata. Byłoby to... rozumie pani?

– Dziękuję – rzekła Irena, wzdychając ciężko. – Proszę zaangażować, kogo pan uważa.

Profesor był najwyraźniej zdziwiony, ukrył jednak zaskoczenie za radosnym uśmiechem.

– No i wspaniale... Proszę się nie martwić o psa. Wzięła go Pacyfikatorka.

Razem z żółwiem.

Irena milczała przez chwilę. Podrapała się po czubku nosa.

– Więc nie jestem już w stanie pomóc temu psu.

– Ależ nie! – profesor się uśmiechnął. – W obliczu niesprawiedliwości katedra zjednoczyła się jak nigdy. A Pacyfikatorka... okazało się, że kocha zwierzęta. Już umyła Senseja szamponem przeciw pchłom.

Profesor się zasepił. Najwyraźniej przypomniał sobie, że podczas dziesięciomiesięcznego przypuszczalnego wojażu Ireny pies żył praktycznie na łasce sąsiadów.

Wstyd...

Irena opuściła głowę.

– Proszę jej przekazać wyrazy wdzięczności. Chętnie by popatrzyła na Pacyfikatorkę skrobiącą szczotką tego prawdziwego Senseja. Bardzo chciałaby to zobaczyć.

Czy modelator może zginąć wewnątrz modelu, niczym robak w jabłku?

Najwyraźniej tak. Lecz czy w takim przypadku model może kontynuować swe istnienie, jakby nic się nie stało?

Irena leżała na pryczy przykryta do podbródka szarym kocem. Przed snem przyszło jej do głowy przeczytanie tych kilku marnych linijek w swym notesie i z żalem kręcąc głową, przekonała się, że nowego opowiadania nie będzie.

Według jej obliczeń od momentu wejścia do modelu minęło sześćdziesiąt godzin. Co oznacza, że eksperci są już zmęczeni i jedzą kolację. Co oznacza, że Peter obmyśla warianty awaryjne.

Niech pan to zwija, panie Nikołań, myślała, przewracając się na pryczy.

Niech pan zwija w diabły ten kretyński model. Gdyż jeśli Andrzej faktycznie...

jeśli go nie ma, to moja misja także nie ma sensu. A jeśli...

Zagryzła wargi. Jaki był sens okłamywania jej? Żaden. Po co Andrzej miałby udawać nieboszczyka?

A dlaczego?...



Czyżby można było przewidzieć, co strzeli Andrzejowi do głowy?

Pewnego razu – na plażowym pikniku – zanurkował pod wodą w zarośla trzcin i stamtąd obserwował, jak cała kompania z Ireną na czele szuka go, powoli trzeźwiejąc i wpadając w histerię, jak wołają i miotają się, przeszukując kijami dno.

Irena pamiętała, jak biały piasek przed jej oczami robił się czarny. Cóż to takiego – czarny piasek?

Najwidoczniej chciał zażartować. Chciał schować się najwyżej na minutę –

lecz tam, w trzcinach, nawiedził go kolejny genialny pomysł i po prostu zapomniał o upływie czasu, o przyjaciółach, o żonie...

Czego można więc oczekiwać od takiego człowieka?!

Irena westchnęła przez zęby i naciągnęła na głowę przysługujący jej koc.

\* \* \*

Śledczy pokazał jej fotografie z miejsc przestępstw. Zerknęła na nie i z przerażeniem odwróciła wzrok.

– Nie... nie mogę na to patrzeć.

Śledczy sceptycznie podwinął wargę.

– Naprawdę jest pani aż tak wrażliwa?

– Nie zmusi mnie pan, bym to oglądała – powtórzyła, czując, jak drętwieją jej policzki, z których odpłynęła krew. – To jest...

Zamilkła.

Coś ty narobił, potworze?! Nie usprawiedliwia cię fakt, że w naszym

„zewnątrznym”, prawdziwym świecie dzieją się nie takie rzeczy... Stworzyłeś model – i jesteś za to odpowiedzialny... także za te fotografie...

Irena uniosła wzrok ku białemu sufitowi. Jakby oczekiwała, że napotka ironiczne spojrzenie byłego męża.

– Jestem niewinna – rzekła z wysiłkiem. Chyba już setny raz.

Śledczy przyglądał jej się z uwagą i po raz pierwszy od czasu ich znajomości jego wzrok nie był świdrujący. Ciężki – owszem, choć na dnie oczu pojawiło się coś w rodzaju... wątpliwości. Jakby nagle dopuścił do świadomości niewiarygodną myśl: a jeśli ona nie kłamie?

\* \* \*

Wprowadzono ją do niewielkiego pokoju, w którym dzień wcześniej czekał

na nią profesor orientalistyki; już ucieszyła się z kolejnego spotkania –

okazało się jednak, że tym razem w skórzanym fotelu siedzi zupełnie inny człowiek.

Ochroniarz wprowadził ją i wyszedł. Irena obejrzała się ze zdumieniem; przez ostatnie kilka dni przywykła do tego, że samą zostawiają ją jedynie ze śledczym.

– Dzień dobry, pani Chmiel... Proszę usiąść.

Usiadła w fotelu naprzeciw. Mężczyzna przyglądał się jej w milczeniu, nie starając się udawać, że jego badawczy wzrok jest odpowiednikiem uprzejmej pogawędki.

Miał około czterdziestki. Niezwykle gładka skóra, bardzo twarde, lśniące włosy, dokładnie wygolone policzki. Odświeżony, wypoczęty jegomość. Jak po powrocie z zimowego kurortu.

I jednocześnie było w nim coś z Andrzeja. Ciekawość badacza.

Bezinteresowne zainteresowanie, urok pracownika prosektorium. Szczera sympatia dla preparowanej istoty.

Milczeli przez pięć minut.

– Nazywam się Jan Semirol. Być może słyszała pani mój profesjonalny przydomek: Wampir. Jestem adwokatem... Pani koledzy, wśród których znajdują się znani i szanowani ludzie, poprosili, bym podjął się pani obrony.

Irena milczała. Ułożony i nienaganny pan Semirol budził w niej instynktowny niepokój. Który powoli zamieniał się w strach.

– Moje usługi są dość kosztowne. – Adwokat się uśmiechnął. – Poza tym zanim wezmę się za sprawę, muszę zapoznać się z materiałami i oskarżeniami... Materiały widziałem. Teraz chcę z panią porozmawiać.

Irena pochyliła głowę.

– Jestem niewinna.

– Muszę panią zmartwić. Bardzo wielu oskarżonych twierdzi dokładnie to samo. A zatem była pani nieobecna przez dziesięć miesięcy. Dlaczego nie chce pani powiedzieć, gdzie pani wtedy była?

Irena przez chwilę milczała.

Podczas długich godzin spędzonych w celi zdążyła wymyślić kilka wersji odpowiedzi na to pytanie.

Najprostszym wyjściem było udawanie amnezji, utraty pamięci; wszak jeśli wierzyć telewizyjnym serialom, około połowy dorosłej populacji dowolnego kraju przynajmniej raz w życiu traci pamięć.

Jednak po pierwsze, każdy lekarz będzie w stanie przyłapać ją na kłamstwie. A po drugie... ta wersja poniekąd pozbawiała Irenę prawa głosu.

„Nikogo nie zamordowałam”. „A skąd pani to wie? Przecież straciła pani pamięć!”

Wciągnęła głowę w ramiona. Nieznośna była dla niej już sama myśl, że ktoś – nawet ten adwokat – może uważać, że jest zdolna do zrobienia czegoś takiego... Co więcej, że faktycznie to zrobiła.

Czas uciekał. Adwokat czekał na odpowiedź.

– To moja prywatna... tajemnica – rzekła Irena głucho. – Nie mogę...

odpowiedzieć na pańskie pytanie.

Adwokat kiwnął głową – zupełnie jakby nieuzasadniony upór podejrzanej sprawiał mu przyjemność.

– W porządku... Często myje pani ręce?

Milczała, zbita z tropu.

– No, kiedy dotknie pani powiedzmy klamki... czy odczuwa pani potrzebę umycia rąk mydłem?

– Czasem tak. A czasem nie... Jeśli klamka nie jest brudna...

– Dlaczego nie ma pani dzieci?

Drgnęła. Adwokat patrzył jej prosto w oczy – nieruchomo i beznamiętnie.

A także wyczekująco.

– Jeszcze będę miała – rzekła, odwracając wzrok. – Mam dopiero trzydzieści lat.

– A dlaczego wcześniej nie zatroszczyła się pani o potomstwo?

Irena wiedziała, że pół godziny po zakończeniu rozmowy przyjdzie jej do głowy błyskotliwa odpowiedź temu impertynentowi. Wiedziała też, że w tej chwili nie ma nawet co próbować; nie wydusi z siebie niczego sensownego.

– W porządku. – Adwokat znowu kiwnął głową, jakby jej milczenie było dla niego wystarczającą odpowiedzią. – Proszę mi teraz powiedzieć, jak z pani perspektywy wygląda to, co się pani przytrafiło? Nie przyznaje się pani przecież do winy i musi mieć pani jakieś usprawiedliwienie tego, co się stało?

Została pani pomówiona? Wrobiona? Wrogowie? Zawistnicy?

– Nie wiem – odparła Irena ze znużeniem. – W moim domu ktoś był...

przed moim przyjściem... palił szmaty w kominku... sądziłam, że to mój były mąż...

– Przecież widział panią chłopak sąsiadów. A właściwie podobną do pani kobietę.

– Podczas gdy pan ze mną rozmawia – rzekła Irena ze zmęczeniem –

prawdziwa morderczyni krąży wokół tego domu... I w każdej chwili może kogoś zabić.

– Byłoby to pani na rękę – oznajmił z powagą adwokat. – Gdyby zabójstwo z tej serii powtórzyło się w czasie, gdy siedzi pani za kratkami. Byłby to poważny argument na pani korzyść.

Irena miała ochotę uderzyć go w twarz.

Gdyż przypomniała sobie kudłatego Walka – jak zagląda przez plot... ze strachem zerkając na Senseja.

I fotografie – te, które pokazywał jej śledczy. Milczała. Ponieważ nikogo w życiu jeszcze nie uderzyła. Oprócz Andrzeja, po tym incydencie na plaży.

– Proszę powiedzieć, pani Chmiel... czy odczuwa pani seksualną satysfakcję podczas intymnych stosunków z mężem?

Irena milczała, przyglądając się swym dłoniom. Coś takiego; a jej linia losu wygląda tak korzystnie.

– Muszę się zastanowić – rzekła posępnie.

Nawet adwokat, który niejedno już widział, był teraz lekko zdziwiony.

– Naprawdę? A ja sądziłem, że już od dawna dysponuje pani wiedzą na ten temat... Proszę zresztą wybaczyć.

Zadał jeszcze kilka pytań. Irena odpowiadała monosylabami, cały czas unikając jego badawczego spojrzenia. Głowa zaczęła opadać jej ze zmęczenia.

Nieznośnego zmęczenia.

W końcu Semirol zamilkł. W osobliwy sposób musnął usta – jakby wycierał z warg resztki kefiru. Zamyślił się i wpił w rozmówczynię pełen zadumy wzrok – niczym modniś, który nie może zdecydować, który krawat wybrać na dzisiejszy raut. Trudny wybór.

W pewnym momencie Irena poczuła się jak ciężarek na wadze – i jedynie pan preparator wie, co znajduje się na drugiej szalce. I czeka, dopóki szalki tej wagi przestaną się kołysać.

– No dobrze, pani Chmiel... choć trzeba przyznać, że niewiele w tym dobrego... Nie mogę podjąć się pani obrony. Pani przyjaciele będą zawiedzeni.

Zdziwiła się do tego stopnia, że nawet spojrzała mu prosto w oczy.

– Sądzi pan... Nie wierzy pan w moją niewinność?!

– Jestem profesjonalistą – pan Semirol uśmiechnął się promiennie. –

Jakie znaczenie ma tu fakt, czy w to wierzę, czy nie? Kieruję się zupełnie innymi kryteriami.

– Ale przecież... – zaczęła Irena szeptem. – Ja naprawdę mogę być z panem bardziej szczerą... tak, odczuwałam seksualne zadowolenie... i chciałam mieć dziecko, ale Andrzej...

Semirol przyglądał się jej, ze smutkiem kiwając głową.

– Proszę przestać. Dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem. Pani szczerść czy też nieszczerść nie ma tu nic do rzeczy... Niestety. Żegnam.

\* \* \*

Śledczy na nią nie patrzył. I mówił suchym, obojętnym tonem; niezależnie od jej zaprzeczeń, sprawa zbliża się ku końcowi. Społeczeństwo żąda ukarania zabójcy, wszyscy miejscy dziennikarze są na nogach; niestety, z powodu nierzetelności niektórych pracowników fotografie z materiałów śledztwa dostały się do prasy.

Milczała. Najwyraźniej fakt, że pan Semirol nie podjął się jej obrony był

równoznaczny z wyrokiem skazującym! Irena niczego nie rozumiała: przez całe życie sądziła, że im lepszy jest adwokat, tym trudniejsze są sprawy, których się podejmuje.

Najwidoczniej profesor orientalistyki jest nie mniej wstrząśnięty. A Pacyfikatorka... cóż, za każdym razem, stawiając miskę przed przygarniętym Sensejem, będzie powtarzać coś w rodzaju: „Pies nie jest odpowiedzialny za właścicielkę”.

– To wstrząsające – rzekła na głos. – Czy rzeczywiście wyglądam na morderczynię?

Śledczy spojrzał na nią przelotnie. Odwrócił głowę.

– Była pani nieszczerą podczas przesłuchań. Sama pogarsza pani swą sytuację.

– Dostanę adwokata? – zapytała ledwie słyszalnym głosem.

Śledczy zmarszczył brwi.

– Niewątpliwie... Jednak skoro Wampir zrezygnował z podjęcia się pani obrony, po jego odmowie żaden uczciwy adwokat nie weźmie się za tę sprawę... Podczas procesu będzie pani bronił adwokat z urzędu, który nie ma innego wyjścia. To jego praca. Proszę posłuchać, dlaczego nie chce się pani przyznać?!

– Bo jestem niewinna.

Spojrzał na nią uważniej. Nie odwróciła wzroku.

– Pan na przykład... wierzy? Że zrobiłam to, o co jestem oskarżona?

Naprawdę pan w to wierzy?

Przygryzł wargę. Tak w ogóle był to sympatyczny, piegowaty chłopak.

Mogliby się spotkać na ulicy albo w kawiarni – wówczas powitaliby się radośnie, porozmawiali o pogodzie, być może odprowadziłaby go do rogu.

– Nie przypomina pani zabójczyni – rzekł niechętnie. – Choć wszystkie fakty świadczą przeciwko pani.

– Nie przypominam?

– Nie.

Irena westchnęła.

Podjęła tę decyzję dzisiejszej nocy. Wstała z pryczy i nie mogła już zasnąć.

Przemierzała celę tam i z powrotem – nad ranem w judasza zajrzał zdziwiony strażnik.

Jedyna właściwa decyzja. Choć tak czy inaczej – trudno to z siebie wydusić.

– Przyznaję się – rzekła z wysiłkiem. – Przyznaję się i chcę pokazać miejsce, w którym znajduje się jeszcze jedna ofiara.

Śledczy się zakrztusił. Przez kilka sekund wpatrywała się w jego szybko twardniejące oczy.

Trudno mu było ukryć emocje. W końcu mu się to jednak udało.

\* \* \*

Już po półgodzinie Irena zachwycała się widokiem pędzących na ich spotkanie topól.

Jechali do jej domu. Choć okienko w samochodzie było małe i zakratowane, Irena poznawała znajome miejsca – pokrytą czerwonym dachem kafejkę... Płynny zakręt szosy, przepaść, ponad którą o świcie unosi się mgła.

Zatrzymali się przy bramie. Płot sąsiadów niemal zawalił się pod ciężarem Walka i jego braci. Dlaczego nie są w szkole?

Odetchnęła wiatrem, mającym zapach opadłych liści. Po długim pobycie w zamkniętym pomieszczeniu wydał się jej rajsko świeży – a przecież jeśli się zastanowić, był to tylko

nieprzyjemny, wilgotny powiew.

– Tam – wskazała ręką – na wzgórzu. Zaprowadzę.

Towarzyszył jej tłum ludzi. Bali się, że ucieknie?

Od czasu do czasu napotykała spojrzenia. I wstrząsał ją dreszcz, silniejszy od wiatru. To nic... to nic... wkrótce to wszystko się skończy.

Najwyraźniej jej rześki nastrój napawał ich obrzydzeniem. Czyżby tak energicznie i radośnie wspinała się na wzgórze, by jak najszybciej pokazać im bezimienny grób zabitego przez nią dziecka?!

Zatrzymała się na szczycie pagórka. I rozejrzała gorączkowo.

Wątła trawa upstrzona była plackami krowiego łajna. Jest! Z ziemi sterczał

pręt ze strzępką materiału pociemniałego od deszczu. A obok niego...

Obok leżał drugi. Złamany. Najwyraźniej jakaś krówka o obwisłym brzuchu niezbyt liczyła się z konwenansami...

Zapanowała nad sobą. Jeśli rzuci się tam natychmiast – pojawią się podejrzenia, złapią ją i nie pozwolą zrobić ani kroku więcej.

Ostrożnie, drobnymi kroczkami, zbliżyła się do zniszczonej bramy.

Po milimetrze... Już...

Panie Nikołań!! To ja...

Zmrużyła oczy.

Nic się nie stało. Wiatr jak wcześniej pachniał zbutwiałymi liśćmi. Obok stali, palili, spoglądali po sobie jej posępni towarzysze.

Zmusiła się, by otworzyć oczy. Rozejrzała się: wszystko się zgadza. Właśnie z tego miejsca po raz pierwszy zobaczyła jadące naprzeciw siebie samochody.

„Tunel jest otwarty przez cały czas. Jedyne pani może z niego skorzystać.

W przypadku niewielkiego odchylenia tunel sam panią zlokalizuje – to odchylenie nie powinno przekraczać metra...”

Dotknęła nieuszkodzonego pręta.

– Coś się nie zgadza.

– To tutaj? – lodowatym tonem zapytał śledczy. – Tutaj kopać?

– Coś się nie zgadza – odparła Irena, patrząc wprost w jego świdrujące oczy. – To niewłaściwy świat... On nie istnieje. To model. Wszyscy jesteście częścią modelu. Wymyślił was Andrzej!

Dzieciaki sąsiadów z zaciekawieniem przyglądały się, jak zakutą w kajdanki, wykrzykującą bezmyślne zdania, prowadzą ją do samochodu.

### Rozdział 3

W ekspertyzie psychiatrycznej uznano, że jest poczytalna. Także komisja lekarska uznała ją za osobę zdrową.

Irena dołożyła wszelkich starań, by jak najszybciej zapomnieć detale obu tych badań. Jesteście *modelem*, z uśmiechem mówiła lekarzom i sanitariuszom. I nic nie mogę na to poradzić. To przykre, ale taka jest prawda: jesteście jedynie cieniami innych osób. Stanowicie wyobrażenie Andrzeja o tym, jacy powinni być ludzie.

Uznano ją za symulantkę.

Wyznaczono termin rozprawy; Irena rozkoszowała się chwilowym spokojem. Nie niepokoiłi jej lekarze, adwokaci ani śledczy. Naciągnąwszy do podbródka szary koc, przeglądała zapiski ze swego notesu i nawet pozwoliła sobie na nową uwagę: „Cały świat jest cieniem”.

Zdanie wstrząsnęło ją swą oryginalnością.

Szybko znudziło ją zastanawianie się nad tym, dlaczego tunel nie zadziałał.

Nie zadziałał i tyle. Zdarza się. Być może coś podobnego przytrafiło się Andrzejowi. Wpadł w sidła własnego pomysłu i nie był w stanie zatrzymać zabawki.

Unikała zastanawiania się nad faktem, czy Andrzej jest martwy, czy jedynie sfingował swą śmierć. Tak czy inaczej, wkrótce wszystko się wyjaśni. Nikt nie miał wątpliwości, że Irenę czeka wyrok śmierci, ona zaś nie wątpiła w to, że jeśli Andrzej żyje, nigdy nie dopuści do czegoś takiego. Jeśli modelator żyje, to wyłącznie po to, by obserwować złapaną w pułapkę Irenę. Jeśli jest to jakaś wymyślna zemsta – tylko za co?! – to tego wszystkiego, co ją spotkało, wystarczało do zaspokojenia ciekawości nawet skrajnie chorego egoisty. I wątpliwe, by Andrzej chciał być świadkiem wykonania wyroku. Choć z drugiej strony, kto go tam wie.

Irena nie brała pod uwagę możliwości, że Andrzej rzeczywiście nie żyje.

Sala sądowa zachowała ślady dawnej świetności. Z sufitu ślepo spoglądały obtłuczone płaskorzeźby. Za długim stołem siedzieli ludzie w ciemnych szatach, nad ich głowami wznosiły się wysokie oparcia foteli. Irena pomyślała, że jest to na swój sposób piękne. Przed stu laty aksamit na oparciach niewątpliwie wyglądał zupełnie świeżo.

Sala była pełna ludzi. Oddzielnie siedzieli krewni zamordowanych dzieci –

Irena od początku postanowiła nie patrzeć w ich stronę. Była to jej martwa strefa: bardzo szybko



zaczęła odczuwać ją jako chory fragment własnego ciała.

Zdrętwiały i zainfekowany. Ci nieruchomi ludzie przyciągali jej wzrok, jednak strach przed spojrzaniem im w oczy był silniejszy.

W sali roiło się od reporterów. Irenę boleśnie oślepiały błyski fleszów; reporterzy zdawali jej się igiełkami przebijającymi się przez ciszę i szmer, ciągnącymi za sobą nitkę przyszłych, sensacyjnych materiałów.

Albo w sali brakowało światła, albo Irenie było ciemno przed oczami –

gdyż niezwykle trudno było jej rozróżnić twarze. A ona wpatrywała się w nie z uporem, walcząc z bólem oczu – wypatrywała...

Kogo?

Andrzeja Kromara. A kogóż by jeszcze?

Wśród świadków znajdowali się zarówno zupełnie obcy dla Ireny ludzie, jak i jej własni sąsiedzi. Mały Walek musiał mieć podstawiony pod nogi taborecik – inaczej jego głowa nie wystawała ponad trybunę dla świadków.

– Widziałem panią...

– Czy była to pani Chmiel?

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało.

Adwokat Ireny niechętnie uniósł rękę.

– Mam pytanie... Czy świadek Walentyn Jelnik jest przekonany, że tego dnia zobaczył właśnie sąsiadkę, a nie inną kobietę mieszkającą w tym samym domu?

A przecież nie dopracowaliśmy wersji z sobowtórem, zaniepokoiła się w myślach Irena. W czasie spędzonym na rozmowach z samą sobą, przywykła uważać się za coś w rodzaju chodzącego konsylium. „Przemyśleliśmy”,

„postanowiliśmy”.

– Świadek Walentyn Jelnik ma dziesięć lat – suchym tonem oznajmił

sędzia. – Jego zeznania mogą być brane pod uwagę, jednak w pełni na nich polegać...

– Może była to inna pani – łatwo zgodził się Walek. – Było ciemno.

Przez salę przetoczył się szmer. Adwokat Ireny westchnął – miał już serdecznie dość tego procesu. Jak budować linię obrony, jeśli oskarżona z idiotycznym uporem odmawia składania najprostszyc

zeznań – choćby podania miejsca swej „delegacji”?! Proces był z góry przegrany. Adwokat był

niepocieszony: to cios w jego karierę. Z premedytacją zwalono na niego niemającą perspektyw, brudną robotę, której nie podjął się nawet Wampir.

Irena przygryzła wargę.

Pośrodku wypełnionej po brzegi sali znajdował się krąg pustej przestrzeni.

W jego centrum siedział, założywszy nogę na nogę, wypiełgnowany pan Semirol.

I nikt nie siedział obok niego. Dwa fotele z prawej były puste, podobnie dwa fotele z lewej, tak samo przed nim i za jego plecami. A w tym samym czasie w przejściach skrzypiały dostawione krzesła i przestępowali z nogi na nogę ci, dla których zabrakło miejsca.

Irena współczująco spojrzała na swego adwokata.

Nie należy tak demonstracyjnie okazywać swej bezsilności. Jak śmieciarz, który wśród sterty odpadków dumnie wznosi podbródek: chcieliście zobaczyć, jak się spocę przy tej robocie?! Niedoczekanie; nawet się za nią nie zabiorę!

A jednak. Dlaczego nawet przywykli do wszystkiego reporterzy nie zdecydowali się usiąść obok Jana Semirola?

W drugim kącie sali siedziała jej katedra w pełnym składzie. Z

Pacyfikatorką na czele. Irena wciąż słabo widziała twarze – czuła jednak spojrzenia.

Pod koniec przesłuchań jej koledzy zaczęli po kolei wstawać i wychodzić. I to wstrząsnęło nią bardziej niż pełne nienawiści twarze osieroconych krewnych. Niż obojętność adwokata. Niż zacierzewienie młodego, agresywnego prokuratora.

Bardziej niż napięta pustka wokół Semirola.

Nie są prawdziwi, powtarzała sobie. Ci prawdziwi zostali w zewnętrznym świecie. A oni nigdy by nie uwierzyli, że ja...

Ostatni wyszedł profesor orientalistyki. Błady, zagubiony – zresztą Irena z trudem dostrzegała go za morzem głów.

Ogłoszono przerwę do następnego dnia.

Irenę przeprowadzono z jej klatki do ciasnego pokoiku z gołymi ścianami i pluszową kanapą, obok pojawił się spocony i wściekły adwokat, i Irena spytała go wprost:

– Dlaczego nikt nie siedzi obok Semirola?

Adwokat się zamyślił. I kwaśnym tonem odparł, że złoży protest.

Irenę to rozśmieszyło. I co, eleganckiemu panu o przydomku Wampir będą na mocy prawa podsadzać sąsiadów?

Przez całą noc gapiła się w sufit.

Następnego dnia adwokat rzeczywiście zaczął od złożenia protestu.

– Obrona żąda usunięcia z sali pana Semirola, ponieważ jest on tu obecny nie z zawodowych, lecz korzystnych dla siebie i antyhumanitarnych celów.

Swą obecnością pan Semirol wywołuje psychiczny nacisk na sąd i deprymująco działa na oskarżoną!

– Niedługo podzielała na nią znacznie skuteczniej – dość głośno rzekła kobieta w ciemnej chuście, przypuszczalnie matka jednego z zamordowanych chłopców. Na sali podniósł się szum.

– Oddałam protest – oznajmił sędzia nerwowo. – Proces jest jawny i nie ma prawa, w myśl którego pan Semirol nie mógłby być na nim obecny, jak każdy inny obywatel... W przeciwnym razie byłaby to dyskryminacja...

Sędzia zaciął się i zagryzł wargę, jakby żałując tego, co powiedział.

Dokończył tonem niżej:

– Dyskryminacja o podłożu biologicznym.

W sali zapadła cisza.

– Bogatego wampira nikt nie nazwie wampirem – rozległ się w tej ciszy ironiczny głos. Wolna przestrzeń wokół pana Semirola powiększyła się o kilka kolejnych foteli; a on nawet okiem nie mrugnął.

„Bogatego wampira nikt nie nazwie wampirem”.

Irena wciąż jeszcze przeżywała przeniewierstwo własnej katedry. Właśnie przeniewierstwo – gdyż w tym przypadku uwierzenie równało się zdradzie.

„Bogatego wampira nikt nie nazwie wampirem”. To zdanie coś jej przypominało. Jakaś dawno czytana książkę.

– I w końcu przyznanie się do winy samej oskarżonej, które następnie odwołała...

Szum na sali.

– Odmawiając przyznania się do winy... obciążając tym samym...

Przestała słuchać.

Gdyż wszyscy byli zmęczeni i głodni. Gdyż niezależnie od całej sensacyjności sprawy, przesłuchania nie zostaną raczej przeniesione na jutro.

Wszystko jest aż nazbyt oczywiste. Wszyscy niecierpliwie czekają już na zakończenie, na wynik.

No cóż. Teraz będzie mogła ze znajomością tematu pisać kryminały.

Wydawca będzie zachwycony.

Uśmiechnęła się krzywo. Zapomniała zadzwonić do swego agenta. Być może wewnątrz modelu wydawcy mają inne wymagania?

Wątpliwe.

Spotkała się wzrokiem z panem Semirolem.

I drgnęła mimowolnie.

Już nie przypominał Andrzeja. On... Dlaczego tak na nią patrzy?!

Jakby wyczuwając jej nagły strach, Semirol odwrócił wzrok.

„Bogatego wampira nikt nie nazwie wampirem”.

Słynny adwokat o przydomku Wampir.

„...jest on tu obecny nie z zawodowych, lecz korzystnych dla siebie i antyhumanitarnych celów...”

Trzeba się nad tym zastanowić. Trzeba się nad tym dokładnie zastanowić.

– Oskarżona Chmiel. Ma pani prawo do ostatniego słowa!

Wstała wcześniej, niż zorientowała się, czego od niej chcą.

I przez minutę stała jak słup w napiętej ciszy.

Co właściwie miałyby powiedzieć?

„Wasz świat jest modelem”?

„Wszyscy jesteście wytworem fantazji mego obłąkanego męża”?

„Jestem człowiekiem z innego świata. Jak możecie mnie sądzić?”

Westchnęła głęboko i spojrzała w kąt sali, gdzie siedzieli krewni ofiar.

Wstrząsnął nią dreszcz, znalazła jednak w sobie siłę, by się odezwać.

– Jestem...

Znieruchomiałe twarze. Pełne nienawiści oczy. I zupełnie nie w porę przypomniały jej się fotografie, które pokazywał jej śledczy; te potworne fotografie.

– Jestem niewinna... To nie ja! Słowo honoru!

Jej głos utonął we wzburzonym pomruku tłumu.

Jedynie krewni milczeli i patrzyli.

Uwierzą?

Nie.

Została skazana na śmierć. W świecie wymodelowanym przez miłującego praworządność Andrzeja okazało się to być na porządku dziennym. Kobieta? I co z tego? Zabójczyni, seryjna zabójczyni, uznana za poczytalną.

Przenieśli ją do specjalnej celi i wydali specjalną odzież. Nie bała się.

Męczyła ją tępa, pełna zaskoczenia odraza.

Ciekawe, jak daleko to może zajść?

Nigdy w życiu, za żadne skarby, nie zgodziłaby się na pisanie sądowo-więziennych dzienników. Choćby jej agent stawał na głowie.

Zaproponowano jej, by poprosiła o ułaskawienie.

– A kogo miałabym prosić? – spytała ze zdziwieniem.

– Przecież was nie ma... jesteście cieniami... modelem, nie pojmujecie tego?

Pozostawiono ją w spokoju. Kilka dni przebywała w pełnym otępieniu, po czym ocknęła się i zażądała prawdy o swoim losie: kiedy?!

Udzielono jej wymijającej odpowiedzi.

Poprosiła, by przyniesiono jej gazety z ostatniego tygodnia i gdy dostała cały plik różnorodnej prasy, doznała kolejnego szoku.

Wszystkie gazety – od „Wieczornego Miasta” do najmarniejszych brukowców – poświęciły jej sprawie przynajmniej linijkę, przynajmniej notatkę. Poznawała się na fotografiach – na jednych od razu, na innych z trudem. Albo była to kwestia profesjonalizmu fotografa, albo chwili, w której było

robione zdjęcie – odnosiło się jednak wrażenie, że w tej samej klatce siedziało kolejno kilka różnych kobiet: jedna była demonicznie urodziwa z małąkimi, wyszczerzonymi zębami, druga miała opuchniętą twarz maniaczki, trzecia była senna, czwarta zapłakana...

Irena dostała wąty, plastikowy grzebień. Wszystkie przedmioty posiadające twarde albo ostre brzozy – także lusterko – zostały jej odebrane jeszcze w trakcie psychiatrycznej ekspertyzy.

Uczesała się, patrząc na własny cień. Rozmasowała policzki. Dokładnie wygładziła brwi. Koniec końców jeśli Andrzej ją obserwuje...

Co za brednie. Andrzej nie jest bezcielesnym duchem, nie potrafi wcielać się w innych ludzi, a poza tym jest martwy. Chodzi tu o model realnego świata, a nie o powieść fantastycznonaukową, której wspaniałymi perspektywami skusił ją Peter Nikołań.

Najodważniejsze gazety zamieściły obok jej zdjęcia wykradzione ze śledztwa fotografie z miejsc przestępstw. Najmądrzejsze – fotografie chłopców, kiedy jeszcze żyli. W obydwu przypadkach efekt był wstrząsający.

Irena chwyciła się za włosy, niszcząc świeżo zrobioną fryzurę. Idioci!

Przecież mordercy jest na wolności! Jak stwierdził pan Wampir: „Byłoby pani na rękę, gdyby morderstwa nie ustały”.

A zabójcy, jeśli ma choć trochę oleju w głowie, poczeka, aż Irena zostanie stracona. I dopiero potem...

– Ależ z ciebie kanalia – rzekła Irena, zwracając się do niewidocznego Andrzeja.

Wyrażane w gazetach opinie nie były jednoznaczne. Część reporterów wątpiła, by kobieta siedząca za kratą w sądowej sali była w stanie dokonać tych wszystkich przestępstw. Zresztą nawet te wątpliwości były udawane, sztuczne, wyrażane jedynie po to, by rozjaśnić nieco ton artykułów i podkreślić indywidualność ich autorów.

A potem jej wzrok zatrzymał się na niewielkim, skromnym artykule w kiedyś jej ulubionym „Wieczornym Mieście”.

„Ogłoszenie!... Według informacji uzyskanych z wiarygodnych źródeł, procedura kaźni Ireny Chmiel zostanie powierzona pewnej anonimowej osobie cierpiącej na uzależnienie od hemoglobiny. Czytajcie jutro w

«Wieczornym Mieście»: Czy społeczeństwo ma prawo przekazywać wampirom osoby skazane na karę śmierci?”

Irena przełknęła gęstą ślinę.

Andrzeju... coś ty narobił? Kompletnie zwariowałeś? Czy to ja tracę zmysły? A może reporterzy oszaleli?

Położyła się na pryczy, jak zwykle przykryła kocem i zapadła w sen, jak w ratunkową szalupę.

\* \* \*

Nie wiedziała, do czego to można porównać. Przed poznaniem Andrzeja nie miała żadnych intymnych doświadczeń – całowanie się w ciemnej kinowej sali się nie liczyło; tym bardziej orkiestra dęta pod oknami Iwonika.

Niedopowiedzenia w rozmowach z przyjaciółkami, tanie romansidła i modne filmy były w zasadzie jedynym źródłem wiedzy Ireny na ten temat.

Stwierdzenie, że Andrzej jest „pomysłowy”, nie wyjaśniało niczego.

W stanie ekstazy modelował pogańskie składanie ofiary, afrykańskie obrzędy inicjacji czy też intymne obyczaje ryb głębokowodnych; nie można powiedzieć, by Irenie wszystko to podobało się w jednakowy sposób, jednak nigdy nie odczuwała przy tym dyskomfortu. Był niczym dobry aktor w roli złoczyńcy – widownia drży ze strachu, a na ciele ofiary nie ma nawet zadrapania.

Gdy był w dobrym nastroju, otulał ją swą czułością niczym włochatym kocem.

Gdy wpadał w zadumę, zapominał o niej, nawet leżąc obok niej w łóżku.

Kiedys kochali się przy dźwiękach płynącej z radiowych głośników muzyki symfonicznej. Rozpoczęło się od bogatego preludium, kurtyna poszła w górę i wydawało się, że dzieło będzie różnorodne i pełne przepychu – gdy pochylony nad swą żoną dyrygent nagle się nad czymś zamyślił. Potraktowała jego zamyślenie jak dramatyczną pauzę i przez jakiś czas oczekiwała na zwrot akcji

– jednak Andrzej już słodko spał, zapominając o zapowiedzeniu antraktu.

Przez jakiś czas słuchała jego równego oddechu, po czym delikatnie uwolniła się z jego objęć i wyłączyła muzykę. Spał już do rana. Irena siedziała w kuchni, piła herbatę i przyglądała się swemu odbiciu w ciemnym oknie – do samego świtu.

Pewnego razu wracając do domu, spotkała czekającą na nią damulkę.

Młoda, lecz nie młodziutką, całą ubraną na niebiesko – niebieski krótki płaszcz, niebieskie rajstopy, niebieskie buty i czapka z intensywnie błękitnym piórem.

– Pani Irena? – damulka miała błękitne oczy podkreślone jasnoniebieską kredką.

– Tak, to ja.

– Mam na imię Lucyna... proszę się nie dziwić. Może mnie pani oczywiście zignorować. Ale przecież los Andrzeja nie jest pani obojętny?

Irena milczała, przyglądając się blad różowej twarzy w błękitnej oprawie.

– Andrzej... widzi pani. Jest pani jego żoną... rozumiem, że jest pani ciężko. Życie u boku genialnego artysty, kompozytora, pisarza nie jest łatwe...

takim ludziom potrzebna jest wyjątkowa żona. Kobieta, która potrafi ich zrozumieć, zrezygnować ze swej indywidualności, stać się ich odbiciem, cieniem...

– Jest pani jego kochanką? – spytała Irena.

Damulka westchnęła.

– Jestem jego przyjaciółką... czego niestety nie można powiedzieć o pani.

Nie potrafiła pani stać się przyjaciółką własnego męża.

– On to pani powiedział?

– Nie, ale to przecież widać. Proszę mnie zrozumieć, pani Ireno...

Osobowość Andrzeja jest zbyt cenna, by rozmieniać ją na drobne, na banalne życie rodzinne. Będzie z nim pani nieszczęśliwa... pani go nie rozumie i nie docenia. On także będzie z panią nieszczęśliwy. Powinniście się rozstać.

Geniusz nie potrzebuje żony, lecz przyjaciela, towarzysza... niańki...

– Muszę się zastanowić – rzekła Irena z westchnieniem.

I odeszła, pozostawiając damulkę z otwartymi ustami. Najwyraźniej nie zdążyła się jeszcze wygadać.

Wieczorem wrócił Andrzej – roztargniony i pogrążony w myślach.

– Spotkałam twoją wielbicielkę – rzekła Irena po kolacji, gdy nie było już w zasadzie o czym rozmawiać.

– Którą? – zapytał nieobecny myślami Andrzej.

– Niebieską.

– Aaa... I co?

Irena milczała przez chwilę.

– Uważa, że jestem dla ciebie kiepską niańką.

– A według ciebie jest inaczej?

Irena westchnęła.

– Wiesz, opublikowali mi opowiadanie... w antologii...



– Pokażesz?

– Tak... Jak myślisz, Andrzej, potrzebujesz innej żony?

Teraz on zamilkł. Co było dość dziwne, gdyż w przeciwieństwie do Ireny zawsze reagował błyskawicznie, niekiedy nawet uprzedzając wydarzenia.

– Nie wiem, czy potrzebuję żony... Potrzebuję jednak ciebie, Ireno.

Właśnie ciebie.

\* \* \*

„Czy społeczeństwo ma prawo... skazanych na... wampirom?...”

Gazeta była przedwczorajsza. Irena długo domagała się właśnie tej gazety i w pewnym momencie pomyślała nawet, że strażnicy ukrywają ją przed nią, by nie obciążać jej psychiki.

Było jednak inaczej. Oni po prostu zawinęli w nią śledzie. I gdy Irena dostała w końcu swą gazetę, brakowało w niej połowy stron, a pozostałe śmierdziały rybą i część tekstu pokrywały tłuste plamy.

Farba drukarska jest szkodliwa, szczególnie jeśli je się ją wraz z posiłkiem.

Strażnicy nie mieli pojęcia o zasadach higieny.

Irena wstrzymała oddech. Nagle przypomniał jej się Andrzej siedzący za improwizowanym, studenckim stołem. „A tak na marginesie, co sądzicie o karze śmierci?”

Ten żart wcale nie był śmieszny.

„Według info... zdobytych z wiarygodnych źródeł... pewien znany adwo...

zapłacił za oskarżoną Chmiel okrągłą sumę...”

Irena przetarła oczy. Trudno było jej uwierzyć w taką sumę, najwyraźniej winę ponoszą tłuste śledzie.

„...miejskie... zacierają rękę... gdyż problemy finansowania... tradycyjnie palące... nowe miejsca pracy... zasiłki... nowoczesne... Pamiętając jednak karze za tak ciężkie przest... zapomni... Nawet jeśli stracenie oskarżonej ma sens, to przekazanie prawa karni w prywatne ręce...”

– Przekazanie prawa karni w prywatne ręce.

Andrzeju, halo! Słyszysz mnie?...

Peter! Dlaczego pan kłamał?!

*Wejdzie pani w świat... Najprawdopodobniej dokładnie odpowiada on naszemu, może jedynie*

*niewielkie przesunięcie w czasie...*

No pewnie. Dokładnie odpowiada.

*Byłby to przełom w pani pisarskiej karierze. Nie wspominając już o niezapomnianych przeżyciach... Proszę sobie wyobrazić, że proponujemy pani lot w kosmos... Czy odmówiłaby pani?*

– Odmówiłabym – rzekła Irena na głos.

Duży fragment tak ważnego dla niej artykułu był oderwany razem z częścią pozostałych stron gazety. A zatem nie będzie jej dane dowiedzieć się, jakimi argumentami podpira się korespondent, krytykując tę karygodną praktykę –

przekazywania skazanych na śmierć „w ręce prywatne”.

Zaczęła walić w drzwi, początkowo pięściami, później nogami. W końcu okienko się otwarło.

– Proszę mi powiedzieć – poprosiła, starając się, by jej głos brzmiał

możliwie najbardziej przyjaźnie – kogo nazywa się tu wampirami?

– Nie mam prawa z panią rozmawiać. Okienko się zatrzasnęło. Słysząc było tylko oddalające się kroki.

\* \* \*

Następnego ranka ogłosiła głodówkę, żądając informacji o swym dalszym losie. Kiedy? W jaki sposób? Jakim, u diabła, prawem?

Już w połowie dnia, wygłodniała, przerwała akcję protestacyjną i zjadła przysługujący jej, syty obiad. Jednak jacyś drobni urzędnicy poczuli się zaniepokojeni i wieczorem w celi Ireny pojawił się jeden z nich i zapoznał ją z aktami.

Wszystkie nosiły adnotację: „kopia” i były posortowane chronologicznie.

Aresztowanie Ireny... Przebieg przesłuchań... Rozprawa sądowa...

Ostatni dokument był najmniejszy, skromny i niepozorny. Irena musiała wyteżać wzrok, by wczytać się w wydrukowany mikroskopijną czcionką tekst: nakaz... zgodnie z literą prawa, paragraf taki to a taki... przekazanie praw...

panu Janowi Semirolowi jako prywatnemu przedstawicielowi wymiaru sprawiedliwości... zobowiązując go do wykonania wyroku w przeciągu trzech miesięcy...

Oficjel wyszedł, a Irena wciąż stała pośrodku celi, marszcząc brwi i bezgłośnie poruszając wargami.

Dopiero po półgodzinie ugięły się pod nią nogi.

Nie przyszli po nią o świcie, jak każe tradycja, lecz po kolacji. Irena nic nie rozumiejącym spojrzeniem przyglądała się posępnym konwojentom, więziennemu lekarzowi i dwóm urzędnikom – jednego już znała, drugi był

nowy. Obaj jednakowo bezbarwni – pod kolor przypominających uniformy garniturów.

Lekarz zmierzył jej ciśnienie i zajrzał do gardła. Ciekawe, co by było, pomyślała Irena obojętnie, gdybym miała anginę?

Lekarz podpisał się na szarym dokumencie.

Jeden z oficjeli – nie zorientowała się, który – jeszcze raz zaznajomił ją z treścią małego, niepozornego dokumentu. Męcząc się przy tym, podobnie jak wcześniej Irena, z odczytaniem mikroskopijnych liter.

– Orzeka się przekazanie praw związanych z wykonaniem wyroku panu Janowi Semirolowi jako prywatnemu przedstawicielowi wymiaru sprawiedliwości oraz zobowiązując go do wykonania wyroku w przeciągu trzech miesięcy.

A więc to nie dzisiaj, obojętnie pomyślała Irena.

Po chwili wahania narzucono jej na ramiona watowaną, znoszoną kufajkę.

Było zimno. Prowadzenie na śmierć pod koniec listopada jedynie w więziennych drelichach byłoby niehumanitarne.

Korytarz był długi jak szlauch. Na więziennym dziedzińcu oczekiwał na nich więzienny furgon.

– Dokąd mnie wieziecie? – zapytała Irena z histerycznym śmiechem.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Weszła do żelaznej paki, za jej plecami zatrzasnęły się drzwi. Na wydeptaną setkami nóg podłogę padał blady kwadracik światła – wszystko, co pozostało ze słonecznego, listopadowego dnia.

Samochód ruszył.

Irena oparła się kolanami o ławkę – zupełnie jak dziecko w metrze.

Zbliżyła twarz do gęsto zakratowanego okienka.

Za brudną szybą migwały cienie. Irena nie była w stanie poznać żadnych znanych miejsc – jakby podczas jej pobytu w więzieniu miasto ostatecznie rozmyśliło się udawać, że jest sobą. Zdjęło maskę i prezentowało się teraz w całej wrogiej obcości.

Zmęczyło ją patrzenie. Usiadła, kładąc nogi na ławce, gdyż samochód jechał płynnie i ani wyboje, ani nagłe hamowania nie przeszkadzały więźniarce.

Wampiry mają kły. Wampiry śpią w trumnach. Gdy Irena miała czternaście lat, obejrzała wszystkie dostępne filmy o tej tematyce.

Zdrętwiałą ręką sięgnęła za pazuchę. Więzienny drelich nie miał kieszeni, jednak Irenie udało się zrobić w jego fałdach skrytkę. Nieprzypadkowo w ciągu ostatnich dni tak uparcie prosiła na obiad coś pikantnego. I oto one, trzy wywalczone ząbki czosnku.

Irena zamknęła oczy – pan Semirol stał przed nią jak żywy. Czy uśmiechał

się podczas ich jedyne go spotkania? A jeśli tak, to czy odsłaniał przy tym zęby?

Nie ma przy sobie żadnego srebrnego świecidełka. A w celi śmierci trudno znaleźć osinowy kołek.

Teraz czy potem?

Potem. Ostrożnie schowała ząbki czosnku z powrotem. Przygryzła wargę.

Niekiedy wampirami nazywa się – w przenośnym znaczeniu – dusigroszy, szubrawców, na przykład pozbawionych sumienia bankierów. A może Wampir to przezwisko chciwca?

„Prywatny przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości”. Prywatny kat, wyrażając się ściślej. Ciekawa praktyka... Inna sprawa, gdy kaźń odbywa się w miejscu publicznym. A czymś zupełnie innym jest sytuacja, gdy wyrokami śmierci handluje się niczym myśliwskimi licencjami.

Czy to twój wymysł, Andrzej? Czy mimo wszystko błąd, efekt uboczny, cegiełka, która wypadła ze swojego miejsca w murze? Zmieniając tym samym całą strukturę modelu.

Samochodem zatrzęsło. Irena chwyciła się za ostry brzeg ławki; miasto zostało z tyłu. Jadą już jakieś pół godziny – ciekawe dokąd?

Wyjrzała jeszcze raz i tym razem widoczność była znacznie lepsza.

Zmrużyła nawet oczy od stojącego niewysoko, listopadowego słońca, przebijającego się przez warstwę kurzu na szybie więziennego furgonu.

Góry. Samochód pełził po górskiej drodze – lecz nieznojonej, wijącej się po zielonych wzgórzach, z mgłą ścielącą się nad wąskimi strumieniami. Góry te przypominały raczej ich dawny wyjazd do schroniska – były wysokie i postrzępione, łyse, pozbawione roślinności, zimne i niedosiężne.

Przetarła oczy. W okolicach miasta na pewno nie było skalistych górskich grzbietów. Nie powinno ich tu być... To niewłaściwe góry, spoza modelu, tu jest zupełnie inna okolica! Ciekawe, czy istnieje granica, terytorialne zakończenie modelu?

Dokładnie wyobraziła sobie, jak samochód mija niewidoczną linię i wypada ze stworzonego przez

Andrzeja świata wprost w tłum zrozpaczonych i wychudłych od oczekiwania ekspertów, w objęcia tej nieodpowiedzialnej kanalii – Petera Nikołana.

Czy on w ogóle brał pod uwagę, że wydarzenia potoczą się właśnie tak?

Jeśli nie, oznaczało to, że jest niekompetentny. A jeśli brał i postanowił

zaryzykować? Łajdak. Gad.

Samochód zwolnił. Zatrzymał się.

Irena poczuła, jak drętwieją jej ręce. A nogi zamieniają się w dwa waciane, pozbawione czucia worki.

Już?!

Głosy z zewnątrz. Ludzki cień na chwilę przysłonił słońce. Irena przywarła do okna, ściskając w spoconej pięści swą ostatnią broń – czosnek.

Ktoś, zdaje się kierowca, dziwnie drepcząc, zbliżył się do samotnego drzewa na skraju drogi. Stał w charakterystycznej pozie i zamarł niczym skoczek pustynny przed wschodem słońca.

Irena splunęła w myślach i oderwała się od okna. „Postój techniczny”.

A może by?...

I zaczęła walić pięściami w ściankę kabiny.

– Ej! Ej! Wypuście mnie na chwilę, za potrzebą.

Zasepione twarze. Pomruki niezadowolenia. Też czują się nieswojo –

wszak konwojowanie skazanego na śmierć na miejsce kaźni nie należy do przyjemności, szczególnie jeśli jest nim kobieta.

Tak. Modelując te góry, Andrzej najwyraźniej posiłkował się najlepszymi albumami geograficznymi. Co ona zresztą wie o procesie modelowania?

Domki zbudowane z pudełek od zapalek już dawno należały do przeszłości.

Rozejrzała się, mrużąc oczy.

Tak. Nie ma nic do stracenia. Z prawej strony skalna ściana. Z lewej urwisko. Strome, lecz nie pionowe. Można skrócić kark. A można i nie skrócić.

Konwojentów jest dwóch. Trzeci – kierowca. Każdy ma przy boku ciężką kaburę.

Ale czy pocisk nie jest lepszy od czyichś zaślinionych kłów?!

– Tylko szybko – rzekł przez zęby jeden z konwojentów.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Tutaj? Pozwólcie chociaż iść za krzaczek...

– Już ja ci pójdę – rzekł drugi, posepny, o czerwonej twarzy. – Tu, na drodze.

Urażona uniosła brwi i skierowała się w stronę urwiska.

– Stać!!!

Zatrzymała się.

*W zasadzie należało obnażyć się i przykucnąć w nadziei, że konwojenci odruchowo odwrócą wzrok.*

Irena wyobraziła sobie, jak rzuca się w przepaść, podtrzymując w locie spadające, więzienne spodnie.

Skrzywiła się, jakby przeżuła cytrynę. Z odrazą odwróciła się w stronę konwojentów.

– Idźcie do diabła. Jedźmy. Rozmyśliłam się.

\* \* \*

Po kolejnej godzinie samochód znów się zatrzymał. Irena zdążyła do tego czasu wpaść w pełne ośpienie – droga wiła się jak robak na haczyku i Irena musiała zwalczać narastające mdłości.

Kolejny „postój techniczny”?

Rozległy się głosy z zewnątrz.

Z trudem podniosła się z ławki. Chciała podejść do okienka, lecz w tym momencie drzwi się otwały, wpuszczając w zaduch furgonetki lodowy powiew świeżego, górskiego powietrza.

Irena zmrużyła oczy, choć słońce stało nie tak znów wysoko świeciło z przeciwnej strony. – Niech pani wysiądzie. Fakt, że konwojent zwrócił się do niej per „pani”, zmroził jej skórę. Ani się obejrzała, a na jej nadgarstkach już zatrzaśnięto kajdanki. Tu leżał już śnieg. I wiatr bił w twarz niczym mokry ręcznik. Więzienna furgonetka stała maska w maskę z innym samochodem.

Wysokim, z szerokimi, głęboko bieżnikowanymi oponami i reflektorem na dachu – od razu było widać, że to dobry samochód, terenowy.

– Proszę tu podpisać.

Irena nie od razu poznała pana adwokata, Jana Semirola. Zamiast eleganckiego garnituru miał na

sobie sportową kurtkę i brezentowe spodnie w panterkę, a na głowie narciarską czapkę z wizerunkiem żółtej, śmiejącej się myszy.

– Proszę się tu podpisać.

Adwokat oparł na kolanie kartonową teczkę, wyciągnął z kieszeni pióro, które błysnęło w słońcu złotym refleksem, i podpisał po kolei dwa komplety żółtawych dokumentów.

Irena czuła na ramieniu łapę konwojenta o czerwonej twarzy. Najwyraźniej miał on doświadczenie w tego rodzaju procedurach – i przed obliczem

„prywatnego przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości” skazani zwykle podejmowali rozpaczliwe próby ucieczki.

Irena powoli podniosła do twarzy obie ręce. Rozwarła przesyconą zapachem czosnku dłoń. Zlizwała z niej trzy ciepłe ząbki. Ścisnęła zęby, nie czując narastającego pieczenia, zaczęła ostrożnie żuć.

Ohydny zapach.

Jan Semirol starannie schował pióro i dopiero potem spojrzał na Irenę.

Pod tym spojrzeniem konwojent zdjął dłoń z jej ramienia. Długo nie mógł

wyjąć kluczyków – zaczepiły się o dziurę w kieszeni.

Kajdanki otwarły się, uwalniając jej nadgarstki.

Semirol uśmiechnął się, nie rozchylając warg.

Niezwykłe gładka skóra. Bardzo starannie ogolona twarz. Zdrowy, wypoczęty jegomość. I najwyraźniej syty.

– Kufajkę też musimy zabrać – rzekł kierowca, wpatrując się w śnieg.

Irena poruszyła ramionami. Watowana, znoszona kufajka upadła na drogę.

A właściwie zamierzała upaść, gdyż jeden z konwojentów zręcznie ją podchwycił.

– Tchórzliwe buraki – rzekła Irena, nie zwracając się do nikogo konkretnie. – Baby.

– Jedziemy – rzekł nerwowo kierowca.

Cała trójka, jak na komendę, rzuciła się ku kabinie. Jakby ktoś ich batem poganiał.

Więzienna furgonetka wrzuciła wsteczny zbyt ostro, nieomal lądując jednym kołem za krawędzią urwiska. Zawróciła, wyrzucając spod kół brudny śnieg i kamyki; zadymiała po drodze, podskakując kilka razy na wybojach, i skryła się za zakrętem.

– Mam w samochodzie ogrzewanie – rzekł Semirol.

Irena nie odwróciła głowy.

Góry były zbyt piękne. Pocztówkowa scenografia do horroru.

– Słyszysz pani? Jest zimno. Proszę wsiąść do samochodu. A może by się rzucić z urwiska, pomyślała z rosnącą obojętnością Irena.

– Niech pani wsiada.

W końcu zobaczyła otwarte drzwiczki. Podeszła, nie czując nóg. Wsiadła i podciągnęła kolana do podbródka.

Semirol usiadł obok. Włączył radio; z oddali cieniutkim głosem zaświergotała popularna piosenkareczka.

A to ci dopiero... Irena nawet pamiętała jej nazwisko. Nazwisko stamtąd, z prawdziwego, niemodelowanego świata.

Semirol zawrócił samochód.

Byłoby nieźle, gdyby terenówka nie utrzymała się na wąskiej drodze i runęła po kamieniach w dół, roztrzaskując się po upadku z zaśnieżonego stoku.

Przypomniała sobie o czosnku.

Po zdobytych z takim trudem ząbkach pozostał jedynie lepki posmak w ustach. Była tak przerażona, że nie pamiętała nawet, kiedy połknęła swą ostatnią broń.

– Niech pani zapnie pasy.

– Słucham?

– Proszę zapiąć pasy; to w końcu góry.

Jej ręce zareagowały niezależnie od woli. Wykonała polecenie.

Teraz szeroki rzemień pasa przytracał ją do fotela.

– Wciąż jest pani zimno?

Zdała sobie sprawę, że drży. Szczękała zębami tak, że niemal odgryzła sobie język.

– Klimatyzacja działa pełną parą – uśmiechnął się Semirol. – Mnie na przykład jest ciepło.

Jego czoło rzeczywiście zroszone było potem. Wystające spod narciarskiej czapki twarde włosy sterczały na wszystkie strony.



– Będziemy jechać jakieś pół godziny... Proszę się rozluźnić. I popatrzeć, jakie piękne są te góry.

– Są nieprawdziwe – rzekła Irena obojętnie. – To model.

– Zgodzi się jednak pani, że to piękny model.

Rzuciła na niego szybkie spojrzenie. Samochód w górach... Dłonie lekko leżące na kierownicy.

– Andrzej? – zapytała szeptem, sama sobie nie wierząc. – Andrzej?!

Do diabła, jak to do niego podobne... Doprowadzić ją do obłądu, a potem pojawić się znikąd, zupełnie niespodziewanie, znienacka. Wyjrzeć spod maski kogoś obcego.

– Spodziewałam się czegoś podobnego – ale dlaczego to zrobiłeś?!

Poczuła, że po jej policzkach już od dwóch minut płyną łzy.

Semirol przyhamował. Samochód szarpnął się i zatrzymał. Irena westchnęła spazmatycznie pod spojrzeniem hipnotycznych, brązowych oczu.

– Czy ty naprawdę zwariowałeś, Andrzej? Więżenie... Zdajesz sobie sprawę?! Jak tak można... ekspertyza... co oni ze mną... i wszystko takie realne. Zbyt realne. Rozprawa. Jak mogłeś do tego dopuścić?! Morderczynie...

dlaczego morderczynie? Jesteś szalony... jesteś kanalią... Jeśli to zemsta... to za co?! Podjęliśmy wtedy słuszną decyzję... bo z tobą nie da się żyć; jesteś obłąkany!! Ale były też przecież dobre chwile... tyle dobrych chwil... więc dlaczego... obiecałeś, że będziesz pamiętać... lepiej, gdybyś zapomniał... Ty draniu! Nienawidzę cię!

Semirol patrzył na nią i jego wzrok się zmieniał. Oczy robiły mu się coraz większe i badawczość ustępowała miejsca zdumieniu; Irena miała wrażenie, że zadbana twarz pana adwokata zaraz pęknie i wyłoni się spod niej ironiczna gęba jej byłego męża.

– Ten bydlak, Peter, obiecał mi... pół godziny! Tylko pół godziny, bez najmniejszego ryzyka. Jesteś z nim w zмовie? Czy go wyrolowałeś? Dość już tego, Andrzej! Wystarczy. Już... napastwiłeś się nade mną do woli.

Przekroczyłeś wszelkie możliwe granice... Mam już dość twojego sadystycznego modelu; chcę wrócić do normalnego świata!!

Zaczęła spazmatycznie szlochać. Semirol przyglądał się jej i jego oczy były już ponure.

– Z kimś mnie pani myli, Ireno.

Wzięła się w garść. Zagryzła wargę, próbując powstrzymać nawrót hysterii.

Słońce, czerwone jak rozgrzana moneta, opuszczało się coraz niżej. Porywy wiatru rozkołysały

samochodową antenę i miało się wrażenie, że terenówka z niezadowoleniem porusza swym jedynym wąsem.

Semirol milczał – ciężko i posepnie.

– To piękny model – wymamrotała Irena, jakby się usprawiedliwiając. –

Przecież to potwierdziłeś, prawda?

Semirol milczał.

– Andrzeju...

Jego wąskie wargi lekko drgnęły.

– Mam na imię Jan.

Zapadła cisza. Tak długa, że słońce zdążyło do połowy ukryć się za postrzępionym horyzontem.

Na zewnątrz samochodu hulał wiatr. Przez szczeliny wdzierał się do środka.

– Przecież ty udajesz – wyszeptała Irena, świadoma już swej omyłki, nie chcąc jednak rozstawać się z dopiero co roznieconą iskierką nadziei.

– Nie... nie udaję. Nie wiem, co się pani przywidziało, ale jestem tylko Janem Semirole.

Przez jakiś czas przyglądała się jego zadbanej, obcej twarzy. Potem z całej siły naparła na drzwi; miała tylko jedno wyjście – skok w przepaść; i Irena szarpnęła się, chcąc natychmiast znaleźć się na dnie kamienistego urwiska.

Drzwi nie ustąpiły. Irena na próżno pastwiła się nad chromowaną rączką.

– Ależ, pani Chmiel... przecież tak świetnie się pani trzymała... Proszę tylko o chwilę cierpliwości. Zaraz będziemy na miejscu.

Samochód ruszył.

Obmiękla, pozwalając pasowi bezpieczeństwa usadzić się z powrotem w fotelu.

– Zaraz przyjedziemy, uspokojmy się, porozmawiamy... lubi pani czosnek?

W lodówce zostało mi chyba trochę czosnkowego sosu.

Zamilkł, nie odrywając oczu od drogi. Była specyficzna. Jakby przeznaczona do samobójczych rajdów, do prób wytrzymałości nerwów.

– Nie zamordowałam ich – rzekła Irena ochryple. – Przecież ich nie zamordowałam! Nikogo w życiu nie zabiłam. Własnymi rękami udusiłabym tę zabójczynię.

– Nie mogę rozmawiać, kiedy prowadzę.

– Wierzy pan, że jestem zabójczynią?

– Nie mogę rozmawiać podczas jazdy.

– Przecież jest pan prawnikiem! Adwokatem; powinien pan...

Samochód potoczył się w dół; droga opadała coraz stromiej.

Za zakrętem ukazał się las. Drzewa wypełniały niewielki płaskowyż; zakątek otoczony ze wszystkich stron górami.

Przytulne gniazdko.

Droga zrobiła się szersza i bardziej równa. Pokazała się przesieka.

– Mam tu małą farmę – oznajmił Semirol, podjeżdżając do szerokiej, żelaznej bramy. – Spodoba się pani.

Zachodzące słońce oświetlało grzbiety gór. Irena podniosła wzrok i nagle rozpoznała malowniczy pejzaż, który kiedyś zdobił ścianę ich małżeńskiej sypialni.

## **Rozdział 4**

– Pierwsze, o co panią poproszę, to męstwo i spokój. Wszyscy jesteśmy śmiertelni, a przeznaczenie od czasu do czasu płata nam nieprzyjemne figle.

Nikt nie wie, co przyniesie mu jutro, proszę się więc odprężyć i cieszyć dniem dzisiejszym.

Irena głęboko westchnęła.

Pachniało tu domem. Po więzieniu, po sądzie, po celi śmierci – czysty kurort.

Semirol z wprawą – niemal rutyną – rozpałił w kominku. Choć w pokoju i tak było ciepło. Irena siedziała na skraju kanapy, zwieszając ręce między nogami i obojętnie przyglądając się dziwacznym obrazom na wyłożonych drewnem ścianach.

– Zobacz pani, że jest tu znacznie lepiej niż w więzieniu. Będzie pani mogła się umyć i odpocząć.

– Chciałabym się przebrać – wyszeptała.

Więzienne drelichy wydawały jej się przyschniętym do ciała strupem. I jeszcze ten uporczywy zapach czosnku.

Czosnek jej nie ochroni. Srebrna kula? Osinowy kołek?

Ciekawe też, kiedy będzie najbliższa pełnia?!

Miała dostęp do gazet, kalendarzy... i nie wyjaśniła tak prostej, tak ważnej kwestii.

– Zagrzała się woda w bojlerze, pani Ireno. Może się pani wykąpać albo wziąć prysznic. Te łańchmany, które ma pani na sobie, proszę wyrzucić do śmieci. Na wieszaku znajdzie pani szlafrok. Toaletowe przybory są oczywiście do pani dyspozycji. Mam do pani pełne zaufanie... nie zamierza się pani przecież utopić?

Ostatnie pytanie zabrzmiało jak żart. W odpowiedzi Irena uśmiechnęła się wymuszenie; nie chciało jej się ruszać. Nie miała ochoty wstawać z kanapy.

Łazienka nie ustępowała rozmiarami celi śmierci. I ku radości Ireny drzwi zamykały się na zasuwkę.

Zdjęła ubranie – jednym szarpnięciem rozrywając kołnierz. Dziwne, że miała jeszcze tyle siły. Chyba że drelichy dla skazanych na karę śmierci wykonuje się ze sparciałego materiału.

Jej myśli przypominały żyjące na morskim dnie ryby – były ciężkie i płaskie.

Zmyła z siebie więzienie i sąd. Wszystkie oskarżenia starła pumeksem.

Tarła ciało szorstką gąbką, mając nadzieję, że zrzuci skórę i odrodzi się jak wąż.

Skóra jednak nie chciała schodzić i Irena straciła zainteresowanie myciem.

Chwilę jeszcze stała pod prysznicem, zmieniając temperaturę wody; wyszła, pozostawiając na ciepłej, gumowej macie mokre ślady.

Jej ciało było dobrze. Ciało było głodne i śpiące. Ciało nie chciało myśleć o...

Irena odruchowo przyłożyła dłoń do tętnicy szyjnej. Przeniosła spojrzenie na zamykającą drzwi zasuwkę.

Nie wytrzyma silnego uderzenia.

Choć pomysł był niezły. Zasuwka powinna wytrzymać przez pięć minut.

Przez ten czas zdążyłaby...

„Mam do pani pełne zaufanie... nie zamierza się pani przecież utopić?”

Jeszcze zobaczymy, przemknęło jej przez myśl.

Wytarła się ręcznikiem. Szczelnie otuliła się w szlafrok – nieprzyjemnie zaskoczył ją fakt, że szlafrok był dla niej przygotowany, jednak samotna, mroczna myśl utonęła w pełnym ulgi westchnieniu zrelaksowanego ciała.

Normalne ubranie. W końcu.

Po chwili wahania otworzyła zasuwkę, burząc krótkotrwałą iluzję kryjówki, własnej twierdzy.

Było słychać, jak gdzieś daleko, na dole, potrzaskuje w kominku ogień. I niewidoczny Semirol pogwizduje przez zęby coś z klasycznego repertuaru.

Rozejrzała się.

Dom był duży. Solidne okiennice. Trzeba się zatroszczyć o ciepłą odzież i solidne buty – w końcu to góry, listopad.

Ma pewne doświadczenie. Choćby dawne, choćby tylko turystyczne –

jednak z zapałkami i minimalną ilością prowiantu przetrwa w górach co najmniej tydzień. Nawet w listopadzie.

Uśmiechnęła się ledwie zauważalnie.

Drzwi niewątpliwie zamykane są na cztery spusty, ale to przecież nie więzienie! Jeśli tylko będzie miała czas, choćby kilka dni... Kuchnia, spiżarka, weranda...

Uśmiechnęła się szerzej.

„Niech się pani cieszy dniem dzisiejszym”.

To niemal wolność. A w każdym razie iluzja wolności. Wystarczy zmienić więzienne drelichy na miękki szlafrok i człowiek staje się niepohamowanie szczęśliwy.

Stopy jęczały z zadowolenia, tonąc w dużych, puszystych kapciach. Sądziła, że porusza się bezgłośnie, jednak Semirol odwrócił się, gdy tylko stanęła w drzwiach.

– Aha.... Teraz to rozumiem. Zaraz zjemy kolację... i napije się pani czerwonego wina... dla zdrowia.

\* \* \*

Najadła się do oporu i wypila butelkę wina. Po tym jej myślom zrobiło się przestronniej, a ciało wypełnił komfort. Poczula nawet pewną wesołość.

– Proszę mi wybaczyć niestosowną ciekawość. Ale kiedy zamierza mnie pan... pożreć?!

– Jestem wampirem, a nie ludożercą – odparł Semirol z nieukrywanym wyrzutem. – Nikt nie zamierza pani pożerać. To niehumanitarne i nieestetyczne.

– Dom wariatów – rzekła z uczuciem, opierając się na poduszkach. –

Andrzej jest nienormalny.

Semirol spojrział na nią – poważnie, bez uśmiechu.

– Czy mogę wiedzieć, kim jest ten Andrzej, o którym pani wciąż wspomina?

– To mój były mąż... Wyjątkowa kanalia. Modelator tego całego waszego diabelskiego świata.

Semirol czekał na kontynuację, jednak Irena milczała, błogo wpatrując się w ogień kominka. Wówczas ostrożnie zachęcił ją do dalszych wynurzeń:

– Naprawdę? Rzeczywiście jest takim draniem? Wszystkie były żony tak twierdzą.

– Nie wszystkie – rzekła Irena z urazą w głosie. – Sam pan to może ocenić.

Kim trzeba być, by wymodelować całą tę waszą... cały ten marazm?

Semirol ostrożnie napił się ze swego kieliszka.

– Jaki konkretnie marazm?

Irena wykonała szeroki gest ręką, wskazując jednocześnie kominek, Semirola, egzotyczne obrazy na ścianach i niewidoczne góry za oknem.

– To wszystko... cały ten tak zwany świat. Rzeczywistość, realność... której nie ma i nie istniała. Którą zmodelował Andrzej. Oddalając się od naszego normalnego świata. Tylko jak daleko ten idiota się od niego oddalił!

Z odrazą spojrzała na zawartość swego talerza. Leżała na nim grzanka z sosem czosnkowym; pan Semirol, jakby robiąc do czegoś aluzję, przez cały wieczór proponował jej czosnek i nawet sam zjadł na jej oczach kilka ząbków.

A Irenę mdliło od zapachu czosnku – zapewne znenawidzi go do końca życia.

Który, tak na marginesie, nie wiadomo kiedy nastąpi. Może już jutro...

– Niech się pan sam zastanowi – wymamrotała, zamykając zmęczone oczy.

– Czy można uważać za normalny świat... to znaczy *model*... w którym niewinnego człowieka skazuje się na śmierć za jakieś koszarne przestępstwa? Których w żaden sposób nie mógł popełnić – z całej masy przyczyn. Po pierwsze dlatego, że nienawidzi przemocy. Po drugie, gdyż nie było go nie tylko w tym kraju, ale także w tym świecie. Ponieważ przez te dziesięć miesięcy, o które wszyscy tak wierzycie mi dziurę w brzuchu, byłam u siebie! W normalnym, oryginalnym świecie! Na zewnątrz *modelu*... niech pan to zrozumie... nie mogłam popełnić wszystkich tych koszarów, za które zamierzacie mnie...

Odstawiła kieliszek na skraj stołu tak energicznie, że odpadła jego delikatna, szklana nóżka.

– Nie skaleczyła się pani?

Zerknęła na spływającą po palcu samotną, czerwoną kroplę.

Szybko spojrzała na Semirola. Wsunęła palec pod pachę.

– Nieee... To moja krew. Tylko moja. Nie oddam.

Semirol odwrócił wzrok.

– Proszę się nie obawiać.

Irena uśmiechnęła się krzywo.

– Nie obawiam się. To pan powinien się obawiać. Gdyż kiedy panu Nikołanowi skończy się energia – a już tak się dzieje – cały ten... *model* zatrzśnie się jak walizka. Razem z tymi ślicznymi górami, kretyńskim wymiarem sprawiedliwości i wampirami. Tak przy okazji, zdaje pan sobie sprawę, że w normalnym świecie wampiry nie istnieją? Są jedynie płodem chorej fantazji. Ileż ja się naoglądałam... o pana pobratymcach... naoglądałam przeróżnych filmów, niektóre były nawet ciekawe... i czego w nich tylko... ale coś takiego! Nie, jedynie Andrzej jest do tego zdolny... Żeby sprzedawać skazanych na karę śmierci wampirom na pożarcie – przecież to... albo jest marnym modelatorem, albo skończonym bydlakiem. Albo po prostu pomieszało mu się w głowie...

Semirol już siedział obok niej na kanapie, z zatroskaniem marszcząc brwi.

– Wie pani, Ireno, wydaje mi się, że pani majaczy. Czy zdarzało się to już pani wcześniej? Nie?

– Nie – oznajmiła Irena ze szlochem. – Jestem zrównoważoną, spokojną osobą... Co mnie podkusiło, żeby dać się wciągnąć w tę prowokację?! Wlazłam w ten *model jak* lisica w pułapkę; dałam się wrobić... Tania intryga... I to z powodu Andrzeja. Przez niego.

– Proszę się uspokoić. Dobrze? Jeśli to psychoza reaktywna... Zdarza się.

Tylko spokojnie. W porządku?

– W porządku – odparła Irena, zamykając oczy. – Jestem absolutnie spokojna... Już od dawna nic mnie to nie obchodzi.

\* \* \*

Obudziła się w ciemnościach.

Przez chwilę leżała bez ruchu – na plecach, z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami.

Z trudem podciągnęła zdrętwiałe nogi. Koca nie było.

Chłód... Wilgoć...

Absolutny mrok. Ledwie wyczuwalny zapach pleśni.

Przesunęła dłońmi po twarzy, piersiach, brzuchu. Spróbowała rozłożyć ręce i natknęła się na

drewniane ścianki.

Wzdrygnęła się. I oblała zimnym potem. Usiadła gwałtownie.

Siedziała w podłużnej, zwężającej się ku dołowi skrzyni. W trumnie. Nie zaczęła krzyczeć tylko dlatego, że chwilowo straciła głos.

Szarpnęła się gwałtownie.

Trumna ześlizgnęła się z postumentu i z gruchotem spadła na kamienną posadzkę. Irena upadła razem z nią i sycząc z bólu, wypełzła z popękanej skrzyni, potknęła się o leżące obok wieko i znów upadła.

W pobliżu sucho stuknęło drewno. Jakby otwarła się zaopatrzona w sprężynę szkatułka.

Irena drgnęła konwulsyjnie. Pomieszczenie było maleńkie i żadna z czterech wilgotnych i zimnych ścian w najmniejszym stopniu nie przypominała drzwi.

Irena skuliła się w kącie.

Jej trumna, rozbita, z oderwanym atłasowym podglówkiem, walała się pod pustym postumentem. Natomiast druga, stojąca na sąsiednim podwyższeniu, powoli się otwierała.

O gładko wypolerowany brzeg trumny oparła się biała dłoń z długimi, wypielęgowanymi palcami.

Wieko całkowicie się otwarło, upodabniając trumnę do otwartego futerału na skrzypce.

To, co znajdowało się w jego aksamitnych czeluściach, powoli się podniosło.

– Pierwsze, o co panią popchoszę, to menstwo i szpokój – rzekł cicho adwokat Semirol. Miał problemy z mówieniem; białe kły opierały się o jego dolną wargę, kończąc się na poziomie podbródka.

– Pchoszę się odpchęszyc i ciechyc dniem dzisiejszym. Przez skraj trumny przewiesiła się noga w błyszczących sztybletach.

– Aaa!!!

Irena krzyczała, przyciskając do piersi prześcieradła.

Przez okno prześwitywały ledwo widoczne w świetle świtu kontury gór.

Poduszki w czystych powłoczkach walały się na podłodze. Irena miała na sobie nocną koszulę do pięt. Z trudem zmusiła się, by zamilknąć, i usiadła na skraju kanapy, podciągając kolana do podbródka.

Maleńkie, akuratne pomieszczenie. Otwarte okiennice. Ciepły grzejnik z czerwoną lampką. Wysoka karafka na nocnym stoliku. Woda.



Pragnienie; Irena oblizwała wyschnięte wargi.

– Oj...

Krople wody spadały jej na piersi i wsiąkały w fałdy nocnej koszuli.

Sylwetki gór stawały się coraz bardziej widoczne, nabierały barw.

Zupełnie jak w tym schronisku, gdzie z Andrzejem...

– Ooj...

Podniosła prześcieradło i narzuciła je na głowę, pragnąc odgrodzić się od koszmarów, wspomnień i natrętnych gór.

\* \* \*

– Za dużo pani wczoraj wypła, Ireno.

Westchnęła ciężko.

– Lecz wczoraj musiała się pani odprężyć, prawda?

Skrzywiła się. Poranek okazał się zasnuty lekką mgiełką mdłości.

– Patrząc na panią, trudno podejrzewać, że ma pani nadmierny pociąg do alkoholu. Wcześniej się to pani nie zdarzało. Mam rację?

– A co to za różnica – odparła z rozdrażnieniem. – Nawet gdybym była skończoną alkoholiczką... Podpisał pan zobowiązanie zamordowania mnie w ciągu trzech miesięcy. Więc proszę nie przeciągać sobie przyjemności! A może to taka nowa rozrywka – torturowanie niewinnego człowieka oczekiwaniem na śmierć?!

Semirol wzruszył ramionami.

– Jeśli tak to pani odbiera... Całe nasze życie jest oczekiwaniem na śmierć.

Jakie więc mamy wyjście, dusić noworodki, zanim to sobie uświadomią?

Nie podjęła tematu. Ostrożnie położyła na oparciu fotela ciężką, obolałą głowę.

Nie spała do świtu. Z okna swej sypialni miała niezły widok na drogę za bramą, jakieś przybudówki, które uznała za garaże; w pokoju znalazła co najmniej dwa ciężkie przedmioty nadające się do wybicia okna. By uniknąć hałasu, można przykleić do okna pasy rozerwanej po włóczki. Irena ciężko oddychała, walcząc z zawrotami głowy. A tymczasem w jej umyśle rodziły się pierwsze zdania nowo powstającej powieści: „...zimne powietrze mroziło skórę. Po linie związanej z rozerwanym prześcieradeł zeszła na śnieg... Przez zaspę, przygięta do ziemi, pochylając się pod oknami...

podążała w stronę garażu, tam gdzie na skoblu wisiała masywna, otwarta kłódka. Droga była wolna..."

Uśmiechnęła się mrocznie, jej uśmiech nie umknął uwadze Semirola.

– Jeszcze wczoraj chciałem to pani powiedzieć, Ireno... Ucieczka stąd jest absolutnie niemożliwa; jeszcze nikomu się to nie udało. Wiem, że nie uwierzy mi pani na słowo i będzie tego próbować. I każda taka próba przyniesie pani kolejne rozczarowania, psychiczne traumy. Umówmy się, że nie będzie pani szargać swego zdrowia podobnymi usiłowaniami. W porządku?

„Droga była wolna”.

Irena tępo wpatrywała się w ścianę przed sobą. Na stylowym, modernistycznym obrazie przedstawiona była kobieta z sinoblądą twarzą o nieregularnych rysach. W ciemnej framudze okna za jej plecami wisiało jowialne oblicze księżycy.

Ciekawe, jakie ma to wywoływać emocje? Szczególnie u wampira?

– Mam do pani jeszcze jedno ważne pytanie, Ireno. – Semirol westchnął.

Teraz nie wyglądał aż tak elegancko. Wokół jego oczu wyraźnie uwidoczniły się sine obwódki. – Kiedy czytałem w pani aktach o próbach symulacji choroby psychicznej... niezbyt mnie to niepokoiło. Koniec końców w pani sytuacji nie symuluje jedynie człowiek leniwy... lub pozbawiony fantazji.

Zamilkł wyczekująco. Irena także milczała. Po raz drugi w ciągu dziesięciu minut Semirol boleśnie ją dotknął.

Gdyż do hysterii doprowadzało ją często słyszane w więzieniu słowo

„symulacja”.

– Proszę mi powiedzieć jeszcze raz, kim jest Andrzej?

– To mój były mąż – odparła z odrazą.

– Gdzie jest teraz?

– Podobno nie żyje... ale ja w to nie wierzę.

– Ma pani ku temu podstawy?

Irena patrzyła w jego strwożone oczy. Niewzruszonego pana Wampira coś niepokoiło; Irena czuła instynktownie, że może ten niepokój pogłębić.

– Owszem – odparła, nie odwracając wzroku. – Mam podstawy, by przypuszczać, że gdyby Andrzej umarł – cały wasz świat w mgnieniu oka pękłby jak bańka mydlana.

Semirol zrobił zatroskaną minę. W kącikach jego ust pojawiły się niewidoczne dotąd zmarszczki.

– Więc wychodzi na to, że pani były mąż jest Stwórcą we własnej osobie?

Ni mniej, ni więcej?

Milczała przez chwilę. Nagle zawstydziła się swego szlafroka – przecież siedzi przed Wampirem w absolutnie intymnym i nieprzyzwoitym negliżu.

– Nie zastanawiałam się nad tym – przyznała w końcu. – Nazywanie Andrzeja Stwórcą jest nie na miejscu. Nie stworzył on świata, a jedynie...

*model.* Właśnie ten.

Zapadła cisza. Semirol przeszedł przez pokój, zatrzymał przy oknie, zabębnił palcami po drewnianym parapecie.

– Ale przecież eksperci uznali, że jest pani przy zdrowych zmysłach, Ireno.

I mieli ku temu podstawy.

– Jak długo ma pan zamiar mnie tu trzymać? – rzekła znużonym tonem.

Semirol podszedł do niej. Zatrzymał się naprzeciwko, tak blisko, że mógłby, wyciągając rękę, dotknąć czoła Ireny.

– Szczerze? To zależy od wielu czynników. Przy czym głównie od pani, a nie ode mnie.

Do drzwi salonu ktoś zapukał. Dźwięk był na tyle nie na miejscu i nieoczekiwany, że Irena drgnęła.

– Wejdz – nie podnosząc głosu rzekł Semirol. I dodał, zwracając się do Ireny: – Poznajcie się. To mój administrator, Sit.

\* \* \*

Irenie nie spodobała się obecność administratora.

Jeśli oczywiście właściwym jest określenie „administrator” dla krzepkiego osiłka o manierach zawodowego ochroniarza. Właściwie czegoś takiego należało oczekiwać: ktoś w końcu musi pilnować kolejnej ofiary, podczas gdy pan Semirol znajduje sobie klientów, studiuje akta spraw sądowych, występuje na procesach. Krótko mówiąc, zaspokaja swą potrzebę świeżej krwi.

Ireną wstrząsnął dreszcz.

– Na razie może pani poczytać książki – z rutynową troską oznajmił

administrator. Rozsiadł się w fotelu, wyciągając nogi i zakładając zaplecione, umięśnione ręce za

podgolony kark. „Książkami” była sterta kieszonkowych romansów w pogniecionych, papierowych okładkach; najwyraźniej z ich pomocą uspokajała rozdygotane nerwy niejedna ofiara pana Wampira.

Jak często, zastanawiała się Irena? Jak często adwokat zaspokaja swe

„uzależnienie od hemoglobiny”? Sądząc po tym, że Semirol nie przegryzł jej tętnicy przy pierwszej okazji, nie jest zbyt spragniony. Trafła mu się ofiara, więc ją wykupił; a teraz czeka na przyptyw apetytu.

– Zapewne zabroniono panu ze mną rozmawiać? – zapytała, obojętnie przeglądając jaskrawe, zaczytane książeczki.

– A dlaczego? – po chwili namysłu odparł administrator. – Ja tylko...

hmm. Jeśli ma pani ochotę ze mną porozmawiać.

Irena przyjrzała mu się uważniej. Szerokie spodnie, długi, wyciągnięty sweter z wysokim pod szyję kołnierzem. Uszy szczelnie przylegały do okrągłej głowy. Szczeka boksera. Oczy o nieokreślonej barwie.

– W życiu by pani na mnie nie spojrziała – rzekł administrator z nieukrywaną goryczą. – W życiu?! Przez całą minutę Irenę męczyło koszarne podejrzenie: Semirol zabił ją jeszcze po drodze i teraz ona przeżywa swą wieczność w pozagrobowym życiu, zmodelowanym przez obłąkanego Andrzeja.

– W normalnym życiu – dodał administrator i Irena potrzebowała kolejnej minuty, by roześmiać się z przymusem.

– Szczerze mówiąc, wolałabym, byśmy poznali się w innych, mniej romantycznych okolicznościach.

– Faktycznie załatwiła pani tych trzech gówniarzy?

Przez chwilę Irena milczała i w miarę jej milczenia oczy administratora robiły się coraz mniejsze. Niczym główki szpilek skryły się pod brwiami. „Ty suko”, mówiły wyraźnie.

– Nikogo nie zabiłam – wydusiła z siebie w końcu Irena i ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że jej głos nie brzmi przekonująco. – To nie ja.

– A więc to fałszywe oskarżenie?

Nie żeby jej nie wierzył. Gorzej – było mu to absolutnie obojętne. Czy skazano ją słusznie, czy też przez pomyłkę – jeden czort. Najwyraźniej administrator ochroniarz widział już bez liku takich właśnie niedoszłych nieboszczyków, których długość życia zależała od fizjologicznych potrzeb pana Semirola.

– Właśnie, fałszywe – rzekła, odwracając wzrok.

Administrator zacmokał. Irena nie zrozumiała, czy oznaczało to ironię, czy współczucie.

Milczenie trwało jakieś pół godziny; ochroniarz wciąż patrzył w sufit, a Irena przeglądała marne powieści, nie zauważając, że kilka razy z rzędu bierze do ręki ten sam tytuł.

– A pan... dawno na służbie?

– Służbie?

– No... pracuje tutaj?

– Siedem lat – odparł osiłek po krótkiej pauzie. I dodał z nieoczekiwaną zadumą: – Będzie już siódmy roczek... Jak ten czas szybko leci.

Irena to przemilczała.

Administrator nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat. Ciekawe, co skłoniło młodego mężczyznę do poświęcenia najlepszych lat swego życia tak...

drażliwej pracy. Najprawdopodobniej pieniądze. Semirol na pewno nie jest skąpy.

– To duży dom... Chyba nie pracuje pan tu sam? Jest tu ktoś jeszcze?

Administrator westchnął i spojrzał na Irenę tak, jakby pytanie było dla niego nieznośnie nudne.

– Podobno nie da się stąd uciec? – zapytała niedbale, gdy stało się jasne, że odpowiedzi na poprzednie pytanie nie będzie.

Administrator w końcu rozplótł palce. Ostrożnie pomasował się po masywnych kolanach.

– Neee. Nie da się. Zgadza się.

\* \* \*

Obecność osiłka okropnie wymęczyła Irenę. Jednak pojawienie się Semirola nie przyniosło jej ulgi.

Adwokat nie wrócił sam. Razem z nim pojawił się maleńki, szczupły człowieczek, który sądząc po napiętym, rozbieganym spojrzeniu, wyraźnie czuł się nie w sosie. Przybycie ich obu poprzedził dźwięk zbliżającego się samochodu – a więc szczupły jegomość przybył z wielkiego świata. Zza przełęczy.

– Poznajcie się, Ireno. To pan Stol. Jego nazwisko nic pani nie powie, jednak jest on ekspertem regionalnej komisji humanitarnej. Chciała pani porozmawiać z kimś o swej niewinności. Ma więc pani taką okazję... Pozwól, Sit.

Administrator w końcu wstał z fotela. Z wyrzutem spojrzał na porozrzucone książki. Wyszedł, uprzejmie przepuszczając przed sobą Semirola.

Drzwi się zamknęły.

Pan Stol zatarł dłonie i od razu zaczął przypominać Irenie Petera Nikołana.

Tyle że jeśli Peter był przysadzisty i korpulentny, to Stol wyglądał na średniej wielkości stracha na wróble, który uciekł z pola w poszukiwaniu przygód.

– Miło mi panią poznać, Ireno.

Przełknęła ślinę.

O regionalnej komisji humanitarnej słyszała po raz pierwszy. W dobroć pana Semirola jakoś nie chciało jej się wierzyć – jednak ten człowiek przed nią stoi, z jej powodu przyjechał spoza przełęczy i jeśli dobrze przycisnąć twarz do szyby, można dojrzeć jego samochód przy bramie.

Milczała przez chwilę. Gość wyraźnie czuł się niezręcznie i zbierał myśli.

– Naprawdę miło? – spytała powoli.

Stol jak krótkowidz zatrzepotał spuchniętymi od wiatru powiekami.

Najwyraźniej komisja humanitarna nie miała zbyt dużych wpływów. Eksperci z szanowanych organizacji zachowują się inaczej. Irena przypomniała sobie wymuskanych ekspertów, którzy odprowadzali ją podejrzliwymi spojrzeniami, gdy wchodziła do *modelu*.

– Znam orzeczenie sądu, pani Chmiel. A także wszystkie akta pani sprawy.

Oraz dane ekspertyzy medycznej. I pani zeznania. Obraz wyrysowuje się, hm, co najmniej dziwny. Chciałbym jeszcze raz szczegółowo usłyszeć od pani...

Nabrała powietrza w płuca.

Musiała się zastanowić. Potrzebowała choćby dziesięciu minut, żeby zebrać myśli.

Nie miała jednak czasu, więc zaczęła mówić. Jeszcze raz. Ze szczegółami.

W dwudziestej minucie jej opowieści pan Stol się zasepił. Na jego twarzy, dotychczas zwiotczalej i zakłopotanej, pojawiły się oznaki surowości.

– Pani Chmiel... Dlaczego uparczywie nie chce pani odpowiedzieć na jedno z najważniejszych pytań: gdzie pani była przez ostatnie dziesięć miesięcy?

Kiedy miały miejsce te wszystkie okropne zbrodnie? Pan Semirol wspominał, że ma pani swą własną, niezwykle oryginalną wersję.

Irena się zmarszczyła.

– Nie jest miło wyglądać na wariatkę... jednak nie mam innego wyjścia.

Tak, przez wszystkie te dziesięć miesięcy istnienia *modelu*... znajdowałam się w innym świecie. W świecie, który jest pierwowzorem *modelu*. W

prawdziwym świecie. Weszłam na wzgórze – i z waszego punktu widzenia, znikąd... zeszłam do swojego domu. Był pusty, jednak ślady obecności kogoś obcego...

– Proszę mi wybaczyć, pani Chmiel. Czy pani istnieje w dwóch światach jednocześnie?

Zamilkła. Jej rozmówca wiercił się w fotelu; rozmówca zamiast administratora, Sita. Fotel, wygodny dla osiłka, okazał się zbyt obszerny dla pana Stola.

– Nie – odparła ostrożnie. – Teraz znajduję się tylko tutaj. A oni tam, w zewnętrznym świecie, nie mogą się na mnie doczekać – wydusiła z siebie kwaśny uśmiech.

– To bardzo ciekawe. – Stol kiwnął głową. – Czy może pani opowiedzieć dokładniej... O tym innym świecie. Kim pani tam była. Kim byli pani krewni i przyjaciele... i kto z nich żyje tutaj.

Irena westchnęła. Zarzuciła nogę na nogę; z drugiej strony, co ma do stracenia?

Westchnęła jeszcze raz i zaczęła mówić.

\* \* \*

Pod koniec drugiej godziny rozmowy pan Stol, przytakując ze zrozumieniem, zapytał ostrożnie:

– A proszę mi powiedzieć, pani Chmiel... W jakim wieku ustalił się u pani cykl menstruacyjny?

Irena zamilkła.

To, że komisja humanitarna ma zróżnicowane zainteresowania, zrozumiała już wcześniej. Jedna chyba nie do tego stopnia?

– Widzi pani, ma to znaczenie dla szerszego spojrzenia na zagadnienie.

– Zagadnienie mej niewinności?

Jej rozmówca zatrzepotał pozbawionymi rzęs, zaczerwienionymi powiekami. Szybko rozwijało się u niego coś w rodzaju zapalenia spojówek i coraz częściej przykładał do oczu białą, złożoną we czworo chusteczkę.

– Między innymi... Niech panią nie dziwią moje dość nietypowe pytania.

Irena milczała. Promyk nadziei, który narodził się wbrew jej woli; nadziei, że zostanie w końcu wysłuchana, gasł coraz szybciej.

– Hmm... pani Chmiel. W pani interesie leży jak największa szczerłość...

Dobrze. Pomówmy o Andrzeju. To pani mąż. Rozwiedliście się. Jakie były powody rozstania?

Irena milczała.

– Hm... Być może korzenie dręczących panią sprzeczności mają przyczyny czysto fizjologiczne? Jak układało się wasze życie intymne?

Irena milczała.

Nawet najbardziej rozpaczliwy atak hysterii w jej wykonaniu przeradzał się w tępe, uparte milczenie.

\* \* \*

A nocą, gdy naciągnęła już koc do samej szyi, zrozumiała w końcu, czego chciał od niej ten maleńki, szczuplutki pan Stol.

Potem, w gabinecie Semirola, powie, z lękiem odsuwając się od głodnego krwi adwokata: „Ręczę panu, że to nie schizofrenia. Psychoza reaktywna – być może. Choć objawy nie są ewidentne; w pełni zgadzam się tu z wynikami ekspertyzy. Nie, to nie schizofrenia”.

Albo nie. Najprawdopodobniej powie coś w rodzaju: „Niczego nie rozumiem. Wszystko wskazuje na to, że jest zdrowa. Jednak te uporczywe majaki... Po jednym razie, bez długotrwałej obserwacji, bez zrozumienia dynamiki tego procesu... niczego nie mogę stwierdzić”.

Irena westchnęła. Być może prawdziwi lekarze wyrażają się inaczej i jej skąpa wiedza o psychiatrii ma niewiele wspólnego z rzeczywistością.

„Ma pan sumienie? – Zapytała w myślach szczupłego pana Stola. –

Sumienie... choćby jako lekarz? Ile panu zapłacono za zajęcie się zdrowiem psychicznym człowieka skazanego na ubój?”

W ogromnym domu panowała cisza. Drzwi były szczelnie pozamykane, a za pancernymi szybami panowała ciemność.

Irena przypomniała sobie niepokój w oczach Semirola.

Dlaczego interesuje go jej zdrowie psychiczne? Może wampiry nie mogą się żywić wariatami?

Usiadła na łóżku.

Wampir... to możliwe. Co na ten temat czytała? Srebrne kule... jemiola...

czosnek... Bzdury. Choroby psychiczne zmieniają obraz krwi. Tak, czytała o tym. Dawno temu. Nie pamięta już, co. Opowiadanie albo jakiś artykuł – to nie miało znaczenia.

Roześmiała się. Opadła z powrotem na poduszki.



Jest obłąkana. Nie nadaje się na pokarm... jej krew jest szkodliwa dla zdrowia wampira. Jest niejadalna.

Co za szczęście.

\* \* \*

Rankiem jadła śniadanie w towarzystwie administratora Sita; wierciła się, wahała i w końcu zwróciła do niego z prośbą:

– A czy mogę... przenieść się do innego pokoju? Dziś znów otworzyła się kłapa... no, ta pośrodku pokoju. I pojawił się ten młodzieniec o białej twarzy.

Proszę mnie przenieść; nie mogę spać.

Administrator przyglądał jej się długo i z uwagą. Potem przeprosił, wstał

od stołu i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Irena słyszała, jak rozmawia z kimś przez telefon.

Tak jak oczekiwała, do śniadania wkrótce dołączył sam „humanitarny ekspert”. Oczy pana Stola łzawiły jeszcze bardziej; ciekawe, ile zapłaci mu Semirol za postawienie diagnozy?

Wzięła głęboki oddech. Musiała się uspokoić.

– Źle pani spała, pani Chmiel?

Zmarszczyła brwi. Przesunęła po oczach wierzchem dłoni.

– Niestety. Otwierała się kłapa... w podłodze.

Psychiatra zamrugał.

– Nie dawał mi spać! – krzyknęła Irena. – Przyszedł i stał nad łóżkiem.

Młody chłopak z białą twarzą!

Oczy humanitarnego eksperta zwęziły się jak szpilki pod opuchniętymi powiekami. Irena odczuła presję tego wzroku, jednak nie odwróciła spojrzenia.

\* \* \*

Męczył ją pytaniami jeszcze prawie godzinę. Irena odpowiadała. Kłamała i strasznie wszystko gmatwała; chwilami obawiała się, że przesadza i mówi za dużo – wiedziała jednak, że nie może mieszać się nawet na moment.

Zepsułoby to całą intrygę.

W końcu Stol wyszedł z zatroskanym wyrazem twarzy. Irena czekała w towarzystwie administratora

– jak sądziła, na wyrok.

Po jakimś czasie samochód „eksperta” wyjechał z podwórza i ruszył w stronę jedynej drogi, która prowadziła z górskiego zakątka. Niemal jednocześnie otwarły się drzwi i wampir, którego Irena nie widziała już prawie dobie, powitał ją szerokim, ojcowskim uśmiechem.

Pan Semirol znów wyglądał na zdrowego, rześkiego i wypoczętego; po ciemnych obwódkach wokół oczu nie zostało nawet śladu.

– Co panią podkusiło, by symulować, Ireno?

Milczała.

– A konkretnie, jakie licho podkusiło panią, by aż tak przesadzać z tą symulacją? Gdyby pani ograniczyła się do Andrzeja z jego modelem – kto wie, jak potoczyłyby się pani losy... Jednak kiedy zaczęła pani korzystać ze swej skąpej wiedzy na temat chorób psychicznych...

Przeniosła spojrzenie na administratora. Sit współczująco szczyrzył zęby.

\* \* \*

Ocknęła się na cynkowym stole. Rozłożone na boki ręce były skrupowane rzemieniami. Identycznymi pasami związane były kostki. Wygoloną potylicą czuła zimną ceratę, chłód metalu oraz przestrzennego pomieszczenia zastawionego kilkoma rzędami cynkowych stołów.

Leżała w centrum pokoju. Bezpośrednio nad nią, niczym sterylne słońce, wisiał biały, chłodny reflektor.

– Jestem niewinna! Jestem niewinna! Jestem...

Tylko jej się wydawało, że krzyczy. W rzeczywistości jej wargi ledwie się poruszały, a struny głosowe prawie nie funkcjonowały.

– Litości...

W polu jej widzenia pojawiła się postać w białym chirurgicznym fartuchu, masce i czapeczce oraz ceratowym rzeźnickim kitlu narzuconym wprost na wykrochmalony uniform.

– Nie...

Człowiek pochylił się nad nią i zsunął maskę, odsłaniając usta i podbródek.

Jego wargi rozchyliły się, obnażając zęby. Irena zacisnęła powieki, nie chcąc widzieć zbliżających się do jej szyi ostrych, kościanych noży.

– Aaa!

Za oknem panowała ciemność. Nie pojawiły się jeszcze nawet zarysy gór.

U wezłowania migotała lampka imitująca świecę na wietrze. Przez pokój skakały cienie – elektryczne, niestraszne.

Irena położyła trzęsącą się dłoń na okrągły, plastikowy abażur; jak na ciepły pancerz żółwia.

– Co to takiego?

Administrator przypominał szczęśliwego psa, który przyniósł właścicielowi zdechłego szczura. Irena nie miała wątpliwości, że to właśnie on, przeszukując pokój, znalazł jej skrytkę. Teraz, stojąc za plecami Semirola, z gotowością czekał na nowe polecenia.

– Co to jest, Ireno? – powtórzył ze zdziwieniem Semirol.

Trzymał w ręce podarte na pasy i związane w linę prześcieradło.

Początkowo Irena próbowała zrobić drabinkę – jednak o świcie, zrezygnowana, zawiązała na końcu liny grubą, nieudolną pętlę. Inna sprawa, że jej plan nie został zrealizowany; liczyła na to, że jej skrytka pozostanie nietknięta przynajmniej do następnej nocy.

Na próżno.

– Z babami zawsze jest dużo zamieszania – zauważył z żalem administrator.

Odwróciła się. Obaj byli dla niej nieznośnie odpychający – wampir i jego pies.

Podeszła do okna.

Podświetlone słońcem góry. Dalekie, blade niebo. Droga, z której nigdy już nie skorzysta.

Szkoda Senseja, który został *tam*. Szkoda bezmózgiego żółwia.

I, o dziwo, żal jej było też Andrzeja. Teraz może się do tego przyznać.

Stała przy oknie, odwrócona plecami do swych katów, i patrzyła, jak na wyblakłym niebie zatacza kręgi jakiś drapieżny ptak.

– Ireno...

– Proszę dać mi spokój. Znudziło mi się już czekać, kiedy mnie pan zabije.

Albo niech pan to robi od razu, albo idzie do jasnej...

Nigdy nie używała podobnych słów. Może właśnie dlatego brzmiały w jej ustach bardzo przekonująco. Chwila ciszy.

– Dobrze – rzekł wampir z zadumą. – Może ma pani rację... Po co to dalej ciągnąć. Chodźmy.

Nie odpowiedziała, gorączkowo próbując odnaleźć wzrokiem ptaka; ten jednak zniknął. Wtedy odwróciła się powoli, wciąż jeszcze nie wierząc własnym uszom.

– Teraz?!

– Tak, teraz. Chodźmy.

– Właśnie teraz?

– Sama nie wie, czego chce – burknął administrator.

– Zamknij się, Sit!!!

Osilek gwałtownie cofnął się do przeciwległej ściany. I zamilkł; najwyraźniej na długo.

– Ireno... proszę mi podać rękę.

Jej bezwolne, miękkie jak wata palce znalazły się w dziwnie gorącej, chwytniej dłoni. Góry... Odwróciła się po raz ostatni.

„Uratuj mnie, Andrzeju...”

Góry. Jak na kalendarzu. Pocztówkowy pejzaż, który niegdyś zdobił ścianę ich sypialni.

Ściany się chwiały. Podłoga ugiwała się jak z gumy. Schody zwijały w harmonijkę.

„A potem wyjdę z trumny i także zamienię się w wampirzycę...”

– Spokojnie, Ireno. Spokojnie. Właśnie tak... Cicho. To mój gabinet. Proszę usiąść. Niech się pani napije wody. I uważnie mnie posłucha... Może to pani zrobić?

– Jestem niewinna – odparła i zaczęła kaszleć.

– To bez znaczenia... W świetle prawa jest pani winna. Zgodnie z wyrokiem sądu powinna pani umrzeć. Czy to jasne?

Ciągle jeszcze trzymał jej dłoń. Jak w kleszczach.

– Czy jest pan sadystą? – zapytała, dziwiąc się niespodziewanej jasności swego umysłu. Jakby stan apatii zamienił się w pełen spokój.

– Nie. Pytam o to nie dla przyjemności, lecz z myślą o korzystnym rozwiązaniu sprawy. Tak naprawdę chodzi mi o pani dobro, Ireno.

Roześmiała się ochryple.

– Proszę się nie śmiać... gdyż zamierzam zostawić panią przy życiu. Wbrew wyrokowi. Czy to jasne?

Milczała.

– Czy tego właśnie pani chce, Ireno? Życ? Wydarzenia nabierały szybkiego tempa. Zbyt szybkiego, jak na jej percepcję. Gdyby tak mogła przykryć się kocem i zastanowić. Poglaskać ciepłego żółwia pod nocną lampką. – Życ?...

– Wiem, że słabo pani teraz kojarzy; ale chyba nie aż tak?!

– Życ? Chcę.

– Już lepiej... zażądam więc od pani pewnej małej przysługi. Zgoda?

Milczała jeszcze przez chwilę. Nie sądziła, że położenie dłoni na ciepłym pancerzu żółwia może być takim szczęściem.

– Proszę powiedzieć, jakiej.

– Chce się pani targować?

– Nie. Proszę mi tylko powiedzieć, jaka to usługa?

– Urodzić mi dziecko. Moje dziecko. Najlepiej syna, choć nie jest to aż tak istotne.

Milczała.

Dopiero teraz zorientowała się, że siedzi w fotelu. A pomieszczenie, w którym się znajduje, rzeczywiście jest gabinetem. Biurko, na którego brzegach wznoszą się niczym drapacze chmur sterty papierów. Niczym niestabilne wieże. Niewygodnie wykręcając szyję, spogląda na nią przez ramię lampka nocna; a wzdłuż ściany stoją równe rzędy grzbietów jakichś akt.

„Nie teraz – mówił Andrzej. – Za rok. Albo dwa. Mamy czas. Jesteś jeszcze młoda. Nie teraz, Ireno”.

– Ireno. Powolne myślenie nie jest wadą; grunt, by myśleć prawidłowo.

Nie popędzam pani. Proszę się zastanowić. Odpowie mi pani, kiedy zapali się zielona lampka.

– Jaka lampka? – zapytała po chwili.

– Taka jak na światłach na skrzyżowaniu. Czy też rodzaj zielonej lampki kontrolnej informującej o gotowości urządzenia do działania. Najdziwniejsze jest to, że mimo tak powolnego myślenia wcale nie jest pani głupia. Dobrze byłoby z panią korespondować... byłoby to w każdym razie prostsze niż prowadzenie rozmowy.

Całą wolną od regałów ścianę zajmowała mapa. Wspaniała, szczegółowa i barwna mapa, z której gdzieś sterczały powbijane szpilki.

– Właśnie ja? Dlaczego?...

– Potem to wyjaśnię. – A co z...

– Po urodzeniu zostawi pani dziecko ojcu, to znaczy mnie. Dostanie pani nowe dokumenty, dużą sumę pieniędzy i bilet lotniczy w dowolny zakątek świata... Wolność i niezależność. I rozpocznie pani, jak to się mówi, nowe życie. W pięknym, nadmorskim domku. Albo zrobi pani sobie operację plastyczną i kupi własny dom. Jak pani zechce. Mam tylko jeden warunek –

jeśli spróbuje pani odzyskać dziecko, wydam panią. Czy wyrażam się jasno?

Pokój tonął w półmroku. Jedyne krąg światła od nocnej lampki leżał

krzywą plamą na regałach.

– Muszę się zastanowić – szepnęła. – Muszę się koniecznie zastanowić.

\* \* \*

Do Andrzeja lgnęły dzieci. Absolutnie wszystkie. Zarówno dzieci przyjaciół

i znajomych, jak i przypadkowo napotkane na ulicy. Lgnęła do niego nawet młodzież – choćby ci chłopcy – i dziewczęta, z którymi „modelował” w kuchni coś w rodzaju „prawdziwego życia”.

Kiedyś Irena przez pół godziny pomagała Andrzejowi zdjąć z drzewa sześciolatniego berbecia, który wdrapał się za wysoko i nie potrafił zejść.

Siedział na czubku i wrzeszczał jak kot, a jego matka niczym kura biegała wokół drzewa. Andrzej, który trzymając Irenę pod rękę, szedł na czyjeś urodziny, zrzucił swą jasną marynarkę, wspiął się na drzewo i ściągnął malca, podobnie jak ściąga się koty, a Irena stała z zarzuconą na ramiona marynarką i „dowodziła”, wydając ostrzegawcze okrzyki.

– Byłby z ciebie niezły ojciec – rzekła niedbale, gdy szukali na ulicy hydrantu, by Andrzej mógł umyć ręce.

– Raczej starszy brat – odparł poważnie. – A ojciec byłby ze mnie równie dobry jak matka.

– Czyżbyś był nieodpowiedzialny? – zapytała ostrożnie po półgodzinie, gdy podchodzili do drzwi jubilata.

– Przeciwnie, jestem zbyt odpowiedzialny. Gdybym był trochę bardziej lekkomyślny, już dawno musiałybyś wychodzić na spacer z gromadką podobnych do mnie maluchów.

– Tylko nie to – rzekła Irena z przerażeniem.

Tego dnia Andrzej w pełni potwierdził jej podejrzenia. Najpierw z natchnieniem kierował imprezą. Potem się upił. Potem założył się z jubilatą o butelkę koniaku, przy czym cel zakładu był dla Ireny niejasny. A Andrzej zniknął i po półgodzinie zaprezentował się przed gośćmi w postaci wysokiej i barczystej, jednak w pełni atrakcyjnej prostytutki (potem Irena odkryła pogrom wśród swoich

kosmetyków). Wszyscy klaskali, a Irena nie wiedziała, co ze sobą zrobić – jednak zabawa się na tym nie zakończyła. Andrzej wyszedł

na ulicę, „złowił” łysego grubasa w czarnym samochodzie i odjechał z nim w niewiadomym kierunku. Długa godzina jego nieobecności kosztowała Irenę kilka siwych włosów. Najrozsądniejsi z gości już pytali się nawzajem, czy aby pan Kromar nie posunął się zbyt daleko w swej skłonności do mistyfikacji –

gdy do drzwi zadzwonił Andrzej wciąż w tej samej sukience, lecz już bez peruki, obejmując się z pijanym grubasem; wszedł i zażądał wygranej butelki koniaku.

Irenie włosy stawały dęba, gdy wspominała ten wieczór. I myśl o

„wychodzeniu na spacer z gromadką maluchów, z których każdy byłby podobny do ojca” już nie wydawała jej się tak kusząca.

Co nie przeszkadzało jej w obserwowaniu sąsiedzkich berbeci w kolorowych kombinezonach.

Resztę dnia spędziła w łóżku. Wypracowanym ruchem naciągając koc do podbródka i splatając palce na piersiach. Myślała.

Gdy góry za oknem ostatecznie poszarzały, wyciągnęła rękę i włączyła lampkę. Po pokoju zapląsały cienie rzucane przez elektryczną świeczkę na nieistniejącym wietrze.

Zbyt wiele pytań.

A także zmęczenie. I myśli o śmierci, jak o dobrej znajomej, z którą raz się poznawszy, trzeba potem rozstawać się całe życie.

Potem rozległo się ciche pukanie do drzwi i Irena nerwowo usiadła na łóżku.

– Kto tam?!

– To ja – zabrzmiał przygłuszony głos Semirola. – Mogę wejść?

Drzwi nie zamykały się od wewnątrz. A noga krzesła, z której Irena zrobiła niezgrabny zamek, przewracała się od najmniejszego ruchu drzwi.

Krzesło z hukiem przewróciło się na podłogę i w jego eleganckiej konstrukcji chyba coś pękło.

Semirol przez chwilę stał w drzwiach. Potem przestąpił przez złamane krzesło i zamknął drzwi.

– Zapalić światło, Ireno?

– Tak.

Zmrużyła oczy i przysłoniła je dłonią.

– Czy już się pani zdecydowała?

– Tak.

– Mógłbym dać pani czas do jutra; ale proszę mi wierzyć, sam nie mogę doczekać się pani decyzji... co pani postanowiła?

Irena odsunęła dłoń od twarzy.

Semirol usiadł na brzegu łóżka. Niezwykłe gładka skóra, lśniące włosy, gładko wygolone policzki. I znów przypomniał jej Andrzeja. On także potrafił

patrzeć w taki sposób; spojrzeniem przewiercającym na wylot.

– Przecież zagnał mnie pan w kąt – szepnęła. – Nie zostawił mi pan żadnego wyjścia. Jeśli powiem „nie”, zabije mnie pan.

– Bez wątpienia – odparł bez uśmiechu.

– Normalni ludzie – uśmiechnęła się, gdyż słowo „normalni” zabrzmiało wyjątkowo niezręcznie – normalni ludzie zakładają rodzinę... znajdują sobie żonę. I to z żoną płodzą dzieci, ile tylko zechcą i ile im wyjdzie.

– Naprawdę? I jak wyobraża sobie pani *moją* żonę?

Semirol subtelnie zaakcentował słowo „moją”.

Irena milczała. W swoim czasie połowa dziewcząt z jej roku marzyła o wyjściu za znanego adwokata. Irena była pewna, że część z nich na pewno nie pogardziłaby nawet wampirem.

– W roli mojej żony – kiwnął głową Semirol, jakby czytając jej w myślach –

widzę jedynie idiotkę lub cyniczną sukę... Unika pani jednak odpowiedzi. Jaka jest pani decyzja, Ireno?

Wciągnęła głowę w ramiona, kryjąc się głębiej pod kocem. Spuściła wzrok.

– Proszę mi powiedzieć, po co panu to dziecko?

Uśmiechnął się po raz pierwszy od początku rozmowy.

– Cieszę się, że pani zapytała. Nie, naprawdę się cieszę...

– Na co ono panu?

– Czy odpowiedź będzie miała wpływ na pani decyzję?

Oderwała wzrok od fałd koca. Podniosła oczy – było to dla niej niełatwe i wyczerpujące spojrzenie.



Semirol odczekał chwilę. Mruknął i z roztargnieniem pogładził papierowe zawiniątko leżące na jego kolanach. Z jakiegoś powodu Irena wierzyła, że nie będzie kłamał. I jeśli potrzebuje dziecka na przykład jako dawcy do przeszczepu...

– Proszę tak na mnie nie patrzeć, Ireno. Gdy pani to robi, pani wielkie, smutne oczy zamieniają się w zwierciadła. I trzeba przyznać, że odbija się w nich odrażający potwór... Naprawdę taki jestem?!

Spuściła wzrok.

– Potrzebuję dziecka, Ireno, by być dla niego ojcem. By się nim opiekować, wychować go, a kiedyś zostawić mu to wszystko – Semirol szerokim gestem obwiodł pokój, mając najwyraźniej na myśli całą farmę, a nawet góry za jej ogrodzeniem. – I niech mnie złapie paraliż, jeśli to nieprawda. Paraliż na trzysta lat – czy zdaje pani sobie sprawę z mocy mojej klątwy?

Uśmiechnęła się mimowolnie. Być może to Andrzej kiedyś zaszczepił jej ten stereotyp – jeśli mężczyzna nie kłamie, ma prawo poświntuszyć.

– Wierzy mi pani?

– Tak.

– Jeszcze jakieś pytania?

– Dlaczego właśnie ja?

– To już bardziej złożona kwestia – znów pogładził zawiniątko.

– Proszę się jednak postawić na moim miejscu. Z oczywistych przyczyn sam nie mogę urodzić dziecka. Matka zastępcza odpada od razu – wyobraża sobie pani, jak zdegenerowaną trzeba być osobą, by handlować swym ciałem jako inkubatorem? Za pieniądze?

Irena niepewnie wzruszyła ramionami.

– Idźmy dalej. Przyjaciółka? Oddana gosposia? Pojawia się tu jednak paradoks – albo kobieta z łatwością wyrzeka się dziecka, co oznacza, że jest zwykłą suką i nie nadaje się na matkę. Proszę mi wybaczyć, traktuję to zbyt poważnie. Geny... dziedziczne skłonności... Przeczytałem na ten temat tyle literatury, że mógłbym zrobić doktorat z genetyki... To zresztą nieistotne.

Drugi wariant – kobieta nie chce wyrzec się dziecka... I co z nią począć?

Proszę mi wybaczyć, Ireno. Przechodzę do najbardziej cynicznej części swojej opowieści. Gdyż mam na panią instrument nacisku – pani wyrok śmierci...

Jest to wystarczająco duże zagrożenie, by nawet ktoś z normalnie rozwiniętym instynktem macierzyńskim był w stanie go zwalczyć. Mam rację?

Irena przytaknęła, nie do końca uświadamiając sobie znaczenie jego słów.

Jeszcze się nad tym wszystkim zastanowi. Potem.

– I oto pojawia się pani. Długo na to czekałem... Gdyż choć wyroki śmierci wydawane są często, jednak wśród skazanych niewiele jest kobiet. A nawet jeśli, to wszystkie są chore, rozpustne lub niezrównoważone psychicznie...

Szczerze mówiąc w pewnym momencie sam się przestraszyłem, że ma pani rozdwojenie jaźni, rodzaj psychozy. Nasi psychiatrzy na wiele spraw patrzą przez palce... Krótko mówiąc, pani drugi zmodelowany świat, pani Ireno, pani

„młodzieniec z białą twarzą" niemal kosztował panią życie.

Zwalczyła w sobie chęć ukrycia się pod kocem. Jak w dzieciństwie. By uciec przed swym strachem.

Wszystkie jej emocje są spóźnione.

– Pani zaś, Ireno, pod względem wszelkich parametrów... Jedyne pani wiek nie jest w pełni satysfakcjonujący. Gdyby miała pani dwadzieścia lat...

proszę się nie obrażać. Byłoby lepiej.

– Nie obrażam się – odparła odruchowo.

Medyczna ekspertyza sądowa. Starła się zapomnieć o niej, jak o koszmarnej śnie. Jednak teraz, coraz głębiej chowając się pod kocem, przypomniała sobie, że wśród specjalistów był lekarz, którego maniakalnie interesowała jej płodność. Jakby nie wysyłali jej na śmierć, lecz w głęboki kosmos, gdzie miała zasiedlić swymi potomkami kilka planet.

– Odpowiedziałem na pani pytanie, Ireno?

– Tak...

– Chce pani jeszcze o coś zapytać?

– Ale przecież jestem morderczynią – rzekła, wciskając się plecami w płaską poduszkę. – A mordercy... jak pan sądzi; syn wampira i zabójczym, może...

Semirol zmarszczył brwi. Jego twarz, dotąd dobroduszną, na chwilę zrobiła się zmęczona i podenerwowana.

– Tak. Miałem nadzieję, że pani o to nie zapyta. Najwyraźniej na próżno...

To zresztą nie ma znaczenia. Przed podjęciem ostatecznej decyzji musimy porozmawiać i wszystko sobie wyjaśnić. Proszę podać mi rękę.

Zawahała się i wyciągnęła spod koca wychudzoną, ciemną na białym tle dłoń. Semirol rzeczowo, jak lekarz, wyczuł puls, a potem nagle mocno ścisnął

jej palce.

– Wiem, że jest pani niewinna, Ireno.

Zamrugła.

– Wiem, że jest pani niewinna. Nie wiedziałem tego od początku. Jednak będąc profesjonalistą... a jestem wysokiej klasy profesjonalistą, Ireno... Po przeprowadzeniu własnego, małego śledztwa, zebraniu informacji na pani temat i rozmowie z panią jestem gotów obciąć sobie dowolną część ciała... że to nie pani popełniła przestępstwa, za które została skazana.

Próbowała wyrwać rękę, nie puścił jej.

– Podle się pani czuje. Sądzi pani, że ją wystawiłem. Że od początku wypatrzyłem sobie ofiarę, przeciągnąłem przez wszystkie te kręgi piekła... Ale to niezupełnie tak. Nie jestem wszechmocny; poza murami tej farmy jestem jedynie adwokatem. I nawet ja nie byłbym w stanie udowodnić pani niewinności, biorąc pod uwagę pani fenomenalny upór. Gdzie pani była przez te dziesięć miesięcy? Komu pani przyrzekła dochować tej tajemnicy? Tak naprawdę nie jest to dla mnie tak istotne. Choć niewątpliwie zainteresowałoby to sąd. Nie... proszę nie odpowiadać. Teraz to nieistotne. Postanowiłem nie ryzykować... być może nie wie pani, że nie mam prawa wykupu skazanych na karę śmierci, jeśli na procesie byłem ich adwokatem. Gdyby wówczas panią skazano, to niezależnie od moich wysiłków, zostałaby pani stracona. A tak będzie pani żyć.

W końcu udało jej się wyrwać. Usiadła na łóżku i otuliła się w szlafrok.

– Kłamie pan. Mógłby mnie pan uratować.

– Nie kłamię. Choć może mógłbym...

– Ale pan nawet nie spróbował... pan nawet nie pokazał po sobie, że mi wierzy!

– Za to mówię to teraz: wierzę pani, Ireno. Jest pani niewinna. Niech pani spojrzy...

Rozwinął w końcu zawiniątko, które leżało na jego kolanach. A ona od razu poznała okładkę i przestała się sprzeciwiać. Szara, niepozorna obwoluta jej pierwszej autorskiej książki.

– Ta rzecz okazała się ważkim argumentem, pani Ireno... który miał

korzystny wpływ na moją decyzję. I nawet pani równoległe światy nie zdołały go obalić. To zrozumiałe – nerwy, szok. Jest pani bardzo wrażliwą osobą, bez względu na pani pozorną powolność myślenia. To właśnie ta książka. Proszę ją przeczytać. Potem porozmawiamy.

\* \* \*

Tę noc spędziła oczywiście bezsennie. Pod półkulą ciepłego abażuru migotał płomień sztucznej świecy.

Zaczynała czytać i po dwóch liniijkach za każdym razem ze strachem zamykała książkę. Miała wrażenie, że jest ona strasznie słaba. Były to jej pierwsze utwory zebrane w jednym tomie; już rok po wydaniu tej książki zaczęła się jej wstydzić. Szczęściem nieporadne opowiadania. Młoda, niepozorna, prowincjonalna pisarka.

Głaskała okładkę, jak głaszcze się szpetne kociątko, które wzbudza litość mimo odrażającego wyglądu.

Potem odniosła wrażenie, że okładka jest troszkę inna niż ta, którą zapamiętała. Nieco bardziej kolorowa, a stylizowany kwiat w jej prawym górnym rogu powinien być niebieski, a nie zielony. I – jak zwykle, gdy zauważała różnice pomiędzy *modelem* a prawdziwym światem – opanował ją irracjonalny strach. Schowała książkę pod poduszką i zwalczyła w sobie chęć wyciągnięcia jej z powrotem.

Teraz leżała na plecach i jeszcze raz rozpamiętywała rozmowę z Semirolem

– minęło już osiem godzin i mogła sobie pozwolić na luksus błyskawicznych replik.

Tak, podczas tej nocnej rozmowy reagowała natychmiast. Odpowiadała ostro, miała jasny umysł i monolog Semirola był co chwilę przerywany jej ciętymi ripostami.

A potem – góry robiły się już szare – uświadomiła sobie, że została uznana za niewinną i będzie żyć.

I zapadła w głęboki, spokojny sen, by z pierwszymi promieniami słońca zerwać się od nowej myśli, prostej, oczywistej, nieznośnej...

## Rozdział 5

– Gdzie jest pan Semirol?

Administrator, który troskliwie wycierał kurz ze starego, miedzianego świecznika, zerknął na nią ze zdziwieniem. Najwyraźniej nie podejrzewał, że jego powolna podopieczna może pojawić się tak niespodziewanie.

– A pan Semirol wyjechał. I pewnie do jutra nie wróci. Kazał zapoznać panią z panem Nickiem. A ten sam już wie, co z panią robić – uśmiechnął się administrator, obnażając żółte od nikotyny zęby.

– Co? – wydusiła z siebie Irena.

Jej szkolna nauczycielka nie znosiła tego pytania. „Jeśli jeszcze raz zapytasz «co?», Chmiel...”

– Kim jest pan Nick?!

To kolejny wampir, odezwał się pesymistyczny, wewnętrzny głos. I podzielili się tobą...

– Pan Nick to ja. Odwróciła się.

W drzwiach salonu stał mężczyzna. Nie był to osiłek w wymiętym swetrze.

Nowa persona przypominała raczej eleganckiego pensjonariusza prestiżowego sanatorium. Starannie wyprasowane, czarne spodnie, śnieżnobiała, wypuszczona na wierzch koszula i romantyczny, jedwabny szal wokół szyi.

Stylowy facet, uznałyby studentki Ireny.

– Nick to ja. A pan Semirol, który musiał wyjechać w pilnych sprawach, rzeczywiście poprosił mnie, bym... dotrzymał pani towarzystwa podczas jego nieobecności. Tym bardziej że będziemy mieć teraz ze sobą wiele... hmm, wspólnego.

– Mieszka tu pan? – po chwili milczenia zapytała Irena.

– Tutaj – mężczyzna wykonał nieokreślony gest. – Na farmie.

– Czym się pan zajmuje?

– Z zawodu jestem lekarzem... Ale dlaczego stoimy pośrodku pokoju?

Chodźmy do mnie; zapyta pani, o co chce, a ja chętnie zaspokoję pani ciekawość.

Irenie przypomniało się pytanie, które przerwało jej i bez tego krótki sen.

Westchnęła przerywanie.

– Chodźmy.

Nick szarmancko podał jej ramię.

\* \* \*

Minęli zamknięte drzwi gabinetu Semirola. Przeszli korytarzem dalej. Przy następnych Nick wyjął z kieszeni pęk kluczy, z czego Irena wywnioskowała, że jest on tutaj znacznie bardziej uprzywilejowany niż administrator.

– To biblioteka.

Irena i bez tego wiedziała, jak się nazywa pokój, w którym trzyma się książki. W okrągłym akwarium machały ogonkami rybki – Irenę zaskoczyła ich wielkość i jaskrawe ubarwienie.

Jeszcze bardziej wstrząsnął nią fakt, że biblioteka pachniała przychodnią.

Szpitałem. Choć zapach był ledwie wyczuwalny.

– Poczula to pani? W pobliżu znajduje się mój gabinet, a gdy jest się jedynym lekarzem w promieniu wielu kilometrów, do tego w górach... Trzeba brać pod uwagę wszelkie możliwe niespodzianki.

Kiedyś operowałem tu wyrostek, nie mówiąc już o...

– Panie Nicku...

– Wystarczy Nick, zgoda? A ja będę zwracał się do pani po prostu: Ireno.

– Mmm... Nicku. – Tak?

Zamilkła. Rybki w akwarium pływały niezmordowanie, niekiedy ocierając się o siebie bokami; pełna harmonia, pomyślała Irena posępnie. Nikt nikogo nie goni, nie odpędza od karmnika.

Jej rozmówca cierpliwie czekał. Irena nie wiedziała, jak i o czym można rozmawiać z tym dziwnym jegomościem, który pojawił się tak niespodziewanie.

– Pan tu... pracuje, Nick? Jako lekarz? Dla pana Semirola?

Uśmiechnął się osobliwie. Dziwnie, choć jednocześnie czarująco.

Przytaknął.

Miał krągłą twarz o wystających kościach policzkowych i szeroko rozstawione oczy. I w przeciwieństwie do Semirola jego skóra nie wyglądała na zdrową. Miał ogorzałą od wiatru, z kilkoma zmarszczkami, smagłą cerę.

– Pan Semirol ma tu całe gospodarstwo – rzekła z zadumą.

– Tak... Jego posiadłość jest znacznie większa, niż pani sądzi. I o wiele bardziej różnorodna.

Irena milczała przez chwilę. I na wszelki wypadek zapytała, odruchowo przykładając dłoń do tętnicy szyjnej.

– Nie jest pan przypadkiem wampirem?

Jej rozmówca parsknął, jakby usłyszał dobry kawał.

– Nie... niestety. Nie jestem też naukowcem, który bada tych...

uzależnionych od hemoglobiny. Zresztą pan Semirol za nic w świecie nie pozwoliłby się zbadać.

– Jest pan jego... pomocnikiem?

Natychmiast zaczęła żałować tego pytania, gdyż życzliwa twarz Nicka wydłużyła się i sposepniała.

– Mmm... Nie. On obywa się bez pomocy medycznej. Wampiry, przepraszam za wdawanie się w detale, posiadają naturalną broń, w rodzaju skalpela... – dla podkreślenia swych słów Nick wskazał palcem na usta. – Tyle że ostrzejszą. Oraz ślinę o antyseptycznym, przeciwbólowym działaniu...

Interesuje to panią?

– Bardzo – odparła Irena i wstrząsnął nią dreszcz. – Proszę mi wybaczyć głupią podejrzliwość. Nie jest pan pomocnikiem Semiroła. Jest pan jego osobistym lekarzem.

– Gdybyśmy wszyscy mieli takie zdrowie – rzekł Nick ze smutkiem. –

Jedyną medyczną usługą, jaką mogę okazać panu Semirołowi, jest masaż...

No, z wyjątkiem leczenia urazów oczywiście. Regeneruje się jak wampir, lecz ktoś przecież musiał mu złożyć kości, gdy w zeszłym roku złamał rękę na trasie narciarskiej... Dużo pani straciła, nie widząc tego zjazdu, Ireno. Normalny człowiek w mgnieniu oka roztrzaskałby się o skały.

„Normalny człowiek”.

Irenie przypomniała się wczorajsza rozmowa. – po raz kolejny – ta zła myśl, która przysła jej do głowy nad ranem.

– Coś panią trapi? – Nick starannie poprawił swój romantyczny szal.

– „Normalny człowiek” – wymamrotała Irena z goryczą.

– Dla pana jest to rzeczywiście normalne, Nick. Skoro rozmawia pan ze mną, chociaż zostałam skazana za potrójne morderstwo... Przecież wie pan o mnie wszystko. Wydaje mi się również, że moja niewinność nie wzbudza pańskich wątpliwości. A także fakt, dla którego zostałam tu przywieziona... A także, ilu skazańców przebywało tu przede mną. Wie pan o tym wszystkim. I gawędzi pan ze mną jak przy filiżance kawy?!

– A właśnie, napiłbym się kawy – mruknął Nick w skupieniu.

– Proszę się nie obrażać... To prawda, jestem trochę gadatliwy... A pani jest raczej milcząca... Stanowimy dobraną parę. Tak, wiem o pani wszystko.

Proszę sobie wyobrazić, że kiedyś czytałem nawet pani nowele i przyznam, że mi się podobały... Wiem, czemu Jan pani nie zabił. Wiem, do czego jest mu pani potrzebna. Przecież byłem jego konsultantem, gdy zdobył wyniki medycznej ekspertyzy sądowej! I jako pierwszy zaakceptowałem jego wybór; niezależnie od pani wieku... A pani ma ochotę na kawę, Ireno? Polecę Sitowi przygotować dwie filiżanki, mocnej, z czekoladą.

Irena kiwnęła w milczeniu. Nick rzeczywiście wyskoczył z pokoju, wydał

rozporządzenia i wrócił; Irena wciąż próbowała sobie przypomnieć, kto po raz ostatni częstował ją kawą? Czy także w jakichś dziwnych okolicznościach? I czy nie był to przypadkiem przeklęty Peter?

– A więc macie tu całą procedurę – rzekła Irena, gdy wrócił Nick. –

Doboru... i dalszego wykorzystania... skazanych na śmierć potencjalnych matek?

– Nic podobnego – odparł Nick z oburzeniem. – Pani jest pierwszą... i mam nadzieję ostatnią

pretendentką do tej niełatwej roli. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zminimalizować ryzyko. By nie było żadnych komplikacji ani niespodzianek. Kopia pani ekspertyzy medycznej leży u mnie w szufladzie.

Sam jestem zresztą najwyższej klasy specjalistą.

Irenie przypomniały się słowa Semirola – ujął to niemal tak samo. Słowo w słowo. Jakby się zmówili. Tyle że jeden był adwokatem, a drugi, najwyraźniej, ginekologiem i położnikiem.

– Nad czym się pani zamyśliła, Ireno?

Przyglądała się rybkom. Dopiero teraz zorientowała się, że nie są prawdziwe. Były to plastikowe zabawki z magnesami w środku –

magnetyczne rybki, które dokładnie imitowały ruchy żywych.

Nabrała powietrza w płuca.

– A co przeszkodzi pana, hm, szefowi – to słowo zabrzmiało w jej ustach dość sarkastycznie – w wykonaniu wyroku *po* urodzeniu się dziecka? W

zwróceniu mi wolności... na dobre? Zgodnie z wyrokiem sądu?

Wyrzuciła z siebie dręczącą ją myśl i poczuła ulgę.

Nick przestał się uśmiechać. Milczał przez chwilę. W zadumie włożył dłoń do akwarium, pobawił się rybkami, wyciągnął rękę z wody i strząsnął na podłogę kilka kropel.

– Są sprawy, na temat których Jan nie kłamie. Mamy taką starą, niepisaną umowę... ja nie okłamuję jego, a on nie okłamuje mnie. Gdyby... miał zamiar...

przypuścimy... zresztą sama pani widzi, że nie krzyczę: „jakie to cyniczne” ani

„jak pani mogła tak pomyśleć”. Jan mógłby tak uczynić... powiedzmy... w przypadku innej kobiety. Lecz jeśliby planował tak zrobić... czy chociażby się nad tym zastanawiał... Wiedziałbym o tym. Nauczyłem się go rozumieć. I on mi ufa.

Nick zamilkł. Westchnął głęboko.

– Jeśli obiecał, że panią wypuści, to na pewno tak zrobi. Uczyni wszystko, by mogła pani spokojnie żyć dalej na wolności. Tak jak obiecał... On nie kłamie.

– A pan nie kłamie?

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł osiłek Sit i bez słowa postawił na stoliku tacę ze wszystkimi akcesoriami do kawy. Po czym oddalił się, także w milczeniu.



Irena rozkoszowała się aromatem kawy. Bezgłośnie westchnęła z zachwytu, powąchała jeszcze raz i skosztowała.

– Ja także nie kłamię – odparł Nick nie wiedząc czemu ze smutkiem. –

Nie okłamywałem... nawet skazanych pacjentów.

Irena milczała, dopóki nie wypić kawy do końca. Ostrożnie odłożyła filiżankę; w smoliście czarnym dzbanku odbijały się migotliwe cienie magnetycznych rybek.

Wątpliwości nie zniknęły. Stały się jednak mniej uciążliwe, wyblakły, i Irena wiedziała, że najprawdopodobniej wkrótce zupełnie się od nich uwolni.

Zlizała z warg okruchy kawowych fusów.

– Dziękuję... to znaczy za kawę. No i w ogóle...

– Nie ma za co. – Nick dokładnie wytarł dłonie w serwetkę. – A więc tak...

Kwestie teoretyczne w zasadzie już wyjaśniliśmy. Teraz przechodzimy do praktycznych. Od dzisiaj obejmuję funkcję pani lekarza prowadzącego.

Chodźmy.

Do biblioteki przylegał maleńki korytarz z rzędem miękkich krzeseł wzdłuż ściany. Tu Nick znów zabrzączał swymi kluczami; Irena pociągnęła nosem.

Zapach szpitala nie zelżał; nie stał się jednak bardziej intensywny.

– A oto i moje królestwo, koszmar młodzieńców i dziewczic!

Irena stanęła w progu. „Królestwo” było przestronne, sterylnie czyste i zaopatrzone we wszystkie konieczne sprzęty. Na wszelkie możliwe przypadki.

\* \* \*

– Czy to oparzenie?

– Nie, to znamię od urodzenia.

Nie mogła powstrzymać nerwowego dygotu – jak zawsze, gdy przychodziło jej wpuszczać do swego ciała beznamiętne lekarskie instrumenty.

– Proszę się nie napinać. Przecież to pani nie boli.

– Właśnie że boli.

– Niech się pani rozluźni, Ireno.

Wpatrywała się w sufit. W białą, okrągłą lampę. Jedną z wielu.

– I kto tak panią wystraszył?

Przez chwilę zastanawiała się, czy odpowiadać na to pytanie.

– Posłać na egzekucję... można jedynie zdrowego człowieka. A ekspertyza na temat mojego zdrowia...

– Do diabła... A czego można oczekiwać od tych konowałów?! Proszę o tym raz na zawsze zapomnieć.

Znów zadźwięczał metal.

– Kiedy miałem własną klinikę, wyrzuciłem pewnego durnia za całkowity brak profesjonalizmu. Wie pani, gdzie znalazł potem pracę? W tej właśnie ekipie!

– Miał pan swoją klinikę? – zapytała odruchowo.

– Tak trudno w to uwierzyć? Wyglądam aż tak niesolidnie?

Nie odpowiedziała.

– Nie jest pani zimno, Ireno?

– Nie.

– Jeszcze tylko chwilka... Tak. Już po wszystkim. Może pani zejść.

Za parawanem zaszumiała woda. Irena wstrzymała oddech. Z trudem zesła i poczłapała w stronę swego ubrania.

– Wyrzeka pan na konowałów – przesunęła bosą stopę przez skraj maty i drgnęła, czując zimno betonowej podłogi. – A przecież to oni zdobywali dla pana pierwsze dowody mojej przydatności.

Nick nie odpowiedział. Słysząc było lejącą się wodę i brzęk instrumentów.

– A teraz z dumą zda pan raport Semirołowi – wymamrotała, wzdrygając się nerwowo. – Wszystko w porządku. Samica jest sprawna i gotowa do rozplodu.

– Ubrała się pani? – zapytał Nick głucho.

Włożyła pantofle i wyszła zza kotary.

Nick już zdjął swój niebieski, sterylny fartuch. W ocynkowanym zlewie leżała góra rękawiczek i instrumentów, obok cicho migał lampkami autoklaw.

– Co pani o mnie myśli, Ireno?

Przemilczała to zgodnie ze swym zwyczajem.

– Domyślam się... Sądzi pani, że straszny ze mnie cynik. Taki doktor śmierć na służbie u wampira. Mam rację?

Uśmiechnął się niespodziewanie. Zdziwiło to Irenę – jeszcze przed sekundą wydawało jej się, że Nick jest napięty i zły.

– Chce pani jeszcze kawy... Ireno?

– Zastanawia się pani... Dlaczego taki dziwoląg, chwalać się swymi najwyższymi kwalifikacjami, nie mógł znaleźć innej pracy niż w tej komfortowej fabryce ubojni?

Nick nie żartował. Chociaż się uśmiechał.

Magnetyczne rybki leżały w rzędzie na stole. Poza swym akwariem wyglądały jak zwykłe, niezgrabne zabawki.

– Będzie pani żywa i wolna... Żywa i wolna – powtórzył Nick i w jego głosie zabrzmiała nagle dziwna beznadzieja.

Nerwowo stuknęła zębami o brzeg porcelanowej filiżanki.

– I pan, ze swymi najwyższymi kwalifikacjami, nie mógł znaleźć pracy nigdzie indziej niż tylko w tej komfortowej fabryce ubojni? – przedrzeźniła go.

Drgnął – najwyraźniej poczuł prawdziwą odrazę, która zabrzmiała w jej słowach.

– Widzi pani... Ireno. Niech się pani zastanowi, jak się tu znalazłem?

Obojętnie mrużąc oczy, Irena dopijała drugą filiżankę kawy. Opanował ją senny spokój. Będzie żyć... i dobrze.

– A po co miałabym się nad tym zastanawiać? Jeśli mogę spytać o to pana?

Nick uśmiechnął się smutnie.

– Bo ja pani nie odpowiem.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy. Powodził nim nad schnącymi, magnetycznymi rybkami; plastikowe odwłoki poruszyły się.

– Galwanizowanie – skonstatował Nick posepnie. – Ożywienie trupa...

Ireno. Powinienem milczeć... Jednak prędzej czy później i tak się pani dowie.

A dla mnie lepiej wcześniej. Wszak pacjent powinien ufać swemu lekarzowi. A przynajmniej nie

czuć do niego odrazy... Niech pani pyta.

– O co?

– Jak tu trafiłem.

On też jest podobny do Andrzeja, pomyślała Irena sennie. Ciągły teatr, odgrywanie sytuacji...

– Niech mi pan opowie, drogi Nicku, jak pan tu trafił?

Odpowiedział bez uśmiechu.

– Podobnie jak pani. W drelichach skazańca. Pozbawiony nadziei na życie.

Irena przesunęła paznokciem po brzegu filizanki. Dwoma palcami chwyciła największą rybę za ogon. Włożyła ją do akwarium; rybka ożyła. I zamigotała w splątanych wodorostach.

– Milczy pani, Ireno... Nie jest pani zbyt rozmowna. Tutaj... na farmę... raz na kilka miesięcy przywożą skazańca. Czasem częściej... Zwykle są to kanalie, Ireno. Ach, cóż to za zakazane typy... Nie mogę osądzać Jana. Ta krew jest mu potrzebna, potrzebna do życia, i dlatego też... Nikt nigdy nie był przy tym obecny. Tylko w przybliżeniu wiem, jak się to odbywa... A potem Sit i Trosz kremują nieboszczyka. Jan nie jest sadystą; nigdy nie znęca się nad ofiarami...

nie...

Irena złapała za ogon kolejną rybę. Zważyła ją w dłoni. Wrzuciła do akwarium.

– Sit i...

– Trosz. Jest nas czworo – Ja, Sit, Trosz i Elza... Wszyscy byliśmy skazańcami. Sit jest administratorem i ochroniarzem, ja lekarzem, Trosz inżynierem, a Elza zajmuje się zwierzętami. Są tu przecież kury, króliki, dwie krowy, to po prostu zwykłe gospodarstwo... Pracy jest dość.

Irena podniosła za ogon trzecią rybę, ten się jednak oderwał i ryba wpadła do niedopitej kawy.

– Widzi pani, Ireno... Każdemu z nas Jan dał szansę. Żyjemy. Choć wedle wszelkich prawideł, wszelkich dokumentów, dawno powinniśmy być martwi...

A jednak wciąż chodzimy po ziemi. Patrzymy na te góry. Chichoczemy z głupawych żartów telewizyjnego konferansjera. Martwimy się, że wiosną droga jest rozmyta przez wodę, że jesienią wiatr strąca antenę i trzeba ją reperować... Że krowy chorują. Że szopa od dawna już nieodmalowana. A bo to mało jest problemów? Z których tak naprawdę składa się ta długa zabawa, jaką jest życie.

– Za co? – zapytała Irena, wyjmując z filizanki pozbawioną ogona rybę. –

Za co ich skazano? I pana? Przez pomyłkę? Jak mnie?

– Nie – Nick dumnie pokręcił głową. – Ja na przykład jestem mordercą...

Czternaście zabójstw. I do wszystkich się przyznałem.

Filizanka wypadła z rąk Ireny. Porcelanowe uszko odtłukło się i białe pęknięcie załśniło jak obnażona kość.

– Miałem swój szpital, Ireno. I własny duży dom. Cztery razy w życiu zdecydowałem się na przeprowadzenie nielegalnej aborcji... nie będę teraz wchodził w szczegóły. I dziesięć razy... Chyba pani wie, czym jest eutanazja?

Irena milczała. Nie odrywała wzroku od jego spokojnej twarzy.

– Ci starzy, nieszczęśliwi ludzie... widzi pani, bardzo ciężko umiera się na niektóre choroby. Prosilili mnie... i ja im pomagałem. Dziesięć osób. Podczas dwunastu lat. Teraz mam czterdzieści pięć. I od sześciu mieszkam tutaj, u Jana, po wyroku i własnej śmierci... Milczy pani, Ireno. Milczy. Mam irytujący nawyk, mogę mówić godzinami... Nawet bez rozmówcy.

– Czy to dożywotnie zamknięcie? – spytała Irena powoli. – Potrzebni mu są niewolnicy?

– Jemu? Janowi? Niewolnicy? Nie... Tworzymy tu w pełni dobrowolną i dość zharmonizowaną społeczność... Choć takich jak na przykład Sit w tamtym życiu nie mogłem znieść. Pocziwa Elza, w przeszłości prostytutka, teraz jest troskliwą opiekunką żywego inwentarza... Naprawdę kocha zwierzęta. Trzeba przyznać, że mężczyźni także kocha; wszystkich bez wyjątku... No tak. Trosz to też niezły chłopak. Mało z niego pożytku, za to jest zdrowy, po prostu krew z mlekiem... hm. Za mojej pamięci było jeszcze dwoje... Sama pani widzi, Ireno, jak niewielu. Przez sześć lat tylko sześcioro...

z panią siedmioro... Tak. A więc ta dwójka obmyśliła i dokonała wirtuozerskiej ucieczki.

Nick odpił ze swej filizanki. Zakrztusił się.

– ...wirtuozerskiej ucieczki. Jeden w przeszłości był komandosem, kawał

chłopa, potrafił prowadzić każdy środek transportu, nago wytrzymał kilka godzin na mrozie... Drugi był strategiem i pomysłodawcą, a w przeszłości dziennikarzem... Zaplanowali wszystko... I zwiali.

Nick zgarnął pozostałe rybki obiema rękami i całą ich garść wrzucił do akwarium. Bryznęła woda.

– Uciekli? – zapytała Irena, przyglądając się, jak rybki po kolei ożywają.

– Przecież mówię, że zwiali. A następnego dnia Jan przyjechał w mrocznym nastroju i przywiózł oba ciała w samochodzie; wysane do sucha, bez kropelki krwi, takie poźółkłe... – Nickiem wstrząsnął dreszcz. – Gdzie mu się tyle płynu zmieściło? I jak ich złapał? Diabli wiedzą. Wampir. A i góry są tu takie... Cóż. Byliśmy nawet wdzięczni Janowi, że nie przeprowadził pokazowej egzekucji.

– Czy moje dziecko będzie wampirem? – spytała Irena i nie usłyszała własnego głosu.

Nick usłyszał. A może się domyślił.

– Jestem z panią szczerzy... pamięta pani? A więc z dużą dozą prawdopodobieństwa tak. Choć wcale nie jest to przesądzone, Ireno. Wcale.

\* \* \*

Dobrych kilka godzin przeleżała z zamkniętymi oczami. Potem wyjęła z opakowania daną jej przez Nicka tabletkę nasenną, przełknęła ją i zapadła w nędzną podróbkę snu.

Śniły jej się myszki, które trzeba było karmić z butelki ze smoczkiem.

Mleko się przelewało, nie trafiając do zębatach pyszczków; Irena męczyła się, wymieniając kolejne podziurawione smoczki.

Wysiłkiem woli wydobyła się ze snu. Przewróciła na drugi bok; trwa egzamin, a ona nie zna odpowiedzi na żadne pytanie. Wodzi długopisem po papierze, zapisując ogólnikowe, puste zdania i narasta w niej przeczucie wstydu, klęski, a przecież jest wykładowczynią... Co za hańba.

Zajęczała przez sen. Usiadła na łóżku i włączyła światło. Wsunęła rękę pod poduszkę i wyciągnęła swoją pierwszą książkę. Otworzyła ją w środku – tekst był

zupełnie obcy. Koślawe zdania, sentymentalne, głupie słowa, patetyczne wykrzykniki...

Otworzyły się drzwi i wszedł Semirol.

– Co?... – upuściła książkę, próbując zakryć się kocem. Nie mówiąc ani słowa, adwokat wampir usiadł na brzegu łóżka. Uśmiechnął się, nie rozchylając warg. Chwycił za skraj koca, szarpnął i zrzucił go na podłogę.

– Co pan...

– Przecież dokonała pani wyboru – rzekł Semirol z uśmiechem. – Zgodziła się pani. *To* albo śmierć...

– Nie...

– Nie zgadza się pani?

I rozchylił wargi; jednak Irena zdążyła zacisnąć powieki ułamek sekundy wcześniej, niż w świetle lampki zabłyśły ostre jak brzytwa kły.

– Ja... tak...

Jego ciało okazało się ciężkie jak ziemia. Jakby na Irene wtoczył się lubieżnie, kręcąc gąsienicami, średnich rozmiarów czołg.

– Aaa!

Wampir przygniótł swym ciężarem jej klatkę piersiową, pozbawiając oddechu. Jej żebra zaraz pękły. Jej brzuch...

Krzyknęła.

Koc walał się na podłodze.

Irena czuła się jak mokry kokon, oblepiony warstwami koszuli nocnej. Jak kłębek przerażenia i odraży.

Okno ledwie odznaczało się szarym prostokątem świtu.

– Nie...

Sen wciąż jeszcze tu był. Cień snu.

\* \* \*

– Ma pani ochotę na spacer, Ireno?

Oderwała się od podziwiania gór za oknem. Z niedowierzaniem spojrzała na Nicka.

– A co, spacerowanie jest dozwolone?

– Są wskazane... A z medycznego punktu widzenia wręcz konieczne.

Spacerowanie korzystnie wpływa na zdrowy sen, a gdy na panią patrzę, widzę że ma pani z nim coraz większe problemy.

Westchnęła.

– Wziął się pan za mnie na poważnie. Za moje zdrowie. Za zdrowie samicy przed zapłodnieniem.

Nick zrobił kwaśną minę.

Irena złapała się na myśli, że jej rozdrażnienie jest nikłe i w dużym stopniu udawane. Być może przywykła już do tego wszystkiego, a może jej lekarz prowadzący posiadał jakiś specyficzny urok – jednak jego towarzystwo nie było jej niemiłe. Nie bacząc na ich specyficzne relacje. Nie bacząc nawet na nieprzyjemności związane z wczorajszymi badaniami.

– Jan przywiezie pani zimową odzież, a na razie mogę pożyczyć pani własną kurtkę. Zrobię to z przyjemnością, Ireno.

Góry były zasnuwane dymkiem mgły. W pierwszej chwili Irenie od świeżego powietrza zakręciło się w głowie; zdążyła jednak uchwycić się podstawionej na czas ręki swego towarzysza.

Tak. Garaże. Szopa. Ogrodzenie... Psów nie ma. Lekarz ma rację... trzeba chodzić na spacerowanie,

regenerować siły, jeszcze jej się przydadzą. Ciekawe, czy wczorajszą opowieść o pechowych uciekinierach przekazano jej przypadkiem?

Czy też Nick chciał ją przestraszyć; wybić z głowy podobne pomysły?

Uśmiechnęła się posępnie. Nick po swojemu odczytał jej uśmiech.

– Wspaniały krajobraz, prawda, Ireno? To piękny zakątek. Ugryzła się w język. Mogłaby zażartować, że ten „wspaniały krajobraz” został po prostu ściągnięty przez modelatora Andrzeja ze ściennego kalendarza. Coś podpowiedziało jej jednak, że podobne żarty są teraz nie na miejscu.

– Bardzo bym chciał, Ireno, by między nami było jak najmniej...

nieporozumień. Napięć, domysłów, zła... Czy Jan jest cyniczny? Oczywiście, że tak. Czy ja jestem cyniczny? W pewnym sensie na pewno... Czy jest pani samicą do zapłodnienia? Tak... i nie. Chodzi tu o małego człowieka, który bez pani pomocy nigdy by nie przyszedł na świat. I o drugiego człowieka, mężczyznę, który chciał mieć dziecko, lecz z wielu przyczyn... sama pani rozumie. Cała sytuacja wygląda dość przerażająco – proszę jednak pomyśleć...

w końcu jest to... misja humanitarna. Proszę się nie śmiać; zdaję sobie sprawę, że wyrażam się śmiesznie i sentymentalnie. Ale czy nie mam racji, Ireno?

Na próżno starała się zetrzeć z twarzy zjadliwy uśmiech.

– Próbuje mnie pan przekonać?

– Ja? Nie... to znaczy tak. Próbuję przekonać panią, że ta sytuacja ma także swoje dobre strony.

Zatrzymali się przed zamkniętą bramą. Nick po chwili wahania wyciągnął z kieszeni klucze; Irena ze wszystkich sił próbowała ukryć nerwowy dygot. A więc wydostanie się poza ogrodzenie jest tak proste...

Wyszli na drogę. Przeszli sto metrów w kierunku przełęczy; Irena odwróciła się, by objąć wzrokiem całą farmę.

W oddali, obok niskiego, długiego budynku, w którym Irena rozpoznała chlew, przeszła kobieca postać w jasnopurpurowym swetrze. Głucho trzasnęły drzwi.

Nad kotłownią – w każdym razie Irena uznała, że jest to kotłownia –

unosila się biała smuzka dymu. Nad dachem domu wznosił się kurek z blaszanym śmigłem; wielka antena spoglądała w niebo szarym okiem.

Oficyna. Budynki gospodarcze. A dalej gęsta ściana lasu.

Przypomniła sobie własne, ciche podwórze. Swój prawdziwy dom, a nie tamten, sponiewierany przez nieznanego intruza... Bez spalonych łachmanów w kominku. Z poważnym Sensejem, który co



godzinę patrolował cały teren.

Przecież Sensej nikogo do siebie nie dopuści – pomyślała, blednąc. I umrze z głodu na progu powierzonego jego opiece domu... Tam, w realnym świecie.

Tam...

Minął już ponad miesiąc. Prawie pięćdziesiąt dni.

Tam, w wielkim świecie, przeszło ich tylko pięć. I Sensej wciąż na nią czeka. I Peter... czyżby naprawdę nie miał w zanadrzu jakiegoś planu awaryjnego?!

Gdyby tak wynurzyć się teraz w prawdziwym świecie. Ferie potrważą jeszcze dziesięć dni... A potem pojawić się na radzie wydziału, objąć Pacyfikatorkę, pocałować ją w wypudrowany nos, wypłakać się na jej przesyconych zapachem perfum piersiach.

Zerwał się wiatr, sprawiając, że szczelniej otuliła się za obszerną dla niej, męską kurtką. Oczy zaczęły jej łzawić – pewnie od wiatru.

Nick też wciągnął głowę w ramiona – wyszedł bez czapki, a jego cieniutki, elegancki szal raczej nie chronił przed wiatrem.

– Wiem, o czym pani myśli, Ireno. Planuje pani ucieczkę. Niech pani zaufa staremu mieszkańcowi... Lepiej nawet nie próbować.

– Czyżby?

Wbrew woli w jej głosie zabrzmiała nieskrywana pogarda.

– Tak... Myśli pani pewnie: zdrowy mężczyzna, a tak łatwo pogodził się z dożywotnim zamknięciem... podobnie jak pozostali. Jak Sit, który –

teoretycznie – mógłby udusić Jana jedną ręką. Jak Trosz, który... hm. Trosz jest z nas najbardziej nerwowy. Dlatego na razie nie będę was ze sobą poznawać.

– Sama niezbyt się do tego palę.

– Ma pani po same uszy jednego gaduły? Mnie?

Irena zerknęła na swego rozmówcę. Nick się uśmiechał.

Zza odległego zakrętu wyjechał samochód. Irena drgnęła; terenówka zniknęła z pola widzenia i pojawiła się ponownie. Z daleka droga wyglądała na tak niebezpieczną, że było niejasne, dlaczego ten żuczek na kołach jeszcze nie wypadł z zakrętu i nie leci w przepaść.

– A oto i Jan – rzekł Nick i Irena nie potrafiła określić uczucia, z którym zostały powiedziane te słowa.

Semirol wysiadł z samochodu – Irena od razu zauważyła, że jest wesoły mimo zmęczonej, szarej twarzy z podkrążonymi oczami.

– Wyszliście na spacer? Świetnie. Wspaniale. Cieszę się, że znaleźliście wspólny język.

– Jak? – zapytał Nick zamiast powitania. Semirol wzruszył ramionami.

– Przesunęli rozprawę... Jednak na próżno. Sprawa jest już praktycznie wygrana, choć na początku miałem wątpliwości... Wygląda pani na zmęczoną, Ireno.

– Pan również – odparła po chwili milczenia.

– Ja pracowałem od rana do świtu i dokonałem rzeczy niemal niemożliwej... I zabrałem się jeszcze za dwie sprawy. Oraz oskarżyłem pewnego zbyt śmiałego dziennikarza o zniesławienie. A pani? Żle pani sypia?

– Irena także pracuje – rzekł cicho Nick za jej plecami.

– Ma sporo do przemyślenia... Próbuję przekonać ją o humanitaryzmie jej misji... I mam nadzieję, że moje słowa... odniosą spodziewany skutek.

Semirol przenikliwie spojrzał Irenie w oczy i od tego wzroku Irena poczuła się nieswojo. Opuściła głowę.

– Irena zastanawiała się – kontynuował równie cicho Nick – czy nie zabijesz jej po fakcie.

Irena odwróciła się gwałtownie. Nick uśmiechnął się rozbrajająco.

– Takie właśnie mamy z Janem relacje. Ufamy sobie. Chciałem jeszcze raz rozwiać pani wątpliwości... nie byłem chyba nietaktowny?

– Dotrzymam słowa – potwierdził Semirol spokojnie. – Słowa, które dałem Irenie... a ona dotrzyma swego. Prawda?

Irena próbowała sobie przypomnieć, czy obiecywała coś adwokatowi wampirovi – i nie była w stanie.

\* \* \*

– Pewna energiczna wdowa postanowiła uszczknąć sądownie spory kasek od firmy, w której pracował jej nieżyjący mąż... Bardzo rzadko biorę się za coś bez zaliczki, ale po pierwsze, sprawa była bardzo perspektywiczna... A po drugie, szkoda kobiety. Dzieci, długi i cała reszta... Dlaczego pani niczego nie je, Ireno?

Irena posłusznie włożyła do ust plasterki szynki.

– Z takim wyrazem twarzy ludzie zwykle jedzą teksturę – oznajmił Nick. –

Mam straszne podejrzenie, że u naszej Ireny znikły receptory smakowe...

Proszę pokazać panu doktorowi język!

– Nie jestem waszą Ireną – odparła, z trudem przełykając na wpół przeżute mięso. – Proszę mnie zostawić w spokoju.

– Ktoś inny by się obraził – wymamrotał Nick z markotnym wyrazem twarzy. – A ja nawet przeproszę... Proszę mi wybaczyć. Pozwoliłem sobie na zbyt dużą poufałość.

Irena wpatrywała się w talerz.

Wciąż oczekiwała, że kiedy Semirol się nasyci, obrzuci ją taksującym spojrzeniem i powie, wycierając usta w serwetkę: „No cóż... Niech pani wstanie, Ireno. Idziemy”.

Andrzej... Andrzej. Przeżyłby egzekucję Ireny. A zdradę? Czy raczej gwałt?

Bo przecież inaczej niż gwałtem nie można tego nazwać. Jeśli Andrzej istnieje wewnątrz tego modelu – choćby w postaci bezcielesnego cienia... Czy może do tego dopuścić?!

Dziwaczne myśli obłąkanej kobiety. Opuściła powieki, jakby chciała ukryć się przed obserwującymi ją mężczyznami. Nie powinni się nawet domyślać, jak daleko zaszło jej szaleństwo.

Semirol otarł usta serwetką. Zaczesał palcami włosy – teraz nie wydawały się już tak twarde i lśniące i nie sterczały, lecz opadały na głowę. Zmarszczył

się, jakby bolało go w skroniach; spotkał się wzrokiem z Nickiem i Irena dostrzegła, jak pod tym spojrzeniem gadatliwy pan doktor szybko i nerwowo zamrugał. I opuścił głowę.

– Ireno – Semirol odwrócił się w jej stronę. – W pokoju są... prezenty dla pani. Będę rad, jeśli się pani spodobają... Do jutra. A ty, Nicku...

Lekarz uśmiechnął się ze znużeniem. Wstał od stołu, poprawiając swój romantyczny, jedwabny szalik.

– Nicku – powtórzył Semirol w zadumie. – Lepiej zostań... Zabawiaj Irenę.

Nick znowu zamrugał. Dość nerwowo.

– A ma to jakikolwiek sens? To chyba przesada...

– Przekonamy się – Semirol stał już w drzwiach. – Spokojnej nocy, Ireno.

I zniknął. Bezszelestnie zanurkował w półmroku.

– Jest zdrowy? – zapytała Irena po chwili milczenia.

– Zdrowszy od nas wszystkich – odparł Nick pośepnie. – I jeszcze długo nie będzie potrzebował pomocy medycznej.

– Sit! – doniosło się ze schodów. – Chodź tutaj, jesteś mi potrzebny.

Nick z jakiegoś powodu się nastroszył, niczym chory wróbel.

Irena patrzyła na modernistyczny obraz w ramie. Na kobietę z sinoblada twarzą. Na księżyc za jej plecami.

– Bohomazy – rzekł Nick ze znużeniem. – Wie pani co, Ireno; niech pani idzie do pokoju. Cieszyć się z prezentów.

\* \* \*

Na stercie firmowych opakowań leżał, pochylając kwiatowe główki, mały, niedbały bukiet. Leżał trochę podwiędły, a trochę wygnieciony i całym swym wyglądem mówił: jak ci się nie podobam, to nie bierz. Nie narzucam się.

Możesz wyrzucić mnie do śmieci, będzie mi przykro, ale to przeżyję.

Irena drgnęła.

Przy jej domu, w kącie przed ogrodzeniem, dokładnie tam, skąd najczęściej trzeba było przeganiać kury sąsiadów... same rosły liliowe chwasty. Rok po roku. Nikt ich nie pielęgnował; w tym okrutnym świecie mogły liczyć tylko na siebie – więc w siebie wierzyły i każdej wiosny zakładały małe, pstre państwo, które funkcjonowało pokolenie za pokoleniem, aż do pierwszego śniegu.

Z niedowierzaniem wyciągnęła rękę i podniosła przywiędły bukiet.

To one, albo niemal identyczne. Najwyraźniej podobnego zielska wszędzie jest pełno... W mieście jeszcze jesień, nie ma śniegu, i w każdym ogródku jest pełno liliowych chwastów.

Wyobraziła sobie adwokata, jak kompletuje bukiet z obficie nawiezonego przez psy klombu. Jak się krzywi, podciąga spodnie i rozgląda z lękiem, czy nie widzi go policjant.

Potem zamknęła oczy i zobaczyła inny wyraźny obrazek – pod opieczętowaną bramę jej domu podjeżdża samochód. Wymuskany Semirol rozgląda się, woła wszędobylskiego, małego Walka... Chłopiec zrzuca ciepłą kurtkę i z wprawą przeskakuje przez płot. By po pięciu minutach wrócić, niosąc w brudnym kawałku plastyku kilka liliowych kwiatków wymieszanych ze zrudziałą trawą, ziemią i opadłymi liśćmi.

Podniosła bukiet do nosa.

Teraz na jej podwórku pachnie właśnie tak. Ziemią i jesienią.

Natomiast *tam*, w realnym świecie, pachnie wiosną. I nie minął jeszcze tydzień od czasu, gdy Irena

jadła pieczone mięso w towarzystwie Petera i jego wygadanej współpracownicy.

– Mam rozdwojenie jaźni – rzekła na głos. I natychmiast zakryła usta dłonią.

\* \* \*

Obudziła się o świcie. Zapaliła lampkę – dziennego światła było jeszcze mało – obrzuciła obojętnym wzrokiem stertę prezentów, walających się na krześle i wokół niego, i wyciągnęła spod poduszki swą pierwszą książkę.

Dziś śniło jej się, że siedzi przed komputerem. I niespiesznie zapisuje, stukając w klawisze, swą dziwną historię.

I nie zerwała się, jak zwykle, oblana zimnym potem. Obudziła się spokojna, lekko zobojętniała i częściowo pogodzona z własnym losem. Liliowe kwiaty w szklance pachniały jesienią – wczoraj nie zdecydowała się, by zamorzyć je na śmierć i mimo wszystko wstawiła do wody.

Otworzyła książkę i zaczęła ją powoli i metodycznie czytać.

...Początkowo wydawało jej się, że po prostu nie pamięta własnego tekstu.

Działo się to wszystko zbyt dawno temu... Świadkiem jej pierwszych publikacji był jeszcze Andrzej, a w dniu ukazania się jej debiutanckiej książki na jakiś czas zapomnieli o niesnaskach i poszli razem do jakiejś restauracji. I Andrzej...

Nie. To nie to.

Irena czytała; był to bez wątpienia jej tekst. Przychodził jej do głowy w najbardziej nieodpowiednich momentach – na przykład za kierownicą albo podczas wykładu; i pamiętała, że nigdy nie udało jej się odtworzyć go bez strat. Ciągle coś jej w tym przeszkadzało.

Irena czytała i włosy stawały jej dęba.

Jej pierwsze opowiadania... jej *prawdziwe* pierwsze opowiadania nie dorastały temu tekstowi do pięt; był żywy, dynamiczny, wielopoziomowy i znacznie bardziej *prawdziwy* niż wszystkie jej próby, zarówno szkolne, jak i te późniejsze.

Oto króciutkie opowiadanko o spotkaniu parki zakochanych. Irena pamiętała, jak ciężko jej ono szło, z jakim trudem tworzyła dialog, który również na papierze pozostał sztuczny – nieskończona paplanina dwóch papierowych postaci, które z woli autorki siedziały na parkowej ławce.

Irena pamiętała tę paplaninę. I teraz, z drzeniem, raz za razem czytała wciąż to samo opowiadanie, w którym dialogów nie było prawie wcale. Była tylko ta ławka. Stary pień z przybitym do niego oparciem. Leżące drzewo pokryte wzorem zeszlórocznych liści, przypominających odciski palców, z zawiłymi drózkami korników, z jakimś jasnym, wciśniętym w szczelinę przedmiotem; zamiast oczekiwanych słów o miłości pojawiło się odczucie, wyraziste, jak ten gadżet. Młode, stworzone przez Irenę postacie milczały – i ona, niemal z przerażeniem, poznała w nich swych znajomych z

roku, zakochaną parkę, która kiedyś natchnęła ją do napisania tego opowiadania, by potem zagubić się w banalnych zdaniach.

A teraz ich sobie przypomniała. I zobaczyła – w milczeniu siedzących na ławce z pnia i patrzących w różne strony.

Rozpląkała się. Potem przestała, gwałtownie otarła łzy i przygryzła wargę.

– To tylko majaki... To *modeli*.

Najwyraźniej Andrzej miał wysokie mniemanie o jej talencie literackim.

A może to wszystko jest jedynie efektem ubocznym? Co ona może wiedzieć o prawach rządzących modelowaniem... które wyciągnęły z głębin niebytu adwokata wampira, Jana Semirola?!

A więc to miał na myśli wampir, mówiąc o ważkim argumencie. Tak, ta niepozorna książeczka rzeczywiście jest argumentem, którym nawet ją, Irenę, można przekonać do wszystkiego.

Liliowe kwiaty, które odżyły przez noc, wypełniły pokój zapachem trawy.

\* \* \*

Zdziwiło ją, że fotel, w którym zwykle nudził się osiłek Sit, tego ranka okazał się pusty. Stolik w salonie, na którym zwykle czekało na Irenę śniadanie, także był pusty; dopiero zauważając to, Irena uświadomiła sobie, że jest głodna jak wilk.

Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Irena powoli zeszła do drzwi wejściowych. Nacisnęła klamkę – zamknięte, a klucze pewnie ma Nick. Lecz muszą być też inne drzwi...

– Dzień dobry, Ireno.

Udało jej się ukryć zmieszanie. Semirol stał na schodach, piętro wyżej.

– Śniadanie zjemy dziś w moim gabinecie. Zapraszam.

W milczeniu przeszli znanym już Irenie korytarzem – zapewne nigdy już nie zapomni, jak Semirol prowadził ją, jak sądziła, na pewną śmierć.

– Podobały się pani prezenty?

Dzięki staraniom Semirola ubrała się dziś wyłącznie w nowe rzeczy. I stwierdzenie, że nie doceniła jego gustu, mijałoby się z prawdą. Że po umalowaniu się i obejrzeniu w lustrze nie odczuła chwilowej, silnej satysfakcji.

– Wszystko pasuje? Podoba się? Ubranie? Kosmetyki? Bielizna?

– Tak – nerwowo obciągnęła swój nowy, jasny kostium.

– Dziękuję. Chciałam właśnie zapytać...

Chciała zapytać, z jakiego klombu Semirol zerwał niepozorne, jesienne kwiatki o liliowej barwie. Jednak w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Zdążyła już pofantazjować na temat wizyty Semirola w jej opuszczonym, opieczętowanym domu – i teraz byłoby jej przykro usłyszeć, że bukiet został

kupiony od jakiejś starej kwiaciarki.

– O co chciała pani zapytać, Ireno?

Próbowała wymyślić jakieś neutralne pytanie, lecz miała pustkę w głowie.

– O co chciała pani zapytać?

– Gdzie podziewa się Sit? – palnęła pierwsze, co przyszło jej do głowy.

– Odpoczywa – odparł Semirol po chwili milczenia. – Ma dzisiaj wolne.

W gabinecie Semirola było jasno. Okna wychodziły na wschód i przejrzyste firanki nie były w stanie zatrzymać mocnych promieni słońca.

A niektórzy wciąż utrzymują, że wampiry boją się słońca, pomyślała gderliwie Irena. Ileż ja widziałam filmów, w których wampir zdychał na końcu od słonecznych promieni. I od osinowych kołków. I od srebrnych kul. I od czego one jeszcze nie zdychały, pozostawiając po sobie latorośle, które miały się rozmnożyć w następnym odcinku.

– Razi panią słońce, Ireno? Zaciągnąć kotary?

– Nie przeszkadza mi słońce – odparła, pocierając załzawione oczy. –

Jestem po prostu niewyspana.

– Znowu?

Irena się odwróciła. I zobaczyła Nicka, który melancholijnie kroił chleb na oswobodzonym od papierów rogu biurka.

– Znowu, Ireno? – powtórzył z troską. – Kłopoty ze snem? Będziemy pić wieczorem mleko z miodem? Zioła, kąpiele, świeże powietrze?

– Pokręciło go? – rzucił Semirol, choć zmieszały go nie zioła i kąpiele. –

Uprzątnij okruszki, odejdz od biurka i nie zbliżaj się do papierów! Dobrze, że chociaż masła nie zawiąnałeś w jakieś dokumenty.

– Dziś robię za kelnera – Nick jak gdyby nigdy nic uśmiechnął się do Ireny.

– Zechce pani przejąć obowiązki gospodyni. Wszystko jest gotowe, wszystko stoi na stoliku; gorąca kawa, domowej roboty śmietanka, kielbasa bez konserwantów... Rewelacyjnie dziś pani wygląda, Ireno; po prostu olśniewająco.

Uśmiechnęła się ze zmieszaniem. Ciekawe, czy Nick rozumie, że oprócz przyzwoitego ubrania i makijażu jej nastrój poprawiła także przeczytana w nocy książka.

– Cieszę się, że się pani uśmiecha – Semirol usiadł za prowizorycznie zastawionym stolikiem i założył nogę na nogę. – Myślę, że powoli poradzimy sobie z pani bezsennością, nerwicami i całą resztą. Chcę, by była pani absolutnie szczęśliwa. Jeśli będzie to wymagało wypożyczenia słonia z cyrku; cóż, zajmiemy się tym z Nickiem. Prawda, doktorze?

Nick przytaknął z aprobatą; Irena spoglądała na nich na zmianę. Skazany na karę śmierci ginekolog kroił chleb z naturalną elegancją; białą koszulę zmienił na jasnobeżową, na spodniach jak zwykle nie było ani jednej zmarszczki, a jedwabny szalik upodabniał go do aktora z operetki.

Rozparty w fotelu Semirol przyglądał się Irenie. Gdy spotkała się z nim wzrokiem, natychmiast odwróciła głowę – wstrząśnięta przemianą, jakiej uległ od poprzedniego dnia. W jasnym słońcu zalewającym gabinet Semirol wręcz tryskał zdrowiem. Gdzieś zniknęły worki pod oczami – skórę miał

gładką jak dziecko, włosy lśniące jak na plakacie reklamowym oraz jasne, ironiczne i zadowolone z życia oczy.

– Jeszcze będziemy się śmiać z pani tragicznych doświadczeń... Co by panią rozerwało? Chce pani telewizor? Może basen? Siłownię?

Zamyśliła się. Nad filiżanką herbaty unosił się obłoczek pary, przypominając rozdygotany, przejrzysty plasterek cytryny.

– Chciałabym mieć komputer – rzekła Irena niepewnie. – Przyszły mi do głowy... no, pewne pomysły, które dobrze byłoby zapisać.

Semirol roześmiał się, z akceptacją kiwnął głową i wyciągnął nad stołem rękę. Po sekundzie wahania Irena zdecydowała się ucisnąć jego dłoń.

– To historyczna chwila – skomentował cicho Nick. Irena zaśmiała się z przymusem i niemal równocześnie rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejdz! – przyzwolił Semirol.

Irena odwróciła się, sądząc, że ujrzy Sita; nowo przybyły był niemal tego samego wzrostu, lecz jeśli do Sita pasowało określenie „byczek”, to tego nowego należało raczej określić mianem „atlety”. Cienki, obcisły sweter z wysokim golfem ciasno przylegał do wspaniale wyrzeźbionych mięśni, spadzistych ramion i sinych rąk; lecz mimo posągowego piękna tego ciała, twarz gościa była napięta i



niepewna. Jakby do tułowia filmowego bohatera ktoś dla żartu przyłączył głowę niezbyt rozgarniętego, zaszczutego przez kolegów z klasy ucznia.

– To jest Trosz – rzekł Semirol, życzliwie kiwając głową w stronę nowo przybyłego. – A to Irena... Poznajcie się. Jest ona kolejnym członkiem naszej maleńkiej, ukrytej w górach rodzinie.

Chłopak przestąpił z nogi na nogę.

– Miło mi... panią poznać.

Irenie nie wiedzieć czemu zrobiło się go żal.

\* \* \*

Po śniadaniu Semirol przeprosił obecnych i zasłaniając się nawałem pracy, przekazał Irenę pod opiekę Nicka. Trosz został, by uprzątnąć gabinet; a Nick skłonił Irenę do przebrania się w nowy kombinezon narciarski, założenia podarowanej przez Semirola kurtki i wyjścia na zewnątrz, na świeże powietrze.

Na podwórzu siedział Sit, opierając się plecami o drzewo. Ręce miał

schowane głęboko w kieszeniach, a głowę opuszczoną na pierś; pojawienie się Ireny i Nicka nie zrobiło na osiłku najmniejszego wrażenia – nie podniósł

nawet oczu.

– Proszę chwilę poczekać, Ireno.

Z odległości dziesięciu kroków obserwowała, jak sposepniały Nick pochyla się nad nieruchomym ochroniarzem. Wyszarpuje z kieszeni jego bezwonną rękę i bada puls.

Sit coś powiedział, jednak tak cicho, że Irena nie zrozumiała.

– Lepiej leż – rzekł Nick ściszone głosem. – Leż i nie wstawaj... No dobra, poczekaj...

Sit znów coś powiedział i Irena odniosła wrażenie, że jest po prostu pijany, jednak po chwili ochroniarz z wysiłkiem podniósł głowę i wstrząsnął nią kolor jego twarzy. Że była „biała jak kreda” to mało powiedziane. Mówi się jeszcze

„jak papier”, „jak śnieg”.

– Ireno – Nick wrócił do niej biegiem. – Proszę sobie pospacerować za bramą, zaraz ją otworzę... Dogonię panią za dziesięć minut.

– Co z nim? – zapytała ze strachem.

– Zakręciło mu się w głowie – Nick uśmiechnął się uspokajająco. – Proszę się nie przejmować,

medycyna nie zasypia gruszek w popiele; pomogę cierpiącemu towarzyszowi i do pani dołączę.

Po minucie została sama.

Nad dachami unosił się biały dymek. Słońce wisiało nad górami i najwyraźniej nie miało się już tego dnia podnieść wyżej.

Irena patrzyła na drogę. Jeśli będzie iść pieszo, po jakiejś dobie powinna dotrzeć... A może nie? Ile czasu potrzebuje piechur, by dojść do najbliższej wioski?

Obejrzała się na farmę. Na ucieczkę drogą może zdecydować się tylko wariat. Znacznie praktyczniejsze byłoby zagłębienie się w las i próba przejścia przez góry. Na przykład tam, na wschodzie, wydaje się, że dostrzega jakąś przełęcz... choć najpierw dobrze byłoby zdobyć mapę. I ustalić, co znajduje się za górskim grzbietem.

Góry milczały. Piękne jak na pocztówce, zaśnieżone, wymyślone przez Andrzeja góry. W prawdziwym świecie na tym miejscu znajdowały się jedynie wzgórza, małe słone jeziora i cichy kurort dla starszych osób.

Głupiec z pana, panie Nikołań.

*Pani zadanie jest dziecinnie proste – wejdzie pani w świat...*

*najprawdopodobniej dokładnie odpowiada on naszemu, mogą występować jedynie pewne przesunięcia czasowe...*

Ależ z pana idiota, panie Nikołań. Po prostu kretyn.

*Zrobimy wszystko, by pani podróż była jak najmniej niebezpieczna.*

*Niemal tak jak zjazd na nartach...*

Irena z sarkazmem zerknęła na niewysokie słońce. Wyglądało na to, że po raz pierwszy w tym przerażającym czasie wróciła jej zdolność do spokojnego i trzeźwego kojarzenia.

*...To coś, stworzone przez pana Andrzeja, z każdą chwilą staje się... jak by to ująć... bardziej samodzielne. A gdy będzie w pełni autonomiczne...*

*Widzi pani... To jak rak na prawdopodobnej strukturze rzeczywistości...*

– Mam rozdwojenie jaźni – powiedziała na głos. – Zdaję sobie sprawę z faktu, że znajduję się wewnątrz fałszywej, sztucznie skonstruowanej rzeczywistości, która zużywa zbyt dużo energii i zaczyna przekraczać budżet Petera, zagrażając przy tym „strukturze prawdopodobieństwa”. W tym samym czasie zostałam w pełni realnie skazana na śmierć i niemal stracona, a teraz jakiś spragniony potomka wampir zamierza zapłodnić mnie nie z teoretycznym „prawdopodobieństwem”, lecz zupełnie na serio... Andrzej, czy słyszałeś kiedyś większy nonsens? Góry milczały.

– Andrzeju – Irena uśmiechnęła się sardonicznie. – Andrzeju... Usłysz mnie. Skończ swoje zabawy, draniu, bo Peter zatrzaśnie twoją zabawkę łącznie ze mną i z tobą... I razem z nimi, z tymi wszystkimi, którzy wierzą, że są prawdziwi. Usłysz mnie, przekłety modelatorze, gdyż w przeciwnym razie wszystko to źle się skończy!

W polu jej widzenia pojawił się nieruchomy cień. Irena drgnęła i odwróciła gwałtownie, niemal skręcając sobie kark. Przerażała ją sama myśl, że Nick, lub nawet Semirol, mógł być świadkiem jej zwariowanego monologu.

W pobliżu stał Trosz ze skromnie opuszczonym wzrokiem. Jego lekka kurtka niemal trzeszczała, rozpierana szerokimi ramionami.

– O co chodzi? – zapytała ostro. Może zbyt ostro.

Trosz westchnął.

– Pan Nick polecił mi, bym... dotrzymał pani towarzystwa. Przez jakiś czas.

Nie chciałem przeszkadzać.

– Nie lubię, gdy ktoś się do mnie podkrada.

– Proszę mi wybaczyć... Nie podkradałem się. Chciałem podejść, ale...

zobaczyłem, że się pani modli i po prostu stałem. Czekałem.

Irena nie odpowiedziała; Trosz błędnie zinterpretował jej spojrzenie i dodał, uciekając wzrokiem:

– Nikomu nie powiem, że się pani modliła. To przecież pani prywatna sprawa... Pan Jan na przykład podśmiewa się, kiedy się modlę. Ale to przecież moja sprawa, prawda?

– Tak – odparła odruchowo. – Oczywiście.

Trosz znowu westchnął.

– Jeszcze raz przepraszam.

– Czy Nick jest zajęty? – spytała powoli. – Jakieś kłopoty? Ktoś jest chory?

Chłopak przytaknął, nie podnosząc głowy. Przez jakiś czas Irena milczała, patrząc, jak przestępuje z nogi na nogę.

– Od dawna pan tu mieszka, Trosz?

– Co? – jej rozmówca szybko zamrugał. – A... Dwa lata. Dwa.

– Przejdziemy się? Porozmawiamy?

– Tak... W sumie to z przyjemnością... Pan Nick mnie właśnie o to poprosił.

– Boi się, że ucieknę? – Irena zmrużyła oczy.

– Boi się, że będzie się pani nudzić – odparł Trosz z powagą.

– Jak daleko możemy się oddalać?

Trosz wzruszył ramionami.

– To zależy... Ma pani ochotę pospacerować po lesie?

Irena obrzuciła wzrokiem odległą ścianę sosen. Kiwnęła głową.

Szli w milczeniu. Trosz sapał z napięciem i dopiero w połowie drogi Irena ze zdziwieniem zorientowała się, że wstydzi się podać jej ramię. Boi się ją urazić. Ośmieszyć.

Ujęła go pod ramię; nigdy w życiu nie miała okazji opierać się na takiej górze mięśni. Andrzej był chudy i żylasty. O innych – profesorach orientalistyki, studentach i pisarzach – nie było nawet co wspominać.

– Nick wspominał, że jest pan inżynierem.

– Byłbym – Trosz ze skupieniem patrzył sobie pod nogi, mięśnie jego zgiętej ręki były twarde jak drewno. – Kończyłem... politechnikę... w zasadzie to... szczerze mówiąc niezbyt pilnie się uczyłem. Ciągle ten sport... no... takie jest życie.

Irena westchnęła. Chciała wiedzieć, za jakie przestępstwo wstydlawy inżynier dostał wyrok śmierci, wiedziała jednak, że o to nie zapyta. Nie ma takiej możliwości.

– Ale tutaj zdarza się panu mieć styczność z techniką? – zapytała od niechcena.

– Tak... Choć wolałbym pomagać Elzie w oborze. W końcu dorastałem na wsi.

Z bliska las nie robił tak majestatycznego wrażenia, jakie można było odnieść, patrząc na niego z drogi. Zwykle sosenki. Zwykle koślawe jodły. I na dole gęsta płatanina suchych gałęzi; nie wiadomo nawet, czy da się tędy przejść.

– Dokąd pan mnie zaprowadził, Trosz? – zapytała z żartobliwym oburzeniem. – Sądziłam, że można uciec przez ten las... A pan...

Chłopak zbladł. Wciągnął głowę w potężne ramiona.

– Nie... Co też pani...

– Żartowałam – rzekła ugodowym tonem. – Chociaż... A pan nigdy nie myślał o ucieczce, Trosz? Sprawia pan wrażenie bardzo silnego, twardego i zdrowego człowieka...

– To pokuta – wymamrotał chłopak, wbijając wzrok w śnieg pod swoimi stopami. Głos mu się załamał.

Poryw wiatru zakołysał wierzchołkami sosen. W pobliżu rozległ się trzask spadającej szyszki.

– To pokuta – Trosz z przygnębieniem zmrużył załzawione oczy. – Za...

grzech. Ja... –

Z trudem wziął się w garść. Spojrzał na Irenę niemal wrogo.

– Powinniśmy już wracać.

– Nie chciałam pana urazić – rzekła, gdy wracając po swych śladach przebyli już większą część drogi.

– Nie obrażam się... Ja po prostu...

Trosz zatrzymał się. Nerwowo splótł palce, podniósł głowę i spojrzał w oślepiająco błękitne niebo.

– Wszyscy odbywamy tutaj pokutę. Wszyscy... zgrzeszyliśmy. Wszyscy oddajemy naszą krew... kropla po kropli... i gdy będzie jej dość, by wypełnić jego puchar... odzyskamy wolność. Połączymy się ze Stwórcą. Codziennie modlę się, by wziął moją krew. I za każdym razem jestem przerażony, kiedy rzeczywiście... do tego dochodzi.

Irena się cofnęła. O krok. Potem następny.

„Trosz jest z nas wszystkich najbardziej nerwowy”. Tak, ten wasz Trosz to po prostu wariat. Co prawda nie będzie musiał nosić w swym łonie dziecka Semirola. Jego geny raczej nikogo nie zainteresują.

Chłopak się opanował. Spojrzał na Irenę. Jego twarz zaszczutego podrostka wykrzywiła się ze skruchą.

– Chciałbym panią przeprosić. Nie wiem... o czym można z panią rozmawiać, a o czym nie.

– Można ze mną rozmawiać o wszystkim – uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Doktor Nick już wtajemniczył mnie we wszystkie szczegóły naszego maleńkiego pensjonatu. I proszę się mnie nie bać, Trosz; nie mam najmniejszego zamiaru pana urazić.

– Ma pani dobrą twarz – chłopak opuścił głowę. – To dla mnie niepojęte...

że też musi pani coś odpokutować.

Irenie zrobiło się zimno. I to odczucie zdecydowanie nie miało nic wspólnego z porywem wiatru, który zerwał się po kilku sekundach.

– Sama nie wiem, za co tu pokutuję – rzekła z nerwowym śmieszkiem. –

Jestem ofiarą własnej pomyłki.

Trosz spojrział na nią z niedowierzaniem. Odwrócił się i przesunął po śniegu czubkiem buta.

– Proszę się nie martwić. To nie boli.

– Naprawdę? – zapytała Irena, mimowolnie cofając się o jeszcze jeden krok.

Trosz przytaknął ze smutkiem.

– Naprawdę... Ale jest... paskudne. Boję się... Wczoraj była kolej doktora Nicka. Ale on... zmienił zdanie. Wziął Sita. On często... nie rusza Nicka. Mówi, że to lekarz, że jest pożyteczny i dlatego... A teraz sądzę, że po Sicie nastąpi moja kolej – ciekawe, czy następnym razem weźmie Nicka czy mnie?

– Wracajmy do domu – zaproponowała Irena ze znużeniem.

\* \* \*

Nick czekał na nich na podwórzu. Uśmiechnął się szeroko i spojrział obojgu w oczy.

– Już po spacerze? Weź się do roboty, Trosz. Idź do kotłowni pomóc Elzie.

I do pralni... Potem zajmij się samochodem. Jan mówi, że zbyt szybko siada akumulator.

Irena odprowadziła atletę zamyślonym spojrzeniem.

– Wymęczył panią?

Irena milczała. Myślała.

– Proszę wybaczyć, że musiałem panią zostawić. Gdy jest się jedynym lekarzem w okolicy, trzeba czasem...

– Nie sądziłam, że ma pan tak wielu pacjentów – Irena spoglądała niewinnie, jednak Nick od razu spojrział w stronę zabudowań, gdzie zniknął

smutny siłacz.

– Co, sprawia wrażenie wariata? To jedynie pozory. W zasadzie jest zdrowy, tyle że się załamał. Był po uszy zakochany w jakiejś pełnej temperamentu dziewczynie i gdy nakrył ją w łóżku z przyjacielem, w przypływie szału zabił ich oboje. Potem co prawda strasznie to przeżywał. No a nasze sądy się nie patyczkują; nieważne, czy zrobił to w afekcie, czy też nie, i tak otrzymał najwyższy wymiar kary. Wtedy właśnie pojawił się Jan ze swoją kasą.

Irena milczała, marszcząc brwi.

– Coś panią martwi?

Pomógł jej ściągnąć kurtkę. Irena zatrzymała się przed lustrem i przez dwie minuty wpatrywała w swą zaróżowioną, lecz posępną i skupioną twarz.

– A... co dolega Sitowi?

– Nic takiego – uśmiechnął się Nick. – Już mu lepiej. Jutro powróci do swych zwykłych obowiązków, a pojutrze...

– A czy to prawda, że wczoraj była pana kolej, Nicku?...

Ciągle się uśmiechał, lecz ten uśmiech nie był już taki szczery.

– Nicku...

Przeciągnął dłońmi po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej fałszywą wesołość.

– Tylko niech się pani nie stresuje, Ireno. Takie jest życie... Jan bardzo nie chce, żeby się pani denerwowała. Marzy o tym, by życie na farmie pani się podobało.

– Czy mógłby pan zdjąć swój szal?

– Nie ma najmniejszych powodów do niepokoju, Ireno. Zapewniam panią, że nie ma się pani czego bać.

– Proszę go zdjąć.

– Ależ żaden problem... – lekarz znów się uśmiechnął. Jedwabny szalik niczym wąż ześliznął się z jego szyi i drżał w jego nerwowych palcach; gdyż pomimo pozornego spokoju Nick był ewidentnie wzburzony.

Jego szyja okazała się wręcz sinobiała. Po obu jej stronach ciągnęły się ledwie widoczne, cienkie blizny – zarówno stare, jak i świeże. Blizny nitki.

Blizny znaki.

\* \* \*

Śnił jej się Andrzej. Jak idą razem po cmentarzu i mąż z zapalem opowiada jej jakąś ważną, szalenie interesującą historię. Opowiada i gestykułuje, mówi coraz głośniejszym głosem, a obok idzie kondukt pogrzebowy i Irena próbuje przekonać go, by ściszył głos. On jednak jej nie słyszy, mówi, śmieje się, wymachuje rękami...

Ludzie w żałobie, łzy, trumna. Andrzej niczego nie zauważa. „To jest metoda!”

– krzyczy, nie słysząc upomnień Ireny. „Metoda jest narzędziem, a nie celem, rozumiesz? Nie jest

podstawowym procesem!" I śmieje się, zadowolony ze swej przenikliwości: przybici rozpaczają ludzie odwracają głowy i pod ich spojrzeniami Irena porzuca Andrzeja, i ucieka przed siebie.

Biegnie po cmentarzu. Dociera do jego najdalszego zakątka. Wśród wielu zapuszczonych grobów czarną ziemią wyróżnia się świeży wzgórek; Irena potyka się; pod nogami ma kamienie i glinę.

Na wyblakłej fotografii nie można rozpoznać twarzy. I niezależnie od wysiłków nie jest w stanie odczytać imienia wygrawerowanego na miedzianej tabliczce.

Obudziła się jak zwykle o świcie. Jak zwykle od strasznej myśli. I jak zwykle spocona.

A jeśli dziecko nie zostanie poczęte? Kto powiedział, że tak po prostu, na jeden rozkaz wampira, zajdzie to, o co wiele par stara się długie lata? A bezpłodność? A...

Wybuchnęła płaczem.

Co ją czeka?

Dopiero teraz pojęła prawdziwe znaczenie słowa „farma”. Irena zostanie jedną z *nich*, dożywotnią niewolnicą wampira, i będzie raz za razem podstawiać szyję... Jeśli wcześniej nie uda jej się podstawić... innego narządu.

Za oknem zaczęły się pojawiać, jak na wywoływanej fotografii, zarysy gór.

## Rozdział 6

– Proszę mi wyjaśnić, Ireno, dlaczego, jeśli krwiodawstwo powszechnie uważa się za szlachetny czyn, jeden z najwyższych objawów wzajemnej pomocy... Proszę mi wyjaśnić, dlaczego w naszym przypadku to samo w istocie krwiodawstwo należy traktować jak coś nieludzkiego, potwornego, cynicznego. Oczywiście, nic podobnego pani nie powiedziała. Wystarczy jednak spojrzeć na wyraz pani twarzy!

Nick chodził z kąta w kąt. Semirol apatycznie siedział przed rozpalonym kominkiem i słuchał radia. Wampir całym swoim wyglądem zdawał się mówić: „Mnie tu nie ma” – chociaż Irena odczuwała jego obecność każdą komórką swego ciała.

Z dwóch ukośnych głośników ledwie słyszalnie dobiegała melancholijna melodia. Kiedyś Irena знаła i lubiła tę muzykę, i za każdym razem, gdy słyszała znajome dźwięki, podkreślała potencjometr.

– A może się mylę? – pytał Nick patetycznym tonem. – Więc niech mi pani to powie i wyjaśni błąd w moim rozumowaniu! Pani spojrzenie jest bardziej wymowne od najgorszego przekleństwa. Nie mogę jednak zrozumieć... no dobrze, mogę to zrozumieć. Rozumiem. Lecz ostatecznie Jan nie ogranicza się do tego, że wypija z ludzi krew; robi też wiele dobrego – zarówno tym ludziom, jak i innym, ciąganym po sądach, pozbawionym nadziei na udowodnienie swej niewinności.

– Zapisz to – mruknął Semirol, nie odwracając głowy. – Włączę to do swego wystąpienia. Niech przysięgli zapłaczą.



Muzykę zamienił najpierw nonszalancki głos spikera, a potem równie niedbały utwór – piosenkarka cieszyła się życiem, namawiając każdego, kto nie jest osłem, by poszedł w jej ślady.

– Ireno – Nick przestał chodzić, pochylił się nad siedzącą w fotelu rozmówczynią i zajrzał jej w oczy. – Powinniśmy powiedzieć to pani wcześniej. Tak, popełniliśmy błąd. Ale zauważyła przecież pani, że za każdym razem staramy się uchronić panią przed wszelkimi negatywnymi emocjami?

Semirol mruknął ironicznie.

– Powiedziałem coś nie tak? – zdziwił się Nick.

Semirol mruknął głośniej.

– Nie ty. Ta baba, która śpiewa. Miała jeden z najgłośniejszych, najdłuższych i najbardziej przygnębiających procesów rozwodowych.

Irenie zrobiło się żal piosenkareczki. Już dawno nauczyła się nie reagować zbyt emocjonalnie na słowo „rozwód”, nigdy jednak nie będzie w stanie zapomnieć własnego.

Semirol się odwrócił. Spojrzał na Irenę przez ramię; bezwiednie przyłożyła dłoń do szyi. Do miejsca, w którym pulsowała pod skórą tętnica.

Semirol się uśmiechnął. Irena zdała sobie sprawę, że wygląda głupio, jednak nie mogła już nic na to poradzić.

– I jak zakończyła się ta sprawa? – zapytał Nick z ciekawością.

Semirol zmienił stację. Głos rozwiedzionej piosenkarki zamienił namiętny tkliwy baryton, śpiewający na szczęście bez słów.

– Na moją korzyść... Gdyż otrzymałem potrójną stawkę. A ogólnie...

zarówno ona, jak i jej mąż przegrali. Irena zrozumie, co mam na myśli. Wszak swego czasu rozwiodła się pani z Andrzejem?

Udała obojętność. Inna sprawa, że udawanie przed Semirole mijało się z celem.

– Woli pan sprawy cywilne – usłyszała własny głos – czy karne?

– Jestem specjalistą o szerokich kwalifikacjach – odparł Semirol z powagą.

– A czy zdarzyło się panu... wybronić od wyroku prawdziwego przestępcę?

Mordercę? O którym pan wiedział, że jest winny?

– Tak – odparł Semirol po chwili milczenia. – Zdarzało się.

Nick głośno westchnął.

– A ja ze wszystkich sił staram się stworzyć romantyczny obraz szlachetnego adwokata. Szczerść jest bardzo piękna, ale przecież Irena może opacznie zrozumieć...

– Irena zrozumie to właściwie – Semirol wstał. – Jestem zawodowym kłamcą, jednak z Ireną staram się być szczerzy. Może pani wierzyć lub nie, lecz nie zwykłem widzieć w ludziach jedynie chodzących zapasów czerwonego płynu. I proszę zostawić w spokoju swoją tętnicę. Pani szyi nic nie zagraża.

Ale grozi czemu innemu, chciała odpowiedzieć Irena.

Jednak zanim to zdanie przyszło jej do głowy, Semirol już wyszedł, pozostawiając płonący kominek, grające radio i wzdychającego z wyrzutem Nicka.

\* \* \*

Tego lata wszystko jej się udawało.

Egzaminatorzy wymieniali niedowierzające spojrzenia; studentka Chmiel, która dotychczas dobrze sobie radziła, była kompletnie nieprzygotowana, co nie przeszkadzało jej tak lekko i przekonywająco zdobywać zaliczenia, że w indeksie pojawiały się jedna za drugą mocne czwórki. Przyjaciółki wzdychały z zawiścią; nawet popularny żart „A co sądzicie o karze śmierci?” już nie wprawiał Ireny w zakłopotanie i nie sprawiał, że się czerwieniła. Jej nieprzewidywalny mężczyzna, najlepszy z mężów, należał teraz wyłącznie do niej.

To lato, jeśli dobrze sobie przypomnieć, było zimne, szare i deszczowe.

Kryjąc się przed światem i szukając intymności, nowożeńcy rozbili namiot nad pustym brzegiem jeziora; nie wiedzieć czemu w pamięci Ireny to lato na zawsze pozostało słoneczne. Świerszcze ćwierkały jak szalone, kołysały się białe wiechy traw; jakaż egzotyka kryła się w kijankach na mieliźnie, w maleńkich karasiach, które Andrzej łowił „dla rekordu”, na czas.

Pewnego wieczoru na ich namiot natknęli się miejscowi poszukiwacze przygód, polujący na zakochane pary. Byli oni wcielonym koszmarem turystów, którzy woleli tłoczyć się w hałaśliwych obozach, byle tylko nie narazić się na niebezpieczeństwo i w środku nocy nie zobaczyć wokół swego ogniska tuzina roześmianych pysków. Jakże nagły i zimny był jej strach, a wtedy Andrzej, nie przestając się uśmiechać i nie zmieniając nawet pozycji, wyciągnął zza pazuchy maleńki, czarny pistolet i bez uprzedzenia wypalił w powietrze. I jak trzeszczały gałęzie pod nogami uciekających wyrostków. I jak zaraz potem Andrzej władczo zaciągnął ją do namiotu, a ona, wciąż jeszcze dygocząc ze strachu, błagała go, by rozbić obozowisko bliżej ludzi.

I jak przestała się bać. Raz na zawsze. I jakie święto urządzili sobie o świcie

– z kąpielą w ciepłej, zasnutej mgłą wodzie, z pierwotnymi okrzykami i ochlapywaniem się wodą, i znów z miłością – ależ musiały się zadziwić pływające na mieliźnie kijanki.

Dużo później zdała sobie sprawę, że każdego wieczoru przy ognisku i każdej nocy w namiocie

Andrzej trzymał przy sobie załadowany pistolet.

Zręcznie ukrywając ten szczegół przed młodą, szczęśliwą żoną.

Lecz jeśli nie była tego lata szczęśliwa – to czym naprawdę jest szczęście?

\* \* \*

– Podoba się, co? Właśnie tak – podoba się? Lubisz to? Choć tu, moja ty śliczna... O, tak. O...

Irena ostrożnie zajrzała przez uchylone drzwi. Niewysoka kobieta w czarnej, brezentowej kurtce rozpieszczała wielką, spasioną krowę – drapała ją za uchem, gładziła jej dziwnie czyste boki; potem, podsunąwszy nogą pusty skopek, usiadła na ławeczce i mamrocząc jakieś niezrozumiałe, pieszczotliwe słowa, zaczęła dojenie. W głębi obory poruszała szczękami jeszcze jedna krowa, mniejsza i czarna. Z klatek czerwonymi oczami spoglądały króliki. W

zagrodzie poruszały się jeszcze jakieś zwierzęta – by je zobaczyć, Irena musiałaby podejść bliżej, ale nie mogła się zdecydować na przerwanie uświęconego rytuału dojenia.

– Niechże pani wejdzie, po co tak w drzwiach stać. I proszę za sobą zamknąć, straszny przeciąg.

Kobieta uśmiechała się życzliwie. Irena zrozumiała, że pomyliła się, oceniając jej wiek – gospodyni nie przekroczyła jeszcze trzydziestki; miała nieco ponad dwadzieścia lat. Brezentowa kurtka dziwnie kontrastowała z umiejętnie umalowanymi oczami i ustami; szyja kobiety była zakryta ciepłym szalikiem.

– Mam na imię Elza – dziewczyna znowu się uśmiechnęła.

– To Śnieżynka. A to Ruda... Wszyscy pytają, czemu Ruda, skoro jest czarna? A ja odpowiadam: to tak jak u Jana, który nie odgrywa siedmiu ról, a tylko dwie. [1](#)

Dojarka wybuchnęła śmiechem, poprawiając jasny kosmyk włosów, który wysunął się spod jej chusty. Irena nie od razu złapała jej kalambur. „Semirol –

siedem ról”.

„Pocziwa Elza; w przeszłości była prostytutką, teraz troskliwie opiekuje się żywym inwentarzem... Naprawdę kocha zwierzęta. I trzeba przyznać, że mężczyzn też kocha, wszystkich bez wyjątku”.

Irena z rozdrażnieniem przypomniła sobie słowa Nicka. Gdyż właśnie tu, w obecności Śnieżynki i Rudej, jego cynizm wydał jej się szczególnie obrzydliwy.

– Nikt nie wie, ile Jan naprawdę odgrywa ról – rzekła powoli.

– Na pewno niejedną; co do tego nie ma wątpliwości. Nazywam się Irena Chmiel. Jestem...

– Wiem. – Elza życzliwie pokiwała głową. – Została pani niesłusznie skazana. Trosz mi opowiadał.

A ja – żeby nie było żadnych niedomówień –

pocięłam klienta za pewną rzecz. Nie chciałam zabijać; po prostu z głupoty wbiłam mu nożyczki w brzuch. Ale to było dawno, więc proszę na mnie tak nie patrzeć. To był skończony bydlak, ten nieboszczyk; i jeśli się dobrze zastanowić, to gdyby nie on, do tej pory zajmowałabym się... tym samym. Z

alfonsami za darmo, a z innymi – po dziesięć za noc. Opowiadam o tym wszystkim, bo Nick i tak by się wygadał. Jego język jest jak kurek na dachu –

kręci się w kółko i nie skrzypi.

Irena była zdziwiona manierą wyrażania się Elzy. Kalambury sąsiadowały z kolokwializmami, a wulgarne wyrażenia z osobliwą delikatnością. Mogłaby zapewne rzucić też mięsem, ale chyba się wstydziła.

Nie wiedzieć czemu wyobraziła sobie Nicka, który siedział tu, w szopie, i zabawiał zwierzęta anegdotami ze wspaniałego życia ginekologów.

Elza tymczasem uśmiechnęła się i Irena odniosła teraz wrażenie, że nie ma więcej niż dziewiętnaście lat. Dziewczynka...

– Od dawna.... tu pani mieszka?

– W sensie, jak długo? Jakies pięć lat. A dokładnie, prawie pięć. Ruda ma trzy lata, a Śnieżynka cztery. Cicho, Śnieżynko, cicho, przyzwyczajaj się, ta pani teraz jest swoja... Tak. A były jeszcze Siwka i Barsik, ale trzeba je było zabić ze starości; i po każdej przez tydzień ryczałam jak bóbr. Nawet Jan się denerwował; mówił: uspokoję cię, żeby ci nawet kropli wody na łzy nie zostało... Obiecał, że byczka kupi. Cicho, Ruda, zaraz się za ciebie zabiorę, wytrzymaj...

Dłonie Elzy pracowały odruchowo, lekko. Skopek się napelniał, pobrzękiwały wiadra, krowy przestępowały z nogi na nogę, zerkały na Irenę, nerwowo strzygły uszami; tępo patrzyły zza siatki czerwonoookie króliki.

Przez jakiś czas Irena zastanawiała się, czy o to zapytać. Miała to pytanie na końcu języka, dzikie i jednocześnie tak oczywiste.

1 Semirol – dosł. człowiek odgrywający siedem ról.

– Czy pani się tu podoba, Elzo?

Kobieta wytarła ręce w czystą ścierkę. Uśmiechnęła się figlarnie i znów poprawiła kosmyk włosów.

– A, rozumiem... Tak, czuję się trochę nieswojo, ale to z nieprzyzwyczajenia. Chodźmy. Dziewczynki – mówię do krów – zaraz do was wrócę.

Przybudówka gospodarcza przypominała Irenie laboratorium Petera. Masa urządzeń o nieznanym

przeznaczeniu, a pomiędzy nimi jakieś maselnice, lodówki, kotły...

– Jest mi trochę nieswojo z nieprzyzwyczajenia – powtórzyła Elza w zamyśleniu. – Wcześniej przez rok siedziałam po uszy w takim szambie, jakiego pani nie zazna przez całe życie... Tak. Znam facetów podlejszych od każdego wampira. Jan przynajmniej uczciwie krew wysysa. W ogóle jest uczciwy... Tak. Czuję się tutaj jak człowiek, rozumie pani? Trosz, choć jest trochę walnięty, muchy by nie skrzywdził; cóż z tego, że swoją kurwę z kochasiem załatwił. Sit... czasem wpada w złość, ale mnie lubi. Nawet jak z nerwów obrazi, to potem przez tydzień o wybaczenie prosi. A Nick...

– Co, Nick również? – wyrwało się Irenie.

Elza uśmiechnęła się, obnażając ładne, białe zęby.

– Nick... podoba się pani, co? Ludzie z wykształceniem zawsze się spikną...

Tyle że Nick jest przecież lekarzem, nie powinna pani... – i uśmiech Elzy zrobił się jeszcze bardziej figlarny.

Irenie zrobiło się głupio. Postanowiła wyjść; już w progu, po chwili wahania, odwróciła się.

– A Jan? On również?

Elza poważnie, już bez uśmiechu, pokręciła głową.

– Jan... jest dla mnie kimś w rodzaju Stwórcy. Kim ja dla niego jestem?

Dobrze, że chociaż czasem po głowie pogłaszcze... jak króliczka.

– Niezły mi Stwórca – ledwie słyszalnie wymamrotała Irena.

– Za to nigdy mnie nie zostawi – filozoficznie skomentowała to Elza. – Nie wyrzuci za drzwi, na pastwę... jak to było...

Na pastwę losu. A swoją krew sama oddam. Czemu miałabym mu żałować?

\* \* \*

Do wieczora przesiedziała w sypialni, za stołem, przed podarowanym jej komputerem. Chciała wziąć się do roboty jeszcze wczoraj, jednak nie mogła zebrać myśli. Za to dzisiaj, po spotkaniu z Elzą, znalazła, jak sądziła, te jedyne, odpowiednie słowa.

Powróciła do rzeczywistości, kiedy w pokoju zrobiło się już całkiem ciemno i przestała trafiać palcami w klawisze.

Sit delikatnie zapukał do drzwi i oznajmił, że Jan prosi ją na kolację; bardzo kusiło ją, by wymigać się złym samopoczuciem – lecz przecież wtedy zaraz przyszedłby Nick i trzeba by symulować do końca lub przyznać się do najzwyczajszego tchórzostwa.

Przebrała się pospiesznie. Nowa suknia leżała jak ulał, co choć nieznacznie poprawiło jej nastrój. Poprawiła włosy, nadała swej twarzy obojętny i znudzony wyraz i zeszła do salonu.

Semirol był sam. Irena spodziewała się, że będzie im towarzyszył

wszędobylski Nick i początkowo ucieszyła się z jego nieobecności.

A potem się przestraszyła.

Z radia dochodziła przenikliwa muzyka. Z wymuszonym uśmiechem Irena usiadła za stołem naprzeciwko wampira, ten zaś, witając ją uprzejmym skinieniem głowy, napełnił jej kieliszek; jednak nie winem, jak się spodziewała, lecz brzoskwiniowym sokiem.

Od razu wszystko zrozumiała – choć jak zwykle „od razu” przeciągnęło się u niej do pięciu minut. Patrzyła na sok, skosztowała go i w końcu wypłała pół

kieliszka.

Rozkaszała się. Odstawiła na stół. Rzuciła szybkie spojrzenie na Semirola i spuściła wzrok.

– Jestem cynikiem – powoli oznajmił wampir. – Jednak gdy w grę wchodzi moje dziecko... chciałbym, aby w naszych relacjach było jak najmniej cynizmu.

Nie uda się go całkowicie wyeliminować – starajmy się go jednak unikać, kiedy to tylko możliwe.

Irena przytaknęła, nie podnosząc głowy.

– Czy jestem dla pani odpychający?

Pokręciła głową – wciąż na niego nie patrząc.

– Porozmawiajmy o pani opowiadaniach... Ireno. Pamiętam je wszystkie bez wyjątku – szczególnie to z ławką...

Irena westchnęła. Znow napła się soku.

– Ja... sama nie wiem, jak mi się to udało.

Semirol zapewne nie podejrzewał, do jakiego stopnia jest szczerą. Że sama była wstrząśnięta własnymi opowiadaniem, których w realnym świecie nigdy nie napisała.

Wysiłkiem woli odegnała tę myśl. Nie może myśleć jednocześnie o rzeczywistości i modelu – najmniejsza wzmianka o tym może ją wydać, a wówczas...

– Nasze dziecko dorośnie – Semirol nalał sobie lemoniady – i wtedy opowiem mu o matce. I dam do przeczytania... a przecież do tego czasu ukaże się jeszcze niejedna pani książka. Będzie pani pisać i publikować, wszak jest pani utalentowaną osobą.

– Naprawdę? – wyrwało się Irenie.

– Przecież sama pani to wie – uśmiechnął się. – Proszę jeść. Jeść, pić i o niczym nie myśleć. Wszystko będzie dobrze.

Obserwowała jego twarz. Próbowwała dostrzec zęby, którymi delikatnie odgryzł kawałek pieroga; przyglądała się paznokciom na wypielęgnowanych dłoniach; lśniącym, twardym włosom.

Jest mężczyzną, mężczyzną, mężczyzną. Podoba mi się, podoba, podoba...

Na jej ustach mimowolnie pojawił się ironiczny uśmiech. No proszę, do jakiego stopnia niewymyślna jest psychiczna autosugestia.

Dlaczego jej się wydawało, że jest podobny do Andrzeja? Gdyby go choć odrobinę przypominał, byłoby łatwiej. A tu niestety...

A kto powiedział, że w jej życiu powinien być tylko jeden mężczyzna, a pozostali to tylko cienie?! Kto powiedział, że każdy, komu się odda, musi być podobny do tego bydlaka, Kromara?!

– Proszę się nie zadręczać głupimi myślami, Ireno. Proszę się odprężyć.

Może zatańczymy?

Skinęła głową, nie patrząc i nie wahając się. Teraz właśnie tego potrzebuje

– poczuć jego dotyk.

Choć obawiała się, że poczuje wstręt.

Radiola cicho grała dwójgim czarnych, rozdziawionych ust. Po zbliżeniu się do Semirola Irena mimowolnie wstrzymała oddech. Przestraszyła się, że czuć od niego zapach niestrawionej krwi.

Pachniał ekskluzywną wodą kolońską. Objął ją za talię, niewinnie i lekko.

Ostatni raz tańczyła na jakiejś instytucyjnej imprezie – najpierw z profesorem orientalistyki, chudym i niezgrabnym. A potem ze smarkatym, nieśmiałym studentem, który pocił się i emanował gorączkowym, szczeniackim pożądaniem. Irenie było go żal.

Zdaje się, że tego wieczoru wracała pogrążona w myślach. I zabrała autostopowicza, który przez dłuższą chwilę milczał, po czym palnął jej tak dwuznaczny komplement, że Irena ze złością wysadziła go w szczerym polu. I po powrocie do domu długo nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok, a wyłupiaste oczy samotności obserwowały ją ze wszystkich kątów; wtedy wstała, odwołała zdziwionego Senseja z nocnej warty i zasnęła, obejmując psa i wtulając twarz w jego gęstą grzywę.

– Proszę o niczym nie myśleć. Wszystko się ułoży... Jest pani niezwykłą kobietą. Choć dość dziwną... Tańczy pani kiepsko. Proszę słuchać muzyki, nie spieszyć się. Nie ma ludzi idealnych. Byłoby to sprzeczne z naturą, gdyby na dodatek umiała pani jeszcze tańczyć... Chociaż nie. Teraz już całkiem

przyzwolicie... Niechże się pani nie boi, Ireno. Wszystko, co złe, jest już za panią.

Przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu.

Nie gruchnie pod oknami orkiestra dęta. Andrzej tego nie widzi; jej były mąż najprawdopodobniej naprawdę nie żyje. Kiedyś zaklinali się, że o sobie zapomną – jednak już miesiąc po rozwodzie jeden z jej potencjalnych adoratorów został dotkliwie pobity w bramie własnego domu.

Jeśli Andrzej do *tego* dopuści – a już prawie to zrobił – to znaczy, że jest martwy.

Albo jest martwy dla niej – przecież sama kiedyś krzyczała mu prosto w twarz: zapomnij o mnie, jesteś martwy, umarłeś dla mnie!

Myśl o tym, że Andrzej wie, co się dzieje, lecz tylko uśmiecha się pod wąsem i wszystko obserwuje, znów wybiła ją z rytmu – Semirol mruknął z niezadowoleniem i mocniej ścisnął ją w talii.

Przygryzła wargę. Tak... jeśli tak to wygląda, jeśli los i Andrzej chcieli, żeby było właśnie tak... Cóż, ona jest kobietą, a nie jakąś szarą myszką. I nie jest wieczną wdową. Ani zabawką w rękach modelatora; nie boi się, jest silna, młoda i cokolwiek by mówić – piękna.

Twarz Semirola była bardzo blisko.

– Chodźmy – szybko rzekła Irena, w obawie, że jej poryw zgaśnie równie szybko, jak się pojawił. – Chodźmy już.

W jej pokoju pachniało stopionym woskiem. Płonęła świeca – nie elektryczna, lecz prawdziwa; naperfumowana pościel czekała w pełnej gotowości bojowej.

Nerwowo zdmuchnęła świecę. Chciała, by zapanowała absolutna ciemność.

Aby nie widzieć nikogo i niczego.

– Janie, ja sama... Sama zdejmę, nie trzeba...

Suknia, z której tak się wieczorem cieszyła, wydawała jej się teraz głupim i niewygodnym łachmanem. W tych wszystkich haftkach i zamkach zaplącza się jej włosy.

Andrzej wymyśliłby jakiś żart, z którego ona po trzech minutach – w najbardziej nieoczekiwanym momencie – roześmiałaby się do łez. Semirol milczał.

Szarpnęła suknię, wrywając przy tym kosmyk włosów. Z bólu napłynęły jej do oczu łzy; na szczęście było ciemno.

– Janie...

– Chwileczkę.



Zręcznie uwolnił jej włosy. Rozpiął klamerkę, której nie zauważyła. Irena uwolniła się, zdjęła suknię przez głowę, nastąpiła w ciemnościach na obcas zrzuconego pantofla i zasyczała z bólu.

– Niech pani poczeka, Ireno.

Semirol podniósł jej rzeczy z podłogi, odniósł w ciemność i rzucił na krzesło, razem ze swym ubraniem.

Wrócił, usiadł obok i położył jej dłoń na ramieniu.

– Niech pani nie przygryza warg.

– Widzi pan w ciemnościach? – zapytała z beznadzieją w głosie.

– Mógłbym skłamać, że nie. Jeśli pani chce, zawiążę sobie oczy, by nie mieć nad panią przewagi.

– Proszę na mnie nie patrzeć – wymamrotała żalonym tonem. – Jestem...

już stara. Jestem...

– Gdybym był romantycznym młodzieńcem, powiedziałbym, że jest pani prześliczna. I choć nie ma we mnie za grosz romantyzmu, jest pani piękną kobietą, Ireno. Wierzy mi pani?

– Nie.

– Myli się pani. Wielu mężczyzn z rozkoszą zamieniłoby się ze mną miejscami.

„Słyszysz to, Andrzej?”

Irena wyobraziła sobie, że okiennica nagle się otworzy, wyłamana od zewnątrz. Przez rozbite okno wpadnie w blasku błyskawic miejscowy Stwórca, złośliwy i zły, i wymachując słuchawką na zerwanym kablu krzyknie: „Dość tej zabawy! Ostatni seans został zakończony, model się wyczerpał, wszyscy mają opuścić teren eksperymentu!”

Nikt się jednak nie pojawił w blasku błyskawic. Dłonie Semirola powoli i delikatnie przygotowywały Irenę do tego, co miało nastąpić; choć wołała, by adwokat wampir jak najszybciej zrobił swoje, bez żadnej gry wstępnej.

Z pamięci wypłynęła jej czarna skrzynka koreksu w laboratorium fotograficznym, a wewnątrz niej absolutna ciemność służąca do przewijania filmów. Cudze ręce w rękawicach z grubego, czarnego materiału, czarna skrzynka obojętnie pozwalała korzystać ze swej ciemności.

A potem przestała myśleć, gdyż wampir, który wiedział, jak zdobywać władzę nad ludzkimi myślami i duszami, znalazł klucz także do jej ciała. I ciało ją zdradziło. Przypomniało sobie, że należy do kobiety. I od razu poczuła to nie tylko Irena, lecz także Semirol.

Sam tego chciałeś, Andrzej.

Irena zacisnęła zęby i objęła adwokata za szyję. Dotknięcie jego ciała okazało się niespodziewanie przyjemne – skóra wampira była gładka, chłodna, jak dobrze oszlifowane drewno.

– Janie... nie przeciągaj tego...

– Ireno...

Teraz grał na niej jak na instrumencie. Choćby rozstrojonym, brzęącym nieczysto, wciąż jeszcze niepokornym – grał jednak umiejętnie i z natchnieniem i najwyraźniej z minuty na minutę oczekiwał prawdziwego, czystego, „koncertowego” brzmienia.

– Ireno... zaraz. Jesteś cudowna... Jeszcze napiszesz o miłości... Bądź ze mną, po co ukrywać uczucia...

– Janie, proszę! Jej opór topniał.

– Nie można ukrywać uczuć; przecież ja swoich nie taję. Bądź ze mną –

szczerze, z radością, to tak wiele znac...

Ból od skurczu był niespodziewany i wszechogarniający. Irena ledwie powstrzymała się, by nie krzyknąć.

– Cicho, cicho... Ireno!!

Miała wrażenie, że całe jej ciało zaraz wywróci się na drugą stronę. Ręce jej zdrtwiały i straciła w nich czucie. Konwulsyjnie rozcapierzyła palce; w następnej chwili w jej bok wbiła się igła; dotarło to do niej dopiero po chwili, gdy skurcz już minął.

Nie da się ukryć, że trafiają jej się przewidujący mężczyźni. Jeden kładzie się do łóżka z pistoletem, a drugi ze strzykawką na wypadek skurczu u zbyt nerwowej partnerki.

– To nic takiego, Ireno – wampir ciężko oddychał.

– Wybacz mi, Janie.

– Nie ma za co przepraszać... Chcesz wody?

– Przepraszam, Janie.

– To moja wina. Chyba zbyt się pospieszyłem.

\* \* \*

Pewnego lata – Irena kompletnie nie pamiętała roku – znaleźli się w luksusowym i modnym kurorcie, jednym z takich, których Andrzej zwykle nie cierpiał, a o których Irena potajemnie marzyła. I właśnie tego lata jej miłość do „riwiery” raz na zawsze umarła.

W sąsiednim domku przebywał sławny reżyser – starzejący się, niezwykle uroczy sportsmen i erudyta. Irena z przyjemnością gawędziła z nim na wszelkie tematy – głównie zaś o tym, co zwykle się określać mianem sztuki.

Reżyser miał oryginalne spostrzeżenia, był mądry i po prostu miał talent.

Oprócz tego świetnie pływał, łowił kraby i uwielbiał straszyć turystów, od czasu do czasu nurkując pod łódki lub pontony.

Irena lubiła wypływać daleko za boje. Rozpościerał się stamtąd wspaniały widok na zatokę, a poza tym dopiero za bojami zaczynało się prawdziwe morze, puste i wolne. Bała się pływać tam sama, a mąż raczej rzadko dotrzymywał jej towarzystwa; tego pamiętnego dnia Andrzej po raz kolejny odmówił. Był wówczas okropnie zajęty: siedział na piasku z narzuconą na ramiona kraciatą koszulą i budował domek z muszli. Dzieciaki z całej plaży tłoczyły się wokół, zauroczone architektonicznym mistrzostwem tego dorosłego pana. Pana, który nie dostrzegał zaciekawionych dzieci, ich zaintrygowanych mam ani nawet własnej żony.

Dlatego Irena tak się ucieszyła, kiedy reżyser zaproponował jej, by razem wypłynęli daleko w morze.

Przyłączyła się do nich cała ekipa – dwie leciwe damy, inteligentnie wyglądające małżeństwo i młoda wielbicielka „twórczości” reżysera; wszystkich ich nie interesowało oczywiście morze ani Irena, lecz wyłącznie obecność znanego artysty. Niestety, dystans okazał się ponad siły wielbicieli; odpadali po kolei, ze strachem zawracając w stronę brzegu; wkrótce Irena i reżyser zostali sami.

Płynęli i rozmawiali. Oczywiście o sztuce. O plotkach w środowisku bohemy, o kinowych i teatralnych premierach, o pięknie zatoki i morza; reżyser zachwycał się stylem pływackim Ireny, jej stylem życia i w ogóle stylem.

A potem, rozwodząc się nad jakimś zupełnie oderwanym tematem, podpłynął do niej bardzo blisko. I oplótł jej biodra żylastymi, opalonymi nogami; ona zaś zdała sobie nagle sprawę, że ma na sobie jedynie dwa skrawki mokrego, skąpego kostiumu.

Bardzo nie chciała obrazić reżysera. Nie chciała stawiać go w niezręcznym położeniu – pływał jednak szybciej niż ona i wszelkie próby wyswobodzenia się odbierał jako kokieteryę. Nie wiadomo, co strzeliło do głowy mądrymu przecież człowiekowi – czy to otwarte morze pozbawiło go rozsądku, czy słońce, a może to sława ostatecznie rozpuściła mu mózg.

Irena zaczęła wrywać się na serio. Do brzegu były dwa kilometry, a wiatr, który rozpętał się już nad ranem, zaczął się nasilać. Reżyser, który poczuł się urażony, zaczął dobierać się do niej na poważnie.

– Niechże pan przestanie!

Fala, która uderzyła ją w twarz, wepchnęła jej słowa z powrotem w usta –

razem z haustem słonej wody. Zaczęła kaszleć; reżyser tym razem rzucił się jej na pomoc, ona jednak odepchnęła go ze wstrętem i zachłysnęła się ponownie.

Nie wiadomo, czym zakończyłaby się ta „kąpiel” – jednak w tej samej chwili wydało jej się, że od strony brzegu mknie, przecinając wodę, wielki wodolot. Było to w każdym razie feeryczne widowisko; po półminucie okazało się, że to tylko Andrzej Kromar płynie kraulem.

Andrzej rzucił się na reżysera i zaczął go topić – w skupieniu, przerażająco, ze znajomością tematu. Reżyser bulgotał, młócił kończynami wodę, wypływał i znów się zanurzał, nie mając siły uwolnić gardła od kołnierza silnych dłoni Andrzeja; świadkami kaźni były brudne, żółtonogie mewy i oczywiście Irena, która w miarę swych sił walczyła z falami.

Potem zachłysnęła się na dobre – i zaraz potem zobaczyła wysoko nad głową oddalającą się powierzchnię wody.

Odzyskała przytomność na brzegu. Pod brzuchem poczuła twarde kolano Andrzeja – wytrząsał z niej wodę jak z butelki. Wokół tłoczyli się wzburzeni wczasowicze; na wielu twarzach malował się wyrzut: tak właśnie kończy się wypływanie za boje!

Sąsiedni domek opustoszał. Całe dwa dni Irena dygotała i płakała, absolutnie przekonana, że lada moment fale wyrzucą na brzeg mokre zwłoki reżysera.

A potem przelotnie zobaczyła „topielca” w jakiejś kawiarni – ten pospiesznie zrejterował, udając że jej nie zna. I wkrótce potem opuścił kurort.

Nigdy nie rozmawiali z Andrzejem o tym incydencie. Ani zaraz po nim, ani później; zawarli milczący układ, wedle którego ten wypadek nigdy nie miał miejsca.

Od tamtej pory Irena przestała jednak lubić modne kurorty.

Rano w ogóle nie wstała z łóżka. Oczami wyobraźni widziała współczujące spojrzenia administratora Sita: „Zdaje się, że nic nie wyszło. Ojojoi”. I nieśmiałego, wiecznie udręczonego Trosza: „To także jest pokuta”. A Nick...

Nick. „Współczesna medycyna bez trudu radzi sobie z podobnymi problemami... Następna próba odbędzie się pod okiem lekarza prowadzącego”.

Rozległo się pukanie do drzwi. Irena gorączkowo nakryła się kocem – swą jedyną tarczą.

„Współczesna medycyna” pojawiła się w towarzystwie stolika na kółkach.

W pokoju zapachniało śniadaniem; nie mówiąc ani słowa, Nick podtoczył swój wózek do łóżka Ireny i usiadł obok na taborecie.

– To rodzinna wizyta w szpitalu? – zapytała ponuro. – Czy poranny obchód?

– Jedno i drugie. – Nick napełnił jej filiżankę. – Chce pani mleka?

Smietanki? Sam nie wiem, jak Elza uzyskuje przy dojeniu tak wspaniałe mleko. Widocznie krowy bardzo ją lubią.

– Nicku – rzekła Irena, wpatrując się z obrzydzeniem w talerz. – Czy jest pan w stanie... coś zrobić? Probówka... Wygodnie, pewnie, w pełni nowocześnie. A może sztuczne zapłodnienie praktykują wyłącznie weterynarze?

Zaiste, dzisiejsza noc odebrała jej wszelką skłonność do delikatności.

– Będzie się pani śmiać – Nickowi nawet nie drgnęła powieka, choć miała nadzieję, że będzie choć trochę zmieszany. – Mógłbym wymyślić jakieś kłamstwo, ale nie będę tego robił. Powiem prawdę i może się pani śmiać na zdrowie... Jan nie chce. Uważa, że podobne metody są cyniczne, że jego potomek powinien zostać spłodzony w maksymalnie rodzinnych warunkach.

Wyobraża sobie pani podobny absurd? I co sądzi pani o podobnych wypowiedziach w ustach naszego krwiopijcy?

Irena odruchowo spojrzała w stronę drzwi.

– Proszę się nie bać – roześmiał się Nick. – Mogę sobie pozwolić na podobne epitety pod adresem Jana, choć nie znaczy to oczywiście, że ktoś inny może postępować podobnie... Nawet pani. Mówię to na wszelki wypadek, by zapobiec niezręcznym sytuacjom. Niech pani je. I nie zadręcza się złymi myślami. Wszystko jest na dobrej drodze; będzie dobrze i za niecały rok zapomni pani o wszystkim; o mnie, o Janie...

I o dziecku, pomyślała Irena.

Nie powiedziała jednak tego na głos.

\* \* \*

Semirol pojechał do miasta – na kilka dni, jak zapewniał Nick. Irena poczuła się swobodniej. Elza migdałiła się z Sitem na tyłach domu. Trosz wyciągnął skądś starą strzelbę myśliwską, rozebrał, wyczyścił, złożył z powrotem i przestrzelał. Podziurawił kulami grubą deskę i roztrzaskał ze dwadzieścia butelek.

Irena z daleka obserwowała zabawę Trosza. Dzień był słoneczny, choć wyjątkowo chłodny. Myśli Ireny toczyły się trzema torami jednocześnie; myślała o przeznaczeniu, ucieczce i strzelbie myśliwskiej.

Czy to możliwe, że to właśnie los przerwał jej „noc poślubną” z wampirem?

Kto powiedział, że Stwórca pojawia się wyłącznie w blasku błyskawic – o ile skromniejszy i bardziej efektywny jest momentalny, bolesny skurcz pewnych mięśni. Ciekawe, co zgotuje jej los podczas drugiej próby Semirola; a że taka nastąpi, Irena nie miała najmniejszych wątpliwości.

– Andrzeju – pytała, patrząc w niebo. – Jak długo to jeszcze potrwa?

Współpracownicy Petera nie dostają już pewnie wypłaty...

Niebo milczało. Trosz z zimną krwią unicestwiał butelki.

Wcześniej tego samego dnia Irena spędziła pożyteczną godzinę w bibliotece z magnetycznymi rybkami, studiując szczegółową mapę okolicy.

Motywy Semirola, który wykupił kiedyś tę jałową parcelę wśród gór, były dla niej teraz o wiele bardziej zrozumiałe. Ucieczka z farmy przez górskie przełęczę była możliwa tylko przy wsparciu z powietrza. Konkretnie na uciekiniera musiałby czekać helikopter z doświadczonym pilotem, a dla pewności jeszcze kuchnia polowa i batalion żołnierzy.

Być może jakiś asceta, który całe życie chodził boso i żywił się konikami polnymi, mógłby przedrzeć się przez te góry. Mając jedynie teoretyczne przygotowanie, Irena nie miała szans.

– Postawił na piękno – wymamrotała z goryczą Irena, patrząc, jak mienia się w słońcu dziwne, pocztówkowe góry. – Niezły modelik, niech to diabli!

Mapy miasta i okolicy były wspaniale dopracowane – Irena znalazła na nich nawet swój dom przy drodze. I tym bardziej zatrwożył ją fakt, że teren po drugiej stronie gór był zaznaczony jedynie kilkoma kreskami i opisany paroma nazwami. Koniec modelu? Bo przecież gdzieś musiał być jego koniec, granica; wszak Andrzej nie jest Bogiem, by stworzyć cały świat.

Przyglądała się talerzowi anteny na dachu. Antena satelitarna zakłada istnienie sputnika. Czyżby Andrzej dołączył tu też fragment wszechświata?!

Droga wiła się wśród gór. Irena niezle prowadziła samochód, lecz by usiąść tu za kierownicą, lepiej być jednak mężczyzną... A najlepiej wampirem.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Zajrzała przez uchylone drzwi garażu

– terenówki Semirola nie było, podobnie jak jej właściciela; stał tam za to samotnie biały samochód osobowy z na wpół zatartym czerwonym krzyżem.

Irena wiedziała, że jest na chodzie. I domyślała się nawet, kto ma kluczyki.

Nick...

W garażu panował specyficzny, ostry zapach benzyny, nie był on jednak nieprzyjemny. Irena weszła do środka; wraz z nią do garażu wdarł się wiatr, który zakołysał gołymi żarówkami pod sufitem.

Z powodu zbyt dużych kół z głęboko bieżnikowanymi oponami samochód przypominał baletnicę w wojskowych buciorach. „Kierownica ufnie i z łatwością poddała się jej dłoniom. Silnik zaskoczył za pierwszym razem...”

Powoli, jeszcze nie wierząc we własne szczęście, wyjechała samochodem za bramę – i zrozumiała, że jest wolna, że teraz nikt nie dogoni jej nawet na najostrożniejszym wirażu...”

– Przechadza się pani?

Odwróciła się gwałtownie. Trosz, ze strzelbą dyndającą mu na ramieniu, wzruszył ramionami ze skruchą: że niby przepraszam, nie chciałem wystraszyć.

– Wybiera się pan na polowanie? – odparła pytaniem na pytanie.

Trosz westchnął.

– Chciałem... zimą podchodzą tu kozice. W zeszłym roku jedną upolowałem...

– A ma pan srebrne kule?

– Co? – zdziwił się Trosz.

Przez dłuższą chwilę Irena nie odrywała od niego wzroku; jednak stał pod światło i słabo widziała jego twarz.

– Umie pan prowadzić samochód, Trosz? – zapytała, gdy milczenie zrobiło się wyjątkowo niezręczne.

– Nie... Nie siedziałem nawet nigdy za kierownicą... Jestem jedynie mechanikiem.

– Ale dlaczego? Jeśli pozwalają panu tu strzelać, dlaczego nie nauczyli prowadzić?

– To przeoczenie – rzekł Nick, który podszedł do nich bezgłośnie. – Dobrze by było też potrenować jazdę w trudnym terenie. Ze szczegółową mapą. Choć w zasadzie łatwiej wynająć mikrobus, by zawiózł wszystkich chętnych tam, dokąd sobie zażyczą... Trosz, Elza skarży się, że kocioł przecieka. Sprawdź to.

Trosz westchnął. Postawił strzelbę w kącie garażu i bez szemrania wyszedł.

– Nie podoba mi się tok pani myśli, Ireno – rzekł Nick, odprowadzając go wzrokiem.

Nie odpowiedziała.

– Widzi pani niewolników i ich właściciela... Widzi pani więźniów i strażnika. I zadaje sobie pani zupełnie naturalne w tych okolicznościach pytanie: dlaczego nie uciekają?

– A dlaczego nie uciekają? – wymamrotała Irena, patrząc na strzelbę.

– Dlatego, że każdy z nas zawarł z Janem układ. Umowę. Każdy z nas miał

w pewnym momencie wybór... I proszę się tak sarkastycznie nie uśmiechać.

Poza tym, dokąd mielibyśmy uciec? Co zrobiłaby Elza... czy myśli pani, że na wolności czeka ją coś więcej niż ulica? A na co może liczyć Trosz czy Sit? Na wieczny strach, ciągłą ucieczkę? Nowy

wyrok albo kulę litościwych współników?

– A co czeka na pana? – zapytała Irena, zaskakując samą siebie.

Nick uśmiechnął się kącikiem ust. Nie odpowiedział, wziął strzelbę i wyszedł z garażu; Irena dogoniła go w pół drogi do domu.

– Powiedziałam coś nie tak? Proszę mi wybaczyć.

– Co też pani mówi, Ireno; za co miałbym się obrażać? Po tych sześciu latach nie mam już żadnych przyjaciół. Straciłem ich zresztą znacznie wcześniej, w sali sądowej; na pewno pani coś o tym wie.

– Tak. – zmarkotniała.

– No właśnie... Żona powtórnie wyszła za męża. Synowie są przekonani, że nie żyję. Dokąd miałbym uciekać, Ireno?! Jedynym człowiekiem, który choć trochę mnie rozumiał i podtrzymywał na duchu przez cały ten czas, był Jan...

Pewnie wydaje się to pani niezgodne z naturą. Tak, nie lubię, kiedy wysysa się ze mnie krew. Lecz niech mi pani wierzy, że to nie jest najgorsza rzecz, jaką człowiek może uczynić drugiemu człowiekowi. Wierzy mi pani?

Po chwili wahania Irena w milczeniu przytaknęła.

\* \* \*

To jest model, mówiła sobie, czytając gazety sprzed tygodnia. To jest model, myślała, oglądając kronikę policyjną na trzech kanałach jednocześnie.

To tylko zewnętrznie przypomina normalne życie. To jest model i jeden diabeł

wie, jaki był zamysł jego twórcy.

– Jak pan sądzi, Nicku, dlaczego w tym świecie jest tak wielu różnorodnych morderców? Niezależnie od tych surowych wyroków. I czy nie wydaje się panu, że świat zwariował pod względem praworządności? Pod względem okrutnej praworządności?

Irena starała się, by jej głos brzmiał jak najbardziej obojętnie.

Skazany ginekolog wzruszył ramionami.

– To pytanie do Jana. To jego życie i zawód.

– A kiedy on wróci? – zapytała po chwili.

– W zależności od tego, jak potoczą się sprawy. Broni teraz jednocześnie w dwóch procesach. Cywilnym i karnym.



– Biedak się przemęcza – rzekła z dziwną intonacją. Nick oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Co takiego? – Nic...

– ...Niezwykły sklep! – radośnie oznajmiła spikerka. – Najbardziej staromodni z nas mogą być zaszokowani... ale na pewno spodoba się dzieciom. W minionym tygodniu...

Na ekranie pojawiła się miejska ulica. Irena aż się spięła – piękna ulica, odświętny tłum, jakie to dalekie i nieosiągalne. Jak bardzo chciałaby zanurzyć się w tym wszystkim, choćby na minutę.

– ...ku ubolewaniu surowych nauczycieli. Mam nadzieję, że poczucie humoru zwycięży i asortyment sklepu wywoła zachwyt lub oburzenie, lecz nie pozostawi nikogo obojętnym...

Kolorowa witryna. Jasnożółty, plastikowy szkielec naturalnej wielkości, dziesiątki odrąbanych rąk, bardzo przypominających prawdziwe, jakieś zdechłe muchy, zdechłe myszy i pająki na gumce.

W oryginalnym, zewnętrznym świetle podobne sklepy funkcjonowały już od dawna. Chyba. W każdym razie Irena gdzieś to już widziała.

– ...Loterie i niespodzianki! Uwaga! Nauczmy się żartować i nie obrażać za żarty! Gdy znajdziecie w kominku szczątki ulubionego kota – nie wpadajcie w panikę. Najprawdopodobniej jest to atrapa i nabiera was własny syn. Irena zmarszczyła brwi.

– ...Przychodźcie do nas! Otworzymy przed wami drzwi do nowego świata

– świata przerażających bajek i legend!

Szyld nad wejściem: „Świąteczne żarty i niespodzianki”. Lada, klienci, dzieci z rozdziawionymi buziami... Scenki z horrorów z udziałem zębatych masek.

Irena przyciszyła telewizor. Odwróciła się do Nicka.

– Na przykład pan – czy zasłużenie skazano pana na śmierć?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Zależy, jak na to spojrzeć.

– Jedno z dwóch. Albo został pan niesłusznie skazany, albo Jan postąpił

niesprawiedliwie, pozostawiając pana przy życiu... W każdym razie...

– Przecież już to mówiłem, Ireno. Z podobnymi wątpliwościami niech się pani zgłosi do Jana. Do zawodowca. A ja, jak pani dobrze wie, jestem specjalistą w zupełnie innej dziedzinie... Chce pani kawy?

Potrząsnęła głową, zamierzając odmówić – i nagle zastygła z otwartymi ustami.

Z ekranu patrzył chłopiec. Miał jakieś dziesięć lat, był blady i chudy.

– Uwaga... Policja z północno-wschodniego sektora miejskiego znalazła Ilię Worochta, dziesięciolatka, który zaginął przed pięcioma dniami w niewyjaśnionych okolicznościach. Chłopiec jest zdrowy, przebywa jednak w stanie silnego szoku; ze źródeł związanych ze śledztwem, dowiedzieliśmy się, że chłopiec najwyraźniej uniknął pewnej śmierci, cudem wymykając się z rąk psychopatycznego mordercy.

– Ileż można – wyszeptała Irena. – To świat maniaków i katów... I po co skonstruowałeś to wszystko, do przeprowadzenia jakiego eksperymentu?

Nie od razu zdała sobie sprawę, że mówi na głos. I że Nick przygląda jej się uważnym, ciężkim wzrokiem.

– Nie tylko Trosz potrafi modlić się do Stwórcy – rzekła, kryjąc zmieszanie.

Okazało się jednak, że „ratunkowa wymówka” nie dotarła do uszu Nicka.

Wstał już i wyszedł, a Irena mówiła w pustkę.

\* \* \*

Semirol wrócił po trzech dniach. Irena, która wyglądała przez okno, odniosła wrażenie, że jest zmęczony i strapiony; nie знаła go jednak wystarczająco dobrze, by wiedzieć to na pewno. W każdym razie zewnątrz pozostawał jak zwykle elegancki.

– Jakie masz wieści, Janie?

– Różne... jak zazwyczaj. Jeden proces wygrali, drugi się przeciąga.

Wampir zachowywał się, jak gdyby nigdy nic – jakby nie stało pomiędzy nimi wspomnienie tej wstydlivej i bolesnej „pierwszej próby”. A Irena bez przerwy musiała zmuszać się do panowania nad sobą.

– Janie... mam do ciebie sprawę.

Trudno jej było wydusić z siebie te słowa, nie chciała się jednak wycofywać.

Przez chwilę Semirol badawczo jej się przyglądał. Potem się uśmiechnął.

– Nieprzyjemną?

– Tak.

– Więc chodźmy.

W drodze do gabinetu natknęli się na Nicka. Przywitał się i odprowadził

ich zatroskanym spojrzeniem; o nic jednak nie pytał.

Za oknami hulał wiatr. Semirol zapalił lampkę i odruchowo odwrócił ją od siebie; na wielkiej mapie pojawiła się okrągła plama światła. Irenie przeszła przez głowę myśl, że mieszkańcy papierowego, topograficznego świata zażywają teraz kąpieli słonecznych i dziękują Stwórcy za piękną pogodę.

– Przede wszystkim, Ireno, nie chcę słyszeć o żadnych kompleksach ani przeprosinach. Mam nadzieję, że wkrótce pojawi się między nami niezbędne w tej sytuacji wzajemne zaufanie. Odnoszę jednak wrażenie, że to nie o tym chciałaś porozmawiać.

Irena nie usiadła. Podeszła do stołu, chwyciła lampkę za ciepły, plastikowy abażur i poruszała nim tam i z powrotem, tworząc mieszkańcom papierowego świata iluzję wschodów i zachodów słońca.

A potem gwałtownym ruchem odwróciła lampkę żarówką w dół. Podobnie jak wtyka się nos niesfornego szczeniaka w załatwioną przez niego potrzebę, mówiąc: popatrz, coś ty narobił.

– Popełniłeś przestępstwo, Janie. Jesteś adwokatem. Dopuszciliś do skazania niewinnego człowieka, choć to jeszcze pół biedy. Sprawiliś, że prawdziwy zabójca pozostał na wolności. Poświęciłeś swój zawodowy...

honor... powinność... i po prostu przyzwoitość dla osobistych korzyści.

Zlekceważyłeś prawdę, aby zawładnąć tym... narządem rozrodczym. A przecież ona – ta kobieta – na pewno wciąż będzie zabijać. I krew jej niewinnych ofiar będzie także na twoich rękach!

Irena zamilkła. Zdała sobie sprawę, że jej ostatnie słowa były dwuznaczne i zabrzmiały w nich niepotrzebny, teatralny patos.

– Przecież jesteś adwokatem – powtórzyła niczym zaklęcie. – To tak jak lekarz. Jesteś przede wszystkim adwokatem, a dopiero potem wampirem.

Semirol się uśmiechnął.

– Gdybym nie wiedział, że zajmujesz się literaturą, Ireno... to, na Boga, pomyślałbym, że dawałaś na prawie wykłady z etyki zawodowej.

– Janie... a jeśli okaże się, że kobieta, za której zbrodnie zostałam skazana... jeśli okaże się, że ta kobieta jest na wolności i wciąż popełnia morderstwa – czy sąd uzna swą omyłkę?

Semirol znów się uśmiechnął.

– Oho, Ireno. A ja sądziłem, że naprawdę przejmujesz się możliwością popełnienia kolejnych zabójstw.

Zacisnęła zęby. Ukłucie było bolesne i celne.

– Pytam, czy uzna to sąd? Czy jest to możliwe?

– Nie. Sąd wyda po prostu kolejny wyrok. Jeśli oczywiście uda się tę sukę, przepraszam za język, Ireno, jeśli uda się ją złapać.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma dłoń na lampce i rozgrzany abażur parzy jej palce.

– Nie rozumiem. Przecież musi być w tym wszystkim jakaś elementarna logika. Czy może w tym waszym popapranym świecie maniaczki rodzą się częściej, niż sądy przyznają do ewidentnych błędów?!

Semirol wciąż się jeszcze uśmiechał, lecz jego uśmiech uległ ledwie zauważalnej przemianie i po minucie pełnego napięcia milczenia Irena zorientowała się, że powiedziała za dużo. I że powinna się z tego wykręcić, znaleźć jakąś wymówkę – nie bacząc na swą spóźnioną reakcję.

– W naszym świecie, Ireno?

Z heroicznym wysiłkiem wzięła się w garść.

– W waszym... świecie... Prokuratorów i sędziów... adwokatów... wymiaru sprawiedliwości, który w rzeczywistości nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością... w całym tym popapranym świecie...

Wydawało jej się, że jej słowa zabrzmiały w miarę wiarygodnie.

Wstrzymała oddech.

Semirol mruknął sarkastycznie. Odczekał chwilę, pozwalając jej ocenić dwuznaczność sytuacji. Przeszedł przez pokój i wyciągnął ze sterty kaset wideo jedną w ciemnym pudełku.

– W zasadzie nie zamierzałem ci tego pokazywać... lecz jeśli jest to dla ciebie takie ważne...

Zaświecił się ekran maleńkiego telewizora. Cyfry, jakieś oznaczenia, oficjalna czołówka.

– Proszę mi wybaczyć, Ireno, ale nie puszczę tego materiału od początku...

Zaraz przewinę. Tak. Mniej więcej od tego miejsca.

Plan ogólny – ludzie, którzy jeden za drugim wchodzą do wiejskiego domu.

Wielu mężczyzn. Jedna kobieta w długim palcie. Kamera poruszyła się; czyjeś nogi, przytłumione światło, pokój...

I zbliżenie twarzy kobiety.

Na oko miała czterdzieści lat. Wyblakłe, wodniste oczy bez żadnego makijażu, sucha skóra pokryta siatką zmarszczek, wymięte palto, przyozdobione wyliniałym ogonem jakiegoś zwierzątka.

Irena zacisnęła zęby. Strumień białego światła był skierowany prosto w twarz kobiety – w tym

oświetleniu było coś nienaturalnego, prymitywnego, wymuszonego.

– Kim ona jest, Janie?

Semirol skinął na ekran – jego gest mówił: patrz, sama się dowiesz.

Kobieta w telewizorze zachichotała nerwowo.

– Kontynuujmy – rzekł męski głos. – Zdejmijcie z niej palto.

W kadrze pojawiły się plecy i ramię kogoś, kto pomógł się kobiecie rozebrać.

– Czy mąż znał cel pani wyjazdów, pani Krok? – zapytał ktoś suchym tonem. Irena ze zdziwieniem rozpoznała głos Semirola.

– Nieee...

– I niczego nie podejrzewał? I nigdy nie skojarzył informacji o kolejnych ofiarach z pani wyjazdami?

– Nieee... To bardzo dobry... człowiek.

Irena miała kiedyś studentkę, która wystawiała się w podobny, rozwlekły sposób. Na studenckich konferencjach jej wystąpienia trwały trzydzieści zamiast trzech minut i publiczność śmiała się, ziewała i wychodziła do bufetu.

– A wasze dzieci, pani Krok?

– Chodzą... do prywatnej szkoły... bardzo dobrej... elitarnej...

– Czy zdarzało się, że wyjazd był nieudany?

– Tak... co drugi... albo co trzeci...

– A ile było udanych wyjazdów?

Kobieta na ekranie głośno przełknęła ślinę.

Irena przypomniała sobie karbowany szlauch, który śmiertelnie wystraszył

ją we wczesnym dzieciństwie. Leżał w poprzek ogrodowej dróżki i podrygiwał

w takt zmian ciśnienia wody; był gruby i czarny, martwy i żywy jednocześnie, lśniący i tłusty; małej Irenie wydawało się, że jest gorszy od każdego węża, straszniejszy od pająka, że lepiej umrzeć, niż przez niego przekroczyć. Z

płaczem popędziła z powrotem do domu, a po tym wydarzeniu kilkakrotnie budziła się w nocy, gdy szlauch, prężny i karbowany, przychodził do niej we śnie.

Niemłoda, ciemnooka kobieta o powolnym, błotnistym sposobie wyrażania się. Szlauch. Dziewczynka uciekająca z płaczem po ogrodowej ścieżce.

Irena poczuła obrzydzenie. Odwróciła głowę, próbując spotkać się wzrokiem z Semirolem i milcząco poprosić go o przerwanie tego „spektaklu”.

– Czy pamięta pani dom przy drodze, ulica Duża, numer sto czterdzieści siedem?

Minęła cała, długa sekunda, nim Irena drgnęła.

Numer jej domu.

Kobieta milczała z konsternacją.

– Było to w okresie, gdy poznała pani trzeciego; tego, którego nazywała pani „robaczkiem”.

Kobieta zaczęła się nerwowo rozglądać. Zacisnęła palce.

– Proszę sobie przypomnieć; dom przy drodze... był tam pies i samochód w garażu... Korzystała z niego pani. Podkarmiła pani psa.

Kobieta się uśmiechnęła. Ściągnęła z głowy szary, zrobiony na drutach beret, uwalniając spod niego długie, posiwiałe włosy.

– Tam tak naprawdę nikt nie mieszkał... psa podkarmiłam... chociaż mogłam otruć; ale zrobiło mi się go żal.

– Przypomniała sobie pani?

– Taak...

– Jak długo tam pani mieszkała? Pod nieobecność właścicielki?

– Latem przez tydzień... I w listopadzie... Tydzień.

– Czy mąż jak zwykle sądził, że jest pani w delegacji?

– Taak...

– Co spaliła pani w kominku?

Kobieta milczała. Jej liliowy sweter cały był pokryty oblatzłym włosiem; kiedyś był ciepły i elegancki; Irena pochylila się nagle do przodu, wpatrując się w stylizowany liść winogrona na szczupłym ramieniu damulki.

Kiedyś, jakieś pół roku wcześniej, a może w innej rzeczywistości, sweter należał do Ireny. Winogronowy wzór układał się w jej inicjały i był zrobiony na zamówienie; paniusie z instytutu

zauważyły ten detal i cmokały językami.

Biedny sweter.

„A czy nie była to pani, ciociu Ireno?”

Wtedy, w domu, nie miała czasu – ani potrzeby – przetrząsać szafy w poszukiwaniu zaginionych ubrań.

– Jego spalałam – odparła niechętnie kobieta. – chciałam... A potem...

niepotrzebne łachmany...

Trzeba się zastanowić. Trzeba położyć się na kanapie, przykryć kocem i niech wszyscy oni idą do diabła.

– Proszę to wyłączyć!!

Podskakiwał na ziemi czarny, gumowy szlauch. Ekran zamigotał i zgasł.

– Przepraszam, Ireno. Ale sama...

Przełknęła gorzką ślinę.

– Co to było?

– Materiały operacyjne... Nieoficjalne, prywatne śledztwo. Mam takie możliwości.

– Czyją... to naprawdę ona? Toczy się w jej sprawie śledztwo?

– Zwróć uwagę na datę, Ireno... Minał już prawie miesiąc.

– Już po rozprawie?!

– Nie było procesu.

Irena milczała, do bólu zaciskając palce.

– Ona nikogo już nie zabije, Ireno. Czy to ci nie wystarczy?

– Dlaczego... byłam... sądzona? A ona nie?!

Semirol znów przeszedł przez pokój. Przewinął kasetę, wyjął z magnetowidu i starannie odłożył na miejsce.

– Dlatego, że już w godzinę po tym nagraniu ta kobieta... – Irena odniosła wrażenie, że Semirol się zawahał – odebrała sobie życie.

Spotkali się wzrokiem.

– Ireno... Pociąg już odjechał. Nie możesz się zrehabilitować. Ale ta maniaczka też już nie żyje. To wszystko.

Milczała. Przyglądała się swym paznokciom i każdy z nich wydawał jej się obojętną, różową twarzą.

\* \* \*

Pewnego ranka Andrzej wstał z łóżka rozpromieniony jak choinkowa ozdoba.

– Przyśnił mi się temat! Dla ciebie! Zdobędziesz „Wulkan”, bez wysiłku, i praca zajmie ci tylko godzinę; ależ to jest temat!

– Jaki? – zapytała.

W narzuconym na gołe ciało szlafroku, ze śladem od poduszki na policzku i pełnym natchnienia błyskiem w oku, Andrzej roztaczał zapach dopiero co obudzonego mężczyzny, specyficzny, naturalny zapach z nutką świeżości i wody kolońskiej.

– Posłuchaj... Wyobraź sobie – tłusta ryba przygląda się z głębi wody, z dna, jak na cienkim lodzie dwoje ludzi uprawia seks – a lód jest naprawdę cieniutki. Jak delikatna skóra. Ugina się pod każdym ich ruchem. Ryba widzi to spod spodu i niczego nie może zrozumieć, chociaż lód jest prawie przezroczysty... Drży. Jak żywe lustro. Jak migotliwe ścianki kieliszka. Jak miękkie, szklane prześcieradło... Zakochani dochodzą do ekstazy, lód pęka –

przecież jest zbyt cienki – i oboje wpadają do wody, nie przestając uprawiać miłości.

Andrzej zrobił efektowną pauzę.

– I na czym polega ów temat?

– Wystarczy ci dziesięć minut? Żeby to skojarzyć?

Milczała przez chwilę. Westchnęła.

– Trzeba przyznać, że masz ciekawe sny... Na obiad przygotuję rybę. I wiesz, może wcześniej położymy się dziś spać.

Andrzej poszedł do pracy obrażony.

\* \* \*

Nie mogła zebrać rozbieganych myśli. Czekwała na noc, by metodycznie wszystko przeanalizować – jednak nie dali jej spokojnie doczekać nocy.

Po śniadaniu Semirol znów zaprosił ją do gabinetu; intuicyjnie wyczuła, że nie będzie to przyjemna



wizyta i nie pomyliła się.

– Powiedz mi, Ireno... gdzie naprawdę byłaś przez te dziesięć miesięcy?

Nie wytrzymała i usiadła. Przycupnęła na skraju fotela. Semirol z przyjemnością usiadł także.

– Widzisz, Ireno... zebrałem pewne informacje, a mam dość rozległą sieć informatorów... No więc rzeczywiście nikt nie natrafił na twój ślad. Nigdzie.

To tak dziwna okoliczność, a ty uparcie ukrywałaś tę informację przed sądem.

Czy możesz powiedzieć to mnie?

Muszę się zastanowić, myślała spanikowana Irena. Muszę pomyśleć...

Czas...

– To bardzo ważne, Ireno. Nikt oprócz mnie nie pozna twojej tajemnicy...

Proszę mówić.

Odruchowo złapała się za tętnicę szyjną.

– Teraz?

– A potrzebujesz czasu, by sobie przypomnieć?

– Ja?

Muszę się zastanowić, muszę się zastanowić, muszę... Semirol skrzywił się boleśnie.

– Ireno... będziesz musiała to zrobić.

– Nie uwierzysz mi – wydusiła z siebie, patrząc na jego niedawno jeszcze wypielegnowaną, a teraz drapieżną i wysmaganą wiatrem twarz. – Jestem...

pisarką... lecz jeśli powiem ci prawdę, na pewno mi nie uwierzysz. Uznasz, że jestem kiepską... blagierką.

Trzeba się zastanowić. Koc do podbródka... Nie. Wampir nie da jej takiej możliwości. Straciła czujność; zapomniała, jak walczy się o życie; sama tego nie podejrzewając, znalazła się na skraju lodowej przepaści i teraz ześlizguje się z niej, próbując się utrzymać.

– Nie uwierzysz mi – rzekła z żalonym uśmiechem.

– A może jednak? Dziesięć miesięcy to nie dzień, czy nawet tydzień.

– A nie zabijesz mnie? Byłoby to... teraz... bardzo przykre.

Niesprawiedliwe.

– Gdzie byłaś przez cały ten czas, Ireno?

– To... wstydlivy temat. To historia... miłości. Powiedziała to i zacięła się.

Nic więcej nie było jej w stanie przyjść do głowy. Ani jedno słowo.

Muszę pomyśleć, muszę...

– I co dalej? Opowiadaj, Ireno. Nie wstydz się. To, co powiesz, pozostanie w tych ścianach. No więc?

Dom wariatów.

– Miał szesnaście lat!! My...

Znów się zacięła. Wyglądało to w pełni naturalnie; jej policzki zarumieniły się ze wstydu, głównie dlatego, że nie wiedziała, jaką historyjkę wymyślić z udziałem tak młodego bohatera.

– Bardzo trudno mi o tym mówić.

Była to czysta prawda. Powolne zębatki jej wyobraźni obracały się trzykrotnie szybciej niż zwykle, przegrzewały, wycierały i istniało niebezpieczeństwo, że spadną ze swych osi.

– Ta historia...

Tak, historia okazała się rzeczywiście pikantna.

– Miał szesnaście lat. Wydarzyło się to... pojechaliśmy do jakiegoś schroniska w górach... nie było to nawet schronisko, a raczej chata... I spędziliśmy tam dziesięć miesięcy. Nie zmuszaj mnie do opowiadania szczegółów. To zbyt krępujące...

I ukryła twarz w dłoniach – na seminariach młodych pisarzy, na których bywała w swoim czasie dwa czy trzy razy w roku, podobne intrygi były nie tylko wyśmiewane. Publicznie je wyszydzano.

Im bardziej będzie to absurdalne, tym łatwiej będzie w to uwierzyć. Teraz można ją oskarżyć o rozwiązłość – za to diagnoza schizofrenii, która odbierała jej szanse przeżycia, zejdzie na dalszy plan.

– Miał na imię Onosz... nazwiska nigdy nie poznałam. To dobry chłopiec, z porządnej rodziny... Elitarna szkoła... Czuję się skrępowana, Janie. Ukryliśmy się przed ludźmi... Specjalnie. Przed wszystkimi... Obiecał, że stworzy mi...

świat... świat miłości... Apotem... pewnego ranka... kiedy spojrzałam w lustro... i zobaczyłam się, trzydziestoletnią... razem z chłopcem, który...

Zaczęła płakać. Szczerze. Semirol milczał; Irena coś mamrotała, powoli wypełniając się poczuciem winy; demonstrując wszystkie nieszczęścia i kompleksy rozhisteryzowanej kobiety, pogrążając się coraz głębiej i coraz bardziej we wszystko wierząc.

– A dlaczego powiedziałaś podczas procesu, że twoje alibi może potwierdzić były mąż, Andrzej Kromar?

– Znalazł nas – wymamrotała, nie patrząc mu w oczy. – Przyjechał...

Widział nas razem. I...

– I zabił go szok – wymamrotał z żalem Semirol.

Irena nie wytrzymała i spojrzała na niego.

Wampir uśmiechał się kpiąco. Otwarcie. Szczerząc zęby.

\* \* \*

– Co to takiego?! – zapytała, opierając się na łokciu. – Dlaczego świt tak wygląda?!

– A niby jaki powinien być? – zapytał sennie Semirol.

– Jest niebieski – rzekła z przerażeniem. – Dlaczego jest taki niebieski?!

– Zawsze jest taki... Uspokój się, Ireno. Przyśnił ci się jakiś koszmar.

Dotknęła szyi. I posłusznie położyła z powrotem. Obok jego białego i twardego jak sprasowany cukier, rozluźnionego, nagiego ciała.

– Wszystko będzie dobrze, Ireno.

– Jesteś pewien?

– Tak. Intuicja mi podpowiada, że twoje wymówki i kłamstwa w najmniejszy sposób nie odbiją się na naszym potomku. W najmniejszym.

## **Rozdział 7**

Śnieg migotał i skrzył się. Góry płonęły jak białe pochodnie; biała tarcza słońca lśniła nad horyzontem, jakby ktoś wodził nad modelem snopem światła z gigantycznej lampy. Irena stała oparta plecami o pień koślawej sosenki. I czuła, jakby jej głowa była księżycem – przypuszczalnie księżyc odczuwa podobny błogostan, gdy promienie słońca padają na jego blade, zryte kraterami policzki.

Irena czuła się dziwnie.

To, o czym sądziła, że nigdy nie może się wydarzyć, stało się faktem.

Klamka zapadła, wampir Semirol stał się jej nieślubnym mężem. Modelator Andrzej w żaden sposób na to nie zareagował – być może model stał się do tego stopnia niezależny, że nie podlega już jego władzy.

A może przestał jej podlegać już w pierwszej chwili swego istnienia? Cóż Irena może wiedzieć o modelach?

Uśmiechnęła się lekko do słońca. Skąd może wiedzieć, czy to naprawdę słońce, a nie czyjaś lampka na stoliku?

Może właśnie tego ranka świat modelu stał się prawdziwym światem.

Światem Ireny, w którym nawet jej wczesne opowiadania noszą ślady talentu.

Może właśnie w tym świecie mogłaby...

Zimny wiatr rozwiął poły kurtki, zmusił do wstrzymania oddechu.

Ale kto napisał za nią te opowiadania? Teksty, które nigdy do niej nie należały, choć mogły być jej autorstwa; powinny być, gdyż uważała je za swoje.

Kto je napisał? Andrzej? Stwórca? Czy ona sama – ta, której nie było, która istniała w przeszłości tego modelu, niepojętej konstrukcji, w której wieczność trwała nieco ponad dziesięć miesięcy.

Pomyślała o Semirolu – bez strachu czy obrzydzenia. Jak o czymś dokonanym. Z westchnieniem ulgi. Mimo wszystko nie było aż tak strasznie.

– Zrobiłeś z siebie durnia, Andrzej – rzekła w niebieskie niebo.

Niebo milczało.

Z trudem oderwała się od koślawej sosny. Cały świat jest kłębkim modeli.

Andrzej zmodelował wszechświat, Irena zmodelowała dwóch ludzików, którzy przeżywali swą pierwszą miłość na przeżartym przez korniki pniu... I obojgu im to nieźle wyszło. Semirol zaś urządził farmę w górach – również swego rodzaju model. Teraz Irena wróci do domu i zmodeluje swoją historię. Od momentu, w którym podniosła słuchawkę i usłyszała w niej głos Petera Nikołana.

Schodziła po stromym stoku. Spod ciężkich butów toczyły się kamyki.

W pewnej odległości od farmy, na prowadzącej do lasu drodze, stały naprzeciw siebie dwie osoby. Nawet z daleka nie można ich było z nikim pomylić – ze wszystkich mężczyzn na farmie tylko Trosz był tak szeroki w ramionach. A mała postać w kolorowej, ciepłej chuście na głowie oczywiście była Elzą.

Irena mimowolnie zwolniła kroku.

Kobieta coś mówiła – szybko i namiętnie. Potem objęła Trosza za szyję, natychmiast odepchnęła i niemal biegiem ruszyła w stronę furtki, do swojej obory.

Trosz stał jeszcze przez chwilę i powlókł się w drugą stronę, ku bramie.

W połowie drogi dostrzegł schodzącą po zboczu Irenę.

Zwolnił. Zmienił kierunek, w milczeniu podał Irenie ramię – w samą porę, gdyż właśnie zastanawiała się, jak by tu najzręczniejsz zeskoczyć z głazu.

– Wspaniały dzień na spacer – rzekł Trosz, jak zwykle spuszczać wzrok.

– Dziękuję – rzekła, puszczać jego rękę. – Tak, dzięki Stwórcy mamy dziś piękny dzień.

Rzucił na nią szybkie spojrzenie – czy aby sobie nie kpi.

– Rozmyślałam nad nową powieścią – rzekła Irena, patrząc na migoczące czapy gór. – Będzie to najlepsza rzecz, jaką napisałam.

Trosz się ożywił.

– Już dawno chciałem o to zapytać... Wszystko wymyśla pani z głowy? Czy przypomina sobie pani to, co kiedyś przeżyła, albo pani znajomi, albo tematy z innych książek?

– Modeluję – odparła Irena z powagą. – Poniekąd modeluję nowy świat. Z

ludźmi. Nie dbając o to, czy im się to podoba, czy nie.

Trosz milczał zaskoczony. Najwyraźniej oczekiwał innej odpowiedzi.

– I wie pan co, Trosz? Jeśli któryś z moich bohaterów zwróci się do mnie z prośbą o zmianę jego paskudnego życia, raczej puszczać jego prośbę mimo uszu. W książce wszystko powinno wyglądać naturalnie, czytelnicy nie lubią efektów w stylu: deus ex machina; gdyby spełniać życzenia wszystkich tych sztucznych ludzików, żaden tytuł by się nie sprzedał. Mam rację?

Trosz milczał.

– Modlił się pan, Trosz? Powinien się pan więcej modlić. I prosić Stwórcę, by ten świat był lepszy.

– A czy nie jest wystarczająco dobry? – zapytał Trosz po chwili.

– Naprawdę wystarczająco?

Trosz się zatrzymał.

– To grzech tak myśleć.

– Mój kochany Troszu.

Stała także i położyła chłopakowi ręce na ramionach – by to zrobić, musiała stanąć na palcach.

– Najdroższy Troszu, nawet jeśli spędza pan na modlitwach większą część czasu – proszę mi wierzyć – znam Stwórcę lepiej niż pan.

Wiecznie opuszczone oczy nieszczęsnego zabójcy w końcu się otwały. I zrobiły okrągłe jak reflektory.

– Oddając pana w ręce wampira, Stwórca wcale nie chciał pana ukarać...

nie chciał też poddać pana żadnej próbie. Śmiem twierdzić, że w ogóle o panu nie myślał. Nie ma nawet pojęcia o pana istnieniu... Może trenował, stwarzając model prototypowy. A może badał jakąś jedną tylko prawidłowość, której nie jesteśmy w stanie pojąć, gdyż widzimy wszystko od wewnątrz. A już na pewno nie dowiemy się, czy ten jego eksperyment się udał, czy nie. Gdyż prawdopodobnie sam Stwórca zginął w wypadku samochodowym kilka miesięcy temu. Co prawda świetnie prowadził, lecz czasem nie czuł mocy samochodu, entuzjazmował się i niepotrzebnie szarżował. Nasz Stwórca był

nie z tego świata; ani z tamtego, ani w ogóle z żadnego świata. A teraz nasz model żyje własnym życiem; płynie bez steru i żagla. I bez Stwórcy; pozostawiony samemu sobie. Widział pan kiedyś, jak toczy się z góry samochód bez kierowcy?

Trosz słuchał i jego oczy robiły się coraz większe. Wydawało się, że zaraz powie: „To nieprawda”, „To niemożliwe” albo „Co to za bzdury”.

Mijały jednak minuty, a Trosz milczał.

– Przepraszam – rzekła Irena ze znużeniem. – Jestem dziś w dziwnym nastroju. Widzę wszystko w specyficznym świetle... A teraz pójdę i usiądę za komputerem. I nie wstanę od klawiatury do późnej nocy. I będę szczęśliwa.

Uśmiechnąwszy się do bojaźliwego atlety, odwróciła się i ruszyła w stronę domu, mając wrażenie, że jej stopy unoszą się nad ziemią.

\* \* \*

Po tygodniu stało się jasne, że pierwsza noc poślubna Ireny i Semirola nie dała spodziewanych rezultatów.

– Zdarza się – rzekł Nick wesołym tonem. – Wystarczy trochę uporu i optymizmu, a wszystko będzie dobrze. Prawda, Janie?

– Zamilcz – odparł Jan z wyraźnym rozdrażnieniem.

Irena po raz pierwszy słyszała, żeby rozmawiał z lekarzem takim tonem.

– Jeśli masz ochotę na pogawędkę, idź do obory, do Elzy.

– Wybacz, proszę – od razu wycofał się Nick.

Irena milczała. Semirol usiadł obok niej, wahał się przez chwilę i objął ją za ramiona; nie stawiała oporu. Jak gra to gra; nie jest w końcu maciorą ani krową ze znanego kawału, która ze smutkiem robi wyrzuty weterynarzowi: „A kto mi da całusa?”.

– Jak nowela? Kiedy będzie ją można przeczytać?

– Jeszcze nieprędko – westchnęła. I dodała w myślach: a ty najpewniej nigdy jej nie przeczytasz.

– Znowu wyjeżdżam. Na kilka dni.

– Będę czekać – wydusiła z siebie sakramentalną frazę.

Uśmiechnął się. Objął ją mocniej.

– Nabieram coraz większej pewności, że dokonałem właściwego wyboru. O

nic się nie martw, Ireno. Wszystko będzie dobrze.

\* \* \*

Dzień po wyjeździe Semirola Irena była świadkiem gwałtownej kłótni.

Najpierw usłyszała podniesione głosy na podwórzu. Mówił głównie Sit; Irena poznała jego specyficzny styl i standardowe słownictwo; prawdopodobnie tak właśnie rozmawiają bramkarze z agresywnymi klientami i zapewne w podobny sposób wierzyciel o zakazanej mordzie rozprawia się z dłużnikiem. Irena nigdy nie znała żadnego bandyty; choć we wszystkie te subtelności ze szczegółami wtajemniczyła ją swego czasu usłużna telewizja.

Wahała się przez chwilę, a potem – gdy usłyszała głos Nicka – zeszła do przedpokoju, narzuciła na siebie kurtkę i wyszła z domu.

Trosz właśnie wycierał krew z twarzy. Jego wiecznie opuszczone oczy były teraz zupełnie szkliste; Sit sapał ciężko i ze złością, a jego ręka – długa, małpia łapa – trzymała Trosza za kołnierz i raz za razem nim potrząsała. Nick stał z boku ze zwężonymi oczami i przenosił lodowate spojrzenie z jednego przeciwnika na drugiego; przy bramie zanosila się płaczem leżąca na zamarznętej ziemi Elza. Chusta spadła jej z głowy, odsłaniając krótko ostrzyżone włosy i czerwone uszko wśród splątanych kosmyków.

– Zaraz cię... Uff... Życie ci niemiłe?... Uff...

Sit znowu uderzył. Nick dostrzegł stojącą na progu Irenę i gwałtownie skinął ręką: zamknij drzwi i jazda stąd.

Irena nie posłuchała. Jednak tylko dlatego, że opanowała ją słabość i przyływ mdłości.

Rzadko bywała świadkiem bójek. Najwyraźniej życie na zewnątrz modelu zbyt ją rozpieściło.

Na widok krwi Sitowi całkiem odbiło. Elza zerwała się z ziemi i rzuciła na osiłka – ten odrzucił ją jednym ruchem ramienia. Trosz z chlipnięciem przełknął purpurową ciecz i przez długą sekundę Irena była pewna, że będzie tak dyndać jak zakrwawiona kukła w dłoniach tego draba i nie zacznie się bronić.

A potem Sit odleciał jak Elza, wbił się plecami w ścianę domu, zachrypiał –

a Trosz na oślep ruszył do przodu, zadał trzy ciosy – pięścią, kolaniem i znowu pięścią – po których Sit z chrapliwym sapnięciem osunął się po ścianie i osiadł

na ziemi jak przekłuta piłka plażowa.

Elza ze szlochem zawisła tym razem na ramionach Trosza. Niezłe to były ramiona – można by na nich powiesić cały zestaw Elz, a i tak byłoby im przestronnie jak mszycom na klonowym liściu.

Irena dopiero teraz zauważyła, że pada śnieg. Drobny, mokry i rzadki.

Nick podszedł do Trosza od tyłu i z całej siły kopnął go butem pod kolano.

A gdy Trosz odwrócił się ze zdziwieniem, lekarz chwycił go za kołnierz, przyciągnął do swojej twarzy i powiedział coś do ucha; od tych słów Trosz się opamiętał. Obrzucił nierozumiejącym spojrzeniem chrypiącego Sita i odruchowo otarł wargi. Elza podskoczyła z garstką białego śniegu i zaczęła wycierać nim twarz tego, który „nawet muchy by nie skrzywdził”.

Do Ireny podszedł Nick.

– Do domu – rzucił sucho. – Nie ma tu nic ciekawego. Tym razem go posłuchała. Gdyż w końcu odzyskała władzę w nogach.

\* \* \*

Nick sam przyszedł do jej pokoju. Zapukał, poczekał na pozwolenie, wszedł, znów poczekał na przyzwolenie i usiadł na krześle.

– Przepraszam... w imieniu Jana. Takie rzeczy się zdarzają... bardzo żałuję, że była pani tego świadkiem.

– A jak często zdarzają się takie rzeczy? – zapytała Irena po chwili.

– Rzadko – Nick się nie uśmiechał. – I niestety... niestety, Jan zażąda ode mnie wyjaśnień.

– Od pana? A dlaczego nie od Sita?

Irena była nieprzyjemnie zaskoczona. Sit był jedynym mieszkańcem farmy, do którego nie czuła ani krzty sympatii. Wręcz przeciwnie.



– Sit... Widzi pani, Ireno, nie mam obowiązku tego pani wyjaśniać, skoro pani jednak zapytała... Sit tak naprawdę nie ponosi za to winy. To Trosz.

– Czyżby? – nawet nie starała się ukryć sarkazmu.

– Niestety... Trosz ostatnio zrobił się nerwowy. Jest to bardzo niebezpieczne, gdyż staje się przy tym nieobliczalny. Przez niego Elza zaczyna być niespokojna. I Sit... on także nie jest szczególnie cierpliwy. Wątpię, by Jan dopuścił, aby z powodu... hm... tego incydentu stabilizacja na farmie została naruszona... Zresztą nieważne; po co ja pani o tym opowiadam?

Góry za oknem gasły. Pokój powoli pogrążał się w ciemności.

– A niech mi pan powie – wymamrotała Irena – czy jako lekarz...

psycholog... wie pan, dlaczego Trosz zrobił się ostatnio taki nerwowy?

Nick wzruszył ramionami.

– Gdybym to ja wiedział...

Znalazła Trosza w oborze. W „zwierzyńcu”, jak sama ją nazywała. Elza natychmiast wyszła i Irena odniosła wrażenie, że dziewczyna ukradkiem obrzuciła ją wrogim spojrzeniem.

Trosz został. Skinął głową, zawahał się i rozłożył ręce, jakby wzywał na świadków króliki i pozostałe zwierzęta.

– Po co tu pani przyszła... Tu przecież śmierdzi... i w ogóle.

– Pójdziemy do mnie? – zaproponowała Irena. Trosz pokręcił opuszczoną głową.

– A dlaczego? To mój pokój i mogę zaprosić do niego, kogo zechcę... A może Elza – spróbowała zażartować – będzie zazdrosna?

Trosz znów pokręcił głową – tym razem ze strachem.

– Więc chodźmy na spacer. Chcę z panem porozmawiać, Trosz, chciałabym...

– Tak. – Trosz przełknął ślinę i jego umięśniona szyja drgnęła. – Tak, oczywiście...

Doszli w milczeniu do furtki, nie wyszli jednak poza nią. W nocy wiatr ucichł, lampy nad domem i przybudówkami prawie się nie kołysały, na śniegu leżały żółte plamy światła. Góry były niewidoczne – milcząco towarzyszyły im tylko w ciemnościach.

– Skąd bierzecie tu wodę? – niespodziewanie dla samej siebie spytała Irena.

Trosz się ożywił.

– Mamy tu świętą wodę... Źródło mineralne...

– Rozumiem. Czyja pana czymś uraziłam?

Najbardziej pragnęła, by zamrugał ze zdziwieniem. I wtedy ze spokojnym sumieniem mogłaby powiedzieć sobie, że podejrzenie, które ją nurtuje, jest nieprawdziwe.

Spuścił wzrok i wciągnął głowę w ramiona.

– Obraziłam pana? – zapytała jeszcze raz tak łagodnie, jak tylko umiała.

Cofnął się o pół kroku.

– Wygadywałam różne głupoty na temat Stwórcy, o modelach światów...

Ale przecież pan wie, że jestem pisarką. Teraz piszę o modelach – i paplam, co mi ślina na język przyniesie... Poczul się pan tym urażony?!

Milczał.

– Przepraszam. Gdybym wiedziała, że jest to dla pana tak ważne. Ale dlaczego kilka głupich słów tak pana poruszyło? Na pewno często słyszał pan podobne rzeczy; ludzie drwili sobie z pana wiary i w ogóle... Mam rację?

– Tak – wydusił z siebie Trosz.

Uniósł głowę i promień latarki oświetlił jego twarz. W tym świetle siniaki wyglądały jak ciemne okulary, które zsunęły się na nos.

– Trosz – nagle z litości ścisnęło ją za gardło. – Ja kłamałam. Niech pan zapomni o wszystkim, co mówiłam.

Westchnął.

– Nie... to teraz... pani kłamie. A wtedy mówiła pani prawdę.

– Skąd to panu przyszło do głowy?! – To widać...

– Pan chyba oszalał, Trosz! Uważa pan, że naprawdę... osobiście znam Stwórcę?!

Spróbowała się roześmiać i prawie jej się to udało. Trosz się nie uśmiechał.

– To możliwe... Nie wiem przecież, kim pani jest. Może sama jest pani przybyszem. Z gwiazd... Z innych światów...

– Niech pan czyta klasyków i nie ogląda seriali – rzekła Irena pouczającym tonem, podczas gdy jej powolny umysł wyłaził ze skóry, żeby coś wymyślić.

Nie; taki obrót spraw nie wchodził w jej plany. W żadnym wypadku.

– Trosz... Cokolwiek by się działo, niech mi pan da słowo, że o wszystkim zapomni... uspokoi się... weźmie w garść...

Pokręcił głową.

– Za późno. Teraz Jan mnie zabije.

Irena nie znalazła na to odpowiedzi. Język stanął jej kołkiem w gardle.

Trosz wydał z siebie głośnie westchnienie.

– Nick już od dawna wie... że jestem nieobliczalny. Powie Janowi... Tak będzie lepiej. Tylko na początku strasznie... Bo widziałem tych... których przyprawdzał żywych, a potem ich spalaliśmy. To, co z nich pozostawało...

Ale ja się nie boję. Stanę przed Stwórcą... nawet jeśli nie do końca odkupiłem... lecz krwi oddałem więcej, niż wylało się z jej ciała... i jego ciała. Z

nich obojga. I Jan zbierze całą krew, którą mam w żyłach. Do ostatniej kropelki... I w końcu dowiem się...

Zamilkł, lecz Irena i tak dobrze wiedziała, czego chce dowiedzieć się biedny chłopak. I mimowolnie wyobraziła sobie Andrzeja Kromara rozwalonego w biurowym fotelu, z kuflem piwa w ręce, i tego oto Trosza, który stoi przed nim bez ruchu, czekając na swe pośmiertne przeznaczenie.

To ciekawe. Czy Andrzej zmodelował też ich dusze?

– Troniu – zawołała z ciemności Elza. Jej głos był znużony i zły. – Chodź

już.

– Powiem Nickowi, żeby o niczym Janowi nie wspominał – rzekła szybko Irena.

Trosz, oddalając się, pokręcił głową.

– Nie trzeba.

– To nie pani sprawa... Do licha, jeśli Jan dowie się, że jest pani wtajemniczona i się wtrąca – zabije mnie.

– Czy to prawda, że Troszowi grozi...

– Wszystkim nam grozi! Spadająca cegła, pneumonia z obrzękiem płuc, zawał... Od urodzenia grozi nam śmierć, nie jest to jednak powód, by wpadać w histerię.

– Niech pan nie opowiada głupstw, Nick. Wie pan, co mam na myśli.

Nick przeszedł przez pokój. Nie wiedząc czemu pogładził palcami kobietę na obrazie, opadł na fotel i założył nogę na nogę.

– Wszyscy jesteśmy tu skazani na śmierć, Ireno. Czy to dla pani coś nowego? Spokój, dobre wyżywienie, kontakt z naturą... Wszystko to korzystnie wpływa na długość życia. Natomiast stresy, neurastenia, niepewność jutra – skracają życie, a nasze życie w szczególności. Przecież to elementarna prawidłowość.

– Dobrze. – Irena poczuła przyływ obojętności. – Niech pan będzie spokojny i obcuje z przyrodą. Sama porozmawiam z Semirole.

Już w drzwiach zauważyła, jak Nick nerwowo poprawił szal na swej szyi. I po raz pierwszy poczuła wątpliwości co do podjętej przez siebie decyzji.

\* \* \*

Następnego ranka Irena widziała Trosza tylko przelotnie – jak zwykle wyszedł pobiegać; miarowym krokiem, w skupieniu, rześko; z daleka wyglądał

nawet na spokojniejszego niż zwykle. Być może rozmowa z nią, a potem jeszcze współczucie Elzy pomogły mu odzyskać duchową równowagę – jeśli oczywiście wiecznie przybity stan ducha Trosza można tak nazwać.

Ranek spędziła przy pracy – co chwilę wyglądając przez okno, czy nie jedzie samochód.

Terenówka pojawiła się niespodziewanie; zauważyła ją, gdy była już całkiem blisko. Irena zdążyła zdziwić się tylko, dlaczego Sit nie biegnie otwierać bramy.

A potem przypomniała sobie, że Sit leży ze wstrząsem mózgu i Nick nie pozwala mu wstawać.

W drzwiach prawie zderzyła się z Nickiem. Uniknęła jego spojrzenia i dumnie ruszyła przed siebie, w kierunku zawracającej terenówki. Tam, gdzie Semirol, po zeskoczeniu na wydeptany śnieg, szedł zamknąć bramę i na jego pozornie beznamiętnej twarzy już malowało się pytanie...

– Co się stało? Cieszę się, że cię widzę, Ireno... Sądząc po wyrazie twojej twarzy, Nicku, coś...

Semirol zamilkł. I nie patrzył już na Irenę ani na lekarza, lecz za ich plecy i jego twarz zmieniła się do tego stopnia, że Irena musiała policzyć do trzech, zanim zdecydowała się odwrócić.

W drzwiach garażu stał Trosz. Miał w rękach strzelbę myśliwską, której lufa nie była wycelowana w ziemię, lecz w twarze Nicka, Ireny, Semirola...

Ręce strzelca dygotały i broń drżała mu w dłoniach.

Nick odciągnął Irenę na bok. Na zawsze zapamiętała jego uchwyt – twardy i bolesny – oraz to, jak w

następnej chwili pomiędzy nią a czarną lufą znalazło się żyłaste ciało skazanego ginekologa.

– Odsuń się, doktorze – rzekł Trosz niemal bezgłośnie. – Odejdź...

Wciąż zasłaniając sobą Irenę, ciągnąc ją za sobą, Nick przesunął się w bok.

Potem jeszcze kawalek.

Semirol się nie ruszał. Teraz lufa wycelowana była w jego brzuch. Z

odległości jakichś dziesięciu metrów.

Tylko w filmach morderca i jego ofiara prowadzą między sobą długie dialogi. Trosz milczał. Milczał i – jak zauważyła Irena – próbował

powstrzymać drzenie rąk. Utrzymać strzelbę tak, by zabić na pewno.

Pewnie trzeba było powiedzieć coś w rodzaju: „Nie rób tego” albo „Stój”.

Irena doskonale zdawała sobie sprawę, że po podobnym okrzyku natychmiast rozlegnie się wystrzał. I będzie to naturalne; znacznie bardziej naturalne niż spokój i harmonia na tej dziwacznej farmie.

– Ty durniu – rzekł Semirol znużonym głosem. – No, dalej. Strzelaj.

I zrobił krok do przodu.

Niewątpliwie podobny wyraz twarzy ma wielokrotnie pobity wyrostek, gdy przyciśnięty do szkolnego ogrodzenia, w końcu postanawia się postawić.

Twarz Trosza się wykrzywiła. Wystrzał wydał się bardzo głośny, niczym grom; góry odpowiedziały echem.

Irena, której twarz wpasowała się w twardą szyję Nicka, widziała, jak Semirol zachwiał się, niczym od uderzenia. I jak na jego kurtce pojawiła się czarna dziurka. Na wysokości ramienia.

Trosz patrzył. Jego oczy zrobiły się zupełnie już ogromne, zasłaniając nawet okulary siniaków.

– Teraz z drugiej lufy – rzekł cicho wampir. I zrobił kolejny krok.

Trosz znowu wystrzelił. Jednak broń drgnęła mu w rękach i Irena wiedziała, że chybi.

Kula trafiła w bok terenówki. Roztrzaskała się szyba – z dźwiękiem rozsypanego grochu.

– To wszystko?

Semirol stał. Krwi nie było – z czarnego otworu w jego kurtce powoli wypelzała czarna i gęsta jak bitumin ciecz.

– Skończyłeś, Trosz?

Chłopak odrzucił strzelbę.

– Stwórca nie żyje. – Irena raczej przeczytała z warg, niż usłyszała to zdanie.

Trosz zaczął biec. Zaczął uciekać przed swą śmiercią, gdyż brama była jeszcze otwarta. Trosz uciekał i było to naturalne – a Irena bała się, że gdy zrozumie swą porażkę, uśmiechnie się i podstawisz się.

– Gdzie jest Sit? – zapytał Semirol głuchym głosem.

– Nie – odparł ni w pięć, ni w dziewięć Nick, wciąż jeszcze przyciskając do siebie niemal omdlałą Irenę.

Semirol popatrzył za uciekającym Troszem. Przeniósł wzrok na strzelbę i na jego twarzy pojawił się wyraz pełen cierpienia.

– Do diabła...

Zachwiał się. Spojrzał w stronę ganka, na którym stała jak słup blada Elza.

– Do diabła z nim.. Chodźmy, Nick. Wyjmiesz mi kulę.

\* \* \*

Muczały niedojone Śnieżynka i Ruda. Klnąc przez zęby, Nick wziął wiadro i udał się do obory. Jak na katorgę.

Krowy się go bały. Denerwowały się, nie chciały stać spokojnie, próbowały przewrócić skopek; na dwa głosy obrzucały Nicka przekleństwami i żałośnie przyzywały swą dobrą gospodynię. Śnieżynka i Ruda nie miały pojęcia, że blada jak prześcieradło Elza leży teraz w łóżku, pociąga z kieliszka czerwone wino i zagryza jabłkami z hematogenem. Być może nawet Elza zrezygnowałaby z przysługującego jej odpoczynku i przyszła zająć się swą ukochaną trzódką – ale kręciło jej się w głowie i nie mogła ustać na nogach, gdyż Semirol zmuszony był do zwiększenia dawki wysranej krwi.

– Ireno, do licha... Co się pani tak przygląda?! Niech mi pani pomoże.

– Wydaje się panu, że kiedykolwiek dołam krowy? – zapytała, przeciskając przez kraty królikarni pęczek przyniesionej trawy.

– A ja?!

– Pan powinien mieć jakieś doświadczenie... Ktoś przecież musiał je doić, gdy Elza miała „wolne”.

– Trosz – głucho odparł Nick. – Zwykle robił to Trosz. Wychował się na wsi.

Gorące mleko bryzgało, rozlewało się obok skopka, ściekało po rękach Nicka i kapalo z jego obnażonych łokci. Zwierzę się męczyło, jednak były ginekolog przeżywał nie mniejsze katusze.

– A my tu sobie gawędzimy – rzekła Irena głucho i ze złością.

– A co mamy robić? Płakać?

Krowa wierzgnęła; najwyraźniej Nick sprawił jej ból.

– Stój, Śnieżynko! Krowa zamuczała.

– Śnieżynko, uspokój się, wyluzuj... Ireno, niechże ją pani przytrzyma za zad, czy co... Żeby stała w miejscu, zaraza; przecież to do niczego niepodobne.

– Trochę się to różni od ginekologicznych oględzin – rzekła mściwie Irena.

– Jak mam ją przytrzymać; za ogon?

Nick miał dość. Opuścił czerwone, opuchnięte ręce; klepnął krowę w bok.

– Idź stąd, Śnieżynko... Ruda, na fotel!

Irena zachichotała nerwowo. Ruda wyciągnęła mordę i zamuczała, aż zadźwięczało w uszach. – Muuuu! Nick przyglądał się swoim rękom.

– Widzi pani, Ireno, Trosz już od dawna balansował na wąskim, choć twardym gzymsie. Jego specyficzne relacje z Bogiem... takim, jakim go sobie wyobrażał... pomagały mu utrzymać równowagę. Po tym, jak zamordował

dwie osoby – także w afekcie... Po wyroku śmierci... Po wielu wiadrach krwi, którą oddał Janowi – nie do końca dobrowolnie – było mu coraz trudniej zachować spokój ducha. A potem coś się stało – może wyczerpała się jego wytrzymałość... Szczerze mówiąc, cały czas się tego obawiałem. I proszę...

– Zaszczuli chłopaka – rzekła Irena szeptem.

– Tak – przytaknął Nick ze smutkiem. – Nie chciałbym pani martwić, ale Trosza już raczej nie zobaczymy. Ruda, śliczności ty moje, chodź no tutaj, uspokój się...

Irena zamknęła oczy.

Podrygująca lufa... Dziura w kurtce Semirola.

– A w Jana trzeba strzelać srebrnymi kulami?

Nick się zawahał. Nie odwracając się, pokręcił głową.

– Po pierwsze, to bzdura. A po drugie, czy naprawdę życzy mu pani śmierci? Spokojnie, Rudzieńka...

Dojenie poszło sprawniej. Albo Nick nabierał wprawy, albo Ruda okazała się bardziej ugodowa.

Irena przysiadła na drugiej ławce – w kącie. Objęła kolana rękami.

– I co teraz będzie, Nick?

– Teraz Jan będzie potrzebował dużo hemoglobiny. I wszyscy będziemy musieli obżerać się hematogenem. A ja od dziecka nie znoszę tego paskudztwa. Wciskali mi go jako czekoladę; ależ to było obrzydliwe.

Irena przyglądała się jego zgarbionym plecocom. Aż za dobrze pamiętała, jak te plecy zasłaniały ją przed pociskiem.

Choć Trosz raczej nie chciał jej zastrzelić.

Z drugiej jednak strony, tak trzęsły mu się ręce... Kula, która trafiła w terenówkę, mogła pójść rykoszetem.

– Nicku... Czy Jana nie da się zabić zwykłą kulą? Strugi mleka trafiały w wiadro jak poborowy w tarczę; co chwilę chybiając. Strzelało jednak nie „na wiwat”, lecz na podłogę, na siano i na spodnie dojącego.

– Cicho, Rudzieńka, uspokój się... Można, Ireno. Można. – Czyli Trosz mógł... – Oczywiście. Bez problemu. Gdyby zachował więcej zimnej krwi...

Choć kaliber był dość mały. Trzeba trafić prosto w oko... Spokojnie, Ruda.

Spokojnie. Ireną wstrząsnął dreszcz.

– A dlaczego Jan dopuszcza... dopuścił, by Trosz miał tak łatwy dostęp do broni?

Nick przez chwilę wiercił się na taborecie.

– Do diabła, bolą mnie palce... A plecy... Już wolałbym trafić sześć lat temu na krzesło elektryczne, niż doć teraz tę przeklętą krowę.

Stuknęły zamykane drzwi. Irena drgnęła i odwróciła się.

– ...może kupię automatyczną dojarkę?

Semirol stał wyprostowany; zranioną, lewą rękę trzymał w kieszeni kurtki.

– Jak sobie życzysz, Janie – odparł Nick spokojnie. – Powinieneś leżeć i nie wstawać jeszcze przynajmniej jeden dzień.



Irena zdała sobie nagle sprawę, że wampir mógł przecież usłyszeć nie tylko ostatnie zdanie, lecz także większą część ich rozmowy.

– Jak ramię? – zapytała z troską w głosie. Chyba zbyt troskliwie. Wręcz nerwowo.

– Dziękuję, Ireno... To nic takiego. Nic strasznego. Mogę się przysiąc?

Irena po chwili wahania przesunęła się, robiąc obok siebie miejsce dla adwokata.

– Ależ śmierdzi w tej waszej oborze... – Semirol usiadł i oparł się o ścianę.

– Przecież tu nie ma czym oddychać, Ireno.

– Chcesz mleka? – zapytał krótko Nick.

– Chcę krwi – odparł Semirol w tym samym tonie. Zerknął na Irenę i uśmiechnął się ledwie zauważalnie. – Nie bój się, to tylko niewinny żart...

Trosz się znalazł.

Irena drgnęła. Nick zostawił krowę, zwiesił opuchnięte ręce między kolanami i zgarbiony znieruchomiał, nie odwracając głowy.

– Powiesił się na skraju lasu... na sośnie. Elzie na razie o tym nie wspominajcie. Przepraszam, że mówię o tym w twojej obecności, Ireno. Ale sama rozumiesz, że prędzej czy później i tak byś się o wszystkim dowiedziała.

– Tak – wyszeptała Irena.

Stwórca jest martwy. Stwórca jest martwy... Po co żyć, jeśli Stwórca...

– Ireno – Semirol delikatnie położył zdrową rękę na jej kolanie. – Czy ostatnio rozmawiałaś z Troszem?

– Tak – odparła, gdyż zaprzeczanie nie miało żadnego sensu.

– I jak go odbierałaś? Skąd ten dziwny pomysł... sama zresztą słyszałaś, co na koniec powiedział?

– Na koniec?

– Po obu wystrzałach. Przyznam się, że szumiało mi w uszach i nie jestem pewien, czy dobrze usłyszałem... Co powiedział?

– Zrobił to w afekcie – cicho zasugerował Nick. – Biedny chłopak.

Irena milczała.

Gdyż wystarczyło otworzyć usta, by przyłapano ją na kłamstwie.

Trosz nie miał pogrzebu. Najwyraźniej odszedł z farmy podobnie jak inni skazańcy – w postaci popiołu i czystego ognia.

Po tygodniu Semirol był już zupełnie zdrow.

A jeszcze dwa dni później nie wrócił z miasta sam.

Irena, mimo protestów, została zamknięta w pokoju i tylko przelotnie dostrzegła przez okno, jak wampir wyprowadza z terenówki niskiego mężczyznę w kajdankach – łysego, korpulentnego, z siwą bródką i oszalałym wzrokiem.

Nigdy już nie zobaczyła tego człowieka. I zabroniła sobie zastanawiania się nad jego losem. Na szczęście praca pochłaniała jej całą energię i ochotę do rozpamiętywania przeszłości.

Semirol przychodził do niej nocami – nauczyła się nie panikować, słysząc odgłos jego kroków. Tym bardziej że było między nimi coś w rodzaju partnerskiego układu – on udawał, że nie słyszał rozmowy o srebrnych kulach.

A ona, że los Trosza, podobnie jak nieznanego brodacza, w najmniejszym stopniu jej nie obchodzi.

Semirol obchodził się z nią delikatnie. Był też mądry i jego komplementy schlebiali Irenie – choć niekiedy oddałaby wszystko, by wampir był trochę głupszy.

Czasem budziły ją koszmary. Śnił jej się rozbity w drobny mak żółty samochód i leżące na drodze, zakrwawione ciało Andrzeja Kromara.

Zaciskała zęby. Gdyż w żadnym wypadku nie chciała, by Semirol usłyszał, jak mamrocze przez sen: Stwórca nie żyje... Modelator nie żyje.

Był sam środek zimy, gdy test ciążowy dał pozytywny wynik.

## **Rozdział 8**

Wsluchiwała się w siebie i niczego nie czuła.

Snęła się po pokoju, siadała do pracy, znów wstawała, schodziła na podwórze, gdzie byczkowaty Sit przeglądał jakieś mechaniczne rupiecie; wychodziła za bramę i patrzyła na nisko wiszące nad górami słońce.

Nie była sama. W jej wnętrzu zamieszkał – na dobre i na złe – ktoś niebędący częścią jej ciała. Ktoś inny. Nie ona.

Nick chodził za nią jak cień. Bał się być ciągle na widoku, ale bardziej obawiał się, że nie zdąży podstawić ręki, kiedy Irena się potknie, czy podsunąć jej krzesła, gdy zechce usiąść.

Początkowo jego opieką drażniła. Jednak wkrótce okazało się, że obecność Nicka bywa bardzo pomocna, szczególnie wtedy, gdy czuła, jak bardzo jest samotna i jak wszystko jej zbrzydło; gdy nie miała już sił, tak jak wcześniej, by liczyć tylko na siebie.

Semirol dużo pracował i ku radości Ireny bywał często i długo nieobecny.

Administrator Sit otrzymał najwyraźniej polecenie, by nie niepokoić Ireny swą obecnością; Elza ostatecznie przeniosła się do zabudowań gospodarczych –

zdaje się, że nawet tam nocowała.

Na skraju lasu, w pewnej odległości od innych drzew, poskrzypywała na wietrze koślawa sosna. Na gałęzi powiewała żałobna wstążka.

Sit wpadł do salonu czerwony ze złości i Irena nie przestraszyła się jedynie dzięki swej powolności. Nie zdążyła.

– Wy tłumacz tej suce, doktorze. Chyba zupełnie jej odbiło. Powiedz jej.

Uspokój ją, bo Jan to zrobi...

Nick spojrzał na Irenę i uspokajająco dotknął jej ramienia. Odwrócił się do Sita i zapytał lodowatym tonem.

– O co chodzi?

Sit otworzył już usta, lecz w ostatniej chwili także spojrzał na Irenę. Skrzywił

się.

– Chodźmy, doktorze, wyjaśnię ci... A przy okazji tej suce. Kim jest i co powinna robić...

– Gównu muszę z tobą robić.

Elza rzadko pojawiała się w salonie. Teraz nie miała na sobie zwyczajowej chusty; krótkie włosy sterczały w nieładzie, szal na szyi był wyzywająco rozchylony, odsłaniając całe pole blizn – starych, świeżych, wąskich i szerszych.

– Gównu muszę z tobą robić, bydlaku. Sam się obsługuj. Albo niech Jan kupi ci dmuchaną lalę.

– Ach, ty...

Nick zagroził drogę rozjuszonemu Sitowi. Irena sądziła, że Sit zmiecie ze swej drogi szczupłego lekarza bez większego wysiłku – stało się jednak inaczej.

Nickowi jakimś cudem udało się wykorzystać impet Sita, zmienić trajektorię jego ataku i skierować go obok celu, na ścianę. Elza, blada, z mocno zaciśniętymi wargami, nawet nie drgnęła.

– Myślałam... że już... tego nie będzie. Nie... tutaj... – Elza wtrąciła kilka niezrozumiałych słów i Irena nie od razu zorientowała się, że przeszła po prostu na profesjonalny żargon. Dopiero słysząc coś takiego, można było wyobrazić sobie, gdzie, jak i z kim przychodziło „pracować” obecnej oborowej.

– Puszczaaaj... – Tym razem Sit usunął Nicka ze swej drogi, nie rzucił się jednak po raz drugi na Elzę – za to samym spojrzeniem mógłby rozplatać wołową tuszę.

– A więc... A więc to tak. Dobra, niech tylko Jan wróci... Elza zamilkła.

Wydawało się, że na jej twarzy leżą trzy sznurki – dwa sznureczki oczu i bardzo cienki sznureczek ust. Nick odwrócił się do Ireny. Podeszedł do niej i mocno ujął pod łokieć.

– Ireno... Bardzo panią proszę. Nie wolno się pani denerwować. W ogóle.

Niech pani idzie do siebie.

– Pójdiesz na przemiał – oznajmił Elzie Sit. – Własnymi rękoma wrzucę do pieca twoją pustą skórę; niech tylko Jan wróci...

– Życie wam zbrzydło?! – warknął Nick. – Jazda mi stąd. Oboje. Ale już!

Sit zjeżył się i wyszedł, trzaskając drzwiami. Elza wciąż stała bez ruchu; sznureczek jej ust zdawał się uśmiechać.

– Wyjdz – rzekł Nick tonem ciszej. – Wszystko wyjaśnimy... Ale czy naprawdę tak trudno się pohamować?!

Elza osunęła się po ścianie. Szlochała niemal bezgłośnie, za to zalewając się łzami; dłonie, którymi zakrywała twarz, od razu zrobiły się mokre.

– Do licha, Ireno... niech już pani stąd idzie. Wszystko wyjaśnimy.

Wszystko będzie w porządku; tylko nie powinna pani...

Podeszła do Elzy i usiadła obok niej. Milczała przez chwilę. Objęła ją za drżące ramiona.

– No... on przecież... niech pani nie zwraca uwagi; wszystko będzie...

– To przez ciebie, szmato – rzekła Elza przez łzy. – Trońka przez ciebie...

ześwirował... naplotłaś mu o Stwórcy. O modelu... I on uwierzył...

Irena czuła na karku stwardniały nagle wzrok Nicka. Wstała. W milczeniu poszła do siebie, położyła na łóżku w ubraniu i naciągnęła koc do samego podbródka.

\* \* \*

Nie słyszała, o czym Semirol, Nick i administrator rozmawiali następnego dnia. Po wyjściu z gabinetu adwokat sprawiał wrażenie spokojnego; Nick był

nienaturalnie milczący, a na twarzy Sita malowało się coś w rodzaju posępnej satysfakcji.

Ireny nikt nie zaczepił. Nick, wbrew swemu zwyczajowi, nie przypomniał

jej o porannym spacerze, Sit nawet na nią nie spojrzął, a Semirol skinął jej z roztargnieniem i udał się do biblioteki, gdzie towarzystwa dotrzymywały mu książki i magnetyczne rybki.

Irena wróciła do siebie, usiadła za komputerem i przeczytała to, co do tej pory udało jej się napisać.

*Stara topola rosła nie po prawej, lecz po lewej stronie bramy. Gdy to zauważyłam, przez chwilę stałam bez ruchu, nie mogąc ruszyć się z miejsca.*

*Peter twierdził, że przebywanie w tkance modelu jest całkowicie bezpieczne dla zdrowia.*

*Wiatr pachniał jesienią. Furtka skrzypiała swojsko i znajomo; przeciągnęłam dłonią po deskach, upewniając się, czy nie są hologramem albo iluzją. Tkanka modelu?*

Nie; potem się nad tym zastanowię. Gdy siądę za komputerem i napiszę czarno na białym: Rozdział pierwszy...

– Sensej?

*Jakiś ruch w budzie. Wynurzyła się jedna łapa, potem druga.*

*Przespał mój powrót?!*

*Radosny pisk. Pies skoczył mi na powitanie – zaspany, dziwnie mały, z obwisłą sierścią, niezgrabny.*

– Sensej, to ty?!

Irena oderwała wzrok od monitora i zamknęła oczy.

Wszystko to było znacznie słabsze niż sławetne „pierwsze opowiadania”; te, których nikt nigdy nie napisał, a mimo to istniały. Wiedziała, że opowiadania należą *do* niej, że z czasem napisze coś lepszego. I dzień za dniem ciągnęły się te zmagania, pogoń za liderem. Irena jakby konkurowała w mistrzostwie z własnym cieniem, ze swą bardziej utalentowaną połową. Konkurowała i najczęściej przegrywała.

Dziś praca w ogóle jej nie szła. Samotność, której zwykle pragnęła, tym razem ją przytłaczała.

Semirol jej unikał. Jeśli wcześniej miała co do tego wątpliwości, to teraz zostały one całkowicie rozwiane. Semirol zrobił swoje i całkowicie przekazał ją pod opiekę lekarza. Zapłodnioną samicę.

Przygryzła wargę.

On coś podejrzewa. Nie wiadomo, co naopowiadała mu Elza, a co Trosz nagadał Elzie przed śmiercią – być może wersja o schizofrenii Ireny uzyska teraz dodatkowe potwierdzenie. Choroba psychiczna, która, co śmieszniejsze, jest zaraźliwa – pierwszą jej ofiarą został Trosz, w kolejce czeka Elza.

Do biblioteki Irena weszła odruchowo, mając nadzieję, że Semirola dawno w niej nie ma. Magnetyczne rybki przemierzały akwarium, wampir siedział

pochylony nad biurkiem i przeglądał poźółkłe stronice starych gazet.

– Janie.

– Tak?

– Nie przeszkadzam?

Przerwał swoje zajęcie. Wstał i podszedł do Ireny; odruchowo zwróciła uwagę, że jest w doskonałej formie. Miał wspaniałą cerę. Krótkie, lśniące włosy sterczały jak szczotka. I tylko oczy były zmęczone i przekrwione.

– Janie... muszę ci coś powiedzieć.

Milczał przez chwilę. Nieoczekiwanie wziął ją za rękę; jego dotyk nie wzbudził w niej odrazy i nie cofnęła dłoni.

– Nie możesz się denerwować, Ireno... W najmniejszym stopniu nie zawiniłaś w tym, co zdarzyło się z Troszem. Tak wyszło. Było to źdźbło, które przeważało szalę.

Milczała.

Semirol objął jej ramiona. Przyciągnął do siebie. Poczwała, jak bije jego serce; dwukrotnie wolniej niż u przeciętnego człowieka i półtora raza niż u Andrzeja Kromara.

– Czy bardzo panią zmartwi, Ireno, jeśli porozmawiamy o pani byłym mężu?

\* \* \*

– To bardzo dziwna postać. Zasięgnąłem pewnych informacji... Tak, istnieją dokumenty potwierdzające śmierć Andrzeja Kromara w wypadku samochodowym. A jednocześnie nie ma żadnego świadka; nikogo, kto by uczestniczył w pogrzebie. Nie miał bliskich przyjaciół. Jego jedyną rodziną byłaś ty... Byłaś rodziną. W dniu wypadku, podobnie jak w dniu pogrzebu, nie było ciebie w mieście. Byłaś nie wiadomo gdzie. Dysponuje siecią informatorów... znalazłem mieszkanie, które Kromar wynajął krótko przed śmiercią.

Irena siedziała, ściskając do bólu oparcie fotela. W gabinecie panował

półmrok, lampka spoglądała w sufit nieobecny wzrokiem.

– Jak się czujesz? Czy nie nazbyt cię... obciążam?

W milczeniu pokręciła głową.

– Tak więc... Pewna miła kobieta, właścicielka mieszkania, dowiedziała się o śmierci Kromara przypadkowo, z gazet. Bardzo to przeżyła. Zrobiła spis jego rzeczy, dała ogłoszenie i ucziwie czekała na spadkobierców. I na nikogo się nie doczekała. Spadek był zresztą skromny – jakieś rzeczy osobiste, rower i stary, niedziałający komputer...

Irena nie mogła się opanować.

– Stary komputer... Andrzeja?!

– No właśnie... Właścicielka mieszkania pamięta, że komputer był inny. A został ten. Oraz kartonowe pudło po telewizorze, pełne papierów. Właścicielka miała zamiar je wyrzucić, lecz ja na wszelki wypadek postanowiłem je zabrać.

Czy możesz, Ireno, bez uszczerbku dla swojego nastroju, opowiedzieć mi coś o tym Kromarze?

Irena się zawahała.

– A dlaczego... Andrzej cię zainteresował?

Miała w sobie dość siły, by wytrzymać przenikliwy wzrok Semirola.

– Dlatego, Ireno, że właśnie ten człowiek jest w jakiś sposób związany z twoimi...hm, nazwijmy to, dziwactwami. Wciąż uważam, że podobna psychoza jest niegroźna dla potomstwa... Muszę się jednak upewnić. Zresztą kto wie, może nawet ci pomogę?

– Nie zwariowałam – rzekła pospiesznie. – Nie mam żadnej psychozy.

Semirol niedowierzająco pokręcił głową.

– Cierpisz na nią, Ireno. Coś jest nie tak. Może to efekt rozwodu. Wierz mi, że w swojej praktyce miałem wiele procesów rozwodowych... Wszystko może się zdarzyć, Ireno. Przecież się mnie nie wstydzisz?

– Troszkę za późno na wstyd – odparła z nerwowym rozbawieniem.

– Pomożesz mi?

Nerwowo przełknęła ślinę.

– Dobrze... Idźmy dalej. Mamy tu górę różnych papierów, wycinki z gazet, czyste kartki, brudnopisy, z których nie można zrozumieć ani słowa... Czy twój były mąż zajmował się szyframi, anagramami

albo czymś podobnym?

Irena z przekonaniem pokręciła głową.

– Dobrze... O, właśnie to mnie zainteresowało. Wycinek z gazety

„Tajemnice Śledztwa”. To takie profesjonalne czasopismo. I artykuł jest dziwny – relacja z jakiegoś głośnego procesu... Ja tego procesu nie pamiętam.

Chociaż powinienem. Tu, na rogu strony, widać numer gazety i datę. Mam ten numer w swoim komplecie gazet. Ale nie ma w nim tego artykułu. To bardzo interesujące, prawda?

Sięgnęła po żółtą stronicę. Podniosła do oczu i odsunęła z obrzydzeniem –

na fotografii w centrum widniał półnagi trup.

– Nie oglądaj tych okropieństw! Oddaj mi to... A najciekawsze jest to, że nie jest to jedyny taki przypadek. Mam tu masę podobnych wycinków, na większości z nich widnieje data i numer gazety i nie zostały one wydrukowane z komputera, lecz są oryginalne, typograficzne. I ani jednego z nich – ani jednego! – nie znalazłem w swoich kompletach. Może Kromar zajmował się podrabianiem artykułów prasowych, choć nie mam zielonego pojęcia, dlaczego miałby to robić.

– Janie – Irena nerwowo pocierała ręce, przypominając samej sobie muchę na świątecznym obrusie.

– A nie było przypadkiem jakichś...

fotografii?

Semirol sięgnął do stołu. Wyciągnął z góry papierów standardowe, pocztówkowe zdjęcie.

Tak, czas i miejsce rozpoznała na pierwszy rzut oka.

Park. Ganek drewnianego domu opleciony, zdaje się, bluszczem... Widać też domek ich sąsiada, znanego reżysera. Zdjęcie zostało zrobione kilka dni przed pamiętnym incydentem – reżyser jeszcze nie wiedział, co go czeka.

Zdaje się, że właśnie jego poprosili, by ich sfotografował. Zdjęcie zrobione ręką mistrza kina – Irena i Andrzej stoją objęci, oboje są młodzi, czarujący i zadowoleni z życia.

Irena w milczeniu oddała zdjęcie.

Czekają dziś bezsenna noc. Natomiast teraz jej twarz jest absolutnie obojętna; niekiedy spowolniona reakcja nie jest taka zła.

– Coś jeszcze? – usłyszała własny, spokojny głos. Semirol wzruszył

ramionami.



– Tylko te zaszyfrowane zapisy, z którymi nie mogą sobie poradzić nawet profesjonalni kryptolodzy. I kalendarz ścienny sprzed sześciu lat. Albo siedmiu.

– Mogę go zobaczyć?

Kalendarz pachniał kurzem. Niegdyś lśniące kartki były teraz spłowiałe, gdzieś widać było ślady po filizankach i tłuste plamy, jak po oleju słonecznikowym.

– Janie... powiedz prawdę. Sądziś, że postradałam zmysły?

– Myślę, że jesteś genetycznie zdrowym człowiekiem, z drobną, uporczywą manią.

– Podaruj mi ten kalendarz – Irena przyciskała go do piersi i miała na twarzy tak szczęśliwy uśmiech, że istotnie można było ją uznać za obłąkaną.

– Cieszę się, że ci się podoba.

Semirol podszedł, usiadł na oparciu i nagle mocno ją objął. Zastygła ze strachem.

– Stęskniłem się za tobą, Ireno. Ale w pierwszych miesiącach ciąży... sama rozumiesz. Lekarz nie zaleca – i uśmiechnął się.

Gwałtownie poczerwieniałe uszy zdradziły jej zmieszanie.

Jej pokój był zavalony mapami, prasowymi wycinkami i atlasami. Niemal od razu znalazła to, czego szukała; odczuwane przez pierwsze sekundy podniecenie, od którego zakręciło jej się w głowie i zdrętwiały palce, szybko wywietrzało jak tanie perfumy, pozostawiając po sobie zimny pragmatyzm badacza.

Czuła się jak doświadczony preparator. Spokojny niczym boa dusiciel. Czy raczej trup boa dusiciela.

Wybrała mapy o identycznej skali. Pracowała dokładnie i ze skupieniem; aby doprowadzić swój zamysł do końca, wystarczyło jej kilka godzin.

Przestraszyła się dopiero potem; gdy przyjrzała się swemu dziełu.

I komu to można pokazać? Nickowi? Janowi?

Oparła się o parapet. Zwróciła wzrok ku ciemniejącemu, zimowemu niebu.

– Partacz! Mam cię, słyszysz?

Niebo milczało.

Najwidoczniej adwokat rzeczywiście posiadał fenomenalny dar przekonywania. I zapewne jego argumenty były dla Elzy i Sita w pełni przekonywające; w każdym razie na farmie zapanował względny spokój.

Irena unikała zarówno Elzy, jak i Sita. Semirol nie ruszał się z farmy, uważając najwyraźniej, że przywrócenie porządku w gospodarstwie jest jego głównym obowiązkiem.

Irena przyglądała się górcom i myślała.

W to, że Andrzej zginął, nie wierzyła od samego początku. Wersja o jego śmierci leżała zakurzona w najgłębszym zakamarku jej podświadomości. Czy to możliwe, że Andrzej, po zainscenizowaniu swej śmierci, wyszedł z modelu w rzeczywistość?

Nie było to zbyt prawdopodobne. Chociaż...

Czy było możliwe, że Andrzejowi nie odpowiadała rola zwykłego mieszkańca modelu? Że po dokonaniu czegoś w rodzaju rytualnego samobójstwa przybrał postać prawdziwego Stwórcy; takiego, którego miejsce jest w niebie?!

Brednie.

Opowiadanie było już prawie gotowe. Irena nie знаła tylko zakończenia.

\* \* \*

– Całe moje życie jest takie... rozbite... Odrzuca mnie pan z obrzydzenia, tak? – Elza mówiła półgłosem, lecz z szalonym temperamentem. Irena zwolniła kroku, nie chcąc być świadkiem niczyich prywatnych rozmów.

– Dlaczego zawsze tak jest... dobiera się do mnie każdy bydlak, każdy śmierdzący gnój, a dla prawdziwych mężczyzn jestem jakby... brudna... A ja pana kocham, kocham... dlaczego nikt mi nie wierzy?!

Irena się zatrzymała. Drzwi do komórki były uchylone. Irena żywo wyobraziła sobie Elzę klęczącą przed Nickiem. A sekundę później, jak oboje się odwracają, Nick uśmiecha się ze zmieszaniem, a czerwona jak burak Elza ucieka ze łzami w oczach.

Ciekawe, jak Elza trzyma się podczas badań?

Wbrew własnej woli Irena zrobiła jeszcze pół kroku.

Ciasna komórka zastawiona była stertami czystej pościeli. Elza siedziała na podłodze; oprócz niej w pomieszczeniu nikogo nie było.

Była prostytutka wpatrywała się błagalnym wzrokiem w oklejoną kolorowymi zdjęciami ścianę. Ciekawe, do którego z wymuskanych aktorów o śnieżnobiałych zębach skierowane były jej modły?

Irena przemknęła obok komórki niezauważona. Obejrzała się dopiero przy drzwiach swego pokoju. Zatrzymała się zdyszana; jednak nie dlatego, że biegła, lecz z zażenowania. Nawet gdyby zastała Elzę w ramionach Nicka podczas seksualnej ekstazy, nie byłoby jej tak wstyd.

Plastikowa przykrywka, którą zakładała na klawiaturę, leżała obok, na stole. A Irena była pewna, że zostawiła klawiaturę przykrytą.

Ze zdziwieniem rozejrzała się po pokoju. Klucz miała w kieszeni; już od dawna nikt postronny tutaj nie wchodził – na jej prośbę nie wycierano nawet kurzu, wszystko robiła sama.

Wzruszyła ramionami. Zastanowiła się. Podeszła do monitora i położyła na nim dłoń.

Był ciepły.

– Co za bzdury oglądasz?

Oderwała spojrzenie od prowadzącego telewizyjny show mężczyzny, który wykrzykiwał coś i stroił miny na ekranie małego telewizora. Uśmiechnęła się wymuszenie.

– Dlaczego bzdury; to bardzo śmieszne.

– Nie udawaj. Coś cię martwi?

Milczała przez chwilę.

– Martwi mnie to, że bez pozwolenia włamałeś się do mojego komputera i zgrałeś opowiadanie. A może się mylę?

Semirol usiadł obok. Wziął ze stołu pilota i zmusił rozentuzjasmowanego krzykacza, by trochę się uciszył.

– Ireno...

– To nic – wzruszyła ramionami. – Skoro należy do ciebie moje ciało, to co tu mówić o tekście? O jakimś tam pliku?

– Masz zadatki na wielkiego detektywa, Ireno.

– A ty na kiepskiego włamywacza... Ale dlaczego?!

– Musiałem to przeczytać. A ty byś mi nie pozwoliła. Mam rację?

Milczała.

– Zrozum, Ireno... to, że ostatecznie pozostałaś przy życiu... jest w dużym stopniu zasługą właśnie tych opowiadań. Niezależnie, jak dziwnie by to nie brzmiało. A jak ciekawie było spojrzeć na siebie z boku! – uśmiechnął się niespodziewanie.

Ledwie powstrzymała się, by nie splunąć na podłogę; jak marynarz w knajpie.

– Ale to... jest inne. To nie... Poza tym nie jest zakończone!

Semirol westchnął.

– Gdzie spędziłaś te nieszczęsne dziesięć miesięcy, Ireno?

Na ekranie żwawe tancerki wymachiwały smukłymi nogami.

Irenie ich ruchy przypominały maszynę dziewiarską... a może przędzalniczą? Rytmiczne wymachy nieskończonego szpaleru pręcików i haczyków.

– Przeczytałeś już? – zapytała zrezygnowana.

– Tak. Mam jednak nadzieję, że mimo wszystko odróżniasz... fikcję od rzeczywistości?

I po wszystkim, pomyślała Irena ze znużeniem.

– Nie jestem obłąkana. Wierzysz mi?

Milczał.

– Więc proszę iść ze mną! – rzekła i wstała gwałtownie. – Chodźmy, coś ci pokażę!

\* \* \*

Włączyła w pokoju całe oświetlenie. Żyrandol, lampkę nocną i stojącą.

Zrzuciła ze stołu papiery, które zostały po jej śledztwie, zabrała się za odsuwanie komputera.

– Wykluczone – Semirol odsunął ją z oburzeniem. – Nie możesz dźwigać ciężarów!

Przewróciła oczami.

– Spójrz tutaj, Janie... Proszę. To kalendarz, ten z rzeczy Kromara, widzisz?

– Proszę się uspokoić, Ireno.

– Nie, to ty się uspokój... Te góry, spójrz, poznajesz? Semirol wziął

kalendarz do ręki. Uśmiechnął się lekko.

– Tak... Coś podobnego.

– A dlaczego tu napisano: „Kordyliery Południowe”? Przecież mieszkamy w innym miejscu!

Adwokat przyjrzał się uważniej. Wzruszył ramionami.

– I co z tego? Kromar podrabiał artykuły prasowe. Teraz okazuje się, że również kalendarze i mapy.

– Podrabiał kalendarze sprzed siedmiu lat? W porządku... niech mu będzie. Ale mapa?

Irena była podekscytowana. Kartkowała atlas, nie mogąc znaleźć właściwej strony; Semirol jakby od niechcenia położył jej rękę na ramieniu.

– Nie spiesz się.

– Spójrz tutaj... Proszę. To są Kordyliery Południowe. To jest miejsce, które we wszystkich atlasach świata nazywa się właśnie tak... To ten fragment, obrysowany ołówkiem pięciokąt. Widzisz?

– I co z tego? – powoli powtórzył Semirol.

Irena rozłożyła mapy.

– Tu znajdujemy się my... To jest miasto... Tam są jeszcze normalne góry.

Tu jeszcze też... stare... zerodowane. Las, łąki, średnia wysokość nad poziomem morza nie przewyższa... nie pamiętam już, ilu metrów, ale nie jest to znów tak wysoko. I nagle – szczyty! Kraina wiecznego śniegu! Wszystkie te obłądne przełęcze, przez które nie da się uciec z farmy... No dobrze, może to być jakaś przyrodnicza anomalia... Ale to! Zobacz tutaj! To ten sam pięciokąt, kropka w kropkę! Fragment Kordylierów przeniesiony w zupełnie inne miejsce! Zdublowany! Wycięłam go nawet z mapy; skala się zgadza... nawet jeśli uwzględnić nieuniknione przekłamania i nieścisłości... przecież są identyczne! Nakładają się na siebie!

Semirol milczał.

Dowód Ireny, przypominający dziecięcą układankę, wysliznął się z jego nerwowych dłoni i upadł na dywan – oddzielnie atlas z zagiętym rogiem, oddzielnie mapa z wyciętą, prostokątną dziurą i oddzielnie sam pięciokąt, żółto-pomarańczowy od wysokich gór. I jeszcze jedna mapa, cała, z narysowanym konturem, z miejscem, w które bez szkody dla integralności mapy można wkleić fragment Kordylierów Południowych.

Semirol się schylił i dokładnie pozbierał wszystkie części układanki.

Wyprostował się i uśmiechnął.

– I co z tego?

– A nic – Irena usiadła na kanapie. – Oczywiście odróżniam fikcję od rzeczywistości. Można by wysłać te moje hipotezy do jakiegoś geograficznego czasopisma... Chociaż nie, w takich czasopismach tego nie wydrukują. Lepiej do jakiejś szemranej gazetki o chiromancji, przepowiedniach i sposobach na wywoływanie duchów, „nie z tej ziemi”... Tam wydrukują to z pocałowaniem ręki... i jeszcze honorarium przyślą.

Semirol milczał.

– I co ty ze mną zrobisz? – zapytała żałośnie. – Jeśli mimo wszystko jestem schizofreniczką? Pomyliłeś się co do mojej osoby, Janie. Powinieneś był

sprowadzić sobie od razu kilka kobiet, zapłodnić je i z liczego potomstwa wybrać najbardziej udanego osobnika. A pozostałych...

Zakrył jej usta dłonią. Była wąska i twarda; Irena wcisnęła policzek w guzik na jego koszuli i znów poczuła bicie jego serca – lecz o dziwo, teraz puls Semirola był szybszy niż u Andrzeja Kromara; niemal taki sam, jak u normalnego człowieka.

– Ireno... nie trzeba. On może usłyszeć.

Jego dłoń leżała już na jej brzuchu. Irena znieruchomiła – jego dotyk był przyjemny.

Mijały minuty.

Nie stawiała oporu. Opadła na poduszki, pozwalając mu robić ze sobą, co tylko chciał.

Bezwstydnie świecił żyrandol, lampka nocna i stojąca lampa.

– Uśmiechasz się, Ireno?

– To nieprzyzwoite... Przy dziecku... Musnął wargami jej usta. Po raz pierwszy.

– Śmiejesz się?

– Zwykle zaczyna się od pocałunku... a my kończymy...

– No, do końca nam jeszcze daleko.

Więc jak, zrozumiał? Czy mimo wszystko jej uwierzył? Czy też...

Zamknęła oczy.

To już i tak nie ma znaczenia.

\* \* \*

Rankami walczyła z atakami mdłości. Nic nie chciało jej się robić i opowiadanie wciąż pozostawało niedokończone.

Nick skakał wokół niej jak niańka. Prawił jej komplementy. Zabawiał.

Wytrzasnął skądś film o życiu płodu w brzuchu matki. Początkowo Irena się zżymała, jednak ciekawość zwyciężyła, tym bardziej że film był swoiście estetyczny.

Dni. Tygodnie. Miesiące. Nieproporcjonalna, trochę przerażająca z wyglądu istota unosiła się do góry nogami wewnątrz własnego, czerwonego kosmosu, rosła, pojawiały się linie papilarne, rzęsy, małżowiny uszne, paznokcie.

Irena patrzyła, od czasu do czasu z niedowierzaniem dotykając swego brzucha.

\* \* \*

Dni były słoneczne, na codzienne spacerowanie wychodziła w zasłaniających pół twarzy ciemnych okularach.

Żałobna tasiemka na koślawej sośnie wypłowiała i poszarzała. Niekiedy pod sosną przychodziła Elza, jak na grób. Podobnie jak dzisiaj.

Irena siedziała na pniu przewróconego drzewa, na złożonym we czworo puszystym kocu. Dalej nie było jak iść – trzeba by wspinać się po kamieniach, czego Nick jej kategorycznie zabronił.

Za to tutaj, na kamiennym placyku zasłoniętym z dwóch stron przed wiatrem, było komfortowo jak w parku.

Albo na spacerniku przyzwoitego więzienia.

Daleko w dole, przy koślawej sośnie, stała zamyślona Elza.

– Nicku...

– Tak, wiem o czym pani myśli... Biedne dziecko. A najsmutniejsze jest to... Może będę cyniczny, ale gdyby coś takiego przydarzyło się Sitowi – Elza także pograżałaby się w żałobie. Znienawidziłaby Trosza. Tak, Ireno. Nasza Elza jest niesłychanie romantyczna, choć zapewne nie przeczytała w życiu nawet jednego romansu. A przez cały czas próbuje udowodnić samej sobie, że potrafi kochać nie gorzej niż inni. Wiernie i z oddaniem.

Irena przez chwilę milczała. Lekarz paplał jak zwykle, zabawiając ją i prowokując, jednak w jego słowach brzmiało niedopowiedzenie, kryło absolutne przekonanie, że Irena, zasłuchana w opowieść o Elzie, nie zwróci na nie uwagi.

– A pan, jako lekarz, jaką postawiłby diagnozę. Czy Elza nie potrafi kochać?

Pytanie zabrzmiało idiotycznie poważnie. Nick westchnął.

– Krowy, zwierzęta... bardzo kocha. Prawdziwie.

Irena przypomniała sobie monolog Elzy w komórce. Rozmowy o miłości z aktorami ze zdjęć to zajęcie dla dziesięcioletnich dziewczynek, a nie dla...

– Nick... a między wami coś było?

Elza skierowała się w stronę furtki. Ostatnio przestała garbić się jak staruszka, trzymała się prosto i niekiedy nawet uśmiechała, jak dawniej.

– Oczywiście – odparł lekarz po chwili. – Kiedy tylko się tu pojawiła...

uspokajałem ją, przyzwyczajałem do nowych warunków, leczyłem. I ubzdurała sobie, że kocha mnie nawet bardziej niż swoje cielaki. Nie, proszę nie przepraszać, Ireno... Pani pytanie nie było żadnym nietaktem. W tym, że Elza odnalazła na farmie swoje szczęście, jest dużo mojej zasługi. I niech się pani nie martwi, z Elzą wszystko będzie dobrze... dojdzie do siebie. Czas wygoi rany, Ireno. Chodźmy na obiad.

Patrzyła, jak strzepuje koc, składa go i chowa do torby. Słońce kryło się za górami; być może gdzieś w Kordylierach Południowych ktoś zupełnie tak samo spogląda na ten krajobraz, tyle że tam jest na pewno znacznie cieplej.

– Czytał pan wiersze Elzy?

Odwrócił się ze zdziwieniem.

– Słucham?

Irena się uśmiechnęła.

– Intymna bliskość powinna się chyba różnić od rutynowych badań pacjentki? Pomyślałam więc, że wiersze na pewno pan...

Nick przyglądał jej się przez chwilę z szeroko otwartymi ustami. Potem na jego twarzy pojawił się drapieżny uśmiech.

– Wie pani co? Ktoś inny na moim miejscu na pewno by się obraził... Czy mam pani opowiedzieć ze szczegółami, jak przywracałem Elzę do życia?

– Nie trzeba – odparła Irena pośpiesznie. – Wierzę panu...

– Proszę mi podać rękę. Bardzo tu stromo. Posłusznie wsunęła dłoń pod jego ramię. Przechadzki z Nickiem przywracały jej dyscyplinę. Nie pozwalały się zdekoncentrować. Zapomnieć o wyglądzie zewnętrznym, rozluźnić się, zgłupieć...

– Na pewno nie czuje się pan urażony? Zachichotał.

– Zemszczę się... Jeśli pani chce, poczytam pani wiersze podczas badania.

Nie wiedzieć czemu poczuła się zmieszana.

– A właśnie, Ireno... czym pani zakłopotała Jana? Odnoszę wrażenie, że czymś go pani bardzo zaskoczyła.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– To niespodzianka.



– Wyznała mu pani, że w jej rodzinie zawsze rodzą się trojaczki? – zapytał

Nick z rozbawieniem.

Zerwał się wiatr. Nick wolną ręką zakrył dłoń Ireny.

– Zimno? Chodźmy szybciej.

Miał ciepłą dłoń; czuła to przez cienką rękawiczkę.

– Nick, już dawno chciałam o to zapytać... O co chodzi? Dlaczego tak się spiął?

– Kto będzie opiekował się noworodkiem? Jan przywiezie tu skazanego na śmierć pediatrę? Karmicielkę? Czy może... powierzy dziecko Elzie?

Wzruszył ramionami.

– Naprawdę sądzi pani, że... nie damy sobie rady? Jan zrobi dla niego wszystko, cała farma będzie zajmować się tym maluchem... Będę miał

podręczniki, filmy szkoleniowe, wszelkie możliwe lekarstwa, sprzęt medyczny... nawet inkubator, jeśli będzie trzeba.

– Tak – odparła Irena, wpatrując się w śnieg. – I zapewne jego pierwszym słowem nie będzie „mama”, lecz „inkubator”.

– Ireno?! – Nick chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie. – Co pani wygaduje?

Uwolniła się.

– Ireno – znów wziął ją za rękę. – Błagam panią... tak nie można. Przecież zawarliście umowę; wszystko zostało ustalone. Będzie pani wolna; wyjedzie pani... Będziemy panią dobrze wspominać. I jeszcze będzie pani miała dzieci.

Dziewczynki, chłopców, ile dusza zapagnie; ma pani ku temu bardzo dobre...

warunki fizyczne.

– Specjalista – rzekła z goryczą.

\* \* \*

Starannie unikali z Semiroleм rozmów o Andrzeju Kramarze, o jego dziwactwach, wycinkach z gazet i kalendarzu. Momentami Irena miała wrażenie, że Semirola coś gnębi – lecz przyczyną mogły być także sprawy zawodowe. Byłoby dziwne, gdyby zrównoważony wampir zaraził się obłędem i podobnie jak Trosz, tracił wiarę w stabilność struktury wszechświata.

Nie rozmawiali także o niedokończonym opowiadaniu. Irena była już niemal przekonana, że Semirol na dobre o nim zapomniał, dopóki pewnego razu nie zapytał jej jakby od niechcenia:

– Miejsce, w którym twoja bohaterka weszła w tkanę modelu, jest szczytem wzgórza. Którego?

Na stole, przed zdziwioną Ireną, pojawiła się mapa topograficzna; rozpoznała swój dom, domy sąsiadów, szosę.

– Tutaj – wskazała palcem. – Dokładnie tutaj. Droga zatacza tu jakby podkowę... A tam...

– Jechały naprzeciw siebie dwa samochody, żółty i biały – rzucił Semirol, znów jakby mimochodem. – I właśnie tu przyprowadziłaś brygadę śledczą, jakoby po to, by wskazać ciało jeszcze jednej ofiary... Po co?

– Byłam w szoku – odparła niemal bezgłośnie.

– Niech ci będzie... A na co liczyła twoja bohaterka, przyprowadzając śledczych na wzgórze?

Irena przełknęła ślinę.

– Chciała wyjść. Znajduje się tu brama, dwa pręty z przywiązanyimi do nich kawałkami materiału... Korytarz okazał się jednak zamknięty.

– Celowo? Przypadkowo? Przez kogo? Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Sama autorka tego nie wie?!

– Autor wcale nie musi wszystkiego wiedzieć – oznajmiła dumnie. – Autor ma prawo przypuszczać, zadawać pytania...

Przez chwilę Semirol przyglądał jej się z uwagą. Potem się odwrócił.

– W porządku... I co, zobaczyłaś dym z komina? Pustego domu? I będąc autorką, nie wiesz, kto cię odwiedzał?

– A jaka to teraz różnica? – rzekła posępnie. – Pewnie ta zabójczyni.

Przecież Andrzej Kromar wedle oficjalnej wersji nie żył już od miesiąca.

– Według oficjalnej wersji – wymamrotał Semirol w zamyśleniu.

\* \* \*

Jakiś czas przed kolacją Nick z profesjonalnym, delikatnym uśmiezkiem zaprosił ją na badania. Jej słabe próby wykręcenia się od tego nie przyniosły rezultatu; Nick zadzwęczał kluczami przed

drzwiami lekarskiego gabinetu i puścił ją przodem. Irena weszła, zatykając nos; najwyraźniej mocno wyostrzył

jej się węch. Przynajmniej na określone zapachy.

Nick przepuścił ją za parawan. Mył ręce, przebierał się w sterylny fartuch, przygotowywał instrumenty. Irena starannie układała swoje rzeczy na okrytej ceratą leżance i przypominała sobie kadry z „romantycznego” filmu medycznego. Choć ten, który ją zamieszkuje, przypomina teraz raczej jaszczurkę niż człowieka.

Zamyśliła się. Z zadumy wyrwała ją cisza za parawanem.

Odwróciła się, jak na odgłos wystrzału.

Nick na nią patrzył. Sekundę, może tylko pół sekundy, i natychmiast się odwrócił; to jej jednak wystarczyło.

Nie było to spojrzenie lekarza. Nie było nim do tego stopnia, że Irenie zrobiło się gorąco; ten wzrok musnął ją jak język. Po sekundzie osłupienia wybuchnęła płaczem i zaczęła się gorączkowo ubierać.

Nick siedział za parawanem na leżance. W fartuchu, z dyndającą na piersiach maską, trzymając na kolanach czerwone od gorącej wody dłonie.

Siedział, zagradzając wyjście. Irena zatrzymała się i przygryzła wargę.

– Przepraszam...

Milczała.

– Przepraszam, Ireno. Jestem bydlakiem. To fakt... Nie wiem, co powiedzieć...

Wyminęła go. Nie oglądając się za siebie, wybiegła na korytarz; prześladowała ją żółtawa, natrętna woń szpitala.

\* \* \*

Zapewne incydent dałoby się ukryć przed Semirole. Udałoby się to zrobić prawie na pewno, gdyby po wybiegnięciu z gabinetu Irena nie wpadła wprost na adwokata wampira.

– Poczekaj, Ireno...

Zdawała sobie sprawę, że musi natychmiast wziąć się w garść, gdyż nieprzyjemności mogą się na tym nie skończyć.

– Co się stało?

– Nic – starała się nie patrzeć mu w oczy.

– Ktoś cię skrzywdził? Nick?!

– Nie! – bardzo trudno jej było myśleć bez pauz i opóźnień. – Nie...

Wszystko w porządku... Muszę z tobą porozmawiać...

W podobny sposób ptak, który widzi w pobliżu gniazda drapieżnika, natychmiast symuluje uraz i opierając się na skrzydle, odciąga niebezpieczeństwo od potomstwa.

– Chciałam ci powiedzieć... Gdzie będzie najwygodniej? Może pójdziemy do ciebie?

Semirol milczał przez chwilę. Niezgrabne zaproszenie Ireny nie zrobiło na nim wrażenia – ostatecznie zdecydował jednak, że rozmówienie się z Nickiem może poczekać.

W półmroku gabinetu Irena poczuła się pewniej – dopóki nie przypomniała sobie, że Semirol widzi w ciemnościach.

Wstrzymała oddech. Ta rozmowa i tak by się odbyła. Inna sprawa, że Irena nieprędko by się na nią zdecydowała. Jednak w tych okolicznościach...

– Słucham – tak, niewątpliwie z takim wyrazem twarzy Semirol zwracał się do potencjalnych klientów.

– Janie – wymamrotała, jakby się usprawiedliwiając. – W zasadzie wszystko już omówiliśmy... proszę się nie dziwić, ale...

Westchnęła, głęboko i ciężko, jak koń przy wodopoju.

– Zgadzam się... zostać twoją żoną.

Maska zawodowego spokoju lekko drgnęła.

– Co?!

– Zgadzam się zostać twoją żoną – uśmiechnęła się rozbrajająco. – Czy to nie wszystko jedno, gdzie będę mieszkać z fałszywymi dokumentami? Ty mi się... – przy tych słowach lekko się zakrztusiła – ...podobasz, lubię cię i...

Zamilkła.

Obraz olejny: „Irena Chmiel prosi wampira o rękę"... Ależ się rodzina ubawi. Wybierzemy najmodniejszy salon i zamówimy suknię ślubną. Czy zaprosić na ślub prokuratora?

– Mówię poważnie, Janie. Nie wymagam od ciebie żadnych zobowiązań.

Będę tu mieszkać i... Dziecko potrzebuje matki, to przecież oczywiste.

Semirol milczał. Teraz półmrok był wrogiem Ireny – nie widziała twarzy swego rozmówcy, podczas gdy on nie miał z tym żadnych kłopotów.

Nabrała powietrza do płuc i zaczęła, jakby od początku.

– Będę pracowała przy gospodarstwie... Elzie jest trudno samej. Będę cię kochać... jak żonie przysłało. Dziecko powinno być karmione piersią... Dziecko jest... Sam przecież mówiłeś! „W warunkach maksymalnie zbliżonych do rodzinnych”. Stwórz mu takie warunki; zgadzam się... też pragnę tego...

Lampka jak zwykle spoglądała przez ramię. Przypominała ptasi szkielet, który podskakiwał na skraju biurka, a potem, zawołany, odwrócił się i rzucił

promień światła na nogę Ireny.

– Powiedz coś, Janie...

Zorientowała się nagle z przerażeniem, że ubrała sukienkę tył na przód.

Gdy w popłochu uciekała z gabinetu lekarskiego, nie przeszło jej nawet przez myśl, by przejrzeć się w lustrze.

– Powiedz coś wreszcie, Janie! To milczenie jest... wręcz obraźliwe.

Semirol się uśmiechnął.

– Niestety... Niecodziennie dostaję podobne propozycje; muszę to przemyśleć, zastanowić się, do diabła...

Wstrzymała oddech.

– I jak długo będziesz się zastanawiał?

Semirol w zadumie potarł podbródek.

– W zasadzie, Ireno.... A gdybym zaproponował ci pozostanie na farmie na ogólnych warunkach?

Za oknem przepłynęło mdłe światło lampy. Ktoś przeszedł wzdłuż ogrodzenia, potykając się i wiążąc w zaspach.

– Ogólne warunki oznaczają po prostu pozostanie, Ireno. Bez obiecanych fałszywych dokumentów. Bez żadnych przywilejów... Wychowywać dziecko, pomagać Elzie przy gospodarstwie i tak dalej. I raz na kilka miesięcy wspomagać mnie hemoglobina. Skoro bowiem zabrakło Trosza, muszę znaleźć jakieś zastępstwo, by nie narażać zdrowia Nicka, Sita i Elzy... Nie jestem nazbyt cyniczny?

– W sam raz – odparła powoli.

Zdrętwiały jej policzki. To źle, że Semirol widzi jej odrazę i strach. To oczywiste, że jej bladość nie jest wynikiem nieskrywanej radości.

– Jak się czujesz, Ireno?

Semirol znalazł się obok niej. Przysiadł na oparciu i położył jej dłoń na ramieniu.

– Przecież doskonale wiesz, kim jestem, Ireno. Dlaczego sama siebie oszukujesz, mówiąc mi o miłości?

– O miłości do dziecka – odparła odruchowo.

– To szablon, Ireno. Matka nie kocha dziecka, dopóki go nie zobaczy, dopóki się z nim nie namęczy i nie oswoi. W społeczeństwie panuje pogląd, że matka powinna kochać dziecko od chwili poczęcia. To ponoć jest właściwe.

Wzbudza korzystne dla dziecka emocje. Nie zadręczaj się, Ireno. Po porodzie dziecko będzie ci głęboko obojętne. Zapytaj Nicka. Widział takich porodów bez liku.

– Zgadzam się, Janie.

– Co?

– Zgadzam się zostać „na ogólnych warunkach”. Zajrzał jej w twarz.

Ostrożnie cofnął rękę, wstał i przeszedł przez pokój. Irena odniosła wrażenie, że jest rozczarowany.

– Zgoda, Janie?

Spojrzał na nią niemal z litością.

– Zgoda?

Semirol stanął naprzeciw. Przyglądał się jej przez chwilę i Irena, nie widząc w półmroku wyrazu jego oczu, odczuwała ten wzrok jak wycelowany w twarz kij bilardowy.

– Nie, Ireno. Martwi mnie, choć jednocześnie cieszy, twoja gotowość do poświęceń. Jednak dziecko będzie moje. I z nikim nie mogę go dzielić. Przykro mi.

Irena patrzyła na regał z książkami. Jasne i ciemne grzbiety książek, ekskluzywne wydania i połączone okładki; miała wrażenie, że patrzy na nią z ciemności przepelniony znieruchomiałymi w oczekiwaniu ludźmi parter teatru, a ona stoi na scenie i nie pamięta kwestii.

– Poza tym będzie uzależniony od hemoglobiny, Ireno. To chyba wystarczający powód, by twoje uczucia macierzyńskie nie przerodziły się w patologię. A może się mylę?

\* \* \*

Wcześniej nigdy nie była w oficynie. Przez jakiś czas nie mogła się zdecydować – drzwi były jednakowe i nie miała pojęcia, do których zapukać.

Potem zdecydowała się wreszcie, zastukała do pierwszych z brzegu – i nie pomyliła się.

– Kto tam? – Nick najwyraźniej nie spodziewał się gości. I najwyraźniej nie chciał nikogo widzieć.

– To ja – rzekła możliwie niedbałym tonem.

– Co?!

Drzwi się otwały – po chwili wahania – i Irena bez zaproszenia przestąpiła przez próg.

To było coś w rodzaju pokoju w akademiku. Idealnie czysty stół i tylko na jego skraju równa sterta, a raczej wieża z książek, stabilna jak odporny na wstrząsy sejsmiczne wieżowiec.

Irena odwróciła głowę.

Wymięta pościel. Biały język prześcieradła wyglądający spod niedbale narzuconego koca.

Nad łóżkiem wisiała cienka ramka. Dwie dziecięce twarze – chłopcy, w jakiś nieuchwytny sposób do siebie podobni, o wystających kościach policzkowych i jasnej cerze, jeden ośmno-, drugi pięcioletni.

Pospiesznie odwróciła wzrok – przyglądanie się fotografii wydało jej się nietaktem.

– Rozmawiała pani z Semirolem? – zapytał Nick cicho. Tu, w pokoju, wydawał się innym człowiekiem. Irena złapała się na myśli, że nigdy nie widziała go w wymiętej koszuli.

Pogładziła szorstkie oparcie fotela.

– Jakie jest prawdopodobieństwo tego, że moje dziecko nie będzie wampirem?

Nick westchnął, wyciągnął z kieszeni swój jedwabny szal i wytwornym gestem zarzucił go wokół szyi.

– Jestem pewien, że nie wpłynie to na miłość Jana do niego... Widzi pani, oni bardzo dbają o potomstwo. Uzależnione od hemoglobiny dziecko wymaga specjalnej... opieki... diety...

– Będzie dawał mojemu dziecku... poił je...

– Nie wolno się pani denerwować, Ireno... Proszę usiąść. Tutaj. Na krześle.

Nawet nie patrząc na fotografię, poczuła spojrzenia chłopców – starszy się uśmiechał, młodszy był poważny.

– Nie mogę tu dłużej zostać.

– Dam pani tabletkę... Ale proszę się uspokoić. Jeszcze tylko pół roku.

– Nie zostawię tutaj swojego dziecka! Pomoże mi pan w ucieczce albo poskarżę się Janowi na pana... napastliwość. Potrafię zrobić to tak, że uwierzy... Tym bardziej że...

Uśmiechnął się – z przymusem, jakby przepraszająco. Rozłożył ręce.

– Tylko że ja się niczego nie boję, Ireno. Swoją śmierć przeżyłem już dawno. Cudzą widziałem bardzo wiele razy. Nie mam już nikogo, kogo mógłbym stracić. Jan wie o mnie wszystko. Niepotrzebnie pani przyszła...

Odwróciła głowę. Chłopcy z fotografii z radością spotkali się z nią wzrokiem.

Starszy był gawędziarzem, jak jego ojciec. Urwisem i gadułą. Jednak młodszy bardziej przypominał Nicka – poważnego Nicka.

– Myli się pan – szepnęła. – Ale... Modelator pana osądzi.

\* \* \*

Jej próby wyproszenia wyjazdu do miasta nie dały rezultatu. Mało tego, nie miały najmniejszych szans powodzenia.

Semirol uciał sobie z Nickiem długą pogawędkę, Irena nie wiedziała jednak, o czym rozmawiali.

Nick zaczął jej unikać. Pozornie oczywiście wszystko zostało po staremu –

codzienny spacer pod okiem lekarza, rozmowy o niczym; najczęściej jednak męczące milczenie.

Semirol często i na długo wyjeżdżał. Sit i Elza przeżywali najwyraźniej coś w rodzaju miesiąca miodowego. Irena przestała zmieniać fryzurę i robić makijaż. Im szpetniej będzie prezentować się przed Nickiem, tym lepiej.

Dni upływały, niczym się od siebie nie różniąc; ten, który mieszkał w jej wnętrzu, jeszcze nie wiedział, co jest mu pisane.

Był zakładnikiem. Pozostawiała go zamiast siebie – pod opieką wampira, skazanego na śmierć lekarza oraz dwojga innych morderców – kobiety i mężczyzny.

– Będzie ci tu dobrze – mówiła, patrząc na malownicze, kłiwie piękne i uprzykrzone góry. – Świeże powietrze... To bardzo czyste miejsce... Po prostu uzdrowisko. Będą się tu o ciebie troszczyć... zapewne będą cię kochać. Jak księcia... albo księżniczkę. Wujek Nick... będziesz mu zastępować tych malców, którzy są już na pewno duzi i myślą, że ich ojciec umarł dawno temu... Wujek Jan... to znaczy twój tata... kocha cię i potrzebuje... będzie ci tu dobrze, kruszynko.

Drgnęła. Przeraziła ją myśl, że jeszcze przed jego urodzeniem Peter, który gdzieś tam, w zewnętrznym świecie, rwie sobie włosy z głowy, postanowi zwinąć w diabły swój obiecujący



projekt.

Nick kilkakrotnie wzywał ją na badania – i zawsze odmawiała pod różnymi pretekstami.

– Nie może pani tego ciągnąć w nieskończoność, Ireno. Prędzej czy później będzie pani musiała... A w pobliżu, jak pani dobrze wie, nie ma innych specjalistów...

Spacer był niczym codzienna pigułka. Teraz chodzili po szosie w tę i z powrotem; śnieg zasypał ślady kół terenówki, jednak droga była bezpieczna dla przechadzek – do samego zakrętu.

– Jak on tu jeździ – pomyślała głośno Irena. – Kaskader.

– Ireno...

– Niech się pan zlituje i milczy.

I bez niego rozumiała, że nie będzie to trwać wiecznie. Nienarodzony potomek jest dla Semirola zbyt ważny, by pozostawiać go bez czujnej opieki...

Nie wiadomo też, jak skończy się dla Nicka jego profesjonalna bezsilność.

– Sądzę, że nie musimy meldować Semirolowi o wszystkich subtelnościach naszych relacji – rzekła, rozgarniając śnieg czubkiem buta.

Milczał. Najwyraźniej spełniając jej niedawną prośbę. Przez chwilę dręczyło ją poczucie winy. Tylko przez chwilę.

– Nigdy nie opowiadał pan o swojej pracy – uśmiechnęła się z przymusem.

– Na pewno jest co wspominać... klinika i...

Zająknęła się, gdyż zdanie wbrew jej woli zabrzmiało dwuznacznie.

– Jest co wspominać – odparł Nick bez uśmiechu. – Mógłbym pani opowiedzieć, jaka droga przywiodła mnie... Jak zdecydowałem się na pierwsze morderstwo. Na eutanazję... Jednak ciężarnym kobietom nie opowiada się takich historii. Pani wybaczy.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Krok Nicka był równy dwóm krokom Ireny; szedł z jej lewej strony, pomiędzy nią a urwiskiem.

A potem go przegoniła.

– Ostrożnie, Ireno... Proszę nie biegać, szczególnie tutaj. Niech pani nie podchodzi do urwiska, tam...

Zamilkł, a właściwie nagle się zamknął. Irena patrzyła w dół. Przepaść, otchłań, urwisko, samotne drzewa na niemal pionowej ścianie. Warstwowe ciasto ze sprasowanego kamienia. I jak okiem sięgnąć – drapieżne, kamienne piękno, ściany i przepaście, niebo jak żywe, zasnute strumieniami

obłoków, śnieg w szczelinach, pozbawiony życia, bury mech... Irena wyobraziła sobie orkiestrę symfoniczną w chwili uniesienia. Andrzej kochał muzykę, mroczną i potężną, jego ulubiony utwór wcielony w kamień wyglądałby właśnie tak.

Andrzejowi zdarzało się wstawać podczas koncertu – ulubionych utworów słuchał na stojąco. Obojętny na psykanie z tylnych rzędów, słuchał, krzyżując ręce na piersiach, podczas gdy Irena wierciła się w fotelu, rozglądała i czerwieniła. Czasem nie wytrzymała i próbowała pociągnąć go za rękaw – i za każdym razem była karana wściekłym, spopielającym spojrzeniem.

Skończyło się to tym, że przestali chodzić na koncerty, w każdym razie wspólnie.

Na dnie urwiska zalegała mgła. Gęsta i jednocześnie płynna. Brzegi mglistego obłoku zawijały się jak karakuły. W dzieciństwie wierzyła, że jeśli w bezludnym miejscu długo patrzy się w gęstą mgłę, można zobaczyć Stwórcę, który przechadza się w niej jak w chmurach.

Stwórca Andrzej.

Ocknęła się, gdy spod nogi wysliznął jej się kamyk i poleciał w dół, długo niknąc z oczu; potem potoczył się drugi.

Odwróciła się.

Nick stał dwa kroki za nią. Jego twarz była bielsza od śniegu zalegającego w szczelinach skał.

– Co się stało? – zapytała z niezadowoleniem.

Nick milczał. Na jego czole perlił się lepki pot.

Odsunęła się od krawędzi. Przez chwilę z niedowierzaniem patrzyła Nickowi w oczy, po czym obejrzała się na swe ślady wiodące na skraj urwiska.

Zrobiła zachmurzoną minę.

Zbyt wolno myśli. Cała bieda w tym, że za wolno myśli; przecież ta skała wręcz zaprasza do samobójstwa, jeśli oczywiście ktoś ma ku temu predyspozycje...

Nick mocniej zacisnął wargi. Jego twarz o barwie porowatego lodu wydawała się obca – jak czarno-biała fotografia w dokumencie tożsamości.

– Twierdził pan przecież, że niczego się nie boi – rzekła cicho.

Nick milczał. Irena schowała ręce głęboko w kieszeniach. – A więc sam pan o tym myślał... Na wypadek ostateczności zostawił pan tę skałę dla *siebie*. W

przeciwnym razie nie rozumiem, dlaczego naturalny postępek człowieka, który nie ma lęku wysokości, wywołał u pana taką...

Mocno, wręcz agresywnie chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem.

– Nick!!

Odwrócił się. Jego oczy znalazły się naprzeciw jej twarzy; wciąż nie mówił ani słowa, lecz ona zmiękła w jego uścisku.

– Nie chciałam... pana przestraszyć... ani obrazić.

Skrzywił się. Przez moment wydawało się, że nie wytrzyma i zacznie mówić.

Powlekli się z powrotem. Nick już nie ciągnął Ireny za sobą, lecz wciąż kurczowo trzymał ją za rękę.

\* \* \*

Wymyślenie jakiejś gry było dla Andrzeja równie łatwe jak wypicie kawy.

Pewnego razu wybrali się na wycieczkę do odległego, zabytkowego miasta; ogromnego i różnorodnego. Kupili bilety i zarezerwowali hotel – w dniu odjazdu Andrzej uroczyście i wręczył Irenie kolorową widokówkę w kopercie.

Nie wytrzymała i od razu ją obejrzała – na pocztówce była ulica, bawiące się dzieci, stary dom z brodatą chimera i wejście do jakiegoś sklepu, chyba księgarni. Andrzej uśmiechał się tajemniczo.

Tydzień pobytu w wymarzonym mieście wydał się Irenie krótki i długi jednocześnie. Krótki z nadmiaru wrażeń, długi zaś, gdyż nie czuła nóg i nie miała czasu na sen. Wałęsając się po starych uliczkach czy zadzierając głowę u podnóża bajkowych wież, Irena nie zapomniała o widokówce – wciąż wypatrywała wśród mnóstwa nieznanymi domów tego jednego i gdy w końcu znalazła małe skrzyżowanie z brodatą chimera, poczuła się naprawdę szczęśliwa; bardziej nawet niż pierwszego dnia tych wakacji.

Sklepek był antykwariatem. Na widok Ireny sprzedawca się ożywił –

rozpoznał ją z fotografii; okazało się, że już od dwóch miesięcy czeka tam na nią opłacony i zapakowany prezent.

Andrzej uśmiechał się tajemniczo.

W paczce znajdował się tomik liryki miłosnej wydany przed dwustu laty; przy czym wartościowe były nie tyle wiersze, ile sam tomik, oprawiony w cielecącą skórę, ze zdobionym zapięciem i grawerowaną okładką; brakowało tylko autografu – cudowna zabawka. Irena nie była się w stanie nawet śmiać –

po prostu stała i gładziła swój prezent, czując jak za jej plecami uśmiecha się Andrzej.

Teraz, po latach, tomik na pewno przepadnie. Zostanie bezlitośnie wciśnięty w jakiś kąt albo komuś

podarowany. Irena prawie zapomniała już tamte dni; zapomniała, bo nie chciała pamiętać.

A teraz, w środku nocy, siedzi, przyciskając dłoń do wściekle tłukącego się serca.

W środku nocy. Dlaczego wszystkie pomysły przychodzą jej do głowy nocą i nie pozwalają spać?!

Dlaczego... dlaczego nie domyśliła się od razu?!

„To ja lecę. Cześć”.

Napis na odwrocie widokówki.

A na drugiej stronie nie było nic ciekawego – po prostu ładny, miejski pejzaż. Jakiś sklep z kolorową witryną. Szyld nad wejściem... Ulica, przechodnie, dzieci... Sklep.

Jeden z programów telewizyjnych, który oglądała jakiś czas temu.

– „...niezwykły sklep! Najbardziej staromodni z nas mogą być zaszokowani... ale na pewno spodoba się dzieciom. W minionym tygodniu...”

Mocno przetarła oczy.

„Otworzymy dla was drzwi do nowego świata – świata przerażających bajek i legend!”.

„To ja lecę. Cześć”.

„Świąteczne żarty i niespodzianki”.

„To ja lecę. Cześć”.

„Otworzymy dla was drzwi do nowego świata”.

Zdała sobie sprawę, że stoi przed oknem, wyłamując palce.

Idiotka. Kretynka. Po prostu głupia baba...

Oto rozwiązanie. Najwyraźniej Andrzej wcale jej źle nie życzył – sądził po prostu, że zajmie jej to co najwyżej miesiąc. Że zorientuje się...

– Co ty wyprawiasz, Andrzej?!

A co zrobiłby Peter, chcąc wskazać Irenie możliwe wyjście z modelu?

Zamieściłby w mediach jakieś niewinne ogłoszenie, „drzwi do nowego świata”? Sposób stary jak świat, wielokrotnie opisany i dający, jeśli wierzyć książkom, świetne rezultaty.

– Andrzej – czy Peter?! A może działają razem? Zamknęła oczy. Tak, Andrzej wyszedł z modelu. Inscenizując własną śmierć. Spotkał się z Peterem i beztrąsko oznajmił, że kramik można zamknąć.

Jak tak można, rzekł Peter. A pańska była żona?! Ją także zwiniemy wraz z modelem?

*Zrób mi prezent ślubny, Janie... Chcę iść do sklepu „Świąteczne żarty i niespodzianki”. I kupić sobie maskę wampira. Urządzimy sobie maskaradę.*

Czy to naprawdę takie proste?

Wyjdzie i cały ten niedorzeczny świat z wampirami na zawsze zniknie?!

Przecież na uczelni rozpoczął się już następny trymestr.

Roześmiała się i rozplakała jednocześnie.

\* \* \*

– Co się stało, Ireno?

Przyciskała dłoń do podbrzusza. Kuląc się coraz bardziej i wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Co się dzieje, Ireno?!

Semirol wziął ją na ręce i położył na łóżku.

– Boli – wydusiła z siebie.

– Spokojnie... Tylko spokojnie, to na pewno nic takiego... Nick!!

Zaprowadzili ją do gabinetu lekarskiego, podtrzymując z dwóch stron pod ramiona. Irena powstrzymywała się, by nie jęczeć.

– Janie, wyjdź...

Za Semirolelem zamknęły się drzwi.

– Bardzo boli, Ireno? Chwilę cierpliwości, zaraz... Umilkł.

Irena patrzyła mu prosto w oczy i w jej wzroku nie było bólu ani strachu.

– Powie mu pan zaraz, że powinnam... że muszę jechać do szpitala. Gdyż mogę stracić dziecko.

Nick odsunął się gwałtownie.

– Ireno...

– Wiem, jak mam na imię... Nie ma pan... niezbędnej aparatury. Niech pan wymyśli, czego pan nie ma... Trzeba mnie natychmiast zawieźć do miasta.

Niech mu pan da adres kliniki.

Zauważyła, że Nickowi zaczynają drżeć wargi. Najpierw lekko, potem coraz silniej, a przecież musiał w swoim życiu widzieć i słyszeć nie takie rzeczy.

– To niemożliwe.

– To jest możliwe. I tak właśnie będzie.

Woda lała się do zlewu. Bulgotał szary otwór odpływowy; mijał czas, odmierzany przez bijącą z kranu strugę jak przez dźwięczną, gorącą klepsydre

– zegar wodny.

– Dlaczego pani sądzi, że... to zrobię, Ireno?

– Czyżbym się myliła?

Szumiała woda. Kołysała się śnieżnobiała, nakrochmalona zasłonka.

– Czyżbym się myliła, Nicku?!

Przez chwilę zemdlilo ją z przerażenia. A co będzie, jeśli ten akt desperacji okaże się pomyłką?

– Nic panu przecież nie grozi – rzekła łagodnie. – Jan się nie dowie, że symulowałam.

– Jan się niby nie dowie?!

Szumiała woda.

– Boi się pan?

– Droga jest... – unikał jej wzroku. – W takich warunkach się nie dojedzie...

– To już nie pana zmartwienie.

Złapał ją za nadgarstki.

– Dziecko, Ireno. Dziecko!..

Przytaknęła.

– To właśnie dla dobra dziecka. W imię pańskich własnych chłopców... Jest pan przecież mężczyzną...

– Ireno...

– Tak czy nie?!

Odwrócił wzrok.

– Nie. Przykro mi. Nie mogę.

\* \* \*

Prowadzili ją do samochodu, podtrzymując pod ramiona. Nickowi strasznie drżały ręce, Semirol był blady i bardzo skoncentrowany.

– Wszystko będzie dobrze, Ireno.

Jak na złość nawaliło w nocy śniegu. Gęstego i mokrego; widziała, jak martwi się Nick. Patrzy to na nią, to w niebo, to na Semirola.

– Czy jesteś pewien, że przejedziesz... w taką pogodę, Janie?

– A mam inne wyjście? – odparł Semirol z rozdrażnieniem i Irena dopiero teraz zauważyła, jak jest zaniepokojony. Jeśli trzeba, przez nieprzejezdne zasy zanieś Irene do miasta na plecach.

Czyżby naprawdę tak troszczył się o nienarodzone dziecko?

Może poczuje jeszcze wyrzuty sumienia. Potem. Kiedy dotrze do sklepu

„Świąteczne niespodzianki”.

Zresztą potem nie będzie już czego żałować. Model się zatrzaśnie – wraz z wampirem i jego marzeniami o potomstwie, ze ślicznymi, pocztówkowymi górami, surowym wymiarem sprawiedliwości, przodującą ginekologią, wraz z Nickiem, który po raz pierwszy skłamał swemu wielkodusznemu patronowi.

Zajęczała – z niemal prawdziwego bólu. Semirol ścisnął jej dłoń –

rozpaczliwie i mocno; a jeśli szczęśliwego wampira martwi nie tylko los dziecka?

Nie teraz. Potem się nad tym zastanowi.

Śnieg sypał bez przerwy. Nick był coraz bardziej przerażony. Pomogli Irenie wsiąść do samochodu i przez zasypaną śniegiem szybę widziała, jak splatając palce, Nick otwiera usta i zwraca się do Semirola; słów nie słyszała.

Nie wytrzymał. Zdradził, przyznał się; na samą myśl pociemniało jej w oczach.

– ...śnieg... takiej drodze...

Nick się zadręczał. Nie chcąc przyznać się do kłamstwa, próbował mimo wszystko zatrzymać Semirola – szczególnie że pogoda, jakby współczując lekarzowi, robiła wszystko co w jej mocy, by przeszkodzić w wyjeździe.

Jednak klamka już zapadła. Podjęli decyzję i skłamali. Robiąc to tak przekonująco, że nawet chytry jak wąż Semirol wciąż nie domyślał się, że został oszukany.

Dlatego że zbyt wiele postawił na jedną kartę. Że zbyt wiele dowierzał swemu druhowi niewolnikowi.

– ...się zamknąć? Nie po raz pierwszy siedzę za kółkiem i odrobinę znam tę drogę... Dałeś jej jakieś lekarstwo? Coś przeciwbólowego? Więc to już wszystko. Trzymaj za nas kciuki...

Drzwi się zatrzasnęły. Semirol uśmiechnął się, chcąc dodać jej otuchy.

Zapiął jej pas, odpalił silnik, ruszył.

Farma zaczęła zostawać w tyle, góry poruszyły się i popłynęły im na spotkanie; brama była otwarta. Irena siedziała skulona, całą sobą odgrywając skrajne cierpienie.

Czy to się dzieje naprawdę?!

Ile czasu minęło od momentu, gdy przywiózł ją tutaj, skazaną na śmierć, załamana, w czarnym drelichu?

Śnieg nie przestawał sypać. To źle. To bardzo źle. W taką pogodę nawet taki as kierownicy jak Semirol może uznać, że lepsze już poronienie niż śmierć na dnie urwiska. I zawróci samochód.

Jest zakręt. Granica ich wspólnych spacerów z Nickiem. Dochodząc do tego miejsca, zawsze zawracali z powrotem.

Minęli łuk drogi. Irena westchnęła spazmatycznie. Semirol zerknął na nią ze współczuciem.

Kolejny zakręt. Wściekle pracują wycieraczki na przedniej szybie.

Terenówka jedzie z trudem.

Potem samochodem zarzuciło.

Irena instynktownie wczepiła się w siedzenie, samochód ślizgał się, tracąc przyczepność, wykręcając się jak koryto, na którym wiejskie dzieci zjeżdżają z górki.

Semirol zaklął przez zęby. Irena nie dosłyszała.

Cóż to by była za szkoda. Spaść z urwiska i rozbić się o skały, gdy cel jest tak blisko.

Szkoda Semirola, który przecież nie ryzykuje dla siebie.

A najbardziej szkoda jego, nienarodzonego, unoszącego się w swym czerwonym kosmosie i odczuwającego jej strach.

Zacisnęła zęby, próbując się uspokoić. Po co niepotrzebnie straszyć dziecko?



Samochód odzyskał przyczepność. Semirol, zamiast zahamować, dodał gazu.

– Janie...

– Nic nie mów, Ireno. Odpręż się. Wszystko będzie...

Samochód znów wpadł w poślizg. Otarł się o pasiasty, drogowy słupek.

Semirol ponownie odzyskał panowanie nad kierownicą. Minęli kolejny zakręt.

Przymknęła oczy. Bała się patrzeć.

Rzeczywiście musi się odprężyć. Zebrać myśli i zdecydować, co dalej.

Samochód ma centralny zamek, więc nie uda jej się niepostrzeżenie wyskoczyć na drogę. To zresztą idiotyczny pomysł; po co miałyby to robić?

Chyba że w mieście, na światłach... Tam łatwo uciec do bramy czy podziemnego przejścia, wskoczyć do autobusu... Przydałby się tłum. Jak najwięcej ludzi; choć w taką pogodę, na dodatek wieczorem, nie będzie chyba wielu spacerowiczów.

Pozostaje szpital. Co prawda przysięgała Semirolowi, że nawet się nie zająknie, kim jest... Semirol o wszystko zadba... w przeciwnym razie... sama wiesz, Ireno...

Samochodem znowu zarzuciło. Sunął, bezradnie kręcąc kołami i próbując przez śnieżną kaszę złapać grunt. Irena mocniej zacisnęła oczy.

Zaraz terenówka przewróci się na bok i razem z Semirolelem polecą w dół –

a tam, na dnie urwiska, będą długo umierać w męczarniach, uwięzieni w metalowej puszcze.

– Spokojnie, Ireno. Nie bój się.

Świetnie jeździ. Jak Andrzej. Może nawet lepiej niż on; Irena przypomniawszy sobie, jak mąż uczył ją prowadzić samochód. „Są rzeczy, które zapamiętasz jak papuga. Są rzeczy, które opanujesz jak małpa... Jest też jednak intuicja, bez której ani to pierwsze, ani drugie nie ma sensu”.

Zdaje się, że właśnie na tym rozwidleniu strażnicy oddali ją w ręce Semirola. Na śmierć, jak sądziła.

Minęli rozwidlenie.

– Zaraz dojedziemy do szosy... Boli?

Irena prawie już o tym zapomniawszy. Zapomniawszy, że musi symulować, a Semirol, jak się okazuje, pamiętał ojej bólu nawet na najtrudniejszej, najbardziej niebezpiecznej drodze.

– Boli – odparła i nie do końca rozminęła się z prawdą.

– Już zaraz... na szosie przyspieszymy...

Szpital. Semirol przekaze ją sanitariuszom – z rąk do rąk. Położą ją na szpitalnym łóżku i powiozą korytarzem... Na blok operacyjny? Nie; najpierw muszą przecież postawić jakąś diagnozę...

Dokądś ją powiozą... I wtedy...

Szczęście. Jakże potrzebuje dziś szczęścia. Andrzej, pomóż...

– A oto i szosa.

Irena zobaczyła światła. Właśnie światła, gdyż w śnieżne dni szybko się ściemnia.

W oddali przejechał autobus. Prawdziwy kursowy autobus z pasażerami.

Samochód wpadł w poślizg. Irena krzyknęła.

– Do diabła... Nie bój się, Ireno. To tylko dziura w lodzie... Zaraz będziemy...

Zawył silnik. Spod kół bryznął brudny śnieg.

Samochód nie ruszył z miejsca. Irena wstrzymała oddech. Dzięki Bogu ma spowolnioną reakcję, dopiero teraz jest naprawdę przerażona. Dopiero teraz...

Semirol znowu zaklął. Przekręcił kierownicę.

Gazu, gazu, gazu! Samochód szarpie się, bezskutecznie mieli kołami brudny śnieg. Niezła musi być ta lodowa dziura, skoro unieruchomiła terenówkę Semirola jak jakiś marny samochód osobowy.

– Przebijemy się... Do diabła. Zaraz będziemy, Ireno... Przez otwarte drzwi zawiąło chłodem.

Szosa była na wyciągnięcie ręki.

Szpital to nie więzienie. Znajdzie drzwi. Znajdzie okno. Ostatecznie znajdzie jakiś włącznik... Znajdzie wyjście.

Żeby tylko zdążyć przed zamknięciem sklepu. O której mogą zamykać takie

„Świąteczne niespodzianki”?

Do licha, a jaki dziś dzień?! Powszedni? Świąteczny? Zupełnie straciła rachubę czasu.

Szybko zapadał zmrok. Śnieg nie przestawał padać.

Odpięła pasy. Uniosła się w fotelu i przejrzała w lusterku.

Semirol majstrował coś przy tylnych kołach. Boże, jaka wielka dziura...

Samochód praktycznie leży na podwoziu...

Semirol powinien mieć jakieś zimowe akcesoria – kolce, łańcuchy...

Samochód drgnął. Potem jeszcze raz, niezłą krzepę ma ten wampir. Chyba nie zamierza wydobyć samochodu gołymi rękami?!

Semirol zatrzasnął bagażnik. Zajrzał przez otwarte drzwi.

– I jak, Ireno?

– Lepiej...

– Możesz nacisnąć pedał gazu? Ostrożnie?

Nie ma pieniędzy; z tym będzie kłopot. Lecz jeśli się postarać... Można złapać taksówkę, a potem oszukać kierowcę. Wskoczyć bez płacenia.

Wątpliwe, by ją gonił...

Najważniejsze, by wydostać się ze szpitala. I żeby Semirol nie dowiedział się o tym od razu.

Ostrożnie przesiadła się na fotel kierowcy.

Ależ dawno nie siedziała za kierownicą... A za kierownicą takiego samochodu nigdy.

– Teraz, Ireno... Powoli...

Naciśnięcie sprzęgła nie było łatwe. Semirol miał długie nogi.

Co powiedzieć lekarzom? Co wymyślić? Jakie podać symptomy?

Ręka odruchowo, niezależnie od jej woli, wrzuciła pierwszy bieg.

Samochód płynnie, lekko, jak po asfalcie, ruszył do przodu... Najwyraźniej Semirol rzeczywiście miał zimowe akcesoria.

Twarda nawierzchnia pod kołami.

Jeszcze trochę.

Drugi bieg.

Jeszcze.

Gazu, gazu, gazu.

Śnieżne błoto chlapnęło na wszystkie strony; jeśli nawet Semirol coś krzyknął, Irena tego nie usłyszała.

Przy szosie stał znak „stop”, nogi i ręce zareagowały odruchowo. I bardzo dobrze, bo gdzieś tam, za ścianą śniegu, czekała kontrola drogowa.

Zaraz ją dogoni!

Miała wrażenie, że widzi w tylnym lusterku szybko zbliżającą się postać...

Wykrzywioną twarz.

Gazu!!

Samochód pędził po szosie. Prowadziła go przez śnieżną zadymkę, przy zerowej widoczności. Co chwilę ryzykując, że zjedzie na wsteczny pas, uderzy w słupek albo kogoś przejedzie.

To nie ma znaczenia. Model i tak wkrótce się zatrzaśnie.

Naprzód. Naprzód.

\* \* \*

– Proszę pani, niestety zamykamy dziś godzinę wcześniej... Proszę przyjść jutro.

Zbyt dużo czasu straciła, błądząc po ulicach. Raz chciał ją zatrzymać policjant z drogówki, udało jej się jednak uciec. Chciała już porzucić samochód – gdy przez wiatr i śnieg jakimś cudem dostrzegła znajomą witrynę.

– Przykro mi, proszę pani, ale...

Musiała wyglądać dość osobliwie. Nie chodziło o odzież – ubrana była zupełnie przyzwoicie – lecz wyraz twarzy, wzrok...

Zapewne w tego rodzaju „Świątecznych niespodziankach” często pojawiają się różni dewianci.

Ochroniarz był od niej wyższy o głowę. Nie tak łatwo go będzie ominąć.

– Ja tylko na chwilkę – uśmiechnęła się przymilnie.

– Proszę przyjść jutro.

– Ale przecież spóźniłam się tylko kilka sekund... Chcę kupić coś drogiego.

– Kasa jest już zamknięta.

– Bardzo pana proszę...

Ochroniarz się wahał. Irena przypomniła sobie najlepsze chwile swego życia – jak się wtedy uśmiechała i jak od tego uśmiechu miękli najsurowsi profesorowie.

Wziąć się w garść. Wszystko zależy od tego jednego uśmiechu.

Za jej plecami z piskiem opon zahamował samochód. Żeby tylko nie drgnąć... Mało kto się może spieszyć, mało kto może tak gwałtownie hamować?

Uśmiechała się. W tym uśmiechu był instytut, pierwsze opowiadania, młody Andrzej, słońce, morze, szczeniak Sensej.

– Może pani na chwilę wejść – powiedział ochroniarz. I usunął się z drogi.

Puste, zalane światłem pomieszczenie. Towary – sprawiające dość obrzydliwe wrażenie – leżały pod szkłem, na ladach, a pod sufitem była nawet podwieszona kukła krokodyla.

Za kasą stała niezadowolona damulka.

– Już skończyliśmy pracę.

– Tylko rzucę okiem.

– Nabrudzi pani, już umyliśmy podłogę... Odruchowo wytarła nogi. Zrobiła krok – ostrożnie, jakby naprawdę bała się nabrudzić.

O Boże!

Kartonowa brama, pokryta czarnym aksamitem. Zębate maski po obu stronach wejścia – „otworzymy dla was drzwi do nowego świata”.

Czyjeś spojrzenie wbiło jej się w plecy jak nóż. Odwróciła się.

Semirol, bez czapki, w rozpiętej kurtce, stał w drzwiach. Ciężko dyszał. W

kącie próbował podnieść się na nogi oszołomiony ochroniarz.

Semirol patrzył.

Uwalniając się spod hipnotycznego wpływu przyzywającego ją palca wampira, zrobiła krok w kierunku teatralnej bramy.

– Wracaj, Ireno.

– Jesteście modelem... Jesteście tylko modelem. Jesteście...

Semirol zacisnął usta. Powoli ruszył wzdłuż regału.

Rzuciła się do przodu.

Uświadomiła sobie, że nie zdąży. Że nadludzko szybki wampir przechwyci ją pół kroku od bramy.

A jeśli się pomyliła? Jeśli za czarnym aksamitem jest tylko ściana i na próżno będzie bić w nią pięściami?

Jego dłonie zacisnęły się na jej nadgarstkach.

I jednocześnie z krzykiem wpadła w bramę – tyłem, w aksamitną zasłonę.

Ciemność.

## **Rozdział 9**

Po szerokim łuku szosy...

Nie, nawet woźnica nie nazwałby tej wąskiej drogi z głębokimi koleinami szosą.

Bo to właśnie wóz toczy się teraz po szerokim zakręcie drogi. A właściwie nie wóz...

Irena otuliła się ramionami.

To karetka. W każdym razie ludzie tak zwykli wyobrażać sobie karety. Pudło na wielkich kołach, z drzwiami z boku i woźnicą w charakterze kierowcy.

Wiatr był ciepły.

Nieopodal, pod wzgórzem, bezmyślnie pasło się dwadzieścia krów o obwisłych brzuchach. Irena przeniosła spojrzenie, zagajnik zielenił się soczyście i gęsto, liście jeszcze nie spłowiały od kurzu i słońca. Czysta afirmacja życia.

W dole, po lewej, ciemniały dachy. Półnogie dzieciaki żwawo i hałaśliwie bawiły się w kałuży.

Drgnęła. Potrząsnęła głową.

Po lewej i prawej stronie stały na ziemi dwa wysokie, omszałe kamienie.

Jeszcze jeden płaski kamień leżał jak gigantyczna meduza nieco niżej na stoku; siedział na nim odwrócony do Ireny plecami człowiek.

Znów się rozejrzała. Zagryzła wargę, próbując ukryć rozczarowanie.

Oto jej dom. Niespodziewanie mały, za to z ogromnym podwórzem i budynkami gospodarczymi, których nigdy tam nie było. Był to jednak jej dom i topola nie rosła z lewej strony bramy, jak w modelu, lecz z prawej, jak należy.

Co to takiego, Andrzej? Co to za kolejny absurd?!

Ruszyła przed siebie. Spojrzała na kamienie; stoją tu od co najmniej stu lat i są specjalnie ustawione. Brama...

Wstrzymując oddech, znów weszła w omszałe wrota.

Żadnego efektu.

Ale musiała się o tym przekonać.

Przez chwilę stała nieruchomo, po czym powoli, krok po kroku, podeszła do siedzącego człowieka.

Podeszła i usiadła obok.

– Proszę nie siedzieć na ziemi – Semirol nawet na nią nie spojrzał.

– To jest trawa.

Semirol odwrócił się na chwilę. Miał szklisty wzrok. Obok przeszło stado krów. Głucho pobrzękiwał wielki dzwonek na szyi byka.

– Przepraszam, Janie... Ale czy naprawdę myślałeś, że można kogoś zmusić do...

Zamilkła, nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał głucho Semirol.

Wzruszyła ramionami.

– Istnieje kilka wariantów... Najprostszy z nich – spadliśmy z urwiska i mamy teraz przedśmiertne halucynacje...

– W porządku. A inne warianty?

Irena westchnęła.

– To kolejny model, Janie. To kolejny model.

\* \* \*

Schodzili coraz wolniej, w końcu Irena potknęła się i Semirol odruchowo podtrzymał ją pod ramię.

Bawiące się dzieci były potwornie, niewyobrażalnie wręcz brudne. Jedno miało na sobie tylko zgrzebną koszulę do pępka, drugie podarte, płócienne spodnie. Wszystkie bez wyjątku biegały boso; wszystkie próbowały trafić krowią kością w cel – rogatą, żółtą czaszkę.

Irena przełknęła ślinę, poznając Walka. Chłopak był trzy lata starszy niż tego wieczoru, gdy na prośbę Ireny przyniósł jej sportową gazetę. Brudny i półnagi jak pozostali, z długimi, zmierzwionymi

włosami, wyraźnie przewodził

zabawie – walił w tył głowy każdego, kto jego zdaniem nie przestrzegał reguł.

A jednak był to Walek. Z jakiegoś powodu Irena była o tym przekonana.

– Co za obyczaje – wymamrotał Semirol.

– Boję się, Janie – rzekła ledwie słyszalnie.

– Naprawdę? – zapytał z przekąsem. – Spójrz tutaj...

Zbudowany z całych pni dom sprawiał wrażenie muzealnego eksponatu stojącego pod gołym niebem. Rzeźbione zawijasy na bramie, starodawna kłódka, drzwi na ogromnych zawiasach, dach pokryty zdaje się czymś w rodzaju brązowej dachówki... Drewniane, zamknięte na głucho okiennice.

Cała ulica muzealnych, dziwacznych budowli, jak w skansenie. Dom sąsiadów... Studnia z żurawiem i drewnianym wiadrem stojącym na skraju cembrowiny.

– Jak wejdziemy do środka?

Najbardziej przygnębił ją fakt, że brama jest zamknięta, a ona nie ma kluczy.

– Nie zbliżaj się – rzucił Semirol z rozdrażnieniem. Odsunął ją i zlustrował

okrągłą kłódkę wielkości dziecięcej głowy. Westchnął. Lekko – z pozorną łatwością – wyrwał z drewna zardzewiały zawias wraz z ogromnym gwoździem.

– System... na granicy fantastyki.

Brama przeraźliwie zaskrzypiała. Nad sąsiedzkim płotem pojawiły się głowy, jednak Semirol nie pozwolił się Irenie odwrócić, wręcz wpychając ją na podwórze.

– Sensej?!

Smolście czarny pies wielkości cielaka schował obnażone zęby i zamerdał ogonem.

– Trzeba było uprzedzić – odezwał się głucho Semirol za jej plecami.

– Sensejku... To ty?!

Pies zaskomlał. Rzucił się, niemal zwalając ją z nóg, oparł jej na ramionach zaskorupiałe od brudu, przednie łapy i ogromnym jak różowe prześcieradło językiem polizał po twarzy.

W nozdrza uderzył ją ostry, psi zapach.



– Kontynuujmy część teoretyczną... Wariant pierwszy – przedśmiertne halucynacje. Trzeba przyznać, że dość długie, a poza tym wspólne i zsynchronizowane. Co jest mało prawdopodobne. Drugi wariant?

Irena milczała. Przyglądała się tańczącym w kominku językom ognia.

– To ty zorganizowałaś całą tę pikantną sytuację, Ireno. Orientujesz się w tym wszystkim lepiej niż ja; jesteś ekspertem. A więc jaki jest drugi wariant?

Albo trzeci?

– Łajdak – rzekła Irena znużonym tonem. – Nie, to nie do ciebie... To do Andrzeja.

Wampir westchnął.

– Rozumiem... Uczestniczyłem w tylu procesach rozwodowych, że łatwo mi zrozumieć...

Na podłodze przed kominkiem wiercił się Sensej. Nowy wariant Senseja –

hipertroficzny. Istny potwór, a nie pies.

Dom należał do niej. Był dziwaczny, obcy, ale należał do niej; poznała go, tak jak poznał ją ten potworny pies.

– Niczego nie rozumiesz, Janie... To jest nowy model. Model w modelu.

Zamiast wyjść w rzeczywistym świecie, wpadliśmy w... tę groteskę.

Semirol się uśmiechnął, po raz pierwszy tego dnia.

– Naprawdę? A jeśli ta tak zwana rzeczywistość wpadła z tak zwanym modelem w rezonans, tworząc tę poczwarną hybrydę? Czy to nie czymś takim straszyl cię ten profesor... jak mu tam było... Peter Nikołań? „Rak na prawdopodobnej strukturze rzeczywistości”. To cytat z twojego opowiadania.

Irena wybuchnęła płaczem. Jej opowiadanie, jej prawie ukończone opowiadanie, zostało na zawsze utracone. Jej genialne utwory... których nigdy nie napisała... i teraz nigdy już nie napisze.

– Dlaczego to zrobiłam, Janie?

– Właśnie. Dlaczego to zrobiłaś?

– ...zabrać mi dziecko...

– Naprawdę? Cóż za smutna historia! A przy okazji, jak zamierzasz teraz rodzić? Na sianie, pod okiem brudnej położnej?

Irena poczuła nagle ostrą tęsknotę za domem. A nawet nie za domem i towarzystwem Senseja i

żółwia, lecz za farmą, znajomym pokoikiem i widokiem na góry. Chciała naciągnąć koc do samego podbródka i słodko drzemać, w przekonaniu, że nikt nie będzie jej niepokoił do samego przedpołudnia.

Nie przestawała płakać.

\* \* \*

Po przeszukaniu domu znaleźli stawę zarówno dla ducha, jak i ciała. W

piwnicy znajdowało się pęto intensywnie pachnącej kielbasy, a na półkach w gabinecie zapisane drobnym pismem kartki żółtego, dziwnego w dotyku papieru. Semirol przyniósł wody ze studni; Irena, łamiąc paznokcie, wyczyściła ciężki kocioł i rozpałała w piecu.

W milczeniu zjedli kielbasę i zapili ją wrzątkiem. Papiery czekały na swą kolej; napisane kaligraficznie, lecz według nieznanych reguł gramatyki, budziły w Irenie wręcz zabobonny lęk.

– To pewnie twoje opowiadania... – Semirol przeglądał papiery, przyświecając sobie pochodnią.

– Sama się domyślałam.

– Ich wartość historyczna jest niewątpliwa, jednak artystyczna... Hm.

Masa napuszonych, powtarzających się przymiotników. Masa czasowników.

„Historia o tym, jak gołębica przyniosła martwemu młodzieńcowi purpurową różę”, „Historia o rycerzu, który czynił zło, aby pozostać bezinteresownym”,

„Historia o skąpcu, który rozdawał, by zyskać”...

– To ostatnie brzmi przynajmniej paradoksalnie – wymamrotała Irena.

Semirol odłożył rękopis. Przeciągnął się i oznajmił, jakby kontynuując temat.

– Jeśli w ciągu miesiąca nie zostanie dostarczony na farmę węgiel i olej opałowy, nastąpi kryzys energetyczny. Żywnościowy nadejdzie wcześniej, po tygodniu, kiedy skończy się chleb. Co prawda jest jeszcze mąka, z której można piec placki.

Irena się skrzywiła – mdliło ją po kielbasie. Wzruszyła ramionami.

– Czas płynie tu dziesięć razy szybciej... Jest bardzo prawdopodobne, że tam, w naszym świecie, minęła tylko godzina i Nick jeszcze niczego nie podejrzewa...

Oczy Semirola zmieniły się w szparki.

– A właśnie. Nick...

– W niczym nie zawinił – rzekła Irena pospiesznie. Nazbyt pospiesznie. A po chwili dodała z nerwowym śmiechem.

– A poza tym nie wierzę, by udało nam się wrócić. Do modelu, z którego...

Semirol wstał. Irena zamilkła.

– Mylisz się. Na pewno wrócimy, Ireno... Twoje gierki z modelatorem są jedynie zabawą, podczas gdy moje życie jest moim życiem. Wrócimy, poczekamy, aż przyjdzie na świat moje dziecko, a potem możesz iść, dokąd chcesz, pisać opowiadania, tworzyć własny los.

– Janie – zapytała łagodnie Irena. – A jak zamierzasz wrócić?

Wampir uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Pójdziemy do miasta. I znajdziemy odpowiednik sklepu „Świąteczne niespodzianki” albo... albo pana modelatora. I jeśli Andrzej Kromar istnieje w tym świecie – wyciągnę go choćby spod ziemi.

\* \* \*

W kufrach znaleźli ubrania. Irena długo je oglądała, z odrazą ujmując w dwa palce brzegi wspaniałych, wielowarstwowych sukien. Na widok gorsetu dostała ataku nerwowego śmiechu.

– I jak wyglądam, Janie?

Semirol krytycznie zlustrował jej strój. Parsknął ironicznie.

– Prawdziwa maskarada, Ireno. Wyglądasz jak księżniczka przebrana za średnio zamożną matronę, albo żebraczka, która zwędziła czyjaś suknię.

– „Gdy dama występuje w krynolinach, a mężczyźni w kolczugach i z mieczami, oczekuję na bajkę... Na inny, że tak powiem, świat... konstrukcję tego świata”. Nie dziw się, Janie. Tak twierdził pewien mój czytelnik –

profesor orientalistyki.

Semirol się skrzywił.

– A właśnie, jeśli mowa o mężczyznach, mieczach i kolczugach... Czy znajdą się tu jakieś normalne spodnie, czy będę musiał przebrać się za starą wróżkę?

– Podarty, zbutwiały całun – rzekła Irena, chichocząc. – Podarty całun i skrzydła nietoperza – oto, co czeka na ciebie w tym świecie, panie wampirze.

Semirol uniósł brew i Irena stwierdziła, że jej żart nie jest najwyższej próby.

Uśmiechali się dopiero w garażu. A właściwie w przybudówce, której prototypem był garaż.

Była tam klacz. Z wystającymi zębami i kawałkiem sznura na szyi; zwierzę najwyraźniej od dłuższego czasu dbało o siebie samo, gdyż na widok Ireny wierzgnęło w popłochu. Na widok Semirola zaś dziko zarżało i z oszalałym wzrokiem wbiło się w kąt.

Adwokat wyszczerzył zęby i podszedł do przerażonego zwierzęcia. Położył

mu dłoń na szyi, klacz zaczęła dygotać. Irenie zrobiło się jej żal.

– Janie...

– Cicho.

Klacz westchnęła ciężko, po czym się uspokoiła. Irenie z jakiegoś powodu przypomniał się Nick.

\* \* \*

Za płotem naprzeciw przez cały ranek pełniła wartę ciekawska sąsiadka.

– Dzień dobry, pani Chmiel! Witamy z powrotem!

Irena uśmiechnęła się z przymusem. Zastanowiła się i wykonała coś w rodzaju reweransu, zamiatając suknią kurz na drodze.

– Ujdzie – rzekł Semirol za jej plecami. – Bardzo wytwornie.

Sąsiadka, która już się przymierzała do pogaduszek, na widok Semirola postanowiła się wycofać. Najwyraźniej z punktu widzenia sąsiadki wampir wyglądał naprawdę przerażająco. A Irenie wydawało się, że obok niej idzie statysta z taniego filmu, któremu z oszczędności wydano zjedzony przez mole płaszcz, narzucony teraz na codzienny garnitur.

Było po letniemu ciepło i niezwykle pięknie. Droga wyginała się w podkowę i znikła w mieście, na malowniczych pagórkach pasły się krowy, malowniczo zielenił się zagajnik i malowniczo płynęła błękitna rzeczka.

Kicz, pomyślała Irena z odrazą. Kiczowata pocztówka. To dziwne, przecież Andrzej miał dobry gust.

– Jak się czujesz? – zapytał Semirol.

– W porządku – Irena wzruszyła ramionami.

Siedziała na wychudłym grzbiecie klaczy. Siodło zrobili z poduszki; Semirol prowadził wymęczone i uległe zwierzę za uzdę.

Przed nimi wznosiły się góry. Nie te białe i migotliwe, które zdobiły okolicę farmy Semirola, lecz zwyczajne, zielone, swojskie góry. Nad rzeką ścieliła się mgiełka. Kafejka z czerwoną dachówką...

Irena westchnęła. Klacz zastrzygła uszami.

– Ireno – głos Semirola się zmienił. Zdaje się, że niewzruszony wampir był

wstrząśnięty. – Spójrz, Ireno... Czy to wszystko jest... prawdziwe?

Po podwórzu spacerował czarno-biały, długonogi ptak. Gęstym szpalerem rosły kosmate jodły, na polach zieleniły się wschody, oślepiająco świeciło słońce. Irena zmrzyła oczy.

– Czy to jest prawdziwe, Ireno? To nie obrazek ani hologram?

Westchnęła.

– A teraz wyobraź sobie coś innego. Stoisz pośrodku jakiegoś świata, kompletnie zdezorientowany, zastanawiając się, czy to hologram, czy może halucynacje... I nagle zostajesz pojmany, osadzony w więzieniu i oskarżony o serię zabójstw... Potem zaś pojawia się dobry adwokat...

Semirol milczał.

– Andrzej Kromar – rzekła z goryczą Irena. – „Niewiarygodnie udany eksperyment... gdy pracuje się na granicy prawa... nie chodzi o prawa ludzkie, lecz prawa natury... sukces może zmienić się w tragedię. Jak w tym przypadku”.

– Jak na razie nie wydarzyła się żadna tragedia – zauważył wampir.

– Czyżby? Jesteś niezwykle odważnym człowiekiem, Janie... A Peter, wciągając mnie w to wszystko... hm... sądził, że Andrzej po prostu oszalał.

Znajdujemy się w świecie, który jest dziełem obłąkanego Stwórcy. Czy to nie jest tragiczne?

– Jak na razie nie. Jeśli ci wierzyć, urodziłem się i żyję w takim właśnie świecie. I muszę przyznać, że całkiem nieźle mi się w nim powodzi.

Irena westchnęła.

– Myślę, że i tutaj sobie poradzisz... Ty poradzisz sobie wszędzie, Janie.

Przed nimi wyrosła studnia. Poidło dla zwierząt; na skraju drogi stał niski, szeroki wóz. Mężczyzna, równie niski i krępy, poprawiał uprząż, kobieta w wysokiej czapce nabierała wody, a na wozie przepychała się łokciami gromadka umorusanych dzieci.

Irena się spięła. Semirol przeciwnie, ruszył zwawszym krokiem.

Przywitali się z nimi. Mężczyzna, kobieta i wszystkie dzieci patrzyli na Irenę z ciekawością, na Semirola z lękiem.

– Witajcie, dobrzy ludzie... Znaczy się, też byśmy się wody napili... Bo ja i moja pani, znaczy się, w daleką podróż się wybieramy... I wody trochę by się przydało...

Semirol wyraźnie dobrze się bawił. O dziwo jego paplanina przyniosła skutek. Niepokój w spojrzeniach ustąpił miejsca życzliwości. Krępy mężczyzna, drapiąc się w brodę, podał Semirolowi drewniany ceber.

– To niehigieniczne – rzekła Irena samymi ustami.

– To niehigieniczne, dobrzy ludzie – oznajmił Semirol. – Znaczy się niehigienicznie, a bez wodeńki jeszcze gorzej; strasznie suszy bez wody, ludziska.

Irena kurczowo spłotła palce.

Semirol cieniutką strugą wlał w siebie wodę – nie dotykając cebra ustami.

Z błazeńskim ukłonem oddał naczynie mężczyźnie; ten patrzył ze zdziwieniem, lecz bez wrogości.

Tymczasem dzieci – te, które potrafiły już chodzić – jedno za drugim zeszły z wozu i jednakowym ruchem pakując palce do nosów, podeszły bliżej –

popatrzeć na przedstawienie.

Semirol pomógł Irenie zsiąść z konia, już dawno chciała rozprostować nogi, wołałaby jednak zrobić to w mniej tłoczonym miejscu.

– Chcesz pić, Ireno? Nie przejmuj się, oni zaraz odjadą.

Umyła ręce. Rodzinka nie zamierzała nigdzie się ruszać; rodzice byli równie ciekawscy jak dzieci.

Napiła się, zaczerpując wody w dłonie. Woda była... nie, nie znała takich słów. Nigdy w życiu takiej nie piła. Oczekiwała, że zdrętwieją jej zęby, woda nie była jednak zbyt zimna; była miękka i, nie wiedzieć czemu, pachniała igliwem.

Cembrowina budziła w niej strach. Była niczym pysk śpiącego potwora.

Jakby wszystkie studnie, które widziała w życiu, były nieprawdziwe, martwe, jak mumia kopalnego zwierzęcia... Ta zaś była żywa. Żywa skamielina.

„Żeby były w nim leśne duchy, przeróżne gnomy, krwawe wojny, surowe prawa... miłość... a nie domowe, proszę wybaczyć, awantury ze smutnym zakończeniem”.

Uśmiechnęła się blado, jak zwykle w odpowiednim momencie przypominając sobie słowa profesora orientalistyki.

Tymczasem na cembrowinę wdrapał się sześćioletni szkrab. Irena obejrzała się odruchowo – co ta matka wyprawia, przecież dzieciak lada chwila wpadnie do studni.

Matka patrzyła na Semirola. Wampir adwokat zachowywał się bardzo odpowiednio. Plótł jakieś bzdury o bujnym urodzaju, o dobrych znakach, a jednocześnie wypytywał, czy dobrym przejeźdźnym

nie zdarzyło się przypadkiem słyszeć o pewnym panu imieniem...

Chłopiec już wpadał do środka. Najwyraźniej z przerażenia odebrało mu mowę, w każdym razie gramolił się w milczeniu. Jego palce ześlizgiwały się z mokrego brzegu cembrowiny.

Człowiek obdarzony normalną reakcją dziesięć razy zdążyłby w tym czasie podskoczyć i złapać malca. Irena musiała najpierw rozdziawić usta, potem mrugnąć, potem...

– Aaa!

Wszyscy jednocześnie rzucili się w stronę studni. Moment przed tym, jak palce chłopca ostatecznie się ześliznęły, a ręka ojca chwyciła syna za kołnierz

– Irenie udało się złapać za chudziutki nadgarstek i poczuć, że chłopiec nie jest wcale taki znów ciężki.

– Dobry uczynek pani zrobiła – rzekła kobieta z dziwną intonacją.

Obok ojciec okładał uratowanego synka lejcami. Irena podskakiwała, za każdym razem oglądając się na krzyk malca.

– Ja? – spytała nerwowo. – Ja tylko zdążyłam złapać... Kobieta zmarszczyła brwi, o dziwo, w jej wzroku kryła się jawna wrogość.

– Dobry uczynek pani na siebie wzięła.

Potem nie wypowiedzieli już ani słowa. Dzieci, łącznie z uratowanym i spranym lejcami malcem, wdrapały się na wóz; mężczyzna smagnął batem ogiera o szerokiej piersi i cała procesja – koń, wóz i mężczyzna z kobietą idący po obu jego stronach – ruszyła w kierunku, z którego przybyli Irena z Semirole.

– Zręcznie go złapałaś... – wymamrotał wampir. – Przy twoim refleksie to po prostu zadziwiające.

Irena opędziła się od niego.

Potem, gdy już wjeżdżali w góry, nie wytrzymała i zapytała z westchnieniem.

– Dlaczego to robisz, Janie?

– Co takiego?

– Prowokujesz ich... Wkrótce po okolicy rozejdą się plotki; będą gadać, że jestem czarownicą, a ty na przykład wampirem... Pojawi się jakaś straż i wrzucą nas do lochu z łańcuchami, do podziemia pełnego narzędzi tortur.

– Jesteś prawdziwą optymistką.

– W światach podobnych do tego nie istnieje zdrowy rozsądek ani prawo.

Przynajmniej tak je się zwykle opisuje...

– Ireno, przecież nie mamy możliwości ogłoszenia przez telewizję, że

„pilnie poszukiwany jest Andrzej Kromar, modelator". Zostaw to mnie.

Potrafię rozmawiać z ludźmi.

– To fakt – przyznała Irena z przygnębieniem.

Po południu zrobili popas. Zjedli resztkę domowych zapasów. Napili się studziennej wody, która straciła dla Ireny cały swój urok. Wolałyby sok brzoskwiniowy.

A potem, gdy udała się w krzaki za potrzebą, wdepnęła w krecią norę.

Ziemia poddała się i zapadła, jakby nie przeryło jej niegroźne zwierzątko, lecz robotnicy budujący metro. W glinie ciemniały stalowe oczka kolczugi; przerażona Irena była pewna, że naruszyła czyjś grób.

Semirol przybiegł na jej krzyk.

W kreciej norze rzeczywiście leżała zawinięta w płótno kolczuga. W

zawiniątka znajdowały się też srebrne i miedziane monety – nie było ich zbyt wiele, ale sam widok robił wrażenie.

– Jak znalazł – rzekł Semirol. – Nowicjusz ma szczęście.

– Raczej głupi ma szczęście – dodała Irena.

\* \* \*

Droga do miasta, którą zwykle Irena pokonywała w niecałą godzinę, tym razem zajęła im prawie cały dzień.

Była pewna, że na miejscu kafejki z czerwonym dachem znajdą coś w rodzaju karczmy. Myliła się jednak. Nie było tam nic. Najwyraźniej nie opłacało się budować karczmy na pustkowiu; nie mieliby tu zbyt wielu klientów.

Miejscami droga była prawie niewidoczna – koń szedł jak po nakrytym stole, dokładnie wybierając miejsce, na którym postawić kopyto. Irena przypominała sobie ich ryzykowną jazdę z Semirolem; najpewniej terenówka wampira wciąż stoi na ulicy przed sklepem „Świąteczne niespodzianki”.

Semirol był pogrążony w myślach. Marszczył co chwila brwi, rozglądał się z ciekawością, a niekiedy nawet uśmiechał do samego siebie; był niczym salamandra przeniesiona z pieca do kominka.



Niewielka tak naprawdę różnica.

– Ireno...

– Tak?

– Powiedz mi... to miejsce, z którego przybyłaś, którego nie uważasz za model... znajduje się zapewne na wysokim szczeblu rozwoju cywilizacyjnego?

Kolonie kosmiczne, ekspansja wszechświata, statki kosmiczne...

– Nie – nie wiedzieć czemu poczuła się niezręcznie.

– Dlaczego?

– No, jeśli modele tworzone są w porządku zstępującym... Wejdziemy, powiedzmy, do jakiegoś miejscowego sklepu, typu „Knoty i świece”, i znajdziemy się na wzgórzu. Droga będzie iść jakieś odziane w skóry plemię, a w dole, po lewej, będzie znajdować się twoja jaskinia z wyrytymi w kamieniu...

albo narysowanymi na ścianach pierwszymi utworami Ireny Chmiel.

– Nie – odparła ze złością. – Andrzej Kromar stawiał przed sobą inny cel.

Nie chodziło mu o wyśmianie moich pretensji literackich ani zilustrowanie podręcznika do historii.

– Jasne. Wciąż nie wierzysz, że on jest obłąkany?

– Zawsze był szalony – odparła z rozdrażnieniem.

– Dlaczego więc postanowiłaś...

– A co to ciebie obchodzi?

– Nic... Nie denerwuj się.

Przez jakąś godzinę jechali w milczeniu; potem Irenę rozboleły plecy i musieli zatrzymać się na kolejny odpoczynek. Irena była potwornie głodna, uznała jednak, że przyznanie się do tego byłoby poniżej jej godności.

– A jakież to cel mu przyświecał? Jak sądzisz, Ireno? Była zmęczona.

Śmiertelnie zmęczona. Nie trzeba było się kłaskać; teraz nie będzie w stanie podnieść się z ziemi i Semirol będzie świadkiem jej słabości.

– Socjo... logia eksperymentalna.

– Co takiego?

Irena zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć.

„W każdym okresie swego istnienia ludzkość posiadała coś w rodzaju tajemniczego, zakazanego zakątka. Badań uważanych za nieprzyzwoite, nieetyczne, niehumanitarne... A mimo to niezwykle perspektywiczne”.

– Masz świetną pamięć – rzekł po chwili Semirol.

Irenie przypomniała się stara anegdota i uśmiechnęła się krzywo.

\* \* \*

Tam gdzie Irena spodziewała się zobaczyć przedmieścia, wciąż ciągnęły się pola i pustkowia.

Samo miasto okazało się trzy razy mniejsze niż jego pierwowzór; Semirol dostrzegł w oddali mury, bramę i wieże. Zwolnił kroku.

– Jakie to piękne – rzekła Irena obojętnym tonem. – A co mylisz o leżeniu w trumnie?

– Czyżby było aż tak źle? – zapytał adwokat po chwili.

– Nie – zachichotała Irena. – Po prostu w podobnych dekoracjach...

wampiry raczej nie pałętają się po ulicach. Powinny bać się słońca, za dnia spać w trumnach, a nocą...

– Zależy jakie wampiry – Semirol nie obraził się ani nie zdziwił.

Minęli zwodzony most i weszli do miasta.

\* \* \*

Po ulicach szli w milczeniu. Irena szła szybko, by nadążyć za adwokatem.

Co jakiś czas nie mogli się powstrzymać przed poszturchiwaniem łokciami i wskazywaniem wzrokiem wciąż nowych szczegółów. Stylowa scenka przy fontannie, wyrzeźbionej w kształcie krowiej głowy... Gospodynie w oknach, rozmawiające ze sobą przez wąską ulicę... Jakieś kozy, psy, rynsztoki pełne pomyj, miedziane kołatki, sklepiki z ostrogami, uzbrojeni jeźdźcy – Irena z trudem zachowywała pozory spokoju.

Rozkład miasta zmienił się nie do poznania. Dwu – albo trzykrotnie węższe uliczki doprowadzały wędrowców do placów – Irena za każdym razem napinała się wewnętrznie, oczekując, że zobaczy szubienicę z nieświeżym wisielcem. Z jakiegoś powodu obraz miasta wydawał się niepełny bez zapachu nawozu, strażników z halabardami i czynnych szafotów.

Zapach był – choć ledwie wyczuwalny – za to nie spotkali ani jednego strażnika. Na placach mieściły się głównie sklepy i karczmy – szubienic na szczęście nie było.

Zerkano na nich – z ciekawością, czasem z niepokojem, lecz nic ponadto.

Irena obawiała się, że będzie gorzej. Że za parą osobliwych przybyszów zbierze się tłum gapiów.

Zapadał zmierzch. Irena wciąż jeszcze miała nadzieję na cud. Liczyła, że lada moment, za najbliższym rogiem, znajdą sklep z jakąś specyficzną, znajomą fasadą, budynek znak, kryjący w sobie przejście.

– Pan modelator ma bardzo mgliste pojęcie o średniowiecznych miastach.

To kicz, Ireno.

– A kto twierdzi, że wymodelował średniowiecze?

– A cóż innego? – Już o to pytałeś...

Tyczkowaci latarnicy zapalali latarnie. Piękny widok: barwne klosze, grube świece, wieczorne miasto zalane kolorowym światłem.

W pewnym momencie Irena odniosła wrażenie, że stoi pośrodku szerokiej, ruchliwej szosy; z prawej i lewej strony płyną dwa potoki – oddalających się czerwonych lamp i zbliżających się białych.... Reflektory, lampy, wyniosłe oczy świateł na przejściach.

– Jesteś zmęczona, Ireno?

– Nieszczególnie.

– Ledwie trzymasz się na nogach... Spaceruje się w twoim przypadku wskazane, ale nie do tego stopnia.

Irena nie zapamiętała, jak nazywała się gospoda. Było jej już wszystko jedno.

– Pokój? Kolacja? Gorąca woda dla szanownych państwa? Skrzypiące schody.

Irena zorientowała się, że leży na łóżku – kotara z połączanymi frędzlami była częściowo przetarta i przeświecał przez nią płomień świecy.

– Zapal światło, Janie.

– Zaraz, tylko znajdę kontakt – w głosie Semirola zabrzmiała ironia.

On także był zmęczony.

\* \* \*

Po śniadaniu – jarzyny były smaczne, a mięso nie nadawało się do jedzenia

– Semirol wyszedł do miasta. Sam. Irena przemogła się i została w pokoju.

Bała się zostawać sama. Z drugiej strony, po wczorajszym dniu koszmarnie bolały ją plecy. Poza tym pojawiła się w końcu możliwość naciągnięcia koca do samego podbródka i przemyślenia całej tej sytuacji.

Jeśli chodzi o nowe doznania, w pełni wystarczały jej rodzajowe scenki za oknem. Stukot drewnianych obcasów, plusk wylewanych pomyj, rżenie koni, pokrzykiwania domokrażców – Semiról miał rację; wszystko to bardzo przypominało kicz i, co dziwne, sprawiało wrażenie czegoś od dawna znajomego – z jakiegoś filmu albo książki.

W sklepie naprzeciwko odbywało się hałaśliwe „przyjęcie towaru”.

Czterech postawnych chłopów z wysiłkiem uwalniało z pasów ogromną beczkę (i kto wymyślił, żeby przewozić cokolwiek w tak niewygodny sposób). Beczka najwyraźniej była pełna; rzemienie przerzucone przez ramiona tragarzy aż trzeszczały; ulica wypełniona była sapaniem, przekleństwami i tłumem gapiów.

Irena wychyliła się z okna, opierając łokcie o parapet. Scenka miała wyjątkowy koloryt.

Po chwili pękł jeden z podtrzymujących beczkę rzemieni. Tragarz cudem zdążył odskoczyć; najwyraźniej był przygotowany na taki obrót spraw i zareagował błyskawicznie. Beczka – jak zdawało się Irenie – przez jakiś czas wisiała przekrzywiona w powietrzu. Potem ciężko zwała się na bok, jednak nie roztrzaskała się – bednarz musiał się postarać! – lecz potoczyła w dół

ulicy, podskakując i kołysząc się, jak biodra bezwstydnej tancerki.

Gapie rozpierzchli się na wszystkie strony. Nawet Irena odchyliła się instynktownie. Nie widziała niczego prócz nabierającej prędkości beczki, ciężkiej i nieuchronnej jak walec drogowy, pędzącej po ulicy na spotkanie płotu lub ściany.

Potem usłyszała krzyk. Pełen takiego przerażenia i rozpacz, że oblał ją zimny pot, zanim jeszcze dostrzegła krzyczącą kobietę; na drodze beczki znalazło się coś doskonale widoczne gapiom; tłum wydał stłumione westchnienie.

Staruszka w pstrej chuście przysiadła pod murem, by odsapnąć, i teraz nie była w stanie wstać, gdyż z przerażenia odjęło jej władzę w nogach.

Irena zdawała sobie sprawę, że należy zacisnąć powieki. A jeszcze lepiej odskoczyć od okna. Niestety, zdąży to zrobić o sekundę za późno, przez co wszystko to zobaczy i zapamięta – chrzęst miażdżonych kości, zakrwawiona chusta...

Beczka podskoczyła na kamieniu.

Jakiś niewyraźny ruch. Ciemnoczerwony płaszcz na czyichś ramionach, kłęb kurzu, okrzyk... Irena dostrzegła jedynie płaszcz i ręce. Białe ręce, które poderwały staruszkę jak lalkę.

Przez moment wydawało się, że beczka zmiażdży ich oboje. Głupią staruchę i człowieka, który próbował ją uratować – jeszcze większego durnia.

A Irena nie zdążyła zacisnąć oczu.

Beczka gruchnęła w ścianę domu.

Zajazd drgnął. Od uderzenia beczka w końcu się roztrzaskała i na ulicy rozlała się kałuża gęstego wina. Nikt jednak nie zwrócił na tę katastrofę najmniejszej uwagi. Kobieta, która krzyczała, przepychała się przez tłum.

Przycisnęła do piersi całą i zdrową staruszkę, wtulając twarz w kolorową chustę.

Wysoki, jasnowłosy mężczyzna na moment się odwrócił. Irena zdążyła dostrzec skoncentrowaną, arystokratycznie bladą i niespodziewanie młodą twarz.

Po chwili w tłumie nie było już żadnych arystokratów. Sklepiarz biadolił

nad zniszczoną beczką, oszalały pies chciwie chleptał darmowe wino, przyłączył się do niego jeden z gapiów. Pstra chusta płynęła przez tłum –

staruszka szła wsparta na szlochającej córce i chyba nawet mamrotała jej jakieś słowa otuchy.

Irenie przypomniał się malec, którego sama uratowała przed wpadnięciem do studni.

Co prawda ocalić człowieka przed rozpędzoną beczką jest znacznie trudniej, niż w porę wyciągnąć rękę. Jasnowłosy arystokrata, który znalazł się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie, mógł zostać po prostu zmiażdżony.

Irena westchnęła. Położyła się na łóżku i nakryła kocem. Wystarczy. Już dość na dzisiaj rodzajowych scenek. I bez tego przychodzą jej do głowy wszelakie bzdury.

\* \* \*

Semirol wrócił po południu; milczący i strapiony. Swą elegancką koszulę, która już dwa dni wcześniej była nie pierwszej świeżości, zmienił na inną –

romantyczną, z białego, grubego materiału. Oprócz tego Semirola wyraźnie irytowały krótkie, aksamitne spodnie i pantofle ze sprzączkami założone na boscie stopy.

– Do tych spodni przysługują też skarpety... – oznajmiła Irena.

Semirol się skrzywił.

– Mam nadzieję, że nie ścisnęłaś się zbyt mocno gorsetem? Nałożyłaś go w ogóle?

Irena pogłaskała się po brzuchu. – Jak można...

Jej talia wyraźnie się poszerzyła. Ostatnimi czasy nie budziło to żadnych wątpliwości.

Semirol nie odpowiedział.

\* \* \*

Obiad jedli na dole, w karczmie. Flaków Irena nie ruszyła, za to do czysta ogryzła kurze udko. Semirol zamówił wino i sam wypił prawie cały dzban.

– Co, upijamy się, Janie?

– Musimy porozmawiać, Ireno.

W milczeniu wrócili do pokoju; Irena dostrzegła ciekawskie spojrzenia karczmarza i gości. Semirol zamknął zasuwę, otworzył okno, wpuszczając do pokoju gwar z ulicy, i usiadł na kozetce z dwoma wymyślnymi podłokietnikami.

– Miałaś rację, Ireno. Z tym tak zwanym modelem jest coś ewidentnie nie tak.

Położyła się na łóżku. Rozciągnęła obolałe plecy. Niezły początek...

– Schodziłem całe miasto... i moje pierwsze wrażenie jest... hm. Po pierwsze, wygląda na to, że nie ma tu stróżów prawa ani wymiaru sprawiedliwości.

Irena westchnęła z ulgą. Bijące prosto w twarz promienie latarek, oślepiające, zbijające z tropu... Tu policja, proszę podnieść ręce i nie stawiać oporu...

Więzienne udręki nie minęły bez śladu. Od samego początku nie opuszczało jej podświadome poczucie niebezpieczeństwa: wpadną tu z halabardami, oskarżą o jakieś absurdalne przewinienia i oddadzą w ręce kata.

– To wspaniale, Janie. Nie ma sądów, nie ma więc też niesprawiedliwych wyroków... Chyba że zamierzasz zrobić tu karierę jako adwokat.

Semirol rzucił jej dziwne spojrzenie. Odwrócił wzrok.

– Mam nadzieję – rzekła z niepokojem – że nie ma tu też niczego... w rodzaju inkwizycji? I nie zostaniemy oskarżeni o herezję, czary czy... coś w tym rodzaju?

– Dlaczego wszystkiego się boisz? – zapytał Semirol ze znużeniem w głosie.

– O nic nas nie oskarżą... Wydaje się, że panują tu dość liberalne obyczaje.

Ludzie nie są agresywni. Miastem rządzi hercog, tak zwany „Wysoki Dach”.

Wiele mówi się o jakichś Interpretatorach.

– Interpretatorach snów? Wizji? Czy to jacyś przepowiadacze przyszłości?

Religia? Sekta?

Semirol wzruszył ramionami.

– Interpretatorach Objawienia... Najwyraźniej jest to rzeczywiście jakaś religia. Tylko dlaczego przejawia się w tak dziwnej formie... Hm. Tylko ty możesz wiedzieć, po co Andrzej Kromar stworzył tego rodzaju... model.

– Nie mam pojęcia – przyznała otwarcie.

– Masz. Możesz się domyślić. Tylko się dobrze zastanów. Na przykład ta...

rzeczywistość, w której się spotkaliśmy. Czym różni się od twojej rodzimej...

od wyjściowej rzeczywistości?

Semirol robił częste pauzy, dobierając neutralne określenia. Irena przypomniała sobie, jak w podobnej sytuacji jąkał się Peter.

– Twój model charakteryzuje się obłąkanym prawodawstwem – odparła bez zastanowienia. – To od razu rzuca się w oczy i jest jasne jak słońce...

Chorobliwie rozrośnięty wymiar sprawiedliwości i aparat śledczy. Nadzwyczaj okrutne wyroki... I przy tym dzika przestępczość. Irracjonalna, maniackalna...

Semirol przyglądał się jej z niedowierzaniem. Jakby Irena wyciągnęła na jego oczach królika z gorsetu.

– A może się mylę? Może te wszystkie zabójczynie... Semirol zamrugął

oczami.

– A gdzie widziałaś te... nadzwyczaj okrutne wyroki, Ireno?

Zakrztusiła się.

– W przypadku tylu wyroków śmierci? Może uważasz także, że oddawanie skazańców w ręce wampira jest bardzo... humanitarne?

Semirol nie odpowiedział. Z ulicy dobiegał ogłuszający łoskot drewnianych kół.

– Widzisz, Ireno... Istnieją prace wybitnych kryminologów... Szkoda, że nie mamy do nich dostępu. Uzyskałabyś odpowiedzi... komentarze na temat irracjonalnych przestępstw, surowych wyroków, sposobów ich wykonania...

Przecież wyroki za wyjątkowo okrutne przestępstwa powinny być zróżnicowane. Aby każda kanalia, proszę mi wybaczyć, Ireno, aby przestępca skazany na karę śmierci miał mimo wszystko coś do

stracenia... i aby kara była rzeczywiście nieodwracalna.

Irena westchnęła.

– A żeby zbrodniarz się nie wymknął, można dla towarzystwa skazać też kilka niewinnych osób?

– Rozumiem twoją ironię... Lecz jest to już inny aspekt tego... zagadnienia.

Spuściła wzrok.

– Niezbyt mnie to już interesuje, Janie. Z jakiegoś powodu Andrzej Kromar wymodelował świat z wampirami w roli głównej. Jednak to tutaj...

Zamilkła ze zmieszaniem. Semirol patrzył w okno.

– Jeśli cię uraziłam...

– Nie, to nic. Proszę, kontynuuj.

Milczała przybita. Semirol westchnął.

– Zastanawia mnie jedno, Ireno... Jeśli moja... rzeczywistość istnieje, jak twierdzisz, niecały rok... To dlaczego doskonale pamiętam dzieciństwo, fakty sprzed blisko czterdziestu lat? Dlaczego wszyscy ludzie posiadają normalną przeszłość, a kraje historię?

– Wciąż mi nie wierzysz?

– Nie w tym rzecz. Chcę się po prostu dowiedzieć...

Irena zagryzła wargę, starannie ważąc słowa.

– Być może twoje wspomnienia narosły... jak świeży naskórek pokrywający ranę. Być może twoja wiedza na temat przeszłości jest jedynie olbrzymim, wielowarstwowym złudzeniem.

– Brzmi to jak kiepski wykład z pseudofilozofii.

– To nie moja wina. Przecież nie wykładałam filozofii. To jedynie domysły, przypuszczenia...

\* \* \*

Już drzemała, kiedy Semirol zaczął zbierać się do wyjścia.

– Dokąd idziesz, Janie? Już późno...

– Proszę się nie martwić. Zaraz wrócę.

Zamknęły się za nim drzwi, a Irena dopiero po kilku minutach zorientowała się, dokąd i po co wyszedł.



Oczywiście nie było już mowy o żadnym śnie.

Przez szpary w okiennicach prześwitywał księżyc w pełni. Jakiś nieszczęśnik będzie miał dzisiaj pecha.

Plotka o wampirze rozejdzie się w mgnieniu oka.

Jeśli oczywiście ofiara pozostanie przy życiu. Albo Semirolowi nie uda się ukryć trupa z charakterystyczną raną na szyi.

Chciałaby się obudzić. W domu, a nawet na farmie, gdzie za oknami widać sylwetki gór.

Leżała przykryta kocem do samego podbródka. Łóżko skrzypiało przy każdym ruchu. W pokoju unosił się zapach wosku.

Rankiem Semirol się nie pojawił.

Czekała do obiadu, po czym, przemagając lęk, zeszła na dół, by porozmawiać z pokojówką.

Nie, nie było żadnych nowych plotek. Żadnych mrożących krew w żyłach nowości... Może tylko... słyszała pani? W mieście pojawił się

„bezinteresowny”, a po nich wszystkiego się można spodziewać... Niech pani na siebie uważa... Bo przecież się jeszcze pani nie wyprowadza? Prawda?

Na szczęście Semirol zostawił większość pieniędzy. Irena mogła więc jeszcze przez jakiś czas opłacać pokój.

Służąca zniżyła głos.

– A pan wyjechał? Na dobre? Może czego pani potrzeba?

Irena z wysiłkiem pokręciła głową.

\* \* \*

Semirol nie pojawił się wieczorem ani następnego ranka. W końcu Irena zebrała się na odwagę i wyszła do miasta.

Wszędzie osiadał kurz. Z nadejściem wieczoru ochrypli już obwoływacze i obnośni sprzedawcy; matowo błyszczwały w słońcu kurki na dachach. Irena bała się zabłądzić – więc raz za razem zawracała w stronę gospody, noszącej dumną nazwę „Trzy kozy”.

Semirol potrafił nawiązać rozmowę z każdym. Irena nie miała nawet odwagi, by spytać o drogę. Na skrzyżowaniu, wprost na ulicy, znajdowało się małe targowisko; handlarki, obok których Irena przechodziła już piąty raz, przyglądały się jej z nieukrywaną ciekawością.

Irenę opanowało przygnębienie. Zamierzała już wrócić do gospody, położyć się i o niczym nie myśleć, gdy na plac wpadł jeździec na wysokim, zadbanym koniu.

Irena zdążyła dostrzec wysokie buty z ostrogami, ciemnoczerwony płaszcz i młodą, niezwykle skupioną twarz. Jakby jeździec wciąż mnożył w pamięci sześcicyfrowe liczby.

Przez chwilę koń tańczył w miejscu, po czym, zachęcony krótką komendą i spięciem ostróg, ruszył wprost na przekupki.

Kobiety w popłochu rzuciły się do ucieczki. Irenie od ich pisku aż zadźwięczało w uszach.

Podkute kopyta przeszły po glinianych naczyniach, zamieniając je w stertę skorup, po rozłożonych na ziemi warzywach i śniętych rybach. W kilka sekund jeździec obrócił targowisko w perzynę, zawrócił konia i pognął w jedną z bocznych uliczek, odprowadzany krzykami i gradem przekleństw.

Nie przestając złorzeczyć, kobiety już uprzętały stragany i liczyły straty. A Irena wciąż jeszcze stała oparta o jakiś płot i trzymała się za serce. Wśród wyszukanych przekleństw, które niczym kurz opadały na plac, jak refren powtarzało się słowo „bezinteresowny”. Łączone z najbardziej wulgarnymi epitetami zyskiwało nowy sens i samo stawało się przekleństwem: „Uuuch, ty bezinteresowny łajdaku!”

Irena wyprostowała się. Płot, o który była oparta, okazał się cały umazany węglem. Irena uwaliała sobie rękaw i skraj sukni, który tak przeszkadzał jej w chodzeniu. Trzeba będzie wyprać...

„Bezinteresowny łajdak” był tym samym bohaterem, który dwa dni wcześniej, ryzykując własne życie, uratował staruszkę. Na oczach Ireny. Na oczach tłumu.

\* \* \*

Całą noc miała koszmary; kilka razy śniło jej się, że wrócił Semirol. Rzuciła mu się na szyję, ciesząc się jak dziecko – i za każdym razem się budziła. Po czym znów zasypiała, znów cicho otwierały się drzwi i wchodził wampir.

Rankiem spakowała resztę pieniędzy do sakiewki i udała się do miasta; nie bez racji uznawszy, że musi coś zrobić. Początkowo próbowała zapamiętać drogę powrotną, szybko jednak tego zaniechała.

Apotem zobaczyła dziwnie znajomy budynek i przyspieszyła kroku. Czy to możliwe?!

Harpie przed wejściem... Instytut.

Młodzi ludzie w ciemnych mundurkach, przypominający mnichów... a raczej zaków. Irena zatrzymała się, nadeptując na skraj sukni.

Zaraz pojawi się Pacyfikatorka... chociaż nie. Mało prawdopodobne, by w podobnej instytucji wykładały kobiety; wśród studentów w każdym razie nie widać było żadnych dziewcząt... Natomiast spotkanie z profesorem orientalistyki było wysoce prawdopodobne.

Nabrała w płuca jak najwięcej powietrza i przesła między kamiennymi harpiami. Chciała choć przez chwilę wierzyć, że zaraz ogarnie ją mrok, a potem powitają posiwiały Peter Nikołań z filiżanką kawy w ręce.

– A pani dokąd?...

Studenci przyglądali jej się ze zdumieniem. Irena poprosiła o wybaczenie i oddaliła się.

„Dzień dobry, pani Chmiel... Pani Chmiel, czytaliśmy pani najnowsze opowiadanie... Pani Chmiel...”

Była wykładowczyni. Była pisanka. Była żona. A kim jest teraz?

Przekłęta falbanka u sukni naderwała się i Irena co chwilę się o nią potykała. I obłądnie chciało jej się napić kawy.

A jeśli Semirol znalazł wyjście? I teraz, po powrocie na farmę, rozprawia się z Nickiem?

Zwolniła, przepuszczając zdobioną herbami karetę.

Nie, to mało prawdopodobne. Semirolowi *zależy* na potomku, nigdy nie zostawiłby Ireny samej.

Z własnej woli na pewno by tego nie zrobił. Zatem albo został zabity, albo przyłapany na gorącym uczynku i schwytany jako wampir, krwiopijca.

Z trudem przeciskając się przez rzędy straganów, minęła duży bazar.

Przypomniał jej się wczorajszy incydent, skorupy pod kopytami i skupiona twarz młodego jeźdźca. Jasne nitki brwi, wygiętych jak znak tyldy na klawiaturze komputera. Usta proste i wąskie jak myślnik. Błada i płaska jak papier twarz.

Szlochająca córka, obejmująca staruszkę w barwnej chuście.

A jak skrupulatnie deptał te dzbany – jakby przybył na skrzyżowanie zza siedmiu gór tylko po to, by naszkodzić biednym przekupkom.

Najwyraźniej dotarła do centrum. Ulice zrobiły się szersze, zza stromych dachów wyłoniły się ostre iglice świątyni, ratusza albo pałacu.

Z pamięci wypłynęło stare wspomnienie. Zapalczane miasto i plac, na którym siedzi po turecku sam władca i modelator.

Plac był zalany słońcem. Irena zmrużyła oczy.

Tak, nieźle wyrósł ten modelik. Ratusz – czy też świątynia albo pałac –

sięgał iglicami nieba i gdyby modelator usiadł na tym placu, masa ludzi zginęłaby pod jego zadkiem,

a głowa niewątpliwie zaćmiłaby słońce.

Przed wspaniałą bramą świątyni – czy też ratusza albo pałacu – kłębił się tłum. Bogaci mieszczenie, nieco ubożsi mieszczenie, oberwani włóczędzy, zmęczeni podróżni, mężczyźni i kobiety z dziećmi – wszyscy tworzyli coś w rodzaju żywej kolejki. A właściwie kilku kolejek.

Od Semirola Irena wiedziała, że miejscowy władca nazywa się hercogiem.

Najwyraźniej wszyscy ci ludzie przybyli tu na audiencję.

Uniosła głowę, budowla jednocześnie zachwycała i przytłaczała. Gotyckie detale, dziwaczne witraże, wyszczerzone, kamienne pyski; nieźle...

A przecież modelator wcale nie musi siedzieć na placu, podpierając głową wysokie niebo. Mógł przecież osiedlić się w tym cudzie architektury, skazywać i ułaskawiać, wydawać rozkazy i przyjmować interesantów.

Potrząsnęła głową. Pierwszą myślą Semirola było szukanie Andrzeja w pałacu hercoga. A ona wówczas, o ile dobrze pamięta, sarkastycznie się uśmiechnęła. Nie, Kromar nie jest tak prymitywny; nie znajdzie się go na tronie ani u jego podnóża.

– Do Interpretatorów? Kto ostatni do Interpretatorów?

Jakiś wieśniak nieśmiało dreptał wzdłuż tłustej jak robak kolejki, wyrozumiale tłumaczono mu reguły, konieczność uprzedniego zapisania się, pisania podań i inne zasady...

Najwyraźniej na tym placu mieściła się główna dźwignia obskurantyzmu.

Irena zawsze unikała tłoku i kolejek. Tłum zawsze ją przerażał.

\* \* \*

Zabłądziła.

Miasto okazało się nie takie znów małe; ulica następowała za ulicą, skrzyżowanie za skrzyżowaniem – a ona wciąż nie mogła zdecydować się, by spytać o drogę.

W gospodzie „Trzy kozy” zostało jej „cywilne” ubranie. To, w którym troskliwy Semirol wiózł ją do szpitala. W „Trzech kozach” zostały zwinięte w rulon papiery – te, które w tym modelu odpowiadały jej pierwszym opowiadaniom. Nie potrafiła pozostawić ich w porzuconym domu – jednak przeczytanie ich było na razie ponad jej siły.

Najważniejsze zaś było to, że w „Trzech kozach” pozostała jej nadzieja na powrót Semirola. Ulotna, lecz jednak nadzieja.

– Potrzebuje pani pomocy?

Irena się odwróciła.

Wyglądał jak zamożny sklepikarz. Elegancki kaftan, czy jak to się tam u nich nazywa, czapka z maleńkimi połami, pasiaste skarpety wystające spod krótkich spodni. Irena się zmieszała. Tak obcesowe przyglądanie się obcej osobie było przejawem braku taktu.

Zresztą sklepikarz również lustrował ją wzrokiem. W jego oczach kryło się takie samo skupienie, z jakim jasnowłose jeździec tratował targ na skrzyżowaniu.

– Pani kogoś szuka?

Irena uśmiechnęła się z przymusem.

– Szukam gospody „Trzy kozy” ... Czy mógłby pan...

Sklepikarz zmarszczył brwi. Z zadumą kiwnął głową.

– Mógłbym... a jakże. Pani pewnie przyjezdna?

Irena zwalczyła zimną falę mdłości. Semirol miał rację – „Dlaczego wszystkiego się boi?”.

– Tak – odparła, starając się, by jej głos brzmiał możliwie beztrąsko. –

Mamy z mężem domek w górach... Przyjechaliśmy zwiedzić miasto... A mąż załatwia teraz jakieś sprawy... – nie mogła powstrzymać potoku słów, które wylewały się z niej, jakby były namydlone. – Więc wyszłam na spacer... I zabłądziłam, nie mogę znaleźć gospody... Gdyby mógł pan wskazać mi drogę.

Byłabym wdzięczna...

– Zaprowadziłbym panią – rzekł wciąż pogrążony w zadumie sklepikarz. –

Widzę jednak, że jest pani zmęczona, głodna i strapiona... A mężulek zostawił panią, czy zapił?

Ostępiała Irena pokręciła głową.

– Niech się pani nie wypiera, mężatka, która po mieście spaceruje, inaczej się prezentuje... Nędzarkę też poznać, nawet kiedy ubrana jak szlachcianka... I suknia potargana...

Irena cofnęła się o krok.

– Niechże się pani nie obraża, wiele w życiu widziałem. A nie jest pani czasem... – spojrzał pytająco na brzuch Ireny.

Poczuła, jak czerwienieją jej policzki i uszy. Cofnęła się o kolejny krok, zamierzając odejść.

– Jestem, droga pani, dłużnikiem Objawienia – rzekł sklepikarz z powagą.

– Więc niech tak będzie; przygarnę panią... Prawie za darmo, odpracuje pani... Tak uczy Objawienie – zrozpaczonych pocieszyć, bezdomnych przygarnąć, ciężarne ochraniać... A bękarca do dobrego przytułku oddamy.

No, chodźmy! – I chwycił Irenę za nadgarstek.

Być może jego ręce wcale nie były lepkie. Może tylko tak się Irenie zdawało.

– Proszę mnie puścić! – Spróbowała się wyrwać.

– No, no, kochanieńka... Przecież prawdę mówię. Widać, że prawdę...

Objawienie uczy, że jeśli ktoś swego dobra nie pojmuje, trzeba mu delikatnie przetłumaczyć albo w tajemnicy dobro czynić. W tajemnicy nie wyjdzie.

Chodź, głupia, chociaż cię nakarmię, bo widzę, że policzki zupełnie zapadnięte. Brzuchate wszak za dwóch zjeść muszą...

Szarpnęła się, niemal zdzierając sobie skórę z nadgarstka. Ręka sklepikarza zacisnęła się mocnej, sprawiając jej prawdziwy ból.

– Nie wierzgaj, do kogo mówię? Jeszcze mi podziękujesz... Bo cię Objawienie pokarze... Za niewdzięczność.

Irena osłabła z bólu. Chciała krzyknąć „Andrzej”, jednak nie mogła wydobyć z siebie głosu. Już zaczęła bezwolnie iść za sklepikarzem. A co w tym takiego strasznego? Ani to strażnik, ani kat czy więzienie. Może warto się zastanowić...

– Puść ją.

Słowa zostały wypowiedziane cicho, beznamiętnie, wręcz bezbarwnie, jednak sklepikarz natychmiast puścił rękę Ireny.

Zaczęła szlochać.

Opodal deptały kurz kosmate, końskie kopyta.

Uniosła głowę.

Młody arystokrata stał, trzymając konia za uzdę. Jego twarz nie była już skupiona – malowały się w niej złość, chłód i nienawiść. Sklepikarz cofnął się pod tym ciężkim spojrzeniem.

– Dlaczego tę kobietę niepokoisz?

– Jej dobra chciałem – odparł sklepikarz z nieprzyjaźnią. – Dobra...

Zresztą, do diabła z nią i jej bękartem!

I splunął wymownie. Odwrócił się gwałtownie i odszedł.

– Model – wymamrotała Irena, powstrzymując łzy.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

– Co takiego?

Irena spojrzała mu w oczy.

Jasne nitki brwi, wygiętych jak znak tyldy na klawiaturze komputera. Usta proste i wąskie jak myślnik.

– Dlaczego tam, na skrzyżowaniu... dlaczego stratował pan targowisko?

Dlaczego?

Młodzieniec skrzywił się z niechęcią.

Wokół nich wrzało stworzone przez Andrzeja miasto. Stukało kołami i butami, złorzeczyło i śpiewało, dźwięczało młotkami, kłębiło się, handlowało...

– Jestem *bezinteresowny*, szanowna pani. Złożyłem obietnicę... Proszę mnie źle nie osądzać.

## Rozdział 10

Miał na imię Rektonoor, co w przekładzie z jakiegoś zapomnianego języka znaczyło „Niespodziewane Szczęście”. Niespodziewane, gdyż został poczęty, kiedy jego rodzice mieli po czternaście lat. Niemniej byli już prawowitym małżeństwem i starszy syn był przez jakiś czas ich chlubą i obiektem dumy.

Rek stał w oknie gospody i wieczorne światło, przenikające przez kolorowe szyby, dziwacznie zabarwiało jego bladą twarz. Irena siadła na kozetce, tej samej, która tak podobała się zaginionemu bez wieści Semirolowi. Siedziała i słuchała.

A kiedy skończył czternaście lat, oświadczył rodzicom o swym zamiarze sprzeciwienia się Objawieniu. Za co najpierw lali go batem, potem wyklęli, przebaczyli, a w końcu znowu wyklęli, wydziedziczyli i wygnali z domu. Ponoć po kilku latach ojciec zmienił zdanie i wysłał nawet gońców, by odszukali cierpiącego syna – nic jednak z tego nie wyszło.

Sobór Bezinteresownych poddał Rękainicjacji i nadał mu imię Os, co w tymże zapomnianym języku oznaczało „Dzika Róża”. I od tamtej pory, bez względu na przeciwności losu, stara się dotrzymać przysięgi Równowagi. Czyli czynić dobro dla samego dobra, a nie dla materialnych korzyści. Rezygnować z miłosierdzia Objawienia, budząc jego gniew i wymierzając karę...

Irena słuchała i czuła, jak zaczyna puchnąć jej głowa.

Ależ złorzeczyły te przekupki na skrzyżowaniu... „Bezinteresowny.

Bezinteresowne ścierwo...”

– A nie jest ich panu żal, Rek? Tych kobieciny z rynku?

Zacisnął wargi tak, że niemal w ogóle zniknęły z twarzy. Wyraźnie zaznaczyły się zmarszczki w kącikach ust, Irena zdała sobie nagle sprawę, że wcale nie jest on taki młody. Ma po prostu takie rysy twarzy, chłopięce, łagodne – podobni mężczyźni do pięćdziesiątki wyglądają na młodzików, a potem nagle zmieniają się w starców.

A Rek jest chyba jej rówieśnikiem. Przedziwne...

– Objawienia nie da się oszukać, łaskawa pani Ireno. Zło powinno pozostawać złem. Aby kara za nie była prawdziwa i mogła przewyciężyć...

nagrodę za dobro.

Rozpędzona beczka... Zmiażdżyłaby staruszkę na miazgę i wino zmieszałoby się z krwią.

Irena bezmyślnie pogłaskała się po brzuchu.

– Bardzo dobrze – rzekła odruchowo.

Słońce po raz ostatni odbiło się w oknach naprzeciwko i zaszło za dachy oraz stojące na nich kurki. W półmroku blada twarz Reka Dzikiej Róży wyglądała jak posypana mąką.

– Czy wyglądam na osobę obłąkaną, Rek?

Milczał przez chwilę.

– Nie, łaskawa pani Ireno. Wygląda pani na kogoś, kto... Zająknął się.

– Potrzebuje pomocy? – zakończyła za niego z ironią w głosie.

Przypomniała sobie niedawny incydent ze sklepikarzem.

– Handlarze – wymamrotał jej rozmówca z dziwną intonacją. Najwyraźniej oznaczała ona skrajną pogardę.

Irena westchnęła. Nie sądziła nawet, że utrata wampira okaże się tak uciążliwa, tak niepowetowana. Dopóki Semirol był przy niej, pozostawała jej choć odrobina... normalności. Dowód, że to wszystko nie jest snem, a ona nie leży nafaszerowana narkotykami na jakimś stole operacyjnym.

Wampir jako pomost łączący ją z normalnym życiem. Dziwne są koleje losu.



Rek przyglądał się jej badawczo. Nie jestem nachalny – mówiło jego spojrzenie – nie narzucam się z pytaniami... Ale czy naprawdę pani sądzi, że wygląda na osobę, za którą się podaje?!

– A gdybym pochodziła z innego kraju... z jakichś zamorskich krain?

Zasepił się.

– Powiedziałaś coś nie tak?

– Niestety tak, łaskawa pani Ireno. Obce kraje nie istnieją. To tylko bajki.

Potrzebowała dłuższej chwili, by odzyskać dar mowy, a bezinteresowny rycerz cierpliwie milczał. – A więc...

– Wygadują różne rzeczy o obcych krajach. A ja przewędrowałem całą ziemię, od końca do końca. Na zachodzie i północy wznoszą się góry, których nie przebył żaden człowiek. Na wschodzie jest pustynia, za którą nie ma niczego. A na południu rozpościera się morze... Marynarze, kiedy się upiją, często przechwalają się, że dotarli do drugiego brzegu. Ale wystarczy odrobina spostrzegawczości, by wiedzieć, że wszyscy oni kłamią. I nikt nigdy nie widział

żywego cudzoziemca. Ani nawet martwego. Wszystko to wymyślane z nudy legendy albo przechwałki.

Irena milczała.

Ciekawe, czy Rek jest wystarczająco cierpliwy, by poczekać, aż Irena przetrawi tę szokującą informację?

A może on kłamie?! Nie. To raczej mało prawdopodobne...

Zamknięty świat. No tak. Tam, w modelu triumfalnej praworządności, modelu adwokatów wampirów, trudno było określić granicę istniejącego świata... Antena satelitarna na dachu... Ale czy istniał sam sputnik?!

Istnieje taka zabawka dla dorosłych – diorama. I nie zawsze można łatwo określić, w którym miejscu kończy się prawdziwy piasek i prawdziwe kamienie, a gdzie zaczyna pustynia namalowana na wielkim płótnie.

Miasto istnieje. Lecz już góry na horyzoncie są złudzeniem. Każdy kolejny model jest mniejszy – czyżby modelatorowi zaczynało brakować budulca?!

A może...

Świat jest taki, jakim postrzegają go ludzie. Dla jakiegoś chłopca, który cały dzień haruje w pocie czoła, a w święta jeździ na jarmark, wystarczyłoby zmodelować jego dom i pole, skrawek lasu oraz sąsiednią wieś z jarmarkiem i wyboistą drogą w obie strony... A także sąsiadów, którzy słyszeli, że ponoć jest gdzieś jakieś miasto, ale sami nie mieli okazji go oglądać.

Irena odetchnęła głęboko. Jej rozmówca cierpliwie czekał.

– Niech mi pan pomoże, bezinteresowny Reku. Kogóż innego miałabym prosić o pomoc?!

Zapadła cisza.

– Nie pytam, kim pani jest – wymamrotał rycerz. Krótko i z wyrzutem w głosie.

\* \* \*

Andrzej Kromar lubił piłkę nożną, choć tylko raz jego pasja przybrała formę chorobliwej obsesji. Odbływały się właśnie otwarte mistrzostwa czegoś tam; Andrzej przez dwa tygodnie nie opuszczał trybun, przeziębził się i zachrypł. A jako że między małżonkami panowały wówczas bardzo chłodne stosunki, Irena ironicznie to przemilczała.

Mistrzostwa dobiegły końca. Teraz Andrzej co wieczór wkładał futbolówki i szedł na sąsiednie podwórko, gdzie czekała na niego gromada dzieciaków z całej okolicy.

„Strategia”, „taktyka”, „model zwycięskiego meczu”, „reżyseria gry”...

Do „drużyny piłkarskiej” przyłączały się zarówno maminsynki, jak i doświadczeni, małoletni bandyci. Wujek Andrzej potrafił wciągnąć w to i jednych, i drugich. Pewnego razu na ulicy podeszła do Ireny obca kobieta; jak się okazało matka jednego z „piłkarzy”.

– Przepraszam panią... Czy nie mogłaby pani nakłonić męża, żeby miał

trochę mniejszy wpływ na dzieci? Przecież on je wciąga, jak do jakiejś... hm, sekty. Syn się do niego modli. Nawet mąż czuje coś w rodzaju zazdrości...

Irena zrobiła wielkie oczy.

„Zawodnicy” rzeczywiście nie tyle biegali za piłką, ile słuchali z otwartymi buziami rozważań „trenera”. To, o czym im opowiadał, pozostało dla Ireny tajemnicą. Po kilku tygodniach drużyna wujka Andrzeja zaprosiła na mecz towarzyski dziecięcą drużynę ze szkoły sportowej – i przegrała z kretesem, szesnaście do dwóch.

– Nie może być mowy o żadnym modelu, jeśli te brzdące trzy razy szybciej biegają! – wściekał się Andrzej.

„Treningi” natychmiast poszły w zapomnienie. Okoliczni chłopcy przez kilka dni byli w stanie głębokiej depresji.

Irena wiedziała, że wkrótce po tej klęsce na boisku dyrekcja szkoły sportowej zaproponowała Andrzejowi posadę starszego trenera. Mało tego –

raz nawet do niej zadzwonili z prośbą, by wpłynęła na męża. „Genialny strateg. Cóż za taktyka. Przyszłość dziecięcego sportu, młodzieżowego, a potem... Pan Kromar już teraz mógłby otrzymywać

bardzo przyzwoite wynagrodzenie, a w przyszłości..."

Ze znużeniem wzdychała do słuchawki.

Andrzej już dawno stracił zainteresowanie słabowitymi „zawodnikami” i piłką nożną w ogóle. Całymi dniami przesiadywał za komputerem, z natchnieniem manipulując zmiennymi symbolami, kompletnie martwymi i niezrozumiałymi dla Ireny.

\* \* \*

– Nikt nie widział, łaskawa pani. W każdym razie nikogo nie widzieli ludzie, których pytałem. Ani krępego, czarnowłosego mężczyzny o imieniu Jan, ani szczupłego szatyna o imieniu Andrzej.

Najwyraźniej informatorzy bezinteresownego rycerza zasługiwali na zaufanie.

Najwyraźniej odnalezienie kogoś w mieście i jego okolicach było dość trudne... albo, przeciwnie, łatwe?

Rek zaciął się, jakby nie mógł się zdecydować na powiedzenie czegoś.

– Proszę mówić, Rek.

– Łaskawa pani powinna zmienić gospodę. Zwróciła pani na siebie uwagę.

Rek zamilkł, nie wiedząc, że jego słowa zostały odłożone na półkę; Irena potrzebowała czasu, by je przetrwać.

– Kto zwrócił na mnie uwagę?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Najwyraźniej było to oczywiste samo przez się i Irena się wygłupiała.

Pod oknem hałaśliwie przekrzykiwały się przekupki. Gdzieś stukał topór, szumiały płynące rynsztokami mocz i pomyje.

– Łaskawa pani...

– Przepraszam, Rek, ale czy mógłby pan nazywać mnie po prostu Ireną, bez tej „łaskawej pani”?

Zasepił się.

– Łaskawa... hm. Pani Ireno... Proszę przysiąc, że nie jest pani autorką Chmiel?

No tak.

Poczuła, że musi usiąść. Po plecach przebiegł jej chłodny, nerwowy dreszcz; a więc znowu się zaczyna... Semirol nie miał racji, kiedy się z niej śmiał: „Dlaczego się wszystkiego boisz?”

Modele jej nie lubią. Modele ją wykańczają, prześladują; z jakiegoś powodu skromna kobieta

przyciąga wszelakie kłopoty, pogonie, nieszczęścia...

Z trudem wzięła się w garść. Nie może się denerwować – to zaszkodzi dziecku.

– Skąd to panu przyszło do głowy, Rek? Dlaczego akurat autorka Chmiel?

Rycerz przyglądał jej się badawczo. Nie zmylił go jej niedbały ton. Wciąż czekał na odpowiedź.

– Dobrze, zmienię gospodę – rzekła pospiesznie. – Tylko...

Zmiana lokum tu nie pomoże. Musi uciec z miasta i wrócić do domu... To znaczy do rudery, którą można uważać za jej dom. Znaleźć w okolicy jakąś akuszerkę, urodzić, jak przepowiadał Semirol, na sianie, i niech się dzieje, co chce.

Będzie, co ma być. A jeśli dziecko nie przeżyje?! A jeśli umrze ona i dziecko pozostanie na tym świecie samo, jako sierota, podrzutek?!

– Jestem autorką Chmiel – rzekła ochryple. – Ale... co takiego napisałam, by mnie prześladować?!

Rek milczał.

Przez chwilę Irena przyglądała się jego pobladłej twarzy. Potem pochyliła się i namacała pod łóżkiem podróżną sakwę. Sięgnęła do niej, szukając wśród swej zwykłej odzieży – kurtki, spodni i butów – twardych, zwiniętych w rulon kartek.

Zabrała opowiadania z domu. Nie mogła ich zostawić.

Nie potrafiła ich też jednak przeczytać. Może było to śmieszne, ale bała się rozczarowania.

„Historia o tym, jak gołębica przyniosła martwemu młodzieńcowi purpurową różę”, „Historia o rycerzu, który czynił zło, by być bezinteresownym”, „Historia o skąpcu, który rozdawał, aby...”

Czy można tak zatytułować coś dobrego?!

Coraz bardziej nerwowo grzebała w sakwie. Rulonu nie było.

Kroki na schodach – a może jej się tylko zdawało?

Rezygnując z konspiracji, wyciągnęła sakwę spod łóżka. Nawet jeśli Rek zobaczy jej kurtkę i spodnie, może nie domyślić się, że to żeńska odzież, i nie nabrać żadnych podejrzeń.

Papierów nie było. Choć Irena doskonale pamiętała, że...

Stukanie do drzwi. Drgnęła mimowolnie.

– Proszę otworzyć... łaskawa pani.

– Kto tam? – zapytała odruchowo.

– Otwierać w imieniu hercoga!

Rek podszedł do drzwi. Jego twarz była równie skupiona jak wówczas, na placu, przed pogromem bazaru. Nie to jednak najbardziej poruszyło Irenę.

Znacznie bardziej wstrząsnął nią fakt, że ubrana w skórzaną rękawicę dłoń rycerza spoczęła na rękojeści miecza.

Uderzenia do drzwi zmieniły się w nieprzerwany łomot. Goście już nie pukali, zaczęli wyważać drzwi.

A co twierdził Semirol? Że w tym mieście nie ma strażników ani inkwizycji?!

Rzuciła się do okna. Drugie piętro. Jej dłonie odruchowo legły na lekko zaokrąglonym brzuchu. Nie, skakanie jest wykluczone.

– Rek... na Boga... niech mi pan wyjaśni, co się tu dzieje?!

Przysłuchali się sobie przez kilka długich sekund. Jasne brwi rycerza wyginały się jak dwie tyldy, a mocno zaciśnięte usta przypominały myślnik.

– Rek – wyszeptała. – Niech mnie pan obroni...

Drzwi wyleciały z zawiasów. Do pokoju wpadło dwóch mężczyzn – Irena zdążyła dostrzec jedynie pióra na czapkach i ogromne ostrogi na butach, gdy Rek ruszył do przodu i zdzielił najbliższego gościa płazem miecza w głowę.

Ten runął jak długi, nie zdążywszy się nawet przywitać.

Drugi odwrócił się, parując cios; miecze spotkały się, wydając dźwięk, jakby ktoś uderzył w kolejową szynę. Rycerz odskoczył i nadepnął na brzeg zasłony; zatrzeszczała pękająca tkanina, wywróciła się umywalka, zalewając dywan wodą i zasypując podłogę porcelanowymi odłamkami. Rozerwany gobelin zawisł na jednym gwoździu. Na korytarzu zaczęła piszczeć służąca; zaszła masa drobnych wydarzeń, których Irena nie była w stanie zarejestrować, gdyż działały się szybciej, niż przyswajały to jej zmysły.

Intruz stał teraz przyciśnięty plecami do ściany, ciężko dyszał i popielił

rycerza wzrokiem.

– Jestem... na służbie... Objawienie... nie wybaczy.

– Jestem bezinteresowny – wycedził Rek przez zęby. – Jest mi wszystko jedno.

Wyciągnął odzianą w rękawicę dłoń i podchwycił osłabłą Irenę pod ramię.

– Chodźmy... Szybciej.

Udało im się bez przeszkód wyjechać z miasta, jednak tuż za bramą koń rycerza na prostej drodze trafił kopytem w dołek i Irena dowiedziała się, co robi się, jeśli „koń okulał”. Dalej wędrowali pieszo, z dala od drogi, w chmurze nienasyconych komarów; milczała zarówno Irena, jak i rycerz.

Czy obrona kobiety, która wpadła w tarapaty, jest obowiązkiem rycerza?

Jedynie tradycją, czy może jednak dobrowolną inicjatywą bezinteresownego Reka Dzikiej Róży?

– Dokąd idziemy, Rek?

W końcu rozluźnił zaciśnięte wargi.

– Do pewnej kryjówki...

Do „kryjówki” dotarli dopiero o zmroku; łuna pożaru była widoczna z daleka, jednak kiedy Irena i Rek, potykając się, dobiegli na miejsce, z budowli na skraju lasu pozostały już tylko zgliszcza.

Leniwie spadały przepalone belki. Spadały ze smutkiem i rezygnacją, jak jesienne liście. Wydawało się, że wylizane językami ognia deski nie są szare, lecz wręcz srebrne. Otwarta piwnica ziała czarną dziurą – najwyraźniej nieznani złodzieje znaleźli tę kryjówkę, ograbili z zapasów żywności i aby zatrzeć ślady, wypuścili czerwonego kura.

– To za tamten cios – rzekł Rek głucho. – Uderzyłem Sługę Wysokiego Dachy... W dodatku płazem miecza po głowie... Tak przypuszczałem.

I niespodziewanie się uśmiechnął.

– Za to teraz nie będę musiał... tratować dzbanów. I tak zawiniłem wobec Objawienia. I bardzo dobrze.

„Miałaś rację, Ireno... z tym tak zwanym modelem coś jest nie w porządku”.

Gdzie jest teraz Semirol?! W jaką wpadł pułapkę? A jeśli zechce odszukać Irenę, gdzie i jak ją znajdzie?!

– Naprawdę pani nie wiedziała? Już miesiąc temu ogłoszono nakaz...

Irena milczała. Trawa, drzewa, a nawet strumień przesiąkły zapachem dymu. Zgliszcza „kryjówki” stygły leniwie.

– A ja nie spytałem nawet, kim pani jest – rzekł strapiony rycerz.

– A gdyby pan wiedział? Nie pomógłby pan? – Irena uśmiechnęła się z przymusem.

Z powagą pokręcił głową.

Nad ich głowami lśniły gwiazdy. Przynajmniej w ich przypadku Irena była pewna, że to dekoracja. Białe lampeczki przytwierdzone do aksamitnego tła.

Wszak Andrzej Kromar nie brałby się na poważnie za modelowanie tych wszystkich milionów lat świetlnych, mgławic rozgrzanego gazu i całej reszty kosmicznej maszynerii?!

– Jaki nakaz, Reku?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Jaki nakaz? – powtórzyła z naciskiem.

Zamknął oczy.

„Irena Chmiel; bajarka i autorka... oskarżona o rozpowszechnianie szkodliwych przypowieści... ma zostać ujęta i przesłuchana pod Wysokim Dachem w celu ustalenia stopnia jej winy... Z podpisem hercoga i akceptacją najwyższego Interpretatora – pieczęć...”

Cicho i subtelnie ćwierkały cykady.

Co takiego było na tych kartkach?!

Trzeba było je przeczytać. Odrzucić strach, wstyd i kompleksy... Jeśli sama napisała te opowiadania, to dlaczego ich, u diabła, od razu nie przeczytała?!

– Zostały wykradzione z pokoju w gospodzie – poskarżyła się w mrok.

Rycerz chrząknął.

– Niech mi pan wyjaśni, Rek... co jest w nich takiego karygodnego? Jakie znowu szkodliwe przypowieści?

– Najwyższy Interpretator wie lepiej... – A więc to Najwyższy Interpretator chce mnie przesłuchać... aby ustalić stopień mojej winy?

– Jestem tylko rycerzem, Ireno. – Rek ze znużeniem opuścił powieki.

– Pan to wie – rzekła z uporem. – Wszak pan... czytał... te przypowieści. To znaczy opowiadania?

Otworzył oczy. Usiadł prosto.

– Jak się pani... domyśliła?

Jego twarz znów była po sztubacku skupiona. Wygięte, jasne brwi, płaskie i białe jak papier policzki...

Odwróciła się. I rzekła, bojąc się popełnić błąd; bojąc, że się zdziwi albo ją wyśmieje.

– Gdyby pan ich nie czytał... nie zadzierałby pan dla mnie... ze sługami Wysokiego Dachy. Choćby był pan po trzykroć rycerzem.

Nie pomyliła się. Rek milczał.

– A tak, przy okazji – jej głos nagle ochrypl. – Czy to się... panu podobało?

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko ćwierkanie cykad.

– Zostałem tym, kim jestem... gdyż przeczytałem „Historię o rycerzu”.

Irena się zasępiła. Znowu jakiś bałagan z upływem czasu. Ile Rek może mieć lat i jak dawno napisała... Poczowała pustkę w głowie.

– Zapewne zbyt się pan... rozgorączkował, Rek. Widzi pan... wpływ książek na ludzi jest silnie przesadzony. Tak nie bywa, Rek...

Rzucił jej szybkie, pełne wyrzutu spojrzenie. Z nieba spadała gwiazda.

Irena odruchowo uniosła wzrok; no proszę, jaka wierna imitacja.

– Dobrze – westchnęła. – Dlaczego więc nakaz wydano dopiero przed miesiącem?!

Rek również wydał krótkie westchnienie.

– Nakaz został wydany... przecież sama pani wie. Głównie z powodu „Tego, który okazał skruchę”.

Głos rycerza dziwnie się zmienił, jakby wymawiał zakazane słowa.

– Pojawiły się kopie... a miesiąc temu wycofano je z wszystkich bibliotek.

Właśnie wtedy pojawił się nakaz.

„Może mi pan podpowie, drogi Reku, co takiego tam napisałam?”

– I co mam teraz robić? – zająknęła się. – Wie pan przecież, że za jakiś czas będę musiała...

Zerknął na jej brzuch. W tej sukni z gorsetem trudno było cokolwiek ukryć.

– Pomogę pani... Trzeba będzie znaleźć nową kryjówkę. Jakaś rodzinę w wiosce, która by panią przygarnęła... Być może – zawahał się, jednak zdecydowanie zmarszczył brwi. – Być może przydałby się pani mąż. Zamężnej kobiecie jest łatwiej... ukrywać się i w ogóle...

Wybaczyła mu ten rycerski nietakt.

– Nie mogę się ukrywać, Rek. Muszę odnaleźć Andrzeja Kromara.

Rek zasępił się jeszcze bardziej, sądząc najwyraźniej, że Andrzej jest ojcem dziecka.



– ...i odnaleźć Jana Semirola – zakończyła, ostatecznie zbijając rycerza z tropu. – Muszę wrócić do miasta.

– Od razu zostanie pani pojmana – rzekł zrezygnowanym tonem.

\* \* \*

Minęli most zwodzony. Irenie przez moment zdawało się, że czas zatoczył pętlę; że to Semirol prowadzi konia za uzdę i po raz pierwszy wchodzi do miasta.

Rek, który zamienił swój rycerski płaszcz na chłopski kaftan, szedł

miarowym i równym krokiem, jak przystało na wędrowca, który w końcu dotarł do celu. Niewygodnie usadowiona w siodle Irena szczelniej otuliła się chustą i starała się nie rozglądać. Co było błędem, bo przecież przyjezdni, po minięciu bramy, zaczynają właśnie od wybałuszania na wszystko oczu.

Rek szedł, powierzając ich losy wiszącemu nad tym światem Objawieniu.

Jeśli zostaną rozpoznani... cóż, cała ta awantura zakończy się, zanim się w ogóle zaczęła. Rek był dumny i skory do poświęceń, a Irena wciąż nie mogła się zdecydować na oznajmienie mu, że jest jedynie lalką w rękach Stwórcy, fragmentem modelu, stworzonym tylko po to, by potwierdzać bądź przeczyć teoretycznym założeniom pana Kromara.

Rycerz i kobieta potrzebująca jego pomocy przegadali prawie dobę. Rek zasępnął się, dziwił, zapadał w długie milczenie, a w końcu nawet nie wytrzymał: może pani z nieba spadła?! Tak, radośnie potwierdziła Irena.

Niech pan sobie wyobrazi, że rzeczywiście spadłam z nieba, że przez sto lat spałam zaczarowanym snem, tylko niech mi pan, na Stwórcę, opowie o Interpretatorach. Muszę wiedzieć o nich jak najwięcej. Mam to opowiedzieć pani, drgnął Rek, autorce „Tego, który okazał skrucę”?! To dziwne, przecież mógłbym pani nie uwierzyć; może wcale nie jest pani Ireną Chmiel, lecz dziwną kobietą marzącą o sławie; ale przecież czuję, widzę, że to właśnie pani! A może próbuje mnie pani sprawdzić? Przekonać się, czy nieprzypadkowo przystałem do Bezinteresownych? Na pewno nieprzypadkowo, uspokoiła go zmęczona już Irena, nawet przez chwilę nie wątpiłam... Rek, muszę zdobyć kopię „Tego, który okazał skrucę”.

Ukradziono mi moje opowiadania – lecz może są ludzie, którzy zachowali jakieś kopie?

I oto wjechali do miasta, w którym na Irenę czekały prześladowania, a na Reka... Cóż, Objawienie samo zadba, by ten, który komuś zawinił, został

ukarany; już to zresztą zrobiło... Jednak Rek zawinił nie tylko przed ludźmi, lecz także przed Wysokim Dachem, i zapewne czeka go dodatkowa kara.

Przejechali obok instytutu (będącego teraz chyba uniwersytetem). Irena sądziła, że Rek się zatrzyma,

lecz on tylko mocniej zacisnął usta i szedł dalej.

Irena z żalem zerknęła na harpie – kamienne potworki były dokładnie takie same jak w zewnętrznym, prawdziwym świecie; jeśli coś weszło w skład tego modelu niezmienione, to właśnie harpie.

Przydałoby się zajrzeć do „Trzech kóz”... Było to oczywiście niemożliwe, a szkoda, bo mogłaby zostawić informację dla Semirola. Gdyż wampir nie może po prostu przepaść bez wieści, nie wrócić po swoje nienarodzone dziecko.

Choć czy to nie przed nim uciekała, wpadając do „Świątecznych niespodzianek” i do tego idiotycznego świata, będącego poligonem doświadczalnym szalonego Stwórcy?!

Rek zatrzymał się w dzielnicy rzemieślniczej. Wszedł gdzieś tylnym wejściem, a Irena została na zewnątrz, słuchając stukania młotków i wdychając zapach garbowanych skór. Czekwała bardzo długo i zaczęła już się obawiać, że to koniec, że znów jest sama, a jej nowy kompan po prostu zostawił ją bez wyrzutów...

Jakby chcąc ją zawstydzić, Rek wyszedł z podwórka, jak zwykle skupiony i posępny. Pokręcił głową.

– Niestety, spalili je. Boją się...

Irena o nic więcej nie pytała.

\* \* \*

Nocowali w karczmie – ciasnej i brudnej. Irena nie przywykła do spania na rojącej się od robactwa słomie. Niemal zapadła już w drzemkę, gdy nagle podskoczyła na łożku. Nie spowodowało tego jednak ugryzienie pchły. Wydało jej się po prostu, że słyszy głos Semirola. Przez dłuższą chwilę przysłuchiwała się, wsparta na łokciu; lecz ciszę noclegowni zakłócało jedynie smaczne chrapanie znużonych furmanów, poganiaczy, przyjezdnych chłopów i innych wędrowców.

Potem miała wrażenie, że ten, który w niej mieszka, poruszył się.

Było to złudzenie – wiedziała, że jeszcze nieprędko poczuje jego ruchy. A może dziecko Semirola w taki sposób zareagowało na intensywną myśl o swym ojcu?

Położyła się z powrotem, próbując znaleźć wygodną pozycję, chociaż wiedziała, że nie uda jej się zasnąć do samego rana.

Noc to najbardziej niespieszna i sprzyjająca Irenie pora. To czas, kiedy przychodzą jej do głowy różne pomysły.

Być może nigdy już nie zobaczy Semirola. Długo nie chciała tego zaakceptować – nadeszła jednak chwila, kiedy uciekanie przed tą oczywistością nie miało już sensu.

Wrócił do swojego modelu. Albo został zamordowany w tajemniczych okolicznościach na ulicach nocnego miasta, a jego ciało wrzucono do opuszczonej studni. Albo... materia prawdopodobieństwa

pęła, nie wytrzymując obecności wampira. Nie powinien się tu znajdować. To wbrew prawdopodobieństwu. Kanał, ciemny korytarz, przez który oboje tutaj weszli, był przeznaczony tylko dla Ireny. W przeciwnym razie dlaczego Peter...

Myśl się urwała. Irena westchnęła.

A więc Semirol nie wróci. I dziecko, istota, dla której ryzykowała wolność i życie, nie będzie miało ojca. Wygląda na to, że osiągnęła swój cel...

Odruchowo chciała naciągnąć koc do samego podbródka, lecz rogoża, która go zastępowała, wzbudziła w niej nieodparte obrzydzenie.

Osiągnęła swój cel. Nowo narodzone wampirzátko...

Zza okna dobiegł szelest skradających się kroków i przyciszone głosy. Irena się spięła.

– Kto tam się włóczy po nocy? – warknął zaspany bas. – Jazda mi stąd!

Głosy ucichły. Irena wsłuchiwała się jeszcze przez chwilę i rozluźniła się.

Nowo narodzone wampirzátko zostanie z Ireną. Zaczną mu się wyrzynać ząbki, a ona będzie mu smarować dziąsła jakimiś znachorskimi ziołami o działaniu przeciwbólowym.. A potem ząbki w końcu wyrosną i maluch ugryzie ją w pierś, by wraz z mlekiem nasycić się też hemoglobina.

Dobrze byłoby się już nad tym nie zastanawiać, lecz jej ospałe myśli nijak nie mogły przyhamować, sunąc niczym ciężki czołg... To dziecko miało należeć do Semirola. A teraz Semirola już nie ma. Choć zapewne nawet w tym dzikim i dziwacznym świecie funkcjonowały baby dokonujące aborcji. Albo zioła poronne...

Zwinęła się w kłębek. Mocno przycisnęła ręce do brzucha i odetchnęła głęboko, zwalczając przyływ mdłości.

Oddam ci to dziecko, Janie. Zrobię to bez szemrania, tylko wróc...

Cisza i chrapanie. Harce myszy, zapach potu i dalekie poszczekiwanie ospałego psa.

\* \* \*

Objawienie co chwilę popełniało omyłki. Przynajmniej tak się wydawało na pierwszy rzut oka.

Kolejka przed pałacem Interpretatorów nie topniała. Wielu z tych ludzi zostało ukaranych przez Objawienie absolutnie nieoczekiwanie i niesłusznie; kolejka w jednej trzeciej składała się z takich właśnie osób. Wszystkie one były chore bądź przybite rozpaczą i przybyły do Interpretatora z jednym jedynym pytaniem: za co?! No, za co?

Prawie dwie trzecie oczekujących przed pałacem ludzi zachowywało ostrożność. Wszak wiadomo, że każdy, choćby minimalnie znaczący uczynek niesie ze sobą dobre albo złe skutki. Ostrożni

próbowali się dowiedzieć, czego mogą oczekiwać od losu: nagrody czy nieszczęścia; a jeśli jednego i drugiego, to w jakich proporcjach?

I w końcu najmniejszą część tego tłumu stanowili włóczędzy, gapie, ciekawscy, wariaci i ci szczęśliwcy, których Objawienie nieoczekiwanie nagrodziło. Ci ostatni pragnęli dowiedzieć się, za co konkretnie nagrodził ich los, i przed pałacem stanowili zdecydowaną mniejszość, gdyż jak wiadomo, prawie każdy, kto został nieoczekiwanie nagrodzony, miał w sobie wystarczająco dużo rozsądku, by nie obciążać Interpretatora zbędnymi pytaniami.

Zgodnie z kanonem, Interpretatorów było jedenastu. Oraz dwunasty, Najwyższy Interpretator, który wyjaśniał najbardziej zawikłane przypadki bądź interpretował sytuacje znanych osobistości. Powiadali, że mądrości Interpretatorów nie da się zawrzeć w żadnej księdze, a klucze do wyjaśniania zagadek losu każdy Interpretator przekazuje swemu następcy wyłącznie na łożu śmierci.

Ale przecież nie są to prawa fizyki, Andrzeju – myślała Irena, stojąc na zalanym słońcem placu w tłumie innych poszukiwaczy prawdy. – W realnym świecie prawa fizyki były niezmiennie... bądź prawie niezmiennie. W każdym razie patelnia spadała zawsze na podłogę, a nie na sufit... A jeśli sprawiedliwość, zasady praworządności są częścią natury... Jeśli stworzyłeś ten świat właśnie takim, to po co ci były te podpórki w postaci dwunastu Interpretatorów?

Być może zdawałeś sobie sprawę ze słabości swojej konstrukcji. Być może eksperyment będzie trwał do chwili, kiedy odnotujesz wszelkie możliwe niedociągnięcia.

Czy twoim celem było stworzenie właśnie tego świata? Czy właśnie to chciałeś zmodelować? A ten poprzedni model z wampirami adwokatami był

jedynie wprawką, doświadczalnym poligonem?

A może w tym nowym modelu również cię nie ma, gdyż przeniosłeś się do kolejnego i będziesz je stwarzał bez końca, dopóki zniemawidzonemu Peterowi nie wyczerpie się źródło energii? Choć kto powiedział, że Peter ze swoją maszyną może jeszcze na cokolwiek wpłynąć?

Słońce niemiłosiernie przypiekało, lecz Irenie przez chwilę mróz przeszedł

po plecach, gdy przypomniała sobie przypuszczenie Semirola, że ten nowy model jest jej własnym, zmienionym przez kataklizm światem.

Kolejka się przesuwiała. Powoli, lecz sukcesywnie. Interpretatorzy nie próżnowali – cała jedenastka.

A jej potrzebny był tylko ten dwunasty. Najwyższy.

Masa czasu zesła jej na wymyślenie odpowiedniego pytania.

Interpretatorzy przesiewają ludzi jak piasek. I ile jest ziaren piasku na plaży –

tyle było trudnych i spornych problemów, zagadek Objawienia, pułapek i kazuśców przesypujących się przez palce Interpretatorów, którzy do wszystkiego przywykli, znali tajemnicę i widzieli na

wylot...

A Irenie potrzebny był dwunasty. Musiała za wszelką cenę zapędzić szeregowego Interpretatora w kozi róg, by przyznał swą niekompetencję i skierował ją do swego szefa, Interpretatora nad Interpretatorami, który niewątpliwie czytał „Tego, który okazał skruchę”, który wie o tym świecie wszystko, który...

Wstrzymała oddech.

Nikt nie zna prawdziwych imion Interpretatorów. Przy łożu śmierci swego poprzednika, gdy przejmują z rąk do rąk pęk kluczy-odpowiedzi, na wszelki wypadek rezygnują ze swych imion – zapewne jest to korzystne dla Objawienia. A już Najwyższy Interpretator, jak wieść niesie, nigdy nie miał

imienia i nikt nie pamięta jego poprzednika, ponoć pełnił swoją funkcję od samego początku; tak w każdym razie głosiły plotki.

Irena bardzo chciała wierzyć, że zapomniane imię tego pierwszego Interpretatora brzmi Andrzej Kromar.

Jakże wolno przesuwała się kolejka.

Oczekujący jeden po drugim przestępowali próg, wchodzili po jedenastu stopniach i znikali wewnątrz pałacu. Tuż przed Ireną stał dwunastoletni chłopak, który nie miał do Interpretatorów żadnej sprawy; zajmował po prostu innym miejsce w kolejce, zarabiając tym na zupełnie dostatnie życie.

Podobni „zastępcy” stanowili mniej więcej jedną trzecią kolejki. Prawdziwy przemysł.

Za to stojącym za Ireną petentem był młody mieszczanin, krępy i smagły, który ni z tego, ni z owego splajtował na swych lichwiarskich interesach.

Kombinator szczerze nie pojmował, czym zawinił przed Objawieniem i co może go jeszcze czekać. Irena wiedziała też, że za lichwiarzem stoi staruszka, która chce dobić swego nieuleczalnie chorego, kompletnie zniedołężniałego ojca i nie może się na to zdecydować. A jeszcze dalej inny ojciec, wciąż dość młody, który zamierzał nie dopuścić do ślubu swego syna, gdyż, czego był

absolutnie pewien, po przyszłej synowej nie można się było spodziewać niczego dobrego. A jeszcze dalej...

Kolejka przesunęła się o kolejne dwa kroki.

Irena już dawno przemyślała wszelkie możliwe warianty pytań. Często wspominała Nicka, który skracał cierpienia swych nieuleczalnie chorych pacjentów, za co został skazany na śmierć i oddany w ręce wampira.

Najwyraźniej Objawienie w tym modelu nie było równie prostolinijne jak wymiar sprawiedliwości

w poprzednim, jednak Irena po prostu musiała zapędzić je w kozi róg. W każdym razie musiała tak postąpić z Interpretatorem...

Schody o jedenastu stopniach przybliżały się nieubłaganie. Irena była coraz bardziej zdenerwowana.

Krok. Jeszcze jeden. Na miejscu chłopca, który dostał swą dolę za zajęcie kolejki, stało przed Ireną urodziwe, szesnastoletnie dziewczę. Ciekawe, o co będzie pytać ta młoda osóbka? Dlaczego okrutne Objawienie ukarało ją śmiercią ukochanego pieska?

Pierwszy stopień. Słońce chyliło się coraz niżej. Ludzie zaczęli się gorączkować, gdyż o zmroku drzwi zostaną zamknięte i wszyscy, którzy dzisiaj nie zdążą wejść, będą musieli czekać do świtu.

Drugi stopień. Trzeci i czwarty. Irena zrozumiała, że dzisiaj nie zdąży.

Kolejna noc na sianie i jest zupełnie możliwe, że jutro oznajmią ludziom o niespodziewanym zgonie Najwyższego Interpretatora, a jedynie Irena będzie wiedzieć, że oznacza to pojawienie się nowego modelu, modelu w modelu, kolejnego ogniwa, kolejnej baby w babie.

Drzwi otwarły się i wpuszczono od razu siedmiu interesantów. Przed samą Ireną opuściło się rzeźbione berło, improwizowany szlaban, którym odzwierny sortował tłum.

– Chwileczkę, droga pani... Wygląda na to, że audiencja jest już dzisiaj zakończona.

Nawet się nie zdziwiła. Za drzwiami panowały chłód i wilgoć, ku górze wznosiły się ciemne, gigantyczne kolumny, stojące bez żadnego porządku, jak drzewa w lesie, od czego przedsionek pałacu rzeczywiście przypominał las, dziewiczą puszcę, w której nie powstała noga drwala.

W głębi pałacu zabrzmiał gong. Dwukrotnie.

– Jeszcze dwie osoby – rzekł odzwierny niechętnie. Irenie zdrętwiały nogi i gdyby nie młody lichwiarz, który rzucił się do przodu i popchnął ją w plecy, stałaby tak do rana. Gdyż staruszka, która znalazła się za berłem, kipiała z oburzenia i niemal wepchnęła się przed osłupiałą Irenę.

– Nie, droga pani. Proszę tędy...

Wielkie kolumny okazały się spiralnymi schodami. Jedenaście kolumn i tak wysokie stopnie schodów, że Irenie przelotnie zrobiło się żal staruszki –

jak ona się po nich wdrapie?

Zabłądziłaby wśród skreconych kolumn, gdyby specjalny sługa nie wskazał

jej drogi. Pomagając sobie rękami, płacząc się w zniechęconej sukni, wzywając w myślach Stwórcę, Irena zaczęła się wspinać. Nieopodal sapał

młody lichwiarz – jego schody były obok, lecz zdążył znacznie wyprzedzić Irenę; z jego podeszew sypały się okruchy gliny i tak długo spadały, że nic, tylko się przestraszyć i spojrzeć w dół.

Irena nie miała lęku wysokości. Ale jak poradzi sobie staruszka?

Kłapa. Irena boleśnie uderzyła się w głowę i po chwili odpoczynku napała ramieniem; właz nie był ciężki, półmrok wymieszał się z mdłym, zielonkawym światłem. Ciężko dysząc, Irena na czworakach weszła przez kłapę.

Interpretatorzy mogliby zadbać o windę dla petentów.

Od nieskończonych zakrętów kręciło jej się w głowie.

Płonęły zielone świece. Irena nigdy czegoś takiego nie widziała – świeca jak świeca, tylko płomień zielony jak noworoczna lampka.

Magicy.

Rozejrzała się.

Okrągłe, ciasne pomieszczenie przypominało patelnię. Jej rączką był długi, wąski korytarz, na którego drewnianej podłodze namalowana była jednoznaczna, starta setkami butów strzałka.

A więc tędy...

Wchodząc w korytarz mimowolnie się zatrzymała. Gdzieś kapąła woda, pachniało pleśnią i podziemiem; mimo że znajdowała się na wysokości co najmniej dziesiątego piętra! Ten, kto zaprojektował Interpretatorom miejsce pracy, zrobił wszystko, by jak najdalej odejść od tradycji zakurzonych gabinetów. Aranżer się postarał – Irena nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że zaraz krzyknie do niej zirytowany urzędnik: „Szybciej! Dzień roboczy dobiega końca!”

Zebrała się w sobie i weszła w korytarz, licząc kroki. Oho. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć, czterdzieści...

Stop.

Nowe pomieszczenie, prawie całkiem ciemne, gdyż jedna zielona świeczka mogła co najwyżej wystraszyć. Kamienny łeb nieznanego i, sądząc po rozmiarach pyska, niewątpliwie drapieżnego zwierzęcia. Ireną wstrząsnęły dreszcze – choć bynajmniej nie dlatego, że wystraszyła ją egzotyczna dekoracja. Po prostu właśnie ważą się jej losy na najbliższą przyszłość.

– Niech pani podejdzie i zajrzy w ciemność...

W pysku kamiennego potwora zamigotał zapraszający płomyk. Irena podeszła na sztywnych nogach; od razu stało się jasne, że trzeba będzie uklęknąć. Mogli postarać się chociaż o poduszeczkę, dranie...

Ostrożnie, jakby bojąc się zniszczyć fryzurę, wsunęła głowę w paszczę potwora. Też mi miłośnicy tanich efektów.

Na jej twarz padło światło. Zmrużyła oczy. Była to jasna pochodnia zaopatrzona w lusterko,

działająca jak reflektor. Co za dzikusy, a idźcie wy wszyscy...

– Czy przysłała tu pani z własnej woli?

Pytający pozostawał niewidoczny. Jedyne głoś zdradzał mężczyznę, niemłodego, zmęczonego po całym dniu pracy, zamierzającego przyjąć ostatnią petentkę, a potem pójść do karczmy i spokojnie, anonimowo napić się piwa.

– Tak – przytaknęła odruchowo, uderzając podbródkiem o szczękę zwierzęcia.

Zapadła długa chwila ciszy, podczas której rozmówca przyglądał się jej twarzy; zimny pot pociekł jej po plecach. Została rozpoznana! Wszyscy Interpretatorzy mają portret nieprawomyślnej autorki, Ireny Chmiel...

Westchnienie w ciemności.

– A nie życzy pani zła Interpretatorom, Wysokiemu Dachowi ani wolnemu miastu?

Interpretator zakończył oględziny. Po co mu dodatkowe problemy, w dodatku pod sam koniec roboczego dnia...

– Nie – z trudem powstrzymała się przed pokręceniem głową.

– Powiedz, co cię trapi, a ja objaśnię ci wolę Objawienia, abyś poddała się jej świadomie i z radością.

Była to wyuczona formuła. Irena potrzebowała chwili, aby się nad nią zastanowić – podczas gdy Interpretator nie miał nastroju na liryczne pauzy.

– No mówże...

Moja córko, dodała w myślach Irena. Procedura istotnie miała w sobie coś z tajemnicy spowiedzi – tyle że światło biło w oczy jak na przesłuchaniu.

Musi się zastanowić. Musi zebrać myśli.

Przed tą wizytą wymyśliła setki wariantów pytania i ze wszystkich zrezygnowała. Jedne były zbyt egzotyczne, drugie fałszywe, jeszcze inne...

Bała się, że zostanie przyłapana na kłamstwie. Interpretatorzy przesiewają ludzi jak piasek – mieliby nie rozpoznać kłamstwa? Tym bardziej że Irena w mijaniu się z prawdą była równie dobra jak tępy uczeń w wyższej matematyce.

– Mów – rzekł Interpretator i w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

Nabrała powietrza w płuca.



– Moja siostra jest brzemienna, panie. Ojcem jej dziecka jest wampir, straszna istota, która pije żywą krew. Mój ojciec próbował zabić wampira, brat też próbował – jednak ten uszedł bez szwanku... – Odetchnęła, zastanawiając się gorączkowo, czy nie dodać jeszcze kilku szczegółów. – Uciekł, na nic zdał

się osikowy kołek i srebrne kule... – zająknęła się. – W mojej wsi kulą nazywa się srebrną... igiełkę... A moja siostra brzemienną się stała i wiadomo, że urodzi wampirzátko, małego krwio pijcę i co powie Objawienie, jeśli nienarodzony płód... no, wytępić?

W tak jasnym świetle przed Interpretatorem nie mogły się ukryć jej zmieszanie i strach. Niech wszystko widzi. Będzie przynajmniej pewny, że biedna kobieta nie kłamie.

Teraz łagodnym głosem wypowie kolejną wyuczoną formułkę, odprawiając ją z kwitkiem, i będzie musiała świadomie i z radością schodzić po nieskończonych schodach. Wszak można sobie wyobrazić, ile głupawych młódek z niechcianym dzieckiem w łonie zjawiało się tutaj, by poradzić się Objawienia. A nuż dopuszcza ono, jak wyraziłby się Nick, socjalnie uzasadnione aborcje...

Albo nie. Interpretator zaraz przywoła strażę i kat w sali tortur wyjaśni zarówno pochodzenie dziecka, jak i motywy napisania szkodliwego opowiadania „O tym, który wyraził skruchę”.

Interpretator milczał.

Czyżby zdołała zaskoczyć tego wszechwiedzącego mądralę?

– Czy twoja siostra dobrowolnie... oddała się wampirowi, czy pod przymusem?

Aha. Więc sam fakt cielesnego zbliżenia z wampirem nie budził

wątpliwości. Dobrze i to.

– Pod przymusem – oznajmiła bez wahania. – Groził, że pozbawi ją życia.

– Ile lat ma twoja siostra?

Ciekawe, po co mu ta informacja?

– Trzydzieści – rzekła z zająknięciem.

– Jak dawno nastąpiło poczęcie?

Zawahała się. Jej zadaniem jest „zagięcie” Interpretatora, a nie otrzymanie porady w konkretnym, życiowym problemie.

Zresztą pauza, którą zrobił przed słowem „siostra” świadczyła o tym, że...

– Odpowiadaj, pani...

– Dwa miesiące – wymamrotała, umyślnie skracając termin. Ciężko jej się myślało w reżimie pytanie-odpowiedź. Jej rozmówca oczywiście od razu zorientował się, że nie ma żadnej „siostry”...

– Czy to pewne, że dziecko będzie wampirem?

Sekunda wahania. Wydawało jej się, że za ścianą światła dostrzega sylwetkę Interpretatora.

– Prawdopodobieństwo wynosi dziewięćdziesiąt procent... to znaczy dziewięć do jednego...

Milczenie. Szorstkie płótno drażniło skórę, przeszkadzał jej przekłuty gorset, niech to wszystko się już skończy...

– Zaczekaj, kobieto.

Sylwetka zniknęła. A po kilku sekundach zgasła pochodnia.

Irena wyciągnęła głowę z pyska kamiennego zwierza. Przetarła załzawione oczy. Ciekawe, czy poszedł po strażników, czy mimo wszystko po swego pełnego mądrości szefa? Tak, po prostu... nie. Tak nie bywa...

A jeśli złapali Semiroła i teraz urządzają konfrontację?!

A jeśli...

Po oślepiającym świetle ciemny świat dookoła wydawał się ciemnowiśniowy. Zielona świeczka przyzywała, jak palec topielca.

Wsluchiwała się w otoczenie. Gdzieś w oddali słyszała tłum. Najwyraźniej kolejka rozchodziła się po domach, karczmach, noclegowniach... by jutro, przed świtem przybyć pod tajemne schody.

Tam, na skraju placu, czeka na nią Rek. Czeka i zapewne się niepokoi; jego opieka nie była jej nieprzyjemna. Może dlatego, że co do jednego nie miała wątpliwości – rycerz nie dostanie od Objawienia żadnej nagrody...

– Kobieto...

W kamiennej paszczy mignęło światło. Drgnęła i podeszła.

Improwizowany reflektor znów zaświecił jej w oczy – choć odniosła wrażenie, że tym razem nieco lżej. Spokojniej.

I tam, za ścianą światła, znajdował się teraz ktoś inny. Zrozumiała to, zanim się odezwał.

Ciemna sylwetka.

Wpatrywała się w niego, zapominając o przyzwoitości. A właściwie próbowała wpatrywać.

Nie, w ten sposób niczego nie można stwierdzić na pewno. Głos. Na Stwórcę, niech się wreszcie odezwie...

– Czy twoje serce jest czyste, kobieto?

Najwyższy Interpretator – jeśli to był on – mówił szeptem. Irena zamarła.

– Czy ze szczerego serca pragniesz odpowiedzi? Czy powoduje tobą chęć oszukania Objawienia?

Dziwna była akustyka w tym przypominającym grobowiec wieżowcu. Głos rozchodził się tak, jakby Interpretator mówił ze wszystkich stron. Niteczki dźwięków, strzępki dźwięków, które spletały się w ten jeden kłębek, i ten głos...

Głos, który po raz pierwszy usłyszała w słuchawce telefonu: „Halo, Irena?

Czy to Irena?”.

– Ze szczerego serca – rzekła ochryple.

A jeśli ktoś słucha tej rozmowy? I Andrzej daje jej do zrozumienia, że muszą zachować pozory...

Nagle zobaczyła samą siebie jego oczami. Postarzała, ogłupiała, bez makijażu, w chuście do brwi...

Rozplakała się. Bez goryczy – po prostu nagle trysnęły z niej nagromadzone przez cały ten czas łzy.

„A więc Najwyższy Interpretator chce mnie przesłuchać, aby ustalić stopień mojej winy? – Jestem tylko rycerzem, Ireno...”

Czyżby nakaz został wydany, by Andrzej mógł ją odnaleźć?

A więc czekał? Czekał na nią?!

Ciemna sylwetka poruszyła się. Czyżby budziła w byłym mężu litość?

Wstręt? Zmieszanie?

– Dlaczego to zrobiłeś? – wyszeptała. Jeśli nawet usłyszy ją ktoś postronny, weźmie te dziwne słowa za nieskładne mamrotanie przerażonej kobiety.

– Boisz się kary czy chcesz otrzymać nagrodę? – człowiek w ciemności podniósł głos. Irena zamarła i gorące łzy natychmiast wyschły na jej policzkach.

Czy to ten głos, czy... Andrzeju, czy to ty?!

Człowiek w mroku czekał na odpowiedź. Miała wrażenie, że lada moment rozpozna jego rysy.

Nie mogła milczeć w nieskończoność.

– A co pan sądzi o karze śmierci? – jej usta same zadały to pytanie.

Jak hasło.

Ciemna sylwetka zawahała się – i cofnęła w jeden z bocznych korytarzy.

I już oddalając się, Najwyższy Interpretator przez sekundę mignął w świetle pochodni. I Irena zobaczyła jego twarz.

\* \* \*

Wcześniej dom należał do miejscowego bogacza. Prawdę mówiąc, nie był

to jego jedyny dom, który pewnego pięknego dnia musiał poświęcić, w czym nie było niczego dziwnego, gdyż profesja, którą parął się bogacz, nie była szczególnie humanitarna. Był on atamanem rozbójniczej szajki i aby zrównoważyć coraz bardziej przemyślane i wyszukane przestępstwa, musiał spełniać coraz to lepsze uczynki.

Bogaty rozbójnik oddał bliźnim swój najlepszy dom na przedmieściach i szale Objawienia znów się zrównoważyły. Niezależnie od haraczu ściąganego przez rozbójnika z ulicznych handlarzy, uduszonego konkurenta i rozgrabionej karawany kupieckiej.

O tym wszystkim Irena dowiedziała się znacznie później. A na razie słabą i niestawiającą oporu wprowadzono ją na szerokie podwórze, otoczone wysokim zewnętrznym i niższym wewnętrznym płotem, przy czym po korytarzu między nimi biegały psy tej samej rasy co cielak Sensej.

Był ranek. Noc spędziła w ciemnym zakątku pałacu Interpretatorów. Nie wyjaśniono jej, w czym zawiniła, lecz zamknięto razem z niedorozwiniętym szesnastoletnim chłopcem. Z rozmów, jakie prowadzili służący, chwilowo spełniający role strażników, wywnioskowała, że w tłumie, który niczym piasek przesypywał się przez palce Interpretatorów, obłąkani bynajmniej nie byli rzadkością.

Patrzyła przed siebie, lecz nie widziała płotu, sągu drewna ani rozeschniętej beczki pośrodku podwórza. Przed oczami stała jej twarz Najwyższego Interpretatora – taka, jaką zobaczyła w ostatniej chwili ich spotkania.

Wtedy, w pierwszym momencie, wydało jej się, że go rozpoznała; że jej były mąż i były modelator rzeczywiście zwariował, został Interpretatorem i wcale nie odgrywa jego roli, lecz stał się nim do szpiku kości.

Te pierwsze minuty były najstraszniejsze.

A potem, kiedy już wzięli ją pod ramiona i poprowadzili przez korytarze, pamięć jeszcze raz usłużnie wyświetliła jej ten obraz i Irena, powtórnie wpatrując się w twarz najważniejszego w tym świecie człowieka, wydała z siebie westchnienie ulgi.

Najwyższy Interpretator nigdy nie był Andrzejem Kromarem. Był jedynie największą i najpiękniejszą

kukiełką w tym zabawkowym świecie i nawet jeśli chciał przesłuchać autorkę Chmiel pod Wysokim Dachem, to na pewno nie w charakterze byłej żony.

Najwyraźniej opowiadanie „O tym, który okazał skruchę” wywarło na nim równie silne wrażenie co na rycerzu, Reku.

Rek się na pewno martwi. I najprawdopodobniej nigdy się już na nią nie doczeka... Chociaż, kto wie? Gdyby Najwyższy Interpretator rozpoznał w biednej kobiecie „autorkę Chmiel”, wszystko mogłoby się rzeczywiście źle skończyć. Ireną wstrząsnął dreszcz. Niezły obrazek – wymuszają z niej, zapewne za pomocą tortur, wyjaśnienia na temat „Tego, który okazał

skruchę”, ona zaś, autorka tego opowiadania, nie zdążyła go nawet przeczytać!

Jednak Najwyższy Interpretator nie rozpoznał jej, a tylko uznał za obłąkaną.

Musiała długo czekać. W kącie podwórza dwóch wychudłych mężczyzn pompowało wodę; przy czym jeden co chwilę odpoczywał, pracował na pół

gwizdka, podczas gdy drugi, rzetelny, trzymał się w pocie czoła, wydymając zaślinione wargi... Najwyraźniej pierwszego nie ominie rychła kara Objawienia, drugiego zaś przeciwnie, nagroda.

A może na terenie przytułku dla obłąkanych prawa Objawienia funkcjonują inaczej?

Irena siedziała na pniu drzewa. Nedorozwinięty chłopak kręcił się w pobliżu, podnosił coś z ziemi, oglądał, wahał i próbował językiem. Irena starała się nie patrzeć w jego stronę.

Co takiego było w tym opowiadaniu? Jeśli ludzie byli gotowi spalać drogi papier, bojąc się przechowywać napisany przez nią tekst?

Po półtorej godziny oczekiwania nowo przybyłych zaprowadzono do domu.

Irena była wstrząśnięta – niemal wszędzie ślady byłego przepychu zniknęły ze ścian wraz z dębowymi panelami, jedwabnymi gobelinami i miedzianymi świecznikami. Gołe ściany, od podłogi po sufit, podłoga z szorstkich desek –

pewnie po to, by obłąkani w napadzie szału niczego nie zniszczyli.

Za to w pokoju, do którego ich w końcu przyprowadzono, zachowano byłą przepych, a może go nawet pomnożono. W pomieszczeniu znajdował się niski, siwiuteńki staruszek z pokrytym żyłkami nosem – zaczął on krzyżeć na sługi, zirytowany faktem, że nie zaprowadzili „wariatów” na salę obserwacyjną, lecz prosto do gabinetu.

Towarzyszący Irenie chłopiec wciągnął głowę w ramiona. Sala obserwacyjna okazała się mrocznym pomieszczeniem z wmontowanymi w słupy żelaznymi obręczami, drewnianymi ławami przy ścianach i kamienną studnią pośrodku. Irena przygryzła wargi. Czego się boimy, na to natrafimy.

Niepotrzebnie Semirol wyśmiewał się z jej tchórzostwa. W poprzednim modelu Irena trafiła na

nadgorliwy wymiar sprawiedliwości; tutaj zaś najwyraźniej nie ma więzień, za to bez wątpienia znajdzie się coś znacznie bardziej egzotycznego.

Sytuacja okazała się jednak nie taka znów tragiczna.

Staruszek z żyłkami na nosie podwinął niedorozwiniętemu chłopcu powiekę, wcisnął mu twardy palec pod żebra i gdy chłopiec się szarpnął, z satysfakcją kiwnął głową.

– Będiesz drzewo rąbać.

Na Irenę lekarz zerknął tylko przelotnie, na jej twarz i zaokrąglony brzuch.

– Umiesz prząść albo tkać?

Irena pokręciła głową.

– Więc będziesz sprzątać.

Po dziesięciu minutach przyszło jej do głowy, że trzeba się było pochwalić umiejętnością pisania i załatwić sobie tym samym czystsza pracę.

Odpowiednia chwila dawno już jednak minęła, nosaty staruszek się oddalił, a Irena szybko i bez zbytecznych korowodów została zaliczona w szeregi tutejszych mieszkańców – ubogich na umyśle.

– Pachnie... jedzeniem... – rzekł niedorozwinięty chłopak z zachwytem w głosie.

Po przestronnych korytarzach rzeczywiście roznosił się intensywny, gęsty zapach jakiejś niewyszukanej, lecz niewątpliwie tłustej i sytej potrawy.

## **Rozdział 11**

W „przytułku dla ubogich” przebywała przeróżna publika i każdy z jego mieszkańców był ubogi na swój sposób.

Oprócz obłąkanych, do których zaliczała się teraz Irena, było tu kilku zniedołężniałych starców, kilkoro niepełnosprawnych, garbaty karzeł ze smutnymi oczami i dziesięcioro dzieci – sierot, które zebrano spod różnych płotów.

Wszyscy mieszkali razem i ich wolność była ograniczona jedynie płotem.

Oraz oczywiście wrodzonym „ubóstwem” każdego z nich – na przykład kulawy mężczyzna, Łobz, nie był w stanie samodzielnie zejść z wysokiej sieni, a biedna wariatka, Flaia, wierzyła, że siedzi w żelaznej klatce o wymiarach trzy na trzy kroki i nigdy nie stawała prosto, bojąc się uderzyć w wyimaginowane pręty. Niejaki Groch, barczysty chłop z manierami imperatora, próbował co jakiś czas zaprowadzić w przytułku okrutną i bezmyślną dyktaturę. Jednak po kilku rozdanych przez Grocha klapsach i pokazowym laniu tyrana dosięgło wszechobecne Objawienie. Powalony przez jakąś nową, nagłą chorobę, na długo zniknął z podwórza, zalegając w jakimś odległym kącie, i za każdym razem

było mu trudniej wyzdrowieć. I za każdym razem jego współtowarzysze mieli nadzieję, że nie wyzdrowieje w ogóle.

Stałego personelu w przytułku nie było. Każdego ranka brama się otwierała, wpuszczając dwóch albo trzech zasepionych ochotników, czasem znajomych, lecz częściej nowych. Ochotnicy rozchodzili się po domu w poszukiwaniu pracy, a nosaty staruszek, pełniący obowiązki dyrektora i naczelnego lekarza, przydzielał im zajęcia. Marszcząc się z obrzydzenia, pracownicy sprząтали po zniedołężniałych starcach, którzy nie wstawali ze swych słomianych sienników, wycierali nosy stawiającym słaby opór dzieciom, prali i myli, pomagali kulawemu Łobzowi zejść z ganku – słowem wykonywali rutynowe, częstokroć niezwykle niewdzięczne prace. Nikt nie dostawał za to ani grosza – zapłata należała do Objawienia.

Ci z ochotników, którzy „odkupywali” jakieś poważniejsze przewinienie, przez długie miesiące mieszkali na miejscu, w oficynie. Niemal wszyscy

„ubodzy” panicznie się ich bali – i wcale nie chodziło o ewentualne cięgi.

„Odkupujący” prawie nigdy nie ruszali „ubogich” nawet palcem – niemniej nikt, oprócz Grocha, gdy jego stan się pogarszał, nie ryzykował zbliżania się do nich z własnej woli. Irena wkrótce dowiedziała się, dlaczego.

Od chwili gdy Najwyższy Interpretator zniknął w bocznym korytarzu, przypadkowo pokazując twarz w rozmytym blasku pochodni, wydarzenia, które wokół niej zachodziły, przestały mieć większe znaczenie. Odnalezienie Andrzeja Kromara stało się sprawą absolutnie drugorzędną, a odpowiedź na pytanie, co zawierało zakazane przez władze opowiadanie „O tym, który okazał skruchę”, wydawała się ważniejsza niż to, co działo się dookoła. I gdy Irenie wskazano jej miejsce – na twardym sienniku – obojętnie kiwnęła głową. To wszystko działo się z kimś innym.

Zresztą w byłym domu bogacza panowały znacznie lepsze warunki niż w noclegowni, w której ona i Rek zatrzymali się przed audiencją u Interpretatorów. „Ubodzy” najadali się do syta, gdyż przytułek otrzymywał

bogate datki. Dbłość o higienę, niezależnie od specyfiki zakładu, zasługiwała na najwyższą pochwałę i Irena, niezależnie od swych początkowych obaw, nie musiała zajmować się brudną robotą. Ochotnicy harowali ze wszystkich sił, w przeciwnym razie ich zasługa przed Objawieniem mogła pójść na marne!

„Przytułek dla ubogich” był tym ujściem, tą „łapówką”, dzięki której nawet mordercy, którzy wcześniej planowali swe zbrodnie do najmniejszych szczegółów, mogli liczyć na zawarcie kompromisu z wszystkowiedzącym Objawieniem. Celami dobrych uczynków byli ludzie stanowiący najwdzięczniejszy obiekt bezinteresowności – kalecy, obłąkani i dzieci.

Nieuczciwi handlarze, uliczne rzezimieszki, a nawet zwykli bandyci odkupywali swe winy, wycierając wymiociny, wynosząc nocniki i myjąc sparaliżowane staruszki. I od czasu do czasu wyniosli służący przynosili kosze pełne darów od Wysokiego Dachy. A barczyste, wyglądające na strażników zuchy zamiatały podwórze i czyściły szambo.

Do ich obowiązków należało też pilnowanie bramy i tresowanie pilnujących przytułku psów. „Ubodzy” w żadnym wypadku nie mogli uciec, oczywiście dla własnego dobra.

Irena się uśmiechnęła.

Nie miała czasu, żeby wszystko zobaczyć i dokładnie poznać zasady życia w przytułku. Miała jednak szczęście, już pierwszego dnia znalazła sympatycznego rozmówcę. I wkrótce poczuła, że jeśli pozna świat „ubogich”, zrozumie cały ten model.

Myliła się jednak.

\* \* \*

Staruszek z lutnią spędzał czas w kącie podwórza, dość spokojnym i cichym miejscu, w którym słońce przygrzewało od rana do samego południa.

Staruszek uderzał w struny i śpiewał ciche piosenki bez melodii ani rytmu, monotonne, lecz posiadające dziwnie magnetyzujący wpływ na słuchacza – w każdym razie na Irenę.

– Tak, czytałem „Tego, który okazał skrucę”. Opowiedzieć ci? Nie. Nie boję się. Ale czy ty potrafiłabyś opowiedzieć, jak na przykład leje się ta woda?

Ze szlauchu, prowadzącego od pompy, falami tryskała migotliwa struga.

Żeliwny kocioł powoli się napełniał – któryś z ochotników już się przy nim krzątał, podpalając pod nim ogień. Będzie ciepła woda do kąpieli.

Dziwna sprawa. W wielkim, zewnętrznym, „oryginalnym” świetle opowiadania Ireny nie dostały nawet nominacji do Srebrnego Wulkanu. W

modelu numer jeden była to już całkiem niezła twórczość – choćby Semirol właśnie pod wpływem ich lektury podjął decyzję odnośnie do jej życia i śmierci... A wychodzi na to, że tutaj będąca w niełasce autorka Chmiel stała się niemal władczynią dusz. Czy to przypadek, czy kolejny złośliwy żart Andrzeja Kromara?

– Opowiedz, Muzyku.

– Nie mogę...

Irena westchnęła. Staruszek potrafił być fenomenalnie uparty.

– No dobrze... A co zrobiłeś Objawieniu, że cię ukarało?

Starzec uniósł powieki, szeroko otwierając wielkie, bezbarwne i zdziwione oczy.

– Czyżbym został ukarany?



Irena milczała przez chwilę. I rzekła powoli:

– Moim zdaniem, tak... Gdybyś nie został ukarany, mieszkałbyś we własnym domu w towarzystwie dzieci, wnuków i prawnuków.

Starzec wydał z siebie nieokreślony dźwięk.

Wychudzona, dziesięcioletnia dziewczynka – bez względu na to, ile by się ją karmiło, była chuda jak patyk! – podeszła do kotła, żeby ukradkiem ochlapać się wodą. Podwinęła rękaw, wsunęła do niego rękę po łokieć i uśmiechnęła się radośnie; ochotnik, który zajmował się kotłem, odwrócił się od zbiornika. Nie powiedział ani słowa, po prostu się odwrócił, a dziewczynę aż odrzuciło. Odbiegła, potykając się, na drugi koniec podwórza i zatrzymała się tam z płaczącym wyrazem twarzy, wycierając rękę o suknię.

W oczach człowieka, który dobrowolnie pomagał sierotom, było tyle nienawiści, że nawet Irena, która widziała ten wzrok tylko przez ułamek sekundy, mimowolnie drgnęła.

Przypomniały jej się wygięte brwi Reka: „Handlarze”...

Przypomniał jej się też sklepikarz, z którego lepkich, „życzliwych” łap wyrwał ją bezinteresowny rycerz. „Tak uczy Objawienie – zrozpaczonych pocieszyć, bezdomnych przygarnąć, ciężarne ochraniać... A bękarca do dobrego przytułku oddamy. No, chodźmy”.

Wychudła dziewczynka wciąż jeszcze stała przy płocie.

„Oświecenie uczy, że jeśli ktoś swego dobra nie pojmuje, trzeba mu delikatnie przetłumaczyć albo w tajemnicy dobro czynić. W tajemnicy nie wyjdzie... Nie wierzgaj; do kogo mówię? Jeszcze mi podziękujesz... Bo cię Objawienie pokarze... Za niewdzięczność”.

– Poczekaj, Muzyku...

Wstała. Przeszła przez podwórze i zatrzymała się o krok przed dziewczynką. W czymś przypominała ona Reka – była tak samo jasnowłosa i nawet jej męczeńsko zmarszczone brwi wyginały się w tyldę.

Irena się zawahała. Dziewczynka przyglądała się jej z napięciem i wrogością.

– I coś się tak wystraszyła? – Irena przyklękła na jednym kolanie, tak że jej twarz znalazła się nieco niżej od twarzy dziewczynki.

I położyła dłoń na jasnej, krótko ostrzyżonej główce. Ten gest nie przyszedł

jej łatwo – nigdy nie głaskała cudzych dzieci, gdyż uważała to za głupi zwyczaj.

Przesłodzony i fałszywy; jeśli nie jesteś mamą, po co pchasz ręce?!

Ale tej dziewczynki najwyraźniej nikt nigdy nie głaskał po głowie. A nawet jeśli, to wyłącznie licząc na otrzymanie zapłaty za swą dobroć. Handlarze...

Handlarze...

Dziewczynka na moment zamarła. Na ułamek sekundy, Irena nie zdążyła nawet mrugnąć, a podopieczna przytułku już biegła do domu, wysoko zadzierając sukienkę, by nie plątała jej się pod nogami.

Irena nie potrafiła sobie wyobrazić, jak dziewczynka postrzegała świat. Raz spróbowała to zrobić i tak się przeraziła, że natychmiast zaniechała dalszych prób...

– Czemu mi się tak przyglądasz, Muzyku? – Cudowna jesteś.

Irena uśmiechnęła się mimowolnie.

– Nie bardziej niż ty...

– Bardziej – staruszek niechętnie odłożył lutnię. – Proszę mi powiedzieć...

na co pani „Ten, który okazał skruchę”?

Słońce stało w zenicie. Wkrótce płot pociemnieje, słońce ukryje się po jego drugiej stronie; tam, gdzie można być prawie wolnym, gdzie biega bez opieki przypominający cielaka chart irlandzki.

– Jestem wariatką – odparła Irena możliwie obojętnym tonem. – A co, zapytać nie można?

Lutniarz uśmiechnął się kącikiem ust.

– Zapytać można...

Barczysty osiłek z brodą o nieokreślonej barwie – jeśli wierzyć Muzykowi, mieszkał w oficynie już czwarty miesiąc – wyniósł z domu na rękach obłąkanego, na wpół sparaliżowanego staruszka. Nikt nie znał jego wcześniejszego imienia, wszyscy nazywali go wyłącznie Gnojarem. Jeśli jakiś ochotnik nie czuł się szczególnie winny wobec Objawienia, zawsze unikał

zajmowania się Gnojarem, lecz jeśli, podobnie jak barczysty rozbójnik, miał

na swym sumieniu ludzkie życie, częstokroć niejedno... no cóż, kąpanie Gnojara było właśnie tym zadaniem, za wypełnianie którego Objawienie mogło wybaczyć wszystko.

Biedak się bał. Zakrywał oczy dłonią. Wciągał głowę w ramiona, jego uschnięte nogi wyglądały jak martwe gałęzie czarodziejskiego drzewa. Osiłek, gardząc cudzą pomocą, zaczął po kolei rozbierać staruszka z jego szarych łachów, mając przy tym taki wyraz twarzy, jakby musiał gołymi rękami rozdzielać gnijącą krowią tuszę.

Z domu wyszła gromadka dzieci. Usiadły w kącie podwórza w kółeczko, nie dotykając się przy tym łokciami. Nie zwracając na to, co dzieje się dookoła, najmniejszej uwagi, zaczęły grać w kamyki...

– A wierzysz w... Stwórcę, Muzyku?

Lutniarz milczał.

– A gdybyś był – wyobraź to sobie przez chwilę – gdybyś był Stwórcą i postanowił zmodelow... stworzyć... świat... Mógłbyś się obejść bez Objawienia?

Gnojarz krzyknął z bólu. Osilek mył go, jakby ten był kawałkiem drewna.

Najpewniej Objawienie wynagrodzi sanitariusza ochotnika wyłącznie za rezultat.

Muzyk podniósł głowę. Irena zachmurzyła się, napotykając jego wzrok.

– O co chodzi?

– Mniej więcej o tym pisała autorka Chmiel – rzekł niechętnie starzec. –

Wiejski chłopiec podsłuchał spór jaszczurki z kameleonem. Jaszczurka nazywała się Miłosierdziem, a kameleon Skruczą... A potem w ich kłótnię wtrącił się Stwórca.

Osilek zawiązał drżącego Gnojarka w strzępek czystego materiału i zaniósł

do domu – z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Gnojark po starczemu mrużył oczy, które łzawiły mu z zimna albo ze...

– Stwórca? – odruchowo powtórzyła Irena.

Muzyk zachichotał.

– Pani Chmiel dała Stwórcy imię.

Wzdłuż płotu szedł, nieumiejętnie machając miotłą, wymuskany młodzieniec wyraźnie szlacheckiego pochodzenia. Latorośl z jakiejś zacnej rodziny czymś zawiniła, okoliczności wymagały szybkiego rozliczenia się z Objawieniem i oto młodzieniec zarabia na poparcie, sprzątajac po ubogich, chociaż nawet od lekkiej miotły robią mu się odciski na palcach.

Młodzieniec poruszał się jednostajnie i na oślep, niczym śmieciarka. Irenę rozśmieszyło to porównanie. Po zbliżeniu się do siedzącego wprost na trawie starca z lutnią i towarzyszącej mu obłąkanej, brzemiennej kobiety, zamiatacz się zatrzymał. I wykonał wymowny gest miotłą: jazda stąd, nie przeszkadzajcie mi w procesie odkupienia...

Muzyk podniósł się, mrużąc coś pod nosem.

– Jakie jest imię Stwórcy? – zapytała Irena z typowym dla siebie opóźnieniem.

– Odsuń się – rzekł młodzieniec ochryple.

Irena się nie ruszała. W napięciu marszcząc brwi, mierzyła lutniarza wzrokiem.

– Jakie jest imię Stwórcy?

Zamiatacz ruszył do przodu. Jego delikatną, pozbawioną zarostu twarz wykrzywiła pełna obrzydzenia nienawiść.

– Podnieś zadek, obłąkana latawico!

I zamachnął się miotłą. Oczywiście nie zamierzał jej uderzyć – po prostu odganiał przeszkodę, jak płoszy się z ogrodu wrony.

Muzyk już szedł w stronę domu, wlokąc za sobą lutnię.

\* \* \*

Następnego dnia Objawienie dało wszystkim surową lekcję.

Kulawy Łobz pośliznął się w korytarzu, przewrócił i nadział skronią na żelazny sworzeń, na którym niegdyś zawieszony był dywan. Śmierć nastąpiła momentalnie; wszyscy, z wyjątkiem sparaliżowanych i obłąkanej Flai, zbiegli się na miejsce zdarzenia, milcząco i na głos zastanawiając się, za co okrutne Objawienie ukarało biednego Łobza.

Od razu wyjaśniło się, że Łobz upadł, gdyż podłoga w korytarzu była wyfroterowana do połysku zbyt dużą ilością wosku. Nawoskował ją zaś – z najlepszych pobudek – ten sam młody „odkupiciel”, który zamachnął się na Irenę miotłą. W ten sposób młodzieniec okazał się winny, choć tylko pośrednio, ludzkiej śmierci.

Z przytułku został wysłany goniec – zapewne do ojca młodzika. Chłopak, który śmiertelnie bał się zemsty Objawienia, dwukrotnie umył nieszczęsnego Gnojarza, a w końcu wszedł na dach naprawiać dachówki. A jako że widział je dotychczas tylko z daleka, wspinał się zaś gdziekolwiek wyłącznie pod okiem nauczyciela gimnastyki, nie było nic dziwnego w tym, że już po półgodzinie pod jego ciężarem zarwała się nieumiejętnie zamocowana asekuracja, a on sam spadł na ganek, łamiąc rękę i nogę.

Irena trzymała się z daleka od ogólnego zamieszania. Zapamiętała obojętną i bardzo zmęczoną twarz martwego Łobza, kiedy go zaszywano w worku. Oraz spoconą fizjonomię młodego arystokraty, oszalałego z bólu i nieszczęść, które na niego spadły. Chłopak nawet nie jęczał, tylko wytrzeszczał

oczy na ludzi, którzy obstąpili go ze wszystkich stron, podczas gdy sanitariusze ochotnicy rozprawiali na temat ręki Objawienia, które najwyraźniej policzyło się z młodzieńcem od razu za wszystkie jego grzechy.

Wieczorem przed bramą pojawiła się karetą zaprzężona w czwórkę czarnych koni. Młodzieniec został wywieziony do rodzinnych włości – Irena miała szczerą nadzieję, że nie zostanie on kaleką do końca życia. Kulawego Łobza wyniesiono w worku za bramę i pochowano gdzieś w pobliżu. I chociaż obaj byli jedynie zmaterializowanymi, pozbawionymi przeszłości i przyszłości fantomami, Irena czuła się podle.

Tymczasem stary Muzyk wpadł w depresję. Siedział na swoim miejscu pod płótnem, zawodził piosenki i nie zwracał na zamieszanie najmniejszej uwagi.

Co oznaczało, że Irena jeszcze nieprędko dowie się, jak nazywał się Stwórca w jej własnym opowiadaniu „O tym, który okazał skrucę”, ani co jaszczurka o imieniu Miłosierdzie powiedziała kameleonowi o imieniu Skrucza.

Irena poczuła, że ktoś jej się przygląda i odwróciła głowę.

W odległości kilku kroków stała jasnowłosa, krótko ostrzyżona dziewczynka. Jej wzrok był dziwny – ni to wystraszony, ni to pytający.

\* \* \*

Noc minęła źle, a następny dzień zaczął się jeszcze gorzej – wynurzył się skądś tyran, Groch, który doszedł do siebie po kolejnym ciosie od losu, i zaczął

snuć między „ubogimi”, zerkając na nich, coś mamroczać i powoli się rozkręcając – najwyraźniej wydawało mu się, że jest imperatorem przechadzającym się wśród ostatecznie już rozpasanych sług, który mimo arystokratycznego pochodzenia i łagodnego charakteru będzie musiał wziąć się w garść i położyć koniec tej samowoli.

– Chodź no tu!

Niedorozwinięty chłopak o imieniu Ząb – ten sam, który trafił do przytułku razem z Ireną – podszedł, uśmiechając się ze zmieszaniem.

– Ty sssukinsynu... – zaciągnął Groch i jego głos był niemal pieszczotliwy.

– Nie znasz zasad, ty mały sukinsynu? Nie znasz prawa?

Ząb zatrzepotał rzadkimi rzęsami.

Genialna intuicja obłąkanego Grocha bezbłędnie wskazała mu ofiarę –

najsłabszą, najbardziej nadającą się do przygotowanej dla niej roli. Aby podporządkować sobie Zęba, „imperator” nie będzie musiał nawet szczególnie drażnić Objawienia.

Irena nie chciała na to patrzeć. Odwróciła się i poszła do domu.

W korytarzu – po śmierci kulawego cały воск został z podłogi dokładnie zeszkrobany – czekała na nią jasnowłosa dziewczynka.

Sama nie wiedząc, dlaczego to robi, poddając się nagłemu impulsowi, Irena położyła dłoń na jej główce.

Dziewczynka się nie odsunęła.

Jej oczy zrobiły się bezmyślne; osowiały, jak pod działaniem silnego narkotyku. Stała na palcach, jakby chciała przytrzymać rękę Ireny.

Najwidoczniej po raz pierwszy w życiu dziewczynka poczuła bezinteresowną pieśczęć. Nieobliczoną na ewentualny zysk.

Tylko jak udało jej się to wyczuć? Jakimś siódmym zmysłem?

Zresztą Irena i bez tego wiedziała, że wyróżnia się spośród innych; jak albinos w stadzie kruków. Od razu dostrzegł to Rek, natychmiast zrozumiał

Muzyk. Dziwne tylko, że nie zauważył tego Najwyższy Interpretator.

Choć i tak najbezpieczniejszym schronieniem okazał się dla niej „przysłup dla ubogich”. Może musi się po prostu przyczaić i zaczekać, dopóki modelator ostatecznie nie rozczaruje się względem swego genialnego modelu i nie przypomni sobie o byłej żonie, pechowej zwiadowczyni.

Jeśli w ogóle sobie przypomni. Jeśli wciąż żyje i jest tutaj, a nieskończona studnia modeli nie wciągnęła go niczym wir.

Być może każdy następny model jest bardziej obłąkany od poprzedniego oraz bardziej ograniczony przestrzennie. I w końcu Andrzej zmodeluje klatkę, jak w przypadku szalonej Flai, i skończy zamknięty w niej w towarzystwie absolutnie nieprawdopodobnych i zwariowanych stworzeń podlegających nieznanym prawom.

Chociaż nie. Andrzej zawsze wiedział, co i po co robi. Peter nie miał racji, uważając, że oszałamiający sukces, który ostatecznie zamienił się w klęskę, był

dla Kromara czymś nieoczekiwanym.

Na podobnych, przygnębiających rozważaniach upłynęła jej kolejna noc.

Rankiem brama się otworzyła, wpuszczając kolejną grupę dobrowolnych pomocników, i jako pierwszy wszedł szczupły chłop ze skupioną, wyrazistą twarzą i wygiętymi w tyłde brwiami.

Bezinteresowny rycerz Rek o przydomku Dzika Róża.

\* \* \*

Za sągiem drewna dzieci bawiły się w coś w rodzaju berka – bez uśmiechów, rzeczowo, jakby wykonywały jakąś odpowiedzialną pracę. Muzyk trącał struny swej lutni; Irena siedziała obok niego i patrzyła, jak Rek, naśladowując chłopską manierę poruszania się, rozładowuje stojący na środku podwórza wóz.

Wóz został przysłany przez Wysoki Dach. Kilka worków mąki, udźce, kiełbasy, olej, a nawet wino – szczodra darowizna miała przeważać popełniane pod Dachem grzechy. Kaleki i sieroty będą sobie przeżuwać placki, a władza będzie miała pewną swobodę ruchów – wszak nie istnieje władza bez

stosowania przymusu, a rządzący nie będą przecież płacić własną krwią za każdy wydany dekret.

Rek kompletnie nie potrafił udawać. Najpewniej już rozpoznano w nim przebranego arystokratę – no cóż, w przytułku przebierańcy pojawiali się częściej niż gdziekolwiek indziej.

A bezinteresowny rycerz był tu po raz pierwszy.

Bezinteresownym niepotrzebna była wysługa. Bezinteresowni mieli prawo czynić bezinteresowne dobro, a nie bezkarne zło.

Irenie zachciało się usiąść przed komputerem. Albo przynajmniej zdobyć pióro i kawałek papieru. Już wiedziała, jak napisać opowiadanie „O tym, który okazał skruchę” i jakie imię dać Stwórcy. Oczywiście nie Andrzej ani nie Kromar, byłoby to zbyt naiwne; jednak kiedyś, w czasach ich szczenięcej miłości, miała w zwyczaju nazywać go „Andrusem”.

Jaszczurka rozmawia z kameleonem. Kameleon ma na imię Miłosierdzie, a jaszczurka Skrucha... Czy na odwrót? Stop. Jeśli opowiadanie nosi tytuł „O

tym, który okazał skruchę”, to ktoś w nim ją musiał okazać. Czyżby był to Stwórca?!

Rek spojrział na nią przelotnie. Zbliżał się wieczór, jeszcze pół godziny i prace zostaną zakończone. „Ubogich” zawołają na kolację, robotników wyproszą za bramę... Co oznacza, że...

Zamknęła zmęczone oczy.

Dziś odbędzie się ucieczka. Dziś opuści przytułek. Dziś... Wydało jej się, że wydostanie się poza podwójny płot oznacza powrót do domu. Usiądzie za komputerem, przez noc napisze opowiadanie i przekaże je komisji nominującej do Srebrnego Wulkanu... Tylko po co jej ten Wulkan?!

– Co z tobą? – zapytał cicho Muzyk.

Drgnęła. Starzec milczał już od kilku dni. Nastąpił nawrót choroby.

– Nic.

– Przecież widzę...

Irena odwróciła głowę.

– Marzę o Srebrnym Wulkanie... Jestem obłąkana. O co chodzi?

Muzyk westchnął.

– Potrzebujesz... Mrocznego Interpretatora. Powinnaś...

– Kogo? – Irena zmarszczyła brwi.

– Mrocznego Interpretatora. Tego, który uczy ludzi, jak ustrzec się przed wyrokami Objawienia... Tak przynajmniej powiadają. A może kłamią... Kim jest dla ciebie ten chłopak?

– Który? – znów zapytała Irena rozmyślnie głupkowskim tonem.

– Ten, co rozładowuje wóz.

Irena zamarła. A więc to tak; cała jej staranna konspiracja prowadzi tylko do tego, że jej myśli są widoczne jak na dłoni.

Otworzyła usta, próbując wymyślić jakąś odpowiedź, lecz w tym momencie ktoś z zewnątrz zastukał w bramę. Natarczywie, nachalnie. Rozszczękały się psy.

Nosaty staruszek wyszedł na ganek. Obwiodł wzrokiem podwórze, wóz, robotnika Reka z workiem na ramieniu; kiwnął na dwóch strażników, którzy wynurzyli się z oficyny, i z niezadowoloną miną podszedł do bramy.

Muzyk zagrał dziwaczny, długo brzmiący akord.

Czas był nietypowy. O tej porze nie przyjmowano darowizn, nie wpuszczano robotników ani tym bardziej nowych pensjonariuszy.

Irena zauważyła, jak Rek zbladł pod warstwą opalenizny i kurzu.

– Kto tam? – zapytał staruszek, odsuwając zasuwę wizjera. Irena nie usłyszała odpowiedzi, jednak staruszek drgnął, zasepił się i gestem polecił

strażnikom, by zabrali psy. Brama zaskrzypiała i stanęła otworem.

Irena zorientowała się, że chowa się za plecami Reka. A on trzyma rękę w dziwnej pozycji, jakby podtrzymywał coś, co wisiało na jego boku, pod kurtą.

Weszli dwaj mężczyźni; nie byli to „odkupiciele” ani potencjalni „ubodzy”.

Obaj byli ubrani na czarno, mieli czapki z piórami, starszy zaś trzymał w opuszczonej ręce jakiś oficjalny dokument opatrzony pieczęcią.

– Nakazuje ci się, lekarzu, wydanie obłąkanej, ciężarnej kobiety, którą dostarczono ci z pałacu Interpretatorów na utrzymanie i leczenie...

I podał staruszkowi dokument. Ten wziął go drżącą ręką, zawahał się, odwrócił...

Lekarz z pokrytym żyłkami nosem wciąż się jeszcze odwracał. Irena próbowała westchnąć...

To było oczywiste, że z nikim jej nie pomyłają. I nie będą musieli sobie przypominać, kim jest ani kiedy została przywieziona – jej znak rozpoznawczy wydają od razu z kretelem. Brzuch...



Rek przeskoczył przez wóz. W jego dłoni niespodziewanie pojawił się kindżał, mężczyźni w czerni odskoczyli. Wyraźnie nie oczekiwali takiego obrotu sytuacji, mieli jednak znacznie lepszy refleks niż Irena.

Któryś z „ubogich” krzyknął ze strachem. Fałszywie zabrzmiała lutnia. Psy ujadły jak szalone.

– Zamknąć bramę! – władczo warknął mężczyzna, który przyniósł

dokument z pieczęcią. – Żywo!

Zarówno on, jak i jego towarzysz, byli uzbrojeni w ciężkie szpady. Dziwny, jasnowłosy Rek z zapędami szermierza znalazł się pomiędzy dwoma ostrzami

– wraz ze swym kindżałem.

Czyżby zabójstwo „na służbie” nie było zabójstwem?

Czy Wysoki Dach odkupuje grzechy swych podwładnych? Może robi to z wyprzedzeniem i na wozie, przy którym stoi teraz Rek, leży zapłata za jego przelaną krew? Mąka, mięso, olej dla ubogich?!

– Bój się Objawienia – rzekł ten, który przyniósł nakaz. – Rzuć broń...

bezinteresowny.

Rek milczał. Irena nie widziała jego twarzy. O czym teraz myślał? O

kobiecie, z którą tak naprawdę nic go nie łączy, oprócz kilku opowiadań? O

samych tekstach, „O rycerzu, który czynił zło, by być bezinteresownym”?!

Ciekawe – przemknęło je przez głowę – który z tych uzbrojonych mężczyzn czyni teraz zło, a który dobro? Naprawdę trudno powiedzieć. Rek reprezentuje interesy Ireny – a tych dwóch ze szpadami prawdopodobnie interesy państwa...

Kiedy się nad tym wszystkim zastanawiała, Rek skoczył.

Jego przeciwnicy byli wytrawnymi szermierzami. Ruchy walczących były zbyt szybkie dla postrzegania Ireny.

Rek przyłapał jednego z nich na zbyt szerokim wypadzie. Zanurkował pod ostrze i złapał atakującego za rękę; rozległ się stłumiony okrzyk. Szpada poleciała w dół, jednak Rek złapał ją kilka centymetrów nad ziemią.

Pozbawiony oręza wróg cofnął się – wzrok miał mętny, najwyraźniej Rek złamał mu rękę.

Irena przegapiła atak drugiego przeciwnika. Rozmazane ruchy, ułamek sekundy...

Mężczyzna w czerni uchylił się przed wypadem, krótko i wulgarnie zaklął i swym przeważającym ciężarem odrzucił rycerza, tak że ten uderzył plecami w wóz. Rozgrywanie tu turnieju nie leżało w interesach przedstawiciela Wysokiego Dachu. On reprezentował władzę. Brama zaraz zostanie zamknięta i...

Zaszło jednocześnie kilka wydarzeń.

Ochroniarze spuścili psy, które rzuciły się na wszystkich bez wyjątku.

Zapisać zaczęły rozbiegające się dzieci; muzyk w swym zakątku nieumiejętnie zasłaniał się lutnią; nie mógł biegać i Irena modliła się – nie wiadomo do kogo

– by psy nie potraktowały go jak łatwej zdobyczy.

Nosaty lekarz wrzasnął coś niewyraźnie. Nie posłuchały go ani psy, ani ochroniarze; jeden z ochotników bronił się, wymachując pałką, inny chwycił

za topór.

Wysoko na płocie – jak ona zdołała się tam wspiąć? – siedziała jasnowłosa dziewczynka i nie spuszczała z Ireny przerażonego, błagalnego spojrzenia.

Ogólna panika zadziałała na imperatora Grocha niczym zastrzyk adrenaliny. Wyjął coś o prawie i porządku, wpadł na pole bitwy, z dziwną wściekłością rzucił na nierozładowany z wozu worek mąki i rozerwał go gołymi rękami.

Powietrze wypełniło się białym pyłem.

– Pani Chmiel!!

Rek stał w bramie. W jednej ręce trzymał szpadę, drugą wyciągał w stronę Ireny.

Drogę zagrażał jej mężczyzna w czerni. Irena ze zdziwieniem spojrzała na swe ręce – po łokcie uwalane w mące, z białymi, zaciśniętymi pięściami.

Twarz tego, który tarasował jej drogę, była zalana krwią z płytkiej rany na czole.

Nie zastanawiając się, co robi – intuicyjnie – Irena sypnęła mu w oczy zawartość zaciśniętych pięści.

Krew i mąka – niezłe ciasto.

I prawie już dosięgając wyciągniętej dłoni Reka, spojrzała na Muzyka.

Tak, usłyszał. Pozostali mogli puścić to mimo uszu, ale obłąkany starzec usłyszał. „Pani Chmiel”.

Z trudem odrywając wzrok od jego wstrząśniętej twarzy, Irena rzuciła się w stronę bramy. Za jej plecami pozostała panika i zamieszanie; ochroniarze ganiający za psami, nosaty lekarz trzymający się

za serce, imperator Groch dzielnie walczący z zapasami żywności, ochroniarze, którzy stworzyli pacyfikujący oddział sanitariuszy i dwóch mężczyzn w czerni – obaj byli ranni, lecz wciąż zdolni do zorganizowania pościgu.

I jasnowłosa dziewczynka na płocie. Dziesięcioletnia dziewczynka, której nikt już nigdy nie pogłaszcze.

\* \* \*

Noc spędzili w lesie, w uprzednio przygotowanej przez Reka kryjówce.

Nocowali bez ognia, praktycznie bez snu i niemal bez słów.

I co dalej, chciała zapytać Irena, ale język stał jej kołkiem w gardle.

Bezinteresowny rycerz i bez tego zdawał sobie sprawę, że ich sytuacja nie jest szczególnie optymistyczna.

Ale też nie tragicznie zła. Nie ma tu posterunków policji, obowiązku meldunkowego, sieci komputerowej... W zasadzie mogłaby się najać jako pomoc przy jakimś zamożnym gospodarstwie i bez specjalnego trudu ukryć przed Wysokim Dachem.

– Czy to Wysoki Dach mnie... przesiaduje?

– Wysoki Dach ściga autorkę Chmiel już od dawna – odparł Rek znużonym tonem. W jego głosie brzmiał lekki wyrzut: no i po co udawać głupią?

– Mam dom – rzekła po chwili. – Pan ma konia... Moglibyśmy... To dzień drogi i będziemy na miejscu...

Rycerz westchnął.

Najwyraźniej miejsce jej zamieszkania było prześladowcom znane. I zapewne byli tam podczas nieobecności Ireny... A z Semirolem mieli po prostu szczęście, że po przejściu z modelu numer jeden do modelu numer dwa nie natknęli się w domu na mężczyzn w czerni, od razu zapoznając się z treścią zwiniętego w rulon dokumentu, spełniającego tu funkcję nakazu aresztowania...

Semirol. Semirol.

– Znalazłem go dla pani – rzekł głucho Rek.

Irena milczała przez chwilę. I aż podskoczyła.

– Co?!

– Znalazłem egzemplarz opowiadania „O tym, który okazał skruczę”. To zapewne jeden z ostatnich. Proszę...

Poruszenie w ciemności. W dłoni Ireny znalazł się gruby rulon papieru, przypominający zwiniętą tapetę.

Próbowała opanować drżenie.

– Dziękuję, Reku...

Nie wiedziała, za co dziękuje. Zapewne za opowiadanie. Gdyż nawet wdzięczność za ratunek wyraźnie ustępowała tej niespodziewanej radości, naglej wierze, że teraz na pewno wszystko się ułoży, a ona wszystko zrozumie, znajdzie klucz do tego świata, odszuka Andrzeja... Powróci do domu...

„To zapewne jeden z ostatnich”. A więc są w stanie zniszczyć jej opowiadanie, całkowicie, wszystkie egzemplarze... Trzeba zapamiętać tekst –

słowo w słowo – aby później odtworzyć...

Potem. Dla komisji nominującej do Wulkanu.

Irena się uśmiechnęła. Dobrze, że Rek nie widział tego uśmiechu.

Rozwinęła rulon. Nawet w świetle gwiazd było widać, że nie zawiera on dużo tekstu.

– Rek... krzesiwo, świeczka... kaganek... mamy cokolwiek?

Westchnął.

– Pani...

Zacisnęła zęby. Jasne. Musi poczekać na świt.

\* \* \*

O świcie w lesie zrobiło się chłodno, prawie jak w zimie. Tak w każdym razie wydawało się Irenie. Być może jej dreszcze wywołane były nerwami, wilgocią i bezsennością – niezależnie od przyczyn „autorka” Chmiel dygotała jak w gorączce i zaniepokojony Rek szczelniej otulił ją kocem, i położył się obok, próbując ją rozgrzać.

– Najwyższy Interpretator... – wymamrotała, szczękając zębami. – Do diabła, żeby sobie tylko języka nie odgryźć... Najwyższy Interpretator nie był

osobą, której szukam... On jest tylko Najwyższym Interpretatorem...

Kukielką...

– Najwyższy Interpretator jest kukielką? – zapytał Rek po chwili milczenia.

W pobliżu, na polanie, pasł się niewidoczny w ciemnościach koń.

Irena westchnęła.

– Kim jest Mroczny Interpretator?

Rycerz milczał. Mocniej przycisnął ją do siebie, poczuła sprzączkę na jego pasie, sznurowanie jego kurty, twarde mięśnie.

– Pamięta pan, Rek? Szukam człowieka, który... może pociągać za sznurki tego świata. Nie jest nim najwyższy Interpretator... Hercog zapewne też nie...

Więc kto?!

– Stwórca – wysunął przypuszczenie Rek z lekkim uśmiechem.

– Stwórca – odezwała się Irena jak echo. – I niestety, może on być również każdym... trenerem miejscowej... drużyny piłkarskiej... Przepraszam, Rek.

Wygaduję bzdury...

Niebo zaczęło szarzeć. Jeszcze trochę i będzie można rozwinać rulon. I przeczytać w końcu tekst, z którego powodu skromna kobieta nie ma w tym patriarchalnym, średniowiecznym świecie spokoju.

Delikatnie uwolniła się z objęć Reka. Usiadła. W lesie zaczęły śpiewać pierwsze ptaki. Irena po raz kolejny przekonała się, że świt jest najpiękniejszą porą dnia. Jaka szkoda, że w swoim życiu tak rzadko oglądała poranki, gdyż późno kładła się spać i budziła dawno po wschodzie słońca.

Sięgnęła do rzeczy Reka. Wyjęła z podróźnej sakwy rulon i rozwinęła go z wewnętrznym drżeniem.

Gdy zbliżyła tekst do oczu, była w stanie odcyfrować litery. A w każdym razie pierwszą – starannie wykaligrafowaną, ogromną, czerwoną i opatrzoną w zawijasy literę „P”... „Pewnego razu...”

Przeniosła wzrok na koniec tekstu. Jest podpis... „Irena Chmiel”. Jej charakter pisma, starannie skopiowany przez kogoś z oryginału.

Rek usiadł. Jednym gwałtownym ruchem, jakby wewnątrz niego nagle rozprostowała się sprężyna.

– Słyszysz pani?

Zamrugnęła oczami. Daleko w lesie... Tak. Dźwięki rogu, a potem szczekanie psów.

– Polowanie? – zapytała Irena niepewnie.

Rek – jego twarz powoli stawała się widoczna w ustępującym mroku – zacisnął cienkie usta.

– Tak... Polują na nas, pani Chmiel.

\* \* \*

Tak. Jeszcze kilka miesięcy i będzie jej się trudno poruszać. Na razie jeszcze wszystko w porządku. Jednak sama myśl o tym, że będzie musiała tu zostać, urodzić wampirzátko na sianie, a potem wychować go jako wiejskiego chłopca... albo nawet nieślubnego arystokratę, bękartą... od samej tej myśli albo z rezygnacją opadały jej ręce, albo, jak tym razem, rodziła się w niej nieprzeparta chęć działania...

Las ciągnął się bez końca. Rek szedł z przodu, prowadząc konia za uzdę.

Najwyraźniej miejsce ich noclegu zostało już odkryte... Ciekawe, czy Objawienie nie karze za prześladowanie niewinnej, brzemiennej kobiety? A może ci, którzy podążają teraz ich śladem, zawczasu odkupili się darowiznami, prezentami dla sierot, darmową służbą w lecznicach albo przytułkach?

A może, wedle praw tutejszego Objawienia, winna jest tylko ona, nieprawomyślna autorka, a ci, którzy ją ścigają, spełniają jedynie rolę społecznych sanitariuszy? I Objawienie ich jeszcze nagrodzi?!

Drzewa zaczęły się przeredzać. Rycerz odwrócił się.

– Zaraz wyjdziemy z lasu... Trzeba będzie pokonać rzekę... Jest tam droga... Wzdłuż stromego brzegu...

Irena skinęła głową.

Wystarczyłoby postój, króciutki... tylko na minutkę. I przeczytać opowiadanie „O tym, który okazał skrucę”. Chciała to zrobić już od chwili, gdy nad horyzontem pojawiło się słońce. Światło było idealne do czytania...

lecz niestety, nie mieli nawet minuty.

Trzeba iść przed siebie, w przeciwnym razie będzie relacjonować treść opowiadania katowi... z objaśnieniami i komentarzami autorki.

Las się skończył.

Tak, brzeg jest stromy. To już przedgórze; Irenie wydało się nawet, że poznaje okolicę. Jakby coś podobnego widziała już z okna samochodu, przelotnie, przejeżdżając obok z bezpieczną prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Spod końskich kopyt sypały się kamienie. Staczały się po stoku i z pluskiem wpadały do wody. Na dnie wąwozu płynęła rzeczka, a raczej strumień.

Irena musiała się pospieszyć.

Kiedyś z Andrzejem przez cały dzień budowali na podobnym strumieniu tamę. I utworzyli zbiornik trzy na trzy metry, w którym woda sięgała Irenie do podbródka. I przez dwadzieścia minut grali dmuchaną piłką w wodne polo, dopóki nie pojawił się leśniczy i nie urządził im awantury; zagroził nawet mandatem, gdyż, jak się okazało, podobne zapory są dla delikatnej przyrody bardzo szkodliwe.

– Uwaga, pani Chmiel! Ireno...

I bez tego starała się stąpać jak najostrożniej.

Musieli rozebrać zbudowaną z takim trudem tamę... A późną nocą, po powrocie do namiotu, wymarznieni i głodni, wypili z rozpaczy dwie butelki gęstego, mocnego wina... przy czym Irena piła na równi z Andrzejem...

Rankiem zaś...

Zachwiała się. Złapała za gałązkę jakiegoś krzewu.

Ścieżka prowadziła wzdłuż brzegu, który stawał się coraz wyższy i bardziej stromy; płynący na dnie strumień zamienił się w rzeczkę. Dość głęboką, sądząc po niesympatycznych wirach na powierzchni wody.

I woda była niewątpliwie zimna.

– Daleko jeszcze, Reku?

– Zaraz dotrzemy do mostu...

Nie dokończył. Koń się potknął. Zatańczył kopytami, spod których wysliznęła się cała warstwa piasku i gliny. Na oczach Ireny i Reka zwierzę zaczęło zsuwać się coraz niżej, szorując brzuchem po kamieniach.

Tak, woda była zimna. W każdym razie koń wybałuszył oczy, jakby wpadł w przerębel. Woda bryzgnęła aż na wysoki brzeg. Koń młócił kopytami, imitując ruchy pływaka, podczas gdy nurt nieubłaganie spychał jego ciężkie ciało, wlokąc je ze sobą.

Irena przyglądała się temu z otwartymi ustami. Koń płynął, a razem z nim przytroczony do siodła juk i podróżna sakwa, w której...

Irena jęknęła. Zasłoniła twarz rękami i usiadła na ścieżce.

– Naprzód!

Przed nią pojawiła się blada, wykrzywiona wściekłością twarz Reka.

– Naprzód. Jeśli nie chce pani...

Spod nóg osypywały się kamienie. Płynący koń już zniknął za zakrętem, co tam, wydostanie się. Jakiś

wieśniak będzie miał szczęście, przybędzie mu inwentarza. Jeśli oczywiście koń Reka nie jest nauczony szczekać na obcych jak pies i nie będzie wiernie szukać swego właściciela.

Choć dla „Tego, który okazał skruchę” to już bez różnicy. Wszystko jedno...

Zmusiła się, by wstać i ruszyć w dalszą drogę.

Zycie się jeszcze nie kończy. Ale czy znajdzie drugi egzemplarz?

\* \* \*

Most był wąski i kruchy, jak radość sieroty. Trzymał się na dwóch linach i jednym, zbutwiałym palu – nawet gdyby koń tu dotarł, i tak trzeba by skakać do wody.

– Proszę nie patrzeć w dół.

Irenie podobała się troskliwość Reka – i trochę ją bawiła. Zupełnie nie bała się rwącej wody. Ten świat, świat drugiego modelu, przy bliższym poznaniu okazywał się coraz bardziej miałki, żaloszny, zabawkowy...

Ten świat ją oszukał. Pierwsze wrażenie okazało się fałszywe. Studnia na drodze, żywa studnia z żywą wodą, jak pysk przedpotopowego potwora.

Dekoracja. Karton. Jedyne, co w tym świecie było prawdziwe i rzeczywiście przerażające, to ich Objawienie; nieubłagane kij i marchewka wiszące nad głową każdego jego mieszkańca.

Ciekawe, jak hercog zaskarbia sobie względy Objawienia? Kiedy trzeba na przykład obić niesfornego sługę? Rezygnuje z deseru i robi z kompotu darowiznę na rzecz domu dziecka?

A sympatyczny Rek sądzi, że ona boi się nędznego mostu, trzymetrowej wysokości i szybkiego nurtu?

Pod jej nogą złamała się deszczułka. Irena syknęła, kurczowo łapiąc się poręczy.

– Kto odpowiada za stan tego mostu?

– Co?

Szum wody zagłuszył jej słowa.

– Czy tędy w ogóle ktoś chodzi? – zapytała z irytacją.

Rek nie usłyszał.

Przeciwległy brzeg był znacznie łagodniejszy. Nie trzeba było nawet iść po ścieżce – stok był porośnięty krótką trawą, taką jaką obsadza się stadiony, klomby i podnóża pomników.

I, co było znacznie bardziej optymistyczne, nieco dalej na brzegu widniały napelnione wodą ślady



kopyt. Koń wywinął się lekkim szokiem, zapewne wkrótce nastąpi radosne spotkanie...

– Reku... – Irena się zatrzymała.

Rycerz się odwrócił.

– Co?

Zawahała się, zbierając myśli. Na czole mężczyzny pojawiła się zmarszczka zniecierpliwienia.

– Chodźmy już...

– Czy zachowało się krzesiwo?

Rycerz poklepał się po pasie, dając tym gestem do zrozumienia, że krzesiwo nosi zawsze przy sobie.

– Więc podpalmy most...

– Co?!

– Podpalimy most – rzekła Irena z większym przekonaniem.

– Żeby uciec pościgowi... Żeby trudniej im się było przeprawić...

Rek męczeńsko zmarszczył brwi.

– Podpalić... Za coś takiego Objawienie... da nam popalić.

– To dobry uczynek – rzekła Irena z kamienną twarzą.

– Most jest niebezpieczny. Niszcząc go, możemy uratować życie nieostrożnego wędrowca... albo dziecka, które zabłądziło. I skłonimy ewentualnych użytkowników... no, tych, którzy po nim czasem chodzą... aby doprowadzili swój teren do porządku. Naprawili ten albo zbudowali nowy... A może się myłę?

Rek milczał.

– Tracimy czas – oznajmiła nerwowo.

\* \* \*

Nie musieli podpalać mostu.

Wystarczyło przeciąć jedną z podtrzymujących go lin i most stał się całkowicie niezdatny do użytku, gdyż druga lina, kompletnie przegniła, urwała się sama.

– Nie tak efektownie, ale za to efektywnie – wymamrotała Irena pod nosem.

Rycerz przyglądał się jej niemal ze strachem.

– O co chodzi, Rek? Zawahał się.

– Nawet gdybym wcześniej wątpił, że jest pani autorką Chmiel, to teraz nie mam co do tego już najmniejszych wątpliwości.

– Naprawdę? – zapytała ze zmieszaniem. – Dlaczego?

Szli po stoku. Rzeka została za nimi; na wtpół zarośnięta ścieżka doprowadziła ich do drogi, która najprawdopodobniej wiodła do jakiejś wsi.

Wędrowcy byli głodni i spragnieni; Rek milczał tak długo, że Irena straciła już nadzieję na odpowiedź.

– Czy umyślnie zapytała mnie pani o Mrocznego Interpretatora, Ireno?

– Na pewno nieprzypadkowo – wymamrotała, próbując zrozumieć, do czego zmierza ta rozmowa.

– Chce pani, żebym opowiedział, co o tym myślę? No tak. Uznał jej pytanie za próbę. Za test.

– Tak, Reku... Będę panu bardzo wdzięczna.

Bezinteresowny rycerz westchnął.

– To, co mówiła pani o moście... jest typowym przykładem mrocznej interpretacji. Usprawiedliwianie się przed Objawieniem. Sprytne posunięcie...

– Niech pan poczeka – prawie się potknęła. – Ale przecież Objawienie karze albo nagradza... nie zamysły, lecz czyny! Jeśli będę przekonana, że dla ogólnego dobra powinnam kogoś zabić... to co? Objawienie wybaczy mi morderstwo?!

– Nie – rycerz patrzył pod nogi. – Jeśli zabije pani niewinnego człowieka, nawet będąc pewną, że robi to w słusznej sprawie... Objawienie tak czy siak panią ukarze. Lecz jeśli znajdzie pani kogoś, kto jest niebezpieczny... albo szkodzi wielu ludziom... i zabije go... Może pani pozostać bezkarna.

– Tym zajmują się wszyscy Interpretatorzy – rzekła odruchowo Irena. –

Jak postępować w skomplikowanych sytuacjach i co myśli o tym pan Objawienie... A może pani?

Rek pokręcił głową.

– Nie Interpretatorzy – kierując się doświadczeniem mówią po prostu, czego ich zdaniem można się po Objawieniu spodziewać. Natomiast Mroczny Interpretator uczy... jak postępować, aby Objawienie ominąć.

Przed nimi pojawiły się pokryte dachówką dachy. Wieś? Nie, raczej chutor, odosobniony, niewielki,

będzie tu można przynajmniej zjeść kolację.

Irena liczyła kroki. Dwadzieścia... Pięćdziesiąt...

– Reku... A po co pan w takim razie... tłucze dzbany ulicznych przekupek?

Czyni to zło, które pozwala panu pozostać... bezinteresownym.

– Objawienia nie da się tak łatwo oszukać – odparł rycerz twardym tonem.

– Za sam zamiar... też trzeba płacić...

\* \* \*

W chutorze zostali przyjęci bardzo radośnie. I ta radość była jakaś histeryczna.

Koń Reka dotarł nieco wcześniej niż jego pan. Wieśniacy nie ruszyli torby ani sakwy podróźnej, nie bez podstaw sądząc, że jest jeszcze nadzieja na pojawienie się ich prawowitego właściciela. „Przecież rycerz nie mógł tak po prostu utonąć w rzeczułce!”

Kierując się regułami gościnności – najpierw nakarmić i pozwolić odpocząć – mieszkańcy usadzili Reka i jego towarzyszkę za stołem, przygotowali łóżka i ciepłą wodę do mycia. Ze zgrzytaniem zębów musieli odmówić, gdyż w ciągu dwóch godzin w chutorze mógł pojawić się pościg.

W czasie gdy uciekinierzy opustoszały talerze i kubki, chłopcy rozmawiali wyłącznie o pogodzie, urodzaju i jakości jedzenia. Taki panował tu zwyczaj, najpierw nakarmić, a dopiero potem przejść do interesów; a że mają oni do brodatego rycerza jakąś sprawę, Rek i Irena zorientowali się niemal od razu.

– Do rzeczy, dobrzy ludzie – rzekł posępnie Rek, odsuwając talerz. Irena zrozumiała z przerażeniem, że postępując według prawideł i wymogów tej gry, podejmie on teraz każde wyzwanie; jeśli pokażą mu smoka za najbliższym pagórką – pójdzie z nim walczyć, zapominając o pościgu, mężczyznach w czerni i rozwścieczonym Wysokim Dachy.

Miała jedynie nadzieję, że nie zapomni o niej.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Starszy – krępy mężczyzna z łysiną i jasną brodą w kształcie szufelki – skrzywił się, jakby jego słowa były gorzkie w smaku.

– Mamy tu odmieńca, panie. Będzie już ze dwa tygodnie... W jaskiniach.

Bo tu jaskinie są pod brzegiem... No i krwi robotnika się opił. Wania ledwie z życiem uszedł... A odmieńca do jaskini uciekł. I siedzi... Dawniej dziewczki chodziły do tej jaskini ze świeczkami, po grzyby... Teraz się boją...

Brodacz zerknął na Irenę, jakby przeproszał za wdawanie się w przerażające szczegóły.

– Poszła onegdaj jedna... jeszcze wtedy, wcześniej... A wróciła jakby odmieniona, biała... na szyi dziurka... i ledwie stoi... Strachu się najadła.

Krwio pijca, powiada, świeczkę zdmuchnął. Straszny ten krwio pijca, niby jak człowiek, tyle że cały sierścią zarośnięty i chodzi na czworakach... I jąka się od tej pory... Znaczy się nie krwio pijca, tylko dziewczka... Może by pan rycerz...

uspokoił tego odmieńca? Sił już brak... Baby po nocach nie śpią... chłopcy boją się w polu pracować... Jeszcze wyjdzie z jaskini, po chatach przejdzie i krew będzie wysysać?!

Wszyscy obecni w pokoju niemal jednocześnie wykonali prawą ręką ten sam, skomplikowany gest – najwyraźniej odganiając złe duchy.

Irena siedziała jak słup soli i odruchowo głaskała się po brzuchu.

Podejrzewała, że w tym świecie istnieją krewni adwokata Semirola. Ani Rek, ani Interpretator nie zdziwili się przy słowie „wampir”... A więc to tak?

Na czworakach w jaskini...

Ciekawe, kiedy pościg pokona niezbyt trudną, wodną przeszkodę, złapie wyraźny jeszcze ślad i wpadnie do chutoru?

Napotkała wzrok bezinteresownego rycerza.

I od razu wszystko zrozumiała.

„Przecież się spieszymy, Rek”.

„Złożyłem przysięgę”.

Może w ramach zapłaty za dobry uczynek Objawienie obdarzy Reka powodzeniem... I pościg zgubi ślad...

Nie, powie Rek. Złożyłem przysięgę. I natychmiast popełni jakiś paskudny czyn. Po czym ich ewentualne powodzenie zatone w wirze pechowych wydarzeń.

– Z kogo krew ssal? – zapytał sucho rycerz. – Muszę obejrzeć ślady po zębach; chcę wiedzieć, co to za zwierz...

Tłum pod drzwiami – a w pokoju zebrała się masa ludzi – zafalował.

Wypchnięto naprzód siedemnastoletnią dziewczynę z płaczliwie wykrzywionymi ustami, ubraną w kokieteryjnie zdobione paletko.

Miała wysoko postawiony kołnierz. Co mi to przypomina? – pomyślała posepnie Irena.

Rek wstał. Położył dłoń na ramieniu dziewczyny – ta radośnie zamarła – i odsłonił brzeg kołnierza.

– Tak szybko się zagoiło? – zapytał z niedowierzaniem.

– Po... – rzekła dziewczyna. – Po... po...

Jej wargi zadrżały – już nie udawanie, żeby jej pożałowali. Tak naprawdę.

– Po pięciu dniach się zagoiło – rzekł ktoś od strony drzwi.

Nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia, Irena wstała i zajrzała Reкови przez ramię.

Bliznę na szyi dziewczyny można było dostrzec jedynie doświadczonym wzrokiem. Była długa i cienka jak biały włos.

Usiadła z powrotem. Machinalnie oderwała sobie kawałek chleba. Włożyła do ust.

Rek rzeczowo wypytywał mężczyzn. Zamawiał jakieś specjalne żelazo, żerdź, linę, latarnię; natychmiast obiecano mu zorganizowanie wszystkiego, czego sobie zażyczy, a nawet więcej. Najwyraźniej zdecydowanie młodego rycerza wprowadziło mieszkańców w euforię – trzeba wziąć się do roboty natychmiast, zanim słońce zajdzie.

Irena żuła chleb. Smaczna skórka, przyrumieniona.

Cała bieda w tym, że tak wolno kojarzy. Stąd biorą się wszystkie jej nieprzyjemności...

– Kiedy się pojawił? – zapytała ochryple, nikt jej jednak nie usłyszał.

Wówczas wstała, podeszła do mężczyzny z brodą w kształcie szufelki i bezceremonialnie szarpnęła go za rękaw.

– Kiedy pojawił się wampir?

– Wampir? – chłop zdaje się nie rozumiał.

– No, wasz krwiopijca...

– Będzie jakieś dwa tygodnie – odparł niepewnie mężczyzna. Jego wątpliwości nie dotyczyły bynajmniej dokładności terminu.

Zastanawiał się po prostu, czy należy rozmawiać z tą dziwną kobietą, która z jakiegoś powodu przyczepiła się do młodego rycerza, choć jest, nie da się tego ukryć, brzuchata...

Dwa tygodnie.

Dziesięć dni w przytułku. Trzy dni spędzone z Rekiem w mieście... Cztery dni oczekiwania na Semirola. A może straciła rachubę czasu?

I odległość od miasta do chutoru.

Choć odległości można chyba nie brać pod uwagę. Tu nie ma wielkich odległości. To bardzo ograniczony przestrzennie model.

Niezbyt pasuje. Chociaż...

– Reku – zdziwił ją własny głos, nieoczekiwanie niski i ochryple. – Musimy porozmawiać. Natychmiast.

\* \* \*

Odprowadzał ich niemal cały chutor. Do samej jaskini – a nie było jej wcale tak łatwo znaleźć wśród kamieni i wysokiej trawy – rycerz i Irena weszli już sami.

Rek był strapiony. Jego boleśnie zmarszczone brwi wyginały się już nie w tyldę, a raczej w zygzak.

– A jeśli nie ma pani racji? A najpewniej się pani myli; przecież nie mogę ryzykować...

– Wejdziemy razem – odparła Irena ze znużeniem. – Niech pan bierze swoje żerdzie, broń... latarnię... A ja bardzo szybko się przekonam, czy miałam rację. I natychmiast pana o tym poinformuję...

– Nie mogę ryzykować – powtórzył Rek z naciskiem.

Irena wzruszyła ramionami.

– W najgorszym razie zacznę się jąkać, jak ta nieszczęsna dziewczyna...

I pomyślała przy tym, że jeśli dożyła do dzisiaj i jeszcze się nie jąka, to zarośnięty sierścią krwio pijca raczej nie zrobi na niej większego wrażenia.

Krwio pijca w sądzie jest znacznie bardziej przerażający. Szczególnie gdy jest adwokatem.

Wejście do jaskini wyglądało niemal idyllicznie. Nad wąską, czarną szczeliną kołysały się czerwone i niebieskie kwiaty, w trawie śpiewały świerszcze, opodal walał się, ukazując pociemniałe dno, mały, zapomniany koszyk.

I oni chodzą tu zbierać grzyby? Jakie znowu grzyby? Pieczarki?!

– Ireno – wymamrotał Rek. Zapominając nawet z niepokoju o „pani”.

Ostrożnie zeszła po wyciętych w darni stopniach. Pochyliła się nisko i zajrzała w mrok.

Miała ochotę zawrócić. Łaskawie kiwnąć na Reka – dawaj, pracuj, rycerzu, to wszak twoja profesja...

Pewnie się ucieszy. Delikatnie odsunie ją ramieniem, jak najdalej od ewentualnego krwiopijcy, w bezpieczne miejsce... Weźmie swój oręż, latarnię, żerdzie... A właściwie na co mu te żerdzie?

– Jest tu kto? – zapytała Irena szeptem.

Żadnego dźwięku, żadnego echa; przywykające do ciemności oczy zaczynają rozróżniać wąskie wejście i jasne łyko lipowe, tworzące przed nimi rodzaj zasłony... oraz korzenie, dolną część trawy.

– Jest tu kto?

Cisza.

– Janie... Janie! To ja, odezwij się!

Wydawało jej się, że w mroku wejścia dostrzega jakiś ruch – a może naprawdę ktoś się tam poruszył?

Złapała Reka za łokieć. Chciała wziąć od niego latarnię, ale rycerz na to nie pozwolił. Zbyt duży ciężar dla kobiety w jej stanie.

Po omszałych ścianach przesunął się promień światła. To tu, to tam rzeczywiście białe kapelusze nieznanych grzybów; mało tego, niedaleko wejścia znajdowała się dziecięca mozaika, starannie wyłożona kamykami na ścianie – puzaty człowiek z rogami i psim ogonem. Ogarek świecy. Kilka wyraźnie odbitych dłoni. Gdyby tylko umieli pisać, nabazgraliby pewnie coś w rodzaju: „Reja i Iwonik to mąż i żona”.

Najwyraźniej wiejska młodzież chodziła do jaskini nie tylko po grzyby, lecz również bawić się, grać. A także na pierwsze schadzki. Gdyby tylko rodzice wiedzieli, na jakie bezeceństwa marnowany jest воск...

Rek krytycznie zlustrował wąski korytarz. Postawił latarnię na ziemi i wybrał ze swego ekwipunku nieznaną Irenie broń – coś w rodzaju lekkiego, bojowego cepa. Jego białe brwi zeszyły się nad nosem. Wyglądał jak niezwykle skoncentrowany student, zapoznający się z egzaminacyjnymi pytaniami.

– No i jak, pani Chmiel? Zrozumiała już pani swą omyłkę?

Ciemność pachniała wilgocią, wapieniem... i czymś jeszcze. Irena nie mogła rozpoznać tego zapachu, który wyraźnie ją niepokoił.

– Poczekaj pani na mnie na górze, Ireno. – Rycerz delikatnie popchnął ją w stronę wyjścia.

– Czy wyeliminował już pan kiedyś jakiegoś krwiopijcę, Reku?

Nawet jeśli wyczuł w jej głosie ironię, nie dał tego po sobie poznać.

\* \* \*

Wrócił po półgodzinie. Cały ten czas Irena przesiedziała w trawie wśród mleczy i maków – nie miała jednak najmniejszej ochoty na plecenie wianka.

Rek ciężko wspiał się po wyciętych w ziemi stopniach. Usiadł na trawie, obok położył swą broń. Irena mimowolnie zerknęła na kolczastą kulę – nie, krwi nie było.

– Ktoś tam jest – rzekł Rek wyczerpanym tonem. – Mądrzejszy niż zwykły, włochaty potwór... Kilka razy mógł się na mnie rzucić; uznał jednak, że nie warto tego robić.

– Widział go pan? – szybko zapytała Irena. Rek pokręcił głową.

– Tam dalej... są przejścia... ślepe tunele... te diabelskie grzyby pod nogami... Dzieciaki mają tu pewnie frajdę. Nic, tylko bawić się w chowanego...

Nagle zamilkł, spoglądając Irenie przez ramię.

Policzyła do trzech i także się odwróciła.

Od strony chutoru zbliżało się, co koń wyskoczy, sześciu jeźdźców. Tuż przed nimi, tworząc fale w wysokiej trawie, pędziły psy. Cała sfora.

– Oto i oni – rzekła Irena ochryple.

Rek powoli obnażył ostrze. Jego twarz zrobiła się całkiem biała – na tym tle nawet jego jasne oczy wyglądały jak oliwki.

Sześciu jeźdźców ze sforą psów – opisując tę sytuację w swojej książce, Irena oczywiście skoncentrowałaby się na okrutnej prawdzie. Rycerz zostaje złapany na arkan i zawleczony przed tron, by można mu wymierzyć serię haniebnych kar.

Choć czytelnik nie byłby zadowolony.

Zastanawiała się jeszcze nad tym, gdy można już było rozróżnić twarze jeźdźców; pierwszy, w bandażach, galopował ten, który nie tak dawno zjawił

się w „przytułku dla ubogich” z rulonem nakazu.

– Reku... na dół...

Nie słyszał jej. W wyobraźni już walczył – był wojownikiem... i trupem.

– Reku!! Na dół, szybciej...

Odwrócił się. I chyba zrozumiał. Popchnął ją w stronę wejścia do jaskini –

niech pani idzie, ja umrę na progu...



– Idziemy razem, Reku!

Ziemia wyraźnie już drżała pod końskimi kopytami.

– Dureń! – warknęła tak agresywnie, jak nigdy nie krzyczała na najbardziej nawet tępego studenta. – Sama boję się tam iść! Za mną, żywo...

Jego oczy nieco się rozjaśniły. Ponad horyzontem odwagi pojawił się skrawek myśli.

W mroku podziemia przewaga napastników była zniwelowana. Chociaż pewnie nic nie przeszkodzi im zdobyć w chutorze latarnię i zorganizować klasyczną obławę – Irena podejrzewała jednak, że psy będą co najmniej zdezorientowane.

Przez całe życie dobrze traktowała psy. A doszło do tego, że życzy całej sforze rychłej śmierci. Ależ się te bestie rozszczękały.

Szła za Rekiem, deptając mu po piętach. Przez jakiś czas można się w tej jaskini utrzymać – inna sprawa, że nie będą przecież do końca życia żywić się grzybami.

Choć tak naprawdę, ile im tego życia zostało?

Rycerz się zatrzymał. Irena wpadła na niego i z boku musiało to wyglądać komicznie.

– Reku...

– Cicho. Zamilkła.

Szczekanie psów się oddaliło i dochodziło teraz wyraźnie z góry. Tak jest –

psy odmówiły szwendania się po ciemku; tu potrzeba jamników, a nie tych spasionych ludojadów. O ile w tym świecie istnieją jamniki.

Jednak Reka nie zatrzymały psy. Rycerz wodził latarnią, przenosząc wzrok z jednego korytarza na drugi. Pochylał się, próbując zajrzeć głębiej; nie mógł

się jednak zdecydować, by iść dalej.

– Co tam jest, Reku?

Cisza. Dalekie szczekanie psów.

I wzrok z ciemności. Ni to z prawej, ni z lewej odnogi.

Irena przełknęła gorzką ślinę. Odruchowo pogłaskała się po brzuchu; biedny malec. Urodzisz się strasznie nerwowy. Będziesz się bał ciemności i pieluch...

– Janie...

Cisza.

– Janie, to ja...

– Widzę...

Rek drgnął.

Głos dochodził z prawej strony. Cichy, zmęczony i bezbarwny.

– Dzięki Stwórcy... żyjesz, Ireno.

## Rozdział 12

– Jak mnie odnaleźliście?

– Nie szukaliśmy ciebie – uśmiechnęła się nerwowo. – To znaczy teraz nie szukaliśmy... Jesteśmy ścigani.

– Do diabła... Ty po prostu przyciągasz kłopoty, Ireno.

– Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzało – oznajmiła przygnębionym tonem. – To... modele. One mnie wykańczają.

– Znalazłaś wyjście?

Milczała przez chwilę.

– Nie... Sądziłam raczej, że to ty je znalazłeś...

Tym razem milczenie było wieloznaczne.

– Uznałaś – rzekł wampir powoli – że uciekłem, pozostawiając cię na pastwę losu?

– Nie... to znaczy przez moment... Nie, nie podejrzewałam tego.

– Ireno – głos wampira był niemal pogardliwy.

– Naprawdę tak nie sądziłam, Janie. Słowo honoru... Uznałam, że coś ci się przytrafiło.

– Rzeczywiście coś... – wampir uśmiechnął się w ciemności.

Siedzieli na suchym mchu. Latarnię musieli zgasić. Z całej trójki jedynie Semirol widział w ciemnościach.

Irena zastanawiała się, jaką minę musi mieć teraz rycerz. Semirol na pewno go widzi i świetnie się bawi.

Przez chwilę zrobiło jej się żal Reka, który na pewno nie zasłużył na ironię.

Szczekające na górze psy już dawno się zmęczyły. Teraz najprawdopodobniej mężczyźni w czerni szykują ekspedycję do piekła, a wystraszeni wieśniacy namawiają ich, żeby z tego zrezygnowali, bo krwio pijca pewnikiem zarówno rycerzem, jak i niegodziwą uciekinierką nasycił już głód...

a raczej pragnienie...

Wyczerpana do cna Irena zamknęła oczy. W tej ciemności nie robiło to żadnej różnicy, a z zamkniętymi oczami wygodniej.

Ktoś wziął ją za rękę. Uścisk był znajomy, lecz niezwykle słaby; potem dłoń delikatnie legła na jej brzuchu.

– Wszystko w porządku, Janie.

Zdaje się, że powiedziała to zbyt rześko. Dotyk Semirola był jednocześnie łagodny i władczy. Dlaczego wtedy, leżąc na słomie w obskurnej noclegowni, obiecała sobie, że odda to dziecko temu, który je... zamówił?

Choćby był nawet po trzykroć wampirem!

– Janie, ja...

Zająknęła się. Wampir znów ścisnął jej dłoń – pocieszająco, lecz bardzo słabo.

– To nic, Ireno... Tej nocy potrzebowałem... wiesz, czego. Wstrząs nerwowy i wszystko inne; krótko mówiąc – potrzeba fizjologiczna. Szybko znalazłem osobę, kosztem której mogłem ją zaspokoić. Nie bój się – chłopak przeżył... Za to Objawienie... Mogliśmy się od razu domyślić. Objawienie uznało, że moje czyny zasługują na karę... Wywróciłem się i złamałem nogę! Na prostej drodze, Ireno! Tak się zdziwiłem... Obok przejeżdżał wóz... I tu, Ireno, zaczyna się najciekawsza część tej historii... Zamiast zawieźć mnie do szpitala, jak prosiłem... ten idiota uznał, że najwyższy czas zapracować na trochę pomyślności dla niego i córki... I zawiózł kalekę, to znaczy mnie, do swojej chałupy na przedmieściach, aby się mną opiekować... A ja przecież niczego nie rozumiałem, Ireno! To znaczy dopiero zacząłem rozumieć... Idioci.

Nieprawidłowo złożyli mi nogę! Nie uznali, by zwracanie się do lekarza było konieczne – dlaczego rozdawać komuś obcemu zasługi przed Objawieniem...

Och; nie raz i nie dwa wspominałem Nicka – to był prawdziwy zawodowiec, a raczej wciąż nim jest... Krótko mówiąc, moja cierpliwość się wyczerpała.

Uzupełniłem zapasy hemoglobiny i o kulach powlokłem się w poszukiwaniu lekarza... Jednak Oświeceni znów się coś nie spodobało; zostałem namierzony i zaszczuty jak wampir! Bieganie na jednej nodze jest niewygodne... i bolesne. Zaszłyłem się w jakiejś dziurze... Do dzisiaj moja noga nie chce się zrosnąć, możliwe są wszelakie komplikacje... Nie wykluczam posocznicy. Tak naprawdę już dawno bym zginął, gdyby w jaskini od czasu do czasu nie pojawiali się...

– Jest pan wampirem? – zapytał rycerz głuchym tonem.

Irena drgnęła, słysząc brzmienie tego głosu.

– Tak – odparł obojętnie Semirol.

– To pan wysysał krew z...

– Po trzykroć tak! Ale tej dziewczynie chyba się nawet podobało.

Irena uwolniła rękę z dłoni Semirola. Ten nie próbował jej nawet powstrzymać.

– Reku – gorliwie uśmiechnęła się w pustkę. – Poznajcie się. To jest pan Jan Semirol, o którym tyle opowiadałam.. A to, Janie, pan Rektoonor, o przydomku Dzika Róża, bezinteresowny wędrowny rycerz... Pomagał mi cię odnaleźć.

Zapadła cisza. Zbyt długa, jak na niewymuszoną, uprzejmą rozmowę.

– A więc to pan jest tym cynicznym, zagrażający ludzkości potworem? –

zapytał Rek i w jego głosie zabrzmiały metaliczne nutki.

Irena wczepiła się dłońmi w szeleszczący mech.

– Ludzkości? – zapytał Semirol ze zdziwieniem. – A kto występuje tu w roli ludzkości, młodzieńcze?

Rek nie słuchał.

– Przyrzekłem tym ludziom, że pana zabiję... I spełnię swoją obietnicę.

– Teraz? – zapytał Semirol z sarkazmem.

Jaskinia ożyła.

Z oddali dobiegły... nie, nie głosy. Prowadzący obławę zachowywali milczenie, cicho skrzypiały tylko kamyki pod ich nogami, czasem zabręczała stal.

Polowanie się zaczęło. A w zasadzie rozpoczął się jego kolejny etap.

Semirol zbliżył twarz do ucha Ireny i poczuła szorstką szczecinę na jego policzku.

– Bierz swojego Don Kichota i uciekaj w głąb jaskini.

– A pan?!

– Jestem kaleką, ale nie do tego stopnia...

Zauważyła, że jego głos lekko drży. Na pewno nie ze strachu ani niepokoju...

Zdolnym adwokatem miotają teraz zupełnie inne namiętności. Niezwykle silne i niewątpliwie nieludzkie namiętności.

– No idźcie już, Ireno... Bardzo tego potrzebuję. W przeciwnym razie umrę.

\* \* \*

Irenie nie udało się dowiedzieć niczego o dodatkowych zdolnościach wampira, które nie znajdowały zastosowania na sali sądowej. Nie była nawet pewna, czy w ogóle takowe posiadał. Jak powiedział w swoim czasie Nick:

„Diabli go tam wiedzą, to w końcu wampir”.

Rek w milczeniu pociągnął ją w ciemność. Na oślep, sunąc dłonią po ścianie, rycerz dotarł do odległej odnogi korytarza, w ślepy zaułek i chowając Irenę za swymi plecami, stanął wyprostowany, zagradzając przejście i trzymając w pogotowiu swój cep.

Przez cały czas słyszeli, jak osypuje się piasek i poskrzypują kamyki. Jak niewyraźnie, półgłosem wymieniają uwagi jacyś ludzie; potem na ścianę padł

słaby odbłask latarni, po czym natychmiast znikł i rozległ się dźwięk rozbijanego szkła.

Przekleństwa... Najwyraźniej ogień został zdeptany, zanim zajął się rozlany olej.

Kolejne przekleństwa. Przygłuszony okrzyk.

Sprawiedliwy Rek Dzika Róża zaskrzypiał zębami.

Wrzask przerażenia. Zbliżający się tupot nóg.

Kolejny krzyk. Cisza. Ciemność.

Rozdzierający uszy wrzask. Kolejny brzęk szkła. Oddalający się korytarzem krzyk.

– Niech się pan nie boi, Reku – rzekła Irena z nerwowym śmiechem.

Chyba się odwrócił. Dobrze, że nie widziała jego twarzy.

Tak naprawdę uspokajała siebie, a nie jego. Tak naprawdę potwornie się bała – oczywiście nie mężczyzn w czerni.

Bała się, że w ciszy, która zapadnie pod ziemią, rozlegnie się miarowe, zadowolone mlaskanie.

\* \* \*

– A jeśli powrócą?!

– Nie powrócą – odparł Semirol z wyraźnym żalem. Siedział pod ścianą, wyciągając nogę

przewiązaną pasami materiału. Obok leżał wykonany z gałęzi kostur, zastępujący okulałemu adwokatowi laskę. Latarnia oświetlała jego twarz, wychudzoną i zarośniętą; jeszcze przed godziną adwokat przypominał

raczej włóczęgę spod płotu – lecz teraz jego długie włosy odzyskały swój naturalny połysk i wygładziła mu się skóra na czole i policzkach.

Irena starała się nie patrzeć na Reka. Być może swym zachowaniem naruszyła najważniejsze dla rycerza zasady etyczne, w rodzaju: nie wolno rozmawiać z wampirem, chyba że za pomocą osinowego kołka.

Chociaż osinowe kołki wampir miał w głębokim poważaniu.

– Dlaczego was ścigają, Ireno?

Milczała przez chwilę.

– Z powodu mojego opowiadania. Nosi ono tytuł: „O tym, który okazał skruchę”, a ja go nawet nie...

Zdążyła ugryźć się w język. Rek milczał, a Semirol i tak wszystko zrozumiał.

Latarnia paliła się równym płomieniem. Oleju wystarczy jeszcze na kilka godzin, a potem cała trójka będzie dysponowała jedynie jedną parą oczu.

Semirola.

– Musimy się stąd wydostać, Janie – rzekła, starając się, by jej głos zabrzmiał możliwie przekonująco. – Musimy stąd wyjść, Reku.

– Szukałaś *wyjścia!*

– Tak... I szukałam Andrzeja.

– Poszukiwania nie przyniosły rezultatu?

– Jeszcze się nie zakończyły.

Rek z wątpliwością pokręcił głową. „Nie wiem, kogo chcecie znaleźć; jednak jedno Objawienie wie, czy warto szukać dalej”.

Prześladowcy zniknęli i już się nie pojawili. Co wcale nie oznaczało, że przy wyjściu z jaskini na uciekinierów nie oczekiwała zasadzka... Było raczej pewne, że na nich czekali.

– Nie ma tu drugiego wyjścia?

Semirol mruknął sceptycznie.

– Budowa tej jaskini to inna sprawa, Ireno... Żaden speleolog nie uwierzy w jej istnienie. To dekoracja, sztuczny wytwór, w rodzaju parkowej lub ogrodowej groty... Łatwo tu się bawić w policjantów i złodziei... co właśnie robimy.

Oderwał od najbliższej ściany biały półokrąg podziemnego grzyba. Ze smakiem odgryzł spory kęs; Irena poczuła mdłości.

Rek wyduł wargi. Od chwili, gdy powrócił nasycony Semirol, nie wymówił ani słowa. Trzymał latarnię, lecz nie otwierał ust.

– Przecież nikogo tak naprawdę nie zabiłeś? – zapytała Irena po raz trzeci.

Specjalnie dla Reka.

Semirol westchnął i przewrócił oczami. Rek milczał.

– Idiota – rzekł z uczuciem wampir. – Twój Andrzej jest kompletnym kretynem... Powinien potrenować na morskich świnkach, zanim...

– Objawienie nie ma władzy nad morskimi świnkami, Janie. One rządzą się innymi prawami.

Nieruchome powietrze drgnęło. Jego gęsta fala boleśnie uderzyła w bębniaki – była to odległa eksplozja. Zatrzęsły się ściany, z sufitu poleciały kamienie i kawałki gliny, ogłuchli od huku.

Oślonięty szklanym kloszem płomień latarni zadygotał, jednak nie zgasł.

– Oho – rzekł Semirol.

Rek milczał.

Zapanowała jakby nowa jakość ciszy – gdzieś coś osiadało i osypywało się, jednak te dźwięki jedynie podkreślały zimne, jak w prosektorium, milczenie.

– Wyszadziłeś wyjście – rzekł Semirol. – Najwyraźniej udało im się tu wymyślić coś w rodzaju prochu.

Rek wziął Irenę za rękę.

Odruchowo. Chcąc dodać jej otuchy. Semirol dostrzegł jego gest i uśmiechnął się blado.

– Szlachetny bezinteresowny rycerzu... Proszę wziąć latarnię i sprawdzić moje podejrzenie. Obawiam się, że przed wyjściem czeka na nas straszliwy zawał.

Rek nieprzyjemnie wykrzywił wargi.

– Rozumiem. – Semirol cierpliwie kiwnął głową. – Ani przez sekundę nie uważałem, że mam prawo

wydawać panu rozkazy. Proszę jednak pomyśleć...

Jestem okulawiony i poruszanie się sprawia mi wielką trudność. A przecież nie będziemy narażać Ireny na niebezpieczeństwo?

Najwyraźniej w tamtej chwili Irena wyglądała szczególnie niepewnie i żałośnie – w każdym razie Rek obrzucił ją długim spojrzeniem, cicho wstał, wziął w jedną rękę latarnię, w drugą swą broń i ruszył wzdłuż korytarza.

Światło w jego dłoni oddalało się coraz bardziej. Zagłębiał się w tunelu niczym wagon metra.

Światelko zniknęło za rogiem. Irena pochyliła głowę – choć w ciemności było nawet lepiej.

– Ile czasu minęło... tam, skąd przybyliśmy? – zapytał Semirol cicho.

Irena wyteżyła pamięć – jednak wciąż nie była w stanie tego obliczyć.

– Jeśli przyjąć, że ten model znajduje się w tamtym modelu ze stosunkiem upływu czasu jeden do dziesięciu... To znaczy w podobnej relacji jak poprzedni model względem... – chciała powiedzieć „rzeczywistości”, ale ugryzła się w język.

– Prawie cztery doby – sucho dokończył Semirol. – A jeśli funkcjonuje on... w innym reżimie czasowym?

Nie odpowiedziała.

– Rozumiem. – Semirol westchnął. – A kiedy zorientowałaś się, czym jest Objawienie? Przecież dawno się tego domyśliłaś? A może nie mam racji?

Zaczęła opowiadać – początkowo miała wrażenie, że wyklada po raz trzeci z rzędu to samo zagadnienie. Wszystko to zostało już dawno powiedziane, przemyślane i poukładane; ciągle łapała się na niezręcznych powtórzeniach, język stawał jej kołkiem w gardle...

A potem ją to wciągnęło. Znow zobaczyła las prowadzących do Interpretatorów, spiralnych schodów, „przytułek dla ubogich” i zniszczony przez wodę rulon papieru...

– Zachowała się jedynie pierwsza litera. Duże „P”. Pozostały tekst całkowicie się rozmył. Proszę bardzo – uśmiechnęła się wymuszenie. – A ty wspominałeś coś o wątpliwych zdolnościach artystycznych...

– Wśród utworów, które znaleźliśmy w twoim domu, nie było opowiadania

„O tym, który okazał skrucę” – zauważył Semirol.

– To prawda.

Cisza. Piasek przestał się osypywać; nie było słychać wiatru, kroków ani szelestu wijących się pod



ziemią korzeni.

– Myślałem o Nicku, Sicie i Elzie... Jeśli nie wrócę... będzie po nich.

Irena sceptycznie wzruszyła ramionami. Jej z kolei wydawało się, że uwalniając się od wampira, byli skazańcy zaczęli żyć pełną parą.

– Zdajesz sobie przecież sprawę, że nie mogą żyć w społeczeństwie.

Zostaną złapani... Prędzej czy później wpadną... ja zostanę uznany za niegodziwca, a egzekucja i tak się odbędzie. Niestety, tak to wygląda.

– A co z prawem zerwanej szubienicy?

– O czym mówisz?

– Jeśli lina przypadkowo się zerwie i skazaniec pozostanie przy życiu – zostaje ułaskawiony.

– Nie istnieje takie prawo – odparł Semirol po chwili milczenia.

– To u was go nie ma – Irena ze znużeniem oparła się o omszałą ścianę. –

Gdyż Andrzej zbyt się postarał... w swoim dążeniu do nieprzekupności.

– Dlaczego jeszcze nie zwariowałem? – rzekł Semirol sam do siebie.

Cisza. Czarna cisza przestronnej mogiły.

– Boję się, Janie.

– Myśl o dziecku. Nie potrzebujesz negatywnych emocji.

– A jeśli jesteśmy zasypani i...

Na ściany jaskini padł oddalony blask latarni. Wraczał Rek.

\* \* \*

– Zawaliło się jakieś dziesięć metrów korytarza. Nie mam pojęcia, co mogli tam podłożyć...

– Damy radę się przekopać? – zapytał rzeczowo Semirol.

Rycerz uśmiechnął się krzywo.

– W kilka miesięcy na pewno się wyrobimy... Mając oczywiście szufle zamiast dłoni.

Latarnię postawił na ziemi – jednak broni nie wypuścił, co Irena zauważyła z nieprzyjemnym przeczuciem.

– A dokąd mamy się spieszyć? – zapytał Semirol wesołym tonem. – Wodę mamy, strumyk jest co prawda wyjątkowo błotnisty, ale za to ekologicznie czysty... Grzyby są jadalne. Inna sprawa, że pani Chmiel potrzebuje w swym stanie witamin, mięsa, warzyw, mleka, światła słonecznego, higienicznych zabiegów, pozytywnych emocji...

– Odsuń się od niej – rzekł Rek głuchym głosem.

– Co? – Semirol udał, że nie dosłyszał.

– Odsuń się od niej, wampirze... – Palce rycerza kurczowo zacisnęły się na cepie. – Odsuń się od tej kobiety!

– Co mówisz? – Semirol błazeńsko przystawił dłoń do ucha.

– Pewnie sądzisz, że umrzesz jako ostatni, wampirze. – W świetle latarni błysnęły wyszczerzone zęby Reka. – Nie dam ci takiej szansy. Zginiesz jako pierwszy, krwiopijco!

Cep zaczął się obracać i nagle zniknął. Przemienił w rozmazany w ciemności krąg. Pozostał tylko świst przecinanego powietrza i lodowate spojrzenie bezinteresownego rycerza.

– Reku! – krzyknęła Irena bezsilnie.

Semirol się uśmiechał.

– Do licha, Ireno, skąd go... nieważne. Będzie się pan musiał schylić, młodzieńcze, gdyż w tej chwili nie jestem w stanie wstać, nawet podpierając się kosturem... Niech pan wali, rycerzu. Nie będę się bronił.

Irena domyślała się, że Semirol blefuje; choć bardzo przy tym ryzykuje. Nie miał pojęcia, czym bezinteresowny rycerz różni się od swych schematycznych, książkowych współbraci. Bezinteresowni bywają niekiedy naprawdę podli i czynią prawdziwe zło – po prostu dla zasady. Czy Rek zdobędzie się na szlachetny czyn względem okulałego wampira?!

Nie robi tego. Irena pojęła to, widząc fanatycznie wygięte brwi.

– Reku, przestań!!

Zerknął na nią zmrużonymi oczami. Nie bał się zabić. Nie chciał jednak urazić swej towarzyszki. Nie chciał zabijać w jej obecności.

Cep zwolnił.

– Pani Ireno... Pani Chmiel. Nie wiem, co łączy panią z tą istotą... Jesteśmy jednak w pułapce. A ten potwór może przeżyć jeszcze bardzo długo, żywiąc się naszą krwią i...

Irena wstrzymała oddech.

– Niech pan go zostawi, Reku... To ojciec mojego dziecka.

\* \* \*

Wilgoć wdzierała się pod ubranie. Doktor Nick pewnie by zemdłał, gdyby zobaczył, w jakich warunkach spędza czas jego podopieczna.

– Masz ochotę na grzyba, Ireno?

– Dziękuję. Nie jestem głodna.

Ciemność. Posępny rycerz. Rek wziął latarnię i poszedł na zwiady –

prawdopodobnie nie stracił jeszcze wiary. I dopóki błądzi po jaskini, Irena ma jeszcze promyk nadziei, że zaraz znajdzie drogę, powróci, w milczeniu weźmie ją za rękę i wyprowadzi na światło dzienne.

A może wyjdzie sam? Zostawiając ich – wampira i jego kobietę – by w nieskończoność dotrzymywali sobie towarzystwa?!

– Albo weźmy tych bezinteresownych – Semirol pólleżał, oparty ramieniem o omszały kamień. – Spośród wszystkich innych praw natury...

gdyż Objawienie jest jedynie prawem natury... umieli wyodrębnić to, które jest „niemoralne”. I nauczyli sieje obchodzić... Kto jednak nauczył ich odróżniać tak zwane dobro od tak zwanego zła? I skąd ta ich pewność, że nienagrodzone dobro jest bardziej szlachetne...? A właśnie, co cię łączy z tym młodzieńcem, Ireno?

Miała wrażenie, że adwokat lekko się uśmiecha. W każdym razie jego głos drgnął ironicznie w absolutnej dla Ireny ciemności.

– To wielbiciel mojej twórczości – odparła znużonym tonem. – Moje wczesne opowiadania... wpłynęły na jego życiowe decyzje. Żaden laureat Srebrnego Wulkanu nie może poszczycić się podobnym osiągnięciem.

Semirol mruknął z sarkazmem.

– Nie ma się z czego śmiać, Janie... Poza tym ten młodzieniec, jak raczyłeś go nazwać, kilkakrotnie mnie uratował, być może nawet od śmierci.

– Czy Objawienie go za to wynagrodziło, czy może przeciwnie, ukarało?

Irena poczuła się niepewnie. Semirol doskonale widzi jej twarz, podczas gdy ona wpatruje się w ciemność.

– Pytam z zawodowej ciekawości... Ten model jest skrajnie sztuczny; jestem wstrząśnięty, że przetrwał dłużej niż dobę... Bałem się o ciebie.

Wyglądało na to, że cię porzuciłem... Nie możesz błąkać się po tym zwariowanym świecie. Potrzebujesz spokoju, pozytywnych emocji, pieszych spacerów...

Irena milczała.

– Po kiego diabła zorganizowałaś tę idiotyczną ucieczkę? Źle ci było na farmie? Ktoś ciebie obrażał, nie liczo się z twoim zdaniem, nie szanowano?!

– Ta rozmowa jest bezcelowa, Janie.

– Chcę, żeby dziecko przeżyło, Ireno.

– Trzeba więc było hodować je w inkubatorze... Inkubator nie uciekłby przed tobą, nie rościł sobie pretensji do dziecka. Inkubator można by potem oddać na złom.

Przypominało to rozmowę przez telefon. Kiedy rzucasz słowa w pustkę, nie mając możliwości zobaczenia twarzy rozmówcy. Ręka Semirola legła na jej dłoni. Ścisnęła ją lekko.

– Jesteś jak Objawienie, Ireno. Gdy raz się względem ciebie zawini, trzeba to odkupywać przez resztę życia.

– Prawdziwy z ciebie poeta – rzekła przez zaciśnięte zęby. Semirol głośno westchnął.

– Biedni będą moi klienci... jeśli nie pojawię się na procesie. Ależ będą rozczarowani... Tak... Bardzo bym chciał, Ireno, przyjrzeć się Interpretatorom.

Tu miałaś rację – żeby rozpracować Objawienie, trzeba zacząć od Interpretatorów. Szkoda, że sam nie zdażyłem...

– Dlaczego niczego nie robisz? – zapytała Irena.

– To znaczy?

– Rycerz przynajmniej szuka wyjścia... A ty? Chcesz tak umrzeć –

bezczyinnie, zagłębiony w rozważaniach?

– Wybacz, ale nie zamierzam umierać.

Irena zadygotała i pomyślała, że wampir zwariował, nie wytrzymał stresu...

– Natomiast szukanie wyjścia nie ma sensu, sam z trudem się poruszam, a trzykrotnie tu wszystko obszedłem... Dziwna jaskinia. Sztuczna, podobnie jak reszta tego świata; już o tym wspominałem... Zdaje się, że są tu nawet powtarzające się fragmenty, jakby dekoratorowi zabrakło wyobraźni... A

zastanawiam się nad tym wszystkim, Ireno, gdyż boli mnie noga. Uważasz, że powinienem się więc i jęczeć z bólu?

– Przepraszam – odparła Irena po chwili.

– Nie ma za co... Weź grzyba. Wcale nie jest tak tragicz...

Nowy dźwięk naruszył ciszę jaskini.

Było to uderzenie. Jednak nie tak silne jak huk zawału. Cichsze i bardziej przygłuszone. A zaraz po nim seria kolejnych, przypominających gromy uderzeń. Potem zaś rozległ się dźwięk, jakby ktoś rozerwał worek gęsto napakowany fasolą i twarde ziarenka rozsypały się po cementowej podłodze.

Irena nie wiedziała, skąd to skojarzenie. Jej ręka odruchowo wczepiła się w ramię Semirola.

Dźwięk nie cichł. Akustyka jaskini dziwnie go zniekształcała – wydawało się, że syk i szelest dobiega zewsząd.

Potem w korytarzu mignęło światło; mdły blask latarni spowodował, że Irena boleśnie zmrużyła oczy.

– Tam... – Rek ciężko dyszał. – Pani Chmiel... woda... rzeka przebiła...

otwór. Teraz...

– Jak długo? – zapytał ostro Semirol.

– Co?

– Ile czasu zajmie wodzie zalanie całej jaskini?!

Rek milczał. Patrzył na Irenę, na jej znieruchomiałą, bladą twarz, na zaokrąglony brzuch... Jego brwi zastygły pełnymi cierpienia znakami tyldy.

Dopiero teraz, trawiąc nowość, Irena po raz pierwszy zwątpiła w

„braterskość” jego uczuć. Tak, Semirol miał rację, kiedy chrząkał z sarkazmem.

Rek patrzył. Latarnia podrygiwała w jego dłoni. Bał się, bał się w nieprzystojny dla rycerza sposób.

I oczywiście nie o siebie.

\* \* \*

Woda szukała drogi w dół. Podmywała ściany, jak wąż przesączała przez szczeliny, burzyła gęstą pianą. Blask latarni rozchodził się po jej wzburzonej powierzchni, woda była czarna niczym węgiel, piana zaś bura.

– Objawieniu nie podoba się... mój pociąg do cudzej hemoglobiny – rzekł

ochryple Semirol.

Stał, ciężko opierając się na swym kosturze. Woda zalewała jego pantofle.

Irena milczała.

Wampir dziwnie szybko przystosował się do nowych warunków. Jakież to proste – szukać i upatrywać przyczyny wszystkiego w długim spisie, notatniku Objawienia.

– Ja również mam coś na sumieniu – nieoczekiwanie odezwał się Rek.

Milczał tak długo, że Irena prawie zapomniała brzmienia jego głosu. – Ja również... Mam na rękach krew ludzi z Wysokiego Dachy... Mam na sumieniu oszustwo...

– Nie jestem spowiednikiem – oznajmił Semirol oschłym tonem. Na szczęście Rek go nie zrozumiał.

Wody przybywało. Od ścian co chwilę odpadały warstwy rozmokłej gliny i spadały na ziemię, zasypując korytarz. Płomień latarni, dla oszczędności zmniejszony do minimum, nie rozświetlał już mroku – wręcz przeciwnie, wzmagął panikę.

– Gdzieś to już widziałem – rzekł Semirol z odrazą. – W jakimś filmie...

Przypominasz sobie, Ireno?

Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że to też pamięta. Tunel, przerażeni, skazani ludzie, wzbierająca woda... Superman, który przybywa z pomocą...

Nawet jeśli myślą o różnych filmach – nie zmienia to postaci rzeczy.

Oglądany kiedyś, nawet przelotnie, kadr z jakiegoś filmu, strona przeczytana w zapomnianej książce... model utkany z fragmentów drugoplanowych faktów. Mozaika. Gra...

Wody przybywało.

– Uciekajmy stąd – rzekł Semirol rzeczowym tonem. – Są jeszcze suche miejsca i mamy trochę czasu.

Podobno turkuć podjadek, utrapienie ogrodników, ryje swoje norki uwzględniając niebezpieczeństwo zatopienia. Faliście. Głębokie korytarze sąsiadują z płytkimi i nawet jeśli ogrodnik zaleje norki roztworem mydlin z naftą – turkuć odczeka kataklizm na niezatapialnej „górcie” i nie będzie chleptać trucizny.

W jaskini woda swobodnie płynęła przez korytarze; najwyraźniej wywołany eksplozją wstrząs naruszył subtelną równowagę warstw ziemi i rzeczka, która od dawna czekała na odpowiedni moment, nie miała oporów, by zachwiać geologiczną równowagę. Wkrótce czyjeś urodzajne pole zapadnie się, w miejscu pastwiska pojawi się zapadlina, a pechowi wieśniacy będą musieli nająć się

u sąsiadów albo w ogóle wyruszyć w świat.

Irena potrząsnęła głową.

Nie. Przestała myśleć logicznie. To, co się teraz dzieje, jest uwarunkowane ludzkimi grzechami. Rek popełnił oszustwo, najmując się do „przytułku dla ubogich” i używając przemocy, gdy ratował Irenę przed mężczyznami w czerni. Semirol – to nie ulega wątpliwości – wysysał ludzką krew. Ci wieśniacy, których pole wkrótce się zapadnie, też czymś zawinili.

A jeśli na górze nie ma żadnego pastwiska, tylko ugór?

Niech będzie. Ale czym zawiniła ona? Oczywiście traktowanie jej, jako osoby świętej, byłoby naiwnością, ale żeby od razu ciężki grzech, który niemal doprowadził ją do śmierci?

Może było nim opowiadanie „O tym, który okazał skruchę”? Zaraz! Aten, jeszcze nienarodzony, ale już człowiek, który w niej żyje? – czy Objawienie w ogóle bierze go pod uwagę?!

– ...czy mnie słuchasz? Mówię, że zgodnie z prawami fizyki... masa wypartej wody... przebicie... instrumenty... strumień powietrza... Choć wszystko to raczej nie ma znaczenia w tym nedorzecznym wszechświecie...

Semirol mówił cicho, przez zęby, i większość jego monologu umknęła uwadze Ireny.

Rek milczał.

Najwyższym fragmentem jaskini była droga prowadząca do wyjścia. A właściwie ślepy zaułek; zawał przykrył zarówno dzieło na ścianie, jak i ślady dziecięcych dłoni. Ratując się przed wodą, rycerz, wampir i kobieta wspięli się na hałdę kamieni i gliny; to miejsce potok zaleje na końcu, choć nie ma też stąd żadnej ucieczki... Zaleje ich rozmyta ziemia – uduszą się, szamocząc w lodowatej wodzie.

Dłoń Semirola spoczywała na brzuchu Ireny. Jakby próbując go ochronić...

Czy dziecko zdaje sobie sprawę, że wkrótce umrze?

Wieczne spory lekarzy – od którego momentu nienarodzony robaczek z ogonem i skrzelami jest godny nazywać się człowiekiem?

Czyżby Objawienie nie widziało, że wraz z trzema innymi osobami zabija niewinne stworzenie? A może płód zawinił tym, że pojawi się na świecie jako wampir?!

Oto odpowiedź Ireny na pytanie Interpretatora.

– Nie denerwuj się, Ireno. Twój stres udziela się dziecku – adrenalina we krwi...

Uśmiechnęła się krzywo. Niech i tak będzie, umrzemy, zachowując zimną krew...

– Powinniśmy ugłaskać Objawienie – rzekł milczący dotąd Rek.

Irena poczuła, jak drgnęła dłoń Semirola. – Musimy zasłużyć...

zapracować... Rek mówił z trudnością. Nigdy na nic nie „zapracowywał” – on, bezinteresowny, zamierzał złamać przysięgę... Na szczęście Semirol w lot pojął

jego myśl.

– Brawo, rycerzu... Nie prawa fizyki, lecz prawa Objawienia.... Słyszysz mnie, Ireno? Wiem, że masz wielką wyobraźnię, myślisz jednak zbyt wolno, a woda płynie za szybko... Jak w zagadce o basenie z dwoma odpływami...

Szanowni przysięgli; mamy tu trzy osoby i przybierającą wodę...

Zapadła cisza.

– Cztery osoby – szeptem dodała Irena.

– Cztery – potwierdził Semirol po chwili. – I za wszelką cenę musimy obłaskawić Objawienie... podobnie jak robiły te kanale w przytułku, o których wspominałaś. Myśl. A także pan, rycerzu... Jakieś propozycje?

Cisza. Dźwięk zbliżającej się wody.

Któreś z nich powinno natychmiast zasłużyć na nagrodę. Zrobić dobry uczynek. Komuś ze swoich bliskich. Naprawdę dobry uczynek...

Irena zachichotała nerwowo.

– A może przetnę sobie palec, a któryś z was go opatrzy? – I powie „moje ty biedactwo” – zachichotał w odpowiedzi Semirol. – Lepiej pocałuj rycerza.

To będzie bardziej humanitarne.

Niepotrzebnie tak zażartował. Irenę przeszedł zimny dreszcz.

– A może zabiję wampira? – beznamiętnie zaproponował Rek. – Będzie to kolosalne dobro, dla całej ludzkości.

– ...jeśli tylko Objawienie nie uzna tego za morderstwo. Niech pan nie pogłębia swej winy, oskarżony!

Semirol opanował się. Ciężko oparł się na swym kosturze. Milczał przez chwilę, po czym zapytał już innym tonem, rzeczowo i oschle.

– Ireno, czy przesłaś kurs pierwszej pomocy? W instytucie pewnie takie były? Albo w trakcie kursu



na prawo jazdy, zgadza się?

Przytaknęła odruchowo.

– Znakomicie... Masz przed sobą pacjenta. Wciąż jeszcze nie rozumiała.

– Miałem otwarte złamanie – cierpliwie wyjaśnił Semirol. – Spędziłem bardzo dużo czasu bez zapasu świeżej krwi... proszę mi wybaczyć, bez hemoglobiny... i leczony byłem tak groteskowo, że kość do tej pory się nie zrosła. Teraz się regeneruję – choć istnieje ryzyko, że będę już zawsze kulawy, gdyż kość zrasta się nieprawidłowo... Nie irytuje cię fakt, że tak dużo mówię?

Twoim zadaniem, Ireno, będzie złamanie źle zrastającej się kości, złożenie jej na nowo oraz prawidłowe jej usztywnienie. Nadażasz?

Milczała.

– Tylko się pospiesz, Ireno. Rycerz będzie świecił latarnią... To będzie naprawdę dobry uczynek. Bez wątpienia. To nie jakiś tam skaleczony palec...

Po tygodniu będę mógł już chodzić. A po miesiącu tańczyć.

– Jeśli wda się zakażenie, umrzesz – rzekł rycerz chłodnym tonem.

– Gadanie! – głos Semirola brzmiał niemal radośnie. – Mam teraz przyływ sił i nieograniczoną odporność.

– Nawet włosy ci lśnią – rzekła Irena szeptem, jednak Semirol usłyszał.

– Tak... i twarz mam zadbaną. Ireno, wiesz, co robić.

– Nie mogę – rzekła jeszcze ciszej.

Jakby odpowiadając na jej słowa, ziemia drgnęła i korytarz wypełnił się kolejnym zawaliskiem. Fala uderzeniowa pomknęła wzdłuż chodnika, próbowała polizać pantofle Ireny – nie udało jej się ich jednak dosięgnąć i cofnęła się, by po chwili znowu powrócić.

– Nie mogę, Janie. Bez znieczulenia... Wolę już umrzeć.

– Baba – wymamrotał Semirol.

– Tak, baba... Poza tym nie wiem, jak prawidłowo składa się kości...

Wagarowałam podczas zajęć o udzielaniu pierwszej pomocy... I wątpię, by uczyli tam czegoś takiego...

– Ja to zrobię – odezwał się Rek.

Na jakiś czas zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem wdzierającej się coraz głębiej wody.

– Potrafię to robić... moja niańka nastawiała kości... Uczyła mnie... Tylko...

Rek zamilkł.

– Gdybym nie był pewien, że to wytrzymam – rzekł Semirol przymilnym tonem – nie robiłbym podobnej propozycji... Nie trzeba mnie będzie przytrzymywać. Przecież właśnie o tym pan myślał, zacny rycerzu? – Semirol zamilkł na chwilę. – A może troszczenie się o zdrowie wampira jest podłością wobec społeczeństwa?

Rek milczał.

– No to mamy rozwiązanie – Semirol usiadł prosto i zdjął kurtę. – Ta koszulka nie jest zbyt sterylna, ale wspominałem już o swej odporności...

Będiesz trzymać latarnię, Ireno. W ostateczności zamkniesz oczy... dziecku na nic takie stresy... I pospiesz się, rycerzu, pospiesz, na Stwórcę, niech pan wyciąga z pochwy swe... instrumenty!

\* \* \*

Słońce padało na piasek. Słońce.

Jego plamy pełzały po trawie niczym rozrzucone fragmenty układanki. W

odległości trzech metrów płonęło ognisko i w świetle dnia było ono niemal niewidoczne.

Irena oparła się na łokciu.

Ocknęła się po raz pierwszy od chwili, gdy w mroku na wpół zatopionych podziemi pojawiła się ukośna szczelina, wpuszczając blask rozświetlonego nieba.

Zresztą, co tam – raczej od chwili, gdy pod ciężarem cepa rycerza trzasnęła nie do końca zrośnięta kość Semirola.

To wspomnienie sprawiło, że konwulsyjnie wciągnęła powietrze do płuc.

Biedne dziecko, biedne maleństwo, dostaje krew zatrutą przez adrenalinę; a ona nie może się denerwować, nie może...

Po raz pierwszy od tamtej chwili wróciła jej zdolność widzenia i kojarzenia.

Las. Brzeg. Cisza. Ale nie głucha jak w jaskini, lecz wypełniona różnymi dźwiękami cisza letniego południa... Słońce. Po prostu sielanka.

Przysunęła się do ogniska. Położyła się, rozgrzewając jednocześnie żarem ogniska i promieniami słońca.

Przekłete Objawienie. Bezlitosne, ślepe, prostolinijne jak feldfebel.

Zorientowała się, że ktoś się jej przygląda.

Semirol leżał z niewygodnie odwróconą głową. Jego oczy nie były już zasnutę mgiełką bólu. Wzrok wampira był uważny i jasny.

Stała na czworakach. Zbliżyła się, płacząc w porwanych połach sukni.

Usiadła obok.

– Janie?

Uspokajająco przymknął oczy. „Wszystko w porządku. Nie ma się czym martwić”.

Jego noga była z obu stron unieruchomiona dwoma wygiętymi kijami.

Czas stanął w miejscu. Słońce wisiało za ażurowymi koronami drzew, nieruchome i życzliwe. Niczym oko zrównoważonego, sytego bożka.

– Oszukaliśmy Objawienie – wyszeptała Irena.

Od strony rzeki pojawił się Rek. Rzucił na trawę kilka dużych, nieznanym Irenie ryb. Obrzucił spojrzeniem Irenę i leżącego Semirola, po czym odwrócił

wzrok.

Irena po raz kolejny doceniła męstwo bezinteresownego rycerza. Rek udawał, że ani oprzytomniała Irena, ani rozbudzony Semirol w ogóle go nie interesują.

## **Rozdział 13**

– Pewien gospodarz nie doliczył się monety i uznał, że wzięła ją służąca... I sprawił służącej lanie, a że był podпиты, skatował ją prawie na śmierć...

Następnego dnia ręka uwięzła mu w młockarni i lekarz amputował mu ją do samego ramienia. Gdy gospodarz otrząsnął się z tej tragedii, zaczął się zastanawiać, jak przebłagać Objawienie. I chcąc odzyskać rękę, podarował

swoje domostwo wdowie po bracie, która żyła w ubóstwie pod cudzym dachem... I niespodziewanie odkopał na swym polu skrzynię, w której znajdowały się dwie złote rękawice... I rozplakał się nieszcześnie z goryczą i wściekłością: „Objawienie sobie ze mnie zadrwiło... nie ma gorszej kpiny niż podarowanie rękawiczek człowiekowi z jedną ręką!” A inny młodzieniec chciał

zaskarbić sobie miłość pięknej dziewczyny i aby skraść jej serce, ukradł

pieniądze i kupił jej drogocenny pierścionek... Jednak dziewczyna nie przyjęła podarku, a

Objawienie, za kradzież, pokarało młodzieńca impotencją.

Wówczas, chcąc odkupić swą winę, zaczął opiekować się nędzaczami, karmić sieroty i nie było dnia, by nie spełnił jakiegoś dobrego uczynku. Objawienie było z niego zadowolone i nagrodziło go miłością pięknej dziewczyny. A gdy znaleźli się w łożu, gorzko zapłakała... gdyż mimo swej urody, nie miała z niego pożytku. A morał z mojej opowieści wynika taki: gdy czynisz zło, niech ci się nie wydaje, że uda ci się ugłaskać surowe Objawienie... Obyś potem gorzko nie zapłakał!

Gawędziarz umilkł. Zebrana w karczmie gawiedź wymieniała spojrzenia –

pełne uznania, lecz jednocześnie niepewne i wystraszone. Puszczona po sali czapka wróciła do opowiadającego wypełniona miedziakami.

– Dziękuję, dobrzy ludzie. Jutro opowiem o kobiecie, która sama zadawała sobie rany, by rodzice mogli ją opatrywać... I o wilku, który gardził mięsem, by zaskarbić sobie względy Objawienia... Oraz o koźle, który stratował ogród i został ukarany za uczynione szkody... Ale to jutro, dobrzy ludzie. Teraz wyszło mi w gardle.

Gawędziarz jednym haustem opróżnił podany mu kubek, wstał, opierając się na kosturze, i oddalił do swego pokoju – ci, którzy widzieli go dzień wcześniej, mogliby przysiąc, że poruszanie się przychodziło mu teraz znacznie łatwiej.

Zauważyła to w każdym razie Irena, która ruszyła jego śladem.

Za ich plecami zamknęły się dębowe drzwi.

– Oto nasza jałmużna – rzekł Semirol, wysypując na stół pociemniałe i zatłuszczone miedziaki.

Rek, siedzący z niezadowoloną miną przed płonącą świecą, pominął to milczeniem.

Semirol usiadł przy stole. Przysunął sobie talerz z wystygłym kotletem.

Wyciągnął ze schowka butelkę czerwonego wina i sam ją opróżnił. Rek wciąż milczał. Irena usiadła na taborecie naprzeciw.

– No i co, rycerzu? Składaczu kości? – Semirol odstawił butelkę. –

Będziemy tak milczeć w nieskończoność?

Rek obrzucił wampira posępnym spojrzeniem. Semirol swobodnie rozparł się w krześle.

– Jestem panu wdzięczny za pomoc, którą swego czasu okazał pan Irenie...

I szczególnie za niezwykle sprawnie wykonany zabieg chirurgiczny.

Najwyraźniej jest pan najbardziej zacnym wśród bezinteresownych i najbardziej bezinteresownym spośród zacnych.

Rek uniósł głowę.

– Muszę porozmawiać z panią Ireną. Sam na sam.

Semirol przesunął językiem po wargach, jakby zlizywał z nich resztki wina.

Pobębnił palcami po stole i skinął głową.

– W porządku.

Wstał i wyszedł, cicho postukując kosturem. Irena patrzyła na pozostałości po kotlecie. Nie była głodna. Ani trochę.

– Pozwoli pani, że ją opuszczę... – Rek patrzył prosto przed siebie.

Oczekiwała tych słów. I mimo wszystko wstrząsnął nią dreszcz.

– Prosiła mnie pani o pomoc w poszukiwaniu dwóch osób. Jedną z nich...

– Rek się zaciął. – Jednego znaleźliśmy. Wygląda na to, że moja misja jest zakończona.

Ciągle jeszcze milczała.

Była przerażona. Przywykła do tego, że ma przy sobie kamienną ścianę albo przynajmniej twardą poręcz, o którą może się oprzeć – małomównego Reka.

I chociaż Semirol był pod wieloma względami bardziej pewny –

perspektywa pozostania w tym paranoicznym świecie jedynie w towarzystwie wampira wydała jej się nie do zniesienia.

– Proszę jednak – przełknęła ślinę – proszę to jednak przemyśleć, Reku.

Muszę znaleźć z Janem... jeszcze jednego człowieka... krótko mówiąc, nasze poszukiwania... nie są jeszcze zakończone. Jestem poszukiwana... –

westchnęła spazmatycznie. – Będzie mi pana brakować. Mówię to szczerze.

Obrzucił ją szybkim, taksującym spojrzeniem. Odwrócił głowę.

– Ojciec pani dziecka nie może znieść mojej obecności. Najwyraźniej ma ku temu powody.

Drgnęła, jakby wymierzył jej policzek.

– To, co łączy mnie z Semirolelem... niech pan sobie myśli, co chce. Ale to nie to, co się panu wydaje.

Uśmiechnął się blado.

– Skąd pani wie, o czym myślę?

W sali jadalnej hałasowali zaspokajający głód goście. Ktoś ciężkim krokiem przeszedł przez korytarz, coś roztrzaskało się z hukiem, w pobliżu trzasnęły drzwi.

– Proszę mi uwierzyć, Ireno, że ja również... widzi pani. Jeśli nie przestanę... pani pomagać, złamię przysięgę.

Nie zrozumiała, więc wyjaśnił jej z wyrozumiałym uśmiechem, jakby zwracał się do dziecka.

– Moja służba dla pani... przestała być bezinteresowna. Oglądanie pani codziennie jest nagrodą, której nie mam prawa oczekiwać.

To było takie proste.

Milczeli jeszcze przez dziesięć minut. W końcu, bez pukania, nie skrzypnąwszy nawet drzwiami, powrócił Semirol. Przyjrzał im się po kolei i odchrząknął. Irena zdała sobie sprawę, że nienawidzi tego cynika. Niemal nienawidzi.

– Jutro rano ruszam w drogę – oznajmił rycerz beznamiętnym tonem.

Semirol kiwnął głową, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

– A my zostajemy. Naszemu przyszłemu dziecku wystarczy już mocnych wrażeń.

„Naszemu przyszłemu dziecku”. A więc Semirol przemyślał całą sprawę i nie zamierza już odebrać go Irenie?!

„Naszemu przyszłemu dziecku”. Cóż takiego pomyślał Rek, że jego oczy stały się nagle zimne jak lód?

– Myli się pan, Reku – rzekła bezsilnie. – Proszę zostać.

Rycerz wahał się przez chwilę. Po czym wstał i wyszedł, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

W powietrzu unosił się zapach kwasu oraz świeżego drewna i dymu.

Jednak odór kwasu przeważał, przesączaając się przez szpary, powodując że Irena skrzywiła się z niesmakiem.

Choć po tych wszystkich przejściach; jakie tam znowu mogła czuć obrzydzenie?

– Janie... czy jesteś pewien, że służby Wysokiego Dachy nie depczą nam po piętach? A jeśli tak, to nie staniesz przecież z mieczem czy tym koślawym kosturem w progu tego pokoju?

– A więc zamierzasz zatrzymać rycerza z pobudek praktycznych? –

upewnił się Semirol po chwili milczenia. – To godne pochwały.

Irena poczuła wyrzuty sumienia.

Semirol miał rację. Irena tolerowała wielkodusznego Reka wyłącznie z pobudek praktycznych. Jakby był wygodnym, niewymagającym i częstokroć pożytecznym przedmiotem.

– Jednak ludzie z tak zwanego Wysokiego Dachy – oby jak najszybciej się on zawalił – już dawno stracili cię z oczu. Więc się uspokój; po co się gorączkować. Myśl, Ireno. Masz przewagę czasową, więc myśl, gdzie można znaleźć twojego Andrzeja. Jeśli nie chcesz urodzić w anty-sanitarnych warunkach.

– Rodzą tak tysiące kobiet – odparła nieoczekiwanie dla samej siebie.

Wampir uniósł brwi.

– Czyżby? A więc podobna perspektywa już cię nie przeraża?

Odwróciła się.

Dokładnie o piątej rano pod oknami zaćwierka szpak. Nie ma pojęcia, skąd się wziął na tutejszej stajni – lecz o piątej, przed świtem, zaśpiewa donośnie:

„ćwir, ćwir!” i ten dźwięk wedrze się w jej kolejny sen. Będzie śniła, że jest we własnym domu, leży na tapczanie i głaska żółwia, oszołomiona zwariowanym snem o nieskończonych modelach; i nagle pod oknami zarzy osioł...

Obudzi się zlaną zimnym potem, chcąc obudzić się znowu – z powrotem do swego życia... Niestety, próżne nadzieje. Nic z tego...

– Ireno – rzekł wampir łagodnym tonem. – Myśl. Masz jakieś pomysły?

Milczała.

Rek... jej najwierniejszy czytelnik. Najbardziej... bezinteresowny. Odejdzie bez szemrania, pozostawiając ją z jej przewinieniem. Z wykroczeniem, którego tak naprawdę nie popełniła – choć już nigdy go nie zapomni.

– To bardzo ciasny świat, Ireno. Bardzo mały i zwarty. Jeśli będzie trzeba, przemierzmy go wzdłuż i wszerz. Znajdziemy Andrzeja, nie możemy się poddawać.

Irena wyczuła, że Semirol umyślnie upraszcza ich zadanie. Odnalezienie Andrzeja wcale nie rozwiąże ich problemu. Im lepiej poznaje te modele, tym mniejszą ma ochotę na spotkanie ich twórcy.

– Mroczny Interpretator – wyszeptwała.

– Słucham?

– Mroczny Interpretator... człowiek, który uczy, jak oszukać Objawienie.

Semirol z powątpiewaniem podrapał się po nosie.

– W przeciwieństwie do swoich „jasnych” kolegów – Irena uśmiechnęła się blado – nie siedzi pod Dachem. Wędruje po drogach... w najlepszych tradycjach powieści przygodowych. Ma nieograniczone pole do przeprowadzania eksperymentów... To szalenie. Choć nie mam pojęcia, jak go odnaleźć.

Głosy w sali jadalnej przybierały na sile. Zaraz rozlegną się śpiewy... o, właśnie zaczęli. Zabrział drżący, lecz silny głos – zdaje się, że to jednooki poganiacz mułów, który przesiaduje w karczmie już trzeci dzień i słuchając opowiadań gawędziarza-Semirola, wybałusza jak dziecko swe jedyne oko.

Piosenka miała niezliczoną liczbę kupletów. Za akompaniament służyły drewniane kubki. I ponownie Irena miała wrażenie, że gdzieś to już kiedyś widziała i słyszała. Jakiś nieznany klasyk opisał już to wszystko i chór bywalców karczmy przeniósł się z książki w książkę, z filmu do filmu.

– Nie zdążyłam na początek trymestru – rzekła Irena obojętnym tonem.

Semirol uniósł brwi, chciał coś powiedzieć, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi, wpuszczając dźwięki niekończącej się piosenki oraz bezinteresownego rycerza, Reka, bladego jak niedopieczony pieróg.

– Pościg?! – Irena zdała sobie sprawę, że stoi pośrodku pokoju, ściskając w dłoniach ciężki świecznik. Żywoć włączyła nawet zółwia nauczy błyskawicznej reakcji i obdarzy go szybkim refleksem. Jeszcze niczego nie rozumiesz, a już uciekasz, odruchowo się ostrzeliwując.

Rek w milczeniu pokręcił głową. Zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na Irenę, potem na Semirola.

– Są tam... ludzie. Wypytyują o Mrocznego Interpretatora. Irena wciąż jeszcze ściskała w dłoniach świecznik. Płomienie świec roztapiały wosk, który kapał na jej suknię.

– Uznali, że człowiek, który opowiada bajki o Objawieniu, musi być Mrocznym Interpretatorem. Mało tego, twierdzą, że wie o tym już cała okolica.

Semirol wstał. Obszedł stół, wziął od Ireny świecznik i ostrożnie odstawił na miejsce.

– To prawda? – zapytał cicho Rek.

– Co takiego? – zdziwił się Semirol.



– Czy naprawdę jest pan Mrocznym Interpretatorem?

Bezinteresowny rycerz wyglądał teraz znacznie starzej jak na swój wiek.

Jego blade brwi wygięły się w jedną zygzakowatą linię.

– Czy to... prawda? Próbowałem wyjaśnić im, że się mylą, ale oni... Pani Chmiel! Czy to prawda?!

Rek zwracał się do Ireny. Semirol też się do niej odwrócił, wampir był

wyraźnie zmieszany.

– Powiadają też – wymamrotał Rek, jakby sam do siebie – że autorka

„Tego, który okazał skruczę” jest znajomą Mrocznego... a ja nie dawałem temu wiary.

– A co, czyżby bycie Mrocznym Interpretatorem było czymś wstydliwym i karygodnym? – zapytał Semirol niedbałym tonem.

Rek spojrzał na niego niemal z przerażeniem.

– Nie...

Piosenka w sali jadalnej nie ucichała. Po czterdziestu zwrotkach nastąpi kulminacja...

– Potrzebujecie adwokata – wampir wymownie uniósł palec.

– Nawet jeśli nie ma tu oficjalnego sądu... Nawet jeśli w ogóle nie ma tu wymiaru sprawiedliwości... Adwokaci zawsze będą w cenie. Tym bardziej dobrzy adwokaci. Mam rację, Ireno?

Spotkali się wzrokiem i Irena dostrzegła, że prawnik krwiopijca coraz bardziej angażuje się w swoją rolę.

– Gdzie są ci ludzie, rycerzu? Przyprawdź ich tutaj!

\* \* \*

Po kilku dniach Semirol został zasypany prezentami od losu.

Jego noga goiła się szybciej, niż się spodziewali. Schody nie skrzypiały już pod jego krokami. Pod podszewką kurty znalazły się zapomniane monety, gospodarz karczmy był nadskakująco uprzejmy, a w wędzonych rybach, na chybił trafił wybieranych z przypadkowej sterty, zawsze znajdowali kawior.

– Objawienie uznało moje wprawki za czynienie dobra – przyznał ze zdziwieniem wampir.

Ani wtedy, ani później Irena nie dowiedziała się, z jakim problemem przyszło do Mrocznego Interpretatora dwoje ludzi – szczupły mężczyzna i korpulentna, blada kobieta. Semirol wziął interesantów na stronę i nad ranem udzielił im rady; jak się okazało w praktyce, niezwykle

korzystnej.

Kilka dni później w karczmie pojawiła się pewna młódka o nieprzyjemnym, twardym spojrzeniu. Semirol wysłuchał jej również, poprosił o dzień na przemyślenie sprawy, wieczorem zaś wydał werdykt – w tajemnicy. Młódka była zadowolona, a Semirol, jak wydawało się Irenie, wręcz szczęśliwy.

Następnego ranka wędrowcy opuścili karczmę, aby nie kusić losu.

\* \* \*

Rek zrezygnował ze swej przysięgi. Został z nimi, najwyraźniej niełatwo było mu podjąć tę decyzję. Pomogła mu w tym nieubłagana konieczność, było wszak jasne jak słońce, że towarzystwo Mrocznego Interpretatora narażało Irenę na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Rek uznał, że jest Irenie potrzebny. Zlekceważył przysięgę i został.

Irenę ucieszyła decyzja rycerza. A jednocześnie trochę ją martwiła. Coraz trudniej było jej udawać, że wszystko jest w porządku, że nie słyszała jego słów: „Oglądanie pani codziennie jest nagrodą, na którą w najmniejszym stopniu nie zasłużyłem”.

Rek zasłaniał się pozorną obojętnością. „Na razie jestem potrzebny –

mówiła jego beznamietna, blada twarz. – Odejdę, gdy naprawdę przestanę być pomocny”.

Semirol nie protestował. Wampir nie miał najmniejszych skrupułów; tak przynajmniej wyglądało to z boku. W każdej wiosce – a wieści o Mrocznym Interpretatorze rozchodziły się lotem błyskawicy – znajdowali się ludzie, którzy w tajemnicy się z nim konsultowali. Przychodzili pod osłoną nocy, ukrywając twarze pod chustami i kapturami, wstydząc się samych siebie.

Powstał cały system zrozumiałych dla wszystkich haseł, na dźwięk których karczmarz bladł, a w jego oczach pojawiał się szacunek.

Wędrowcy zatoczyli szerokie koło, poruszając się po okręgu, w którego centrum znajdowało się miasto. Co jakiś czas słyszeli nakaz dotyczący pojmania nieprawomyślnej autorki Chmiel – odczytywali go obwoływacze na targach. Raz byli świadkami publicznego palenia „wrogich Objawieniu pism”.

Widok był dość przerażający, z katem w chałacie, prawdziwym szafotem i podpalonym stosem. Tyle że na stertę płonącego chrustu wrzucane były zapisane kartki, a wśród nich przeróżne rachunki czy szkolne wypracowania.

Żeby to zauważyć, bynajmniej nie trzeba było mieć sokolego wzroku Semirola.

Wykazując się przed Objawieniem, miejscowi urzędnicy palili makulaturę jako „szkodliwe przypowieści”, wiedząc przy tym, że kat i zebrana na placu gawiedź jest niepiśmienna.

Rek przejawiał nawyki rasowego ochroniarza. Spał na podłodze, wzdłuż drzwi, z kindząłem pod ręką. Semirol uśmiechał się pod wąsem, niekiedy dość zjadliwie. Irena zaciskała usta, wstrzymując się przed obraźliwymi uwagami; jednak twarz rycerza pozostawała niezmiennie beznamiętna. Był wręcz niewiarygodnie opanowany.

Jeździli od wioski do wioski, ale nikt nie słyszał o Andrzeju Kromarze. I na całym świecie istniał tylko jeden Mroczny Interpretator – wampir, ucieleśniona legenda. Pierwszy i jedyny, pozostali byli jedynie płodami ludzkiej wyobraźni.

A pewnej bezsennej nocy Irena po raz pierwszy poczuła, jak poruszył się w niej maleńki człowieczek.

\* \* \*

Teraz Rek szedł przodem, prowadząc za uzdę ich jedynego konia. Obok dziarski muł ciągnął dwukólkę, na której jechała Irena z Semirole; adwokat kategorycznie odmówił jazdy wierzchem: „Kpicie sobie?! Ta bestia zrzuci mnie przy pierwszej okazji, mało mi jednego złamania?”. Zarówno Irena, jak i Rek przyznali mu rację: zwierzę stroniło od Semirola i pogodzenie ich wymagało specjalnych zabiegów.

– Patrzcie – rzekł Rek i jego głos drgnął z napięciem.

Drzewa, które dotychczas rosły niczym szpaler po obu stronach drogi, nagle się rozstały. Irena zmrużyła oczy.

Wieża miała wysokość czteropiętrowego domu. Nie wiadomo, kto i w jakim celu wznosił tę kolosalną według miejscowych miar budowlę – ni to wieża przeciwpożarowa, ni to strażnica, dziwaczna, wyszukana sylwetka, omszałe kamienie. Dwuskrzydłowe, niskie drzwi. Nie było przybudówki, drzwi wrastały wprost w trawę.

Rek spoglądał na Irenę badawczo. Ostatnio bardzo rzadko zdarzało mu się patrzeć Irenie prosto w oczy, za to teraz nie spuszczał z niej wzroku.

Przy samej wieży, obok porośniętej chmielem ściany, rozcapierały się gałęzie pokręconego drzewa. Wyschnięty pień i obnażone korzenie byłyby wspaniałym znaleziskiem dla dekoratora, szczególnie gdyby dysponował

odpowiednim dźwigiem.

Irena zmrużyła oczy. Powykręcane drzewo żywo przypominało człowieka, miał on jednak oderwaną przez burzę rękę. Wypadek zdarzył się chyba dość niedawno – sądząc po świeżym śladzie złamania.

Wzrok Reka wpijał się w tył głowy Ireny, przygniatał. Wyglądało na to, że bezinteresowny rycerz czeka na wyjaśnienia. Choć nie zadał żadnego pytania.

Uśmiechnęła się z przymusem.

Jej relacje z Rekiem Dziką Różą przypominały teraz martwą strefę pokrytą warstwą cienkiego lodu. Bała się go urazić i pozbawić nadziei. Powodował nią także irracjonalny, dziecięcy strach, rycerz mógł się przecież zorientować, że nie czytała własnych opowiadań.

Rek spoglądał na nią, czekając na odpowiedź. W takich momentach Irena kojarzyła wyjątkowo powoli i chaotycznie.

– Jak tu pięknie – wymamrotał Semirol.

Rek w końcu przestał wpatrywać się w Irenę i ruszył dalej.

\* \* \*

– Pamiętasz, Janie, mówiłam, że wszędzie się przystosujesz? Ale wówczas nawet nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia mam rację...

Semirol milczał, jego sztywne włosy lśniły w promieniach słońca, mrużył

syte oczy, a gładkiej, sprężystej skóry pozazdrościłaby mu każda młoda kokietka.

Nieprzyjemny domysł pojawił się znienacka. Najwyraźniej Irena zmieniła się na twarzy. W każdym razie Semirol uznał za stosowne odpowiedzieć.

– Tak.

– Co „tak”?

– Nawet teraz nie wiesz, do jakiego stopnia miałas wtedy rację... tak, przystosowałem się. Na to wygląda.

Na szyi muła miarowo pobrząkiwał mały, miedziany dzwoneczek. Rek wysforował się daleko naprzód – jakby podkreślając swą niezależność.

Gdyby jednak na drodze pojawiło się jakieś niebezpieczeństwo, Rek natychmiast znalazłby się u ich boku.

– Drogi są tu spokojne, Ireno. I w ogóle – procent przestępstw przeciwko życiu i prywatnej własności jest tu skrajnie niski... Twój były mąż uzyskał tu pewne rezultaty.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Byłaby to wielka szkoda, gdyby szukając z Rekiem Mrocznego Interpretatora... znaleźli właśnie ciebie. Przecież już raz wzięłam cię za Andrzeja.

– Nie zapomnę tego do samej śmierci – wymamrotał adwokat pod nosem.

Dzień był słoneczny i ciepły. Panowało wczesne, pogodne lato. Równie długie jak piosenka w

karczynie.

– Spójrz, jak tu pięknie, Ireno. Choćby ten las... I góry na horyzoncie...

Malowniczy modelik, prawda?

Odruchowo przytaknęła.

– Jeśli masz rację, Ireno... – głos Semirola uległ subtelnej zmianie. – Jeśli masz rację i po prostu przeszliśmy z jednego modelu w drugi... to jakaż to w końcu różnica? Nawet jeśli nie uda nam się wrócić?

– Janie...

– Tak?

– Ja nie przybyłam z modelu. Ja muszę wrócić.

Skrzypiały koła. Strzygł uszami rzeński muł.

– Jesteś tego pewna? Że miejsce, z którego przybyłaś...

– Tak! Tak, jestem o tym przekonana. I proszę, nie rób żadnych aluzji...

Znam modelatora, Janie. Znam go doskonale. I świat, w którym się urodziłam, nie został przez niego stworzony! Już wystarczy, Janie, nie chcę o tym rozmawiać.

Cisza. Skrzypią koła.

– Ireno... Tam, u siebie, jesteś jedynie początkującą, skromną pisarką. A tutaj stałaś się prawdziwą władczynią dusz... pewnie tworzysz klasykę. Jesteś geniuszem. Sam bym w to nie uwierzył, gdybym na własne uszy nie słyszał, w jaki sposób ludzie szepczą tu o „Tym, który okazał skruchę”. Zastanów się nad tym.

Opanował ją strach.

Przez wszystkie te dni i noce trzymała ją przy życiu wiara w rychły powrót do domu. Może nie taki znów rychły, jednak nieunikniony. Może był to cel odległy, ale absolutnie jasny – musiała odszukać Andrzeja, znaleźć wyjście...

A teraz jedyny człowiek, który zna prawdę o tym świecie, usuwa jej grunt spod nóg. Gdyby nie miał pewności, że powrót jest możliwy, na pewno by się tak nie wystraszyła... On jednak wątpił, czy w ogóle warto wracać.

– Nad czym mam się zastanowić? – zapytała tak cicho, że nie usłyszała własnego głosu.

Semirol usłyszał.

– A masz do kogo wracać? Zamknęła oczy.

Sensej, zółw... Tak na dobrą sprawę zółw nie zorientuje się, kiedy przeniosą go pod inną lampę. Na przykład do szkolnego terrarium. A Sensej...

Tak, Senseja szkoda. Ale przecież Ireny nie ma już od dawna; na pewno zdążył się z tym oswoić.

Kto jeszcze na nią czeka? W tym prawdziwym świecie? Pacyfikatorka?

Profesor orientalistyki? Studenci? Niewątpliwie jest lubiana, jednak na pewno o niej zapomną – rok po ukończeniu studiów w ogóle nie będą o niej pamiętać.

A jej opowiadania. Nędzny cień tego, co swego czasu dał jej do przeczytania Semirol. Nie wspominając „O tym, który okazał skrucę”.

I co pan na to, Nikołań?!

Uśmiechnęła się krzywo do swych wspomnień.

– Tu nie ma kawy, Janie.

– Znajdziemy – obiecał Semirol z powagą.

– Ty rzeczywiście...

– Na początek zorganizujemy sobie schronienie. Znajdziemy akuszerkę...

Nasz rycerz na pewno sobie z tym poradzi. Niewątpliwie wiele się nauczył od swojej niani, specjalistki od nastawiania kości...

Zachichotała. Śmiech zabrzmiał żałośnie.

– Nie podobają mi się takie żarty, Janie... Zamieszkamy w opuszczonym zamku w górach. Do diabła, przecież już coś takiego czytałam. Na pewno czytałam! A po kilku miesiącach z całej okolicy zbiegną się wieśniacy uzbrojeni w osikowe kołki...

– Nie zbiegną się – głos Semirola zabrzmiał z takim przekonaniem, że Irena od razu zamilkła. – Nie zbiegną się. Wiem, jak rozwiązać ten problem.

– Już go rozwiązałeś – rzekła Irena szeptem. – Bardzo mądrze...

spryciarze, którzy chcą oszukać Objawienie...

– ...decydują się na zasięgnięcie porady u Mrocznego Interpretatora i sami przekraczają pewną granicę. A zrobienie tego kroku jest znacznie trudniejsze niż nadstawienie szyi. Trudno to zrozumieć,

ale takie panują tu obyczaje...

Tak, biorę zapłatę w naturze. A Objawienia kompletnie to nie obchodzi – nie traktuje tego jako zbrodni, lecz jako zapłatę. I z naiwnością kretyna jeszcze mnie za to nagradza – za spełnienie dobrego uczynku. Sędzia traktujący swoje obowiązki jak tutaj Objawienie nie utrzymałby się w naszym departamencie nawet miesiąca!

Matowo brzmiał dzwoneczek. Irenie było zimno i miała mdłości.

– Pasożyt – rzekła szeptem.

– Co?

– Pasożyt... istota żywiąca się kosztem innych. I dotknęła swego brzucha.

Semirol milczał.

– Wciąż chcesz odebrać mi dziecko? – zapytała powoli.

– Jeszcze dokładnie rozważymy tę kwestię.

– Niczego nie będziemy rozważać.

Muł zarżał ze strachem. Zza zakrętu, siedząc wierzchem na koniu, wypadł

Rek Dzika Róża.

– Zasadzka... Zawracajcie. Tam jest zasadzka! Zagłuszając jego słowa, rozległ się tętent wielu kopyt.

\* \* \*

Początkowo Rek jakoś się trzymał, jednak pod wieczór stracił przytomność.

Miał dwie głębokie rany cięte i przypuszczalnie wstrząs mózgu. Człowieka w podobnym stanie wiezie się na reanimację, a wieczorna wilgoć, zimno i podglówek z rogoży nie byli najlepszymi lekarzami.

– Co możemy zrobić, Janie?

Semirol milczał.

– Chyba możemy coś dla niego zrobić?

W obliczu niebezpieczeństwa muł, o dziwo, zachował zimną krew. Co prawda jego rola ograniczyła się do ucieczki po bezdrożach i przez rzadki las.

Nie bacząc na całość dwukółki, musiał wydostać z pola bitwy rannego rycerza, przerażoną kobietę i wampira.

Kiedyś Irena unikała opisywania bitew. Nie miała pojęcia, co czuje człowiek rozpruwający innego ostrzem miecza. I nawet po nacytaniu się odpowiednich książek nie potrafiła używać odpowiedniej terminologii. Gdy w utworach kolegów po piórze natykała się na opis walki bohatera z dwudziestoma barbarzyńcami, jedynie uśmiechała się protekcjonalnie i przerzucała od razu kilka kartek. Albo w ogóle odkładała książkę.

Rek walczył z ośmioma przeciwnikami naraz. Tylko dlatego, że nie miał

innego wyjścia – Semirol nie zdążył skierować muła w zarośla i jeźdźcy, którzy wysypali się z zakrętu, na widok dwukółki rzucili się wprost na nią. A w zasadzie niewątpliwie by tak uczynili, gdyby nie stanął im na drodze bezinteresowny rycerz.

Wątpliwe, by Irena była kiedyś w stanie opisać tę bitwę. Wydarzenia rozwijały się w zbyt szybkim tempie i nie miała czasu ich zarejestrować.

Semirol, kulejąc, dopiero dobiegał do pola bitwy, gdy napastnicy byli już w odwrocie – było ich teraz tylko pięciu, wszyscy ranni; pozostała trójka leżała na drodze z porzuconą bronią – o Boże, zdążyła tylko pomyśleć Irena, co na to Objawienie?

Rek także wycofał się z pola walki. Semirol pomógł mu wydostać się spod końskiego trupa.

Dwukółka zaskrzypiała, dając do zrozumienia, że nie uniesie ich trójki.

Jednak wampir ciął muła batem i popędzili przed siebie, myląc ślady, łamiąc szprychy; na granicy katastrofy.

Bardzo szybko Irena zrozumiała, że jeśli rycerz natychmiast nie zostanie opatrzony, ta ucieczka tak naprawdę nie będzie miała sensu.

Schronili się w jakimś wiatrołomie. Irena opróżniła „podróżną apteczkę” i jak w najlepszym literackim romansie podarła na bandażę własną halkę. Przez minutę siedziała, patrząc przed siebie i przypominając sobie ilustracje z podręcznika pierwszej pomocy. Rycerz nie przypominał zbytnio ofiary katastrofy samochodowej, Irena zaś nie przechodziła żadnego kursu na markietankę.

Rek jeszcze się trzymał. Uśmiechał się i powtarzał, że Irena będzie miała zaliczony dobry uczynek. I Wysoki Dach najprawdopodobniej straci nią zainteresowanie.

– A może – rzekł Semirol w zadumie – oni chcą z nią tylko porozmawiać?

Wysyłają wszędzie swych szpiegów, urządzają pogonie i zasadzki tylko po to, byś wygłosiła im wykład z psychologii twórczości?

Irena zerknęła na niego posepnie, nie powiedziała jednak ani słowa. Po kilku godzinach rycerz zrobił się gorący jak rozgrzany kocioł i znów stracił

przytomność.



Semirol i Irena rozpalili ognisko, otulili rycerza jego płaszczem i siedli obok, gdyż w zasadzie nic innego nie można było już zrobić.

– Potrzebuje antybiotyku – rzekł Semirol po półgodzinie milczenia.

Irenie przypomniało się przestronne „gospodarstwo” Nicka. Westchnęła przez zęby.

– Będzie wielka szkoda, jeśli umrze – rzekł zamyślony Semirol. – W końcu, by sprzeciwić się fundamentalnym prawom wszechświata, trzeba być... krótko mówiąc, ten człowiek zasługuje na szacunek.

Irena milczała. Semirol spojrział na nią i wydał z siebie westchnienie.

– Objawienie powinno w zasadzie unicestwiać takich jak on. Tylko po to, by nie plątali się pod nogami, rozkołusując łódź. Zauważ, największa stabilizacja w tym modelu jest osiągnięta za pomocą beczynności. Ani zasługi, ani przewinienia...

– Przecież jesteś prawnikiem – odparła niechętnie. – „Celowe zaniechanie”

jest tu całkiem odpowiednim terminem...

– Ale to się zdarza jedynie w krytycznych przypadkach. Na przykład...

Widzę, że staruszka chce przejść przez ulicę. Mogę jej pomóc albo nie... Czy Objawienie uzna to za „celowe zaniechanie”? Szczególnie jeśli staruszkę przejedzie ciężarówka?

– Tu nie ma ciężarówek, Janie – Irena uśmiechnęła się z przymusem.

– Ciekawi mnie coś jeszcze... po co twój Andrzej „wybudował” tu fałszywe średniowiecze?

– Jest tak samo mój jak i twój – odcięła się odruchowo Irena.

Semirol wzruszył ramionami.

– Sądzę, że uprościł to wszystko, by uzyskać jak największą czystość eksperymentu... Ireno, ja...

Zająknął się, skrzywił się, dorzucił gałązek do ognia i potarł prawą, drgającą powiekę.

– Ireno... Czy ten tak zwany model, który ja zwykle uważałem za rzeczywistość, także jest uproszczony?

– Nie wiem – odparła Irena szczerze.

Semirol zamilkł. W blasku ogniska jego twarz wyglądała na młodszą, delikatniejszą, a nawet bardziej arystokratyczną niż w świetle dnia.

Ze wschodem księżycy Rek zaczął majaczyć.

Mamrotał coś raz głośniejsze, raz ciszej; niekiedy bez sensu, rzadziej do rzeczy. Semirol zasypiał i co chwilę się budził. Irena spędziła tę noc bezsennie.

– Trzeba zrobić sadzonki... ziemia jest odpowiednia... najwyższa pora... –

szeptał Rek.

Irena przypomniała sobie, jak przegonił handlarza, który postanowił

zasłużyć sobie na pomyślność. I jak uratował starą kobietę przed ogromną, rozpędzoną beczką.

– Nie stójcie tak blisko, wy wszyscy... – żądał Rek przez zaciśnięte zęby. –

Odejdźcie... odejdźcie...

Irena otulała go w płaszcz, sprawdzała puls, kładła mu dłoń na czole, poprawiała uwalane we krwi bandaże.

Przypomniała jej się jego twarz, gdy dowiedział się, kto jest ojcem dziecka.

Tam, w jaskini, kilka godzin przed nieuchronną śmiercią, w niemal całkowitym mroku. Pochodnia ledwie się paliła, a ona i tak doskonale zapamiętała wyraz jego oczu; może dlatego, że nigdy go jeszcze takim nie widziała.

– Nie jestem sam – mamrotał Rek. – Nie jestem sam... nie będę... nie zgadzam się... Zajrzyj w siebie, rzekła Jaszczurka; potrafisz zmieniać barwę.

Jesteś niczym trawa... niczym ziemia... Lecz zajrzyj w swoje wnętrze... nie potrafisz okazać skruchy... nie jesteś człowiekiem. A Kameleon... odparł... że skrucha... czy może kogoś ogrzać... albo nakarmić...

Irena pochyliła się nad nim niżej. Chwyciła dłoń bezinteresownego rycerza i zacisnęła zęby, gdyż radliło ją od zapachu krwi.

– ...Tak, odparła jaszczurka. Usunięto ci Objawienie jak serce... ale nawet na zewnątrz nie przestaje ono bić... wyrzucone na brzeg, pozbawione wody... A ty jesteś pusty w środku i bezsilny, nie potrafisz okazać skruchy... Ty...

Rek mówił powoli, zacinając się, z szeroko otwartymi oczami, jakby czytał z kartki. Jakby tekst, kiedyś napisany, wielokrotnie przeczytany, z takim trudem zdobyty, a potem zamazany przez wodę z rozmytej kartki papieru, odrodził się teraz w nocnym mroku dwadzieścia centymetrów przed jego zmizerniałą twarzą.

– ...A on się śmiał. I powiedział. „Każdemu wedle zasług. Macie szczęście, że nie oceniam także zamiarów... I Jaszczurka z Kameleonem zamarli z przerażenia, a Stwórca przeszedł obok czarnego

drzewa przy wieży, w kierunku, który pokazywał drewniany idol... wszedł do środka i za jego plecami zamknęła się brama..."

Rekiem wstrząsnął dreszcz wyczerpania. Cicho zajęczał. Zamknął

niewidzące oczy.

Nad lasem wisiał księżyc. Nietoperze latały beładnie, chaotycznie i, jak się zdawało, ogarnięte paniką.

Irena siedziała nad rannym rycerzem i jej myśli miały się podobnie jak nietoperze. Choć nie; jej myśli pełzły jak ślimaki po mokrej szybie.

Musi się skoncentrować. Coś sobie przypomnieć, skojarzyć. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że od tego zależy życie Reka.

Księżyc niespiesznie przesuwał się po niebie. Irena wiedziała, że raz puszczony w ruch trybiki jej myśli już się nie zatrzymają. Zębata za zębata, kółko za kółkiem, dopełzną do właściwego miejsca. I z przerdzewiałego okienka wynurzy się ze skrzypem zrozumienie, niczym figurka w starym zegarze.

Inna sprawa, że może się to wydarzyć dopiero za dwa miesiące. Trochę za późno...

Ten, który okazał skruchę. Kameleon. Jaszczurka. Ironiczny Stwórca. Być może wszystkie egzemplarze jej ostatniego opowiadania zostały zniszczone, starte z powierzchni ziemi i pozostał tylko Rek, jego majaki, pamięć, w której chroniły się fragmenty tak ważnego tekstu.

Musi się zastanowić. Potrzebuje tylko trochę czasu, a wtedy...

Wieża.

Patrzcie, powiedział Rek. I sam patrzył. Jednak nie na wieżę, lecz na Irenę.

Bardzo uważnie jej się przyglądał.

„Jaszczurka z Kameleonem zamarli z przerażenia, a Stwórca przeszedł

obok czarnego drzewa przy wieży, w kierunku, który pokazywał drewniany idol... wszedł do środka i za jego plecami zamknęła się brama..."

Dawała Rekowi pić. Woda ściekała po spieczonych wargach rannego, kapiała na zarośnięty podbródek, na szyję, za rogoże...

Wieża.

\* \* \*

Dzień spędzili w zaroślach, w pobliżu źródła. Rycerz na krótko przyszedł

do siebie i próbował upichcić na ognisku coś w rodzaju szaszłyka z grzybów.

Irena wciąż czuła na sobie jego spojrzenie. Nie surowe i skupione, jak wcześniej, lecz smutne, bardzo ciepłe i uważne.

Irena nie mogła się zdecydować na zapytanie Reka o więź. Niepotrzebnie, gdyż ranny wciąż jeszcze nie mógł mówić.

A potem Rek znów pogрузzył się w zapomnienie. Semirol jeszcze raz przewiązał jego rany, a Irena, zaciskając zęby, wyprała w lodowatej wodzie zakrwawione bandaże. Kto wie, ile razy przyjdzie jej to jeszcze robić?

– To silny chłopak – rzekł Semirol. – Zresztą rany też nie są wcale takie groźne. Poradzi sobie bez antybiotyków.

Semirol zamilkł i w tym milczeniu zabrzmiało niedopowiedziane „ale”.

– Ale?... – spytała Irena.

– Ale Objawienie bardzo się na niego uwzięło. Obawiam się, że...

– Rozumiem. Możesz nie kończyć.

Przez cały dzień prześladowały ją jaszczurki i kameleony. I natrętna jak mucha myśl: musi sobie przypomnieć... skoncentrować się...

Nie spała już drugą dobę. Przed oczami pływały jej kolorowe kręgi. Noc zamiast ulgi przyniosła jej strach.

– Zerwać... – mamrotał Rek. – Czerwony... w trawie... cieknie z niego...

wypływa... zerwijcie go... kwiatek... jest cały we krwi... zerwijcie go i spalcie...

– On majaczy, Janie.

– Co mogę na to poradzić?

– Nie wiem.

– Uspokój się, Ireno. Jeśli sążzone mu jest przeżyć – nie umrze. Myśl o dziecku... Spij.

Irena podeszła do ogniska. Ogrzała dłonie nad tłącym się drewnem.

Wieża.

Powinna otulić się w płaszcz i przespać do rana. Cyniczny Semirol miał

rację, przecież nie uda jej się niczego zmienić. Musi myśleć o dziecku.

Wieża.

Wysoka jak czteropiętrowy dom. Nie...

Na biurku. Wykonana z brązu... brunatna z zielonkawą patyną. Świecznik w kształcie wieży, który Andrzej znalazł na zakurzonej półce jakiegoś antykwariatu. Wewnątrz zapala się świecę – na twarze gości padają półokrągłe, ciepłe plamy światła... „Jakie to piękne, Ireno. Jakie oryginalne”.

Jak mogła nie poznać go od razu?!

Wieża świecznika. A obok niego na szafie drewniana figurka jakiegoś zapomnianego dowódcy, który władczo wskazuje swej nieistniejącej armii drogę do zwycięstwa. Andrzej, zetrzyj kurz. Trzeba posprzątać na szafie...

Tyle tam rupieci... A te naprawdę ładne rzeczy giną.

Irena na czworakach odpełzła od ogniska. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Wirowało jej w głowie.

– Janie...

Semirol obudził się momentalnie i bezgłośnie. Złapał ją za ramiona. W

mroku zabłyśły białka jego oczu.

– Co się stało?

– Janie... – Irena zlizwała łzę, która spłynęła jej po policzku.

– Wiem, gdzie jest wyjście z modelu. Gdzie jest brama.

\* \* \*

W każdej wiosce znajdowali się chętni do udzielenia pomocy rannemu.

Irena przyglądała im się z mimowolną odrazą, nie zauważając nawet, że upodabnia się w ten sposób do bezinteresownego rycerza.

Rek prawie w ogóle nie odzyskiwał przytomności.

Ochroniarze nie powinni podróżować w dwukółkach. Dla rycerza to hańba, a dla damy zagrożenie. Każdy samozwańczy lekarz gotów był potwierdzić to przy pierwszej sposobności. Jednak Irena nie słuchała lekarzy.

– Potrzebujemy antybiotyków, Janie. I prawdziwych lekarzy... Tutaj nie mamy szans. Musimy jak najszybciej...

Zabłądzili. Stracili cały dzień. Potem go nadrobili. Kończyły się pieniądze, zaczęło też brakować prowiantu. Rek wyraźnie słabł, pogrążał się w coraz głębszej malignie, jednak fragmentów „Tego, który okazał skruchę” Irena nie usłyszała już więcej.

Potem zagłębili się w głuchy, sosnowy bór. Pnie niczym płot stały wzdłuż drogi i Irena zagryzała wargi, gdyż od upragnionego celu dzieliła ich jeszcze godzina drogi.

– Ktoś za nami jedzie – rzekł Semirol, odwracając się.

Droga była pusta. Nie rozlegał się żaden dźwięk, oprócz świergotu ptaków i nawoływania odległej kukułki. Semirol popędził muła.

– Wszystko w porządku, Ireno? Naprawdę wiesz, dokąd zmierzamy?

– Wejdziemy tam razem – odparła z obawą w głosie.

– Wejdziemy razem... Tunel jest przeznaczony dla mnie... Lecz wytrzymuje obecność... tego, kto jest blisko... jak w bajce o dziewczynce i srebrnych trzewikach... ten, kto ją trzymał...

Wciąż plotła bzdury i ze strachem zdawała sobie sprawę, że nie może przerwać, podczas gdy wyraźnie było już słyhać daleki tętent kopyt; nie trzeba było do tego posiadać wyostrzonego słuchu Semirola.

– Szybciej, Janie! Wrócimy... Wszystko będzie dobrze... Po prostu znikniemy, wprost na oczach tych durniów. Śmiechu będzie co niemiara... no, szybciej, Janie!!

Koła podskakiwały na nierównej, leśnej drodze. Irena podtrzymywała głowę Reka, lecz mimo tego rycerz dwa razy boleśnie uderzył się w potylicę.

Ten muł po prostu nie był w stanie biec szybciej. Choćby miał paść trupem.

– Powtarzam, Ireno, uspokój się... Jeśli zobaczymy, że nas doganiają, wysforujesz się do przodu, a ja postaram się ich zatrzymać...

Wzniesienie. Droga w dół. Na wzgórzu pojawia się, jak spod ziemi, pięciu jeźdźców na wysokich koniach. Irena boleśnie uderzyła się w łokieć.

– Jest! – ochryple krzyknął Semirol.

Drzewa się przerzedziły. Irena mimowolnie otworzyła usta; czteropiętrowa wieża, dawny świecznik. A przed nią koślawa figura dowódcy, tyle że jego wskazująca zwycięstwo ręka została bezlitośnie oderwana podczas jakiejś burzy.

Przez chwilę poczuła się jak plastikowa zabawka, stojąca na tej szafie.

Andrzej miał podobny gadżet, podarowany mu przez jedną z wielbicielek.

Brama.

– Ireno!!

Dwukółka zatrzymała się. Oderwało się od niej koło i teraz toczyło z gracją, zataczając pętle. Irena zdążyła podtrzymać głowę Reka; maleńki powóz przechylił się i podróżnicy wypadli z niego na zakurzoną drogę.

Skąd miała w sobie tyle siły? W jej stanie, gdy nie może dźwigać niczego ciężkiego?!

Chwyciła Reka pod pachy. Jego nogi wlokły się po trawie, głowa zwisała bezwładnie; dotychczas mętne oczy nagle szeroko się otworzyły. Irena napotkała jego całkowicie przytomne, zdziwione spojrzenie.

– Zostaw go! Uciekaj!

Nie przestawała go taszczyć.

Na polanę wpadli jeźdźcy. Stanęli w półkolu, uspokajając konie.

– W imieniu Wysokiego Dachy!...

Będą oficjalni i uprzejmi. Nie chcieli niepotrzebnie drażnić Objawienia.

– W imieniu Wysokiego Dachy, autorko Chmiel, proszę się zatrzymać!

Semirol się odwrócił. Irena zdążyła napotkać jego wzrok, potem krótko machnął ręką: uciekaj!

– Z drogi!

Semirol skoczył.

Wszystkie konie zarżały i cofnęły w popłochu, jeden z prześladowców nie utrzymał się w siodle i runął na trawę. Konie waliły kopytami w ziemię, stawały dęba i z przerażeniem cofały przed adwokatem. W pewnym momencie Irena odniosła wrażenie, że jest już po wszystkim, a Semirol zaraz ją dogoni, podchwyci Reka i razem przejdą przez bramę. A potem znajdą się w laboratorium Petera Nikolańa, a pobudzeni od ciągłego picia kawy eksperci, w nieświeżych od stałego oczekiwania ubraniach, zerwą się z miejsc, zaczną jazgotać i bębnić po klawiszach komputera.

Ich prześladowcy się spieszyli. Potraktowali Semirola poważnie i szli na niego ławą, z pobladłymi, pozbawionymi wyrazu twarzami. Irena nie widziała na szczęście twarzy Jana.

– Wampir!! Wampir!! – ten, który spadł z siodła, z trudem podnosił się na nogi.

Rek poruszył się i wydał z siebie przeciągły jęk. Irena jęknęła także, nadepnęła na kamień i zraniła sobie stopę, a potem potknęła się o koślawą

„gałąź”, która kiedyś była wskazującą na wejście ręką.

Jeden z prześladowców dogonił Irenę trzy kroki przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Poznała go. To był ten, który nie wywiązał się ze swojego zadania w przytułku. Teraz dyszał ciężko, nie spuszczał z Ireny nienawistnego spojrzenia. Gdyby ten wzrok mógł zabijać, Irena już dawno byłaby martwa.

Ponad jego ramieniem widziała przez chwilę bój na polanie. Dwóch przeciwników walczyło na śmierć i życie, obok leżało martwe ciało trzeciego, a czwarty unosił właśnie miecz...

Jeden z walczących wgrzył się mu w gardło. A może tylko tak się Irenie zdawało?!

– Autorko Chmiel – ochryple odezwał się ten, który stał obok Ireny. – W

imieniu Wysokiego Dachy...

Z gardła Reka wydobył się ni to jęk, ni to ryk. Irena zrozumiała, że nie zrobi już ani kroku więcej.

I nawet gdyby dotarła do drzwi, nie zdąży ich otworzyć. Prześladowca trzymał w pogotowiu linę.

– Objawienie tego nie wybaczy – oznajmiła Irena głuchym głosem.

Człowiek w czerni zmarszczył brwi.

– Co?!

– Nie odpracujesz tego! – krzyknęła histerycznie. – Nie odkupisz winy!

Objawienie cię...

Jego ciemne oczy zmieniły się w szparki.

– I ty, suko, będziesz mi mówić o Objawieniu?!

Jego ręka chwyciła Irenę za ramię. Napastnik przekroczył przez Reka, złapał Irenę za nadgarstek, przyciągnął do siebie...

I zachrypiał. Cofnął do tyłu, próbując zerwać z gardła czyjeś niezwykle długie palce.

– Uciekaj, Ireno!

Semirol był od stóp do głów zalany krwią. Spod prawej łopatki sterczała mu cienka, długa żerdź. Po prostu wampir z różną.

Spotkali się wzrokiem. Na ułamek sekundy – zanim na ramionach wampira nie zawisło dwóch ocalałych nieprzyjaciół.

– Uciekaj!! Ocal go...



Ruszyła tyłem, podciągając ciężkie ciało Reka o kilka ostatnich centymetrów i bojąc się, że natknie się plecami na kute żelazo zamkniętych drzwi.

Ciemność.

Ostry zapach kociego moczu.

## **Rozdział 14**

Po szerokim zakręcie szosy...

Pod Ireną ugięły się nogi. Usiadła na sprężystej podściółce z niezwykle gęstej, długiej, żółtobrunatnej i całkowicie wyschniętej trawy.

Szosa wygięta w półkole. Ruiny starej drogi. Gdzieniedzie popękanej.

Całkowicie pustej.

Rek leżał na plecach i jego wpatrzone w niebo oczy były w pełni przytomne.

Irena się rozejrzała.

Dwa bambusowe kijki narciarskie były wetknięte w pagórek w odległości dwóch metrów od siebie. Na wietrze trzepotały dwie pętelki na dłonie.

Plastykowy uchwyt na jednym z kijków był pęknięty, na drugim w ogóle go nie było.

– Janie?!

Zrobiła krok do tyłu. Stała w kruchej, bambusowej bramce; czego oczekiwała?

Rek westchnął spazmatycznie.

Szelest suchej trawy. Pozbawiony liści zagajnik. Wysoko na niebie bezkształtna, rozmyta chmura.

Spojrzała w dół.

Jej dom stał na dawnym miejscu. Nie było ulicy, sąsiadów, studni ani wieży ciśnień – jedynie dom Ireny, przypominający beczkę, dziwny, nieznajomy, lecz niewątpliwie był to jej dom. Modele mogą następować jeden za drugim w dowolnej kolejności, a jej dom będzie wciąż stał w tym samym miejscu. Niczym punkt orientacyjny.

Rek spojrzał na Irenę – bez zdziwienia, ze znużeniem. To, co się wokół

niego działo, traktował jako kolejny przejaw maligny. Wydawało mu się, że leży pod nieznajomym niebem, na gęstej, szeleszczącej trawie i nie ma wieży, koślawej figury ani prześladowców z Wysokiego Dachy.

– Janie – wyszeptwała Irena. „Ocal go...”

Z przerażeniem spojrzała na swój brzuch. A potem w dół, na pustą drogę i samotnie stojący dom.

Na Reka Dziką Różę, bezinteresownego rycerza, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Przynajmniej tutaj, pomyślała Irena posępnie, nie dosięgnie go Objawienie.

\* \* \*

Zostawiła Reka na wzgórzu. Ułożyła go jak najwygodniej, by stok osłaniał

go od wiatru.

Przeklęta suknia, która teraz była szczególnie nie na miejscu, zaczepiała się wciąż o gałązki.

Nie ma płotu. Ani podwórza. Jedynie dom.

Objęła się ramionami.

Dom faktycznie przypominał beczkę. Ogromną, żelazną beczkę leżącą na boku, która do połowy wrosła w ziemię. Budowla była do tego stopnia stara, że spadziste ściany były gęsto porośnięte trawą – do samych okien.

Okna zaś przypominały grube okulary. Podobnie maleńkie, okrągłe i matowe.

Irena oblizwała wyschnięte wargi.

Żelazna konstrukcja była upstrzona łatami. To tu, to tam pobłyskiwały matowe kawałki blachy. Wokół każdego oknałaty układały się w okrąg.

– Samolot – rzekła Irena na głos.

Dom Ireny najbardziej przypominał fragment kadłuba z odciętym ogonem i kabiną pilotów. Bez skrzydeł. Samolot, pokrajany jak kielbasa, wbity w ziemię i pokryty suchą trawą.

Potykając się i płacząc w sukni, Irena obeszła budowlę dookoła. Za kolczastymi zaroślami – potrzaskującymi i pozbawionymi liści – znajdowały się drzwi, kwadratowe, obite stalą, uchylone.

– To jest mój dom – rzekła Irena nie wiadomo do kogo.

– Mam chyba prawo do niego wejść?

Dziecko w jej łonie poruszyło się. A może jej się tylko wydawało.

– To jest mój dom! – powtórzyła Irena niemal z rozpaczą. Jednak do niego nie weszła.

\* \* \*

Noc w niewielkim stopniu różniła się od dnia – była jasna, cicha i ciepła.

Irena, która straciła wszystkie siły na przeciągnięcie Reka w dół, do drogi, spała mocno, bez snów.

Obudził ją Rek. Patrzył na nią.

Na wpół leżał, oparty na łokciu. Jego twarz, dotychczas blada jak ściana, po raz pierwszy od kilku dni przybrała w miarę normalną barwę.

„To silny chłopak... rany też nie są aż tak poważne, poradzi sobie bez antybiotyków”.

– Tu nie ma Objawienia, Rek – rzekła szeptem.

Nie uwierzył.

Brzmiało to dla niego równie przekonująco, jak gdyby oznajmiła mu, że

„nie ma tu nieba”.

Wzeszło słońce. Mdłe, zasnutę mgiełką. Zbyttno nie przygrzewało, ale mogło ująć w tłoku.

– Tu w ogóle niczego nie ma – rzekła Irena załamany głosem. – I nikogo... Modelator jest zmęczony.

\* \* \*

– Miałam też psa, Senseja... I zółwia. Z zółwia nie ma żadnego pożytku.

Jego pysk przypomina po prostu rycerza w zbroi... niech się pan nie obraża, Reku. Nie to miałam na myśli. Rycerza, tak jak są narysowani w książkach...

to obojętna i całkowicie beznamiętna mordą. Uspokaja... Żółw nie reaguje nawet na imię... dlatego mu go nie dałam.

– Mieszkała pani sama?

– Przecież jesteśmy na „ty”, Reku... Przecież mówię, mieszkał ze mną pies i żółw.

– Nie rozumiem – rzekł Rek bezradnym tonem. – A wampir?

– Wampir... Irena westchnęła.

Jeśli ten model funkcjonuje w standardowym reżimie dziesięć do jednego, tam gdzie został Semirol nie minęła jeszcze doba.

Być może Jan wciąż jeszcze umiera przebity osikowym kołkiem.

A może osikowe kołki go nie ruszają. Być może już dawno pokonał

napastników i nasycił się ich hemoglobina. I próbuje teraz wykupić się przed Oświeceniem.

Pogłaskała się po brzuchu. Przez ostatnie dni jej przyszła latorośl zachowywała się bardzo spokojnie – nawet jeśli kopała, to tylko wieczorami, przed snem.

– Muszę odnaleźć pewnego człowieka, Reku. Ostatnio niczego innego nie robię...

– Andrzeja Kromara?

– Tak.

Odchyliła się na oparcie fotela.

Gdy wchodziła do własnego domu, niemal zemdliło ją ze strachu. Jednak po przestąpieniu progu tego nie żałowała. To nic, że do przedpokoju przez uchylone drzwi naniósł ziemi i piasku; to nic, że pod nogami szeleściła ta sama, wyschła trawa – za to dalej, za korytarzem, przez który Irena przeszła z drżeniem serca, znalazła dziwną, lecz zupełnie przyzwoitą siedzibę, która zmęczonej Irenie wydała się wręcz szczytem luksusu.

Znalazła apteczkę z zapasem opatrunków. Były też jakieś lekarstwa, jednak znajdowały się w nieoznakowanych opakowaniach, były więc zupełnie nieprzydatne. Zresztą po uwolnieniu się spod kontroli Objawienia Reкови wyraźnie się poprawiło i sterylne opatrunki w zupełności mu wystarczyły.

W kuchni znajdował się na wpół napełniony syfon i resztki chleba w chlebaku. Ledwie wyczuwalny zapach zgnilizny, pył po makaronie w szklanym słoiku i jeszcze jakieś resztki pożywienia, które trzeba było natychmiast wyrzucić.

Oraz cała skrzynka konserw. Jak gdyby poprzedni mieszkańcy – tu Irena uśmiechnęła się, gdyż ostatnim mieszkańcem była przecież ona sama –

obawiali się problemów z zaopatrzeniem.

Komputer nie działał. Teczki na papiery były puste – jedynie w jednej zachowała się częściowo zbutwiała kartka z koślawymi linijkami tekstu: „W

domu nikogo nie ma, fotele nie są brązowe, lecz niebieskie. Drzwi zostały otwarte łomem. Pies nie jest zły... i nie jest ułożony. Żółwia nie ma. W domu ktoś mieszkał”.

Coś takiego...

Reкови udostępniła własną sypialnię. Rycerz niemal samodzielnie dotarł

do łóżka, w każdym razie trzymał się w pozycji pionowej i sam przestawiał

nogi. Choć Irena musiała potem przez pół godziny uspokajać oddech.

Zataczała się ze zmęczenia, lecz było jej niemal lekko na duszy. Może dlatego, że wisząca nad jej głową pięść Objawienia w końcu zniknęła? A może dlatego, że w końcu znalazła się w domu, który miała pełne prawo nazwać swoim?

„Ocal go”, powiedział Jan.

– Tak – mamrotała Irena, snując się po wyglądającym obco, zapuszczonym domu. – Tak, tak, tak...

Nie udało jej się domknąć drzwi wejściowych. Były zaklinowane.

– Twierdzili, że znalezienie Andrzeja to łatwizna, drogi Reku. Drogo zapłaciłam za tę pomyłkę. Rozpoczął się już kolejny trymestr, a ja wciąż jeszcze nie jestem w pracy... Pacyfikatorka będzie niezadowolona. Studenci...

oczywiście dadzą sobie radę. Sami zresztą wagarują na potęgę. Są jednak pewne granice... – zamilkła. – Kiedy tylko wyzdrowiejesz, spróbujemy... Nie, to nie ma sensu...

Pogładziła miękki podłokietnik fotela.

– Co nie ma sensu? – ostrożnie zapytał bezinteresowny rycerz.

– I tak muszę wziąć urlop – rzekła, patrząc w wysoki, wygięty sufit. –

Macierzyński... I Pacyfikatorka będzie musiała się z tym pogodzić. No nie, teraz to ja zaczynam majaczyć. I nawet mi się to podoba... Nie wstawaj!

Nie posłuchał. Podniósł się z wysiłkiem, podszedł, przysiadł na oparciu fotela i wziął ją za rękę.

– Czy my w ogóle żyjemy, Ireno?

\* \* \*

Dzień ich rozvodu był niezwykle słoneczny. Irena ubrała swą najelegantszą suknię, całym swoim wyglądem dając do zrozumienia, że jest to dla niej święto.

Andrzej się spóźnił. Pojawił się w sądzie pół godziny po wyznaczonym terminie, pogrążony w jakichś myślach. Nie chciał nikomu niczego udowadniać – i tak wszyscy widzieli, że czekający go rozwód jest dla niego równie istotny jak kupno parasola.

Cała procedura okazała się prosta i dziwnie łatwa. A także szybka –

zupełnie jak sam ślub.

Wyszła na minutę do łazienki i nieoczekiwanie – dla siebie samej wylała cały litr gorzkich, pełnych beznadziei łez. Po piętnastu minutach znalazły ją koleżanki; długo poiły ją walerianą, uspokajały.

Przed wyjściem z sądu Andrzej Kromar karmił gołębnie pszenicą. Głupie ptaki tłoczyły się przy jego nogach, pospiesznie zdziobując z ziemi darowiznę.

Andrzej przyglądał im się z niemal ojcowskim uśmiechem. Jego wargi się poruszały, jakby układał jakiś wiersz.

Irena przeszła metr obok nich. Gołębnie ani Andrzej nie zwrócili na nią najmniejszej nawet uwagi.

\* \* \*

Byli żywi.

Trzeci uczestnik ich maleńkiej załogi niekiedy dawał o sobie znać delikatnymi kopnięciami. Muszę mieć bardzo, ale to bardzo dużo mleka, przekonywała samą siebie Irena. W pobliżu nie ma żadnej krowy, kozy ani nawet wilczycy... w ogóle żadnego stworzenia, które można by wydoić. Tak, będę miała mleko; w przeciwnym razie noworodka trzeba będzie karmić konserwami.

Albo krwią, cicho podpowiadał podstępny, wewnętrzny głosik. Irena zaciskała zęby i zabraniała sobie go słuchać.

Mięsne i rybne konserwy były jadalne. Miała ochotę na świeży chleb, jarzyny; musiała wyprawiać się do lasu po jagody i zioła, zbierać ziarno i przeżuwać blade kielki. Pewnej nocy przyśnił jej się ogromny pomidor, pod którego ciężarem ugięła się gałązka.

Za to dopiero tutaj, w opuszczonym domu przy pustej szosie, Irena po raz pierwszy od wielu dni poczuła się bezpieczna. I nawet myśli o Semirołu, który osłaniał jej ucieczkę, nie okazały się tak gorzkie, jak przypuszczała. A nawet myśli o tym, kim może okazać się jego dziecko... Może dlatego, że po raz pierwszy prawie nad niczym się nie zastanawiała.

– A ty dokąd, Reku?

Ledwie bezinteresowny rycerz stanął na nogi, a już zabrał się za penetrowanie okolicy. Irena wściekała się, robiła mu wyrzuty, żądała, by poczekał, aż ostatecznie wyzdrowieje. Zaciskał zęby, ale jej nie słuchał.

Rek czuł się w nie swoim sosie. Męczył się, choć jego ból nie miał nic wspólnego z gojącymi się ranami. Podróżowanie po modelach nie było zajęciem godnym rycerza. Irena nieraz martwiła się o jego zdrowie psychiczne. Zamieszkiwanie pustego, pomniejszonego świata nie należało do przyjemności.

Początkowo chodziła razem z nim. Włóczyli się jak dwa kulawe karaluchy.

On podpierał się laską, a ona dumnie niosła przed sobą ciężki brzuch.

Po podmiejskim osiedlu z jedną ulicą nie zostało nawet śladu. Hałdy kamieni na miejscu sąsiedzkich domów mogły być zarówno resztkami fundamentów, jak i zwykłymi stertami skał. Naniesiona przez wiatr ziemia i wyschnięta, twarda trawa niemal całkiem je przysłoniły; na archeologiczne

poszukiwania Irena ani Rek nie mieli siły.

Początkowo nie oddalali się od domu dalej niż na godzinę wolnego marszu.

Potem dwie godziny, przy czym Rek chodził już znacznie szybciej.

A jeszcze potem oznajmił Irenie, że sam będzie chodził na zwiady, a ona niech odpoczywa, zbiera ziarno i pisze opowiadania.

Do końca nie miała pewności, czy ostatnia rada nie była żartem. Gdy jednak została sama, zmęczona szelestem suchej trawy i wysokim, pustym niebem, wróciła do gabinetu, usiadła za biurkiem i położyła na klawiaturze jedyną kartkę papieru. Tę samą, na której koślawym charakterem napisane było: „W domu nikogo nie ma, fotele nie są brązowe, lecz niebieskie...”

Nie przeszkadzała jej pleśń na kartce. Jak również fakt, że komputer był niesprawny.

Nie zamierzała pisać. Miałaby tak, z marszu, zniszczyć jedyną kartkę?!

Może z czasem Rek natnie dla niej kory brzoźowej i będzie na niej wydrapywać tekst ostrzem szydełka?

Chociaż nigdy nie miała szydełek. W życiu nie zajmowała się też dzierganiem na drutach.

Pusta kartka hipnotyzowała.

Była w miarę biała i względnie czysta. Nieskończoność niewykorzystanych możliwości. Pierwsza litera skróci ją do połowy, a pierwsze słowo nie pozostawi już Irenie wyboru...

Uśmiechnęła się. Przyglądanie się pustej kartce sprawiało jej przyjemność; zapewne podobne zadowolenie odczuwał Andrzej, wymyślając kolejny model.

Poruszyło się dziecko. Irena odruchowo położyła dłoń na brzuchu.

\* \* \*

Rek z każdym dniem coraz bardziej oddalał się od domu i wracał coraz bardziej posępny. Nie udało mu się znaleźć nie tylko człowieka, lecz nawet śladów ludzkiej obecności, choćby dawnych. Nie było tu także zwierząt, przez cały czas, który uciekinierzy spędzili w opuszczonym domu, na niebie nie pojawił się żaden ptak.

Robiło się wyraźnie zimniej. Nie natrafili na ciepłą odzież, za to w szafie znaleźli stertę wełnianych pledów, z których Irena zmajstrowała dla siebie i Reka coś w rodzaju płaszczy.

Gdy rycerz doszedł już do siebie, wybrał się na kilkudniową wyprawę, planował dwa albo nawet trzy noclegi poza domem. Irena nie bała się samotności, wiedząc, że jej najgorszym wrogiem będą

jałowe przemyślenia i zbyt jaskrawe wspomnienia. Bała się jednak o Reka. Gdy rycerz powrócił na drugi dzień, Irena najpierw się ucieszyła, a dopiero później poczuła niepokój.

– Nie da się tamtędy przejść – oznajmił Rek. Irena nie rozumiała.

– Potrzaskane skały... rozpadliny. Jak po silnym trzęsieniu ziemi. Droga jest zawałona... Nie da się jej też obejść. Zdaje się, że nie jesteśmy w stanie dotrzeć do miasta, a raczej do miejsca, w którym się znajdowało.

Irena milczała, przetrawiając nowiny.

– Odpocznę i spróbuję jeszcze raz – rzekł Rek przepraszającym tonem. –

Od drugiej strony. Obejdę to z północy... – na jego twarzy po raz pierwszy pojawiło się rozdrażnienie. – Całą tę okolicę schodziłem jeszcze jako dziecko.

A tu wszystko jest jak we śnie... Widzisz jakieś znajome miejsce, a okazuje się, że wcale nie jest ono znajome... Tak to wygląda.

Irena przytaknęła. W milczeniu weszła do domu. W gabinecie położyła się na łóżku i naciągnęła koc do podbródka.

Modelator był zmęczony.

Szczerze mówiąc, Rek niepotrzebnie traci czas i siły. Twórca pustego modelu nie pokusił się nawet o stworzenie pozorów realizmu. Zamknięty, maleński świat... Świat jak kropelka wody... Dla dwóch osób wystarczy w zupełności.

Niech i tak będzie, pomyślała, do bólu zaciskając szczęki. Ale w takim razie lepiej byłoby przeszukać ten świat do ostatniego zakątka i albo odnaleźć modelatora, albo przekonać się...

...że go tu nie ma. Znowu. Kolejny świat bez swego Stwórcy.

Poczuła strach. Mocno przyłożyła dłoń do brzucha.

A następny model będzie przypominał budkę telefoniczną. Na jej brudnej, zaplutej podłodze siedzi pewnie Andrzej Kromar, zalewa się rzewnymi łzami, a obok wala się oderwana słuchawka.

Wciągnęła głęboko do płuc zatęchłe powietrze swego „nowego” domu.

Niczym lekarstwo.

Wystarczy już tego miotania się bez celu. Jej zadaniem jest ochrona dziecka. Żeby przeżyło i w miarę możliwości miało normalne życie... w końcu należało spełnić ostatnią wolę, nawet jeśli była to wola wampira.

I z tą myślą Irena zapadła w sen. Spokojny, bez koszmarów.



– Będę też pisać opowiadania i nowele. Ty zaś, Reku, będziesz komisją nominującą i jury w jednej osobie. Najpierw przyjmiesz moje utwory na konkurs – nie wszystkie oczywiście... A potem przyznasz mi Srebrny Wulkan.

Albo tego nie zrobisz. Co jakiś czas musisz odmawiać mi nagród... inaczej jaki by to miało sens?

Była przerażona.

Popisywała się i żartowała, by ukryć paraliżujący ją strach. Gdyż od reakcji Reka zależało teraz bardzo dużo, mógł pozostać jej przyjacielem i towarzyszem albo... pretendować na jedyne samca w ich populacji. Było to co prawda wątpliwe, ale po wszystkim, co musiał przejść, wątpliwości nie miały znaczenia.

– Wybacz, Reku. To ja ciebie w to wszystko wciągnęłam... To ja...

– Tak – podniósł oczy i jeszcze bardziej zmarszczył blade brwi. – Tak, od chwili gdy przeczytałem „Rycerza, który czynił zło...” I jeszcze potem, gdy panią ujrzałem, Ireno. Pani mnie w to wszystko wciągnęła. Ale to jest moje życie.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że on wierzy we wszystko, co mówi.

– Bała się pani powiedzieć mi, że jestem tylko zabawką w czyichś rękach?

Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości, Ireno. Kompletnie nie obchodziło mnie, kto i po co mnie stwo... to znaczy zmodelował. Obdarzył mnie możliwością dokonywania wyborów i za to jestem mu wdzięczny.

Milczała.

Zawsze traktowała go trochę jak dziecko. Przy czym wcale nie głupsze, tylko młodsze... niezdolne do zrozumienia... Jak aborygena.

– Teraz zostaliśmy sami, Ireno. Od tego kamiennego zawałiska na zachodzie do przepaści bez dna można przejść pieszo z jednym noclegiem. I co z tego? Zawsze wiedziałem, że świat posiada granice. A czy jest trochę większy, czy mniejszy...

Tego dnia Rek powrócił z ostatniej ekspedycji. Po przejściu drogą w przeciwnym do miasta kierunku natknął się na rozpadlinę – nie na tyle wąską, by ją przeskoczyć, jednak nie tak szeroką, żeby nie przetrząść przez nią kamienia... Ale żaden kamień nie doleciał.

Przycichła Irena czekała na dalsze słowa Reka.

– No i co z tego? Mimo wszystko powinniśmy żyć. Musimy coś jeść... a mięso w żelaznych pudełkach wkrótce się skończy. Powinniśmy uprawiać ziemię, coś w niej zasadzić, czekać na plon... Na pewno znajdziemy tu jakieś jadalne zioła, grzyby, jabłka...

Mówił powoli i miarowo. Niekiedy się uśmiechał: „grzyby, jabłka”.

Irena milczała.

\* \* \*

– Jesteś chmielem.

Wyskoczyli z podmiejskiego pociągu na chybił trafił, nie zauważając nawet nazwy stacji.

– Jesteś chmielem. Przy tobie bez przerwy jestem podchmielony.

Roześmiała się. Andrzej był poważny. Przedzierali się przez łąkę i wzięli w trawie, jak grzebień w zbyt gęstych włosach.

– Dokąd idziemy?

– To nieistotne...

W wiosce obszczeły ich identyczne, łaciate psy, pochodzące najwyraźniej od jednej psiej protoplastki.

– Poczekaj, obtarłam sobie piętę.

– To nic.

Po powierzchni okrągłego jak lusterko jeziora pływały gromadki opadłych z jabłoni liści.

– Jesteś chmielem. Wszystko co robię, robię dla ciebie i jestem przy tym podchmielony.

Cały świat kwitł.

Usiadła na poboczu i rozplakała się – od nagłego szczęścia i bólu otartej nodze.

\* \* \*

Bezinteresowny rycerz, Rek Dzika Róża, nigdy nie miał w rękach motyki. I nawet jeśli na jego dłoniach pojawiały się odciski, to jedynie od ciągłych treningów z bronią. Był jednak spostrzegawczy i szybko się uczył. To właśnie on, a nie Irena, prawidłowo określił miejsce pod przysłą orkę, znalazł wśród mnóstwa innych roślin zdniczałą różę i zdecydował, że czas zasiewów jeszcze nie nastąpił – najprawdopodobniej wkrótce nadejdą chłody, a po nich miejscowy odpowiednik wiosny.

Rek był pochmurny i skoncentrowany. Przejrzał i posegregował wszystkie znalezione w domu narzędzia. Nie było tego dużo. Można było odnieść wrażenie, że niegdyś naszpikowany elektroniką dom wstydzi się swoich grabi, motyk i pary łopat. Topór i piła były ukryte w piwnicy, a przerdzewiałe przyrządy ślusarskie nie wiedzieć czemu znaleźli w pojemniku na brudną bieliznę. Na

czole Reka niemal przez cały czas malowały się pełne skupienia zmarszczki.

„Na pewno znajdziemy tu jakieś jadalne zioła, grzyby, jabłka...”

Irena snuła się po okolicy, udało jej się znaleźć trzy jabłonie i zdziczałą śliwę. Było tu dużo grzybów, wyglądały jednak tak złowieszczo, że postanowili pozostawić je na wypadek skrajnego głodu – gdy nie będą już mieli nic do stracenia.

Rek zapewniał zresztą, że tak ciężkie czasy nigdy nie nastąpią.

Irena niepotrzebnie obawiała się, że po uświadomieniu sobie ich faktycznego położenia Rek wpadnie w histerię. Jego światopogląd okazał się znacznie bardziej elastyczny niż jej. Przyzwyczajony od dzieciństwa do wszelkiego rodzaju prób, Rek traktował całą sytuację jako kolejny, długi egzamin. Przyglądając się, jak bez szemrania oswaja się on z niegodną rycerza pracą, Irena od czasu do czasu czuła, jak mrówki przebiegają jej po plecach.

„Ocal go” – powiedział Semirol. A ciekawe, jak zachowałby się w podobnej sytuacji adwokat wampir? Czy chwyciłby za topór i zabrał za rąbanie drewna?

Ciekawe, czy równie naturalnie odgrywałby rolę „dobrego brata”?

Być może wymyśliłby coś lepszego. Albo gorszego. Świat kropelka, świat przeznaczony dla dwojga ludzi, nie zapewniłby Semirolowi pracy w jego specjalizacji, a jego zapotrzebowanie na żywą krew na pewno by nie zniknęło.

A wówczas pojawiłby się naprawdę ostry problem.

Ciekawe, czy żyje – zastanawiała się Irena, gładząc się po brzuchu. Już tyle razy spisywała go na straty, a on zawsze powracał; na dobre i na złe.

\* \* \*

Przypuszczenia Reka odnośnie do zimy zaczęły się sprawdzać. Robiło się coraz zimniej i rycerz poświęcił masę czasu na naprawę kominka. Zarośla, zasłaniające wejście, okazały się teraz bardzo przydatne. Drzwi tak czy inaczej nie udało się domknąć i Irena musiała wieszać na nich koc.

Rek ścinał suche drzewa. Sam je piłował, oddzielając gałęzie od pni.

Ciekawe, czy wystarczy nam opału, zastanawiała się Irena, to znaczy, na tę zimę na pewno wystarczy. Jeśli oczywiście panują tu zwykłe zimy. Ale co dalej? Czy las zdąży odrosnąć, jeśli rok po roku będziemy ścinać drzewa?!

Rok po roku...

Trzeba nasuszyć jabłek. Nazbierać ziół rosnących w miejscu, gdzie znajdował się ogród sąsiadów.

I nauczyć się przyrządzać je z konserwami. Żeby się nie przejadły. Żeby śmiertelnie zmęczony Rek

mógł smacznie zjeść po powrocie do domu.

Dom. Wrócić do domu.

W komórcie znalazła igłę i mocne, jeszcze nieprzegniłe nici. Pocięła koce i wykorzystując szkolne doświadczenia sprzed dwudziestu lat, uszyła sobie i Rekowi po ciepłym kombinezonie. Widząc ją w nowej odzieży, Rek zmienił się na twarzy – zacisnął jednak zęby i pogodził się z jej nowym wyglądem; tym bardziej że zdaniem Ireny kombinezon zupełnie przyzwoicie na niej leżał.

Sam Rek bardzo dbał o swój ubiór. Zwykł nawet pracować rozebrany do pasa; jednak tylko wtedy, kiedy w pobliżu nie było Ireny. Nie chciała go podglądać, ale kilkakrotnie stanęła w pewnej odległości, obserwując, jak opada topór; jak na białej skórze Reka grają suche mięśnie i blizny – na ramieniu, łopatce i boku – wyglądające niczym ekstrawaganckie ozdoby.

Czy Rek potrafił się modlić? „Oglądanie pani codziennie jest nagrodą, której nie mogę oczekiwać”. I teraz został nagrodzony iście po królewsku, choć taki nadmiar łaski doprowadzał go raczej do zgrzytania zębami.

Biedny Rek.

Jest gotowy zestarzeć się u boku jedynej na świecie kobiety. Ścinać drzewa, oczyszczać miejsce pod pole, siać i zbierać plony – rękami, które przywykły jedynie do miecza. Wychowywać cudzego syna.

Przyglądała się rycerzowi z troską. Troską, jaką matka okazuje choremu dziecku.

\* \* \*

Zdążyli przenieść do domu wszystkie jadalne i względnie jadalne zapasy żywności. Rozpętała się wichura i beczkowaty kształt wkopanej w ziemię budowli przyniósł duże korzyści. Śnieg zalepił i bez tego niemal całkowicie matowe „iluminatory”, rozwiązując także problem niedomykających się drzwi.

Irena i rycerz po kolei dorzucali drew do kominka, słuchali wycia wiatru i milczeli.

– W szanującym się kraju każdy policjant potrafi przyjąć poród. Ale przecież nie jest pan policjantem?

Rycerz taktownie to przemilczał. Irena westchnęła.

– Pewnie poradzę sobie sama... kiedyś czytałam coś na ten temat. Wiele moich koleżanek ma już dzieci. Wszystko jest gotowe. Wygotowałam szmatki, przygotowałam na wszelki wypadek sterylną igłę, nici, nóż...

Mówiła to z udawaną beztroską, jakby rozpatrywała jakiś banalny problem. Rek wyczuł trwogę w jej głosie. Uśmiechnął się z ledwie zauważalną ironią.

– Zbyttno się tym pani... ekscytuje. Widywałem kobiety, które rodziły w polu podczas zniw. Zawijały

noworodka w pieluchę i wracały do pracy.

Przyjęcie porodu to drobiazg. Inna sprawa, że będziemy musieli harować jak woły, żeby wykarmić siebie i dziecko. Nie da się tu polować ani łowić ryb...

pozostaje więc pole i ogród. Jeśli będziemy co roku wybierać i zasiewać wyłącznie najlepsze ziarna, uzyskamy nowe odmiany.

Ireną wstrząsnął fakt, że Rek tak dobrze wyczuł jej nastrój. Z jednej strony, nieuchronność banalnego porodu... Z drugiej zaś – wszystkie te cyklopowe plany na wiele lat naprzód, ich długa i zdeterminowana przyszłość, dwie mróweczki pełznące po szosie... A tam, na końcu niewyobrażalnie długiej podróży, czeka na ich... no właśnie, co?!

Na zewnątrz szalała wichura. I to się nazywa dom! Lata opuszczenia i zniszczeń nie były w stanie wpłynąć na jego termoizolację i nawet najwściekleszy poryw wiatru wywoływał jedynie lekki przeciąg, odzywał się wyciem w kominku i delikatnie kołysał językami płomieni.

– Zbudujemy kołyskę – rzekła Irena, nie wiedzieć czemu unikając wzroku rycerza. – Z największej szuflady biurka. Powinna być wygodna...

Rek zmarszczył wygięte brwi.

– W szufladzie?! Bój się Boga, Ireno! Już splotłem koszyk. Trzeba go tylko podwiesić pod sufitem; jak należy... A może zamierza pani zawiesić szufladę?!

Chichotali przez pięć minut, na chwilę milkli i znów zanosili się śmiechem

– najpierw szczerze, potem już na siłę. Za oknami wył wiatr.

– Posłuchaj bajki, Reku... Nie mam teraz komputera ani papieru, więc zostanę baj arką... Więc tak... Za dwieście... A może lepiej trzysta... Zresztą co tam, za tysiąc lat w miejscu naszego obecnego domu powstanie świątynia.

Wysoka świątynia, wzniesiona z kamieni, które zagradzają teraz drogę do miasta. A wokół niej powstanie stolica. Ogromne miasto z tysiącem mieszkańców i wieloma pałacami. A wokół niego rozpościerać się będą pola, pastwiska... nie, pastwisk nie będzie, chociaż kto wie? Tam, skąd nabieramy wody, powstanie święte źródło. Drzwi do świątyni będą tradycyjnie uchylone do połowy... by każdy mógł wejść. I ludzie ci nie będą mieli nad sobą Objawienia ani praworządności wampirów. Gdyż wszyscy będą spokrewnieni.

I będą upatrywać początku swego rodu w... zresztą, o tym później.

Rycerz milczał. Jego oczy robiły się coraz większe.

– Nowa ludzkość – Irena westchnęła. – Nie powstanie od razu... Najpierw oczyścimy pole i zasadzimy tę dziką różę. Potem zbierzemy najlepsze ziarenka i posadzimy znowu. Nasze dziecko... – zająknęła się. – Tak, dziecko będzie już wtedy raczkować. Gdy przyjdzie pora trzecich zasiewów,

zacznie mówić...

Rek położył dłoń na jej brzuchu.

Nie było w tym dotyku akceptacji. Irena zamilkła.

– Nie mógłbym, Ireno... nie. Zabrakłoby mi... ..fantazji, dokończyła za niego Irena w myślach. Fantazji i bezczelności. Andrzejowi tego na przykład nigdy nie brakowało...

Drgnęła na samą tę myśl. Rek natychmiast cofnął rękę.

– A w świątyni, przed ołtarzem, będą stać dwa kamienne posągi. Nie będą one nas przypominać, gdyż po upływie tych wszystkich stuleci nikt nie będzie pamiętał rysów naszych twarzy... Będą to po prostu mężczyzna i kobieta.

Niczego to jednak nie zmieni, gdyż wszyscy nasi potomkowie będą do nas podobni.

Irena przerywanie westchnęła. Rek spojrział na nią, uśmiechnęła się.

– Tak... A najgorszym przekleństwem dla tych ludzi będzie słowo

„modelator”. Ulegnie skróceniu, wytrze się setkami języków, straci swe pierwotne znaczenie... „Do molatora z tobą!”, tak będzie brzmieć najgorsze przekleństwo. Mroczni czarnoksiężnicy w jaskiniach będą zaś wywoływać złośliwego ducha Molatora i najbardziej wytrwali zdołają zrekonstruować jego imię; to, którego nie wolno wymawiać na głos – Andrzej!

Poryw wiatru silniej uderzył w pochyły dach. Kominek niemal zgasł. Po chwili jednak płomień zapłonął ze zdwojoną siłą, pochłaniając prawie całe leżące wewnątrz drewno.

– Nie wolno tak mówić – wymamrotał Rek i Irenie wydało się, że pobladł.

– No, mamy już przynajmniej początek – roześmiała się.

– Mój niezapomniany, były mąż stał się mrocznym upiorem tego świata...

Choć przecież w istocie jest on jego Stwórcą. Jednak raczej zdechnę, niż pozwolę moim potomkom się do niego modlić... Nie patrz tak na mnie, Reku.

Przecież to tylko bajka. I nikt nie przyzna za nią Srebrnego Wulkanu.

Rek położył jej dłoń na ramieniu.

Po chwili wahania jego druga ręka znów legła na jej brzuchu.

Irena drgnęła od tego dotyku. Zamarła i wstrzymała oddech.

Tam, w czerwonym kosmosie, pływał nie narodzony syn wampira.

Bezpiecznie ssąc bezzębnymi jeszcze dziąsłami maleńki palec.

\* \* \*

Zebrać popiół co do okruszka, ani odrobinki nie uronić – i bez tego cały dywan jest uwalany... Przenieść przez korytarz. Pochylając się, przejść przez zawalony śniegiem przedpokój i mrużąc oczy od ostrego światła, wysypać zawartość wiadra na czarny jak wulkan kopiec popiołu... Na oślepiająco białym śniegu wznosi się czarna, lekko posiwiała hałda. Wygląda pięknie. Rek twierdzi, że wiosną posłuży jako nawóz.

Szambo śmierdziało. Choć na mrozie nie było to zbyt uciążliwe, wiosną się zacznie...

Zresztą kiedy zrobi się ciepło, Rek zdąży już wszystko lepiej urządzić.

Wedle norm sanitarnych. Wykopie głębszy dół, dalej od domu.

Irena spojrzała na swoje dłonie. Nie ma co, żałosny widok. Trzeba będzie coś wymyślić. Może smarować olejem?

Tu, wzdłuż drogi, dobrze byłoby posadzić szpaler słoneczników.

Niemożliwe, żeby nie było tu żadnego ziarenka – wiosną na pewno jakieś się znajdzie.

Ten, który siedział w jej brzuchu, wyraźnie drgnął. Wsłuchiwała się w siebie z niepokojem – niewątpliwie nie potrzeba nam przedwczesnego porodu...

choć w zasadzie wszystko jest możliwe.

Stała jeszcze przez chwilę i wróciła do domu.

W zagraconym gabinecie było zimno, nieczynny komputer stał na podłodze, obok monitor odwrócony ekranem do ściany; na pustym biurku niczym samotna łata leżała zbutwiała kartka.

Irena usiadła za stołem, oparła głowę na zaplecionych palcach i zamknęła oczy.

Rek wróci po zachodzie słońca. Wybrał się na poszukiwanie szyszek...

dziwaczny pomysł, choć zapewne sensowny. Gdzieś tam muszą przecież rosnać jadalne szyszki, jeśli nałuskać z nich ziaren i wycisnąć je, to może wyjść z tego całkiem przyzwoity olej. Rek nieźle to wymyślił. Zanim postawimy wzdłuż drogi wartę ze słoneczników... Dzieciaka trzeba będzie przecież czymś myć. Mydła na razie nie ma. Ani jodyny...

Przesunęła dłonią nad białą kartką.

Najpierw będzie musiała przypomnieć sobie wszystkie dziecięce wierszyki... i wymyślić nowe. Jeśli jej się to uda. A potem bajki. Zrozumiałe bajki, w których nie będzie zwierząt ani ludzi... Brrr. Nie, o ludziach i zwierzętach opowie mu potem – kiedy opanuje znane, oczywiste słowa...

Takie jak dom, śnieg, las, wzgórze... Wujek Rek... A może jednak powinien nazywać go tatą?!

A potem trzeba będzie wymyślać przygody... dalekie podróże – w góry, do lasu, na drugą stronę przepaści... Skarby, fantastyczne znaleziska... na przykład urządzenie do rozłupywania orzechów, wprawiane w ruch wielkim, przerdzewiałym kołowrotem.

A potem...

Potem będzie musiała wymyślić opowiadania o miłości.

Irena opuściła ramiona.

Wątpliwe, by jej dzieci miały jakiś wybór. Konflikt krwi...

Krew. „Hemoglobina”. Wstrząsnął nią dreszcz.

Niepotrzebne rozważania. Nie na czasie. Chociaż początki były niezłe: szyszki, słoneczniki, bajki...

A gdyby tak skonstruować generator... jakieś dynamo... może udałoby się uruchomić komputer?

Przecież farma Jana potrafiła być w pełni autonomicznym gospodarstwem.

Znów niepotrzebna myś. Co ją teraz obchodzą losy Nicka, Elzy i Sita... I samego Jana, który na koniec powiedział: „Ocal go”?

„Iluminator”, i bez tego mętny, pokryty był od zewnątrz warstwą szronu. W

słońcu migotały barwne iskierki.

A potem na białą, szklaną taflę legł cień. I natychmiast zniknął.

Przez kilka sekund Irena siedziała bez ruchu, jakby próbowała uchwycić uciekającą jej myśl. Potem wydała z siebie zduszony okrzyk.

Rek?!

Nawet jeśli wrócił wcześniej, po co miałby chodzić wokół domu?

Pomyślała o tym, już zbiegając do przedpokoju.

Był zavalony śniegiem. Wydeptany placyk przed drzwiami i jak okiem sięgnąć – Irena zmrużyła oczy – jedynie śnieg, czarne sylwetki drzew i żadnego żywego stworzenia.

Grzęznąc w śniegu po kolana, obeszła przypominającą beczkę budowlę.

Zatrzymała się pod oknami gabinetu.

Tak, promienie niskiego słońca padały na pokryte szronem okna. Tak, na niebie nie było ani jednej



chmurki.

A na śniegu nie było żadnych obcych śladów. Jedyne ślady stóp Ireny.

Bezkształtne, gdyż „buty” były wykonane z przypadkowych materiałów.

Nie ma więc czym zawracać sobie głowy. To tylko nerwy. Wydawało jej się.

To tylko złudzenie.

\* \* \*

Pod wieczór temperatura gwałtownie spadła. Wiatr wdzierał się przez uchylone drzwi i nie pomagały żadne zasłony, koce ani barykady z poduszek.

W przedpokoju Rek wysypał na podłogę drogocenne szyszki. Szyszkami można było palić w kominku, gdyż zapas drewna nie był znowu taki duży. Po założeniu na siebie uszytych z pledów kombinezonów i okutaniu się kilkoma warstwami koców Irena i rycerz położyli się spać na kanapie w salonie –

objęci, aby się ogrzać.

Karuzela na podwórku. Skrzypiąca karuzela, huśtawki i piaskownica...

Irena drgnęła.

Rek nie spał. Przyglądał się jej.

– Nie jest ci zimno? – zapytała szeptem.

– Nie.

– Zdrętwiała ci ręka?

– Nie...

Na zewnątrz hulał wiatr.

Najwyraźniej Rek Dzika Róża był szczęśliwy.

Zapewne w młodości marzył o wolności i bohaterskich czynach. A także o sławie, choć życie bezinteresownego rycerza z góry skazane było na niesławę.

Być może młody Rek marzył również o kobiecie – tej jedynej, nieosiągalnej, która równie przypominała realne, uległe dziewczki, jak słońce łojową świecę.

Romantyczny Rek.

Tylko o jednym nigdy nie marzył – że uwolni się od kaprysów Objawienia, obudzi w pustym świecie i wszystkie jego codzienne, bohaterskie czyny będą poświęcone legendarnej autorce Chmiel.

– Śpij już.

– Śpię... – zamknął oczy.

Jakże długo nie mógł odzwyczaić się od oglądania na Objawienie! Do tej pory mu się to nie udało... I to właśnie jemu, który od dziecka był

przyzwyczajony do życia wbrew jego regułom! Jakże dziwiło go, a nawet lękało, kiedy okazywało się, że powodzenia i klęski zdarzały się same z siebie, niezależnie od postępów, które można by uznać za dobre albo złe.

Zresztą obiektem takich postępów była teraz jedynie Irena. I nieraz mróz przechodził jej po plecach, gdy zastanawiała się, co by było, gdyby ich relacje z Rekiem regulowało Objawienie.

A co by było, gdyby w świecie Interpretatorów, w modelu, w którym został

Jan, Objawienie nagle „zdechło”?!

Najczęściej podobne rozważania kończyły się atakami mdłości. W jej stanie nie było to nic dziwnego... W brzuchu poruszyło się dziecko i Irena od razu poczuła, jak naprężył się Rek.

Poczuł to. Przez kombinezony z pledów, przez warstwy ogrzewających ich koców wyczuł ruch wewnątrz Ireny. Tam, gdzie niecierpliwie wierciła się nowa istota, oczekująca na swą kolej, by popatrzeć na słońce.

– Nie śpisz?

Rek otworzył oczy.

Jego wyschnięte wargi musnęły jej skroń. Po czym natychmiast się cofnęły, oczekując... na co? Na niezwłoczną zemstę Objawienia? Na siarczysty policzek?...

– Wszystko będzie dobrze, Reku. Wygodne zdanie. Ujdzie nawet w roli zaklęcia.

\* \* \*

Wrócił później niż zwykle. Kilka razy wychodziła na drogę wypatrywać go; nic tylko namalować obraz: „Samotna kobieta czeka przed domem na męża, a wokół rozpościera się śnieżna równina”.

Dostrzegła go z daleka. Rycerz szedł na zrobionych własnoręcznie nartach

– czasem zwykłym krokiem, czasem puszczając się biegiem.

Wyglądał na bardzo zmęczonego. Jego twarz była mokra od potu.

– Co?...

– Śnieg robi się mokry. Ciężko się idzie.

Po raz pierwszy od wielu dni coś przed nią ukrywał. Mało tego, uważał, że przemilczenie tego będzie lepsze dla nich obojga.

– Co znalazłeś, Reku?

Ciężko oddychał. Wytarł czoło rękawem. Ciągle jeszcze milczał.

Cierpliwie czekała. Pozwoliła mu zdjąć narty, wejść do domu, przebrać się, rozgrzać dłonie nad ogniem.

Drogo ją to kosztowało.

– Ireno!...

– Co?!

– Tam jest... most. Przez przepaść. Wyglądał jak śnieżny nawis. Potem śnieg stopniał i... nie wiem, jak to możliwe, ale tam jest most na drugą stronę...

Ugięły się pod nim nogi. Opadł na fotel, oparł ręce na kolanach, próbując zwalczyć wstrząsające nim dreszcze.

Irena milczała.

Świat dla dwojga. Świat kropelka.

A kto powiedział, że modele się nie rozwijają? Nie zmieniają? Nie rosną?!

Odkrywcy nowych lądów... loty w kosmos... A co tam kosmos; co może równać się z takim drobiazgiem jak uchylone drzwi więziennej celi, z wąską szczeliną, przez którą...

– Nie wierzę, że nie próbowałeś przez niego przejść – wyszeptała.

Rek opuścił wzrok.

– Przecież mógł się zawalić... a wtedy zostałabym tu sama... Od razu pożałowała tych słów. Zbyt żałośnie zabrzmiały. Blade brwi Reka zeszły się nad nosem w dwa znaki tyldy.

– Prawie... przeszedłem na drugą stronę... a potem... Zamilkł.

I tak wiadomo, co było potem. Wyrzut, który wyrwał się Irenie z ust, mógł

dotyczyć każdego, tylko nie Reka. Czego jak czego, ale odpowiedzialności nie można mu było odmówić. Gotów był raczej umrzeć, niż zostawić ją tu samą.

Przez chwilę wyobraziła sobie, jak z dna przepaści podnosi się roztrzaskany trup Reka i idzie do niej – wiedziony poczuciem obowiązku.

Drgnęła.

W kominku dopalał się ogień. Trzeba było dorzucić drewno, jednak Irena nie ruszała się z miejsca, patrząc na drżące i pokryte odciskami rąk siedzącego przed nią mężczyzny.

– Wróciłem – rzekł Rek szeptem. – Gdyż pomyślałem... Przecież lód może w każdej chwili... a jeśli zostałem po tamtej stronie, a pani po tej?!

– Jak długo się utrzyma? – Irena zdziwiła się, jak sucho i rzeczowo zabrzmiał jej głos.

Rek wzruszył ramionami.

– Odwilż... wiatr... nie wiem.

\* \* \*

Rzeczywiście był wiatr. I to jaki. Irena zmrużyła oczy.

Powolne spacerowanie na nartach są pożyteczne dla przyszłych matek.

Oczywiście trzeba znać miarę... i w żadnym wypadku się nie denerwować, nie panikować, nie...

Rek unikał jej wzroku. Najwyraźniej uważał, że jego wina jest niewybaczalna – nie potrafił ukryć... mało tego, w ogóle nie zamierzał

ukrywać...

Jak tu pięknie.

Prawdziwy cud natury, niech go diabli porwą. Czy to kaprys natury, czy może czyjaś przedziwna wola stworzyła ten lodowy pomost, ogromną, porośniętą sopłami brodę, kryształowe arcydzieło. A na drugą stronę tylko ręką podać.

Ciekawe, co znajduje się na dnie? To zresztą nieistotne. Hologram, powietrze, woda, kamienie, czy po prostu nic, pustka...

Rek powiedział coś cicho, jednak wiatr porwał jego słowa, zanim Irena je usłyszała, i rycerz musiał je powtórzyć, prawie krzyjąc.

– Nie wejdzmy na niego!

Słoneczniki wzdłuż drogi... nowa ludzkość, domy i pałace, kołyska bez krat...

Po co się oszukiwać. Nie będzie oczywiście żadnej nowej ludzkości, a dziecko musi się urodzić; tam,

w ciepłym domu, czekają na nie łóżeczko, pieluchy i...

– Nie wejdziemy na niego, Reku! Nie możemy...

... ryzykować, dodała już w myślach. Nie będziemy ryzykować. Przecież nie wiadomo nawet, co znajduje się po drugiej stronie. W najlepszym wypadku śnieżne pustkowie, w najgorszym...

Im bardziej Irena wpatrywała się w przeciwległy brzeg, tym bardziej wydawało jej się, że widzi łańcuszek śladów na śniegu. To złudzenie. Nie ma żadnych śladów. Wiatr pokrył śnieg jakimiś wzorami, a słońce odbija się od każdej nierówności...

Po jakiego diabła tu przyszła?! Czy naprawdę ma prawo dokonać tego wyboru? Gdyby była sama... ale w jej wnętrzu mieszka on. Sama może mieć w pełnej pogardzie domowe ognisko i dach nad głową, lecz dla niego jest to kwestia życia lub śmierci.

Ocal go, powiedział Semirol. Oddając za niego życie, jeśli będzie trzeba.

Ze wszystkim można się pogodzić i do wszystkiego przywyknąć.

Posegregować, zaplanować na wieki naprzód; no dobrze, może i nie na wieki, ale na pewno na lata...

I to jest prawdziwy koszmar. Szydercza lina prowadząca... dokąd?

Najprawdopodobniej donikąd. Przynęta. Pułapka. Test.

Wiatr się nasilił. Pęczek wiszących niczym wymiona pod brzuchem mostu sopli lodu oderwał się ciężko i poleciał w dół. Gdzie już to widziała? W jakimś filmie? W kreskówce? Albo komiksie?

– Reku...

Objął ją, próbując osłonić przed wiatrem.

– Niech pani nie płacze, Ireno.

– Przecież jest nam tu dobrze, Reku – rzekła przez łzy. – Czeka nas tu dobre życie...

Kiwnął potakująco.

– Możemy go wychować...

Synka wampira, ironicznie podpowiedział wiatr. Kolejna kiść sopli spadła w przepaść.

– A jeśli tam jest wyjście?

Sama nie słyszała własnych słów. Rek je jednak usłyszał. Ścisnął jej dłoń. –

Ireno...

– Albo nie... ty idź. Nie bój się, most wytrzyma. Tylko popatrz...

Rek zacisnął usta. Jego twarz przybrała surowy i skupiony wyraz – jak przed pogromem małego targowiska na skrzyżowaniu.

– Nie. Nie ma mowy.

\* \* \*

Najciekawsze, że prawie nie był śliski. Ostry lód ciął palce, był nieziemsko piękny; nisko stojące słońce przełamywało się w jego głębi, migotały zastygłe w środku bąbelki powietrza.

Wydawało się, że nigdy się nie skończy.

Irena posuwała się do przodu – centymetr po centymetrze, na czworakach, czasem dosiadając mostu, czepiając się rękami i nogami za najmniejszy nawet występ. Przepaść w żadnym stopniu jej nie niepokoila. Nie hipnotyzowała swą głębią, nie wołała – jakby w ogóle jej nie było, jakby ten niezwyklej urody lodowy most był przerzucony nad wyfroterowanym parkietem.

Choć upadek na parkiet także bywa bolesny.

Krew z rozciętego palca poplamila lodowe arcydzieło.

Potem przestała myśleć. Poruszała się jak owad, odruchowo poruszając mięśniami; do przodu, do przodu...

W jej głowie pojawiło się wspomnienie.

Wesołe miasteczko i atrakcja zwana „Drogą donikąd”. Przyglądanie się temu z dołu było ciekawe i wesołe, a przemierzanie przeźroczyściego łuku nad placem okazało się nieoczekiwanie męczące i straszne... w dodatku wiatr podwiewał jej sukienkę, co chwilę obnażając uda. Pełzła przed siebie, z przyzwyczajenia przeklinając Andrzeja – choć to właśnie do niej należał

pomysł pokonania „Drogi donikąd”. Przeklinając organizatorów, którzy torturowali ludzi za ich własne pieniądze. Oraz przeklinając gapiów, którzy przyglądali im się z dołu i pokazywali palcami... i tak, złorzecząc na czym świat stoi, dotarła na drugą stronę.

Do wyjścia.

Podniosła głowę.

Rek przeszedł już cały most. Odwrócił się i wyciągał rękę.

Podczas gdy pomiędzy rycerzem a Ireną pozostał jeszcze spory fragment lodowego mostu. Całkiem spory.

Wszystko, o czym myślał teraz rycerz, wyraźnie malowało się na jego twarzy. Męczeńsko wyginały

się blade brwi, Rek nienawidził się za to, że nie potrafił jej od tego odwieść... przekonać... czy w ostateczności przemilczeć i zostawić wszystko tak, jak było.

W uszach Ireny – złudzenie czy kolejny żart wiatru? – zabrzmiała nagle wesoła muzyka, w której nieoczekiwanie dla samej siebie, rozpoznała to samo banjo, które towarzyszyło jej w trakcie atrakcji o nazwie „Droga donikąd”. A po chwili zwrócona ku niej twarz się wykrzywiła. Rek zobaczył coś za jej plecami.

Lód pod nią drgnął. Obejrzała się, wczepiając w most rękami i nogami.

Dziwaczna konstrukcja dosłownie w oczach straciła blask, zmatowiała, pokryła siatką pęknięć. Most nie był już mostem; niczym kręgosłup zdechłego smoka gubił kręg za kręgiem – odłamki lodu bezdźwięcznie leciały w przepaść; co prawda Irena nie słyszała żadnego dźwięku oprócz wycia wiatru i widziała jedynie nieskończony taniec słońca na lodowych graniach.

Droga donikąd.

Most już nie istniał. Jego odłamki, wirując, spadały na dno przepaści –

jeśli oczywiście ono istniało...

Rek zaczął krzyczeć.

Dzyń, dzyń, dzyń, dźwięczało banjo w uszach Ireny.

Ciemność.

## **Rozdział 15**

Po prostu sprasowany wiatrem śnieg. Przypadkowe wzory i nisko stojące słońce, podkreślające każdą nierówność terenu.

Irena stała, bezsilnie mrugając na wpół oślepiionymi, załzawionymi oczami.

Coś dziwnego stało się z jej percepcją światła – biała, pokryta śniegiem przestrzeń rozpościerała się przed nią we wszystkich odcieniach czerwieni.

Pozbawiony liści zagajnik. Pagórki. Wiatr ucichł... A czy w ogóle wiał? Na miejscu jej domu, jej wiecznego domu, znajdowała się malownicza sterta głazów.

Czerwone światło przeszło w fiolet. Potem w błękit, zniknęła mgła przed oczami i świat znowu był biały.

Usiąść na śniegu?

Zawahała się. I powoli ruszyła przed siebie.

Pod jej stopami przymilnie poskrzypywał śnieg.

Ten, który mieszkał wewnątrz niej, ucichł.

Wokół panowała cisza. Kopuła wyblakłego nieba, talerz migoczącego śniegu; skrzyp, skrzyp...

A u podnóża pagórka zdała sobie sprawę, że jest w stanie myśleć. Bez wysiłku. Beznamiętnie.

Semirol.

Rek.

Jan osłaniał jej ucieczkę i najprawdopodobniej stracił życie.

Bezinteresowny rycerz Rek został odcięty od niej jak nożem. Pozostał sam w poprzednim modelu. Na skraju przepaści.

Westchnęła. Jej uczucia były przytępione – pozostała sucha konstatacja faktów.

Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, Reku; rzekła na głos, jakby rycerz mógł ją słyszeć... Tak bardzo bym chciała, byś przeżył. Żebyś nie spadł w tę przepaść, próbując mnie ratować... Ani nie zamarzył na śnieżnym pustkowiu.

Przeżyj, bezinteresowny; okaż mi tę ostatnią przysługę...

Znów zaczęło wiać, wiatr był słaby i ciągle zmieniał kierunek. Powinna raczej myśleć o własnym bezpieczeństwie. Za pół godziny stanie się to jej głównym zmartwieniem.

Czy Andrzej może do tego dopuścić?!

Andrzej nie uchronił jej przed sądem i więzieniem. Dopuścił do poczęcia i uciezki. Miał na swoim sumieniu Jana, Trosza, Objawienie, Reka, zawalenie się lodowego mostu...

Andrzej jest martwy. W najlepszym wypadku. Stwórca nie żyje. Objawienie nie istnieje. Wszystkie te nowe modele są jedynie kręgami tego samego leja.

Irena ześlizguje się z nich jak toczący się z góry kamień.

– Nie będzie nowej ludzkości – rzekła gderliwie.

I siadła na śniegu.

\* \* \*

Jest w dziewiątej klasie. Na szkolnym wieczorku czyta swoje wiersze.

*„Chciałabym być szarą myszką*



*Pod skrzypiącą spać podłogą*

*Chlebem żywić po okruszku*

*I nie musieć myśleć już.*

*Chciałabym być czarną kotką*

*Bezszelestną niczym noc,*

*Spać w wysokich trawach lata*

*I nie musieć myśleć już.*

*Chciałabym być ciemnym punktem.*

*Na dalekim horyzoncie*

*Nie przybliżać się już nigdy*

*Nigdy się już nie oddalać..."*

„Cóż za dziwny światopogląd" – mówi jej kolega z klasy, Sańka; nosi okulary i lubi wyszukane słowa, a ona go kocha – czasem mniej, czasem bardziej, choć wydaje jej się, że naprawdę. „Cóż za dziwny światopogląd; ja na przykład chciałbym być huraganem i łamać drzewa jak zapalki..." – „A po co łamać drzewa?!" – „To tylko taki przykład... Nie oznacza to wcale, że zacznę je łamać. Chciałbym jednak czuć, że jestem silny i dużo mogę... a przede wszystkim chcę. A ty co, zamierzasz przespać całe życie?! To do ciebie podobne, Chmiel..."

I odszedł do grupy innych uczniów; było tam hałaśliwie i wesoło. Ktoś przemycił trochę szampana w butelce po lemoniadzie i wszyscy byli pijani; choć nie tyle mikroskopijną ilością alkoholu, ile własną pomysłowością.

„A ty, Chmiel, nie chcesz się podchmielić?"

– Ireno, Ireno...

Dziecięce głosy.

Czy to znajome dzieci?!

– Ireno!

Stała bez ruchu.

Dobrze byłoby zobaczyć coś więcej, oprócz śniegu.

Przetarła oczy, w dotyku wydały jej się takie małe, a zdrętwiała ręka taka duża...

Są...

Dziesięciu malców w wieku od ośmiu do dwunastu lat gania za krążkiem po powierzchni okrągłego jeziora. Po prawej i lewej stronie znajdują się improwizowane bramki z plastikowych skrzynek po butelkach. Od chłopców bije para. Na zaśnieżonym brzegu leży sterta bezładnie zrzuconych kurtek i płaszczy. Jaskrawe swetry i czapki migoczą w oczach, niektórzy z hokeistów mają na plecach numery; najmłodszy, pyzaty i okrągły, ma narysowaną na kurtce wyszczerzoną szczękę opatrzoną napisem: „napastnik”.

Wszystko to Irena zobaczyła z najmniejszymi szczegółami. Jakby uczestniczyła w meczu. Dzieciaki krzyczały z przejęciem, łyżwy radośnie cięły lód, okręcone taśmą izolacyjną kije hokejowe uderzały w ciężki krążek.

Irena rozejrzała się, wypatrując Reka. Rycerza nie było.

Czyste wariactwo.

– Czyste wariactwo – rzekła Irena ze skargą w głosie. Padł gol. Zwycięska drużyna triumfowała; Irena drgnęła, słysząc wrzask pięciorga wyrostków.

Czy aby na pewno wariactwo?

Zrobiła krok. Potem drugi.

Chłopcy nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

Podobnie jak ich trener.

Siedział na niskiej, niepomalowanej ławce. Irena widziała jego plecy i tył głowy.

Wytarta kurtka na szerokich ramionach. Goła głowa, lekko wijące się włosy ze sporą domieszką siwizny. Dzieciaki biegały i wrzeszczały, a jedyny widz obserwował ich spokojnie, z pewnym pobbazaniem, co jakiś czas robiąc jakieś zapiski w notesie.

Irena podeszła bliżej. Potknęła się i ledwie utrzymała na nogach.

Dzieciaki wrzeszczały – wydawało jej się, że robią to bezgłośnie.

– Andrzeju... Odwrócił się.

Przez chwilę wydawało jej się, że zaraz powróci do swego zajęcia.

Najspokojniej w świecie odwrócił się z powrotem do swych chłopców, wspierając ich przy tym jakimś okrzykiem w rodzaju: „No, dalej!”.

Ile razy się myliła? Widziała go w innych ludziach?

Po raz pierwszy już dawno temu, w samochodzie Semirola. Potem w tej krypcie-wieżowcu, pałacu Interpretatorów, kiedy oślepiła ją pochodnia a jej głowa tkwiła w pysku kamiennego stwora. A teraz oślepiają słońce i śnieg...

– Cześć, Chmiel. Kiepsko wyglądasz.

– Cześć, Kromar – odezwała się tym samym tonem. Odruchowo. – Za to ty wyglądasz kwitnąco.

Uniósł brwi.

– Nie poznaję cię... A gdzie twoja spóźniona reakcja?

– Po prostu czas płynie tu zbyt powoli – wyszeptała. Chciała zadać mu idiotyczne pytanie: „Czy to naprawdę ty?!”

Co powinna mu powiedzieć? O czym z nim rozmawiać? Po tym wszystkim, przez co przeszła?!

Rzeczywiście źle wygląda. Po prostu okropnie. Jednak... czy człowiek, który po raz pierwszy widzi swą byłą żonę z wielkim brzuchem, nie mógłby wymyślić nic oryginalniejszego od „Kiepsko wyglądasz”?!

Dreptały tak w miejscu, przestępując z nogi na nogę, gdyby siedzący na ławce mężczyzna się nie przesunął. Jakby zapraszając ją do zajęcia miejsca.

Dzieciaki szalały. Od chwili, gdy siedzący na ławce mężczyzna się odwrócił, padły jeszcze dwa gole – po jednym na każdy zespół, chyba rzeczywiście z upływem czasu było coś nie tak. A może przystosował się on po prostu do postrzegania Ireny?

– Kto to? – wskazała na chłopców. Wzruszył ramionami.

– Tacy tam...

– Jakiś modelik?

– Tak... Jakiś modelik. Zgadłś.

Długi cień, który Irena rzucała na śnieg, wyglądał jak niezależna, samodzielna istota.

– Usiądź, Chmiel. Przysiadła na brzegu ławki.

– Gol! Gol! Dwieście osiemnaście do dwustu szesnastu.

Chłopcy nie sprawiali wrażenia zmęczonych. Liczył się tylko krążek, skupiał się w nim cały świat; na Irenę nikt nawet nie spojrział. Nie wzbudzała zainteresowania hokeistów. A może po prostu jej nie widzieli?

– Czemu milczysz, Chmiel?

– Czyżbyśmy nie mieli o czym pomilczeć?

Siedzący obok niej mężczyzna mruknął z aprobatą. Kiwnął na chłopców z pewnym samozadowoleniem.

– Podoba ci się? Milczała.

– Masz na mój temat złe zdanie, Chmiel?

– Czyżby? – zdziwiła się Irena.

Jej długi cień dosięgnął czubkiem głowy tafli lodu.

Warto by przypomnieć sobie coś dobrego. Jakieś ciepłe wspomnienie związane z Andrzejem.. Przydałoby się teraz. Gdyż w momencie, kiedy powinna zademonstrować wszystkie swoje siły i umiejętności, do niczego się już nie nadaje. Szkoda.

Łyzwy zostawiały na lodowisku cienkie bruzdki, w których załamywały się promienie słońca. Wydawało się, że lód jest pokryty gęstą pajęczyną.

Unoszone przez wiatr płatki śniegu wyglądały jak diamentowy pył.

– Pięknie, prawda? – zapytał Andrzej. Irena zmrużyła oczy.

Złudzenie trwało ułamek sekundy. Pociemniało jej przed oczami, a płatki śniegu zamieniły się w rozproszone w pustce światelka – niewiarygodne w swym pięknie zjawisko. Zdaje się, że coś podobnego odczuła, gdy w wieku sześciu lat po raz pierwszy była w planetarium. Lecz tam zobaczyła tylko cień świata, który teraz ukazał się jej oczom.

Śnieg znowu stał się biały. Czarny krążek poleciał w zaspę, chłopak w bordowym swetrze poszedł go szukać, zachęcany przez innych głośnymi okrzykami.

– Pięknie – odparła ledwie dosłyszalnie.

I po raz pierwszy zdecydowała się spojrzeć mu w oczy.

W ogóle się nie zmienił. Z podobnym wyrazem twarzy budował swe zapalczone miasteczko, wyczarowywał coś na komputerze, karmił gołębie...

Przypominał natchnionego dyrygenta. W każdym razie jego oczy były raczej pełne pasji niż szaleństwa.

– Andrzeju...

– Tak?

– Jesteś zadowolony?

Nad jeziorkiem wisiał mały obłoczek.

– Hm... widzisz, Ireno, zadowolony może być byk rozplodowy, który właśnie pokrył połowę stada.

Obłok powoli się obracał, przybierając dziwnie znane kształty; przejrzystej spirali, dwóch zawadiacko zaplecionych rękawów.

– To zbyt trudne pytanie, Ireno... poza tym doskonałość nie istnieje. I nie jest nikomu potrzebna.

Irena milczała.

Przydałaby się patelnia. Albo chociaż sterta porcelanowych talerzy; po kolei rozłukłaby je o ławkę – z hukiem, piskiem i Izami. Rozpętałaby klasyczną kłótnię rodzinną, zażądała powrotu na ulubioną kanapę, cofnięcia czasu i zakończenia tego natrzęsania się z niej.

Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że właśnie groteskowa, na granicy farsy, domowa awantura byłaby pod tym obłoczkiem i słońcem jak najbardziej na miejscu. Może chłopcy na moment oderwaliby się od gry, słysząc trzask rozbijanych naczyń...

– Żartujesz sobie? – zapytała na wszelki wypadek.

– Nie... – uśmiechnął się. Poczuli się zbędni.

Niczym natrętna petentka, która zjawiała się nie w porę z tak nieistotną prośbą, że niezręcznie ją nawet wypowiedzieć na głos.

O czym może z nim porozmawiać?

Jak on to robi? W jakim celu? Od czego się to wszystko zaczęło i czym się zakończy; jeśli w ogóle kiedyś nastąpi koniec?

Hej, panie Nikołań! Wypełniłam zadanie... to znaczy jego pierwszą część.

Niestety, postępowanie według dalszych instrukcji wydaje się niemożliwe.

Tym bardziej że zapewne już pan nie istnieje. Padł pan ofiarą

„prawdopodobnych kataklizmów”.

I cóż począć, Peter? Na końcu tej podróży spotkałam niezupełnie tego, kogo się spodziewałam. A i pan zapewne liczył nie na taki obrót wypadków...

Irena wstała z trudem. Ciężko zakołysał jej się brzuch.

– Trzymaj się, Kromar.

Spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem.

– Już idziesz?

– Tak... czas na mnie – Irenie nagle zrobiło się wesoło. O tak, odwrócić się i odejść. Może przed zachodem słońca znajdzie sobie jakąś wilczą jamę, w której prześpi noc.

Odwróciła się od Andrzeja plecami. Szkoda, że nie ma pod ręką ramienia Reka, nie ma się na kim wesprzeć.

Zresztą i tak nieźle trzyma się na nogach. A wiatr wieje teraz w plecy, będzie jej łatwiej iść.

Nagle się uśmiechnęła. Z głębin pamięci wypłynęła jej dziwaczna damulka w błękitach: „Geniusz nie potrzebuje żony, lecz przyjaciela, kompana, niańki”.

Wygląda na to, że Stwórca nikogo nie potrzebuje.

– Chmiel!!

To słowo wbiło się jej pod łopatkę, jak wypuszczona od niechcenia strzała.

Niczym plastikowa strzała z przyssawką, którymi Andrzej na zakład trafiał

„dziesięć razy z rzędu w dziesiątkę”.

– Co, Andrzeju?

Pokryte lodem, okrągłe jezioro zafalowało jak winylowa płyta.

\* \* \*

Ognisko osłonięte bazaltową skałą. Suche drewno stanowiło idealny pokarm dla ognia. Wyginając się w niewiarygodne kształty, osłaniało wędrowców przed czarnym niebem. A raczej próbowało osłonić, gdyż gałęzi było zbyt mało jak na tę nieobjętą przestrzeń, na tę gigantyczną półkulę usianą migoczącymi punkcikami.

Irena patrzyła do góry i widziała płatki śniegu wirujące nad wzorzystym lodem. Zaczerwienione twarze chłopców, wielki krążek, para z ust...

Ognisko zapłonęło jaśniej. W ogniu pojawiły się kontury zamku, przy czym połowa wież zawałiła się i nad blankami wznosił się dym. Wieża oblężnicza, taran pod bramą, horda barbarzyńców wspinających się na mury.

Dawny rysunek z notesu. Niedokończone opowiadanie.

Irena przygryzła wargę. Gdyby wtedy, w tamtym życiu, potrafiła pisać tak mocno. Tak przekonywająco. I koniec końców tak pięknie.

– Nie trzeba – rzekła cicho. – Nie trzeba modelować śmierci.

Płomień opadł. Ognisko płonęło jak wcześniej; mało tego, trzeba było dorzucić drewna.

– Miałem nadzieję, że mnie zrozumiesz, Chmiel.

– Aż tak ci jest potrzebne moje zrozumienie, Kromar?

– Nie – odparł niechętnie. – Jakoś to przeżyję... Ale pamiętam jeszcze, jak pociłaś się nad swoimi opowiadaniem. Jak wysiadywałaś przed monitorem, bladłaś i chichotałaś, biegałaś po domu jak wariatka... i po co?

Milczała.

– Każdy uczeń, który napisze okrągłą frazę; każdy garncarz, któremu uda się uformować dobry garnek... są w stanie mnie zrozumieć, Ireno. Wyobraź

sobie nieskończoną liczbę garncarzy. I każdy wyjmuje z pieca najbardziej udane naczynie, jakie stworzył w życiu. I wszyscy oni są we mnie.

Milczała.

– Wzdychałaś z radości nad zapisaną kartką... A ja... Podniósł oczy i Irena mimowolnie podążyła za jego spojrzeniem.

Na niebie wisiała biała kometa z długim ogonem, która pojawiła się znikąd.

Irena milczała.

Przed chwilą stworzył i zniszczył model – w ognisku, przez kilka chwil.

Mały, lokalny model. Kto wie, czy barbarzyńcy na murach byli jedynie ruchomymi figurkami. Czy nie posiadali jakiejś przeszłości i przyszłości. I czym różnili się od rycerza Reka, wampira Jana, lekarza Nicka...

– Jesteś odrobinę... przerażający, Kromar.

– Naprawdę? – wydawało się, że szczerze się zdziwił. Odetchnęła głęboko.

– Wysłali mnie, byś zwinął model.

Siedzący naprzeciw niej mężczyzna uśmiechnął się.

– Zwinął? Dokładnie tak kazali ci to przekazać? Ognisko się dopalało, jednak Irena wiedziała, że jeśli tylko sięgnie po suchą gałązkę, przewróci się na bok. Po co ma się wygłupić.

– Tak. Dokładnie tak prosili przekazać... Mało tego grozili, że zamkną model od zewnątrz. Aby

uniknąć ewentualnych kataklizmów.

– Kata, kata, kata... – wymamrotał z roz targnieniem ten, który siedział

naprzeciwko. – Kataklizmów...

– Peter Nikoła n twierdził – przełknęła ślinę – że brakuje im energii. Bał

się... że zmieni się rzeczywistość. Rak na prawdopodobnej strukturze...

– Rozejrzyj się, Chmiel. Czy to nie jest rzeczywistość?

Rozejrzała się.

Bazaltowa skała, zasłaniająca jedną trzecią nieba. Iskry, spiralami lecące do góry. Kometa wśród gwiazd, wyglądająca jak wymyślny ścieg pomiędzy guzikami.

– Zrozumie mnie każdy dzieciak, który po raz pierwszy zbudował zamek z piasku. Zresztą, co tam; nawet zwykłe pisklę, które przebiło skorupę jajka...

jest w stanie mnie pojąć.

Uśmiechnęła się.

– Dlaczego się uśmiechasz?

– Jesteś patetyczny... Wydawało mi się, że zrobisz teatralną pauzę i powiesz: „To wszystko dla ciebie, Chmiel”. I zaczniesz mnie całować.

Zaskrzybiało drzewo. Kometa wciąż była nieruchoma.

– Nie – wyszeptał. – Nic z tego.

Wstał. Irena napięła się, jednak on tylko dorzucił drzewa do ogniska.

Buchnęły iskry, wciąż tak samo, po spirali.

– Dlaczego na mnie czekałeś, modelatorze?

Milczał.

– Dlaczego mnie wezwałeś? Dlaczego stworzyłeś dla mnie tunel?

Połączenie sali tortur z domem wariatów? Dlaczego?

Nitki płomieni wyrastały ze sterty suchych gałązek. Ulatywały w niebo; chrust trzeszczał coraz głośnie j.



– Wciąż mnie nienawidzisz, modelatorze?

– Nie – odparł po chwili milczenia.

– To dobrze się składa – Irena z satysfakcją kiwnęła głową.

Pogłaskała się po brzuchu, uniosła głowę, spojrzała mu w oczy i nie odwracała wzroku, dopóki ogień, który przebił się w końcu przez stertę gałęzi, nie utworzył między nimi pulsującej ściany, a drżące powietrze nie zdeformowało nie do poznania rysów siedzącego naprzeciw mężczyzny.

– Pomyliłem się... Chmiel. Kiedyś, dawno temu, wierzyłem, że potrafię zmodelować świat z nas dwojga... nie dla nas, lecz z nas. Rozumiesz?

– Rodzina jest komórką społeczeństwa – oznajmiła obojętnym tonem.

– Wadliwy model – jej rozmówca wzruszył ramionami. – Niedoskonały... i tak sobie w nim nie poradziłaś.

– Moja wina – uśmiechnęła się Irena z przekąsem.

– To możliwe – odparł rozmówca z nieoczekiwaną złością.

– Więc postanowiłeś mnie ukarać?

– Nie... Nie jestem aż tak kiepskim modelatorem. Wszystko, co zrobiłem, jest niedoskonałe i dlatego jest żywe. Samo z siebie... ewoluuje. A nasz maleńki modelik rozleciał się. Padł.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytała sucho.

Trzeszczał ogień.

– Prowadziłem cię – przyznał przez zęby – przez modele. Nie chciałem...

tracić cię z oczu... i mimo to niemal od razu cię zgubiłem.

– Bydlak – rzekła obojętnie. I zdziwiła się, na ile jest wewnętrznie wypalona.

– Być może... I tak nie mogłem ingerować... By to zrobić, musiałbym zlikwidować to wszystko w diabły. Jednak żal mi było poświęconej temu pracy.

– Rozumiem – przytaknęła. Pogłaskała się po brzuchu. Uśmiechnęła. –

Nie jesteś zazdrosny? Ani trochę?

– Brzuch to nie choroba... – z niedobrym uśmiechem odparł modelator.

Uśmiech zmienił się w grymas. – Nie sądziłem, że jesteś do tego zdolna... Ty szmato.

Ciężko dyszał. Jego twarz pociemniała od napływu krwi, najwyraźniej Irena z marszu ugodziła go w czuły punkt. Modelator złapany we własną pułapkę, zazdrośnik, który niegdyś obił zalotnika swej byłej żony w jego własnej bramie; beznamiętny Stwórca w końcu stracił maskę obojętności.

Wsluchwała się w siebie. Zmieszanie? Szok? Nic podobnego. Zmęczenie.

Odrobina współczucia... Właśnie tak. Niemal współczucia dla tego mistrza cudotwórcy, który nieumyślnie odciął sobie toporem rękę i teraz wścieka się na krwawy kikut.

– To też obserwowałeś? – zapytała z przekąsem.

Jej rozmówca zamilkł. Pod pociemniałą skórą chodziły mu mięśnie szczęk.

– Odpowiedz mi, Kromar... To ważne. Obserwowałeś?

Ten, który siedział naprzeciw niej, machnął głową. Ten gest mógł oznaczać wszystko.

– Teraz już nic nie rozumiem – wzruszyła ramionami. – Czy to wszystko jest dla ciebie grą? Jakimś sprawdzianem?

– Dla mnie jest to piekłem – odparł głucho modelator.

Kometa pełzła po niebie; najwyraźniej w takim właśnie tempie płynął tu czas i gdy milczeli przy wiecznym ognisku, gdzieś mijały dni, tygodnie, lata...

– Ależ ty kochasz swoje uczucia, Kromar. Wszystkie. Swoją miłość... a nawet swoje cierpienia. Swą niepowtarzalną twórczość, swój niezrównany talent, ukryty w sobie geniusz i siebie samego, geniusza... Wydaje ci się, że jeśli siedzisz z gałązką w ręce nad stworzonym przez siebie mrowiskiem, to jesteś większy, ciekawszy i cenniejszy od każdej z pełzających mróweczek... To dobrze, że ci się tak wydaje. W przeciwnym razie nie mógłbyś zostać modelatorem.

Blask ogniska leżał na jego twarzy niczym maska.

– Obawiam się, że cię zmartwię, Kromar... Wszystko to już było. Nieraz czytałam o tych wszystkich nowych wszechświatach. Niemal słowo w słowo.

Nie jesteś taki znów oryginalny. Choć nie chodzi nawet o to. Każdy człowiek, który obserwuje lot ptaka lub stoi w tłumie na cmentarzu i słyszy, jak na trumnę sypie się świeża ziemia, zna cenę rzeczywistości. Ludzie oddają za innych życie... jak Jan.

Jej rozmówcą wstrząsnął dreszcz. Irena się uśmiechnęła.

– Albo przeciwnie, poświęcają komuś swe życie... jak Rek. Nie bądź taki wstrząśnięty, modelatorze. Twój sukces rzeczywiście zamienił się w porażkę.

W zabawkowym świecie żyją stworzone przez ciebie postaci, które są znacznie ciekawsze i lepsze niż ty sam... A ty, siedząc z gałązką nad mrowiskiem, stałeś się funkcją. Jesteś magikiem, Kromar,

twórcą i oryginałem... no dobrze, także Stwórcą; jesteś samotnikiem z definicji; sam dla siebie jesteś modelem...

Niepotrzebnie wbiłeś sobie do głowy, że potrzebujesz jeszcze jakiejś przekornej kobiety. To był kaprys, Andrzeju. To jest właśnie twój błąd –

zamilkła, wsłuchując się we własne odczucia... – Andrus...

Drgnął. Gwałtownie spojrzął Irenie w oczy – przez drżące powietrze, przez języki płomieni.

– I jak, teraz cię zrozumiałam? – uśmiechnęła się.

Wokół zgasły gwiazdy.

Było to dość przerażające – jakby z nieba opadła nagła ślepotą. Jednak ognisko wciąż płonęło jasno. Irena czuła emanujące od niego ciepło.

– Modele się zamykają – rzekł.

Instynktownie zamknęła oczy. Krótki skurcz przeszedł jej przez dół

brzucha, wstrząsnął miednicą.

Zwija się plac z pałacem Interpretatorów, miasto z bramą i mostem zwodzonym, bazarami, gospodą „Trzy kozy”, harpiami przed wejściem do instytutu.

Zwija się farma wraz z przybudówkami, malowniczymi górami, krowami w oborze, anteną na dachu...

Kolejny skurcz.

To nic, to nic, to nic. To jeszcze nie walka, dopiero zapowiedź, to nic, jeszcze się przedrzemy.

Zaciskając zęby, spojrzała przez ognisko.

Modelator siedział wyprostowany, jak pomnik wzniesiony samemu sobie; tyle że pomniki nie mają tak wykrzywionych twarzy.

– To nieprawda, że ciebie nie potrzebuję... Ireno. Nowy skurcz. Ból osiągnął apogeum i zaczął słabnąć.

– W każdym z modeli zostawiałem dla ciebie miejsce. Byś mogła w nie trafić jak... brakujący fragment mozaiki. Jedyny niezbędny fragment.

Zerwał się wiatr. Irena prawie tego nie odczuła, lecz z ogniska z trzaskiem sturlała się gałąź.

– Jednak teraz nic już nie mogę poradzić. Wybacz mi... Ireno.

Zielona trawa, konie w plumażach, klaszczące damy, trąby, namioty, proporce, giermkowie, rycerze, turniej... Długa pika przebijająca jasne pole chełpliwej tarczy, ceratowe niebo, strużka brunatnej krwi spod przyłbicy...

Królowa na wieży, przejrzysta narzutka, słońce, jastrzębie, złota korona, migotliwy jedwab, kobieta, która szybko spada z muru do fosy.

Strasznie boli. Szkoda wampira Jana, doktora Nicka, którego synowie wierzą, że ojciec nie żyje.

Wierzyli.

A może tak trzeba? Cóż takiego straci Nick, jeśli wszechświat przestanie istnieć?

Biedny Rek. Nie zasłużył na niechlubną śmierć.

A nawet nie śmierć. Na zniknięcie.

Janie... Janie, co robisz ze mną twój syn? On rozrywa mnie od środka...

Janie!!

– Andrzeju... nie trzeba. Niech tak zostanie. Wszystko, co zostało stworzone ma prawo żyć. Nawet modele... Niech je wszyscy diabli... Nie trzeba tego zwijać, proszę; zostawmy wszystko, jak jest...

Ból opasał ją niczym pas cnoty.

Semirol... Nick, Trosz, Elza, osiłek Sit... A także ci trzej chłopcy, którzy zostali zmodelowani jako ofiary. Ta trójka, za której zamordowanie Irena została skazana.

Jasnowłosa dziewczynka z przytułku dla ubogich, której nikt nigdy nie pogłaskał...

Każń. Wszechobecna, stopniowa, nieodwracalna każń.

Żelazny pas zacisnął się mocniej.

– Co z tobą? – jej rozmówca dopiero teraz zauważył, że coś jest nie tak.

Irena wyszczerzyła zęby. Stwórca, modelator, twórca jest ślepy jak kret.

A jeśli dziecko w jej łonie zwinie się wraz z modelami?!

Puste, bezgwiazdne niebo.

Dajcie mi tylko kawałek papieru! Wymyślę dla tej historii szczęśliwe zakończenie!

– Ireno?!

Poczuła jego dłonie na ramionach. Po raz pierwszy od tak dawna – jego ręce...

I bicie jego serca – które, zwykle powolne, pozwoliło sobie na wybicie się z rytmu. Zaraz padnie na kolana, wtuli twarz w jej ogromny brzuch i pozostanie jej tylko macierzyńskim gestem pogłaskać go po siwiejącej głowie.

Uśmiechnęła się.

– „Nie potrafisz okazać skruchy, rzekła Jaszczurka”.

– Co?

– Nic – znów uśmiechnęła się przez ból. – To tylko cytat. Teraz ognisko było wszędzie; ale nie parzyło. Lekko gryzło.

Jak zastarzałe sumienie.

## EPILOG

Na zakręcie, gdzie szosa zataczała pętlę nad samą przepaścią, Irena zatrzymała samochód.

– Poczekaj, Andrus. Minutkę...

Urwisko zaczynało się zaraz za pasiastymi słupkami oznakowania drogowego. Na jego dnie zalegała najprawdziwsza chmura – nawet z wyglądu gęsta, ścieląca się, powoli przelewająca w samą siebie. Szare nibynóżki, wznosząc się nad skrajem przepaści, tajały w promieniach wschodzącego słońca – przez rozplywające się strzepy prześwitywały góry, daleki las i czerwony dach maleńkiej kafejki, do której zostało jeszcze dziesięć minut jazdy.

Irena patrzyła.

Zza zakrętu ostrożnie – a w tych górach wszyscy jeżdżą ostrożnie – wyłonił

się długi, biały samochód. Na widok zapatrzonej Ireny zahamował i zatrzymał

się; zza kierownicy wysiadł wysoki, smagły mężczyzna. Irena gdzieś go już widziała. Zresztą w tej okolicy wszyscy się kiedyś spotkali, nie mieszka tu zbyt wielu ludzi.

– Samochód się zepsuł? Może pomóc?

Nad opadającymi strzepami mgły leciał, miarowo machając skrzydłami, biały ptak. Las prześwitywał jaśniej, ciągnąc się z góry na górę niczym niedbale narzucony szal.

– Przepraszam, jeśli przeszkodziłem. Ocknęła się.

– Nie, nie... dziękuję. Wszystko w porządku.

W samochodzie zaczęło marudzić dziecko.

– Cicho, Andrus. Zaraz pojedziemy...

Maluch wiercił się w swoim foteliku, przymocowanym do tylnego siedzenia samochodu. Wykręcał ucho gumowemu króliczkowi, z niezadowoleniem wydymając wargi.

Mgła rzedła. Wkrótce widoczne będą głązy na dnie przepaści i płynący wśród nich potok.

– Powiadają – rzekł nieoczekiwanie mężczyzna, podążając za jej wzrokiem

– powiadają... Zna pani tę wróżbę?

Na czerwony dach kafejki padło słońce, przez co dachówki zabłysły jak mak.

– Powiadają – mężczyzna odkaslnął – że jeśli ktoś w bezludnym miejscu długo wpatruje się we mgłę, może zobaczyć Stwórcę. Chodzi On we mgle niczym w chmurach. To nie jego pani przypadkiem wypatruje?

Przez jakiś czas z uwagą spoglądała w dół. Potem lekko się skrzywiła.

Pokręciła głową.

– Szkoda – rzekł mężczyzna po chwili milczenia. Podniosła wzrok.

Był szczupły i smagły, z kreską wąsów nad górną wargą. Wyglądał na południowca. W starym, ciemnoniebieskim, ręcznie robionym swetrze.

– Nie taka znowu szkoda – odparła powoli. – Nie miałabym Stwórcy nic do powiedzenia... gdybym spotkała go osobiście.

Jej rozmówca wzruszył ramionami. Jakby mówiąc tym gestem: cóż począć? Pożegnał się gestem dłoni, odwrócił i poszedł w stronę swego samochodu.

Maleńki Andrzej wyrzucił w końcu swego królika. Zabawka poleciała na szosę.

– Proszę poczekać – rzekła niepewnie Irena. Mężczyzna odwrócił się.

Co w nim było takiego niezwykłego?! Co sprawiło, że drgnęła, spięła się wewnętrznie i zawołała go?

Oczy, pełne uniesienia jak u dyrygenta za pulpitem. Dziwnie znajomy wyraz twarzy.

– Kiedyś w naiwności sądziłam – uśmiechnęła się – że nasz świat jest nie najlepiej urządzony... Myliłam się. To bardzo smutny... i bardzo piękny świat.

– Prawda?

Irena podniosła królika z ziemi. Prawe, gumowe ucho było przegryzione na wylot – jak obciążkami.

Odruchowo otrzepała zabawkę z kurzu. Przytaknęła niepewnie.

– Tak... Na pewno jeszcze o tym napiszę... Południowiec uśmiechnął się szerzej.

– No cóż, powodzenia, autorko Chmiel.

Wciąż jeszcze stała z otwartymi ustami, a biały samochód oddalał się, merdając ogonem spalin.

Najpewniej znał ją z fotografii w gazecie. Po prostu obcy człowiek. Po prostu.





# Spis treści

1

